

1 733 344 (Z)

46

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

# WOJNA I SEZON

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

X

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

WOJNA I SEZON

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom CX

Powiad

IMPRIMERIE EN FRANCE

TKCZĘCZKA

21, avenue de France, Maison Laffont

PARIS

par MAISON LAFFONT (S. A.)

1963

**BIBLIOTEKA "KULTURY"**  
**Tom CX**

**IMPRIME EN FRANCE**

---

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,**  
**91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi**  
**par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)**

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

# WOJNA I SEZON

Powieść

INSTYTUT



LITERACKI

PARYŻ

1965

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001009529692

TEGOŻ AUTORA

*Prawo łowieckie — komentarz dla województw wschodnich,*  
Wilno 1929

*Z zagadnień kontroli sądowej administracji,* Londyn 1944

*Sumienie Polski — rzecz o Wilnie i Kraju wileńskim,* Lon-  
dyn 1946.

*Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego,* powieść, Lon-  
dyn 1959



II 733.941



© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1965

1965 D 755

## Rozdział I

### WOJNA ROMANTYCZNA

Historyk z meteorologicznym nastawieniem mógłby snuć ciekawe rozważania na temat wpływu wielkich wydarzeń historycznych na stan pogody, czy też odwrotnie — wpływu stanu pogody na wielkie zdarzenia historyczne. O pamiętnej wiosnie urodzaju, kwitnącej zbożami i trawami, wiemy z księgi XI-ej „Pana Tadeusza”. Kto nie pamięta pożogi słonecznej, lub przynajmniej nie słyszał o niej, w lipcu i sierpniu 1920, gdy bolszewicy szli na Warszawę? albo — jak po lipcowemu prażył wrzesień 1939 roku?

Lato 1914 roku było — od czerwca do późnej jesieni — gorące, upalne, prawie bez deszczu.

Tadeusza Ipohorskiego-Irteńskiego, który przed dwoma miesiącami przeszedł na drugi rok prawa w uniwersytecie petersburskim, wojna zastała u Bohdana Wańkowicza w dworku Zajezerze powiatu sieńskiego gubernii mohylowskiej. Postanowił zaraz wracać do Mińska. Bohdan go nie zatrzymywał. Rozumiał, że w takich niezwykłych okolicznościach każdy woli być w domu z rodziną. Tadeusza popychał też do Mińska niepokój o sprawy wojskowe. Jesienią kończył 21-y rok życia. Sekretarz pana Irteńskiego pan Pawłowski miał załatwić u wojskowego naczelnika sprawę odroczenia służby wojskowej dla ukończenia uniwersytetu. Pan Pawłowski upijał się codziennie i mógł zapomnieć. A zresztą — czy w ogóle w czasie wojny odroczenia będą udzielane? (Któż w trzecim dniu wojny mógł się domyśleć, że Rosja będzie jedynym krajem wojującym, który w ciągu dwóch pierwszych lat wojny nie powoła do wojska studentów wyższych uczelni?). Tak czy inaczej — była wojna i lepiej było być w domu.

Bohdan odwiózł przyjaciela na stację Bohuszewska. Na sta-

cji nie byłoby nic niezwykłego, gdyby nie dwóch poborowych z drewnianymi kuferkami w towarzystwie dwóch płaczących bab. Pociąg przyszedł bez opóźnienia. Wagon nie był przepelniony. Oficerów nie więcej w nim, niż zwykle. Gdzież ta wojna? Tadeusz nie od razu się zorientował, że linia kolejowa Witebsk-Orsza-Żłobin nie miała kierunku „strategicznego”. Wyjechał z Zajezrza po bardzo lekkim śniadaniu i teraz łykał ślinę na myśl że w Orszy, gdzie musiał się przesiąść na pociąg do Mińska, napije się herbaty wcinając kilka smakowitych, słynnych na całe imperium, pierożków z mięsem lub kapustą. Niestety, marzenia, jak to często bywa, zawiodły. W Orszy był ścisk i bezład. Rojło się od mundurów wojskowych. Jeszcze nie było „europejskich” frenczów, które się miały zjawić dopiero za rok czy dwa, ale mundury były zgrabne — z talią na właściwym miejscu, nie zaś spadającą na tyłek, jak w mundurach niemieckich, austriackich i legionowych. Ludzie w mundurach ogołocili, jak szarańcza, orszański bufet ze wszystkiego. Nawet samowar gigantycznych rozmiarów był zimny, a bufetowi za ladą bezradnie rozkładali ręce i mieli wzrok niezupełnie przytomny. Zamiast pierożków Tadeusz musiał się pocieszyć ostatnim numerem jakiejś gazety rosyjskiej, w której na pierwszym miejscu był wydrukowany manifest cesarski z 21 lipca (starego stylu): „Pomna swej historycznej misji Rosja, jednej krwi i wiary ze słowiańskimi narodami, nigdy nie była obojętna na ich losy”...

— No no — myślał Tadeusz szukając w gazecie wieści z pola walki, których jeszcze nie było.

Pociąg ze Smoleńska przyszedł z dwugodzinnym opóźnieniem. Był zapchany wojskowymi i cywilami. Tadeusz z trudem zdobył sobie odchylany taboret w korytarzu. Pociąg podwójnej długości z dwiema lokomotywami szedł powoli. Na następnej stacji weszła panienka z okrągłą twarzą. Ani ładna, ani brzydka. Ostatnim echem kurtuazji zapadającego w nicość XIX wieku Tadeusz ustąpił jej taboretu. Jakże gorzko miał tego żałować! Pociąg szedł z Orszy do Mińska dziesięć godzin zamiast przepisowych czterech zatrzymując się nie tylko na każdej stacji, lecz i przed każdym semaforem. Jak złowrogo wyglądało czerwone oko semaforu i z jaką ulgą się wzdychało, gdy wreszcie błysło zielone światełko, lokomotywy zasapały przeraźliwie i targnęły pociągiem.

W Mińsku, który teraz leżał wedle terminologii wojennej w „głębokim tyle” i gdzie urzędował naczelnik okręgu wojennego generał Rausch von Traubenberg, panował nastrój podniosły, z lekka tylko podniecony. Mobilizacja odbywała się w tumanach kurzu, ale gładko i sprawnie. Fala nienawiści do Niem-



ców rozlała się szeroko i głęboko poprzez wszystkie stany i narody imperium rosyjskiego. „Wojna jest popularna” — powiadali znawcy czyniąc porównania z będącą w świeżej pamięci a wielce niepopularną wojną japońską. Szał patriotyzmu *rosyjskiego* ogarnął wszystkich: od ziemiaństwa polskiego i polskiego mieszczaństwa do dziennikarzy żydowsko-liberalnej gazety „Miński głos”. Gazetka ta robiła świetne interesy wypuszczając co dzień dodatki nadzwyczajne z nieprawdopodobnymi i bezczelnymi łągarstwami, jak np. „Flota brytyjska rozbiła flotę niemiecką” albo „Wojska francuskie idą na Berlin” — a to wszystko w czasie, gdy Niemcy miażdżyli Belgię, a udział w wojnie Wielkiej Brytanii był raczej platoniczny. Cenzura wojenna pobłażliwie puszczała te łągarstwa, jak również puszczała przesadne historie o „okrucieństwach niemieckich” (*niemieckije zwierstwa*) uważając, że tego rodzaju łągarstwa dodają ducha ludności.

Mobilizacja szła więc gładko i sprawnie. A że tam wielotysięczny tłum „manifestantów” rozgromił niemiecką ambasadę i niemiecką kawiarnię Reintera w Petersburgu; że parotysięczny tłum rezerwistów rozbił najpierw gorzelnię pod Ihumeniem, a potem — po drodze do Mińska — napadł i mocno uszkodził pałac pp. Leonostwa Wańkowiczów w Śmiłowiczach — tłumaczono to zawadiactwem (*udalstwem*) przyszyłych wojaków, których komunikaty kwatery głównej miały wkrótce nazywać zuchami (*mołodcy*) lub dziwo-bohaterami (*czjudo-bogatyri*). Historyczki modliły się nawet do „szarych szyneli” nie przewidując, że za trzy lata ci sami dziwo-bohaterowie staną się w ich ustach nienawistnymi „czubarykami”.

Pogrom Śmiłowicz bardzo poruszył społeczeństwo polskie w Mińsku. Jak się później okazało, skończyło się na zapaskudzeniu salonów, połamaniu kilku cennych mebli, wybiciu kilku szyb i przebiciu końcem buta czy pałką „Mickiewicza na Judahu skale” Walentego Wańkowicza. Pogrom jednak był pogromem i pani Leonowa Wańkowiczowa (z domu hr. Broel-Plater) mówiła głośno przy obiedzie w lokalu klubu obywatelskiego nie bacząc, że przy sąsiednim stole siedzi sam gen. Rausch von Traubenberg ze świtą:

— Takiego barbarzyństwa *Niemcy* nigdy by nie popełnili.

Zresztą pani Leonowa nie cieszyła się wielką popularnością i dr Marian Obieziński mówił szeptem przy innym stoliku:

— Istotnie, wielkie barbarzyństwo. Podobno potłukli moc słoików z konfiturami.

Tymczasem deputacje szlacheckie wszystkich gubernii Cesarstwa słały hołdownicze depesze do cesarza. Deputacja szlachty mińskiej nie pozostała w tyle. Każda depesza otrzymała oso-

bną odpowiedź podpisaną przez monarchę. Odpowiedź na depe-  
szę deputacji mińskiej szczególnie poruszyła wszystkich i była  
szeroko komentowana w kularach i ogrodzie letnim klubu oby-  
watelskiego. W odpowiedzi tej cesarz dziękował za wyrazy hoł-  
du i zapewniał że „wierzy w przyszłość świetlaną wszystkich  
narodów zamieszkujących gubernię mińską”. (Czy dowiemy się  
kiedykolwiek, kto zredagował i podsunął carowi do podpisu ta-  
ką co najmniej dziwną depešę?).

Ledwie zdążono przetrwać ten niespodziany a słodki kąsek,  
gdy spadła nowa wieść — tak radosna, że Polacy dostali praw-  
dziwego delirium. „Polacy, wybiła godzina” — krzychały tłu-  
stym drukiem słowa odezwy wielkiego księcia Mikołaja Miko-  
łajewicza” — „...marzenia ojców i dziadów”... „...nie zardzewiał  
miecz, co raził wroga pod Grunwaldem”... „Od brzegów Bał-  
tyku do mórz północnych idą hufce rosyjskie”... „...jutrenka no-  
wego życia świta dla was”... Lekko i strawnie łykali Polacy je-  
dno z największych „nabierań” w dziejach Polski. Nie pierwsze  
i nie ostatnie.

W. ks. Mikołaj Mikołajewicz stał się w ciągu jednej nocy  
nieomal świętym patronem Polski. Opowiadano cuda o jego ta-  
lentach strategicznych dodając szeptem, że jest to wódz, który  
dla przeprowadzenia operacji wojennej nie liczy się ze stratami  
w ludziach. Nie wiedzieliśmy, że hr. Witte pokazał go w swych  
wspomnieniach jako tchórza i mistyka z „zajączkiem” w głowie.  
Nie wiedzieliśmy o słowach jednego z wielkich książąt, że Po-  
lacy są naiwniakami, jeżeli wierzą odezwie Mikołaja Mikołaje-  
wicza. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że w okupowanej przez wojska  
rosyjskie Galicji rozpoczną się brewerie czarnosecinne z przymu-  
sową „rewindykacją unitów” pod batutą generał-gubernatora hr.  
Bobrńskiego i biskupa Eulogiusza. Nie wiedzieliśmy, że Miko-  
łaj Mikołajewicz wydał rozkaz aby galicyjsko-polskich organiza-  
cji „sokolskich” (tj. strzeleckich) nie uznawać za stronę woju-  
jącą. Nie wiedzieliśmy, że Mikołaj Mikołajewicz żadnym strate-  
giem nie był, a tylko podpisywał dyspozycje opracowane przez  
miernej zdolności generałów, i że otoczenie wielkiego księcia  
w Baranowiczach zabijało nudy pędzaniem gołębi, lub tresowa-  
niem młodego lisa. No i nie mogliśmy wiedzieć, że za rok ten uwiel-  
biany Mikołaj Mikołajewicz wyda potworny rozkaz przymuso-  
wego wysiedlania ludności polskiej, litewskiej i białoruskiej ra-  
zem z cofającą się armią rosyjską. Nie wiedzieliśmy. Nawet ta-  
ki trzeźwy polityk jak Aleksander Lednicki powiedział, że od  
czasów Napoleona nikt takim językiem, jak Mikołaj Mikołaje-  
wicz, nie mówił do Polaków.

Zaczęła się sielanka przyjaźni polsko-rosyjskiej. Zapewne je-

dyny raz w historii Polski i Rosji zapanował krótki okres, gdy wszyscy Rosjanie od socjalistów do „czarnosecińca” Puryszkiewicza zapawali szczerą miłością do Polaków. W Petersburgu przemianowanym na poczekaniu na Piotrogród stawiano w teatrzykach idiotyczne patriotyczno-sentymentalne skecze, w których Polacy występowali w roli rosyjskich patriotów. Stolica cesarstwa urządziła olbrzymią zbiórkę pod hasłem „Piotrogród — Polsce”. Wielu Rosjan uczyło się na gwałt języka polskiego. Słowem — Polska i Polacy byli modni.

W mieszkaniach miejskich, we dworach i dworkach zapanowała moda na mapy, na których szpilkami oznaczano posunięcia walczących armii. Rozważano ze znanstwem przedmiotu możliwości strategiczne. Mówiono o okrążeniach, odcięciach i „workach”. Tłumaczono niewtajemniczonym, co to są przesmyki i Dardanele. Z nabożeństwem słuchano niedomówień praporzczyków sztabowych robiących mądre miny i udających, że znają nikomu nie znane tajemnice wojskowe. Czasem puszczano się w dyskusje z dziedziny historiozofii gimnazjalnej: co było przyczyną wojny, a co „powodem” do niej? Korepetytor Kazia ośmioklasista Rosjanin pouczał, że powodem było morderstwo w Sarajewie, a przyczyną współzawodnictwo gospodarcze Niemiec z — kim? Tutaj trochę się jąkał, bo nie zupełnie był pewien, czy Niemcy rozpętały wojnę współzawodnicząc gospodarczo z Anglią, czy z Rosją, czy może z Francją. Państwo Irteńscy bardzo poważnie dyskutowali z ośmioklasistą wytykając mu te lub inne błędy, ale zgadzając się bez zastrzeżeń, że to Niemcy rozpętały wojnę.

Był to dogmat, w który nie śmiano wątpić. A przecie wojny 1914 *nikt* nie przewidywał! Przypisywanie post factum jakichś „przyczyn” i „powodów” było takim samym nonsensem, jak gadki o przeczuciach, wizjach lub znakach na niebie. Wprawdzie *w czasie trwania wojny* zjawiły się z obu stron szumne deklaracje o „celach wojny” — celach nieraz bardzo zaborczych. Ale przerzucanie tych deklaracji na okres sprzed wojny byłoby oczywistym głupstwem. Ciekawe, że te i inne nonsensy wciąż są powtarzane przez ludzi skąd inąd nie głupich. Wojny nikt nie przewidywał i nikt jej nie chciał. Nie chcieli jej nawet tacy zhisteryzowani „podpalacze” jak Wilhelm II lub austriacki hr. Berchtold. Wojny chciała może garstka Polaków w Galicji mająca jednak taki wpływ na wybuch i przebieg wojny, jaki na lot pocisku ma mucha siedząca na lufie armaty. No i chciał wojny Włodzimierz Uljanow-Lenin.

Poza szpilkowaniem map i dyskusjami strategicznymi pilnie przeglądano stronice „Kuriera Warszawskiego” usiane ogłosze-

niami o poszukiwaniu osób, które wojna zastała w uzdrowiskach za granicą. Z jednego z takich ogłoszeń dowiedzieliśmy się szczegółu nawet nie wszystkim warszawiakom znanego: że prawdziwe nazwisko panny Lucyny Messal, która latem 1914 przeprowadzała w Niemczech kurację odtłuszczającą, jest Mishal i że jest Żydówką z pochodzenia.

Tymczasem wprowadzono prohibicję i — jak na administracyjne bezhołowie rosyjskie — przestrzegano jej z żelazną konsekwencją. Na wsi pozostawało coraz mniej rąk do robót polnych. To samo w miejskich fabrykach. Toteż nie było komu pędzić samogonu, względnie jeszcze nie nabrano wprawy w jego pędzeniu. Żołnierze, chłopci, robotnicy — pozbawieni wódki — zaczęli myśleć. Na ponuro. I słuchać. Też na ponuro. I w tym tkwi jedna z „przyczyn”, że w dwa i pół roku później rewolucja wybuchła tak gładko i tak spontanicznie. Lecz nawet wtedy nie wszyscy się zorientowali, że Wielka Rewolucja Światowa wybuchła nie w marcu 1917, lecz w sierpniu 1914 — wybuchła przez sam fakt mobilizacji, tj. skupienia w zwartych i uzbrojonych szeregach milionowych mrowi istot, które wedle słów Iwana Bunina jeszcze się niezupełnie nauczyły chodzić mocno na tylnych nogach, a które w dodatku pozbawiono jedynej przyjemności — wódki.

Głaskano nie tylko Polaków, lecz i Żydów. Nikt wprowadzie nie zwołał Żydów, aby dobyli miecza i razili wroga, ale antysemityzm schował rogi. Przynajmniej oficjalnie. O haniebnym a tak niedawnej sprawie Bejlisa zapomniano\*. Obok bohaterskiego Kozaka Koźmy Kriuczkowa (którego legenda nie wytrzymała zresztą, o ile wiem, próby historycznej) zjawił się również bohaterski Kac, awansowany z szeregowego na praporszczyka. Kac z ręką na temblaku i błyszczącymi epoletami z jedną gwiazdką krążył jakiś czas po Mińsku i chętnie opowiadał o swych czynach bojowych przyjmując fundy w kafeszantanie „Akwarium” przy ulicy Jurewskiej lub w kawiarni „Select” przy ulicy Zacharzewskiej. Fundy były zresztą suche, bo prohibicja była ściśle przestrzegana i nie robiła wyjątków. Nawet dla bohaterów narodowych.

„Akwarium” bez alkoholu było nudne i na pół puste. Po-

---

\*. Nie zapomniał o niej poseł do Dumy i adwokat Zamysłowski przedstawiciel powoda cywilnego w sprawie Bejlisa, pisząc w ciszy gabinetu żydożerczą pracę pt. „Sprawa o zabójstwie Juszczyńskiego”. Książka ta — bogato ilustrowana — wyszła pod datą roku 1917-go. Przed ostatnią wojną jeden egzemplarz tej książki znajdował się w Warszawie w bibliotece sejmowej.

pisy śpiewaczek, zarówno „operowych”, jak „kaskadowych”, brzmiały dla trzeźwych uszu bardzo nędznie. Tłusty „reżyser” pan Pinter i szczupły „dyrektor” pan Bielat krążyli smutno po wyludnionej sali.

Nastrój podniosły i bojowy trzymał się. Nic nie wiedzieliśmy o galicyjskich organizacjach „sokolskich”, tj. o legionach Piłsudskiego, zjawili się natomiast w czamarkach legionści Gorczyńskiego. Do legionu Gorczyńskiego wstąpił młodszy kolega Tadeusza Marianek Bielina-Bielinowicz. Nie wielu znalazł naśladowców. Trzeźwi „mińczuci” osądzili, że w wielkiej wojnie, w której giną Polacy w trzech obcych armiach, nie ma sensu przebierać się w jakieś niezgrabne czamarki i w nich ginąć bez wyraźnego celu. „I do polskiego serca niemiecką kulą strzel” deklamowała wiersz Słońskiego przymilna Rommówna na patriotycznych wieczorach. (W rok później po drugiej stronie frontu kula niemiecka zmieniła się w kulę „moskiewską”). Orzeczo no więc że byłoby szaleństwem ryzykować dla czamarki, że się dostanie kulę niemiecką lub austriacką, albo że się będzie strzelać kulą moskiewską do Polaków w mundurach niemieckich lub austriackich. Wojna 1914 miała tę dobrą stronę, że wykręcanie się od służby frontowej było nie tylko dopuszczalne, lecz nawet patriotycznie zalecane: „Bić się za Moskali wierząc w piękne słówka Mikołaja Mikołajewicza? Nie, dziękuję!” (Co trzeźwiejsi już powątpiewali w moc prawną pięknej literacko odezwy cesarskiego stryja). Tadeusz Irteński raz jeden widział Gorczyńskiego w kawiarni „Select”. Nieduży wzrost nadrabiał czamarą i olbrzymimi wąsiskami. I tylko z tymi wąsami przeszedł do historii. Legenda Gorczyńskiego nie powstała.

Na razie trwał miodowy miesiąc wojny (o ile można tak mówić o wojnie). Przyszło zaciemnienie słońca. Pełne. Mińsk leżał w samym centrum pasa zaciemnienia. Na dobre dwie minuty słońce stało się czarną tarczą w delikatnej aureoli bladozielonej poświaty. Na chwilę zabłyśły tu i ówdzie gwiazdy i w skwarze południa powiało chłodem.

W tym pierwszym okresie wojny Tadeusz był świadkiem pogrzebu wojskowego, który zrobił na nim niezapomniane wrażenie, chociaż później oglądał wiele pięknych pogrzebów. W czasie ofensywy rosyjskiej w Prusach Wschodnich poległ książę Mikołaj Radziwiłł związany z Mińszczyzną przez ożenek z supermagnacką fortuną hr. Magdaleny z Zawiszów Krasieńskiej. Był to wielki awanturnik — w szlachetnym tego słowa znaczeniu — weteran wojny boerskiej, japońskiej, bałkańskiej. Odnaczał się nieludzką odwagą i szukał guza wszędzie, gdzie się tylko bito. Był niezwykle piękny: nigdy ani przedtem, ani potem nie spotkał

Tadeusz mężczyzny o tak doskonałej urodzie. Pogrzeb lub raczej eksportacja z dworca do katedry, a potem znów na dworzec odbyła się w nocy, przy blaskach pochodni i dźwiękach marsza żałobnego Beethovena. Tadeusz nigdy nie zapomniał tych dźwięków, jakby wydobywających się z podziemi piekielnych, ani tego nieba wygwieźdzonego, ani tych żółtych pochodni kołyszanych lekkim wietrzykiem nocnym.

Miodowe miesiące wojny kończyły się. Razem z radosną wieścią o porażce Niemców pod Paryżem przysłała wieść o strasznej klęsce rosyjskiego generała Rennenkampfa w Prusach Wschodnich i o samobójstwie generała Samsonowa. (A jeszcze tak nie dawno kuplecista w „Akwarium” śpiewał: „A Rennenkampf wsio wpieryd letit”...). Dotąd panuje wśród Rosjan przekonanie, że porażka pod Tannenbergiem była straszliwą ceną, którą zapłacili Rosjanie za wykonanie obowiązku sojuszniczego wobec Francji, gdyż Niemcy odciągnęły dwa korpusy z frontu zachodniego i rzuciły na wschód — ratując Prusy lecz przegrywając bitwę o Paryż. Zdaje się jednak, że winy za zniszczenie armii Samsonowa i paniczną ucieczkę pozostałej armii należy raczej szukać w niedołęstwie Rennenkampfa, zwłaszcza że te dwa korpusy ściągnięte spod Namur przyszły na wschód już po rozstrzygającej bitwie pod Tannenbergiem.

Coraz gorsze wieści przychodziły z okupowanej przez Rosjan Galicji: unitów przymusowo nawracano na prawosławie, Polaków ze Lwowa wywożono na wschód. Nadchodziły chłody i słoty jesienne. Dość słabym echem powitano zwycięstwo pułków syberyjskich pod Warszawą. Gdyby nie wspaniała opowiadka Perzyńskiego o kłótni między starym małżeństwem w Warszawie („Strzelają, słyszysz? strzelają, stary durniu?!” — „Duszeko, czy to ja strzelam?”) krwawe boje pod Sochaczewem i Piasecznem nie zrobiłyby w Mińsku większego wrażenia.

Pod koniec jesieni ocknęło się życie towarzyskie. O tańcach nie było mowy, bo wojnę uważano wtedy za rodzaj żałoby narodowej. Zresztą Rosjanie nie tańczyli i publiczne zabawy taneczne były w ogóle zakazane. Ale odbywały się koncerty i rauty na Rzecz Towarzystwa pomocy ofiarom wojny, które miało swe biuro w gmachu Towarzystwa rolniczego. Ponadto z inicjatywy Henryka Weyssenhoffa i pod jego dyrekcją urządzono w teatrze miejskim szereg żywych obrazów. Był więc Kazimierz Wielki przyjmujący Żydów. Był Jan Sobieski dający audiencję posłowi cesarskiemu. Był wreszcie Hołd pruski ściśle wedle obrazu Matejki skomponowany. W braku starszego pana, który zgodziłby się być królem — proszono pana Emanuela Obrąpalskiego, ale odmówił — Tadeusz zasiadł na tro-

nie za Zygmunta Starego a przed nim klęczał baron Dangel (żonaty z Wańkowiczówną). Boną była wiecznie młoda *belle femme* doktorowa Dziekońska. Icek Święcicki był Stańczykiem... Przed obrazem z Kazimierzem Wielkim Henryk Weysenhoff miał chwilę irytacji:

— Co to za tron? — spytał ostro zarządcę rekwizytorni teatru miejskiego.

— To tron aidzki.

— Boże drogi! Król polski na tronie egipskim! A innego tronu nie macie?

— Nie mamy.

— *Merde.*

Skończyło się więc, że Kazimierz Wielki a później Jan Sobieski siedzieli na tronie „aidzkim”.

Jak długo potrwa wojna? Na początku, zanim zabawa w szpilkiowanie map nie znudziła, obliczano trwanie wojny na tygodnie. Później na miesiące. Ku końcowi 1914 czekano nadzwyczajnych zdarzeń na wiosnę. „Głęboki tył”, w którym tkwił Mińsk, dawał poczucie bezpieczeństwa. Front leżał o kilka setek kilometrów na zachód, Niemcy dostali w skórę pod Łodzią i pod Warszawą, Austriacy w ogóle byli bici jak w bęben — nie ma się więc czym przejmować. Przyjeżdżający na krótki urlop z frontu znajomi przywozili w upominku zdobyczne pikelhauby, które można było też kupić za parę rubli u szeregowych. Pokazywali zdobyczne pistolety Parabellum z ładunkami dum-dum w magazynie. Ci, co powracali z prawdziwego frontu, mówili mało i niechętnie. Czuło się w ich głosie ciche i *nienazwane* panowanie nad nerwami w przeciwieństwie do hałaśliwej hysterii zwanej bohaterstwem. Za to ci ze sztabów, z oddziałów przyfrontowych i z frontów „nieprawdziwych” gadałi i łgali niemiłosiernie, chełpili się posiadaniem nieprzepisowych szabel kaukaskich, nosił na piersiach nadmiar rzemieni z gwizdkami i tp. przyborami wojennymi.

Każda wojna jest kombinacją nudów, krwi, łez, potu, wszy, brudu i smrodu. Ponieważ jednak w roku 1914 nie mordowano jeszcze masowo jeńców; nie mordowano i nie wywożono masowo ludności cywilnej; gwałcono i rabowano w miarę; obłukiwano jeszcze tyłki o siodła („Ułani, ułani”) — przeto niektórzy dziś nazywają tamtą wojnę (Boże odpuść im, bo nie wiedzą, co mówią!) wojną romantyczną.

## Rozdział II

### „PIOTROGRÓD” I ŁÓŚ

Wojna wojną, ale przed wyjazdem do Petersburga na tak zwane studia Tadeusz chciał jeszcze zapolować w Baćkowie. Pojechał na wieś w spokoju ducha, gdyż sprawa odroczenia służby wojskowej została załatwiona pomyślnie i w biurze wojskowego naczelnika nikt nawet nie słyszał, aby studentów miano powołać do wojska.

Na wsi wojny nie czuło się zupełnie. Wzięto po kilku rezerwistów i rekrutów z każdej wsi, po czym życie wiejskie potoczyło się spokojnie. Nie tylko studenci byli wolni od służby wojskowej. Nie brano również do wojska tych, którzy mieli „niebieskie bilety” (jedynaków) i tych, którzy będąc zupełnie niezdolni do służby wojskowej, mieli „białe bilety”. Nie ruszono też starszych roczników, do których należeli towarzysze łowów Tadeusza — leśnik Aleksander Klimowicz i furman Józef.

Józef był ciekawym okazem. Nic mu nigdy nie imponowało i niczym nie można go było zadziwić. Na każdą nowość, na każde odkrycie miał gotową odpowiedź: „Wiem, słyszałem” albo „Znam, widziałem”. Sam lubił natomiast zaimponować innym. Tym razem pokazywał Tadeuszowi z dumą jednorurkę, którą za bezcen kupił u odjeżdżającego na front kłusownika-rezerwisty. Jednorurka była, jak mówił, przerobiona z francuskiego „anty-leryjskiego” karabinu. Nie chcąc go martwić Tadeusz nie powiedział, że na lufie tej broni wyczytał napis „Iwanow-Tuła”. Zresztą Józef był zacnym człowiekiem i doskonałym, kochającym konie furmanem. I nie był wcale głupi, choć miał wczynie na twarzy zastygły wyraz podobny do głupawego uśmiechu.

Przyjemnie było wstać o świcie, gdy jutrzienka różowiła się



na posrebrzonych rosą pajęczynach, gdy w lesie pachniało kwaśnym winem gnijących liści i gdy na tle soczystej zieleni świerków klony płonęły, jak krzaki gorejące. I przyjemnie było słuchać gonu sześciu ogarów: para Zagraj i Lutnia powiększyła się o dalsze cztery pieski — Dunaja (młodszy), Hałasa, Wierną i Zaliwaja. Przyjemnie było wracać z polowania wzdłuż tylnych opłotków wioski. Szczególny urok miała ta rzadko używana, porośla trawą „boczna ulica” przytykająca do chłopskich sadów i odryn. Na takiej drodze prawie nikogo się nie spotykało. Od pola pachniało nacią kartoflaną, od sadów — konopiami.

Petersburg nazywał się już „Piotrogradem”. Mimo bardzo młodego wieku Tadeusz odniósł się bez entuzjazmu do zmiany nazwy stolicy imperium. Nie potrafił sformułować swych myśli, ale czuł, że jest coś niepoważnego w kasowaniu nazwy mającej za sobą dwóchsetletnią tradycję. Nie przeczuwał, że w tej zmianie była również jakaś siła fatalna: „Piotrogród” miał przetrwać tylko 10 lat, aby stać się „Leningradem”. („Nie trzeba ruszać starych nazw” — mówił sobie po wielu latach. Dlaczego starożytna ulica Zacharzewska w Mińsku stała się Sowiecką, później — na 11 miesięcy — Mickiewiczza, później aleją Stalina, by po destalinizacji jeszcze raz zmienić nazwę? Dlaczego pięknie brzmiące nazwisko Sachsen-Coburg-Gotha zmieniono na neutralne Windsor? Dlaczego plac Saski przerobiono najpierw na Piłsudskiego, a potem na plac Zwycięstwa?).

Były i inne zmiany — mniej ważne. W pierwszym dniu wojny ściągnięto sznurami z dachu ambasady niemieckiej czwórkę koni „brandenburskich”. Potem zdziczały tłum wiwatował najpierw przed Pałacem Zimowym, a potem — porwany patriotyzmem — ruszył demolować niemiecką kawiarnię Reintera. Ze szczytu olbrzymiego domu towarowego na Newskim prospekcie znikł świetlny sztyl „Gebrüder Jeliseyeff” zastąpiony przez „Yeliseyeff Bros”. Na ulicy Gogola restauracja „Wiena” stała się po prostu restauracją Sokołowa. Petersburżanie opowiadali Tadeuszowi, jak manifestanci po splądrowaniu ambasady niemieckiej i kawiarni Reintera mieli wielką ochotę zdemolować „Wienę”, ale pan Sokołow przebłagał ich na klęczkach przysięgając, że z Wiedniem i nienawistnymi Austriakami nie ma nic wspólnego. W urzędach i innych miejscach publicznych zjawily się napisy „Zabrania się mówić po niemiecku”. *Ratio legis* tego dziwnego zakazu nie było nigdy jasne. Zapewne chodziło o niedrażnienie uczuć patriotycznych. Bo zakaz nie miał chyba na celu względów bezpieczeństwa i tajemnicy wojskowej? Polacy star-

szej daty podnosili brwi widząc te napisy, gdyż przypominały im inne napisy, które znikły zaledwie kilkanaście lat przedtem: „Zabrania się mówić po polsku”. Nieco później wprowadzono w myśl hasła „szpieg podsłuchuje” nakaz używania tylko języka rosyjskiego w rozmowach telefonicznych. Za naruszenie tego przepisu groziły surowe kary. Zresztą poczciwe telefonistki zwykle ostrzegały wtrącając się do rozmowy, którą przez zapomnienie zaczynało np. po polsku. Gazety podały wiadomość o jakiejś krewkiej Włoszce, która mimo ostrzeżenia telefonistki rozmawiała dalej po włosku. Ukarano ją dla przykładu, ale bardzo łagodnie, bo właśnie Włochy przystąpiły do wojny po stronie sprzymierzonych i do obowiązkowego repertuaru hymnów sojuszniczych dołączono hymn włoski.

W teatrach operowych bowiem — a Petersburg miał aż trzy opery — nikogo nie zdziwił jeszcze zwyczaj, że zaraz po zgaśnięciu świateł i zjawieniu się dyrygenta z galerii padały okrzyki: „Gimn! gimn!” Kurtyna szła do góry i ugrupowani na scenie aktorzy i chórzyci — w kostiumach — śpiewali „Boże caria chrani”. Potem zasłona spadała i orkiestra grała kolejno — już bez udziału chóru — Brabansoń, Marsylianę, God save the King, hymny serbski, japoński, włoski... (Odegranie Brabansony przed Marsylianą i hymnem angielskim było oznaką kurtuzji dla małej i bohaterskiej Belgii).

Czasopisma drukowały wiersze patriotyczne. Nawet hedonista i „ego-futurysta” Igor Sjewierianin pisał:

*Kto ruszył Giermaniju skoreje na stanciju  
Tam pojezd za puzdom stremitsa wpieriod...*

albo gromił Wilhelma II-go:

*Winiu tiebia za to, czto ty, nachmuriw browi  
Wozdwig w swojej stronie gonienije na stawian...*

W teatrach i teatrzykach obowiązywał też repertuar podniosły. Stawiano więc sztukę Leonida Andrejewa „Król, prawo i wolność” na tle bohaterskiej postawy Belgii. Tytuł wzięto z refrenu Brabansony. Publiczność tłumnie waliła na tę sztukę, ale Tadeusz nie poszedł instynktownie przeczuwając szmirę. O repertuarze teatrzyków wspomniałem w rozdziale poprzednim. Gazety i tygodniki pitrasily opowiadania na temat bohaterstwa „szarych żołnierzyków” oraz reportaże, również w bohaterskim tonie utrzymane, własnych korespondentów z frontu. Ci własni korespondenci z frontu oraz własni korespondenci „z Ko-

penhagi” z reguły nie ruszali się od swych biur w redakcjach petersburskich. Pisma humorystyczne kpiły z Wilhelma, z Franciszka Józefa, z Turków. Niektóre kawały były niezłe. Warto przypomnieć jeden. Instruktor niemiecki ogląda twierdzę turecką i wytyka dowództwu tureckiemu jej braki. W pewnej chwili widzi z przerażeniem, że armaty jednej z baterii są drewniane.

— Ależ z tych armat strzelać nie można! — wykrzykuje.

— Istotnie — przyznaje Turek — te armaty nie nadają się do strzelania.

— A więc po co w ogóle tu stoją?!

— O, my mamy na to cały regulamin — objaśnia Turek — do każdej armaty jest przydzielona załoga złożona z trzech żołnierzy. Jeden z nich zaciąga się papierosem i wypuszcza kłęb dymu. Drugi mówi „bum”. A trzeci bierze do ręki pocisk i rzuca go wprost w mordę nieprzyjacielowi.

Poza tym humor wojenny kręcił się wkoło prostego przepisu, że Rosjanin jest dzielny i sprytny, Niemiec głupi i okrutny, Austriak — tchórz. O Turku w ogóle szkoda mówić. Głupota niemiecka była najczęstszym tematem dowcipów. Czy można było się temu dziwić, skoro pisarz tej miary co Adolf Nowaczyński pisał w „Świecie” Krzywoszewskiego: „Niemiec prochu nie wymyślił i nigdy go nie wymyśli; on tylko filozoficznie istnienie jego udowodni”...

„Okrucieństwa niemieckie” stanowiły szczególny temat zarówno artykułów prasowych, jak i gotowanych przez kancelarie dyplomatyczne ksiąg tego lub innego koloru. Polacy ze zgrozą czytali o spaleniu Kalisza przez majora czy pułkownika Pruskera. Ku końcowi wojny i w przeddzień rewolucji, a zwłaszcza w obliczu rodzimych — słowiańskich — okrucieństw, o „okrucieństwach (zwierstwach) niemieckich” zapomniano. Dopiero w okresie bolszewizmu, który coraz bardziej dawał się we znaki „niedoróżniętej burżuazji”, puszczone w Petersburgu taki dowcip: „Słyszeliście o ostatnim okrucieństwie niemieckim? Nie chcą zająć Petersburga!”

Tak jesienią 1914-go roku wyglądał Petersburg — do niedawna Sankt-Petersburg. Życie toczyłoby się zupełnie normalnie, gdyby nie zakaz sprzedaży alkoholu. W soboty, niedziele i święta na ulicach nie było już pijanych. A jeżeli zdarzył się pijany, to przechodnie patrzyli na niego z sympatią i zazdrością pytając się w duchu, a czasem i głośno: „I gdzie się on tak nalizał?” Bo o zdobycie alkoholu było bardzo trudno. Z narażeniem na ślepotę pito „oczyszczony” denaturat. Pito politurę i wodę kolońską. Pito mydło spirytusowe do włosów. Opowiadano na-

wet — może zresztą był to ponury żart — że pito „niemowlak”, czyli spirytus skradziony w gabinetach anatomicznych z preparatów, w których konserwowano zdeformowane zwłoki martwo urodzonych niemowląt. Od tych wszystkich koktejlów prohibicyjnych ludzie chorowali na oczy. Przed klinikami oftalmologicznymi stały kolejki. Alkoholicy, którzy nie mogli lub nie chcieli zadowolić się niemowlakiem lub politurą i byli skazani na przymusową abstynencję, dostawali przewlekłych bólów mięśni i byli leczeni masażem.

W Polskiej Kuchni Studenckiej na Zabałkańskim nr. 20 po staremu przystojna kuchareczka zaróżowiona pod białym czepkiem rzucała na skwiercząca patelnię befszytk, który po staremu kosztował 30 kopiejek. Jak zawsze było gwarno. Może trochę gwarniej niż przed wojną, gdyż wszystkie stoliki, przy których — jak mawiał wieczny student Krasowski — na różny sposób „zbawiano Polskę”, huczały, jak gniazda szerszeni od dyskusji strategicznych i politycznych. Dyskusje odbywały się ze śmiertelną powagą. Gdy raz Franek Szystowski z Mińszczyzny, świeżo upieczony student Instytutu dróg komunikacji, odważył się wtrącić do dyskusji mówiąc z miną poważną, że „według pogłosek Niemcy chcą zwyciężyć Francję” spotkał się z niezadowolonym wzruszeniem ramion. Spokojnie tylko zachowywał się stolik Litwinów, czyli ludzi nie przejmujących się sprawą zbawiania Polski. Czytali w milczeniu swoje gazety, na których na pierwszej stronie widniał tłustymi literami wyraz „karas”, co po litewsku znaczy „wojna”. Odtąd paczka przyjaciół Tadeusza nazywała Litwinów „karasiami”.

Zabawy alkoholowe uległy na razie przerwie. Za to pilnie uczęszczano na „biega” tj. wyścigi kłusaków, a wieczorami grano w karty. Do kompanii Tadeusza, do której wkrótce przylgnęła importowana z Mińska nazwa „Cempśc”\*, należeli po dawnemu: Toluś Rusiecki, Wiktor i Wojciech Korsakowie, Sewerek Odyniec, Władek Krecz, Mietek Goryniewski. Ze świeżo upieczonych studentów przyłączył się do nich Henio Węciałowicz o przezwisku Buton oraz wspomniany Franek Szystowski. W miarę potrzeby odwiedzano na ulicy Sadowej na wprost Biblioteki publicznej kawiarnię „Empire”, gdzie się zbierała gęłda „dziennych” a więc dobrych prostytutek. Krecz wprowadził ich też do zacisznego i przytulnego domku publicznego na ulicy Oficerskiej, w którym panował nastrój familijny, gdzie gospo-

---

\* Cempśc — zdeformowane słowo „kompania”. Obacz „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego”.

dynią i pensjonarkami były Estonki i gdzie można się było napić — za dość drogie pieniądze — koniaku. Aby nie ugrząźć po uszy w „złotomłodzieżowej” rozpuście i w celu otrzymania posiłku dla ducha Tadeusz, Toluś i Buton chodzili mniej więcej raz na tydzień do Muzykalnej dramy, gdzie w „Eugeniuszu Onieginie” śmiertelnie ranny w pojedynku Lenski padał na wiatrowany pagórek imitujący śnieg i gdzie w „Pikowej damie” partię starej hrabiny grała pani Dawydowa — ta sama, która potrafiła być młodą, giętką i płomienną Carmen i ta sama, która w 50 lat później grała rolę starej hrabiny w Paryżu w fantazji wokalnie-tanecznej Lifara pt. „Pikowa dama”.

W końcu listopada Tadeusz wyruszył z powrotem do Mińska. Na dworcu warszawskim zwracał uwagę wagon sypialny z tabliczką „Pietrograd-Lwow”.

Wspomnienia myśliwskie to album magiczny, do którego powraca się z dreszczem poprzedzającym pierwszą schadznię miłosną. Dla myśliwego nie ma wspomnień niemiłych. „Haniebne” pudła i tym podobne czarne karty dziennika myśliwskiego sprawiają przykreść chwilową: nie unikniesz „szyderstw towarzyszy”, jak oni nie unikną twoich szederstw jutro lub pojutrze. Nie unikniesz ironicznego uśmiechu siostry, żony, ciotki, córki lub zgoła kucharki, gdy z pustymi rękami powrócisz z łowów. Czy będziesz tłumaczył tym przedstawicielkom „niemyśliwego narodu”, że dusza pełna wrażeń droższą jest od torby pełnej zwierzyny? Machniesz tylko ręką, pomyślisz: co mnie i tobie, niewiasto — z apetytem wilczym zabierzesz się do posiłku, a gdy sen ukoi chwilową gorycz niepowodzenia i ześle odpoczynek strudzonym mięśniom — zerwiesz się wesół jak dziecko i zaczniesz układać plan jutrzejszych łowów.

— Jedziemy na łosie do Łohojska!

Z takim okrzykiem wpadł wieczorem do Tadeusza Henio Roztropowicz. Tadeusz nie pytał, co i jak. Kozuszek, dacha, dubeltówka w futerale, kilka ładunków „żakanowskich” do kieszeni — i już siedział z Heniem w bryczce niemifosiernie trzęsącej się po kocich łbach. Wkrótce miasto i kocie łby skończyły się, ale zaczęła się męka straszliwej grudy: listopad był mroźny i bezśnieżny w owym roku. Po wielu godzinach, wytręsieni i głodni, ujrzeli czarną masę parku łohojskiego, a z tej masy tu i ówdzie gościnnie i przytulnie błyszcząły światełka.

Nazajutrz powitał ich prześliczny poranek. Niebo bez chmurki, słońce, lekki mróz, cisza. Kompania myśliwska składała się z sześciu osób: dwaj panowie z administracji łohojskiej, z któ-

rych jeden nadlesny pan Cybulski, szlachcic zagrodowy pan Kandyba, przemysłowiec miński pan Staroniewicz („kareciarz”), Henio Roztropowicz i Tadeusz. Pociągnięto numerki. Pierwszy stanął Henio, potem Tadeusz, potem pan Kandyba i inni.

Knieję stanowiła „półmszaryna”, gdzie prócz łoś i karłowatej sośniny, rosły pojedynczo większe sosny i brzozy.

Pierwszy stanął Henio, Tadeusz zaś ruszył dalej za grupą myśliwych, starając się iść możliwie cicho, wybierając kępy mchu, których powłoka zmarznięta łamała się ukazując czarne błoto. Po ujściu kilkudziesięciu kroków myśliwi zatrzymali się. Pan Staroniewicz naradzał się po cichu z panem Cybulskim, który mu pokazywał coś na mchu. Wreszcie pan Cybulski zbliżył się do Tadeusza i spytał szeptem:

— Pachnie panu łoś?

— Pachnie.

— A nie spudłujesz pan?

— Postaram się.

— No to stawaj pan tutaj.

Trzask kroków oddalających się myśliwych ucichał powoli. Tadeusz widział jak pan Kandyba sadowił się za krzakiem łoży. Spojrzawszy na lewo dojrzał Henia opartego o pień sosny. A gdy przypadkowo skierował wzrok na ziemię, zrozumiał, co pan Cybulski pokazywał panu Staroniewiczowi i zrozumiał, dlaczego właśnie w tym miejscu miał mu „pachnąc” łoś. Na posrebrzonym od szronu szarozielonym kobiercu wyraźnie widniały wejściowe tropy łośia.

Chwile płynęły. Ścięta mrozem mszaryna jak gdyby drzemała w przedzimowym letargu i skośne promienie listopadowego słońca nie rozgrzewały jej. Cisza była tak wielka i powietrze tak czyste, że wyraźnie słychać było szczekanie psów w dalekiej wiosce.

Nagle — zabrzmiało to jak trąbka... nie — jak dzwonek. Gdzieś z głębi mchów rozległo się raz i drugi jęklive doławianie się. Ciepła fala uderzyła Tadeuszowi do skroni i na chwilę odebrała mu słuch. A gdy odzyskał słuch już wyraźnie słyszał urywany, wysoki, trochę zachrypnięty gon pojedynczego psa. Gon zbliżał się wyraźnie. Nie było to melodyjne granie rasowego gończaka: raczej zajadły dyszkant kundla, który oszczekuje kota.

Ujrzał wreszcie to, o czym nieraz marzył, a co dotychczas znał tylko z obrazów Weyssenhoffa. Na prawo od jego stanowiska, wprost na pana Kandybę sunął łoś. W ogromnym wzruszeniu, które ogarnęło Tadeusza, znalazło się miejsce na refleks, jak gdyby rozczarowania, że wszystko wygląda właśnie tak, jak na obrazku. Równym, posuwistym kłusem szedł łoś przez

najradszą partię mszaryny, jakby łączką. Brakowało tylko sto-  
gu siana, a byłby żywy plagiat „Tęsknoty” Weysenhoffa.

Pan Kandyba musiał się poruszyć, bo nagle łoś skręcił pra-  
wie pod prostym kątem i ruszył na sztych na Tadeusza. Z  
Kandybowego krzaka wykwitł jeden, potem drugi pióropusz błę-  
kitnego dymu i zagrzmiały dwa strzały. Łoś szedł dalej na Ta-  
deusza.

Tadeusz zęgałby ordynarnie, gdyby powiedział, że nie pa-  
miętał, co było dalej. Owszem, pamiętał wszystko jak najdokład-  
niej. Pierwszy raz strzelił na sztych o jakieś piętnaście kroków  
celując (o wstydzie!) nie w pierś, lecz w ogromny łeb z roso-  
chami. Gdy dym się rozwiął, ujrzał łośia defilującego spokojnym  
kłusem już na lewo od niego. Strzelił drugi raz na kroków dzie-  
sięć na łopatkę. Łoś nie zmienił tempa równego kłusa i migając  
białymi nogami oddalał się spokojnie, aż znikł w gęstwie łoś i  
sośniaków. Po chwili szczekając jękliwie i z trudem przeskaku-  
jąc przez kępy i zwały zjawił się gończyk, którym był zwykły  
pokurcz wielkości foksteriera z zakręconym w obwarzanek, jak  
u świni, ogonkiem. Ten dziwny okaz białoruskiej łajki przebiegł  
obok Tadeusza nie zwróciwszy na strzelca uwagi i pogonił dalej  
tropem spudłowanego łośia.

Wściekły, bezsilny, bardzo bliski płaczu żal chwycił Tadeu-  
sza za gardło. A przecież to był dopiero początek udreki, bo oto  
od stanowiska pana Kandyby zbliżali się do niego ożywioną i  
gwarną czeredą — bracia myśliwi!

— Panie! — krzyczał czerwony jak burak pan Staroniewicz  
— a wiesz pan, co dawniej robiono myśliwemu, który zwierza  
wypuścił z ostępu? Nie wiesz pan?

— Trudno. Spudłowałem — mruknął Tadeusz bez przekona-  
nia.

— Że spudłowałeś pan, to widzimy. Ale nie w tym rzecz,  
że pan spudłowałeś. Pudła zdarzają się najlepszym strzelcom.  
Rzecz jest w tym, że wypuściłeś pan zwierza z ostępu!

— A cóż miałem robić?

— Jakto: „cóż miałem robić”? Musiałeś pan krzyzczeć, ma-  
chać rękami, słowem zawrócić zwierza do ostępu...

Po raz pierwszy w życiu zrozumiał Tadeusz, ile jest groź-  
nej przestrogi w słowach wieszczki o myśliwcu, który zwierza wy-  
puścił z obławy. A pan Staroniewicz perorował dalej:

— Panie! Ciesz się pan, że minęły dawne czasy, gdy za ta-  
kie rzeczy dostawało się stęflem w dupę.

Henio, któremu żal się zrobiło Tadeusza, rzucił hipotezę:

— A może łoś dostał?

Milczący dotąd pan Cybulski zainteresował się i zwrócił do Tadeusza:

— A co łoś zrobił po strzale?

— Jakto — co? Nic.

— Ja się pytam, czy biegł dalej kłusem, czy zagalopował.

— Biegł kłusem.

— No to nie dostał, bo ranny łoś zawsze zagalopuje.

Smutny był dla Tadeusza powrót do Łohojska. Wóz drabiniasty trząsł po grudzie niemiłosiernie. Drugi wóz za myśliwymi szedł pusty. A jakby pięknie było gdyby na tym drugim wozie leżało bure cielsko łośia ze zwisającą w dół głową z rosochami. Jak na obrazku... (Nie — pomyślał Tadeusz — na obrazku łeb łośia zwisa z sanek, a nie z wozu).

Obiad po łowach był smutny. Humorów nie było, choć przy stole krążyły kielichy z tak cenną w epoce prohibicji „młodą starką”. („Młoda starka” nie jest pojęciem sprzecznym z logiką, lecz oznacza po prostu siedmio lub dziesięcioletnią starkę). Wprawdzie większość gości udobruchała się nieco po piątej czy szóstej kolejce — zwłaszcza zacny amfitrion pan Cybulski spoglądał na Tadeusza z życzliwym współczuciem — lecz okrutny i sangwiniczny pan Staroniewicz nie uspokajał się. Z peror jego wynikało, że wyprawa Tadeusza na łośia była w samym zarodku skazana na niepowodzenie. Że musiał mieć sztucer (sam pan Staroniewicz miał dubeltówkę). Że w ostateczności wzięwszy dubeltówkę należało wziąć nie „żakany”, które są do niczego, lecz „breneki”. Że nie wolno było w ogóle strzelać na sztych, lecz poczekać aż łoś będzie mijał stanowisko i wtedy strzelać na komorę. Że w ostateczności, skoro się zdecydowało strzelać na sztych, trzeba było mierzyć w pierś, bo kula z gładkiej lufy często od łba odskakuje. Ze...

Po dalszej kolejce pan Cybulski rozkrochmalił się ostatecznie i w porę przypomniał sobie, że wszak dnia tego nie jeden Tadeusz spudłował:

— Napadacie wszyscy na pana Tadeusza, a przecie to młody myśliwy. Po raz pierwszy w życiu strzelał do łośia i miał prawo pogorączkować się. Ale pan, panie Kandyba, stary myśliwy i żeby tak haniebnie spudłować...

Pan Kandyba mruknął coś niewyraźnie i milczkiem wychylił kieliszek. Tadeusz mógł więc przestać być figurą centralną i koźłem ofiarnym, mógł zupełnie uniknąć drwin i peror, gdyby nie palnął głupstwa pytając ni z tego ni z owego:

— Łoś szedł wprost na mnie. A co by się stało, gdybym nie strzelił? Czy w ogóle łoś rzuca się na ludzi?



— Łoś nigdy nie rzuca się na ludzi, lecz nigdy nie zbacza z drogi: zdeptałby pana jak amen w pacierzu.

Tadeusz spojrział niedowierzająco na obecnych. Odpowiedział mu grzmot śmiechu. Najgłośniej śmiał się pan Kandyba. Na razie Tadeusz nie rozumiał o co chodzi. Wyjaśnił mu to pan Staroniewicz mówiąc tonem znaczącym:

— Ach więc to dlatego pan spudłowałeś...

Była to w tym dniu chwila może straszniejsza niż pudło do łosia. Tadeusz zrozumiał, że prócz opinii pudlarza doczepiono mu opinię tchórza.

Łoś spudłowany przez Tadeusza był w świątku mińskim tematem rozmów i plotek w ciągu pół roku. Krążyły najrozmaitsze wersje. Najbardziej rozpowszechniona z nich brzmiała: „Zobaczył łosia po raz pierwszy w życiu, przeraził się i spudłował, choć strzelał jak do kopy siana”. Potem jednak potoczyły się zdarzenia wielkiej i ogólnej wagi. Zdarzenia te sprawiły, że o łosiu zapomniano.

A w dwadzieścia jeden lat później Tadeusz Iphorski-Irteński pisał:

„Wspomnienia myśliwskie są czyste, jak pierwsza porosza, mocne jak woń bahunu, słodkie jak leśne maliny. Nie są one ani złe ani dobre ani miłe. Są one tylko myśliwskie. I cóż że wtedy spudłowałem do łosia? Gdybym nie spudłował, dostałbym piękne rogi, które prawdopodobnie przepadłyby w latach 1917-1920 z tyłu innymi rzeczami — cennymi i pamiątkowymi. Dziś zamiast martwego trofeum na ścianie mam w duszy jedno z najmiłszych wspomnień myśliwskich. Dziś przymykam oczy i widzę ów „obrazek weyssenhoffowski” — łosia migającego białymi nogami ku stanowisku pana Kandyby. Mój łoś żyje. I może żyje nie tylko we wspomnieniu. Bo — kto wie — co się później stało z jego fizyczną powłoką? Może ustrzelił go kłusownik. Może niezwykle śnieżną i ostrą zimą 1916-1917 otoczyły go i pożarły wilki. Może w okresie „swobody” padł pod ciosami chłopskich wideł. Może zginął w czasie rykowiska w pojedynku z silniejszym rywalem. Może żyje jednak — sędziwy i groźny samotnik — i nosząc na łbie potwornym jakiejś potwornej wielkości łopaty snuje się po dziś dzień po borach łohojskich — kto wie...”

## Rozdział III

### DRUĆ

Na parę lat przed wybuchem wojny tygodnik petersburski „Nowyj satirikon”, zasilany najtęższymi piórami satyrycznymi ówczesnej Rosji z Teffi i Awierczenką na czele, wydał numer poświęcony wojnie przyszłości. „Wojna trwała jedną godzinę, trzydzieści sześć minut i jedenaście sekund” — tak mniej więcej zaczynał się jeden z artykułów w tym numerze. Wojna japońska wykazała bowiem niesłychane a mrozące krew w żyłach środki zniszczenia współczesnej wojny: karabiny maszynowe zwane z rosyjska kulomiotami, daleko i szybkostrzelne działa, olbrzymie pociski naładowane jakimiś „szimozami”. Bąkano też, choć nieśmiało, o łodziach podwodnych a nawet o przyszłości wojennej aparatów latających — zarówno cięższych od powietrza, jak i zeppelinów (które chyba nie wszystkie rozbiły się nad jeziorem Bodeńskim?). Pytano więc: czy wojna — jeżeli w ogóle wybuchnie — prowadzona przy pomocy tak okropnych broni może potrwać długo?

A jednak wojna trwała. Trwała już przeszło pół roku. I jak można było sądzić z samarytańskich wizyt w szpitalach wojennych, dokąd miłosierne panie nosiły żołnierzynom papierosy i słowa pociechy, bardzo duży procent rannych miał klute rany od bagnetu, jak za czasów Suworowa.

Raz jeden Tadeusz asystował pani Irteńskiej przy wizycie w szpitalu etapowym na dworcu, gdzie leżeli ranni i chorzy mający być odesłani dalej w głąb Rosji. W dość dużej i jasnej sali damy rosyjskie opiekowały się rosyjskimi dziwo-bohaterami. Pani Irteńska wstąpiła do zatłoczonej łózkami salki, do której nie zaglądały samarytanki rosyjskie. Leżeli tam jeńcy austriaccy, przeważnie nie ranni, lecz chorzy na dyzenterię czy biegunkę. Zaduch był straszny. Chorzy gorączkujący wykrzykiwali słowa bez związku po nie-

miecku, węgiersku, polsku i czesku. Jakiś Węgier wrzeszczał co kilka sekund potężnym tenorem: „Sanitäter, srać!” Ale ani sanitariuszy, ani siostr miłosierdzia nie było. Pani Irteńska szybko rozdała papierosy, zamieniła kilka słów z pierwszym z brzegu Austriakiem i wyszła z zapowietrzonej sali. Gdy mijała grupę pań rosyjskich, jedna z nich zmrzyła oczy i powiedziała:

— A więc opiekuje się pani rannymi wrogami?

Trzeba było widzieć, co się stało z panią Irteńską. Kalecząc niemiłosiernie język rosyjski zaczęła wymyślać Rosjance:

— Widzę, że pani miłosierdzie chrześcijańskie nie rozciąga się na cierpiących tylko dlatego, że noszą mundur nieprzyjacielski! Chyba jest pani poganką! Jestem pewna że nawet Żydzi (Tadeusz pociągnął panią Irteńską za rękaw)... Jestem pewna, że nawet Turcy odnoszą się z miłosierdziem do rannych nieprzyjaciół. A zresztą wśród tych rannych, którym zaniósłam papierosy, jest dużo Słowian, dla których podobno prowadzicie tę wojnę...

Tadeusz mocniej pociągnął panią Irteńską za rękaw. Machnęła ręką i zamilkła zwłaszcza, że panie rosyjskie milczały ponuro.

Wojny na godziny nikt nie obliczał. Ale obliczano na tygodnie, później na miesiące. Gdy generał brytyjski Earl Kitchener of Khartoum powiedział, że wojna może potrwać trzy lata, pomysłano, że dzielny staruszek w piątkę goni.

Pewne podniecenie wywołał pierwszy dzień wiosny, 9 marca starego stylu 1915, gdy przyszła wiadomość, że „nasze waleczne wojska zdobyły Przemyśl”. Gazety podały niesłychane cyfry zdobytych armat, sprzętu wojennego, zapasów i jeńców z generałem o czeskim nazwisku na czele. Wojska rosyjskie biły się w Karpatach. Tylko na froncie niemieckim zwycięstw nie było. Warszawa była wprawdzie wciąż w ręku rosyjskim, ale Prusy Wschodnie zostały prawie całkowicie z Rosjan oczyszczone. Optymizm nie gasł jednak. Gdyby nawet Warszawę ocalono („ze względów strategicznych”), pozostaje linia trzech fortec: Iwangorod (Dęblin). Nowogiejorgijewsk (Modlin) i Osowiec. Zdaniem strategów zajętych szpillkowaniem map twierdze te były „nowoczesne”. A gdyby jakimś cudem ta linia została przełamana, pozostaje druga linia obronna: forteca Kowno, Grodno i Brześć Litewski.

Wojna trwała. Życie na tyłach biegło normalnie. Złote ruble znikły z obiegu zaraz po wybuchu wojny, ale rubel papierowy stał mocno. Ceny na produkty pierwszej potrzeby nie drgnęły. A kawior — ziarnisty i prasowany — spadł w cenie równo o połowę, gdyż przerwany został jego eksport za granicę. Przyszła wiosna. Tadeusz pojechał do Petersburga i zdał tam prze-

pisową ilość egzaminów dla przejścia na trzeci rok prawa: z ekonomii politycznej i z historii prawa rzymskiego.

W środku maja coś się zaczęło psuć na froncie. Komunikaty kwatery głównej, czyli tzw. stawki (namiotu) wodza naczelnego w Baranowiczach, były po dawnemu pogodnie i uspakajające. Ale poczta pantoflowa, lub raczej podziemna poczta iskrowa prowadzona od wieków przez Żydów miejskich i miasteczkowych, zaczęła szeptać o cofaniu się z Galicji, a później — latem — o oddaniu Niemcom Warszawy. Po kilku dniach przyszło oficjalne potwierdzenie tej wieści. Armia rosyjska cofała się na całym froncie. Jeszcze wcześniej oddano Przemyśl, którego zdobycie tak reklamowano przed kilku miesiącami. Oddano Lwów razem z „rewindykowanymi” unitami. Nie oparła się też nowoczesna linia fortec: Iwangorod, Nowogeorgijewsk i Osowiec. Zresztą nikt tej linii bronić nie zamierzał. Żydowska poczta iskrowa coraz głośniej mówiła o braku broni i amunicji w wojsku rosyjskim. Brakło pocisków artyleryjskich i ładunków karabinowych. Brakło armat i karabinów. Po raz pierwszy przez całe społeczeństwo przebiegło syczące słowo „zdrada”. Ktoś musiał zdradzić, bo jakże inaczej mogło zabraknąć amunicji dla krwawiącej się na froncie armii? Armia rosyjska cofała się jednak w porządku i bez popłochu. W porządku opuszczono linię Iwangorod-Nowogeorgijewsk-Osowiec. W porządku porzucono linię Brześć Litewski-Grodno-Kowno. Zresztą już w roku 1812 Rosjanie pokazali, że potrafią, gdy zechcą, cofać się w porządku.

W tym czasie w.ks. Mikołaj Mikołajewicz wydał rozkaz, który mu odebrał resztki sympatii u Polaków. Według tego rozkazu cofające się wojska miały niszczyć wszystko, co pozostawiały za sobą, i jednocześnie uprowadzać przymusowo całą ludność cywilną. Setki tysięcy wygnańców zwanych „bieżeńcami”, Polaków, Litwinów i Białorusinów ruszyło na wschód. Dziesiątki tysięcy grobów, przeważnie dziecięcych, wyrosło na zboczach szlaków wygnańczych. Gdy w rok później Tadeusz jechał traktem ihumeńskim, oglądał na własne oczy co pól wiorsty po kilka skromnych zarosłych trawą mogilek z prymitywnymi krzyżami w cieniu starych brzóz, którymi trakt był wysadzony. Ponieważ był wtedy w trakcie pisania wierszy, więc napisał na temat tych skromnych krzyżyków elegię pt. „Wiosna 1916 roku”. Elegię później wydrukowała jednodniówka mińska „Siew Bellony”, ozdobiona rysunkami i winietkami Henryka Weysenhoffa.

Rozkaz Mikołaja Mikołajewicza wprowadził Polaków w stan niesłychanego oburzenia. Ponieważ zarówno w złej jak dobrej godzinie psychika polska jest nastrojona według tonacji „Polska jest pępkiem świata”, więc znalazło się wielu bardzo nawet

poważnych Polaków, którzy twierdzili, że rozkaz wysiedlania ludności i palenia wsi i dworów był wydany rozmyślnie w celu biologicznego, jakbyśmy dziś powiedzieli, wyniszczenia narodu polskiego. Rzecz jasna autorzy rozkazu nic podobnego nie mieli na myśli. Była to po prostu pierwsza próba zastosowania *scorched-earth policy*, tak konsekwentnie stosowanej w 26 lat później. Zresztą i w roku 1915 skutki tej polityki były opłakane: tysiące wsi i dworów poszło z dymem, a nawet jedno miasto, Brześć Litewski, zostało niemal doszczętnie „rozstrzelane” ogniem cofającej się artylerii rosyjskiej. Na to pocisków nie zabrakło.

Armie rosyjskie cofały się w porządku, ale nikt nie mógł zgadnąć, gdzie się zatrzymają. Kopano pośpiesznie okopy wzdłuż lewego brzegu Berezyny, co by oznaczało, że tamtędy przyszedł front będzie przebiegał i że Baćków znajdzie się po stronie rosyjskiej i o trzy wiorsty od frontu. Mówiono jednak o jeszcze dalej na wschód położonej linii obronnej — o Dnieprze. Wilno zostało oddane Niemcom jakby bez boju, chociaż w trzy lata później Tadeusz spotykał w Mińsku oficerów niemieckich, którzy mówili, że dostali krzyże żelazne „für die Schlacht von Wilno”.

Wydano jeszcze jeden rozkaz barbarzyński — spalania zapasów spirytusu w gorzelniach. Spirytus wylewano do stawów i na łąki i tam podpalano. Przed podpaleniem chłopci i chłopki starali się uratować trochę spirytusu i nabierali cennego płynu zmieszanego z mułem i błotem do czego się dało — do wiader, butelek, niecułek, nawet do czapek.

Na posiadaczy niebieskich i białych biletów padł błąd strach. Niebieskie bilety, tj. jedynaków, zaczęto powoływać do wojska bez względu na to, że byli „jedynymi żywicielami rodziny”, a białym biletom groziła ponowna i drobniarzowa rewizja lekarska. Pomysłowość ludzka nie zna jednak granic. Zanim nowe zarządzenia przybrały formę prawną, już tysiące niebieskich i białych biletów wstąpiło do pomocniczych „paramilitarnych” organizacji, w których udział zwalniał od obowiązku normalnej służby wojskowej. Wśród Polaków najpopularniejsze były „Oddziały (czy też drużyny) drogowe”. Z biegiem tygodni ilość tych organizacji rosła i stały się one wreszcie jakąś bachanalią. Mieliśmy więc „Organizację wielkiej księżny Marii Pawłówny” (organizację tę zwano żartobliwie gwardią sanitarną, gdyż jej członkowie nosili epolety niczym się nie różniące od epoletów oficerskich i mające nadto cyfrę „M.P.” z mitrą wielkoksiążącą); mieliśmy organizację opieki nad tzw. hurtami, tj. stadami krów, które również były przymusowo ewakuowane razem z ludnością; mieliśmy Związek miast i Związek ziemstw (prze-

tłumaczony przez Leo Belmonta w powieści Ałdanowa na „związek ziemian”!); mieliśmy wreszcie organizację rozciągającą pieczę nad wygnańcami, których nazywano „bieżeńcami”, a po polsku „uciekiniernami”. Nazwa była błędna, drobna bowiem część tych ludzi uszła dobrowolnie: w istocie byli to wygnańcy a nie uchodźcy. Organizacja nosiła długą nazwę „Północo-pomoc dla organizacji uchodźców frontu zachodniego”. Rosjanie, których zmysł humoru nie ustępował wtedy zmysłowi humoru u Polaków, przekreślili nazwę tej organizacji na „Północo-niemoc dla organizacji uchodźców frontu zachodniego”. Wyliczyłem tylko kilka typowych organizacji, naprawdę było ich znacznie więcej. Odnotuję jedno jeszcze curiosum. Ktoś wymyślił, że szlachta pracująca w jakiegokolwiek z owych organizacji ma prawo noszenia specjalnych złotoczerwonych naramienników. Trwały te mundury „szlacheckie” w Mińsku dość długo, zanim nie zjawił się groźny i krewki pułkownik, komendant placu miasta Mińskiego, który bezprawnie umundurowanych szlachciców zapraszał do bramy i tam bez ceremonii zdzierał z nich epolety.

Sierpień. Tadeusz Irteński przeżywał w Baćkowie chwile trwogi. Co będzie, jeżeli Niemcy zajmą Mińsk i Baćków? Może Tadeuszowi, jako będącemu w wieku poborowym, grozi internowanie przez Niemców? Wieści z zachodu były coraz groźniejsze. Żydzi w Sielibie wiedzieli o wzięciu Wilna na kilka dni przed oficjalną wiadomością i szeptem dawali do zrozumienia że z dnia na dzień czekają oddania Niemcom Mińska. Przez Baćków, który przez rok cały leżał w strefie, gdzie o wojnie niemal zapomniano, nagle powiało groźnym „tchnieniem Bellony”. Do wsi i dworu zjechał z ciężkimi wozami „park artyleryjski”. Po drodze sunęły obozy. Poczciwa dobra „gruntowa” droga koło Małego Lasku, po której jechało się lekko a bez kamiennego stuku, teraz była przemielona kołami armat, jaszczów i ciężkich wozów, konie przegzły w niej po kostki, a koła po osie. Oficerowie parku artyleryjskiego byli mili i kulturalni. Z jednym z nich, porucznikiem Pawłowem, zawarł Tadeusz krótką przyjaźń opartą na obustronnej pasji łowieckiej. Choć do sezonu jesiennego brakowało paru tygodni, zaproponował nowemu przyjacielowi zapolować z gończymi. Gdy stali na wyschłej na pieprz, a zwykle błotnistej drodze przez Starzynę — sierpień był suchy tego lata — i słuchali dalekiego gonu sześciu ogarów — nadciągnął mały oddział piechoty eskortującej jakieś wozy. Żołnierze wlekli się miętosząc ciężkimi buciskami rozmieloną drogę i z tępą ciekawością przyglądali się cywilowi i oficerowi z dubeltówkami w rękach. Jeden z żołnierzy spojrzął z ukosa na epolety Pawłowa i powiedział głośno patrząc w inną stronę:

— Panowie oficerowie z artylerii zabawiają się (*balujutsa*), a piechota za wszystko odpowiada.

Był to pierwszy zauważony przez Tadeusza przykład nie-subordynacji. Rok temu podobne odezwanie się szeregowca wobec oficera było nie do pomyślenia.

„Tchnienie Bellony” miało również aspekt akustyczny. Wystarczyło zejść z alei z miejsca, gdzie był grób stryja Ludomira, i po przejściu dwustu kroków stanąć między drzewami lasu uroczyska Makowje, aby od czasu do czasu usłyszeć jak leciutki wietrzyk z zachodu przynosi wyraźny pomruk armat.

Gdy Tadeusz słuchał tej muzyki wojennej razem z Pawłowem, zauważył, że na twarzy artylerzysty odbił się niepokój.

— Jak daleko dochodzi odgłos strzałów armatnich? — spytał Tadeusz.

— Strzałów najcięższej artylerii przy najbardziej sprzyjających warunkach atmosferycznych nie słychać dalej niż 30-40 wiorst — odparł rzeczoznawca.

(Jak się później okazało, rzeczoznawca się mylił i Tadeusz był świadkiem niezwykłego fenomenu akustycznego: strzały grzmiały gdzieś pod Baranowiczami, czyli w linii powietrznej o jakieś 200 wiorst od Baćkowa).

Tymczasem z Mińska przyjechał pan Irteński. Przyniósł groźną wiadomość o załamaniu się frontu pod Nowo-Świecianami i ukazaniu się oddziałów niemieckich na wschód od Mińska, bo aż pod Borysowem. Dopiero później się dowiedziano, że nie było to przerwanie frontu, a tylko słynny „nowoswienckij proryw” — raid kawalerii dokonanej przez niemieckich „huzarów śmierci”. Husarzy ci narobili porządnego popłochu zjawiając się istotnie w okolicach Borysowa, po czym wycofali się z powrotem na zachód.

Na razie jednak rodzina Irteńskich była mocno zaalarmowana. Po radzie familijnej, w której uprzejmi oficerowie parku artyleryjskiego brali udział z głosem doradczym, postanowiono zaopatrzyć Tadeusza w odpowiedni zapas gotówki — na wypadek dłuższego odcięcia od ogniska rodzinnego — i wysłać go koniami na wschód do stacji Stary Bychów (100 wiorst!), aby stamtąd koleją jechał do Petersburga. Wybrano taką niezwykłą marszrutę, gdyż koleje na Mińsk były zatłoczone.

Życie gospodarcze i towarzyskie Baćkowa ciążyło ku zachodowi, północy i południowi. Wschód był stroną świata, gdzie słońce wschodziło — i niczym więcej. Z czasów najwcześniejszego dzieciństwa i pierwszej młodości Tadeusza utrwaliło się w nim przekonanie, że na wschodzie — za ciemnosynym pasem

starzyn i borów — nic już nie ma i że się tam świat kończy. Los zrządził, że teraz miał poznać ten „koniec świata”.

Droga, przeważnie leśna, biegła przez Kliczew, Olsę, Czezwicze i Horodziec. W Horodźcu był nocleg w jakimś starym zajeździe. Były przesłiczne dni babiego lata. Bory, nagrzane za dnia, pachniały wieczorem żywicą, grzybami i nieuchwytnym aromatem wczesnej jesieni. Po niebie bez chmurki ciągnęły na południo-zachód, ozłoczone skośnymi promieniami słońca, kliny żurawi. Ich klangor podobny do jękliwych kurantów biegł przez czyste powietrze to zamierając, to dźwięcząc na nowo jak mickiewiczowska harmoniki sfera. A „południując” w cieniu sosen rosochatych na mchu i wrzosach przysłuchiwano się głuchym, jakby podziemnym pomrukem dalekich armat. Ten odgłos nieprzyjemny przypominał, że jest wojna i że podróż przez te bory przesłiczne odbywa się nie w celach krajoznawczych, a dlatego że „wojenka” (co za pieszczotliwy eufemizm!) wyprowadza ludzi z nagranych, pachnących myszką i suszonymi jabłkami kątów.

A las dokoła żył własnym życiem. „Obojętna przyroda jaśniała wiecznym pięknem”. Telegrafista boru dzieciół wystukiwał w próchnie osiny odwieczny, niosący dobre nowiny alfabet leśny. Jękliwie skarżył się krążący nad borem koniuch myszołów. Gdzieś bardzo daleko dźwięczał jak dzwonek gon ogarów goniących lisa czy zająca.

Późnym popołudniem pierwszego dnia podróży odbyła się przeprawa przez rzekę Druć.

Rzeka Druć... Dla dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu Polaków „Druć” zabrzmiała tylko, jak nic nie mówiąca nazwa geograficzna. A szkoda. Druć jest właśnie dla Polaków rzeką godną zapamiętania. Linią bowiem tej rzeki biegła granica pierwszego rozbioru (1772). Dalej na zachód nie śmiały jeszcze wdrzeć się szpony Katarzyny II. Zabrała tylko spory szmat tych ziem między Drucią i Dnieprem. Zabrała oczywiście nie w celach imperialistycznych, lecz dla oswobodzenia ludności nękaną przez „jarzmo polskie”, no i dla celów strategicznych. Była więc Druć pierwszym cofnięciem się Rzeczypospolitej Obojga Narodów z reduty dniewrowskiej na zachód. I była Druć pierwszą w dziejach Polski — osiemnastowieczną — „linią Curzona”.



## Rozdział IV

### PIERWSZE ZJAWIENIE SIĘ WITOLDA DUSIACKIEGO-RUDOMINY

Gdyby historią rządziła logika, lub — ściślej — gdyby istniał, jak nas uczą historycy, których historia niczego nie nauczyła, logiczny związek przyczynowy między zdarzeniami historycznymi, rewolucja rosyjska powinna była wybuchnąć o półtora roku wcześniej, tj. w końcu lata lub na początku jesieni roku 1915-go. Może zresztą działała tu jakaś *delayed action*, jak mi na wybuchająca w wiele godzin lub nawet dni po jej założeniu\*.

W każdym razie dynamit pod rewolucję 1917 został założony 1 sierpnia 1914 roku, a lont podpalony jesienią 1915 po niepowodzeniach oręża rosyjskiego latem tego roku. Cóż z tego, że pomimo niezdarów na wyższych stanowiskach wojskowych żołnierze bili się dzielnie i że się cofnęli o kilkaset kilometrów na wschód nie tylko bez paniki, ale we wzorowym porządku? Porażka spowodowana bądź niedołęstwem, bądź „zdradą” była oczywista. Z ław poselskich Dumy państwowej, od czasów Stołypina tak ugodowej i potulnej, i z foteli, w których zasiadali wierni tronowi starcy w Radzie państwa, zagrzemiały głosy krytyki i oburzenia. Po raz pierwszy od dnia wybuchu wojny rozległ się i rozaczał coraz szersze kręgi pomruk o „ciemnych siłach”. A tymi „ciemnymi siłami” byli: Rasputin, o którym głucho było w ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy wojny, i różni „nieodpowiedzialni” zausznicy przy dworze.

Krytykowano nie armię, nawet nie pechowego w.ks. Mi-

---

\* Prof. Geоргij Katkow z Oxfordu jest zdania, że w styczniu i lutym 1916 roku czyli na rok przed wybuchem rewolucji, robotnicy petersburscy byli tak rozagitowani przez bolszewików (za pieniądze niemieckie), że Rosja była na krawędzi rewolucji. Rewolucja nie wybuchła jednak, gdyż robotnicy — choć rozagitowani — byli rozbici politycznie i zdeorientowani.

kołaja Mikołajewicza, lecz rząd i dwór. Plotka węszyła szpiegów na najwyższych stanowiskach — i nie w armii, lecz w Petersburgu i Carskim Siole. Cesarz, lub raczej jego doradcy skandalizowali „gniew ludu” (właściwie był to gniew inteligencji) w sposób dość prosty. Przepędzono ministra wojny Suchomlinowa za zaniedbanie zaopatrzenia armii w broń i amunicję. A jeszcze wcześniej znaleziono kozła ofiarnego w osobie pułkownika Miasojedowa, którego sądzono za zdradę i powieszono w cytadeli warszawskiej. Wreszcie usunięto Mikołaja Mikołajewicza ze stanowiska wodza naczelnego i wysłano go na dowódcę frontu kaukaskiego. Usunięcie Mikołaja Mikołajewicza, popularnego mimo niepowodzeń wojennych w armii i kraju, było zresztą robotą carowej (Rasputina), która bała się, że Mikołaj Mikołajewicz dokona przewrotu pałacowego i wsadzi ją do klasztoru.

Naczelne dowództwo objął sam cesarz. O ile powieszenie „zdrajcy” Miasojedowa i dymisja Suchomlinowa trochę uspokoiły opinię publiczną, o tyle objęcie naczelnego dowództwa przez cesarza, który oczywiście miał jeszcze mniej od stryja kwalifikacji na wodza, wywołało powszechną konsternację. Czy dobrze czyni cesarz biorąc na swe barki nie tylko ciężki trud, ale i odpowiedzialność za dalszy przebieg wojny, a więc za możliwe porażki? — pytali ludzie jak najwierniejsi tronowi. Ale i pesymiści nie przeczuwali wtedy najgorszego: że stały pobyt cesarza w „namiocie” naczelnego wodza w Mohyłowie odda rządy stolicą i państwem w ręce nieoficjalnej „regentki” cesarzowej Aleksandry Fiedorówny osoby bardzo ograniczonej, histeryczki, otoczonej w Carskim Siole bandą karierowiczów, mistyków, łobuzów lub niedołęgów.

Petersburg mało się zmienił. Tyle tylko, że na ulicach spotykało się dużo „bieżeńców” i język polski słychać było wszędzie. Gdy przyszły dni chłodne i Polacy ubrali się w bekiesze, nie goniły ich już okrzyki „futyryści”, jak przed wojną, a tylko pełne współczucia szepty: „bieżeńcy”.

Patriotyzm pierwszego roku wojny, nazwany później przez poetkę Marinę Cwietajewą „wołowym patriotyzmem”, przygaśł. Koledzy Tadeusza — Rosjanie, którzy rok przedtem zapowiadali solennie, że wstąpią do wojska jako ochotnicy, jakoś po dawnemu nosili mundury studenckie. „Romantyzm” wojenny ulotnił się bez reszty. I jaki tam mógł być romantyzm, skoro się widziało rekrutów Izmajłowskiego pułku ćwiczących publicznie na Rotach z pałkami w ręku zamiast karabinów.

— No, mogliby przynajmniej dla oka wytrzasnąć kilkaset starych berdanek, a nie kompromitować się na oczach stolicy wy-

machując tymi kijami — mówił Toluś Rusiecki, gdy szli z Tadeuszem do Kuchni studenckiej.

W Kuchni było tłoczniej i gwarniej niż zwykle. Przy tych lub innych stolikach zbawiano Polskę po dawnemu, ale dyskusje strategiczno-wojenne wyszły z mody. Wojna najwyraźniej zaczynała wszystkich nudzić. Zjawiało się sporo nowych twarzy. świeżo upieczeni studenci, a wśród nich ci, co w trybie ułatwionym i przyspieszonym ukończyli gimnazja wileńskie. Wtedy to Tadeusz Irteński spotkał się po raz pierwszy z Witoldem Dusiackim-Rudominą.

Zjawienie się Wicia Rudominy przezwanego Rudym, choć włosy i oczy miał ciemne, poprzedziła legenda. Zdolny, bystry i dowcipny miał wstąpić do nauki, pracę uważał za najcięższą karę Boską i już w latach bardzo młodych lubił karty, miał pociąg do kieliszka i lgnął do towarzystwa starszych od siebie. Lubiano go powszechnie, na giełdzie bowiem walorów ludzkich wesołe usposobienie i dowcip są bardzo poszukiwane. Na wiosnę 1913 roku pozostał na drugi rok w 8-ej klasie gimnazjum Winogradowa w Wilnie. Na wiosnę 1914 miał znów złe stopnie za rok ubiegły, więc groziło mu wydalenie z gimnazjum, przepisy bowiem nie pozwalały na pozostawanie w jednej klasie dłużej niż dwa lata (w przeciwieństwie do czasów dzieciństwa Wiktora Gomulickiego, gdy w pierwszej klasie siadywali przez szereg lat wąsale obok dzieciuchów). Ale od czego stosunki. Rudy miał w Petersburgu wpływowych kuzynów, którzy znaleźli „chody” do wszechwładnego a osławionego ministra oświaty Kasso. Ten Kasso był to taki sobie rosyjski Jędrzejewicz w dziesiątej potędze: zniweczył marne resztki autonomii uniwersyteckiej, a w okręgach szkolnych, do których należały gimnazja, rządził się jak we własnych folwarkach.

Gdy więc kuzyni czynili w Petersburgu starania o zezwolenie na pozostawienie Rudego na trzeci rok w ósmej klasie, on co czas pewien wpadał do kancelarii gimnazjalnej, aby się dowiedzieć, czy nie przyszła decyzja z Petersburga. W czasie jednej z takich wizyt natknął się na nauczycielkę języka francuskiego, starą pannę, która go bardzo nie lubiła za różne kawały urządzane na jej lekcjach. Dziewica zmrużyła oczy i spytała zjadliwie:

— No cóż, Rudomina, pozostaliście na trzeci rok w ósmej klasie?

— A pani wyszła zamąż? — odpowiedział pytaniem.

Działo się to w tzw. pokoju nauczycielskim w obecności paru kolegów „Francuzki”, która była zresztą Rosjanką. Zagryźli wargi oceniając odpowiedź Rudego, ale pomyśleli, że ma on nie większe widoki na pozostanie na trzeci rok w ósmej klasie, niż

„Francuzka” na zamążpójście. Pozostanie bowiem na trzeci rok w jakiegokolwiek klasie zdarzało się bardzo rzadko, np. z powodu choroby. W wypadku Rudego nie było żadnej racji do zastosowania niesłychanego w dziejach szkolnictwa wyjątku.

Stał się cud. Do gimnazjum Winogradowa przyszedł „papier” z podpisem ministra Kasso zezwalający na pozostawienie Rudominy na trzeci rok w ósmej klasie „w drodze wyjątku”. Wobec postrachu, który rzucało na personel nauczycielski samo brzmienie nazwiska „Kasso”, można sobie wyobrazić, jak wyglądał trzeci rok studiów w ósmej klasie pupilka tak potężnego protektora. Rudy przychodził do szkoły z wielkim opóźnieniem, albo wcale nie przychodził. Nieraz po nocy spędzonej na kartach lub wypicie drzemał na pierwszych lekcjach. Nauczyciele prawie nigdy go nie wyrwali i stawiali mu stopnie niejako automatycznie. Największy kłopot miał z nim ksiądz prefekt wykładający w ósmej klasie historię kościoła. Ksiądz ten był na ogół popularny. Umiał ruszać czupryną i uszami i stąd miał, jak twierdzi Stanisław Mackiewicz („winogradowiec”) wielki autorytet wśród uczniów. Otóż ksiądz prefekt uparł się, aby Rudego wyrwać.

— A teraz — mówił z uśmiechem — Rudomina nam opowie, co wie o listach św. Ireneusza.

— Nic nie opowiem — odparł Rudy — bo nie mam zwyczaju czytania cudzych listów.

Taka lub podobna odpowiedź kończyła się wyrzuceniem Rudego z klasy. Czasem jednak bywał na lekcjach religii ożywiony i sam prowokował gniew prefekta. A więc np. podnosi rękę.

— Aa! — mówi uradowany ksiądz — widzę że nasz niedowiarek *pan* Rudomina ma jakieś pytanie. Proszę, proszę...

— Chciałem tylko zapytać, czy papież ma prawo jeździć na welocypedzie.

— Precz z klasy, durniu jeden! — woła czerwony z oburzenia prefekt.

Szczególny był stosunek Rudego do kolegów w czasie tego trzeciego roku studiów w ósmej klasie. Większość jego starych kolegów i przyjaciół przeszła już na drugi rok uniwersytetu. Nowych kolegów uważał za „małyszów”, z którymi nic go nie łączyło. Ale stało się, że tych nowych kolegów ogromnie interesował „starszy pan” z ciemnym przystrzyżonym wąsikiem pod nosem, zaspany lub drzemiący na ostatniej ławce. Pociągała ich nie tylko ciekawość: imponowało im, że mają taki okaz w klasie. To też jakby się zmówili, a może naprawdę się zmówili, i codzień przed pierwszą lekcją, lub jeśli Rudy przyszedł z opóźnieniem, na pauzie po pierwszej lekcji podchodzili kolejno podając mu rękę. Stało się że tego roku spory procent uczniów w klasie sta-

nowili Żydzi. Rudy nie był antysemitą, lub może był nim tylko o tyle, o ile nim jest podświadomie każdy nie-Żyd. Tak czy inaczej te uściski kilkudziesięciu rąk wykonywane jak rytuał każdego dnia w końcu go zirykowały. Uznał je za prowokację. Pewnego dnia po ostatnim dzwonku przed drugą lekcją, gdy w klasie zapanowała cisza, powiedział gromkim głosem:

— Panowie! Ja jestem jeden, a was w klasie jest trzydziestu kilku. Zrozumcie więc, że nie mogę witać się z każdym z was uściskiem dłoni. Poproszę więc, abyście mnie witali tylko ukłonem, a ja wam będę odpowiadał z daleka lekkim kiwnięciem głowy.

To „lekkie kiwnięcie głowy” oburzyło klasę do tego stopnia, że na razie zapanowała głucha cisza. Wrzawę, która wreszcie wybuchła, uciszyło dopiero wejście do klasy nauczyciela. Ale po wielkiej pauzie Rudominę wezwano do inspektora. Z ironicznych uśmieszków kolegów domyślił się, że byli u inspektora ze skargą.

Inspektor Kraskowski — wielki liberał, który ponadto stojąc na czele administracji prywatnego gimnazjum musiał się specjalnie liczyć z opinią miejscowego społeczeństwa żydowskiego — wpadł ostro na Rudego wymyślając mu od „ludzi o feudalnych przesądach”, których nie ścierpi w gimnazjum, choćby mieli protekcję samego pana ministra. Rudomina wysłuchał nagany spokojnie, a potem odpowiedział:

— Audiatur et altera pars, Iwanie Ignatjewiczu! Nie bardzo rozumiem, dlaczego nazywa mnie pan człowiekiem o feudalnych przesądach. Jeżeli chodzi o to, co dziś zrana powiedziałem w klasie, to byłem jak najdalszy jakichkolwiek, feudalnych czy innych, przesądów. Chodziło mi wyłącznie o względy higieny. Przecie to bardzo nie higienicznie ścisnąć codziennie rękę kilkudziesięciu ludzi.

— A więc tylko o higienę chodziło? — spytał inspektor niedowierzająco.

— Wyłącznie o higienę, Iwanie Ignatjewiczu.

Czy i co powiedział inspektor kolegom, którzy się skarżyli, tego Rudy nigdy się nie dowiedział. Ale tegoż dnia po ostatniej lekcji jeden z nich podszedł do Rudego i w głuchej ciszy oznajmił uroczyście:

— Wobec wysoce niekoleżeńskiego zachowania się pana, klasa upoważniła mnie do zakomunikowania, że ogłasza bojkot pana do końca kwartału.

Rudy odparł również uroczyście:

— Dziękuję panom. Mam tylko jedną prośbę: proszę o łaskawe przedłużenie bojkotu do końca roku szkolnego.

Jeżeli Rudomina był antysemitą, to antysemityzm jego był szlachecki, a więc poczciwy, z lekka drwiący i polegający głównie na nazywaniu Żydów „Żydkami”, choć się w duszy tych „Żydków” lubiło. W ciągu tego roku Rudomina był jednak świadkiem antysemitckiego wybryku innego gatunku. Trwał pierwszy rok wojny. Cesarz odwiedzał miasta zachodnie, „odprowadzał” oddziały udające się na front, rozdawał ikony „żołnierzynom”. Przyszła kolej na Wilno. Cała droga od dworca do pałacu generał-gubernatora była ustawiona gęstymi kordonami gimnazystów, realistów i uczniów innych szkół średnich. Rudomina stał obok jednego ze swych przyjaciół de Rosseta, zwanego Bebusiem. Panował mróz siarczysty. Przyjazd cesarza opóźnił się i gimnazjści marzli w lekkich szynelach. De Rosset miał w kieszeni paltą płaską flaszkę wódki. Od czasu do czasu wymykał się z kordonu, wbiegał do bramy, gdzie pociągał parę łyków dla rozgrzewki, po czym wracał do kordonu, a Rudy z kolei brał flaszkę i biegł z nią do bramy. Cesarz wciąż nie nadjeżdżał i te wypadki do bramy powtórzyły się z pięć razy, aż pustą flaszkę ciśnięto w śnieg.

De Rosset był rozgrzany nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Zaczął się irytować. Ofiarą irytacji padł jakiś młody Żyd, który stojąc z tyłu za kordonem wciąż naciskał na Bebusia.

— Proszę nie napierać! — mówił Bebuś groźnie.

Żyd przepraszał, ale nie mógł nie napierać, gdyż gęsty tłum naciskał go z tyłu.

Irytacja Bebusia wciąż rosła, gdy nagle jak iskra elektryczna przebiegła wieść: „Jedzie!” Pokazał się jeden samochód otwarty z marszałkiem szlachty, z panem Aleksandrem Lubańskim i z innymi cywilami na czele. Potem drugi z gubernatorem. Potem trzeci z generałami. Wreszcie zjawił się samochód z cesarzem. Na widok cesarza Bebusia ogarnął szal. Cisnął czapkę w śnieg, wyrwał się z szeregu, padł na kolana i wrzasnął nieludzkim głosem:

— Ura, ура, ура!

Czyn Bebusia był tak rzucający się w oczy, że sam cesarz go zauważył i z uprzejmym uśmiechem przyłożył palce do barankowej czapki wojskowej.

Gdy samochód cesarski minął, Bebuś wstał z klęczek, spojrzął dokoła błędnym wzrokiem, a potem odwrócił się gwałtownie i trzasnął w twarz nieszczęsnego Żyda, który poprzednio „napierał” na niego. Tym czynem chciał przypiecztetować wierноподдаńczy zachwyty wywołany spotkaniem się oko w oko z Majestatem. Niestety tłum nie zrozumiał subtelnego uczucia Bebusia. Nie tylko minęły czasy antysemitycznych wybryków, ale —

jak wspomniałem — głąskano Żydów na równi z Polakami. To też nieoczekiwany wybryk de Rosseta nie mógł ująć mu płazem. Zebrała się gęsta gromada żądając wezwania policji. Zjawił się rewirowy, który po wysłuchaniu skargi poszkodowanego i świadków zwrócił się do Bebusia:

— Jakże to pan gimnazysta mógł się dopuścić czegoś podobnego?

Bebuś miał jednak przygotowaną obronę i wpadł na rewirowego:

— A pan wie z kim pan mówi? Należałem do ochrony uświęconej osoby cesarza pana (*swiaszczennoj osoby gosudaria*) i broniłem jej od naporu tłumu. A to oto indywiduum — tu wskazał palcem biednego Żyda — tak napierało na mnie, że ledwie mogłem utrzymać linię kordonu.

Te słowa wywarły wielkie wrażenie na rewirowym. Widząc po twarzach zebranych, że i na nich słowa te nie przeszły bez wrażenia, oznajmił krótko „Proszę się rozejść”, po czym oddał się.

O ile antysemityzm Rudego był dobroduszny i nie groźny, o tyle w wybryku Bebusia kiełkowały już ziarna przyszłego państwa i innych ideologii endeckich.

W maju rozpoczęły się egzaminy maturalne. Odbywały się w nastroju szczególnego podniecenia i niepokoju, przy czym odwróciły się normalne role. Podnieceni i niespokojni byli nauczyciele. Armie rosyjskie rozpoczęły odwrót z Karpat. Coraz głośniejsz mówiono o ewakuacji Królestwa Polskiego. W drugą linię obronną Kowno-Grodno-Brześć Litewski nikt jakoś nie wierzył. Zresztą granica pruska była nie za górami. Szeptano więc o możliwej ewakuacji Wilna.

Gimnaziści byle też podnieceni, ale nie z powodu egzaminów, lecz z racji ogólnego nastroju niepokoju i wyczekiwania. Jedni marzyli o jak najrychlejszym wyjeździe do miasta uniwersyteckiego, drudzy — o wiele mniej liczni — o wstąpieniu do szkoły oficerskiej zaraz po zdaniu matury. Już wprowadzono przyspieszone kursy w tych szkołach i junkrzy dostawali stopień praporszczyka (chorążego) po trzech miesiącach. Wśród tych amatorów wojenki rej wodził dawny kolega Rudego Pławski, syn urzędnika akcyzy z Lepla gubernii witebskiej, któremu rok przedtem groziło pozostanie na drugi rok w ósmej klasie, porzucił więc studia gimnazjalne i wstąpił na ochotnika do jednego z pułków kawalerii. Teraz był na urlopie i w mundurze z naszywkami ochotnika i z krzyżykiem św. Jerzego na pierśi paradował po Cieleńniku i Świętojerskim z czapką zuchowato przechyloną na jedno ucho i z puklem blond włosów ster-

czących po kozacku nad drugim uchem. Otoczony gromadą wpatrzonych w niego jak w tęczę gołowących gimnazystów opowiadał im cuda o swych wyczynach bojowych.

— Szliśmy na Niemca ławą — opowiadał o jakiejś bitwie, której prawdopodobnie nigdy nie było — Rozumiecie? szliśmy ławą...

A gimnaziści słuchali z dreszczem i z otwartymi ustami zafascynowani nieznanym a pięknym słowem „ławą”.

Pławski mówił przesadnie głośno, aby go słyszeli nie tylko towarzyszący mu chłopcy, ale i dziewczęta zazywające przechadzki po Świętojerskim przy niedzieli i cieplej pogodzie. Od czasu do czasu rzucał na te dziewczęta spojrzenia zabójcze z ukosa, przy czym lewą ręką brał się za temblak szabli a prawą podczesywał do góry zawadiacki „czubczyk” kozacki. Rudomina też nie odstępował Pławskiego dowiedziawszy się że ten przywiózł z zaprzyjaźnionego oddziału sanitarnego cztery garnce spirytusu. Treścią przechwałek eks-kolegi nie bardzo się przejmował, ale słuchał i obserwował ruchy Pławskiego uważnie. Odtąd wszelkie objawy kokieterii męskiej polegające na wymownych spojrzeniach, uśmiechach, mrużeniach oczu i tp. „popisywaniu się” nazywał „robieniem Pławskiego”. W wiele lat później zdarzało się, że gdy Tadeusz rozpoczął flirt z jakąś panią czy panienką i mimo woli przybierał te lub inne tokujące pozy, Rudy obcinał go syczącym szeptem:

— Nie rób Pławskiego!

Egzaminy maturalne odbywały się w podnieceniu i gorączce. I ciało pedagogiczne i uczniowie byli pewni, że wszyscy ośmioklasiści dostaną matury. Szeptano nawet, że przyszło z Petersburga zarządzenie, aby egzaminów w ogóle nie było i aby matury wydawać maturzystom na podstawie stopni rocznych. Pogłoska nie sprawdziła się jednak i do egzaminów przystąpiono.

Rudomina przejmował się egzaminami mniej od innych. Nieraz przychodził na egzamin z niecznośnym „katzem” po wieczorze spędzonym z Pławskim i po wypiciu niezliczonych kolejek sanitarnego spirytusu rozcieńczonego „szpanką” bezalkoholową Szustowa. (W owym okresie prohibicji wszystkie rosyjskie browary i wytwórnie wódek przeszły na wyrób różnych kwasów, np. żurawinowych zwanych „klukwą” i cytrynowych zwanych „sitro”, oraz bezalkoholowych „likierów”).

Każdy egzamin Rudego miał jednakowy przebieg. Ponieważ gimnazjum Winogradowa było prywatne, więc obok pięciosobowej komisji egzaminacyjnej zasiadał przedstawiciel kuratorium okręgu szkolnego. Skoro tylko wezwano Rudego, dyrek-



tor pan Prawosudowicz zwracał się do urzędnika kuratorium i coś mu mówił szeptem. Należy domyśleć się, że informował go, że egzaminowany jest protegowany ministra Kasso. Przedstawiciel kuratorium kiwał głową, odwracał się na krześle półbokiem do stołu i zagłębiał się w gazetę. W odpowiedzi na pytania egzaminatorów Rudy plótł mniej lub więcej bez sensu, aż przewodniczący komisji, tj. dyrektor gimnazjum uznał, że zadano tyle pytań, ile nakazywała przyzwoitość, i mówił sakramentalne: *Sadities*. Tylko egzamin z geografii porównawczej miał trochę inny przebieg.

— Jakie znacie wyznania religijne w Rosji? — pyta dyrektor.

— Są prawosławni. Również katolicy. Żydzi też...

Dyrektor zmarszczył się:

— Żydzi są narodowością, a nie religią. Trzeba mówić: wyznania mojżeszowego.

Rudomina kiwnął głową na znak zgody.

— Jakie znacie jeszcze wyznania? — pytał dalej dyrektor.

— Turcy.

— Turcy są narodowością, a nie wyznaniem. Mówi się: wyznania muzułmańskiego.

Rudomin znów kiwnął głową.

— Gdzie głównie mieszkają muzułmanie?

— W piekarniach.

(W wielu miastach imperium rosyjskiego piekarnie i ciastkarnie były prowadzone przez Turków w fezach, byłych jeńców wojennych lub ich potomków).

W tym miejscu dyrektor nie mógł się wstrzymać od uśmiechu, a przedstawiciel kuratorium odłożył gazetę i zaczął się z ciekawością przysłuchiwać egzaminowi.

Dyrektor obiegił wzrokiem członków komisji, jakby pytając, czy można uznać egzamin za skończony, czy też może któryś z panów członków chciałby zadać pytanie. Nauczyciel geografii, który uchodził za czarnosecińca i lubił złośliwe kawały, podniósł palec wskazujący na znak że chce pytać.

— Mówiliście, Rudomina, o religiach — powiedział — może więc nam wyjaśnicie, jaka jest różnica między prawosławiem a katolicyzmem?

— Katolicy wierzą w papieża, a prawosławni nie wierzą w papieża.

— A więc wy, Rudomina, jako katolik, wierzycie w papieża?

— Tak jest. Wierzę, Aleksandrze Sawiczu.

— Wspomnieliście też o muzułmanach. Może nam powiecie, co jest istotą religii muzułmańskiej?

— Nie wolno im pić wina.

— Wobec tego prawdopodobnie nie chcielibyście być muzułmaninem?

— Istotnie nie chciałbym, Aleksandrze Sawiczu.

Egzamin został zakończony wesoło i ku ogólnemu zadowoleniu.

## Rozdział V

### NA FRONCIE ZACHODNIM

Jak się okazało trwoga jesienna, która pchnęła Tadeusza Irteńskiego w podróż z Baćkowa do Petersburga przez Stary Bychów, nie była uzasadniona. Front zastygł pod Baranowiczami o 150 wiorst na zachód od Mińska i miał tak trwać przez bezmała dwa i pół roku. Koleje chodziły normalnie. Tyle tylko, że teraz „wagon miński” szedł z Petersburga nie przez Wilno i Nowowilejkę, ale przez Orszę, no i że znikł wagon z tabliczką „Pietrograd-Lwow”. W początku grudnia Tadeusz wracał do Mińska z uczuciem niepokoju, roztrwonił bowiem w ciągu czterech miesięcy większą kwotę, którą był dostał na wypadek dłuższego odcięcia od ogniska rodzicielskiego tj. źródeł pieniężnych. Trwoga pierzchła jednak, gdyż pan Irteński wzruszył tylko ramionami i powiedział z przekąsem:

— Widzę, że w ciągu tych czterech miesięcy studiowałeś bardzo intensywnie.

Mińsk zmienił się bardzo. Wprawdzie po dawnemu wracającego ze stolicy młodzieńca raziły pokrzywione chałupy przedmieść i brzydkie kamienice śródmieścia, ale znikła „konka”, czyli tramwaj konny, aby dać więcej wolnej przestrzeni skaczącym po kocich łbach wojskowym autom i ciężarówkom. Jeśli nie liczyć starszych panów i dzieci, na ulicach prawie nie było cywilnych. Cywilny strój Tadeusza zwracał uwagę i nieraz był zapraszany do bramy przez patrol żandarmerii dla obejrzenia dowodów osobistych.

Gimnazjum rządowe ewakuowano w głąb Rosji. Szesnastoletni Kazio chodził teraz do prywatnego gimnazjum Zubakina i Falkowicza. Gmach gimnazjum rządowego przy ulicy Gubernatorskiej został zajęty pod kwaterę sztabu generała Ewerta, dowódcy frontu zachodniego. Niemal we wszystkich większych

mieszkaniach zarekwirowano pokoje dla oficerów. W jednym z pokoiw mieszkania państwa Irteńskich zainstalował się kapitan kontrwywiadu Kleigels, syn osławionego Kleigelsa warszawskiego. Poza tym mieszkania prywatne i hotele pęczniały od „uciekierów”: z Królestwa, z Grodzieńszczyzny, z Wileńszczyzny. Znikło — „ewakuowało się” — „Akwarium” i lokal jego zajęto pod biura wojskowe. Znikł więc przybytek luksusowej prostytucji. Popyt na nią zwiększony wskutek niemal dwukrotnego powiększenia się ilości męskich mieszkańców miasta Mińska — był zaspokajany przez rozluźnienie obyczajów oraz instytucje siostr miłosierdzia.

Mińsk robił wrażenie miasta okupowanego, przy czym była to okupacja zarówno wojskowa, jak cywilna. Autochtoni — odsunięci na dalszy plan — znikli w masie nowych twarzy i mundurów. Bo mundury panowały wszędzie: w restauracjach, w klubie, w kawiarniach, na „żurkach” prywatnych. Oczywiście przeważały mundury oficerów „nieprawdziwych” tj. noszących epolety pracowników różnych organizacji „paramilitarnych”: Czerwonego krzyża, Oddziałów drogowych, Związku ziemstw i miast i wielu, wielu innych. Wszystkich tych pseudooficerów ochrzczono wkrótce mianem „ziem-huzarów”, co było tym trafniejsze, że wielu z nich przyczepiało sobie ostrogi do butów i nosiło kupowane za drogie pieniądze okrutne szable z kaukaskimi klingami. Tadeusz był świadkiem, jak na jakimś „żurku” kilku ziem-huzarów narodowości polskiej chwaliło się posiadaniem klingami chełpiąc się giętkością stali. Do rozmawiających podszedł Staś Eynarowicz z Grodzieńszczyzny, kuzyn Tadeusza. Pracował też w jakiejś organizacji pomocniczej i nosił szablę przy boku.

— Wasze klingi to tandeta — powiedział — popatrzcie na moją.

Wyjął szablę z pochwy i oburącz zgiął klingę w pałąk, aż koniec ostrza dotknął rękojeści. Wszyscy wstrzymali oddech z podziwu. A Staś opuścił jedną rękę a drugą podniósł szablę do góry. Pałąk pozostał.

Staś Eynarowicz, brat jego Wincenty, dwaj bracia Siehniowie i Bohdan Zalułyński, o którym będzie jeszcze mowa w tej opowieści — wszyscy ziemianie z Grodzieńszczyzny — należeli do „elity” wygnańców, gdyż udało się im nabrać skarb rosyjski na milionowe sumy tytułem odszkodowania za zniszczenia wojenne. Jak już wspominałem w ks. Mikołaj Mikołajewicz wydał w końcu lata 1915 roku rozkaz przymusowej ewakuacji ludności i niszczenia wszystkiego, czego nie można było wywieźć na wschód. „Akty” czyli protokoły intendenckie sporządzano na prędce przy kieliszku i z wręczeniem intendento-

wi łapówki. W ten sposób do protokołu wpisywano np. sumę kilkunasztu tysięcy rubli (jeszcze dobrych!) za zniszczenie studni artezyjskiej, której w ogóle nie było, lub za spalenie budynku, który albo nie istniał albo nie był spalony. W rezultacie każdy z wyżej wymienionych ziemian dostał gotówkę z intendentury po parę milionów rubli. Z polskiego punktu widzenia nabranie skarbu rosyjskiego mogło ostatecznie ująć nawet za czyn patriotyczny. Niestety, była inna strona medalu. Władze rosyjskie po wypłaceniu odszkodowania tym pięciu osobom poważnie nadwyreżyły budżet państwowy. Przyszedł więc rozkaz wstrzymania dalszych wypłat. Tysiące ludzi gorzej sytuowanych i bardziej przez zniszczenia pokrzywdzonych, niż owa piątka, nie otrzymali ani grosza odszkodowania i musieli albo ciężko pracować, albo iść do wojska (lub organizacji „paramilitarnej”), albo żyć z pomocy społecznej. A wielka piątka ciskała sturublówkami, grała na giełdzie petersburskiej, kupowała sztabki złota, funty lub dolary, no i pędziła życie bardzo szerokie i wesołe. Takie życie w ciężkim okresie wojennym było oczywiście czymś bardzo „społecznym” i tkwiło solą w oku uspołecznionych patriotów zgrupowanych dokoła Towarzystwa rolniczego, Towarzystwa pomocy ofiarom wojny i tworzącej się — zrazu nieoficjalnie — Polskiej rady ziemi mińskiej. O pięciu szczęśliwych dzentelmenach mówiono bardzo źle. Ponieważ jednak ludzie są ludźmi a miliony są milionami, więc mówiono o nich źle tylko za oczy, w oczy natomiast podlizywano się im w sposób bezwstydnny i bezinteresowny. Bezinteresowny, gdyż tak się zdarzyło, że wszyscy ci panowie mieli z natury węża w kieszeni i — hojni, gdy chodziło o ich własne potrzeby lub rozrywki — niechętnie rozstawali się z pieniędzmi.

Front zastygł pod Baranowiczami. Wojna z manewrowej stała się pozycyjną. W Mińsku zaczęła się nuda tyłów. Rozrywki były bardzo nieurozmaicone: „żurki”, gra w karty, rzadziej pijaństwo. „Żurki” były z natury rzeczy nudne jak flaki z olejem. Sztuka kinematograficzna stała wtedy na dość niskim poziomie i kino było rozrywką dla gustów prymitywnych. Do kina chodziło się normalnie z panią lub panienką, aby ją po ciemku poszczypać. Za to w karty — prawie wyłącznie w gry hazardowe — grano zawzięcie, niemal od wczesnego rana, w klubie, w numerach hotelowych, w domach prywatnych. Urzędnicy intendentury lub oficerowie związani z tymi lub innymi kasami wojskowymi wprowadzili modę bardzo grubej gry: nieraz minimalną stawką była „katarzynka” tj. sturublówka z wizerunkiem Katarzyny II, a nawet „piotruś” tj. pięćsetrublówka z

wizerunkiem Piotra I. Ponieważ szczęście w kartach nie zawsze dopisywało, a pieniądze były bardzo potrzebne, więc zdarzało się, że ten lub ów gracz z gatunku zdeterminowanych uciekał się do „nakładki”, tj. trzymając bank w grze w chemin de fera lub bakarata *nakładał* na talię zawczasu przygotowaną serię odpowiednio ułożonych kart. Czasem szulera łapano na nakładce. Dziewiętnastowieczny zwyczaj bicia szulerów wyszedł już był z mody, ponieważ zaś przyłapano na oszustwie był zwykle w mundurze, więc sprawę tuszowano i tylko unikano gry z szulerem. Zwykle taki szuler starał się o przeniesienie do innego miasta — Witebska, Kijowa lub Mohyłowa i tam próbował szczęścia.

Pijaństwo było utrudnione z powodu obowiązującej prohibicji. Wypitki jednak zdarzały się, gdyż w wielu ziemiańskich domach były jeszcze zapasy starki i win, można było również dostać garniec lub dwa spirytusu od zaprzyjaźnionego personelu szpitalnego lub sanitarnego, a w ostateczności dostawało się od przyjaciela lekarza receptę na 100 gr. winnego spirytusu — na kompres.

Jak wspomniałem ludność miasta Mińska wzrosła niemal podwójnie, przy czym olbrzymią część przyrostu stanowili mężczyźni. Kobiety więc były na wagę złota. Powodzenie miały nawet straszdyła, które normalnie skazane były na staropanieństwo albo pisanie wierszy lub powieści.

Na początku jesieni 1915, gdy Tadeusz był w Petersburgu, nad Mińskiem zjawił się zeppelin. Nie zrzucił żadnej bomby, ale napędził strachu. Wprowadzono więc przepisy „blackoutowe”. Zaciemnieniu mińskiemu daleko było do szczelności „blackoutu” obowiązującego w czasie ostatniej wojny w Londynie. Czarny „kumacz” na oknach przeświecał tu i ówdzie. Ale za to latarni ulicznych w ogóle nie zapalano, co było na rękę oszczędnej gospodarce miejskiej. Nadto obowiązywał przepis, że w razie alarmu światła wewnętrzne muszą być gaszone — bez względu na to, czy są czy nie są zasłonięte. Były to więc przepisy dość swoiste, a czy celowe — tj. czy wytrzymałyby próbę prawdziwego ataku powietrznego? — tego właściwie nikt nie wiedział. A nie wiedział, bo przez cały okres wojny nie było ani jednego nalotu na Mińsk *w porze nocnej*.

Tadeusz przeżył jeden alarm lotniczy, jak się okazało fałszywy. Było to na początku zimy 1916 późnym wieczorem w zatłoczonej, jak zwykle, kawiarni „Select”. Nagle zjawił się policjant i rozkazał „Gasić światła!” Zrobiło się ciemno i bardzo nieprzyjemnie, zwłaszcza że niezależnie od urzędowego „kumacza” okna były zasłonięte ciężkimi kotarami. Po kilku minutach takiego

siedzenia w egipskich ciemnościach, ktoś błysnął zapałką i zapalił papierosa. Trudno opisać chór groźnych wrzasków, które się rozległy dokoła: „Zgasić, natychmiast zgasić!” Skonfundowany śmiałek zgasił nie tylko zapałkę ale i zdusił na spodku zapalonego papierosa. Jak gdyby ta czerwona centka kurzącego się papierosa mogła być dojrzana z zeppelinu — przez grube zasłony okienne...

Miał być wszakże jeden — jedyny w ciągu całej wojny — atak lotniczy na Mińsk. Odbył się nie w nocy, lecz w pełnym blasku wschodzącego słońca, gdzieś w końcu lata 1916. Samolot niemiecki zjawił się nad Mińskiem w wyraźnym celu zaatakowania gmachu gimnazjum, w którym się mieścił sztab frontu generała Ewerta, położonego w obszernym czworokącie, gdzie się, prócz gimnazjum, mieściły — kościół ewangelicki zwany popularnie „kirchą”, gmach deputacji szlacheckiej i Hotel Paryski. Padły trzy bomby. Były to bombki mało większe od granatu ręcznego, prawdziwe zabawki w porównaniu z bombami drugiej wojny. Pierwsza bomba wybuchła na jezdni przed wejściem do sztabu i zabiła stojącego na warcie żołnierza. Druga bomba wybuchła w ogrodzie gimnazjum nie robiąc nikomu żadnej szkody. Trzecia... Historia trzeciej bomby była nie tylko tragiczna, ale dla miłośników rozmyślań nad zagadką przeznaczenia — czy może przypadku? — pouczająca.

Józef Słotwiński, mąż Marylki kuzynki Tadeusza, jeden z najbogatszych ziemian Mińszczyzny, dekował się, jak wielu innych, w Oddziałach drogowych, organizacji szczególnie przez Polaków faworyzowanej. Oddział Józia stał w pobliżu Mińska, służba, jak zresztą we wszystkich organizacjach „paramilitarnych”, nie była ciężka, toteż Józio często urządzał sobie wypadki do Mińska. Zwykł był zatrzymywać się, czyli „stawać” w Hotelu Paryskim. Gdy zjawił się na ów sierpniowy week-end późnym wieczorem, okazało się, że nie ma wolnego pokoju. Portier ekskuzował się jak mógł i na zakończenie zaproponował Józiovi, że mu urządzi posłanie w łazience. (Trzeba wiedzieć, że w czasach tamtej wojny takie akomodacje hotelowe nie należały do rzadkości). Józio oburzył się:

— W łazience? Nigdy! Widzę że następnym razem zaproponujecie mi spać w klozecie.

Wyszedł trzasnąwszy dzwiami. Portier zorientował się, że się naraził magnatowi słynnemu z hojnych napiwków. Wybiegł więc za nim na ulicę, złapał w chwili, gdy już gość siadał do dorożki, i oświadczył, że „dla pana dziedzica znajdzie się pokój”. Po kwadransie wyprosił jakiegoś zasnętego, oczywiście drugorzędnego gościa do łazienki, mówiąc mu że pokój jest potrzebny dla

przejeżdżającego generała (takie przenosiny hotelowe też często się zdarzały) a do oswobodzonego pokoju wprowadził Józia. O wschodzie słońca trzecia bomba przebiła dach i sufit i wybuchła w tym właśnie pokoju. Józef Słotwiński dostał 17 ran od odłamków i zmarł w trzy dni w męczarniach.

Jak już wspominałem unikanie służby frontowej nie było w oczach Polaków hańbą i nawet uchodziło za czyn patriotyczny. Toteż dekowanie się, zwane wtedy z rosyjska „urządzeniem się”, było na porządku dziennym. (Nie znaczy to jednak, że nie było Polaków pełniących służbę frontową, zwłaszcza w kawalerii; że było ich wielu świadczy fakt utworzenia w roku 1917 pełnego korpusu polskiego i formowania się dwóch innych). Dekowano się przede wszystkim w umundurowanych organizacjach „paramilitarnych”. Można też było zadekować się nie zrzucając cywilnego ubrania. Tak np. nowi przyjaciele Tadeusza Jan Mierzejewski ze słonimskiego i Zygmunt Dylewski z Królestwa „urządzili się” na etatowych posadach kolejowych, koleje bowiem, jako instytucja pracująca „dla obrony”, zwalniały od obowiązku służby wojskowej. Jerzy Widacki i Stefan Pudłowski ze Słuczczyzny dostali w Petersburgu pracę w fabryce, która też pracowała „dla obrony”.

Szczególnej wzmianki wymaga historia jeszcze jednego nowego przyjaciela Tadeusza — Józefa Koelichena z Włochów pod Warszawą. Józio starał się o „urządzenie się” w organizacji „paramilitarnej”, ale marudził, w końcu przepuścił jakieś terminy i doczekał się, że go ścigała żandarmeria polowa. Nocował co drugą noc w innym mieszkaniu nie mając żadnych papierów. Wreszcie żandarmeria złapała go i doprowadziła przed oblicze wojskowego naczelnika. W niewielkim lokalu ścisk, kolejka, rwetes. Straż wpycha Józia przed stół, a sama gubi się w tłumie. Za długim stołem zasiada naczelnik i inni oficerowie, a między nimi podporucznik Władysław Raczkiewicz, który dzięki protekcji wpływowego generała Gawriłowa nie poszedł na front, lecz „urządził się” na posadzie kancelaryjnej w biurze wojskowego naczelnika. W pewnej chwili naczelnik zwraca uwagę na doprowadzonego dezertera:

— A to pan Koelichen! — woła groźnie — zaraz zrobimy z panem porządek.

To mówiąc bierze do ręki „dossier” dotyczące sprawy „uchylającego się od służby wojskowej Józefa Koelichena”. W tej samej jednak chwili podporucznik Raczkiewicz nachyla się do ucha naczelnika i coś mu referuje. Referat musiał być bardzo ciekawy, bo naczelnik zapomniał o dezertersze Koelichenie i odłożył jego teczkę na stół. Raczkiewicz tylko na to czekał. Ruchem oka



i ręki dał znak Józiovi, aby zabrał teczkę ze stołu i ulotnił się. Józio w lot zrozumiał o co chodzi. I papiery i dezterter znikli. A wiadomo, że bez papierów nie ma sprawy. Józio papiery zniszczył, a w kilka dni potem dostał upragnioną posadę w jakiejś organizacji pomocniczej.

Godną również uwiecznienia była sprawa Mojsze (Michała) Lewina. Ojciec jego, brakarz leśny z zawodu, mieszkał w rodzinnej wsi Maksymowicze o kilka wiorst na wschód od Baćkowa. W czasie wojny pracował w swym zawodzie w lasach klucza żarnowskiego Magdaleny z Zawiszów, primo voto Krasieńskiej, secundo voto Radziwiłkowej. Główną kwaterą pana Lewina-ojca była Hradzianka — stacja kolejowa, do której dojeżdżali Irteńscy w drodze do Baćkowa. Prócz brakarstwa pan Lewin-ojciec trzymał w Hradziance zajazd. Pewnego wieczoru zimą 1915-1916 pan Irteński wstąpił do zajazdu, aby rozgrzać się herbatą i pogawędzić ze starym Lewinem. W pewnej chwili młody Żyd słusznego wzrostu, tęgi, z kędzierzawą blond czupryną wniósł samowar.

— Popatrz pan na mego syna — rzekł stary z dezaprobatą — wyrósł pod niebo, a pociechy z niego nie mam żadnej. Gdyby tak pan mógł znaleźć dla niego jakieś porządne zajęcie.

Pan Irteński, który był członkiem rady miejskiej i honorowym prezesem świeżo zorganizowanej na czas wojny komisji opałowej, spytał:

— A zna się on na lesie?

— I jak jeszcze. Stale pomaga mi w robocie.

— No to niech przyjeżdża do Mińska. Dam mu posadę w komisji opałowej.

Dalsze dzieje młodego Lewina potoczyły się jak w bajce. Już na początku okupacji niemieckiej 1918 roku miał uciulany na interesach leśnych milion marek. W Polsce niepodległej zrobił olbrzymi majątek na białowieskiej aferze leśnej. Później był głównym akcjonariuszem Juraty na Wybrzeżu. Uchodził za najbogatszego człowieka w Polsce. Emigrował do Francji na parę lat przed ostatnią wojną i tam też uchodził za milionera. Wreszcie osiadł w Nowym Jorku mając milionowe konta w bankach amerykańskich, kanadyjskich i brytyjskich... W tej chwili nie chodzi o te dalsze dzieje pana Michała (Mojsze) Lewina, lecz o groźne lata wojny 1915-1917. Posadka w komisji opałowej nie zwalniała od służby wojskowej. Musiał się stawić na komisję poborową. Był zbudowany jak młody Machabeusz i trudno było dopatrzeć się w nim jakiegokolwiek defektu fizycznego. Ale od czego pieniądze? Jakiś lekarz za 500 rubli nauczył Lewina „sztuczki”. Sztuczka polegała na tym, że pan Lewin mógł w każ-

dej chwili i na tak długo, jak sobie tego życzył, stworzyć sobie na prawej łopatce garb. Na podstawie ogólnej kondycji rekruta komisja poborowa domyślała się jakiegoś podstępu. Odsyłało go przez parę miesięcy ze szpitala do szpitala na obserwację. Badali go, macali, prześwietlali najlepsi lekarze. I cóż — garb trwał. Musiano więc w końcu wydać mu „biały bilet” tj. uznać za zupełnie niezdolnego do służby wojskowej. Dodajmy, że pan Lewin mógł w każdej chwili i bez żadnego wysiłku pozbyć się garbu.

W kilkanaście lat później pan Michał Lewin był najbogatszym człowiekiem w Polsce. W mieszkaniu jego na Trębackiej lokaj w czerni anonsował mu tłoczących się w poczekalni posłów i dygnitarzy sanacyjnych. Pan Michał pamiętał jednak, komu zawdzięczał początek swej niezwyklej kariery i często odwiedzał pana Irteńskiego w skromnym mieszkaniu na Smolnej. Tadeusz przyjechawszy na kilka dni z Wilna do Warszawy był świadkiem jednej z takich wizyt. Pan Irteński poczęstował gościa i siebie mocną herbatą i koniakami był w humorze jowialnym i powiedział panu Lewinowi:

— *Mojsze, pokażi sztuczku.*

(Z panem Lewinem rozmawiało się kolejno po polsku i po rosyjsku).

Pan Lewin zerknął na Tadeusza, uśmiechnął się z zażenowaniem i odparł:

— Że też pana prezesa trzymają się jeszcze tego rodzaju żarty.

Pan Irteński nalegał jednak mówiąc, że Tadeusz nie wierzył, gdy mu mówił o „sztuczce” Lewina i chciał osobiście tę sztuczkę zobaczyć. Po bardzo długich prośbach i perswazjach pan Lewin zgodził się wreszcie. Poszedł za parawan i po paru sekundach wrócił z garbem na plecach. Potem znów skrył się za parawan i pokazał się już bez garbu. Tadeusz więc był naoczny świadkiem lewinowskiej „sztuczki”.

Ci, co „sztuczek” nfe umieli i „urządzili się” w organizacjach paramilitarnych, nie mogli się skarżyć na nadmiar pracy, ale też dostawali bardzo skromne uposażenie. Ludzie bogaci, jak np. Józef Słotwiński, o uposażenie nie dbali bo mieli pod dostatkiem własnych dochodów. Uchodźcy natomiast pracujący w takich organizacjach albo klepali biedę, albo też starali się o wyszukanie pobocznych dochodów. W poszukiwaniu tych dochodów niektórzy wykazywali wielką pomysłowość. Wśród nich najbardziej zasłynęli pan Adam Bohdanowicz, ziemianin z Wileńszczyzny zwany „Adalkiem”, i pan Kuncewicz — uchodźca z Kowna. Jak już wspominałem w czasie cofania się armii rosyjskiej w końcu lata

1915 roku zarządzono nie tylko ewakuację ludności, ale i dobytek ruchomego. Z zachodu na wschód ruszyły w tumanach kurzu milionowe stada krów. Były tam krowy prywatne oraz stada należące do intendentury, tzw. hurty. Nieszczęśliwe zwierzęta zdychały po drodze z wycieńczenia i braku paszy. Gdy liczba padłych krów osiągnęła niepokojące rozmiary, władze zrozumiały, że popełniły głupstwo i postanowiły je naprawić. Stworzono specjalną organizację opieki nad hurtami, do której właśnie weszli panowie Adalek Bohdanowicz i Kuncewicz. Wynaleziono dowcipny sposób ratowania od niechybnej śmierci pogłowa, które zdychało, ale jeszcze nie zdechło. Krowy oddawano za pokwitowaniem chłopom z wiosek leżących przy drodze krowiego exodusu z tym, że w początku następnego lata bydłota zostaną odebrane przez intendenturę. Chłop miał w tym czysty interes: kosztem skromnej paszy miał przez cały rok mleczną krowę plus nawóz i plus przychówek, jeżeli krowa była cielna. Niektóre krowy były tak wycieńczone, że wkrótce zdechły. Większość jednak wyżyła. Latem 1916 roku panowie Bohdanowicz i Kuncewicz zaczęli objeżdżać wioski w celu odebrania krów. Jeżeli trafiono na wypadek, że krowa zdechła, spisywano odpowiedni protokół. Chłopi z żalem żegnali się z krowami. Wtedy to genialna myśl olśniła panów Bohdanowicza i Kuncewicza. „Daj nam 100 rubli — mówili chłopu — podpiszemy razem protokół, że krowa zdechła, a ty ją sobie zatrzymasz”. Chłopom transakcja jak najbardziej odpowiadała. Podpisywali lub znaczyli trzema krzyżykami i wręczali „hurtownikom” pieniądze. Historia milczy, ile panowie ci zarobili na „martwych duszach” krowich. Musiały to jednak być pieniądze niemałe, gdyż ewakuowane krowy liczone na setki tysięcy. Afera z tymi „martwymi duszami” jakoś się dostała do wiadomości publicznej. Śmiano się serdecznie z pomysłowości „hurtowników” i odtąd nazywano ich żartobliwie „chersońskimi pomieszczykami” — na wzór gogolowskiego Nozdriowa, który tak nazywał pana Cziczikowa, skupującego martwe dusze — ludzkie.

Nie tylko Polacy i Żydzi unikali służby frontowej „urządzać się” w tych lub innych organizacjach. Rosjanie nie stanowili wyjątku. Historia literatury rosyjskiej może zanotować, że poeta Aleksander Błok urzędował w mundurze jakiejś drużyny paramilitarnej na Polesiu w majątku Porochońsk ks. Feliksa Druckiego-Lubeckiego.

Wśród wielu setek tysięcy, czy może nawet milionów „ziem-huzarów” przeróżnego autoramentu zdarzały się wypadki dziwne i tajemnicze. Do takich należał wypadek Eustachego (Taśka) Jelskiego, który przed wojną artystycznie, jak balet-

mistrz, prowadził mazura i kotyliona na zapadłych w nicość lecz żywych w pamięci ludzkiej słynnych balach mińskich — Ziemiańskim i Panieńskim. W początku wojny Tasiiek służył w oddziale sanitarnym i tam odznaczył się dostając medal św. Jerzego. Później znikł. Długo nikt nie wiedział, co się z nim dzieje, aż wypłynął w Petersburgu — w cywilu, z rozetką św. Jerzego w butonierce, obładowany artykułami angielskiej garderoby i bielizny, rozmieniający od czasu do czasu suwereny, złote dwudziestofrankówki, rosyjskie imperiały. Okazało się, że w czasie toczącej się wojny odbył kilkakrotne podróże do Szwecji, Anglii i Szwajcarii. Był jak zawsze wesoły, rozmowny, pełen humoru, ale na pytania, czym się właściwie zajmuje, odpowiedzi nie dawał. Często bywał w Mińsku. Razu pewnego, gdy szedł po Zacharzewskiej w towarzystwie Tadeusza, zatrzymał ich patrol żandarmerii i zażądał pokazania dowodów osobistych. Poszli z żandarmami do bramy i tam Tasiiek pokazał im jakiś papier. Żandarmi przeczytawszy papier stanęli na baczność i długo ekskuzowali się. Byli tak zafrapowani dokumentem Taśka, że zapomnieli wylegitymować Tadeusza.

Tasiiek należał do tzw. złotej młodzieży. To jedno było już wystarczającym powodem, aby ludzie tzw. poważni patrzali na niego krzywo. Ponieważ ludzie poważni są nadto z natury ciekawi i lubią się grzebać w prywatnym życiu bliźnich, więc nie mogli darować Taśkowi jego tajemniczych źródeł dochodu, których spenetrować nie umieli. Wśród tych ludzi poważnych rej wodziła stryjenka Taśka, matka trzech bardzo zamożnych i bardzo nieładnych córek. Jej głosy krytyczne doszły Taśka. Postanowił się zemścić. Okazja nadarzyła się wkrótce. Stryjenka zaprosiła „tout Minsk” na imieniny jednej z córeczek. Dowiedziawszy się o tym Tasiiek zaprosił na ten sam dzień do Hotelu Garni na popijawę kawalerską całą młodzież mińską płci męskiej należącą do „towarzystwa” zaznaczając, że ilość butelek starki będzie nieograniczona. Ponieważ o trunki było trudno, a imieniny kuzynki Taśka zapowiadały się bezalkoholowe, więc młodzież męska hurmem ruszyła na starkę do Taśka. A na imieninach kuzynki mężczyzn nie było, jeśli nie liczyć kilku starych kawalerów z „wujaszkiem całego Mińska” panem Kazimierzem Wołowiczem na czele. Zemsta Taśka była więc wyrafinowana. A pijaństwo w Hotelu Garni trwało do późna, obfitowało w dużo zabawnych epizodów i skończyło się na tym, że nikt z zaproszonych nie wrócił do domu o własnych siłach.

Nie trzeba sądzić, że wykręcanie się od służby frontowej zdarzało się tylko w klasie wyzyskiwaczy i feudałów. Przede wszystkim spory procent tych feudałów poległ już w pierwszych

miesiącach wojny. Po drugie — sprytniejsi chłopci i robotnicy też umieli się wykręcić od groźnego frontu. Mniej sprytni wyprasza sobie — nieraz przez kobiety — stanowiska dieńszczyków tj. ordynansów. Sprytniejsi „urządzali się” na stanowiskach bardziej zaszczytnych. Tak np. Tadeusz spytał raz młodego kłusownika w powiecie lepelskim, dlaczego nie poszedł do wojska. Okazało się, że miał wadę serca. A bracia? — „Jeden — powiada — „padausia u ospital”, a drugi „padausia u sztab”. Otrzymanie posady jakiegoś czyszciciela w szpitalu wojskowym było rzeczą jasną, ale Tadeusz nie mógł na razie zrozumieć, w jaki sposób chłop niepiśmienny mógł dostać posadę w sztabie? Okazało się, że chodziło nie o „sztab”, ale o „sztat” tj. etat. Szczęśliwiec dostał posadę etatową i nie w wojsku, a na kolei.

## Rozdział VI

### URWANY RAPSOD MYŚLIWSKI

Na Wielkanoc 1916 Tadeusz Irteński nie pojechał do domu i pozostał w Petersburgu. Oficjalną racją takiego zrzeczenia się ferii świątecznych były zbliżające się egzaminy, bardzo poważne, bo konieczne dla przejścia na czwarty — ostatni — rok prawa. Naprawdę jednak Tadeuszowi nie chciało się opuszczać Petersburga, nikt bowiem z jego paczki nie jechał do domu, gdyż przeważnie nie miał dokąd jechać: tak się złożyło, że strony rodzinne większości jego przyjaciół leżały tuż koło linii frontu, albo nawet po drugiej stronie frontu.

Czas zresztą płynął bardzo przyjemnie. Po paru godzinach studiowania prawa administracyjnego (zwanego prawem „policyjnym”), historii filozofii prawa i prawa państwowego, szły rozrywki: biega czyli wyścigi kłusaków, wycieczki na „Wyspy”, gdzie ostatni odcinek podróży odbywał się tramwajem konnym ze staroświeckim imperiałem na dachu, gra w loteryjkę w mieszkaniu Jurka Widackiego i Stefana Pudłowskiego. W loteryjkę grano sposobem zmodernizowanym i bardzo ekscytującym. Pełną pulę pulę zabierał tylko ten, kto miał wypełnione numery górnego z trzech rzędów kartki. Ten, kto wygrywał drugi rząd, brał połowę puli. Ten, kto wygrywał trzeci rząd — trzecią. To też, choć stawki były skromne, jeżeli trzeci rząd wygrywał kilka razy z rzędu, w puli narastała spora suma.

Przed Wielkanocą pani Irteńska przysłała Tadeuszowi sporą paczkę z kielbasami, szynką i mazurkami. Postanowił urządzić u siebie kawalerskie święcone. Alkoholu — koniaku po 6 rubli butelka — dostarczył ukradkiem rodak mający sklep na ulicy Borodińskiej. Po nocy spędzonej na włóczeniu się po mieście i słuchaniu wspaniałego koncertu tysiąca dzwonów dzwoniących w świątyniach prawosławnych, święcone przeszło bardzo

wesoło. Tadeusz mieszkał wtedy na Fontance u stryjenki Kamci, wdowy po dr. Emilu Irteńskim, i miał bardzo wygodny pokój z osobnym wejściem. Dla pewności uprzedził jednak stryjenkę, że w pierwszy dzień świąt odbędą się u niego „dzikie wrzaski”. Uprzedzona stryjenka wybrała się tego wieczoru z całą rodziną do znajomych z wizytą wielkanocną .....

Petersburg zmienił się. Nastroje w stolicy były ponure. Coraz uporczywiej mówiono o „ciemnych siłach” rządzących państwem, o zdradzie, o szpiegach, o germanofilstwie cesarskiej dążącej do zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami. W tramwajach zjawily się pierwsze konduktorki zamiast konduktorów. Ceny rosły. Srebrne pieniądze znikły z obiegu i zamiast nich zjawily się znaczki pocztowe mające nadruk na odwrocie: „Mają prawo obiegu na równi ze srebrną monetą zdawkową”. „Ciemne siły” wyprawiały jakieś kontredanse na stanowiskach premiera i gniew inteligencji — rósł z tygodnia na tydzień. A jednocześnie mówiono, że duch na froncie jest wspaniały i że wojska są doskonale zaopatrzone. Czekano wielkiej ofensywy letniej.

Przyszły egzaminy. Wicio Rudomina (Rudy) zdał, podobnie jak Tadeusz dwa lata temu, jeden egzamin ze statystyki, wystarczający dla przejścia na drugi rok. Natychmiast napisał do ciotki, która mu obiecała większy zasiłek pieniężny w razie pomyślnego wyniku egzaminów. „Kochana ciociu! Zdałem wszystkie egzaminy potrzebne do przejścia na drugi rok prawa”. Radość Rudego nie długo trwała, bo niebawem spadł piorun: wyszło zarządzenie, że studenci — z wyjątkiem ostatniego roku studiów — będą powołani do wojska. Tadeusz i Toluś Rusiecki, którzy właśnie zdali przepisaną liczbę egzaminów i przeszli na czwarty rok, byli spokojni, ale na innych padł błąd strach. Nieliczni z rezygnacją szli do szkół oficerskich, reszta na gwałt starała się „urządzić”. Olbrzymi korytarz uniwersytecki huczał jak ul. Wśród studentów krążyły hektografowane proklamacje takiej treści: „Towarzysze! Władze carskie odrywają was od studiów i każą wam przelewać krew w wojnie imperialistycznej rozpetanej przez kapitalistów i feudałów. Otwierają się przed wami nowe drogi i nowe obowiązki! Niech każdy z was przyjęty do szkoły oficerskiej stworzy w niej komórkę (jaczekę) rewolucyjną, niech uświadamia kolegów, a po skończeniu szkoły niech

\* Ciekawych stylu, w jakim się odbyło to „kawalerskie święcone”, odsyłam do felietonu pod tym tytułem w nr. 66 tygodnika „Lwów i Wilno”, Londyn, 11 kwietnia 1948. Opuszczam tutaj ten opis, aby nie obciążać niniejszej kroniki zbytnimi szczegółami.

prowodzi agitację wśród szeregowych”... Proklamację tę omawiano szeroko w Kuchni studenckiej na Zabałkańskim.

— Co o tym myślisz? — pytał Tadeusz starego studenta Władka Krecza.

— Nic nie myślę. Rewolucji dziś nie będzie. Rewolucja może wybuchnie, ale po skończonej wojnie.

Pewnego popołudnia Tadeusz wracał z Kuchni w towarzystwie Tolusia i Rudego. Szli po nadbrzeżnej Fontanki. Uderzyło ich, że policja pozwalała iść tylko po chodniku koło domów, a nie wzdłuż balustrady rzeki, że co piętnaście kroków stał stróż domowy z numerowaną blachą na piersi, a co sto kroków policjant. Zrozumieli, że będzie przejeżdżać ktoś „ważny” i postanowili zaczekać. Ponieważ policja nikomu nie pozwalała zatrzymywać się, więc spacerowali. Po upływie kwadransa ukazał się sznur samochodów. W trzecim czy czwartym siedział cesarz w towarzystwie kilku generałów. Tadeusz, Toluś i Rudy uchylili kapeluszy. Gdy samochody minęły i ulica przybrała wygląd normalny, Toluś powiedział tonem jak gdyby usprawiedliwienia:

— Właściwie to był król, a ja nic nie mam przeciwko królowi...

Prawie całe lato, jesień i początek zimy 1916 Tadeusz spędził u siostry w majątku Sokorów powiatu Iepelskiego. Tylko na początku jesieni odbył krótką podróż do Petersburga dla załatwienia formalności uniwersyteckich. Podróż ta miała utkwić mu w pamięci. W Witebsku przesiadał się i miał czekać około godziny na połączenie kolejowe. Poszedł więc do bufetu. Zdziwił się że choć sala była na pół pusta, dwaj bufetowi nie zwrócili na niego uwagi zajęci zawijaniem jakiegoś jadła dla stojącej koło lady siostry miłosierdzia. Usługiwali jej z niezwykłą gorliwością. Tadeusz zaczął się jej przypatrywać. W pewnej chwili odwróciła głowę i przelotnie spojrzała na Tadeusza. Ujrzał śliczną twarz: piękne ciemne oczy i z lekka wystające kości policzkowe. „Ja ją skądś znam” myślał. Dopiero gdy siostra miłosierdzia odeszła w towarzystwie jednego z bufetowych, który niósł zawinięte w szary papier pakunki, Tadeusza olśniło przypomnienie skąd ją „znał”. „Ależ to wielka księżniczka Tatjana Mikołajówna”... Zapytany bufetowy potwierdził domysł Tadeusza dodając, że właśnie tego dnia pociąg sanitarny cesarskiej zatrzymał się w Witebsku.

Na wsi brak męskich rąk do pracy był bardziej widoczny niż w mieście. Nawet z okna wagonu można było widzieć kobiety chodzące za pługiem lub za broną. Takich rzeczy nie widziało na Białorusi chyba od czasu najazdów tatarskich. Również z okna wagonu oglądało się całe zastępy dziewcząt zajętych przy



reperacji toru kolejowego lub przy budowie szosy. Wszystkie miały twarze zasłonięte chustkami: opalenie się nie było jeszcze modne na Białorusi w roku 1916. A jakby symbol tego świata opanowanego przez kobiety Tadeusz znalazł w gazecie, którą czytał w wagonie, sensacyjną wiadomość o zgwałceniu przez sześć kobiet szesnastoletniego chłopca gdzieś w Rosji południowej. Szczegółów tego wypadku gazety rzecz jasna nie podały, mówiąc tylko że amazonki zawlokły chłopca do wąwozu.

Tadeusz spędził nad brzegami jeziora Poło, nad którym był położony dwór sokorowski, kilka szczęśliwych miesięcy swego życia. Powiedziałbym bez przesady, że pokochał to jezioro całą potęgą romantycznej miłości. W miłości tej nie było jednak nic z zaściankowego patriotyzmu. Urodził się i wyrósł wśród nizinnych starzyn i borów powiatu ihumeńskiego, czyli o jakieś 250 wiorst na południe od jeziora Poło. Urodził się i wyrósł na równinach, a jezioro leżało wśród pagórków leśnych i pól gliniastych. Pokochał więc Poło nie miłością młodziana do panny za miedzą, lecz raczej do panny z dalekiego sąsiedztwa. Była więc w tej miłości egzotyka długich wiorst kolein błotnistych lub zasp śnieżnych — egzotyka krainy dalekiej. Było w tym trochę i perwersji niewinnej: kochając Poło „zdradzał” żyzne, lecz pozbawione malowniczości równiny ihumeńskie. Ale w tej romantycznej miłości do najpiękniejszego jeziora Witebszczyzny pulsowała, jak to często bywa z uczuciami wczesnej młodości, szczerą i głęboką wdzięczność. Miłością swoją spłacał jakby dług wdzięczności zaciągnięty u jeziora. „Ileż ci winienem, o domowe jezioro” — mógłby parafrazować z „Pana Tadeusza”. Poło bowiem dało mu bardzo wiele. I codzienne kąpiele w czystej toni aż do pierwszych przymrozków jesiennych. I bliższe i dalsze wycieczki łodzią zwykłą i żaglową po siwozielonych falach jeziora. I włączęgi z wyżłem Neptusiem wzdłuż zachodnich mszarno-bagnistych, obfitych w kaczki i pardwy brzegów. I dumania nad urwiskiem pod brzozą płaczącą w złoty przedwieczerek letni lub w noc gwiazdziste. I wsłuchiwanie się w muzykę jeziora, bo Poło, jak każda wielka przestrzeń wodna, zawsze śpiewa — nawet wtedy, gdy najłżejsza fala nie liże piaszczystych brzegów. A jeśli wyraz „śpiewa” uznać za hiperbolę, tedy można powiedzieć, że jezioro Poło zawsze *jest*. Tadeusz czuł jego obecność i w ciche, ciemne jak atrament nocie pochmurne, i w zawleczone siatką deszczu dni jesienne, gdy chłostane wichrem jezioro syczało z dala jak kocioł olbrzymi. Czuł nawet przez grube ściany domu, gdy siedział w fotelu przed trzaskającym kominem.

A same widoki czegoż nie były warte! Co dnia — nie, o każdej porze dnia, nawet o każdej godzinie coraz to inne i co

raz piękniejsze. Oto co sam Tadeusz pisał o jeziorze w przybliżeniu poetyckiego natchnienia:

„Piękne jest jezioro Poło w gorący lecz wietrzny dzień, gdy po niebie pędzą „codzienne” chmurki litewskie, gdy na ciemnym, wpadającym w siną stal szafirze wody wełnią się białe baranki fal i gdy wały tych fal rozbijają się o piasek lub o sterczące z wody granity narzutowe z nieustannym rytmicznym szumem. Piękne i groźne jest na chwilę przed mającą się rozpętać burzą, gdy czarne od nawisłej nad nim czarnej chmury rozwidni się nagle wielką jasnością błyskawicy, gdy ozłocą się na sekundę oślepiającą pozłotą obwódki chmur, a zygzak piorunowy odbije się w czarnej toni, że nie wiadomo, czy piorun uderzył w jezioro, czy też jezioro strzeliło w niebo fioletowozłotym pociskiem. Piękne i słodkie jest w cichy wieczór letni, gdy słońce zachodzi na morelowo za odległe wzgórza przeciwległego brzegu, gdy najlżejsza zmarszczka nie mąci olbrzymiego lustra, jakby zaciągniętego oleistą warstwą pozłacanego srebra”.

Gdy mi Tadeusz pokazał ten utwór, pochwaliłem go za gładką prozę, ale zauważyłem, że przypomina on opis Dniepru w „Strasznej zemście” Gogola. Tadeusz nie był zdaje się zadowolony z mojej uwagi.

Ale wracam do opowiadania. Otóż Tadeusz pokochał jezioro Poło i był niemile zdziwiony, gdy pan Bohdanowicz z Lachowa, sąsiad Sokorowa, zapytał:

— A czy widział pan jezioro Krzywe?

— A cóż to za jezioro Krzywe? — przerwał Tadeusz takim tonem, jakim by średniowieczny rycerz odezwał się, gdyby ktoś w jego obecności śmiał wspomnieć o innej kobiecie, niż o jego wybranej.

— Niech pan zobaczy i sam się przekona.

Haczyk został rzucony. Tadeusz długo bronił się przed jego poźnięciem, było to bowiem w okresie jego najsilniejszej miłości do jeziora Poło. W tym okresie zamyślił nawet napisać balladę na wzór mickiewiczowskiej „Switezi”. Ale dla ballady potrzeba legendy. Tej szukał na próżno. „Ballada o jeziorze Poło” nigdy nie została napisana. Powstał tylko wyżej cytowany urywek prozą.

Tymczasem haczyk z tajemniczym jeziorem Krzywym działał. Tadeusz był zainteresowany. Zaczął wypytywać ludzi miejscowych, gdzie leży to jezioro Krzywe (co za dziwna nazwa!) i jak się tam dostać. Okazało się, że jezioro Krzywe leży tuż za przeciwległym brzegiem jeziora Poło, za owymi dalekimi wzgórzami, za którymi co wieczór kładło się słońce. Któregoś popołudnia wybrał się tam konno w towarzystwie furmana Miko-

łaja, człowieka trzeźwego i praktycznego, który nie mógł zrozumieć, a tym bardziej aprobować celu tej wycieczki krajoznawczej.

— A po co tam jedziemy? — zapytał.

— Zobaczyć jezioro Krzywe.

— Czy panicz myśli kupować to jezioro?

— Nie. Chcę po prostu popatrzeć.

— Aha, jedziemy oglądać „pozycje” — powiedział z przekąsem i poprawił popręg przy siodle Tadeusza z taką siłą, że aż koń stęknął.

Trudno wyjawić czytelnikowi sekret jeziora Krzywego metodą prozy opisowej, choćby najbardziej poetyckiej. Spróbuję innej metody. Rzućmy okiem na mapę tzw. sztabową. Zobaczymy grupę licznych jezior, z których największe, właśnie jezioro Poło, ciągnie się podłużnym owalem z południo-wschodu na północo-zachód. Tuż za tym jeziorem wije się wśród lasów długi, poskręcany w esy i floresy wąz. Miejscami cienki jak nitka, miejscami grubszy. W najszerszym miejscu ma szerokość Dżwiny w jej średnim biegu. Wąz ten jest poskręcany w sposób tak fantastyczny, że miejscami skręty jego biegną niemal równolegle, jakby się chciały połączyć. Przy pierwszym rzucie oka na mapę sądzimy, że to kręta rzeka. Lecz nie — to jezioro nazwane „Krzywym” właśnie z powodu swego dziwnego kształtu. Skręty tego jeziora-węża spoczywają na obszarze jakichś sześciu wiorst kwadratowych. Lecz jeśli wymierzymy całą długość jeziora od jednego kolana do drugiego, to przekonamy się, że jezioro Krzywe ma około 10-iu wiorst długości. Wystarczy teraz niewielki wysiłek wyobraźni, aby zrozumieć jakim dziwem przyrody jest jezioro Krzywe.

Jest ono jakby labiryntem wodnym wijącym się wśród wzgórz stromych i lesistych. Nieraz by dotrzeć do jakiejś części jeziora trzeba przebijać się przez dżunglę jarzębin, leszczyn, dzikich malin i wilczej jagody. Gdy wreszcie zmęczeni i podrapani wydostaniemy się na brzeg jeziora, wydaje się nam, że jesteśmy nad rzeczką leśną. Tylko że woda tej „rzeczki” jest nieruchoma, a toń czarna i przepastna, niemal groźna. W innym miejscu dostęp do jeziora jest łatwiejszy: schodzimy po zboczu wzgórz porośłego starodrzewiem. Wchodzimy na wąski pas łączki i widzimy większą przestrzeń wodną. Trafiliśmy na jedno z grubszych kolan jeziora. Ale i w takich miejscach zbliżamy się do wody z pewną trwogą. Bo brzegi jeziora są wszędzie jednakowe: świeci przez wodę wąziutki pas żółtego piasku, a zaraz potem czarna otchłań głębin, w której majaczą nieruchome girlandy wodorostów.

Byli ludzie, którzy przyjeżdżali nad jezioro Krzywe na wyprawy naukowe i czynili drobiazgowo pomiary. Okazało się, że Krzywe jest bardzo głębokie — nawet w najwęższych swych przegubach dochodzi do głębokości 15 sążni. Przyrodnik amator stojąc nad jeziorem zadaje sobie pytania: jak powstało to dziwne jezioro tak bardzo niepodobne do innych jezior na pojezierzach środkowo-wschodniej Europy? Jeśli słuszną jest teoria lodowcowego pochodzenia naszych jezior, to jak mógł lodowiec wyrzeźbić te fantastyczne kształty? Lecz może to krynice zasilają wody Krzywego? Lecz jeśli tak, to jaki kataklizm stworzył te kręte rozpadliny w naszym na ogół spokojnym krajobrazie?

Mikołaj, który niecierpliwił się i wzrokiem bardzo niechętnym spoglądał na roztaczające się cuda wody, zieleni i nieba, odezwał się:

— No, obejrzelśmy pozycje i *bodi*. Teraz, paniczku, pora do chaty. W domu to samo: woda, drzewo, niebo. Nie warto było przyjeżdżać.

Już w drodze powrotnej, czy to dla złagodzenia tych cierpkich uwag, czy może dlatego, że się w nim obudził koniarz zamilowany, zauważył pojednawczo:

— Ot, na dobrego konia popatrzeć to co innego.

Przed spadnięciem pierwszych śniegów przysły wielkie mrozy. Lodem pokryło się jezioro Poło. Mrozy przysły bez najłżejszego podmuchu wiatru. Lód przezroczysty jak tafla szkła lustrzanego skuł dwadzieścia wiorst kwadratowych jeziora. I wyglądało Poło jak potężna czara napełniona zastygłą stałą oksydowaną w malachitowej oprawie oszronionych ozimin.

Wieczorami rozpoczęły się ekscytujące łowy z ością na ryby. Wzdłuż brzegów, gdzie przez taflę lodu, jak przez szkła akwarium, widać było w blasku kagańca dno jeziora na głębokości paru sążni, posuwały się ekspedycje rybackie. Jeden rybak niósł kaganiec na długim kiju, czyli tzw. „kozę”. Drugi — dwie ości, główną i zapasową. Trzeci — topór. Jeszcze inny — wiaderko na upolowane ryby. Zoczywszy w świetle kagańca śpiącego w wodzie nieruchomo szczupaka lub okonia, podobnego do omulonej kłody, zaczynano najspokojniej rąbać tuż nad nim otwór w lodzie. W dziewięciu wypadkach na dziesięć szczupak spał dalej snem sprawiedliwego i nic sobie nie robił z piekielnego hałasu nad głową. Gdy otwór był gotów, następował „strzał” ością — zadanie wcale nie łatwe, gdyż załamane w wodzie pro-

mienie ogromnie mylą wzrok i rękę. Nieraz szczupak lub okoń uchodził spudłowany „na czysto”. Nieraz trzeba było „poprawiać” drugą ością przygważdżając źle trafioną pierwszym uderzeniem rybę. Podniecające polowanie z ością nie trwało długo. Mrozy zelżały po kilku dniach. Lustrzana tafla jeziora zmatowiała i utraciła przezroczystość. A potem spadły śniegi. Jezioro brzegi, pola, łąki i mszary — wszystko zrównała pokrywa śnieżna.

Na puchu śnieżnym zaczęły się pojawiać hieroglify tropów zwierzęcych. Oto tędy sznurował lis znacząc ślad swej wędrowki charakterystycznym kręto-powłóczystym tropem. Ówdzie kicał i kluczył szarak, by w pewnym miejscu zrobić potężny „zeskok” i ukryć się na sen dzienny w upatrzonej kotlinie pod jałowcem lub kamieniem na miedzy. Zaczyna się okres „chłopskiego”, kłusowniczego, lecz bardzo miłego polowania „na pomyka”. Polowanie kłusownicze, lecz wcale nie łatwe! Należy umieć czytać klinowe pismo łapek zajęczych na śniegu, należy znać naturę zajęczą, należy cierpliwie odcyfrowywać nocne tropy zwierza, a równocześnie baczyć pilnie, czy aby zmyślny „kot” nie ruszył już bezszelestnie z kotlinki i czy już nie „szoruje”, aby za chwilę oddalić się poza zasięg strzału śrutowego.

Jesteśmy nad brzegami mszaru. W labiryncie korytarzyków mszarnych widnieją świeże tropy pardew. Nie potrzebujemy pomocy wyźła. Zdążamy tymi śladami ze strzelbą gotową do strzału. Wreszcie — charakterystyczne gruchnięcie i oto jakby płat śniegu oderwał się od kępy mchów. Z ostrym łoskotem skrzydeł zrywa się pardwa w ochronno-białej szacie zimowej.

Wychodzimy z mszaru na łąkę. Czy to wrony czy kawki obiadły gałęzie wysokich brzoź? Nie, to nie wrony i nie kawki, lecz cietrzewie. Zmieniamy plan łowów. Wracamy pośpiesznie do domu, by po pół godzinie wrócić na małych rozwałkach, zaprzężonych w mocnego konika białoruskiego. Z tych to rozwałek będziemy próbować szczęścia w polowaniu z podjazdu.

Na takich to skromnych lecz miłych uciechach łowieckich mijały Tadeuszowi pierwsze dni ponowy. A wieczorem w „hallu” dworu sokorowskiego huczy i trzaska ogień w kominku. Sennie posykuje samowar. Smakują tłuste i aromatyczne półgęski. I smakuje siwucha gorzelniana cudem ocalała z pogromu prohibicyjnego, kiedy to rok temu cały olbrzymi zapas surówki wylano do stawu pod gorzelnią i po barbarzyńsku zapalono!

(*Interludium.* W Sokorowie bawił dawny kolega gimnazjalny Tadeusza Władek Czechowicz, który przyjechał na kilka

dni na pardwy z Witebska, gdzie się dekował w tzw. oddziale samochodowym w randze szeregowca-wolontariusza. Opowiadał o zdarzeniu, jakie miał przed paru tygodniami w Witebsku. Szedł przez wysoki most na Dźwinie. Zagapił się i przeoczył kroczącego generała. Ten zaczął mu najokropniej wymyślać, zwracając się nadto per ty, co regulaminowo było w porządku, ale zwyczajowo nie było stosowane przy zwracaniu się do wolontariusza (*wolnoopriedielajuszczegosia*). Biedny Władek stał na baczność i w milczeniu słuchał połajanek krewkiego generała. Przepisowo patrzył wprost w oczy zwierzchnikowi, ale kątem oka widział, jak wkoło nich zbiera się coraz gęstszy tłum złożony prawie wyłącznie z szarych szyneli żołnierskich. Generał złościł się dalej, a Władek już czuł na szyi oddech tłoczących się żołnierzy. I oto nagle rozległ się piskliwy głos z tłumy:

— A cóż to on się tak nad tobą znęca (*izdiewajetsa*)?! A zrzuc go do Dźwiny! Niech sobie w Dźwinie ochłodzi swoją złość generalską. *Czto pristał k tiebie kak bannyj list k żopie...*

Generał zamilkł i przybladł. A potem zaczął sobie torować drogę wśród szarych szyneli. Żołnierze rozstępowali się niechętnie i nikt z nich nie salutował generałowi).

W jednym z poranków cichych, białych, miękkich, śnieżnopuszystych przyszła nowina wielka i elektryzująca: zaproszenie na łosie do leśniczówki na Górze Wołowej. Choć Tadeusza i Władka czekało pięćdziesiąt wiorst końmi, przygotowania do podróży trwały niespełna godzinę. Wczesnym przedpołudniem już siedzieli w saniach jadąc przez Kamień, Lepel, Rudnię i Niwki do Wielkiej Puszczy. Góra Wołowa jest głuchą zaszytą w borach leśniczówką w samym sercu olbrzymiego kompleksu puszczańskiego i na styku trzech gubernii — witebskiej, mińskiej i wileńskiej. Leży ta puszcza po obu stronach górnego biegu Berezyny i Kanału Berezynskiego. Na północy łączy się z Puszcza Hołubicką. Na południu — pod Hajną i Plissą — zlewa się z nieprzebytymi borami wielkoksiążęcymi pod Borysowem oraz z puszcza łojojską. A dalej na południe olbrzymi pas puszczański zmienia się w puszcze: berezyńską, bohuszewicką, później w potężny klucz Żarnówek, a jeszcze dalej, już za Bobrujskiem i Hłuskiem biegnie doliną Ptyczy, aby zbliżyć się do rzeczki Prypeci i do najpiękniejszej i najdzikszej puszczy litewskiej — Puszczy Turowskiej.

Do serca takiej Puszczy ruszyli Tadeusz z Władkiem Czechowiczem na łosie w białe przedpołudnie grudniowe roku 1916-go. O celu podróży słyszeli nieraz. Na całą Litwę słyneła

Góra Wołowa ze wspaniałych tokowisk głuszcowych i z wielkich łowów na grubego zwierza: łosia, wilka, rysia i niedźwiedzia. Po krótkim popasie w Leplu zapadli zaraz za tym miasteczkiem w lasy głębokie. Chwilami głusz i dzicz puszczy działały przygnębiająco. Z ulgą więc witali ogienek i zapach dymu jakiegś zagubionej w lesie smolarni. Osobliwe uczucie ogarnęło ich, gdy podjechali do Kanafu Berezyńskiego. Ten wąski pasek kultury z równo odarniowanymi brzegami, z żelaznym mostkiem i śluzami wydał się im czymś jakby oazą cywilizacji na tym bezludziu dziewiczym.

W sercu puszczy woźnica zwrócił ich uwagę na samotny krzyż. Był pamiątką po tragicznym wypadku gdzieś w końcu zeszłego stulecia. Pan Ciechanowiecki z Boczejkowa polował na łosie na rykowisku we dwójkę z gajowym wabiarzem. Każdy z nich wabił na własną rękę. Pan Ciechanowiecki sam był znakomitym wabiarzem i tak dobrze udawał przedzierającego się przez gąszcze łosia, że gdy wynurzył się w półmroku na stanowisko gajowego, ten wziął go za łosia i ranił śmiertelnie. Pan Ciechanowiecki żył jeszcze, gdy nadeszła pomoc z pobliskiej leśniczówki i zdążył powiedzieć przed śmiercią, że zaszedł nieszczęśliwy wypadek i że gajowy nie jest winien morderstwa.

Do leśniczówki na Wołowej Górze myśliwi przyjechali późnym wieczorem. Byli zziębnięci, głodni i bardzo szczęśliwi. Ogarnęła ich najsympatyczniejsza w świecie atmosfera — atmosfera kompanii myśliwskiej. Myśliwi są jak duże dzieci: serdeczni, szczerzy, gościnni i prości. Trzeba spędzić kilkanaście godzin na mrozie, trzeba mieć zdrowy żołądek i czyste sumienie, a przede wszystkim trzeba mieć dwadzieścia trzy lata, aby w pełni ocenić rozkosz takich cudnych rzeczy, jak lampa jasna i huczący samowar, jak płatki przysmażonej słoninki na razowcu, jak pachnące sianem twarde posłanie pod napalonym piecem.

Nazajutrz był spacer gęsiego przez ośnieżoną knieję. Były cichym głosem wydawane rozkazy i wskazówki. Był przemarsz naganki — ludzi leśnych w wytartych ściągniętych rzemiennymi „dziażkami” świtkach, w czapkach ze skórek bielaków, z pielgrzymimi kijami w czarnych, nieczułych na mróz dłoniach. Było ustawianie się na stanowiskach na linii i mierzone tętnem serca chwile oczekiwania.

Wkrótce po ruszeniu naganki Tadeusz posłyszał suche, przysłuszone okiścią strzały na linii. Poczł krótkie szarpnięcie żalu, że to nie na niego wyszedł łos i że stracił okazję zmazania hańby pudła do łosia w Łohojsku.

Wszystko razem nie trwało dłużej godziny. Myśliwi zebrali się ożywioną gromadką na linii. Rozłożono ognisko. Okazało się,

że Władek spudłował do łosia, lecz że gajowy ranił śmiertelnie zwierza drugim strzałem, a teraz gajowi i naganka poszli w głąb kniei tropić rannego rogala. Ale polowanie już się udało: na pokrzwawionym śniegu leżą dwa młode, lecz dobrze wyrosnięte wilczki i kilka bielaków.

Ognisko bucha wesoło. Każdy z myśliwych trzyma w ręku ostro zastrugany patyk i patykiem tym wyciąga z popiołu pieczone kartofle. Albo nadziewa na patyk tłusty plasterek wędzonej szynki i podsmaża na ogniu. Krąży też siwucha ocalała po zeszłorocznej przymusowej likwidacji zapasów gorzelnii boczejkowskiej.

Nagle zza ośnieżonej kulisy leśnej buchają podniecone głosy, słysząc zgrzyt płóz. Z białych piramidek świerkowych zjawia się najpierw na pół przysypany śniegiem konik, za nim rozwałki, a na rozwałkach łoś ze zwisającą koroną potężnych łopat. Za łosiem — gajowi. Orszak powoli spuszcza się z łagodnego wzgórza i ukośnie zbliża się do myśliwych.

— Patrz! — woła Władek wpijając Tadeuszowi palce w ramię — patrz! — powtarza, choć bez jego zachęty Tadeusz póżera wzrokiem ten obrazek fałatowski.

— Patrz! Dla tego jednego widoku warto było przyjechać na Górę Wołową! Patrz i zapamiętaj, bo takiego widoku już może nigdy nie zobaczysz.

Władek miał rację. Nie dane było Tadeuszowi polować więcej na łosie. Ani na Górze Wołowej, ani gdzie indziej. Młodzieńczy rapsod myśliwski urwał się.



## Rozdział VII

### HISTORIA GMATWA SIĘ

„Historia to rzecz zagmatwana” — powiedział wybitny pisarz polski i miał rację. Byliśmy obaj z Tadeuszem Irteńskim świadkami obu rewolucji rosyjskich 1917-go roku: lutowej i październikowej. Przeczytaliśmy niezliczoną ilość druków poświęconych tym rewolucjom. Rachując oszczędnie powiedziałbym, że przeczytaliśmy równowartość stu bitych tomów, czyli około 30 tysięcy stron, czyli około 11 milionów słów. Wśród przeczytanego materiału były i tzw. „dzieła” historyczne, i pamiętniki i artykuły polemiczne. Nie czytaliśmy rzecz jasna opracowań sowieckich, bo co za sens czytać łągarstwa „uczonych”, którzy nawet do genetyki i filologii podchodzą przyczepiwszy sobie brodę Marxa, wyskubaną nota bene przez niedouczków bolszewickich. Lektura nasza trwa, bo w chwili, gdy piszę te słowa, kilku aktorów z wielkiej sceny współczesnej żyje jeszcze i skacze sobie do oczu. Polemiki między nimi dotyczą — ściśle mówiąc — nie „przyczyn” rewolucji, lecz kwestii, kto ponosi „odpowiedzialność” za rewolucję. Liczni jeszcze na emigracji monarchiści winią nie tylko rewolucjonistów, ale całą inteligencję rosyjską, oskarżając ją o podkopywanie historycznego „pionu” monarchicznego, na którym miał się trzymać porządek całego imperium. Winią w szczególności Milukowa za to, że w listopadzie 1916 rzucił z trybuny dumskiej zapalne pytanie, które przewlekłym grzmotem potoczyło się po całym imperium: „Głupota czy zdrada?” Liberalowie i lewicowcy wskazują natomiast, że pion był już wtedy mocno nadgniły i że właśnie to gnicie pionu sprawiło, że wybuch rewolucji był nieunikniony.

Kwestia „winy” i „odpowiedzialności” za przewrót dziejowy jest rzecz jasna dość naiwnym postawieniem sprawy i można by było „przejsć nad nią do porządku dziennego”, gdyby nie

to, że się ona łączy z zagadnieniem tzw. przyczyn. Co było przyczyną rewolucji? Wyżej w rozdziale I wskazałem, że prawdziwą datą wybuchu rewolucji był nie luty-marzec 1917 roku, lecz dzień 19 lipca starego stylu (1 sierpnia nowego stylu) 1914 roku. Gdyby nawet mój wybór daty uznać za dowolny, to jednak wszyscy chyba przyznamy, że właśnie w tym dniu zaczęły działać różne „czynniki”, przedtem nieistniejące, niewidoczne lub uśpione.

A potem wszystko potoczyło się ku nieubłaganemu końcowi nabierając powoli rozpędu: wysłanie na śmierć kadr zawodowych, a przede wszystkim kadr pułków gwardii, w ciągu pierwszych miesięcy wojny; rozbudowanie do potwornych rozmiarów i tuż przy froncie wszelkiego rodzaju „ziem-huzarstwa” — band rozleniwionych i z lenistwa albo zgrywających się w karty, albo politykujących; trzymanie w stolicy rozbałwanionych i rozagitowanych gwardyjskich batalionów zapasowych, z których każdy był ilościowo większy od pułku a nieraz większy od dywizji; tradycyjna nienawiść sięgająca czasów Piotra I szeregowych marynarzy do oficerów marynarki; notoryczne niedołęstwo kwatery głównej i wielu generałów frontowych; skandaliczne braki zaopatrzenia wojska w broń i amunicję, co doprowadziło do klęsk 1915 roku; bezustanny, niezrozumiały a więc irytujący kontredans na stanowiskach ministerialnych; bezpodstawne lecz bardzo rozpowszechnione i znajdujące posłuch plotki, że cesarzowa jest germanofilką i że dąży do zawarcia odrębnego pokoju; coraz głośniejsze i coraz śmielsze szeptki o „ciemnych siłach” i „zdraździe”; pogłoski o gotującym się przewrocie pałacowym z zamknięciem carycy w klasztorze; opozycja całej inteligencji rosyjskiej — od członków rodziny carskiej do socjalistów przeciwko rządowi nieoficjalnej regentki-carowej; ogólne zmęczenie wojną...

Przytoczyłem kilka „przyczyn” nie tyle przykładowo, ile na chybił trafił. Pierwszy z brzegu historyk lub po prostu ktoś, kto tamte czasy pamięta lub nad nimi rozmyślał, może dorzucić kilka — kilkanaście — kilkadziesiąt — setkę — tysiąc dalszych przyczyn\*. Aż dojdziemy do tołstojowskiej „przyczyny wszystkich przyczyn”. I wojna i rewolucja wybuchły dlatego, że — wybuchły. A już na pewno nikt ich nie „organizował”. Doszukiwanie się przez historyków jakichś „przyczyn” lub „winnych” jest rozrywką umysłową tyleż wartą, co rozwiązywanie krzyżówek. Byłaby to rozrywka równie niewinna, gdyby nie

---

\* Można dodać, jako jedną z niezliczonych przyczyn, rozagitowanie robotników petersburskich (ob. odsyłacz do rozdziału IV-go).

prowadziła do zamącania umysłów niełubiących myśleć lub niezdolnych do samodzielnego myślenia.

Nazajutrz po wybuchu rewolucji „lutowej” mówiono w Petersburgu, że baby stojące o świcie w kolejce po chleb zirytowały się i wyrzuciły wychodzący z remizy wagon tramwajowy. Dodać trzeba, że baby nie były głodne — głód rozpoczął się dopiero w osiem miesięcy później — były po prostu zmęczone i zirytowane. Wszyscy w Rosji byli wtedy zmęczeni i zirytowani. I dodać trzeba, że kraj i stolica miały olbrzymie zapasy mąki i innej żywności, ale władze nie umiały zorganizować zaopatrzenia. Historycy mają do rozwiązania dylemat: czy rewolucja wybuchła dlatego, że baby zirytowały się i wyrzuciły tramwaj, czy też baby zirytowały się i wyrzuciły tramwaj dlatego, że wybuchła rewolucja?

Na razie jesteśmy jeszcze w przededniu rewolucji. Nie tylko nie ma jej, ale nawet nie czuć jej w powietrzu. Ludzie krążą wprawdzie znudzeni, ale dwa i pół lata wojny mogą przecie każdego znudzić. W Kuchni studenckiej wszystko bez zmiany. Tyle że słynny befsztyk z przedniej połędwicy kosztuje już nie 30 lecz 32 kopiejki i że zjawilo się sporo studentów w mundurach. Chleba w bród. Tramwaje dzwonią i krążą normalnie.

Tadeusz z kolegami chodzi na „biega”. A wieczorami odbywa się loteryjka u Widackiego i Pudłowskiego, albo tzw. „tani hazardzik” w chemin de fer. Partnerami są Toluś Rusiecki, Władek Krecz, Mietek Goryniewski, Wiktorek Korsak, Henio, Andrzej i Tak (Otton) Węclawowiczowie. Ci trzej ostatni w mundurach. Rudy nie gra, bo z reguły nie ma pieniędzy, a Sewerek Odyniec — bo go gra zanadto podnieca. Gdy nie ma „taniego hazardzika” Wiktorek siedzi cicho przysłuchując się rozmowie kolegów. Po godzinie milczącego słuchania wstaje i mówi:

— Do widzenia. Wychodzę, bo rozmowa mnie męczy.

Odpowiada mu śmiech. Dopiero po upływie szeregu lat Tadeusz zrozumiał ile mądrości było w powiedzeniu Wiktora. Czy istnieje bowiem coś bardziej męczącego, niż słuchanie cudzego monologu lub odczytu?

Sewerek też wstaje. Mówi, że idzie do państwa Tyszyńskich, u których zamierza pożyczyć trochę pieniędzy.

— Mam u nich nieograniczony kredyt — powiada.

— Co to znaczy: nieograniczony kredyt? — pyta Krecz.

— Do dziesięciu rubli.

Po wyjściu Sewerka reszta towarzystwa też się rozchodzi. Toluś i Tadeusz idą do Muzykalnej Dramy na „Fausta”, gdzie

partię Siebla śpiewa męczyzna tenor, a Mefista — Mozzuchin, brat aktora filmowego. Mietek, Władek i inni idą do łaźni.

Pewnego wieczoru Tadeusz z Tolusiem poszli do teatru „Bouffe” na Fontance, gdzie w „Pięknej Helenie” występowała Wiktoria Kawecka. Partię swoją wykonywała po polsku. Nie tylko arie ale i dialogi, Gdy na scenie zjawił się Parys, którego grał, przystojny tenor p. Ksjendzowskij, i gdy Kawecka powiedziała: „Cóż to za piękny młodzieniec” — widownia aż się zatrzęsała od śmiechu. Chodzi o to że „mładzieniec” znaczy po rosyjsku „niemowlę” i że zapewne większość widzów uznała, że Kawecka powiedziała dowcip.

Poza operą, operetką i łaźnią było moc rozrywek. Teatryki na wzór „Troickiego teatru” lub „Kriwego zwierkała” rosły jak grzyby po deszczu. Śpiewała w nich lekkie piosenki Iza Kremer. Sławę jej miał wkrótce zaćmić przyjeżdżający z Moskwy na gościnne występy Aleksander Wiertinski debiutujący właśnie w stroju „smętnego Pierrota” piosenkami o papudze, która płakała po francusku, i o dziewczynie, którą kokaina ukrzyżowała na mokrych bulwarach moskiewskich. Był też kabaret „Letuczaja mysz” zwany popularnie „Letuczka”, zwykły kafeszantan nic nie mający wspólnego z moskiewskim kabaretem o tej samej nazwie. W petersburskiej „Letuczce” można było dostać za drogie pieniądze likier o podejrzanym smaku w filiżankach kawowych. No i można było zawrzeć pożyteczne znajomości z dziewczynami lekkiego prowadzenia. Do „Letuczki” chodziło się po wygranej na „biegach”.

Chodziło się też do eleganckiej restauracji „Pierwogo towarzyszcstwa oficjantow” na rogu Newskiego i Sadowej. Tam Tadeusz miał chwilę przelotnego wzruszenia rozpoznawszy w okazałej i wytwornej blondynie przy sąsiednim stoliku swój flirt miński sprzed dwóch i pół lat — Dikę Dietrichs — obecnie żonę jakiegoś dygnitarza petersburskiego.

W restauracji Donona łąkały spazmatycznie skrzypce cygana Gulesko. W teatrykach śpiewano a w restauracjach rzępolono pieśni „Cziornyje gusary”, „Na ulice pyl podymaja”, „Stieńka Razin”, „Noczka tiomnaja”. „Noczkę tiomną” — melodię pseudo-ludową, bardzo prymitywną i o głupich słowach — grajek-wirtuoz ozdabiał różnymi wariacjami i fioryturami. Tekst jej parodiowano (prywatnie) na przeróżne sposoby, np.:

*Czem targujesz?*

*Mielkiem risom.*

*Czem bolejesz?*

*Sifilisom.*

14

albo w sposób bardziej nieprzyzwoity:

*Siadłem, bratcy,  
Potokujęm,  
Czto nam dziełať  
S miagkim.....*

Ludzie zabijali nudę robieniem interesów. Bohdan Zalutyński, noszący epolety pułkownika z cyfrą wielkiej księżny Marii Pawłowny i pełniący funkcje zastępcy naczelnego pełnomocnika na front zachodni organizacji pozostających pod jej opieką, grał z powodzeniem na giełdzie. Praca w organizacji, którą nazywał „gwardią sanitarną”, nie bardzo go absorbowała. Dostał się do tej „gwardii” i otrzymał w niej wysokie stanowisko i rangę pułkownika, bo ofiarował na rzecz tej instytucji 15 tysięcy rubli. Był w przyjaznych stosunkach z szefem, z kolegami, a przede wszystkim z samą wielką księżną, która go uważała za bufona, ale miała do niego słabość i przy spotkaniu protekcyjnie klepała po ramieniu. Miał czas nie tylko na grę na giełdzie, ale i na rozrywki. Polował na niedźwiedzie w gubernii petersburskiej. Mimo krótkiego wzroku był świetnym strzelcem i ubił na barłogu szarżującą na niego olbrzymią niedźwiedzicę. Wypchaną niedźwiedzicę podziwiano w przedsionku hotelu „Astoria”. Miała tam czekać końca wojny, by potem ozdabiać salon w rodzinnych Duchowlanach gubernii grodzieńskiej. Vis major sprawiła, że do Duchowlan nigdy nie dojechała i nikt dobrze nie wiedział ni wtenczas ni potem, co się z nią stało.

Poza tym Bodzio Zalutyński rozbijał się po Petersburgu na „lichaczu” tj. w dorożce zaprzęzonej w rysaka. Razu pewnego po obfitym śniadaniu w Hotelu Francuskim pędził ulicą Morską na lichaczu. Już lichacz skręcał w boczną ulicę, gdy z tyłu najechał go i z lekka potrącił samochód. Oba pojazdy zatrzymały się. Bodzio wyskoczył z sanek i zaczął od ostatnich słów wymyślać szoferowi. Mimo imponującej figury Bodzia i mimo jego epoletów pułkownikowskich z cyfrą wielkoksiążęcą szofer nie tylko nie wykazał skruchy, lecz zaczął się hardo stawiać. Tego było za wiele. Bodzio zaczął ściągać rękawice mając zamiar przystąpić do rękoczynów. W tej chwili jednak drzwiczki karetki samochodowej otwarły się i wyszedł z niej wysoki przystojny cywil w luźnej czapce.

— Na jakiej zasadzie wymyśla pan memu szoferowi? — zapytał spokojnie.

— Bo ten bałwan najechał na mnie. Zresztą, co mam z panem gadać, jeżeli...

— Przepraszam — przerwał cywil — czy mogę wiedzieć, kim pan jest?

— Jestem zastępcą naczelnego pełnomocnika organizacji wielkiej księżny Marii Pawłowny na front zachodni, a pański szofer...

— Ach tak — znów przerwał cywil — niechże pan zakomunikuje wielkiej księżnie, że wielki książę Dmitrij Pawłowicz udzielił panu upomnienia.

To mówiąc dotknął czapki, siadł z powrotem do samochodu i odjechał.

(*Interludium.* A w Mohyłowiu w „namiocie” naczelnego woźdza, siedział — mityczny i mistyczny — z pięknymi szafirowymi oczami, ładnym przedziałkiem i niewielką bródką, dokładnie taki sam jak na milionach oleodruków rozsianych po miastach, miasteczkach i wsiach imperium — cesarz Wszechrosji, król polski i wielki książę finlandzki. Był fatalistą obojętnym na fermentujący w stolicy „gniew ludu”, który był zresztą raczej doprowadzoną do stanu wrzenia irytacją inteligencji. A może o tym gniewie ludu nie wiedział. Chodził pilnie na nabożeństwa, jeździł na spacer, grał w kości, pracował tj. wysłuchiwał raportów gen. Aleksiejewa i podpisywał papierki, jadał posiłki ze świtą, czarował wszystkich prostotą i uprzejmością. Hrabia Witte nazwał go w swych pamiętnikach najlepiej wychowanym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał w życiu, dodając, że go z pradziadem Aleksandrem I łączyły dwie cechy — mistycyzm i przewrotność (*kowarstwo*). Ale — mówił dalej Witte — o ile Aleksander I był na swoje czasy jednym z najrozumniejszych ludzi epoki, o tyle inteligencja Mikołaja II była inteligencją gwardyjskiego pułkownika z dobrej rodziny. Był we wszystkim niewolniczo posłuszny żonie, która była niewolniczo posłuszna radom „świętego” starca Rasputina. Można powiedzieć bez przesady, że wszystkie nominacje na ministrów carskich czasu wojny — a zmiany na stanowiskach ministerialnych odbywały się coraz częściej — były nominacjami z woli muzyka z podskubaną brodą i z magnetycznym spojrzeniem głęboko osadzonych „strasznym” oczu. W listach do męża carowa nazywała Rasputina „przyjacielem”. Całowała go w rękę publicznie na oczach córek, dworu i wojsk. Przystrogi, które carowi do jednego ucha szeptały — narażając się na niełaskę i nienawiść carycy — wierni tronowi wrogowie „ciemnych sił”, caryca wydmuchiwała mu przez drugie ucho. Wydmuchiwała listownie lub osobiście, często bowiem odwiedzała kwatery główną w Mohyłowiu. W przewidywaniu ogłoszenia przez cesarza niemieckiego i austriackiego odezwy o utworzeniu Kró-

lestwa Polskiego Mikołaj II pod naciskiem ministra Sazonowa postanowił ogłosić manifest nadający Królestwu Polskiemu autonomię. Manifest był bodaj już podpisany, bo cesarz przy świadkach wieszował koniuszemu dworu hr. Wielopolskiemu i prosił go o przekazanie dobrej nowiny rodakom. Ale — pisze naczelny kapelan rosyjskich sił zbrojnych Szawielski — nazajutrz carowa „przygalopowała” do Mohylowa i manifest wstrzymała. A Sazonow wyleciał z posady ministra spraw zagranicznych).

Bodzio Zalutyński grał na giełdzie. Pan Maciej Kończa z Kowieńszczyzny — młody jeszcze stosunkowo człowiek z dużą brodą, co było wtedy rzadkością wśród Polaków — kupował i sprzedawał samochody. Były to wszystko nie interesy, ale zaledwie interesiki. Prawdziwe interesy robił król spekulantów petersburskich Mit'ka Rubinsztejn. Hulał z Rasputinem, zwanym pospolicie „Griszką”, i wypraszał od niego kartki do rozmaitych ministrów. Na kartkach tych Rasputin gryzmolił niegramatyczne prośby, które miały moc rozkazów carskich. Prośby były spełniane błyskawicznie i Mit'ka dostawał zamówienia na wielomilionowe dostawy wojenne.

Astronomiczne spekulacje Mit'ki nie dawały spać panu Józefowi Bohdanowiczowi z Wileńszczyzny, bratu wspomnianego przez nas „chersońskiego pomieszczyka” — szczęśliwego handlarza „martwymi duszami” krów. Od spółki zajętej dostawą owsa dla kilkuset tysięcy petersburskich koni dorożkarskich dowiedział się przypadkowo, że dorożkarze odczuwają ostry brak owsa, ale ministerstwo nie daje spółce pozwolenia na wwóz odpowiedniej ilości owsa do Petersburga zasłaniając się potrzebami frontu, który ma pierwszeństwo. Pan Józef postanowił spróbować szczęścia. Zaczął obijać progi ministerstwa, ale bez skutku. Wtedy zmienił taktykę. Po zwąchaniu się z kilku ciemnymi figurami zdołał trafić do „starca” i otrzymać od niego brudny skrawek papieru z gryzmołami tej treści: „Kochany! Uwzględnij prośbę, bo biedni dorożkarze cierpią. — Grigorij”. Z tą kartką poszedł do ministerstwa. Dyrektor departamentu, do którego się zwrócił, na razie gadać z nim nie chciał.

— Przecie mówiłem już panu, że owies potrzebny jest dla frontu, który ma pierwszeństwo.

Pan Józef pokazał wtedy kartkę Rasputina. Dyrektor zmienił się na twarzy i pobiegł do ministra. Po kilku minutach wrócił oznajmiając, że podanie spółki zostanie uwzględnione i że odpowiednie pozwolenie będzie do odebrania nazajutrz rano. Pan Józef zasnął tej nocy w różowym obłoku snując plany, w

jaki sposób zużytkuje te kilkadziesiąt tysięcy komisowego, które miał przyręczone za wydobywanie kartki od „Griszki”.

Nazajutrz czytając gazetę przy rannej herbacie ledwie zwrócił uwagę na dość tajemniczą wiadomość o kaloszu znalezionym przez policję koło przerebli na jednej z odnóg Newy. Z przerebli tej wyciągnięto bosakami trupa, przy czym zapewne nie ustalono jego tożsamości, bo pisano dość dziwnie, że jest to trup „osoby”.

— Cóż to za fantastyczne brednie drukują w gazetach — pomyślał.

(„Czy mogłem się domyślić — opowiadał później — że o ten kalosz rozbija się mój złoty interes?”).

Zaraz po śniadaniu pojechał do jednego z członków spółki, dla której starał się o magiczną kartkę „Griszki”. Zawiadomił go o pomyślnym wyniku starań, po czym obaj pojechali do ministerstwa po odbiór pozwolenia. Sekretarz dyrektora departamentu spotkał ich jakimś dziwnym spojrzeniem. Powiedział, że dyrektor jest zajęty i odesłał ich do naczelnika wydziału. Naczelnik wydziału też ich nie przyjął i kazał zawiadomić przez urzędnika, że podanie o pozwolenie na wwóz owsa zostało załatwione odmownie.

— Jakto? — zapytał pan Józef czując, że blednie — przecie wczoraj pan dyrektor obiecał... To chyba jakieś nieporozumienie.

— Nie ma żadnego nieporozumienia — odparł urzędnik mrużąc oczy — wczoraj było wczoraj, a dzisiaj jest dzisiaj...

A potem, jakby litując się nad smutnymi minami petentów, schylił się i szepnął:

— To panowie nie wiedzą, że Griszka został zabity?

Zima 1916-1917 zaczęła się miękko i puszyście. Ale na Boże Narodzenie spadły wielkie śniegi, a potem przyszły mrozy siarczyste. Tadeusz w Baćkowie polował z gończakami. Po odejściu parku artyleryjskiego żaden oddział bojowy nie stacjonował już w Baćkowie. Front się ustabilizował. Przed rokiem bawił tylko w ciągu paru miesięcy jakiś oddział intendentury. Dowódca tego oddziału był uprzejmy i kulturalny. Pani Irteńska zapraszała go na posiłki. Raz w czasie obiadu prosił panią Irteńską o radę. Zajęty był skupowaniem świń na mięso dla wojska, a teraz musi złożyć władzom zwierzchnim wyrachowanie się z sum przeznaczonych na karmienie świń. Otóż — czy pani Irteńska nie mogłaby mu wyjaśnić, ile mniej więcej siana zjada świnia



dziennie? Bardzo się zmartwił dowiedziawszy się, że świń sianem się nie karmi.

Ale wracam do stycznia 1917. Śniegi były głębokie i miękkie. Gon odbywał się bardzo powoli, bo pieski zapadały w śnieg po brzuchy. A biedne szaraki nie mogąc się utrzymać na powierzchni tonęły niemal w śniegu i dlatego zaraz po ruszeniu przez pieski starały się wydostać na wysłizganą i twardą drogę lub na wydeptaną ścieżkę. Ułatwiało to ogromnie łowy, bo nie trzeba było szukać przesmyków: wystarczało pilnować szaraka na drodze.

Później przyszło parę dni odwilży a potem znów mrozy. Śnieg pokrył się skorupą. W takie dni lis czatuje na myszy, które nieopatrznie — czy to dla zacerpnienia powietrza czy dla słońca — przebijają się przez skorupę i wyłażą na powierzchnię. Lis tak jest zaabsorbowany tym polowaniem, że daje się łatwo podjechać. Toteż nieraz, skoro tylko leśnik, ekonom lub któryś z parobków oznajmił Tadeuszowi, że — jak w „Ojczyźnie naszej” Fredry — „liszka na słońcu czerni się z daleka”, Tadeusz co prędzej siadał w rozwałki i próbował polowania z podjazdu — z rozmaitym rezultatem.

W pierwszych dniach lutego ruszył do Mińska, a stamtąd do Petersburga. W Petersburgu zatrzymał się u Władka Krecza i Wiktora Korsaka, którzy mieli duży pokój na parterze przy zaułku Maksymilianowskim, niedaleko placu Teatralnego z jednej strony i willi Jusupowa, gdzie zabito Rasputina, z drugiej strony.

Petersburg był jakby przyczajony. (Może zresztą jest to tylko złudzenie pamięci zrozumiałe we wspomnieniach pisanych w czterdzieści kilka lat post factum). „Gniew ludu” trwał już od szeregu miesięcy, więc uważano go za zjawisko raczej chroniczne. Nikt nie czuł zbliżającej się burzy. Zabójstwo Rasputina ani nie uspokoiło umysłów, ani nie złagodziło uporu „Carskiego sioła”. Prawdopodobnie przyszło za późno. W Kuchni na Zabałkańskim krążyły zapisane pismem maszynowym świstki z wiadomościami, których nie było w oceniurowanych gazetach. Czytano więc o zsyłce wielkiego księcia Dmitrija Pawłowicza na Kaukaz za udział w zabójstwie Rasputina i treść rezolucji carskiej zawierającej skąd inąd słuszną sentencję, że „nikomu nie wolno zabijać”... Jednocześnie wszyscy wiedzieli, że ks. Jusupow i Puryszkiewicz nawet nie zostali aresztowani.

— Dziwne — mówił Władek Krecz — Carskie Sioło od dwóch miesięcy jest bez przerwy w żałobie i odprawia panichidy

po Griszce, a mimo to jego zabójców nie pociągnięto do odpowiedzialności.

A jednak, choć Rasputin nie żył a zabójcy jego przechadzali się na wolności, duch rasputinowski trwał w Carskim Siole. Wprawdzie usunięto obskurnego premiera Stürmera i na jego miejsce posadzono miękkiego, słabo orientującego się w sytuacji, Bogu ducha winnego ks. Golicyna, ale minister spraw wewnętrznych Protopopow, najbardziej znieawidzona kreatura Rasputina a poza tym człowiek chory umysłowo, mocno siedział na fotelu ministerialnym. Wtedy to „kamienie zaczęły krzyczeć”: sędziwi członkowie Rady państwa oraz zjazd Zjednoczonej szlachty zwrócili się do tronu z błaganiami o powołanie rządu złożonego z ludzi posiadających zaufanie społeczeństwa. Apel ten pozostał bez odpowiedzi.

Pewnego ranka mroźnego i słonecznego Tadeusz z Kreczem postanowili udać się do uniwersytetu. Gdy wyszli na plac Teatralny, nie mogli na razie zrozumieć dziwnej ciszy panującej w mieście. Dopiero po chwili zorientowali się, co było przyczyną tej ciszy. Na ulicach nie było ani dorożek, ani tramwajów. (Może to właśnie tego ranka legendarne baby wywróciły legendarny tramwaj?). Na chodnikach krążyło sporo pieszych. Niektórzy z nich łączyli się w ożywione grupki. Wszyscy mieli podniecone lub zaniepokojone twarze. Mówili że coś się dzieje na Newskim prospekcie. Przyjaciele odbyli więc długi spacer w tym kierunku. Na Newskim zwolna poruszał się zwarty tłum. Tłum ten robił wrażenie gapiów a nie manifestantów. Policji nie było widać. A kozacy na koniach jechali stępa albo zatrzymywali się przyjaźnie rozmawiając z tłumem. Nikt dobrze nie wiedział, co się stało i co się dzieje. Podobno pułk Preobrażeński strzelał do pułku Pawłowskiego, czy też odwrotnie — pułk Pawłowski strzelał do pułku Preobrażeńskiego. Tadeusz i Krecz ruszyli więc do Kuchni. W ciszy wolnej od gwaru ulicznego dolatywały skądś strzały — salwami i pojedyncze.

W kuchni było tłoczno i gwarno. Ale i tam nikt nic dokładnie nie wiedział. Znów krążyły papierki z wydrukowanymi na maszynie wieściami — często sprzecznymi. W Kuchni było kilku oficerów. Jeden z nich przyniósł wiadomość, że żołnierze zdzierają oficerom epolety. Praporszczyk pułku Narwskich huzarów Dziewicki, przystojny tęgi blondyn, bardzo się denerwował:

— Przecie ja nie mogę pozwolić, aby mi zdzierano epolety! Będę się bronił szablą!

Historia nie zanotowała, jak się zachował praporszczyk Dziewicki, wiadomo natomiast, że wielu oficerów przezornie zdję-

ło epolety z płaszczów, aby nie drażnić bestii. Gdy pierwsza go-rączka rewolucji „lutowej” minęła, przyczepili sobie epolety z po-wrotem.

Noc minęła niespokojnie. Słychać było strzały i krótkie se-rie z karabinów maszynowych. Jeden karabin maszynowy traj-kotał gdzieś bardzo blisko — zapewne na placu Teatralnym. Tak minęły dwa dni.

A gdy na trzeci dzień przyjaciele wyszli na miasto, ulice wyglądały już inaczej. Maszerowały oddziały piechoty z czerw-nyimi sztandarami. Raz po raz przejeżdżała z hukiem ciężarów-ka z platformą pełną marynarzy. Marynarze mieli rozradowane i zwycięskie twarze i też powiewali czerwonymi sztandarami. Gdzieś z daleka dochodziły dźwięki Marsylianki. Od czasu do czasu padały strzały: to piechota strzelała na wiwat. W powie-trzu krążyły stada gołębi spłoszonych strzałami.

Tu i ówdzie wiatr powiewał wiszącymi na ścianach obwiesz-zeniami dowódcy petersburskiego okręgu wojennego generała Chabałowa, głoszące że w stolicy zdarzyły się „nieporządki” (tj. rozruchy) i że winni tych nieporządków będą karani z całą su-rowością prawa wojennego.

— Nieporządki! — wykrzyknął Krecz z przekąsem — Nie-porządki to znaczy, że niegrzeczni chłopcy nasypali popiołu i niedopałków na dywan, poplamili obrus i zanieczyścili wycho-dek...

W Kuchni dowiedziano się dalszych wiadomości. Wszyst-kie zapasowe bataliony pułków gwardii — Wołyńskiego, Pa-włowskiego, Preobrażeńskiego, Litewskiego, Moskiewskiego, Kek-sholmskiego, Izmajłowskiego — przeszły na stronę rewolucji. Strzelanie z karabinów maszynowych do rewolucjonistów było podobno pomysłem ministra Protopopowa, który posadził na strychach policjantów uzbrojonych w karabiny maszynowe. Po-mysł był głupi. Rewolucjoniści posuwali się wzdłuż ścian gdzie ich strzały z dachu nie mogły dosięgnąć, włazili na strych, ścia-gali stamtąd znienawidzonych policjantów zwanych „faraonami” a tłum masakrował ich na ulicy\*. Duma państwowa obrado-wała dzień i noc i wysłała delegację do kwatery głównej w Mo-hylowie.

Tadeusz postanowił zaraz wracać do Mińska. Nazajutrz Krecz pomógł mu zanieść walizkę na Dworzec Carskosielski — do

---

\* Najbardziej godny zaufania historyk rewolucji, bo nie bawiący się w syntezy i specjalista od obalania ustalonych legend, Siergiej Mielgu-now w książce „Martowskije dni 1917 goda” twierdzi, że żadnych ku-lomiotów protopopowskich nie było. Jeśli tak, to pozostaje kwestią otwar-tą, czyje karabiny maszynowe słyszał Tadeusz Irteński.

rozek i tramwajów wciąż nie było. Na dworcu panował spokój. Tylko przed dworcem na prospekcie Zagorodnym defilowały pułki rewolucyjne z Marsylianką i czerwonymi sztandarami. Pociąg odszedł według rozkładu i nie był przepełniony. W wagonie restauracyjnym mówiło się o wszystkim, tylko nie o tym, co się działo w Petersburgu.

Na dworcu w Orszy nie było już żandarma na peronie, ale byli policjanci.

Na dworcu w Mińsku był jeszcze żandarm i policjant.

## Rozdział VIII

### „CHMURĄ ŚNIEŻNEJ KRUPY PRZEDZIMOWEJ NIESIONY”...

Gdy w Petersburgu trwała rewolucja, którą później przeważano „lutową”, pociągi ze wszystkich dworców kolejowych stolicy odchodziły normalnie. Ludzie wyjeżdżający z Petersburga rozwozili po całym kraju wieści o toczących się w stolicy „nieporządkach”. Wiedzano więc o nich w Mińsku przed przyjazdem Tadeusza. Ale nie wiedzano ani szczegółów, ani przebiegu, ani wyniku. Sztab frontu zachodniego miał jak najściślej depe-sze z Petersburga i Mohylowa, wystukiwane co kilka godzin na taśmie aparatu Hughesa, ale gen. Ewert nakazał cenzurze wojennej nie puszczać tych wiadomości do miejscowej prasy. Stąd też w dniu przyjazdu Tadeusza rewolucji w Mińsku oficjalnie nie było, na rogach ulic stali policjanci, a na dworcu przechadzał się żandarm. Dopiero wieczorem przysła wieść o abdykacji cesarza. Gen. Ewert zniósł cenzurę i nazajutrz gazety zaczęły się szczegółami — prawdziwymi i nieprawdziwymi — o rewolucji. Stójkowi i żandarmi znikli jak kamfora.

Tadeusza zarzucano pytaniami — w domu, na ulicy, w kawiarni „Select”. Nie miał ani daru opowiadania, ani daru blagi, więc odpowiadał półsłówkami. Czasem wręcz prosił, aby się od niego odczepiono. Bo o czym miał opowiadać? Ze słyszał w nocy serie karabinu maszynowego, a w dzień widział ciężarów-ki naładowane marynarzami którym wstążeczki u czapek furkotały na mroźnym wietrze? Lub o tym, że po każdym strzale na wiwat gołębie chmurą wzbijały się pod niebo? Pan Irteński nie był z syna zadowolony:

— Jako? — pytał — przeżyłeś w Petersburgu kilka dni historycznych i nie masz o czym opowiadać?

W parę dni później Mińsk był już zalany gazetami, proklamacjami, czasopismami humorystycznymi. Powódz papieru zadru-

kowanego była rokiem 1905-ym w dziesiątej potędze. Rosja odbijała sobie dwanaście lat reakcji i trzy lata cenzury. Przyszedł rozkaz numer 1 znoszący obowiązek salutowania oficerów. Przyszła jakaś „deklaracja praw żołnierza i robotnika”. Szeregowcy zaczęli tytułować oficerów „towarzyszami”. Na dworcu brzeskim żołnierz zwrócił się do starego generała:

— Towarzyszu, czy nie moglibyście poczęstować mnie papierosem?

Generałowi łzy zakręciły się w oczach:

— Zabieraj całą papierośnicę, ale powiedz mi, w jaki u diabła sposób jestem twoim towarzyszem?

Żołnierz na pytanie nie odpowiedział, ale uradowany zagarnął papierośnicę i znikł w tłumie szarych szyneli.

Na św. Kazimierza pan Irteński urządził przyjęcie imienninowe. Zjawili się wszyscy notable mińscy i sporo ziemian przyjezdnych z panem Edwardem Woyniłłowiczem na czele, bo odbywało się właśnie w Mińsku walne zebranie Towarzystwa rolniczego — pierwsze od niepamiętnych czasów, na którym obrady toczyły się po polsku.

Piwnica pana Irteńskiego jeszcze nie ucierpiała, toteż po kolejkach starki krążyły kielichy z dobrym winem. Za stołem rej wodził pan Ludwik Uniechowski, który dni rewolucji przeżył w Moskwie. W przeciwieństwie do Tadeusza miał dar opowiadania i wszyscy słuchali go w skupieniu, choć właściwie nic szczególnego nie widział prócz manifestujących na ulicy tłumów, w Moskwie bowiem nie było ani strzelaniny, ani w ogóle „nieporządków”. Na Tadeusza, naocznego świadka „prawdziwej” rewolucji, nikt nie zwracał uwagi, siedział więc zawstydzony i wstyd zapijał burgundem. Przejść miało szereg lat, zanim się dowiedział, że dobre opowiadanie polega na tym, *jak* się opowiada, a nie na tym, *co* się opowiada.

Po panu Uniechowskim głos zabrał pan Edward Woyniłłowicz. Mowa tego wodza konserwatystów mińskich miała charakter historiozoficzno-polityczny. Porównał rewolucję petersburską z Wielką rewolucją francuską i znalazł pewne analogie. Wielki książę Michał Aleksandrowicz odmawiający korony, której na jego rzecz zrzekł się Mikołaj II, przypomniał panu Edwardowi Filipa Egalité. Porównanie jak porównanie: nie było zbyt trafne, ale w dalszej części przemówienia zabrzmiały akcenty proce:

— To, co się teraz dzieje, to dopiero początek. Czeka nas dni ciężkie i groźne...

Tak czy inaczej bezmała tysiącletni system rosyjski rozsypał się. Rozsypał się dosłownie jak domek z kart. Oprócz stoj-

kowych ustawionych (podobno) z kulomiotami na strychach petersburskich przez ministra Protopopowa i prócz gołowąsych junkrów — nie wszystkich i nie wszędzie — nikt monarchii nie bronił. Zapanowała dezorientacja i owczy pęd. Tadeusz, który wtedy przez parę tygodni prowadził dziennik, zapisał pewnego dnia:

„Była u nas wczoraj ciocia Paulina. Rzuciła się mamie na szyję z okrzykiem:

— A więc mamy wolność! Mama ją odsunęła mówiąc: — Zasmakujesz jeszcze w tej wolności, gdy chłopci wam odbiorą wasze tysiąc dziesięcin ziemi ornej”.

Następnego dnia Tadeusz dopisał w dzienniku:

„Nie myślałem, że z cioci Pauliny taka idiotka”.

(Pani Irteńska nie przewidziała, że bolszewicy odbiorą cioci Paulinie 1000 dziesięcin ziemi ornej i drugie tyle lasu dopiero w 22 lata później).

W domu Irteńskich rewolucja nie budziła entuzjazmu. Od razu — pierwszego dnia, gdy gazety podały pierwsze enuncjacje Rządu tymczasowego, pan Irteński nachmurzył się:

— Rozumiem: rząd tymczasowy. Ale dlaczego ten rząd tymczasowy wydaje wszystkie swe zarządzenia w porozumieniu z jakimś sowietem delegatów żołnierskich i robotniczych? Przecie to wyraźny dualizm władzy!

A w Petersburgu pogłębiano zdobycze rewolucyjne, cackano się z jakąś „babką rewolucji rosyjskiej”. „*Adwokaci rządzi-li, naradzali się, wydawali odezwy*”. Rząd tymczasowy ogłosił deklarację proklamującą niepodległość Polski. Był to pod względem formalnym wielki krok naprzód od czasu odezwy wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza sprzed trzech lat, ale mimo to deklaracja nie wywołała wielkiego zachwytu. Może dlatego, że wszystko było płynne, niepewne. Dopiero w wiele lat później niektórzy „politycy” przypomnieli sobie tę odezwę upatrując w niej „tytuł prawny” do niepodległości Polski. Jak gdyby niepodległość wymagała tytułu prawnego?! Ci politycy byli fetyzami litery prawa, niczym powiatowi referenci weterynarii, którzy uważali, że wystarczy wydać przepis nakazujący nakładanie psom kagańca, aby wyleczyć powiat z plagi wściekliczny.

W Mińsku też naradzano się, meetingowano, urządzano pochody. Woniejąc benzyną toczyły się na pierwszych biegach ciężarówki z czerwonymi sztandarami i orkiestrą. Orkiestra grała „francuską” Marsyliankę, żołnierze ryczeli pod jej dźwięki uproszczoną „rosyjską”, której rytm nie odpowiadał rytmowi „francuskiej”. Wychodziła mała kakofonia, nie psuło to jednak podniosłego nastroju rewolucyjnego.

Towarzystwo rolnicze obradowało ad infinitum. Gdy przy stoliku w „Selekcje”, przy którym zasiadali Tadeusz i Rudy, ktoś zapytał, co będzie dnia tego tematem obrad, Rudy odpowiedział:

— Głos zabierze Władek Korcozowicz i w kilku słowach wyjaśni sedno sprawy.

Dowcip polegał na tym, że Władek miał umysł powolny i jak najmniej nadawał się do wyjaśnienia sedna jakiegokolwiek sprawy, a zwłaszcza sprawy tak zagmatwanej jak rewolucja.

Oficerowie krążyli po ulicach w epoletach i udawali, że nie widzą przechodzących szeregowych, którzy im naturalnie nie salutowali. Na Treku orkiestra po staremu grała walca „Dwie sobaczki”, albo potpourri z „Fausta”. Oficerowie grali w tenisa w białych koszulkach, na których były wyhaftowane złoto-czarne orły dwugłowe — już z wyprutą koroną.

Meetingi były duże i małe. Na jednym z dużych meetingów na placu przed dworcem wileńskim miał przemawiać sam Aleksander Kiereński, który wtedy objeżdżał front i płomiennymi mowami zachęcał oddziały do ofensywy. Na placu był olbrzymi tłum. Kordon wojska i milicji bronił dostępu na plac i wpuszczał tylko tych, którzy mieli jakieś „mandaty”. Tadeusz i Rudy nie mieli mandatów i straż nie chciała ich wpuścić. Wtedy Rudy krzyknął z miną groźną:

— Musicie nas puścić! Jesteśmy delegatami komitetu ciekawych (*komitieta lubopytnych*)!

Groźny głos zrobił wrażenie i skonfundowany milicjant przepuścił przyjaciół. Nie wiele jednak skorzystali. Tłum był tak zwarty, że się nie mogli precyzyjnie bliżej do trybuny. W owe czasy nie było megafonów, słyszeli więc tylko pojedyncze, cienkie, tłumione odległością wykrzykniki i widzieli gestykującego niewielkiego człowieczka w szarym frenczu.

Małe meetingi — najczęściej improwizowane — odbywały się wszędzie. A więc raz ciepłym wieczorem letnim Tadeusz otarł się o sporą gromadkę żołnierzy słuchających mówcy — też żołnierza — przemawiającego ze schodów kapliczki prawosławnej na skwerze. Mówca walił pięścią w pierś i krzychał w kółko:

— Towarzysze! Ja cierpiałem w okopach! Towarzysze, ja was nie namawiam, abyście szli rozbijać składy Związku ziemstw... Towarzysze, ja cierpiałem na froncie...

Mówca mówił poważnie, ale chwilami z histerycznym „nadrwym”. Żołnierze słuchali go poważnie i tępo. Wszystko wtedy było szare, śmierdzące kwaśnym sukniem szyneli, poważne, tępe. Na razie spokojne. Pod stopami szeleściła warstwa wy-



plutych łusek siemienia słonecznikowego i arbużowego. Szelest gryzionego siemienia był melodią rewolucji.

W przeciwieństwie do tego szarego i tępego spokoju „mas” inteligencja „wyżywała się”: obradowała, gadała, pisała. Liberalny „Minskij gołos” powtarzał: „Obok hasła (*lozung*): wszystko dla utrzymania zdobyczy rewolucyjnych! powinno zabrzmieć zawołanie (*klicz*): wojna do zwycięskiego zakończenia!” Na to zwycięskie zakończenie jakoś się nie zanosilo, bo na frontach zaczynało się bratać. Żołnierze rosyjscy i niemieccy wyłazili z okopów, spotykali się w pół drogi na „ziemi niczyjej”, częstowali się papierosami, rozmawiali na migi. Powstały rady i komitety żołnierskie — dywizyjne, pułkowe, batalionowe. One to powoli stawały się władzą deliberującą i wykonawczą.

Zasługę przeprowadzenia rewolucji, „wielkiej i bezkrwawej”, jak ją wtedy nazywano, przypisywali sobie eserzy i esdecy, tj. socjal-rewolucjoniści i socjal-demokraci, ale zaczęto też mówić o jakichś bolszewikach. Ale mówiono o nich mało, była to bowiem garstka „maksymalistów” (nie wielu wiedziało wtedy o prawdziwym pochodzeniu nazwy „bolszewicy”), na której czele stoją jacyś Lenin i Trocki. Mówiono i pisano, że Lenina Niemcy przepuścili przez granicę w zaplombowanym wagonie. Dziwiono się, w jaki sposób ten zaplombowany wagon mógł przejść front rosyjsko-niemiecki: czyżby w tym celu otwarto front i uruchomiono przerwana od trzech lat komunikację kolejową? Wielu dopiero w szereg lat później dowiedziało się, że wagon zaplombowany szedł nie przez front, ale z Szwajcarii przez terytorium niemieckie, a potem promem do Szwecji... Lenin i Trocki przyjechali do Petersburga przez Szwecję i Finlandię i prawem kaduka usadowili się w pięknym pałacyku primabaleriny Krzezińskiej.

(*Interludium*. A biedny cesarz z pięknymi szafirowymi oczami i równym przedziałkiem siedział pod strażą w Carskim Siole, razem z żoną, synkiem i córkami. Osłupienie i odrętwienie, w które wpadli ludzie dotąd „wierni tronowi” trwało. Żałowano słabowitego fatalisty. Żałowano ładnego synka. Zwłaszcza cztery śliczne księżniczki budziły gorące współczucie. Ale nawet ludzie najwierniejsi tronowi zaciskali szczęki myśląc o carowej, którą uważano (nie bez pewnej racji) za sprawczynię wszelkiego zła. Tej długo nie mogli przebaczyć i nie oburzała ich powódź obrzydliwych broszurek i ulotek opisujących ze sprośnymi szczegółami rzekome stosunki erotyczne między carową i Rasputinem. W opisach tych nie było ani słowa prawdy, ale wydawcy paskudnych broszurek zbijali pieniądze, a ludzie czy-

tali. Niektórzy nawet wierzyli. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że carowa odkupiła winy nie tylko śmiercią męczeńską, lecz godnym i męznym zachowaniem się w ciągu bez mała półtorarocznego więzienia — wśród niedostatku, szyderstw i upokorzeń).

W Mińsku w teatrze miejskim, w tym samym teatrze, gdzie jeszcze tak niedawno odbywały się eleganckie bazyry dobroczynne, a piękne i ubrylantowane panie sprzedawały notablom i „obszarnikom” szampana dostając czasem po sto rubli za kieliszek, odbywa się teraz zjazd wojskowych Polaków frontu zachodniego. Obradom przewodniczy podporucznik Władysław Raczkiewicz. Przewodniczy on właśnie, a nie inny starszy rangą. Jego to czeka za miesiąc sukces zjazdu wojskowych Polaków w Petersburgu, gdzie mimo trudności ze strony rosyjskiej i mimo opozycji ze strony grupy Polaków, doszło do stworzenia „Naczipolu”, tj. Naczelnego komitetu polskiego i uchwalono utworzenie osobnej armii polskiej mającej wyłowić wszystkich Polaków z morza rewolucji rosyjskiej. W teatrze mińskim zjazd trwa krótko. Wobec zbliżającego się dnia 3 maja Raczkiewicz wzywa do gremialnego udziału w pochodzie święta narodowego. Odtąd „Naczipol” zostaje przerwany przez żartownisiów „Raczipolem”.

Pochód 3 maja wypada bardzo pięknie. Olbrzymi wąż ze sztandarami rusza z placu przed kościołem na Złotej Górze w górę po ulicy Zacharzewskiej. „Niech żyje wojsko polskie!” — wołają z balkonów panie ocierając łzy. Oprócz wojska suną szkoły polskie: gimnaziści z gimnazjum profesora Mariana Massoniusa i gimnazystki z gimnazjów im. Emilii Plater i pani Witwińskiej. Suną najrozmaitsze organizacje, jak np. Towarzystwo ochrony zabytków, zwane krótko „Zabytkami”. Sunie świeżo utworzony oddział skautów, których jeszcze nie nazywano harcerzami. Choć powstałi zaledwie parę tygodni temu już złośliwicy nie należący do skautingu drażnią ich dwuwierszem:

*Oto znani polscy skauci:  
Czterech trzyma, jeden gwałci*

Życie polskie płynie w Mińsku wartko. Szkoły, towarzystwa, teatr, dwie gazety. Rada polska ziemi mińskiej — nieoficjalny parlament i nieoficjalna „egzekutywa” polskości w Mińszczyźnie — urzęduje, kieruje, udziela wskazówek, zasiada. Na czele tej Rady stoją panowie Czesław Krupski, ziemianin spod Stołpców, i Jerzy Osmołowski, ziemianin spod Pińska. Pan Osmołowski

był pierwiej w Mińsku nieznanym i zresztą wtedy był w ogóle mało znany. Miał stać się sławny dopiero w dwa lata później.

Panowie Krupski i Osmołowski są obaj „kresowymi” autochtonami i stanowią wyjątek, bo we wszystkich innych organizacjach polskich rządzą przybysze — „uciekiniery”. Większość wojskowych Polaków to też ludzie pochodzący z ziem położonych na zachód od Bugu, lub co najmniej na zachód od linii frontu. Dla tej większości Mińsk i Mińszczyzna to przejściowe etapy i miejsce wygnania wojennego. Wszyscy oni — i cywile i wojskowi — marzą o końcu wojny i o powrocie do gniazd rodzinnych. Tęsknota do kraju lat dziecińczych — do ścisłej ojczyzny — jest godna pochwały, ale — czy ci Polacy „uciekiniery” czują choćby w drobnej mierze jakąś więź wewnętrzną, jakąś choćby cząstkową przynależność do tego Mińska i Mińszczyzny, gdzie przyjęto ich przed dwoma laty z otwartymi ramionami, gdzie cackano się z nimi, gdzie ich karmiono, pojono, opierano? Chyba nie... Toteż rdzenni mińscy chmurzą czoła i z rozterką w duszy słuchają miodopłynnych frazesów o ojczyźnie, o 3 maja, a hufcach narodowych, o tym że nie rzucim ziemi skąd nasz ród...

Jak wieś przyjęła rewolucję? W guberniach wielkoruskich i na Ukrainie gromiono, rabowano i palono dwory. „*Nad popieliskami, nad gniazdami ziemiańskimi, nad Rusią ziemiańską wił się dym czarny*”. Na Białorusi było zupełnie inaczej. Wieś przyjęła postawę spokojną i wyczekującą. Aż do późnej jesieni, czyli do przewrotu bolszewickiego, nie było na Białorusi ani jednego „pogromu”. Parobcy i robotnicy dniówkowi pracowali normalnie, słuchając rozkazów właściciela, rządcy i ekonoma. Powstały wprawdzie w każdej wsi komitety, ale te komitety obserwowały tylko i kontrolowały nie wtrącając się do cyklicznych prac na polach i łąkach. Gorzej było z lasem: kradzieże leśne odbywały się jawnie. Las baćkowski stanowiący samotną wyspę w promieniu kilku wiorst był zawsze pokusą dla sąsiednich wiosek, a teraz cierpiał straszliwie. Kraść budulec lub opał przyjeżdżały „kolosy” z wiosek bardzo odległych. Pani Irteńska nakazała leśnikom, aby tylko upominali chłopów, że rozkradają „dobro publiczne”. Upomnienia były rzecz prosta grochem o ścianę. Ale sielanka trwała: gdy Tadeusz spacerując po lesie ze strzelbą spotykał chłopą wywożącego drzewo, ten po staremu czapkował paniczowi i nawet robił minę zawstydzoną. Tadeusz chodził jednak do lasu coraz rzadziej: spotkanie ze złodziejem leśnym, lub nawet tylko daleki odgłos siekiery nie należały do przyjemności.

Sielanka trwała, choć nikt — poza wierzącymi w cuda —

nie łudził się. Chłopi byli święcie przekonani, że niebawem zagarną całe „pańskie” dobro, ziemianie zastanawiali się, czy i co uda im się unieść ze zbliżającej się zagłady. Najskromniejsze bowiem programy ówczesnych partii politycznych przewidywały nie wykup ale odebranie całej ziemi „obywatelskiej” bez żadnego odszkodowania. W Petersburgu toczyło się wesołe przelicytowanie się w radykalizmie społecznym. Była moda na „polewienie” tj. równanie na lewo całej myśli politycznej. Tyle tylko, że partie skrajnie lewe chciały wszystkiego zaraz, a partie prawe troszkę potem.

Sielanki nie było w majątkach położonych blisko frontu. Tam panoszyli się żołnierze, a oficerowie byli bezsilni. Żołnierze kradli więc wszystko, co się dało: taszczyli z lasu drzewo na opał, łamali na opał parkany, kradli drób i statki domowe, otrząsali zielone jabłka z drzew. Zresztą przed rewolucją działo się w majątkach przyfrontowych to samo. Gdy Zbinio Czechowicz powiedział starej na pół głuchej babie dworskiej.

— A słyszałaś babka? Nasi wzięli Erzerum.

Na to odpowiedziała smutno kiwając głową:

— Oni wszystko zabierają, paniczu. Miałam stare wiaderko i to mi zabrali.

Dużo kłopotu z żołnierzami frontowymi miała pani Tadeuszowa Bochwicowa z majątku Florianów pod Baranowiczami. (Majątek ten przeszedł do historii literatury polskiej, jako miejsce „wczasów” Elizy Orzeszkowej i Władysława Stanisława Reymonta). Florianów nie miał lasu i miał nie dużo ziemi ornej. Jego ozdobą i głównym źródłem dochodu był wspaniały sad owocowy z 6 tysiącami drzew na obszarze 20 dziesięcin. Stacjonujący we Florianowie żołnierze biwakowali w sadzie pod jabłonią, rozkładali ogniska, nad którymi wytrząsali wszy z koszul, śpiewali pieśni, grali na harmonii, obżerali się zielonymi jabłkami. Pani Bochwicowa błagała ich, aby nie otrząsali jabłek wskazując na szkodliwość niedojrzałych owoców dla zdrowia, no i powołując się też na niedopuszczalność marnowania „dobra publicznego”. Żołnierze słuchali upomnień z dobrodusznym humorem i żuli zielone jabłka z głośnym mlaskaniem. W pewnej chwili jeden z nich zirytował się jednak i krzyknął na kolegę harmonistę:

— A cóż to stara nie daje nam spokoju! Dimka, a zagraj no jej Ojrę!

Pani Bochwicowa opowiadała później w Mińsku:

— Cóż miałam zrobić? Oni grali Ojrę, a ja poszłam do domu. Staralam się tylko nie iść w takt.

Pani Bochwicowa opowiadała z humorem i słuchacze się

śmieli. A jednak amatorzy symbolów mogliby dojrzeć coś głębszego w tym widoku zacnej pani Bochwicowej starającej się nie iść w takt sołdackiej Ojry. Owego lata 1917 usiłowanie by nie kroczyć w takt zwycięskiego marsza rewolucyjnego — usiłowanie nieśmiałe, naiwne, zabawne — było właściwie jedynym wyrazem protestu ze strony klasy, którą wkrótce miano ochrzcić pogardliwym mianem „wystraszonej inteligencji i niedorzętnych burżujów”.

Petersburg obradował, rządził, wydawał odezwy. Rada delegatów żołnierskich i robotniczych też obradowała, rządziła, wydawała odezwy. Gadano. Na garstkę bolszewików patrzano z lekceważeniem, tym bardziej, że ich „putsch” lipcowy z łatwością stłumiono, a Lenin skrył się gdzieś bez śladu. Czy go zresztą szukano? Partie zasiadające w Rządzie tymczasowym i w radzie delegatów uważały bolszewików za błędzących ale miłych sercu socjalistycznemu braci. Bano się piekielnie nie ponownego powstania bolszewików, ale „czarnej reakcji”. Bolszewików potępiono za „putsch” lipcowy nie dlatego, że byli bolszewikami, ale dlatego, że swym zamachem mogli utorować drogę reakcji z restauracją monarchii włącznie. Zamykano oczy na fakt, że bolszewicy, choć pobici w lipcu w czasie powstania, de facto już zwyciężyli. Front był na razie biernie, ale wyraźnie probolszewicki. Żołnierze nie chcieli się bić. Myśleli o pokoju i o tym, aby zdążyć do rodzinnych wiosek zanim cała ziemia nie zostanie podzielona. Nie było jeszcze masowych dezercji, ale zarządzona w czerwcu przez Kiereńskiego ofensywa zakończyła się fiaskiem. Znikł wszelki cień dyscypliny wojennej. Nad „propozycją” dowództwa, aby zaatakować okopy niemieckie komitet pułkowy naradzał się całą dobę i albo uchwalał atak, albo go nie uchwalał. Jeżeli uchwalał atak, to zdarzało się, że pułk sąsiedni uchwały nie uznawał i nie ruszał się z miejsca.

Zjawiły się bataliony szturmowe, tj. bataliony złożone z żołnierzy, którzy chcieli się bić z Niemcami. Nazywano je też batalionami śmierci. Żołnierze tych batalionów mieli na ramieniu czarne opaski z trupią główką. Z batalionów śmierci nic nie wyszło. Miały służyć do zawstydzania zwykłych batalionów, które nie chciały się bić, i porywać te bataliony do ataku bohaterским przykładem. Przykłady nie znalazły naśladowców. Batalion śmierci wracał z ataku zdziesiątkowany, bo bataliony sąsiednie — zwykłe — nie ruszały się z okopów.

Były też baterie śmierci. Do jednej z nich należał praporszczyk Jaś (Icek) Święcicki. Przyjeżdżał do Mińska na parę dni urlopu paradując z opaską z trupią główką na ramieniu.

Zjawiły się wreszcie bataliony kobiece. Miały one do resz-

ty zawstydzić tchórzliwe serca męskie. Niestety kobiety szły do ataku z wielkim wrzaskiem, ginęły — a mężczyźni w okopach śmieli się z tego „dziurawego wojska” i ani im się śniło atakować Niemców.

Gdzieś w końcu lata dreszcz nadziei przebiegł przez klasę „wystraszonej inteligencji i niedorzęniętych burżujów”. Andrzej Węclawowicz, podporucznik (kornet), który wtedy pracował w Mińsku w oddziale radiotelegraficznym frontu zachodniego aż się zarumienił, gdy przeczytał rozszyfrowaną przez podoficera depeszę: „Generał Kornilow ruszył na Piotrogród”. Pochód wodza naczelnego Kornilowa z Mohyłowa na stolicę stanowi jedną z niejasnych kart rewolucji rosyjskiej. Jedni twierdzą, że Kornilow działał na własną rękę, aby zrobić porządek w stolicy, a przede wszystkim rozpedzić radę delegatów żołnierskich, usunąć rząd Kiereńskiego i przywrócić dyscyplinę wojskową. Inni powiadają, że pochód Kornilowa był ukartowany wspólnie z Kiereńskim, lecz że Kiereński w ostatniej chwili zląkł się, zdradził generała i obwołał go buntownikiem. Czy było tak czy owak — jest zupełnie nieważne, bo pochód Kornilowa, choćby poparty przez Kiereńskiego, musiał się skończyć fiaskiem. Był spóźniony o kilka miesięcy. Gdyby nawet dzielnemu generałowi udało się zrobić porządek w stolicy, należy wątpić, czy wpłynęłoby to na zmianę nastrojów doszczętnie zdemoralizowanego i rozbałwanionego frontu ciągnącego się na przestrzeni paru tysięcy wiorst.

Zaczęła się jesień. Z chłódami znikły ostatnie powiewy rewolucyjnej wiosny. Zaczęły się dezercje z frontu. Pociągi były zapchane żołnierzami, którzy albo wracali do domu „dzielić ziemię”, albo spekulowali tym lub innym towarem dźwiganym w workach. Nazywano ich „mieszocznikami”. Wagony śmierdziały machorką, suknem sołdackim i niemytymi ciałami. Pasażerów obłączyły wszy. Miasta, miasteczka i wsie gotowały się do wyborów do konstytuanty.

*„W nocy czarnej, we krwi, w męce; z lat zamieci, wojny, wszy, krzywd, nadziei; z bankietów, więzień, wyborów, toastów — chmurą śnieżnej krupy przedzimowej niesiony — wstawał Październik”\**.

\* Słowa przytoczone w tym rozdziale kursywą i w cudzysłowie są wzięte z noweli Władimira Lidina „Powieść o mnogich dniach”.

## Rozdział IX

### „ZA MIASTEM WOLNOŚĆ”...

Doszukiwanie się przyczyn wypadków zwanych dziejowymi, tj. wypadków wstrząsających życiem całego roju ludzkiego, jest — jak już wspomniałem parę razy — bezcelowe i nawet szkodliwe. Bezcelowe — jedynym bowiem, dość względnym celem takich rozrywek umysłowych jest utrzymanie na kuli ziemskiej kilku tysięcy katedr historii. Szkodliwe — bo „nauka” o związku przyczynowym zdarzeń historycznych kieruje myśl ludzką na fałszywą drogę, oślepia maluczkich i wbija im w umysły zniekształcony obraz tego, co nazywamy historią. Związek przyczynowy to łańcuch logiczny, a historią rządzi wszystko prócz logiki i sensu. Co rządzi historią? — Nie wiem. Może Opatrzność, może „prawa historyczne” (które Lew Tołstoj „namacywał”, ale których nie odkrył, ale które oczywiście „odkryli” marksiści), może przeznaczenie, może — co najprawdopodobniejsze — przypadek lub mówiąc ściślej — wypadkowa przypadków. Wszystko — tylko nie rozum i nie logika. Nauka historii zbliży się może kiedyś do zrozumienia „przyczynowości” zjawisk historycznych, jeżeli narodzi się jakiś Freud czy Jung „historyczny” i nauczy nas psychoanalizy podświadomości zbiorowej badając mroki psyche roju ludzkiego i kreśląc „prawa” rządzące snami (na jawie) ludzkiej gromady\*. Wykrycie takich „praw” nastąpi nie prędko i chwała Bogu, że nie prędko. Szczęście jednostek i narodów polega na tym, że nie znają dnia ani godziny. Gdy dowiemy się o dniu i godzinie, życie straci dla nas wszelki urok i sens.

\* Już po napisaniu tego rozdziału przeczytałem w „Kulturze” paryskiej (lipiec-sierpień 1962) uwagi Pawła Hostowca o „mechanizmie zbiorowych zaburzeń równowagi psychicznej”. Badanie tego „mechanizmu” jest chyba równoznaczne z psychoanalizą podświadomości zbiorowej?

Brak logicznego związku przyczynowego nie znaczy jednak, że w pewnych okolicznościach i na pewien dystans nie możemy — przewidywać. Jeżeli wybuch rewolucji lutowej był dla wszystkich — nie wyłączając Włodzimierza Iljicza Lenina — niespodzianką, to zagarnięcie władzy przez bolszewików *powinno* było być do przewidzenia już w pierwszych tygodniach po wybuchu rewolucji lutowej. Nie chodzi tu o żadne „przyczyny”! Jeżeli siedzę w wątlym kajaku bez wiosł i prąd Niagary niesie mnie ku wodospadowi, nie potrzebuję snuć wątku przyczynowego, aby wiedzieć, że tylko cud może mnie uratować od runięcia w otchłań wodną. Rosja kierowana przez Rząd tymczasowy była właśnie takim kajakiem unoszonym ku przepaści. Rząd był tak rozgadany i tak własnym gadaniem otumaniony, że albo nie wiedział, co się dzieje, albo czekał cudu. No i wyrażając się kolokwialnie — doczekał się.

Z chłodami i słotami październikowymi romantyzm rewolucyjny wyparował do reszty. Znikły uśmiechy. Dowcipy w rodzaju: „Jak wiadomo marzec jest miesiącem rewolucji, tak np. Bastylię zdobyto 14 lipca” — dawno się przejadły. A żart na temat „wojny do zwycięskiego końca... z burżuazją” witano albo bez uśmiechu, albo z bardzo cierpkim uśmiechem. Sączyły się głuche pogłoski o jakichś walkach w Petersburgu, ale gazety o tym milczały. Aż pewnego popołudnia przyszła wieść urzędowa o dokonanym w stolicy przewrocie i o utworzeniu rządu komisarzy ludowych z Leninem i Trockim na czele. Mińsk przyjął wieść w nastroju tępej rezygnacji. O żadnych protestach lub tym bardziej walkach nie było mowy. Jak się wkrótce miało okazać, Mińsk był jednym z nielicznych w imperium okręgów, w którym partia bolszewików zdobyła absolutną większość głosów w wyborach do konstytuanty. Nic dziwnego: w samym Mińsku stacjonowało około 150 tysięcy rozagitowanych żołnierzy. Zagarnięcie władzy przez bolszewików odbyło się więc spokojnie, bez zająć i tarć. Kwaterą główną bolszewików był „nowoczesny” gmach szkoły handlowej. Szkoła handlowa była więc w Mińsku tym, czym w stolicy był słynny „Smolny Instytut”.

Życie polskie toczyło się po staremu. W restauracjach upijano się i od czasu do czasu zdarzały się mordobicia. Wtedy „zaśtępcy stron obu” spędzali długie wieczory na naradach honorowych i w końcu spisywali protokół orzekający, że w czasach, gdy życie Polaka nie należy do niego, lecz do ojczyzny, i nie ma on prawa nim dysponować, pojedynek zostaje odłożony aż do nastania „zupełnie normalnych warunków”. Takie warunki widocznie nigdy nie nastąpiły, Tadeusz bowiem nie pamięta, aby



któryś z odłożonych w latach 1914-1918 pojedynków odbył się kiedykolwiek.

Wychodził „Dziennik miński” pod redakcją pana Jaworskiego i nie był nawet cenzurowany. W Bobrujsku rozłożył się kwatery główną dowódca 1 korpusu polskiego gen. Dowbór-Muśnicki, w Dukorze o kilkanaście wiorst od Mińska stał 1 pułk ułanów, a w samym Mińsku stacjonował jeden szwadron tego pułku. Wszystko to dawało Polakom poczucie pewnego bezpieczeństwa, zwłaszcza że w Mińsku, jak i gdzie indziej, panowała opinia, że bolszewicy nie przetrwają dłużej niż parę tygodni („parę miesięcy” — korygowali niepoprawni pesymiści).

Któregoś ranka Tadeusza obudziły dźwięki orkiestry. Podbiegł do okna i uchylił rolety. Przez siatkę drobnego deszczu ujrzał wracający z ćwiczeń, czy jadący na ćwiczenia — a może patrolujący — szwadron ułanów. Trębacze grali piosenkę: „Hej-jej, ułani”.

U wuja Obieczerskiego odbyło się przyjęcie dla przybyłego z Bobrujska generała Dowbora oraz dla oficerów 1 pułku ułanów. Oprócz wojskowych do stołów zasiadła cała śmietanka polskiego Mińska. Przyjęcie było sute: przekąski z klubu obywatelskiego, storka, burgund, szampan. Były mowy. Generał Dowbór, zapewne trochę zgorszony szczególnym afektem, który mińscy, a zwłaszcza panie mińskie okazywali ułanom, zaapelował dość rozsądnie do społeczeństwa polskiego, aby kochało nie tylko ułanów, ale i piechotę. Na tę mowę Henryk Weyszenhoff zaprotestował wykrzykując gorąco i niezbyt dorzecznie, że Krechowce okryły oręż polski wielką chwałą, jak ongi Somosierra, i że przeto malowanym dzieciom należy się miłość specjalna. Dowbór już nie replikował. Zresztą zgrzytu nie było. Panie, rozgorączkowane i zarumienione, topniały pod zabójczymi spojrzeniami ułanów. Panom kurzyło się z łysin i czupryn. Było bardzo, bardzo wesoło. A wszystko to w czasie, gdy nad krajem panowali już bolszewicy.

Tadeusz wychodził z przyjęcia razem z Rudym. Byli jedynymi cywilami spośród zaproszonej młodzieży. Rudemu podobnie jak Dowborowi, nie podobało się powodzenie, które ułani mieli u pań.

— A wiesz — mówił Tadeuszowi — ten szyk kawalerski jest trochę pocztowo-telegraficzny: dzyń-braś, dzyń-braś...

Tadeusz wzruszył ramionami:

— Cóż — powiedział — to jak w piosence o ostatnim mazurze:

*Ułan czule szepce w uszko,  
Ostrogami dzwoni.*

*Pannie bije się serduszko  
I liczko się płoni...*

Rudy mrknął pod nosem przekleństwo w języku rosyjskim.

W Mińsku więc panowała na razie cisza. Na wsi było inaczej. Zaraz po przewrocie bolszewickim wyszedł leninowski „Dekret o ziemi”. Przez cały obszar byłego imperium przeszła fala pogromów. Gromiono dwory ziemiańskie. Najstraszniejsze pogromy szalały w Rosji i na Ukrainie. Ziemian, którzy nie zdążyli uciec do miast, mordowano. Nieraz torturowano przed zamordowaniem. Dwory palono. W dworach, których właściciele uciekli, gniew ludu wyładowywano na „pańskich” zwierzętach: w gubernii orłowskiej wykłuwano oczy zarodowym ogierom i buhajom, pawie oskubywano żywcem „do naga”. Tak się działo w Rosji centralnej, gdzie i ziemianie i chłopci mówili tym samym językiem. Na Białorusi, gdzie większość ziemian była polska, pogromy odbywały się bez morderstw, albo wcale się nie odbywały, jak np. w Baćkowie i w okolicach Baćkowa. Na Białorusi pogrom polegał na tym, że tłum chłopów okolicznych pod wodzą „komitetu” (często jednoosobowego) nachodził dwór, dzieląc między sobą dobro burżujskie. Rabowano i dzielono rzeczy podzielne, a więc konie, bydło, drób, zapasy żywności, odzież. Rzeczy niepodzielne, np. fortepiany, często — choć nie zawsze — niszczone, przy czym grał tam rolę nie tyle instynkt niszczycielski, ile zawistna obawa, że przedmiot niepodzielny dostanie się sąsiadowi. Właścicielowi z rodziną pozwalano nadal mieszkać we dworze, albo też przenieść się do miasta z takim dobytkiem, jaki zdążył zgarnąć w pośpiechu.

Choć w Mohylowszczyźnie gromiono dwory na potęgę, w Judzieniczach pana Floriana Wańkowicza pogromu nie było. Widocznie popularność „bojara białoruskiego” była wśród Białorusinów zbyt wielka. Oświadczyli nawet, że będą pilnowali, aby „cudze” wioski nie odważyły się gromić Judzienicz. Stała się jednak rzecz inna: służba domowa, czy to w obawie represji ze strony biedoty wiejskiej, czy może pragnąc brać udział w pogromach okolicznych — rozbiegła się. W domu pozostali — obok starej niedołężnej niani — pani Florianowa i pan Florian konający po ataku apopleksji. Gdy umarł, dwie stare i słabe kobiety musiały dźwigać olbrzymie zwłoki, aby je ubrać i ułożyć na katafalku. W parę dni później, gdy wieść o jego śmierci rozeszła się po okolicy, przybyła pomoc kilku ludzi z księdzem na czele. Pogrzebano go po chrześcijańsku.

— „Wsi spokojna, wsi wesola” — mówił Zbinio Czecho-

wicz, który dość pośpiesznie uciekł ze swego majątku do Mińska\*.

W końcu 1917 roku stosunki w Mińsku zaczęły się psuć. Szwadron ułanów stacjonujący w mieście ściągnięto do Dukory, a wkrótce cały pułk przeniósł się w okolice Bobrujska, gdzie — jak później pisał Florian Czarnyszewicz — „Dowbór Polskę ustanowił”. W styczniu 1918 śrubę bolszewizmu zaczęto dokręcać. Nie było wprawdzie jeszcze aresztowań na większą skalę, nie aresztowano chyba nikogo z Polaków w tym okresie. Ale nienawiść bolszewików do Polaków, których nie bez podstaw uważano za przedstawicieli czarnej reakcji, rosła z dnia na dzień.

W Mińsku prosperowało „podziemie” polskie. W mieszkaniu państwa Irteńskich w pokoju, który dwa lata temu rekwizytował kapitan kontrwywiadu Kleigels, mieszkali dwaj ukrywający się oficerowie Polacy we frenczach bez odznak. Kazio Irteński, osiemnastoletni uczeń gimnazjum Zubakina i Falkowicza, często przesiadywał z nimi prowadząc do późna tajemnicze narady. Tadeusz na razie nie bardzo interesował się tymi wizytami młodszego brata, był bowiem zaręczony i spędzał wieczory w domu narzeczonej. Nie bardzo więc wiedział, o czym brat ośmioklasista mógł rozmawiać z dwoma podtatusiałymi oficerami. Zdziwił się niemile, gdy pewnego dnia Kazio mu powiedział, że się postanowił przekraść do Dowbora i tam wstąpić do 3 pułku ułanów, w którym adiutantem był kuzyn Gienio Falkowski. Pana Irteńskiego też bardzo zmartwiła decyzja Kazia. Radził skończyć gimnazjum, a potem iść do wojska. Pani Irteńska była zmartwiona, ale wiedząc, że łagodny Kazio potrafi być uparty, nie protestowała. Wybrał się więc Kazio w przebraniu „czubaryckim” koleją do Hradzianki, stamtąd furmanką do Baćkowa. Z Baćkowa, bez przeszkód ze strony chłopów baćkowskich, ruszył konno do Bobrujska.

Wkrótce potem wojna pomiędzy bolszewikami a 1-y m korpusem Dowbora, dotąd „zimna”, teraz rozgorzała na dobre. Walki toczyły się pod Bobrujskim i Rohaczewem. Mińsk był całkowicie pod władzą bolszewików. Śrubę dokręcano coraz mocniej. Ówczesnemu uciskowi bolszewickiemu daleko było jeszcze do później osiągniętej perfekcji. Tyle tylko, że wprowadzono godzinę policyjną i grożono uszczelnieniem mieszkań burżujskich.

\* Wyniki mordowania ziemian na Białorusi, np. zabicie braci Sielawów w majątku Paule powiatu Iepelskiego gubernii witebskiej, zdarzyły się w rok później, już pod okupacją niemiecką i były przypisywane nie chłopom miejscowym, lecz dywersantom zza kordonu. Wtedy też odnotowano szereg wypadków grabieży (pogromów) dworów ziemiańskich, przeważnie w gubernii mohylowskiej, a również koło Borysowa — pogrom majątku Hlewin państwa Świdów.

Polskie życie kulturalno-społeczne nie ustawało ani na chwilę. „Dziennik miński” niemal otwarcie nawoływał przebywającą w Mińsku młodzież do przekradania się do Bobrujska i wstępowania do oddziałów Dowbora. Prócz Kazia Irteńskiego wezwania tego usłuchali m.inn. Zbiś Święcicki, Kazio Malkiewicz, Janusz Krupski — wszyscy uczniowie gimnazjalni lub maturzyści. Z nieco starszych roczników poszli wojować Aryk Krasowski i Janek Bochwic.

Wtedy to Seweryn Odyniec, przebywający w Mińsku w charakterze „bieżeńca” z Wileńszczyzny, napisał, a „Dziennik miński” wydrukował wiersz pt. „Suplikacje”. Wiersz ten zarówno tytułem, jak napięciem patetycznej grozy przypominał chorał Ujejskiego:

*Prysnął sen złoty. Zaczęły się jawy.  
Zbrodnicza ręka przeznaczeń nić mota.  
Pomrukiem armat bój skarży się krwawy.  
Za miastem wolność, a w mieście sromota,  
Tęsknota orłów wtrąconych do lochu,  
Błuznierstwa wrogów, szyderstwa mottochu.*

*Ojczyzno moja! Rozdarty na szmaty  
Dwubarwny sztandar twój zrósł się na nowo.  
Nad szeregami mknie orzeł skrzydlaty*

.....

*Zamierzchłych legend uchylił czas rąbki,  
Do boju grają ułańskie znów trąbki.*

W dalszym ciągu wiersza były jeszcze wyraźniejsze akcenty Chorału:

*Rękę każ, Panie, każ rękę, co wpuści  
Szpony drapieżne w pierś żywą ojczyzny...*

Wiersz Odynca oddawał sugestywnie, jak tylko dobry wiersz potrafi to zrobić, nastroje społeczeństwa polskiego w Mińsku.

W pewien poranek lutowy do mieszkania państwa Irteńskich przyszedł przez schody kuchenne jakiś osobnik zarośnięty, brudny, w zaszmelcowanym szynelu. Był to w „czubaryckim” przebraniu emisariusz z korpusu Dowbora. Przyniósł Irteńskim groźną wiadomość: Kazio jest w niewoli bolszewickiej. Zapytany o szczegóły powiedział, że Kazio razem z Arykiem Krasowskim i Zbisiem Święcickim zgłosili się na ochotnika, aby wysadzić w powietrze most gdzieś pod Rohaczewem. Zadania nie wykonali, bo trafili pod ogień karabinów maszynowych w chwi-

li, gdy zsiadli z koni, aby zapalić papierosa. Aryk i Zbiś skoczyli na konie i cało wrócili do szwadronu. Kazio nie zdążył dosiąść pod obstrzałem przerażonego i znarowionego konia.

W domu Irteńskich zapanował nastrój trwogi i niepewności. Promyk nadziei błysnął, gdy do domu do Mińska wrócił — oberwany i zarośnięty — Janusz Krupski. Też trafił do niewoli bolszewickiej. Bito go i znęcano się nad nim, ale w końcu puszczono go wolno jako prostego szeregowca, który nie z własnej woli poszedł bić się w „pańskim” wojsku. W przebraniu „czubaryckim” wrócił do Mińska.

— Dlaczego Kazia nie mają puścić? — pocieszał żonę pan Irteński — przecie jest prostym ułanem...

Odtąd na każdy dzwonek pani Irteńska biegła do przedpokoju w nadziei, że to może Kazio wrócił.

Tak trwało do pewnego mroźnego wieczoru w końcu lutego. Gruchnęła wieść, że się zbliża jakaś odmiana. Co to miała być za odmiana — nikt dobrze nie wiedział. Jedni mówili, że po zerwaniu rokowań pokojowych niemiecko-sowieckich w Brześciu do Mińska wejdą Niemcy (co okazało się prawdą). Inni, że Niemcy postanowili oddać Mińsk legionom polskim i że do Mińska wkroczy Piłsudski. Ta druga wersja była o tyle charakterystyczna, że dowodziła, jak dalece i jak długo Mińsk był odcięty od świata. Prócz garstki wtajemniczonych nikt nie wiedział, że w owym czasie Legiony już nie istniały, a Piłsudski był więźniem w Magdeburgu. Tak czy inaczej wersja o wkroczeniu Polaków napędziła wielkiego strachu bolszewikom. Po zapadnięciu zmierzchu ucieczka bolszewików nabrała cech paniki. Od tamtych czasów zdarzało się autorowi tej kroniki oglądać szereg „pośpiesznych” ewakuacji, ale żadnej z nich nie można porównać z tym, co się działo w Mińsku w ten mroźny zmierzch lutowy. Ulica Zacharzewska będąca szlakiem do dworca brzeskiego — jako jedynej wolnej drogi na Borysów, bo drogę na Bobrujsk zagradzał Dowbór — była zapchana uciekającymi na złamanie karku bolszewikami. Tę panikę wyzyskał pan Szunejko, pozbawiony prawej ręki skutkiem nieszczęśliwego wypadku w młodości. Stał na ulicy Zacharzewskiej i grożąc rewolwerem trzymany w lewej ręce, z pustym rękawem prawej ręki wetkniętym w kieszeń bekieszy, żądał od zbiegów przybranych w skórzane kurtki komisarskie oddawania posiadanej gotówki. Żądał przy tym wyłącznie rubli carskich gardząc tzw. „kierenkami”. Oddawali potulnie, bez cienia oporu, byle tylko prędzej wydostać się z Mińska. W ten sposób pan Szunejko miał zarobić coś około ćwierć miliona rubli — sumę wtedy jeszcze bardzo znaczną.

Nazajutrz Mińsk był wolny. Polskie „podziemie” ujawniło się. Na ulicach rozlepiono ogłoszenia kapitana Topora (Ignacego Matuszewskiego) wzywające do utrzymania spokoju i porządku. Pośpiesznie organizowano samoobronę polską. Rudy, Tadeusz i Jerzyk Świda udali się do „arsenału” na ulicy Magazynowej — do lokalu gimnastycznego towarzystwa „Sokół” — gdzie dostali karabiny i opaski białoczerwone. Ruszyli z własnej inicjatywy kierować ruchem ulicznym w śródmieściu. Wkrótce rola ta ich znudziła, więc wrócili na Magazynową, gdzie im dano hasło i kazano zluzować wartę przy garbarni pana Imrotha na Lachówce. Po paru godzinach — a było to już późne popołudnie — zluzowała ich zmiana po czym znów wrócili do regulowania ruchu ulicznego. Wtedy to nadjechała ciężarówka, w której stali uzbrojeni po zęby czterej bojownicy: dwaj kuzyni Tadeusza bracia Eynarowicze z Grodzieńszczyzny, jakiś wojskowy, którego nazwiska nie wiedziano ani wtenczas, ani potem, i wreszcie znany na gruncie mińskim pyrotechnik puszczający fajerwerki na zabawach „monstre” na Treku pan Żyźniewski. Ta czwórka zaproponowała naszej trójce wspólny wypad na dworzec brzeski.

Chodzi o to, że Mińsk był wolny, ale niezupełnie. Kilkanaście tysięcy żołdactwa bolszewickiego, częściowo uzbrojonego, wciąż jeszcze zatykało i oblepiało sale, perony, wagony, dachy, stopnie i sprzęgi wagonów i lokomotywy na dworcu brzeskim. Pociągi odchodziły, lecz bardzo nieregularnie, wskutek zrozumiałego zamętu. Byłoby szaleństwem „brać do niewoli” tę masę opanowanego paniką motłochu, lub nawet tylko utrudniać mu ucieczkę z Mińska. Toteż cel wypadu mężnej siódemki, przedsięwziętego — trzeba to podkreślić — zupełnie samorzutnie, bez żadnego rozkazu z „ośrodka dyspozycyjnego” przy ulicy Magazynowej, był zupełnie inny. Antybolszewicko nastrojony kolejarz doniósł panu Żyźniewskiemu, że na dworcu brzeskim stoi pod parą pociąg z ładunkiem jednego samolotu, trzech armat i kilka wagonów karabinów maszynowych z amunicją. Trzeba było nie dać bolszewikom wywieźć tego ładunku. Trzeba go było zdobyć i oddać... Komu? Oczywiście zbliżającym się legionom Piłsudskiego.

Wyprawa udała się. Gdy dzielni wojacy wkroczyli w siedmiu na dworzec, zawszone żołdactwo bojaźliwie rozstępowało się i dawało drogę. Komendant pociągu z samolotem, armatami i amunicją nie tylko „podał się”, lecz zwracając się do Tadeusza per „barin” (wziął go widocznie za dowódcę oddziałku, choć właściwie żadnego dowódcy wśród nich nie było) prosił z pokorą, aby pozwolić — jemu i załodze — odjechać na odcze-

pionej lokomotywie. Prosił też, jak o wielką łaskę, o pozwolenie na zabranie ze sobą dubeltówki myśliwskiej. W Tadeuszu zbudziła się solidarność łowiecka do kolegi po fachu i — zgodził się wspaniałomyślnie.

Na tym skończyła się wyprawa. Gdy późnym wieczorem po powrocie z dworca brzeskiego Tadeusz z Rudym zastukali do drzwi mieszkania, głos pani Irteńskiej spytał poprzez szczelinę drzwi przytrzymaną łańcuchem:

— Kto tam?

Duch Trylogii wciąż był nad nimi i odpowiedzieli bez namysłu:

— Swoi! Od królewskiego wojska!

Nazajutrz przy rannym śniadaniu Rudy barwnie i z kolorowymi dodatkami opowiadał państwu Irteńskim, jak to w siódemkę „zdobyli pociąg pancerny”, tak bowiem Rudomina określał wtedy bohaterską wyprawę na dworzec brzeski. Pan Irteński wysłuchał opowiadania a potem powiedział z żalem w głosie:

— I po co było Kaziowi jechać do tego Dowbora! Zabawę w wojsko miałyby dziś na miejscu...

Zamilkł widząc, że pani Irteńska odwróciła głowę i wyszła z pokoju, by ukryć łzy.

A na drugi dzień wiadano już w całym mieście, że do Mińska zbliżają się nie żadne legiony polskie, ale Niemcy. Wiedziano już, że rokowania brzeskie zostały zerwane. Wtedy to Trocki wyskrobał ołówkiem na tynku jednej z sal twierdzy brzeskiej pamiętne słowa „Ni wojny, ni mira — Leon Trockij”. Na Zacharzewską wyległy tłumy, aby obejrzeć wkraczających „zwycięzców”. Wchodzili przy dźwiękach piszczałek i bębnow. Byli to przeważnie landszturmiści o wyglądzie podtatusiałym i dość pokojowym. Członkowie samoobrony polskiej odpięli z rękawów kożuszków i bekiesz opaski białoczerwone, a broń złożyli w „arsenale” na Magazynowej. Zdobyty „pociąg pancerny” dostał się rzecz jasna w ręce Niemców. Tylko panu Szunejce udało się uratować ruble carskie.

Nieraz później wspominając to „zdobycie pociągu pancernego” Tadeusz myślał, że jednak wyprawa była dość ryzykowna. W siódemkę, w kilkunastutysięcznym mrowisku wrogiego żołdactwa, grali rolę zwycięzców mając za sprzymierzeńca tylko wszechwładną panikę, którą to żołdactwo było ogarnięte. Takie rozmyślenia doprowadzały go do ciekawych wniosków z dziedziny psychologii terroru i bohaterstwa.

Przeszło jeszcze kilka dni. Pewnego popołudnia Tadeusz posłyszał straszny rozdzierający krzyk w przedpokoju. Nie mógł zrozumieć, czyj to był głos, ale jednocześnie wydało mu się, że

ten krzyk — straszny nie ludzki krzyk — znał z literatury. Hrabina Rostowa z „Wojny i pokoju” tak krzyczała na wieść o śmierci Pieti. Tadeusz zrozumiał.

We wsi Blizniacy koło Rohaczewa podjazd 3 pułku ułanów znalazł w płytkiej mogile nagie zwłoki Kazia. Mieszkańcy wsi byli rozmowni i opowiedzieli wszystko ze szczegółami. Kazia i wziętego tegoż dnia do niewoli rotmistrza Boufała odarto z butów, ubrania i bielizny i pędzono nago po śniegu przez wieś tłukąc kolbami. Później skłuto ich bagnietami i wreszcie dobito z karabinów. Nagie zwłoki ułożono w płytkim dole w taki sposób „czto-by odin drugogo w ż... cełował”.

Zobaczywszy fotografię zwłok Kazia pan Irteński i Tadeusz — wbrew protestom pani Irteńskiej, która fotografii nigdy nie miała zobaczyć — nie pozwolili na otwarcie zalutowanej trumny. Złożono ją tymczasowo w podziemiach nowego kościoła na Zacharzewskiej, aby potem pochować albo w Baćkowie, albo w grobach rodzinnych w Kalwarii pod Mińskiem — na cmentarzu kościoła ufundowanego w XVIII wieku przez Michała Irteńskiego, podkomorzego bobrujskiego. Losy zrzuciły inaczej. Po roku 1920 bolszewicy przerobili nowy kościół — fundacji Edwarda Winiłłowicza — na „pałac kultury i odpoczynku”. Trumnę z ciałem Kazia wyrzucono prawdopodobnie do jakiegoś wspólnego dołu, tym bardziej że do trumny była przybita tabliczka z nazwiskiem i dodatkiem że „poległ w walce z bolszewikami”.

Kazio był wyjątkowo pięknym chłopcem. Kazimierz Leczycki w swej powieści z życia mińskiego „Państwko” porównał go do Doriana Greya. A z fotografii pośmiertnej patrzyły wytrzeszczone w śmiertelnej męce oczy, krzywiły się w grymasie agonii odsłaniając rząd równych zębów spuchnięte wargi, widniała na szyi tuż pod podbródkiem dziura od pchnięcia bagnietem. A zdawało się tak nie dawno ten Kazio bawił się jeszcze — ku zgorszeniu i drwinom kolegów gimnazjalnych — w koniki.

— Tak, wojenka, psiakrew — myślał Tadeusz zaciskając zęby i pięście.

Śmierć Kazia była rodzinną tragedią Irteńskich — tragedią zazdrośnie ukrywaną przed ciekawością obcych (zwaną współczuciem). Ale z biegiem lat śmierć ta nabierała innego aspektu. Była po roku 1863 jednym z pierwszych wypadków wysłania wyrostka na nikomu niepotrzebną śmierć — wysłania przez jazgot bab-patriotek i naszepty ramolejących obrońców ojczyzny przybranych w mundurzy oficerskie, lecz przezornie bardzo dbających o własną skórę.



## Rozdział X

### LEGENDA O DOBRYCH NIEMCACH

Porzucając zagrzane w ciągu dwóch i pół lat okopy „wielkiej wojny” Niemcy przekroczyli w końcu lutego 1918 r. granicę tzw. Ober-Ostu, tj. obszaru położonego między ziemiami Królestwa Polskiego a linią frontu, i zajęli wschodnią część Wielkiego Księstwa Litewskiego aż po Dniepr. Zatrzymali się przeto mniej więcej na granicy Rzeczypospolitej przedrozbiorowej.

Gdy w sześć lat później Tadeusz Irteński osiadł w Wilnie, zdarzało się, że rozmowa z któryms z rdzennych Wilnian schodziła na temat wspomnień z okupacji niemieckiej. Tadeusz ogromnie się dziwił, bo zdawało mu się, że mówili o zupełnie odrębnych gatunkach Niemców. W ustach Wilnianina, który przeżył trzyletnią okupację Ober-Ostu, Niemiec był owym legendarnym złodziejem dzwonów, samowarów i klamek mosiężnych, brutalnym i wstrętnym Hunem, głodzicielem matek i dzieci, niemal że napastnikiem pańienek Bogu poświęconych, Hunem, który ponadto — jak głosiła lokalna legenda wileńska — zamknął w szczelnej szopie około tysiąca chorych na choroby weneryczne prostytutek i wytruł je gazem. Słowem — Hun. W ustach Tadeusza tenże Niemiec był przede wszystkim wyzwolicielem z bolszewizmu, a po wtóre — typem najidealniejszego okupanta, jakiego mogła stworzyć najidealniejsza konwencja haska. Ponieważ w Polsce nawet w okresie trwania polsko-niemieckiego paktu o nieagresji nie wypadało mówić dobrze o Niemcach, jako że byli odwiecznymi wrogami narodu, więc na zakończenie Tadeusz „ustępował” i nawet starał się odgrzebać w pamięci parę wypadków brutalnego lub w ogóle paskudnego zachowania się Niemców na obszarze nowej okupacji. Zapominał przy tym, że odosobnione wybryki niczego nie dowodzą, gdyż mogą nas spotkać

— i niestety nieraz spotykają — ze strony najbardziej rodzimej armii. Tak czy inaczej, rozmowa kończyła się pojednawczo: i Wilnianin i Tadeusz dochodzili do wniosku, że ostatecznie każdy Niemiec to świnia, po czym szli do Macieja na kieliszek wódki.

Rzecz jasna, że nie miałyby sensu przypuszczenie, że Niemiec z Ober-Ostu i Niemiec z nowej okupacji należeli do dwóch odmiennych gatunków Niemców. A jednak, jeżeli Wilnianin nie przesadzał, zachowywali się inaczej. Dlaczego? — Na ten temat można by napisać całe wypracowanie historyczno-polityczno-psychologiczne. Może działała wtedy specjalna instrukcja z góry, jako że Ober-Ost był podobno obszarem skazanym na inkorporację do Rzeszy, a nowa okupacja — rodzajem terenu doświadczalnego. Może działały inne czynniki, a wśród nich — nastroje ludności wobec władzy, która nastała po dwunastu miesiącach rozgardiaszu rewolucyjnego.

Zanim przejdę do opisanía tych nastrojów, pragnę „z naciskiem” (jak się pisało w reprimandach urzędowych) podkreślić, że właśnie Polacy powinni byli powitać wkraczających Niemców jak oswoobodzicieli. Jest to temat tzw. wstydlivy, starannie tuszowany przez naszych historiografów, niemniej jednak może czas powiedzieć prawdę po pięćdziesięciu latach przemilczania lub fantazjowania. O sytuacji polskich „burżujów” i polskiej inteligencji w Mińsku w przededniu wkroczenia Niemców pisałem w poprzednim rozdziale. Teraz powiem, że „za miastem”, gdzie wedle słów poety była „wolność”, sytuacja wojsk korpusu Dowbora wyglądała rozpaczliwie. Oddziały tego korpusu stłoczone na niewielkim obszarze między Berezyną i Dnieprem otaczało morze szalejącej rewolucji. Większość ludności białoruskiej przeżywała miesiące miodowe upojenia bolszewizmem i była nastrojona do „legionów” zdecydowanie wrogo. Na żołnierzy korpusu, zwłaszcza na ułanów, ludność ta patrzyła jak na synków ziemiańskich, jak na wojsko „pańskie” przeznaczone do ratowania majątków przed podziałem i grabieżą. „Legion” Dowbora stanowił garstkę szarpaną przez oddziały bolszewickie. Wojsko traciło ducha. Zaczęły się dezercje. W pułku, w którym zginął Kazio Irteński, były szwadrony, z których zdezertowała prawie połowa ułanów — z wyjątkiem wspomnianych „synków ziemiańskich”. Wtedy to Dowbór posłał dowódcę 1 pułku ułanów Mościckiego z misją do Warszawy. Przedzierając się przez pas przyfrontowy szczelnie obsadzony przez bolszewików Mościcki i paru towarzyszących mu ułanów polegli koło leśniczówki Dub na Polesiu. Kilku innych zdołało się uratować. Trudną i jałową byłaby dziś spekulacja, co by się stało z korpusem Dowbora, gdyby nie przyszła „odsiecz” niemiecka. Nie przesadzę je-

dnak chyba, że co najmniej oficerom i ochotnikom groziłaby rzeź na miarę obozu pod Batohem (1653) lub Katynia.

Gdy przednie oddziały niemieckie spotkały się z oddziałami Dowbora, dowództwo polskie zawarło z Niemcami porozumienie, którego mocą nastąpiło rozgraniczenie sfer działania wojsk polskich i niemieckich. Otoczony z trzech stron przez „zaprzysiężonych” Niemców, a z czwartej strony odgradzony Dnieprem od bolszewików, korpus polski odetchnął. Nastąpiły tygodnie „pieredyszki”, gojenia ran zadanych walką z bolszewikami, konsolidacji bogatych zapasów bobrujskich, tworzenia zarządu cywilnego z własną pocztą i znaczkami, które w rok później dochodziły cen astronomicznych na rynku filatelistycznym. Dezerterzy zaczęli wracać do oddziałów. Karano ich bardzo łagodnie: najczęściej surowym upomnieniem, rzadziej — wyspaniem porcji kilku nahajów po gołych pośladkach. Taka kara cielesna zaordynowana przez wspomnianego w rozdziale IV-ym „Bebusia” de Rosseta spotkała jednego z „synków ziemiańskich” ze znanej w Mińszczyźnie rodziny.

Duch męstwa wstąpił w oficerów polskich. Gdy w kwietniu pan Irteński rozmawiał z dowódcą oddziału 1 pułku stacjonującego w Chołuju nad Świsłoczą i zapytał, co ten myśli o dalszych losach korpusu Dowbora, oficer odpowiedział bez chwili wahania:

— Będziemy się bić z Niemcami.

A gdy pan Irteński podniósł brwi, dodał:

— Duch w pułku jest świetny. Chłopcy nasi są w doskonałej formie i nienawidzą Niemców. Codzień śpiewają Rotę: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”...

Po takiej odpowiedzi pan Irteński już nie pytał dalej. Zresztą opinia tego oficera nie była odosobniona. Jeżeli dzielny ułan się chełpił, to w szereg lat później człowiek tak, zdawałoby się, świetnie poinformowany, tak biegły w sprawach wojskowych i tak zawsze blisko stojący wszelkich „ośrodków dyspozycji” jak Melchior Wańkiewicz napisał czarno na białym w swej — zresztą najlepszej — książce „Strzępy epopei”, że Dowbór miał wszelkie szanse rozbicia cienką pajęczyną rozciągniętej od morza do morza landwery. Ale pamiętajmy, że był to kwiecień i maj, gdy Niemcy mocno trzymali się jeszcze na zachodzie ostrzeliwując z Grubej Berty Paryż, a za plecami Dowbora za urwiskiem Dniepru stała nieznana, zawsze gotowa do skoku dzicz bolszewicka. No ale wtedy, a i nieraz później polityka i strategia polska opierała się na doktrynie Marii Konopnickiej — „Duch będzie nam hetmanił”.

W pierwszych dniach maja Tadeusz spotkał na Zacharzew-

skiej Morysia Wańkowicza. Moryś był w mundurze 1 pułku ułanów i przyjechał do Mińska na kilka dni urlopu. Od chwili strasznej śmierci Kazia sam widok munduru ułana polskiego budził w Tadeuszu ból i żal. „Kazio zginął, a ten sobie spaceruje” — myślał. Wstydził się tej myśli i starał się ją odpędzić zmuszając się do swobodnej rozmowy ze starym przyjacielem. Gdy jednak Moryś zaczął, podobnie jak ów oficer w Chołuju, mówić o walce z Niemcami, Tadeusz nie wytrzymał. Przerwał mu ostro: „Nie gadaj głupstw!” i odszedł bez pożegnania.

A w tydzień później oszołomiła go wieść o strasznej śmierci Morysia z rąk bolszewickich. Oddział, w którym służył Moryś, był zakwaterowany we wsi Ławrynowicze nad Dnieprem. Razem z nim służyli m.in. w oddziale Stanisław Czapski, Henio Roztropowicz, Wacio Jeśman. Pewnego wieczoru pito i bawiono się wesoło do późna. Towarzystwo rozeszło się po chatkach nad ranem. Warta zasnęła, a może jej nie było... Skutki „wynikające z nieporządnego obozowania” były tragiczne. Bolszewicy przeprawili się na łodziach przez Dniepr i napadli zniemacka na śpiących ułanów. Czapskiemu i Roztropowiczowi udało się dopaść koni i uciec. Strzelano za nimi i Henio dostał kulę w nogę. Morysia wzięto na bagnety i dobito z karabinu. Osobliwe szczęście miał Wacio Jeśman. W chacie, gdzie spał samotnie, zbudziły go wrzaski i strzały. Słyszał rozdzierający krzyk Morysia „Jezus Maria”, a potem huk kilku strzałów. Gdy wciągał buty, do chaty załomotali kolbami bolszewicy pytając, czy są ułani. Otworzyła im baba, właścicielka chaty. Stała w drzwiach w taki sposób, że rozmawiając z żołnierzami widziała jednocześnie Wacia, który do niej celował z rewolweru. Na ponowne pytanie bolszewików, czy w chacie są ułani, nie potrafiła wymówić „tak” albo „nie”, a tylko zakiwała przecząco głową. Bolszewicy poszli rewidować dalsze chaty. Wacio wymknął się zgarbiony z chaty i przez tylne opłotki wy dostał się na pole, gdzie spłoszczony pod jakąś miedzą doczekał świtu i odsiecz.

W Mińsku życie wróciło do burżuazyjnej normy. O niedawnym panowaniu bolszewików myślano jak o przykrym zmorze. Zapanowała moda na Niemców, którzy zresztą zachowywali się bardzo kulturalnie. Niemców zapraszano do domów polskich na przyjęcia towarzyskie, afiszowano się z nimi w „Selekcje” lub w restauracji Europejskiej. Oficerowie rosyjscy dotąd kryjący się na przedmieściach w przebraniu czubaryckim powyłazili na świat Boży w błyszczących epoletach, a gemajnowie niemieccy przykładnie im salutowali. Mówiono, że gdzieś na południu walczą z bolszewikami „białe” wojska rosyjskie, wymieniano nazwiska Korniołowa i Denikina, ale mińscy oficerowie rosyjscy jakoś do tej

„Wandei” nie śpieszyli. Zresztą do białej armii ochotniczej mało ludzi się śpieszyło. Według obliczeń jednego z „białych” publicystów tylko 5% ogółu oficerów rosyjskich wzięło udział w rosyjskiej Wandei. (W kilka lat później Tadeusz się dowiedział, że w rosyjskiej armii ochotniczej poległ jego kolega z młodszych klas gimnazjalnych Sasza Zenowicz).

Dwaj mińscy oficerowie Astrow i Czugajew prowadzili kabalet artystyczny w Europejskiej, gdzie przygrywał doskonały kwartet ze skrzypaczką Sonieczką i jej mężem Jefimem przy fortepianie. Astrow ryczał potężnym barytonem numery lekkiego repertuaru, np. „U mienia jest Marie”, Czugajew — też baryton — śpiewał romanse „poważne”, np. „Spitie, orły bojowyje”.

Polskie życie społeczno-kulturalne kwitło. Wychodziły dwie gazety codzienne: wspomniany już „Dziennik miński” i „Placówka”. „Placówkę” redagował Stefan Kiedrzyński, który do niedawna gościł jako „bieżeniec” w Bielicy pana Karola Świackiego. „Placówka” wsławiła się tym, że ostro zaatakowała socjalistę inż. Witolda Falkowskiego za współpracę z bolszewikami. Gdy Falkowski próbował się bronić, twierdząc, że był tylko „specem” i że nie przykładął ręki do bezczeństw bolszewickich, Kiedrzyński napisał: „Gdy szajka bandytów grabi i morduje, zwykle tylko paru bandytów dokonywa mokrej roboty, a inni po prostu przypatrują się”... Zdaniem Kiedrzyńskiego Witold Falkowski był właśnie takim członkiem szajki, który się przyglądał mokrej robotcie. Falkowski zamilkł. W kilka lat później, już w Polsce podległej, zginął tragicznie. O Stefanie Kiedrzyńskim pomówię później. Dodam tylko, że wkrótce potem „Placówka” przestała wychodzić.

Rada ziemi mińskiej z panami Jerzym Osmołowskim i Czesławem Krupskim na czele zasiadała. Kroniki mińskie odnotowały tylko jeden objaw jej działalności. A było to tak. Na pensji żeńskiej pani Witwińskiej odbył się po egzaminach maturalnych balik dla młodzieży. Na balik ten przyszło — podobno w stanie nietrzeźwym — kilka osób należących do „młodzieży w wieku pozaszkolnym”, jak brzmiał protokół Rady ziemi mińskiej. Byli to: Bohdan Zalućyński, dwaj bracia Eynarowicze, Witold Wagner i jeszcze kilku innych. Podobno zachowywali się w sposób gorszący. Podobno dopuścili się czynów mających wpływ demoralizujący na młode dziewczęta. O skandalu tym pogadano, poplotkowano i może by zapomniano, gdyby nie to, że dwóch winowajców z grona „młodzieży w wieku pozaszkolnym” napisało długi wiersz satyryczny opisujący w sposób przesadny i niezbyt przyzwoity przebieg owego baliku. Wiersz ten nie tylko krążył w odpisach po Mińsku wywołując udane oburzenie i ukry-

te uśmieszki: jeden jego egzemplarz został pluskiewkami przybity do drzwi wejściowych gimnazjum pani Witwińskiej. Tego już „wzburzona opinia miasta Mińska” (cytuje znów z protokołu Rady ziemi mińskiej) nie mogła ścierpieć. Rada ziemi mińskiej zarządziła śledztwo i sąd. Chodziło głównie o wytropienie autorów skandalicznego wiersza. Podejrzewano Tadeusza i Odyńca. Tadeusz ani na baliku nie był, ani w pisaniu wiersza nie brał udziału, ale wiedział dokładnie, kto był autorem. (Nawiasem mówiąc, nie był nim Odyniec). Wezwany przed oblicze Rady oświadczył krótko: „Sam nie pisałem, wiem kto pisał, ale nie powiem”. W parę dni później dostał list na blankiecie Rady z podpisami Jerzego Osmołowskiego i Czesława Krupskiego. List udzielał mu nagany za „niewłaściwie pojęty obowiązek koleżeństwa” tj. za odmowę donosu na autorów wiersza. Tadeusz przechowywał ten list w teczce z napisem „Curiosa” aż do września 1939 roku.

Z Niemcami utrzymywano stosunki nie tylko towarzyskie, ale i przyjazne. Tadeusza łączyła zażyłość z lejttnantem lotnictwa Grunwaldem, który miał kwatery w mieszkaniu państwa Irteńskich, i z przyjacielem Grunwalda hauptmanem von Axhausen. Grunwald rodem z Legnicy był żywym i wesołym brunetem. Miał pieska imieniem Lump, którego brał ze sobą jak maskotkę do samolotu. Von Axhausen był to Prusak słusznego wzrostu, przystojny, z siwiejącym włosom na skroniach. Gdy Niemcy rozpoczęli swą ostatnią ofensywę na Paryż, Grunwald zacierał dłonie, mówił o rychłym zawarciu pokoju, o Gretchen, która czekała na niego w Legnicy. Von Axhausen słuchał uśmiechając się pobłaźliwie i mówił kiwając głową:

— *Oh, du Optimist, Optimist...*

W końcu maja Grunwalda i von Axhausena odwołano na front zachodni. Grunwald obiecał Tadeuszowi pisać „jeżeli nic się nie stanie”. Widocznie coś się stało, do Tadeusz nigdy już od niego nie miał wiadomości.

Oprócz „Selektu” i Europejskiej chadzano też wieczorem do „Wintergartenu”, lokalu nocnego uroczystość otwartego w domu, gdzie było dawne „Akwarium”. Wieczorami rzępoliła tam stara orkiestra pod batutą pana Sołowiejczyka, a na estradzie „kaskadowa” śpiewaczka z Warszawy panna Lola Patroni „śpiewała „Husią-siusię” i jakieś kuplety aktualne z refrenem: „Odejdź ode mnie, ty Angliku połamany”. W „Wintergartenie” bawili się nieraz ziemianie z powiatu ihumeńskiego pan Offenberga i pan Adam Demidowicz-Demidecki. Zabawa ich polegała m.in. na tym, że kazali orkiestrze grać na zmianę i bez końca

dwa oklepane marsze, z których jeden ochrzcili mianem „Ilu-meńskiego marsza”, a drugi „Borysowską rapsodią”.

W styczniu czy lutym 1919-go roku Tadeusz i inni mińscy przyjaciele panny Loli Patroni dostali w Warszawie ozdobne *faire-part* donoszące o ślubie jej z hrabią Szewczyk-Szewczyńskim. *Faire-part* też powędrowało do teczki „Curiosa” i zachowało się do września 1939 roku.

Tylko Rudy odnosił się sceptycznie do mody na Niemców. Gdy raz do „Selektu” weszło kilku wojskowych niemieckich z jakimiś dotąd niespotykanymi naramiennikami i gdy przy stole posypały się szeptem: „Co to za mundury?”, Rudy wyjaśnił:

— Jakto, nie wiecie? To pralnia wojenna.

Mińsk był miastem w połowie żydowskim. A Żydzi byli w czasie tamtej wojny wybitnie proniemieccy, jeśli może nie liczyć proletariatu gnieźdzącego się w cuchnących uliczkach wzdłuż „podziemnej” Niemihy i dokoła dwóch rynków — Wysokiego i Niskiego. W Niemczech bowiem przed pierwszą wojną nie było urzędowego antysemityzmu, nie było „linii osiedlenia”, nie było w ogóle żadnych ograniczeń. Żydzi mieli w Mińsku pod Niemcami swoje życie kulturalne, swoje gazety, no i swoje interesy. Wtedy to nasz przyjaciel Mojsze (Michał) Lewin, rodem ze wsi Maksymowicze koło Baćkowa, zaczął się dorabiać swego pierwszego miliona. A dodajmy, że pieniądze — czy to marki niemieckie, czy Ost-ruble, czy ruble carskie czy „kierenki” — miały swoją wartość określoną i trwałą.

W końcu maja na polski Mińsk spadła jak grom z jasnego nieba wiadomość o rozbrojeniu przez Niemców 1 korpusu Dowbora. Metafora „jak grom z jasnego nieba” wymaga krótkiego omówienia. Sprawa nie była ani tak prosta, ani tak jasna, jak to sobie późniejsi historiografowie wyobrażają. Analiza „implikacji” i „reperkusji” tego zdarzenia należy do „wielkiej historii”. Ja zaś piszę „małą historię” dwudziestopięciolecia 1914-1939 widzianą oczami i z podwórka Tadeusza Iphorskiego-Irteńskiego... Tu powiem tylko, że w związku rodu Wańkowiczów zawrzało z powodu roli odegranej przez Melchiora Wańkowicza w tragiczną noc majową w Bobrujsku. Wyraz „zawrzało” jest przesadą. Zawrzała właściwie tylko jedna pani Leonowa z Broel-Platerów Wańkowiczowa ze Smiłowicz pozostająca w stosunkach zażyłych z generałem Dowborem. Ponieważ była to jednak osoba z długim, ruchliwym i jadowitym jęzorem, więc tumult przez nią uczyniony robił pozory wielkiego wzburzenia w całej rodzinie. Pani Leonowa nazywała Melchiora „buntownikiem” i jeśli nie żądała jego głowy, to chciała przynajmniej, aby go wykluczyć ze Związku. Do tego też nie doszło, Związek bowiem *de facto*

przestał już istnieć. Irytacja pani Leonowej miała może jeszcze inną przyczynę. Ród Wańkowiczów doznał w tym samym czasie innego despektu. Konstanty Drucki-Lubecki, syn popularnego w Mińsku „Herutka”, wziął ślub w tajemnicy przed rodzicami z panną Zofią Wańkowicówną, siostrą Morysia. Gdy „Herutek”, który był małym tyranem domowym, dowiedział się o tym, zmusił syna do porzucenia nowozaślubionej żony. Skandal był wielki i — kto wie — wstrząsnął może Mińskiem głębiej i potężniej, niż wieść o kapitulacji Dowbora.

.....

W płaszczyźnie „małej historii” rozbrojenie 1 korpusu miało w Mińsku jeszcze jedną „reperkusję”. Oto jeden z oficerów korpusu Antek Wiszniewski, dawny kolega gimnazjalny Tadeusza, młodzieniec na ogół bardzo spokojny i opanowany, idąc w Mińsku po Zacharzewskiej w towarzystwie matki dostał nagle ataku szału. Atak polegał na tym, że trzasnął w twarz mijanego majora niemieckiego. Major cofnął się zdumiony, po czym zaczął wydobywać spod płaszcza parabellum. Wtedy pani Wiszniewska ze łzami zaczęła błagać Niemca, aby nie strzelał.

— Mój syn jest chory nerwowo — mówiła.

— Jeżeli jest chory nerwowo, to czemu nie trzyma go pani w domu, albo w szpitalu wariatów — odpowiedział major chowając pistolet i odszedł mrużąc z niezadowolenia.

(Wypadek godny zapisania w legendzie o dobrych Niemcach, bo można sobie wyobrazić, czym by się skończył za złych Niemców, tj. w latach 1939-1945).

W połowie czerwca Tadeusz zaopatrzony w przepustkę kolejową i w Waffenschein na prawo posiadania dubeltówki, rewolweru i sztucera pojechał do Baćkowa, gdzie już bawiła pani Irteńska z Jadwiną. Towarzyszył mu Rudy.

Wieś białoruska, w miarę agresywna w czasie pięciomiesięcznej „swobody”, była spokojna. Robiło wrażenie, że miała dość tej czerwonej wolności. Zwłaszcza starsi i zamożniejsi chłopcy westchnęli z ulgą, gdy zjawili się Niemcy w feldgrauach. Przewalili ich dobrodusznie „młynarzami”, czy to z racji pokojowego i podtatusiałego wyglądu landszturmistów, czy dlatego że feldgrau przypominał kolor khaki jakby przyprószony mąką. Życie ekonomiczne weszło w normalne tory. Rekwizycje — ta zmora każdego zarządu wojskowego — odbywały się bez rujnowania gospodarstw. Za rekwizowane produkty płacono ceny zapewne niższe od cen rynkowych, ale rozsądne i gotówką, a nie kwitami. Na tle rekwizycji Tadeusz spotkał się wtedy z jednym „złym Niemcem”. Z oddziału stacjonującego w Ostrowiu przyjechał do



Bačkowa lejtnant kupować siano. Ofiarował cenę niższą od „tak-  
sy” urzędowej. Oburzyło to panią Irteńską. Zaczęła się kłócić  
z lejtnantem, co przychodziło jej łatwo, gdyż ukończyła ongi pen-  
sję w Rydze i mówiła biegle po niemiecku. Niemiec obstawał  
przy swojej cenie, rzucał się i podnosił głos. Tadeusz, obecny przy  
rozmowie, powiedział głośno, oczywiście po polsku:

— A cóż to za cham i świnia z pyskiem szczekającego psa!  
To chyba pierwszy Niemiec, który się w ten sposób zachowu-  
je...

Kłótnia trwała dalej. Przerwało ją przyjście służącej z oz-  
najmieniem, że obiad podany. Gościnność litewska kazała pani  
Irteńskiej zapomnieć o kłótni. Zaprosiła lejtnanta na obiad. Gdy  
trójka: pani Irteńska, Niemiec, który po zaproszeniu na obiad  
przycichł, i Tadeusz szła w kierunku domu, Tadeusz wciąż był  
wściekły i aby ulżyć sobie mówił dalej głośno po polsku:

— Cham i świnia! Zupełnie niepotrzebnie zaprosiła go ma-  
ma na obiad.

— Ach, dałbyś spokój — szepnęła pani Irteńska.

Przy obiedzie Tadeusz się udobruchał i nawet poczęstował  
Niemca samogonem pędzonym przez jednego z szlachciców za-  
groodowych. Wódka podzielała kojąco również na Niemca. Twarz  
jego zakwitła uśmiechem i zaczął mówić — po polsku. Okaza-  
ło się, że „zły Niemiec” był Poznańczykiem, że się nazywał  
Mačkowiak, no i że nie tylko się nasłuchiwał polskich oracji Ta-  
deusza, ale i zrozumiał ich treść.

Wieś była spokojna. Nie słyszano o wypadkach buntu lub  
oporu. Na jedną gminę, której obszar był przeciętnie większy  
od niejednego z małych państw europejskich, wystarczało do-  
słownie paru Niemców, by całą gminę utrzymać w posłuchu.  
(Jak w anegdocie z „Martwych dusz” Gogola: nie potrzeba by-  
ło sprawnika dla przywrócenia porządku — starczyło, że spra-  
wnik posłał na miejsce rozruchu swój „kartuz” czyli czapkę).  
A wszak do wsi i miasteczek powróciło wielu żołnierzy mających  
broń ukrytą. Zaczęli też wracać jeńcy wojenni. Tu i ówdzie zda-  
rzały się wypadki zwykłego bandytyzmu. A bandytyzm jest, jak  
wiadomo, jedną z oznak powrotu do czasów normalnych.

Jeden z zamożnych chłopów ze wsi Bačków, Jemieljan, któ-  
rego zapewne w kilkanaście lat później zlikwidowano jako „kuła-  
ka”, miał inne zmartwienie. Zwierzał się Tadeuszowi:

— Paniczu, cóż to takiego?! Przez cztery lata była strasz-  
na wojna. Myślałem, że wybiją tyle narodu, że można będzie  
dzielić ziemię po zabitych. A tu okazuje się, że na całą gminę  
jakszycką zabito tylko dwóch ludzi!

Głos Jemieljana drżał sumtkiem i rozczarowaniem.

Sielanka trwała. Wyrazu „sielanka” używam bez żadnej ironii. Ku wiecznej bowiem memorii zanotujmy jedno: w owym czasie ludność ziem litewskich była jeszcze — aż po linię Dniepru — że tak powiem „orientacji” zachodnio-europejskiej (oczywiście bardziej z ducha, niż z wyglądu). Dla niej, po dzikim wstrząsie pierwszego bolszewizmu, Niemcy reprezentowali wtedy ład zachodnio-europejski.

Sielanka nie trwała jednak długo. W końcu lata powiało trwożą: przyszła wiadomość, że w myśl dodatkowego protokołu do traktatu brzeskiego Niemcy mają odstąpić bolszewikom wschodni pas nowej okupacji — od linii Berezyny do linii Dniepru. Dnia tego Tadeusz z Rudym siedzieli na poroślej babkami i dzikimi goździkami skarpie drogi koło Małego Lasku i przyglądali się, jak parobek Piotruś Lagucki siał żyto na oziminę. Nagle Rudy, któremu były na ogół obce wszelkie zmartwienia społeczne, powiedział w zamyśleniu:

— A przecie on nie dla siebie sieje...

Jak się niebawem miało okazać, Rudy wymówił te słowa w złą godzinę. Piotruś siał właśnie dla siebie, a w każdym razie nie dla „dworu”, który już nie istniał, gdy żyto obeszło.

Coraz uporczywiej i coraz głośniej zaczęto mówić o porażkach niemieckich na froncie zachodnim. Zegarkowa precyzja okupacji zaczęła się zacinać. Oficerowie niemieccy chodzili ponurzy, jak dzień pochmurny, gemajnowie tłukli się, jak muchy senne. A sielanka prysła zupełnie, kiedy w jakimś — jakże dalekim! — lasku w Compiègne generałowie, którzy jeszcze przed kilku miesiącami w Brześciu walili pięścią w stół przed nosami przerażonych komisarzy bolszewickich, podpisywali kapitulację. Wiońęła wieść o rewolucji w Niemczech. Niemcy zaczęli się wycofywać. Tłoczyli się do wagonów i ryczeli po pijanemu pieśni, w których odróżnić można było słowa „nach dem Vaterland”.

„Zachód” cofał się — najpierw z linii Dniepru, potem z linii Berezyny, a potem z Mińska i Wilna. Od wschodu szła dzicz. Razem z cofającym się Zachodem (niemieckim) szedł exodus tych, którzy nie uważali za bezpieczne pozostanie pod władzą powracających bolszewików. Exodus nie był zresztą tak powszechny i liczny, jak później w roku 1920-ym.

W mroźny i słoneczny poranek listopadowy Tadeusz wyjeżdżał z Bačkowa. Wyjeżdżał sam, bo państwo Irteńscy zostali jeszcze na dni kilka, aby zlikwidować i uratować, co się da, przed zbliżającą się ze wschodu zagładą. Koła głucho turkotały po rozmięklej grudzie. Konie parskały. Gdy bryczka wjechała na mały wzgórek, skąd był pierwszy przy wjeździe i ostatni przy wyjeździe widok na schowane w kotlinie klomby pożółkłych lip

dworu baćkowskiego, Tadeusza wzięła wielka pokusa do spojżenia poza siebie. Pomyślał jednak:

— Nie obejrzę się, bo jeżeli się obejrzę, nie zobaczą już nigdy Baćkowa.

Zwalczył pokusę i nie obejrzał się. Ale nic to nie pomogło.

W Mińsku było podniecenie, ale nie było paniki. Odwrotnie — była zdecydowana, choć może rozpaczliwa wola oporu, podsycana wiarą, że przecież CYWILIZACJA ZACHODNIA nie pozostawi bastionu tej cywilizacji na pastwę barbarzyńców. Krążyły plotki i padały projekty — naiwne, śmieszne, ale znamienne. W klubie obywatelskim mówiono, że mocarstwa Ententy postawiły Niemcom warunek dalszej okupacji Ober-Ostu i Mińszczyzny dla obrony tych obszarów przed bolszewikami. Albo mówiono z największą powagą, że Francja wysłała do Mińska dywizje wojsk kolorowych — też dla walki z bolszewikami. Poza tym bogaci Żydzi i inni notable mińscy zaczęli wielką zbiórkę na fundusz bądź tworzenia oddziałów samoobrony, bądź nawet utrzymania z tego funduszu paru dywizji *niemieckich*, jako wojska najemnego.

Wszystko to było śmieszne i naiwne, ale dowodziło, że ówczesni mińszczanie mieli większy dar przewidywania, niż... Ale to już nie należy do legendy o dobrych Niemcach.

## Rozdział XI

1919

Iwan Bunin w jednym ze swych opowiadań nazwał rok 1917-y „straszonym rokiem”. W Mińsku i w Mińszczyźnie straszonym rokiem był rok 1918-y. I początek i koniec tego roku były straszne. W połowie grudnia wojska bolszewickie zbliżyły się do przedmieść mińskich. Wojska niemieckie wycofywały się coraz śpieszniej. Nieraz później wielu mińczuków opowiadało w Warszawie, jak to udało im się uciec z Mińska „ostatnim pociągiem”. Irteńscy — ojciec i syn — wyjechali chyba jednak naprawdę ostatnim pociągiem. Bolszewicy byli nie tylko na przedmieściach: jakieś podejrzane typy z czerwonymi opaskami na ramieniu kręciły się w centrum miasta. Tylko dworce kolejowe były jeszcze całkowicie pod władzą Niemców. A w mieszkaniu Irteńskich Tadeusz osłabiony trzytygodniową hiszpanką ledwie włączył nogami. Jadwinia leżała na hiszpankę z czterdziestostopniową gorączką. Postanowiono więc, że uciekać — na razie do Wilna — będzie tylko pan Irteński z Tadeuszem. Babunia Irteńska, pani Irteńska i Jadwinia z synkiem pozostały w Mińsku. Ponieważ podróż na dworzec nie uchodziła za bezpieczną, więc walizki odesłano na kolej pod opieką lokaja, a ojciec z synem poszli na dworzec piechotą — bocznymi ulicami.

Jazda w niemieckich wagonach z drzwiami na przestrzał, nieopalanym i bez świateł trwała nieznośnie długo. W Mołodecznie trzeba było dla czegoś zmieniać pociąg. Po peronie kręcili się oberwańcy z błędnym wzrokiem i żółtą opaską na ramieniu: wypuszczeni przez Niemców jeńcy wojenni.

Wilno powitało ich ciepłem, obfitością wszelkich dóbr doczesnych, nawet wesołością. Zdawałoby się, że nie było ani wojny, ani trzyletniej głodówki okupacyjnej. O zbliżającej się ze wschodu rewolucji nikt jakoś nie myślał. Wszyscy mińczuchy,

którzy nie uważali za bezpieczne pozostawać w Mińsku, byli już na miejscu wyjechawszy wcześniej, niż Irteńscy, z czego by wynikało, że uciekli z Mińska nie ostatnim, lecz co najmniej przedostatnim pociągiem. Wszyscy mieli pugilaresy tego wypchane rublami carskimi, kierenkami, ost-rublami i markami. Hotele, restauracje i kluby były zatłoczone. Bracia Ciundziewiccy, ci sami, o których puszczono ongi fałszywą plotkę, że powiesili popa prawosławnego, stanęli w hotelu Sokołowskiego, gdzie zaczęli dzień od rannego śniadania w łóżku. Kelner przynosił im na tacy sporą karafkę wódki z przekąskami: śledziem, rydzami marynowanymi, zimnym mięsem. Tacę stawiano na nocnym stoliku i bracia spożywali posiłek nie wstając z łóżek. A wieczorem w gabinecie w Bristolu Ciundziewiccy bawili się w powiększonym gronie. Pito na umór, wznoszono toasty. Ktoś zaproponował, aby jednego z Ciundziewickich obrać na króla białoruskiego. Kandydaturę przyjęto przez aklamację, po czym nowoobрани król wygłosił mowę tronową zagajając ją słowami:

— Ogłaszam, że stolicą Białorusi będzie miasto Lepel.

Odtąd — i aż do śmierci obu braci — jednego nazywano „królem białoruskim” a drugiego „wielkim księciem”.

Sielanka wileńska nie trwała długo. Po dziesięciu dniach powiało trwogą: bolszewicy już są w Mołodecznie i idą na Oszmianę. Trzeba więc było uciekać dalej na zachód. Do Warszawy. Krążyły wprawdzie gawędy o jakiejś samoobronie wileńskiej, ale Irteńscy, pomni czym się skończyła samoobrona mińska, słuchali jednym uchem. Ruszono więc kolejną do Białegostoku. Z jazdy kolejną z Wilna do Białegostoku Tadeusz zapamiętał tylko jedną scenę. Jechał z ojcem w przedziale szczelnie zapchanym mińską elitą. Byli więc tam: głowa czyli prezydent miasta Chrzastowski, szwagier jego Rudzka Porzecki, Adzius Węclawowicz, pani T. z synem, młodym adwokatem. Pani T. mimo swych lat pięćdziesięciu była ognistą z lekka tylko siwiejącą brunetką, słynną z licznych przygód miłosnych. W przedziale panował nastrój wesoly. Obiadowano rozkładając na rozesłanym na kolanach papierze podrózne zapasy żywności. Częstowano się wzajemnie. Krążyła manierka z wódką. Po skończonym posiłku wszystkich ogarnęła senność. Pierwsza zasnęła pani T. Syn jej trzymał w ręku pozostały po uczcie solony ogórek i pytał:

— Ca mam z tym zrobić?

Na to Rudzka Porzecki:

— Obudź mamę. Daj jej. Niech się pobawi.

Do Białegostoku przyjechano w dzień Wilii. Zaimprovizowaną wieczerzę wigilijną spożyto u białostockiego Ritza (bo i Białystok miał swego Ritza), gdzie też przenocowano. Nazajutrz

wczesnym rankiem ruszono w kilkoro sań do granicy polskiej w Łapach. W Łapach badanie dokumentów odbyło się bez przeszkód. Tyle tylko że porucznik Jelski, rodzony brat słynnego wodzireja Taśka Jelskiego, dowódca posterunku żandarmerii w Łapach, odebrał Tadeuszowi bez pokwitowania pistolet parabelum, sztucer i dubeltówkę. Prawdopodobnie na cele obrony młodego państwa polskiego.

Do Warszawy przyjechano o zmierzchu. Z odrapanego dworca ongi petersburskiego, a który się jeszcze nie nazywał Wschodnim czy Wileńskim, ruszono dorożką. Na ulicach nie było śniegu, ale gdzieniegdzie koń się ślizgał na gołoledzi. Koń — przeraźliwie chudy, o którym Perzyński ongi napisał, że warszawski koń dorożkarski musi być sztuczny, bo tylko sztuczny koń składający się ze szkieletu obciągniętego skórą może nie tylko utrzymać się na nogach, ale ciągnąć dorożkę. Dorożkarz miał, jak cztery lata temu, blachę z numerem na plecach. W ogóle Warszawa nic się chyba nie zmieniła. Była może trochę więcej odrapana, zamiast stójkowych w czarnych szynelach stali na rogach milicjanci w płaszczach koloru nieokreślonego (policja państwowa miała się zjawić później), a na murach wiśniały gdzieniegdzie napisy „Niech żyje Piłsudski”.

Warszawa fermentowała. Nie było dnia bez jakiegoś strajku. Strajkowali introligatorzy i kelnerzy. Strajkowali fryzjerzy. W Bristolu panowie Białobłoccy własnoręcznie golili czekających cierpliwie w długiej kolejce klientów. Tramwaje jednak chodziły. Tadeusza mającego w świeżej pamięci wybuch rewolucji w Petersburgu, która się zaczęła od tramwajów, napełniało to otuchą. Mówiono o obronie Lwowa. Tworzono wojsko. Mówiono o Wilnie, a nawet Mińsku. Powstał Komitet obrony kresów wschodnich z biurami na Długiej. W Komitecie zasiadali panowie Władysław Pusłowski, Michał i Mirosław Obiezierscy, Olgierd Gordziałkowski, Ignacy Witkiewicz, Mieczysław Bohuszewski, Władysław Raczkiwicz, Michał Stanisław Kossakowski, Czesław Krasicki, Antoni Jundziłł, Emanuel Obrąpalski, Piotr Wańkowicz. Komitet obrony kresów tworzył dywizję litewsko-białoruską. W powozie zaprzężonym w ładne siwki beselerowskie przejeżdżał naczelnik państwa Piłsudski. Porucznik Tok (Otton) Węclawowicz stawał przed nim frontem. Prosperowały domy gry: na piętrze w Oazie i w klubach o dziwnych nazwach — Numizmatyków i Filatelistów. Były zasadniczo zakazane, lecz istniały prawem bezwładu od czasów niemieckich. Wkrótce policja miała je zamknąć. Wtedy panowie Kaczanowscy, ojciec zwany Kuką i syn zwany Kukin-synem, uchodźcy z Kijowszczyzny, wpadli na pomysł utworzenia lotnych domów gry, funk-

cjonujących każdej nocy w innym lokalu prywatnym. Również w lokalach prywatnych wachano eter i kokainę lub uprawiano igraszki erotyczne. Odwiedzano też domy publiczne. Pensjonarka w jednym z nich zwierzała się Tadeuszowi:

— Wczoraj był u mnie oficer francuski. I wiesz — jakoś nie to. Ze swoim przyjemniej.

„Patriotka” — pomyślał Tadeusz.

Uchodźcy z Wielkiego Księstwa Litewskiego kręcąc się wśród gruntownie zendeciałego od czasów Dwugroszówki mieszczaństwa warszawskiego nie bardzo wiedzieli co myśleć o sytuacji politycznej. Piłsudskiego nazywano socjalistą, a Litwini wiedzieli, do czego socjalizm doprowadził w Rosji. Patrzeni więc na Piłsudskiego w najlepszym razie nieufnie. Z radością powitali przyjazd Paderewskiego. Pan Irteński z Tadeuszem widzieli z okien hotelu Europejskiego, jak przed Bristolem stanął samochód, z którego wysiadł pan ze strzeżą rudych włosów. A u Lourse'a krążył dowcip: „Czy wiecie, że Ignacy Paderewski jest potomkiem świętego Antoniego Paderewskiego?”

„Wybuch” niepodległości odurzał. Czasem wydawał się nieprawdopodobny. Nie wierzono, że można wysyłać depesze, a gdy uwierzono, zaczynało starym zwyczajem układać je w języku rosyjskim. Z nieufnością podchodzono do telefonów, które w Mińsku i Wilnie były już od dawna zlikwidowane przez zarządy wojskowe lub rewolucyjne.

Panie uchodźczynie zorganizowały restaurację „Kresy” na rogu Nowego Świata i Wareckiej, gdzie były współwłaścicielkami i kelnerkami. Za przykładem „Kresów” powstały później tzw. „patelnia” w Ujazdowskich i „Wiry” na Mazowieckiej. Restauracje, w którym gościom usługiwały panie i panienki z towarzystwa, stanowiły w owych czasach coś niezwykłego i miały wielkie powodzenie. W jednym z pism humorystycznych ukazał się wiersz porównujący kelnerki kresowe do świtezianek. W wierszu tym były takie strofy:

*Gdy pocatunków chciał wajdelota,  
Uciekła z krzykiem do mamy.  
Dziś świtezianka tańczy fokstrota  
I chce jedwabnej pizamy.*

*Nie dasz pizamy? Ha, trudna rada!  
Lecz kto przysięgę naruszy.  
Ach biada jemu, za życia biada!  
I biada jego złej duszy!*

Wiersz był zabawny, ale trochę krzywdzący. Wśród kilkudziesięciu pań-kelnerek znalazła się może jedna, która chciała naciągnąć pewnego przedstawiciela zacnej warszawskiej rodziny kupieckiej na jedwabną pizamę, czy inny artykuł bielizny damskiej, ale pozostałe pracowały ciężko, przestrzegały zasad staroświeckich obyczajów i ani im się śniło kogokolwiek naciągać.

Rozpisano wybory do sejmu, który dla uniknięcia nieporozumień nazwano „ustawodawczym”. Chytry system proporcjonalny faworyzował wielkie partie, toteż poczciwi konserwatyści z „kresów” nie mieli większego wyboru. Głosować na socjalistów zabraniał instynkt samozachowawczy „posesjonatów”. To samo — na ludowców. Wszelkie próby stworzenia stronnictwa umiarkowanego, jakiejś Demokratycznej Unii Państwowej (w skrócie DUP) były z góry skazane na fiasco. Toteż kresowcy z bólem serca głosowali na listę endecką.

Na ulicach, w restauracjach, kawiarniach, kinach — wszędzie pełno było oficerów z epoletami w kształcie trefli. Wśród nich zwracali uwagę ci, co mieli wężyki na kołnierzach, bo w owych czasach wężyki przysługiwały jeszcze tylko legionistom.

Czasy nie były wesołe. Od wschodniej ściany, bardzo bliskiej, bo rozpoczynającej się już za stacją Łapy, czała się wielka niewiadoma rewolucji rosyjskiej. Lwów krwawił się. W Poznaniu trwały utarczki. Była wprawdzie stolica, było państwo, był jego naczelnik, były ministeria, nazwane ku zgrozie normalnych uszu „ministerstwami”, ale nie było granic. Ale Warszawa, zawsze wierna sobie, bawiła się. W Nowościach, gdzie bez przerwy dawano „Księżnę czardaszkę” z Orleńską, w Teatrze Małym, gdzie wystawiano „Politykę” Perzyńskiego z Miłą Kamińską, w teatrzykach, gdzie satyra polityczna dworowała sobie z ministrów i „galileuszów” — tłumy.

Uchodźcy ze wschodu — Wileńszczyzny, Mińszczyzny, Mohylowszczyzny, Inflant — byli modni. Przed wszystkim byli to „swoi” — Litwini, którzy podobnie jak warszawiaczy byli razem „pod Ruskiem”. Po wtóre stanowili dość skuteczną przeciwwagę „galileuszom”, którzy wtedy byli specjalnie niepopularni. Po trzecie, razem z nimi przysłała spotęgowana tysięcębna fama legenda czynów bohaterskich braci Dąmbrowskich. Po czwarte, byli „stamtąd” tj. przeżyli groźbę bolszewicką na własnych skórkach. Uważano więc ich za ekspertów, którzy oglądali na własne oczy żywych bolszewików. Wreszcie, pomimo utraty mienia i ziemi ojczystej, mieli rozmach, zapał, humor, no i pieniądze. A pieniądze mieli nawet tacy z nich, którzy zasadniczo nie powinni byli je mieć. Sarkano na nich po trosze że pod-



bijają ceny i psują kelnerów napiwkami. Słowem byli modni jak nie przymierzając Polacy w Anglii i Szkocji w roku 1940.

Dopiero po dłuższym czasie warszawiacy się zorientowali, że nie wszyscy uchodzący za „kresów” byli Rurykowiczami i nie wszyscy posiadali dobra, którymi się przechwalali. Wtedy to — i trochę poniewczasie — puszczono w obieg złośliwy dowcip, że co drugi wilnianin lub mińszczanin jest Rurykowiczem.

Był jednak okres, zresztą bardzo krótki, gdy zdawało się kresowcom, że wyjdą z mody. Stało się to wtedy, gdy do Warszawy zawitali pierwsi Francuzi z misją wojskową. Francuzów tych noszono literalnie na rękach. I salony i domy publiczne wdzierały ich sobie nawzajem. I kokota i dama z towarzystwa uważały się za szczególnie upośledzone, jeśli się choć raz jeden nie pokazały w miejscu publicznym z Francuzem. Moda na Francuzów trwała jednak krótko, bo rychło się przekonano, że przysłana do nas przez zachodnią „siostrzycę” ekipa wojskowa stanowiła mieszaninę. Obok garstki fachowców wojskowych, ludzi kulturalnych i przywoitych, była banda kupczyków, którzy wyzyskiwali swą eksterytorialność dla szmuglowania perfum i prezerwatyw. W zaprzyjaźnionej Warszawie zachowywali się mało lepiej, niż w kraju nieprzyjacielskim. Byli hałaśliwi, agresywni, i brudni. Kelnerów i kokoty, tj. profesje, które są dobrym miernikiem wartości każdego „gościa”, zde gustowali od razu złymi manierami, skąpstwem i targowaniem się.

Papiery „kresowców” znów poszły w górę. Tłumno było w kawiarence „Kresy”. Tłumno, gwarno i pracowicie na Długiej, gdzie się mieściły liczne instytucje kresowe, a między nimi wspomniany Komitet obrony kresów. Tłumno było w restauracyjce na Marszałkowskiej założonej przez pana Sielawę z majątku Paule powiatu lepelskiego. Zacny pan Sielawa rychło jednak zbankrutował, bo mając gest szeroki i duszę otwartą trwonił wszystkie wpływy kasowe na fundy gościom.

Wrzało życie towarzyskie. W roku 1919 nie wytworzono jeszcze nowego stylu powojennego, to też wznowiono tak modne przed rokiem 1914 „żurki”. Salony i saloniki otworzyły swe podwoje. Gospodynie prześcigały się, by ściągnąć na swój żurek jakąś osobliwość, przede wszystkim wojskową, w ostateczności polityczną, a już w najgorszym razie artystyczną. Polowano na generałów. W braku generała bojowego — ściągnano sanitarnego, zacnego generała-lekarza Bernatowicza. Na jednym z żurków w salonie dość arystokratycznym, lwem był poseł ludowy w białej sukmanie.

Najmilsze, naprawdę wesołe żurki odbywały się w oficynie na Nowym Świecie w mieszkaniu siostr: pani Luni Hartin-

ghowej i pani Róży Reliszko. Mąż pani Luni był oficerem i jednym z organizatorów pułku jazdy tatarskiej. Pułk ten wystartował z wielką „publicity”, spotęgowaną przez posmak egzotyki, ale skończył swój żywot dość niesławnie. Zresztą pani Lunia od początku matkowała Dąmbrowszczakom. Pani Róża była żoną dowódcy szwadronu w pułku ułańskim już mającym swe dzieje bojowe w korpusie Dowbora. Mąż pani Róży major Reliszko miał małą przygodę „polityczną”, która wprawdzie zdarzyła się w dwa lata później, ale opowiem ją tutaj, by już do osoby zacnego majora nie wracać.

Gdy premier Witos objeżdżał autem granicę ryską, asystował mu m.inn. starosta nieświeski Czarnocki i major Reliszko, jako dowódca szwadronu stacjonującego wtedy nad granicą.

— Bardzo dziwnie wytyczono tę granicę — bawił major rozmową premiera — tak na przykład, panie premierze, majątek mojej żony pozostał po stronie bolszewickiej i tylko mały skrawek przypadł Polsce.

Witos uśmiechnął się i pogroził palcem:

— Widzę, że wy, panowie oficerowie, walczyliście z bolszewikami głównie dla majątków.

Reliszko nic nie odpowiedział, ale zataił urazę. Wkrótce narodziła się sposobność do zemsty. Przejeżdżali przez zaścianek szlachecki. Starosta Czarnocki wyjaśnił premierowi starodawne pochodzenie zaścianków dodając, że ekonomicznie szlachta zaściankowa nie była w lepszym położeniu od chłopów, a różniła się od nich mową, wyznaniem, ubiorem i obyczajami. Witos bardzo się zainteresował, kazał zatrzymać auto i gawędził jakiś czas z zaściankowiczami. Gdy ruszono dalej, Witos mówił:

— Nie rozumiem, czemu ta szlachta jest taka dumna i czemu się wyróżnia od otaczającego chłopstwa. Przecież jest równie biedna jak okoliczni chłopci.

Major Reliszko pośpieszył z odpowiedzią:

— Nie wiem, panie premierze, jak jest teraz, bo nie znam praw polskich, ale za czasów rosyjskich taka była różnica, że szlachcic, choćby najbiedniejszy nie podlegał karze cielesnej, a chłopu, gdy coś przeskrobał, dawano w dupę\*.

Tym razem Witos nic nie odpowiedział.

Wracam jednak do żurków na Nowym Świecie. Salon pań Hartinghowej i Reliszkowej, ziemianek z Nowogródzczyzny, gro-

---

\* Melchior Wańkowicz, czerpiący większość anegdotek do swych dzieł z drugiej i dalszej ręki, w książce swej „Tędy i owędy” przypisuje te słowa komu innemu. Ja wiem natomiast nie tylko od majora Reliszki, ale i od świadka tych słów starosty Czarnockiego, że autorem tej sławnej „ripoty” był właśnie major Reliszko.

madził co srodę całą śmietankę „emigracji” kresowej. Bywały tam czarujące mężatki, przeważnie bez mężów, i pełne najśłodszych obietnic panienki. Z cywilów bywali tam: Tadeusz Irteński, Rudy i Rosjanin — oczywiście „biały” — Szingarew. Poza tym — same mundury. W okresie mody na Francuzów pani Lunia ściągnęła ich na żurek aż pięciu. Czterej z nich byli małego wzrostu, czarniawi, hałaśliwi, gadatliwi, — ot tacy sobie „Francuziki z Bordo” wedle komedii Gribojedowa. Piąty odbijał od tamtej czwórki: był długi, miał blond włosy i brzydką twarz. Tadeusza uderzyły jego głęboko osadzone oczy, odstające uszy i potężny nos. Byłoby w nim coś z Podbipięty i coś z Donkichota, gdyby nie to, że tamtych kojarzymy z wyrazem poczciwości, a ten nie wyglądał sympatycznie. Uderzała też jego mowa francuska, nie podobna do szybkiej paplaniny jego towarzyszy. Rudy też zwrócił uwagę na dziwnego Francuza. Właśnie mijała go pani Lunia z koszykiem herbatników.

— Pani Luniu, skąd pani wytrzasnęła tego kłapoucha?

— Jakiego kłapoucha?

— Tego tam... Rozmawia w tej chwili z Kawą Koźmińską i wachluje uszami.

— Cicho. Jest pan niezdolny. To bardzo ważny major francuski. Pochodzi z bardzo dobrej rodziny z północnej Francji. Nazywa się de Gaulle.

— Francuz?

— Naturalnie że Francuz. Co za pytanie!

— Bo mówi jakoś inaczej, niż tamci...

Wkrótce towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Rudy, Szingarew i Tadeusz wychodzili razem. Szingarew, który fundował kompanom kilka kolacji z rządu w swoim numerze w hotelu Royal na Chmielnej — na kredyt zresztą — zwrócił się do Rudogo:

— Teraz twoja kolej zaprosić nas na kolację.

— Owszem, zapraszam, ale jutro. W południe.

— W południe? na śniadanie?

— Nie. Na rozbiórkę soboru na placu Saskim.

— Bałwan.

Takie były zabawy w owym 1919-ym i takie było pierwsze i ostatnie spotkanie Tadeusza Ipohorskiego-Irteńskiego z de Gaulle'm.

Na Wielkanoc Piłsudski zdobył Wilno. Powstał w Wilnie Zarząd cywilny ziem wschodnich z Jerzym Osmałowskim na czele. W Warszawie na Kredytowej mieściła się ekspozytura, gdzie dyktatorem aprowizacyjnym był pan Olgierd Gordziałkowski, po-

winowaty Osmołowskiego. Zaczęły się interesy — legalne i mniej legalne. Osmołowskiego i Gordziałkowskiego pomawiano o nepotyzm i różne afery „na boczku”. Ile w tym było prawdy, a ile zawistnej plotki — nie wiadomo. W każdym razie, gdy Andrzej Niemojewski w swej „Myśli Niepodległej” zaatakował Osmołowskiego i Gordziałkowskiego, nikt go nie oskarżył o oszczerstwo, a sprawa skończyła się na jakichś sprostowaniach i broszurkach. Do Wilna szmuglowano sacharynę. Szmugiel był finansowany przez Żydów, a skuteczni przy pomocy oficerów, którym żandarmi w Lidze nie śmieli rewidować walizek. (Jeżdżono do Wilna przez Lidę, bo most na Niemnie w Grodnie był zerwany czy zepsuty).

Skrystalizował się Cempśc warszawski. Do przybyłych z Mińska Rudego, Tadeusza Irteńskiego, Wiktora Piotrowskiego (zwanego Piotrem lub Starym, bo był najstarszy z grona), Koka (Konstantego) Proszyńskiego — doszłusowali z Wilna Janek Bochwic, zwany Iwonem, i Toś (Antoni) Januszkowski. Z wyjątkiem Tadeusza i Januszkowskiego pozostali rozlokowali się w kilku pokojach umeblowanych na wysokim parterze na Sewerynowie w domu dr. Przyborowskiego, gdzie ongi mieściła się lecznica chirurgiczna i gdzie Tadeusz był operowany. Prócz Cempścia w pokojach mieszkał jakiś wiceminister przemysłu czy handlu i niejaki pan Bober. Ton jednak całemu lokalowi nadawał Cempśc i wkrótce pokoje umeblowane uzyskały pospolitą nazwę „kurwiego dołku”. Nie były tylko mieszkaniem Rudego, „Piotra” i Koka; stały się czymś w rodzaju klubu czy stacji etapowej dla wszystkich bardzo licznych przyjaciół i znajomych — zarówno mieszkających w Warszawie, jak przyjezdnych. Odbywały się tam kartograjstwa, pijaństwa i inne „orgie”. Normalnymi gośćmi w porze wieczornej i nocnej były prostytutki, ale nieraz ktoś z Cempścia lub jego przyjaciół zamawiał sobie pokój na randkę z kobietą z towarzystwa. Nie było to jednak bezpieczne, bo z reguły tożsamość damy bywała — tymi lub innymi drogami — wykryta i święta zasada dyskrecji pogwałcona. Trudno wyliczyć wszystkich, którzy „kurwi dołek” na Sewerynowie odwiedzali. Z przyjezdnych stawał tam Bohdan Zalutyński. Z miejscowych bywali literalnie „wszyscy”, a wśród nich ludzie należący nieraz do starszego pokolenia, jak np. hr. Henryk Plater zwany ȦbȦ (On bat), gdyż poprzednie jego przezwisko Malwa (Mal va) wyszło już wtedy z użycia.

Pokoje na Sewerynowie miały jedną niepospolitą zaletę: nie wymagały opalania, bo w suterenach pod nimi mieściła się Ȧźnia parowa. Bohdan Zalutyński chodził do tej Ȧźni w bogatej dase do pięć ubranej na gołe ciało. Jeżeli spotykał po drodze ko-

bietę, rozchyłał poły dachy wywołując słuszne wrzaski strachu i oburzenia.

Służącą a jednocześnie zarządczynią pokojów umeblowanych była Feliksowa, kobieta w średnim wieku ze śladami dawnej urody. Wyklócała się z niesfornymi lokatorami, urządzała awantury o komorne, ale w gruncie ich lubiła. Zresztą po okresach chudych przychodziły dni tłuste (interesy!), a wtedy Feliksowa nie tylko inkasowała komorne, ale była hojnie wynagradzana. Nie lubiła oczywiście częstych wizyt „kobiet uprawiających nierząd zawodowo”. Gdy ją posyłano po piwo i wódkę, lub po przekąski do pobliskiego „Lija”, zwracała się z błagalną prośbą:

— Proszę tylko nie sprowadzać kurwów.

Z góry wiedząc, że te błagania nic nie pomogą dodawała:

— Przynajmniej proszę nie krzykać.

Zresztą specjalistą od krzykania był głównie mąż Feliksowej pan Feliks. Był szewcem z zawodu, toteż w ciągu sześciu dni powszednich nie było go słycać. Był maleńkiego wzrostu, szczupły, przygarbiony i robił wrażenie, że jest pod pantoflem u dorodnej Feliksowej. Ale w soboty wieczorem i w niedziele upijał się i urządzał dzikie wrzaski. Zresztą Feliksowa nie bardzo się tych wrzasków bała. Pan Feliks nie był prawdopodobnie nigdy „bohaterem jej powieści”. Pewnego dnia, gdy Tadeusz przyszedł na Sewerynow i nie zastawszy nikogo wdał się w pogawędkę z Feliksową, przez ulicę przechodził oddziałek wojska śpiewając coś w rodzaju:

*My siądziemy na koników,  
Pobijemy bolszewików.*

— Cóż, pani Feliksowo, — spytał Tadeusz — ładne wojsko?

— Iii... Jakie tam ładne! I śpiewać nie umieją.

Zamyśliła się a potem dodała:

— O jak Ruskie były, te umiały śpiewać. Oj, jak ładnie śpiewały. I były takie ładne, takie przystojne.

Wzrok jej się zamglił i pobiegła myślą do swych młodych lat, gdy po ulicach Warszawy chodzili dorodni lejbgwardii huzarzy grodzieńscy, lejbgwardii ułani Jego Cesarskiej Mości, albo lejbgwardziści pułku Keksholmskiego.

## Rozdział XII

### POCAŁUNEK WOJNY

O czym Warszawa mówiła w tym roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym? Generał Czerewin, ziemianin spod Dokszyń, którego majątek miał później pozostać po złej stronie traktatu ryskiego, tak mówił znalazłszy się w towarzystwie jednego z braci-zagończyków Dąmbrowskich:

— Mieliśmy w Warszawie tylko dwa tematy rozmów: przyjęcie wojsk generała Hallera i ot — tu zrobił uprzejmy gest ręką — bracia Dąmbrowscy.

Rzecz jasna że zacny generał Czerewin mocno zwęził temat rozmów warszawskich. W stolicy huczało jak w ulu. Kilkanaście stronnictw politycznych skakało sobie do oczu. W sejmie uchwalono reformę rolną. Uchwalono też przymusowy odpoczynek niedzielny, co wywołało straszne oburzenie wśród Żydów. Zendecciałe od czasu powstania Dwugroszówki mieszczaństwo warszawskie pomstowało na Piłsudskiego i opowiadało o nim niestworzone historie. Postępowcy — odwrotnie — wynosili go pod niebiosa. Skamandryci, którzy wtedy byli jeszcze „pikadorczykami”, i futuryści pisali wiersze. W teatrykach kpiono z suwerenów sejmowych, z urzędników państwowych, z pani Heleny Paderewskiej. Prywatnie układano nazwiska posłów i posłanek w zabawny szereg: Nader, Płocha, Moczydłowska, Targała, Kotas, Kędziora. Zalewano się lepkiem likierami.

Z wojskiem Hallera przyjechał do Warszawy młody as lotnictwa myśliwskiego Stefan Irteński, syn Władysława, ongi właściciela pięknych dóbr Łohoza pod Mińskiem, które poszły z młotką. Tadeusz poprosił Stefana, aby go powoził samolotem. Siedli na polu Mokotowskim na starego Bregueta i w ciągu 10 minut krążyli nad Warszawą. Było bardzo przyjemnie, choć troszeczkę straszno. W owych czasach samolot składał się przewa-

źnie z płótna, deszczułek i drutów. Nieraz się zdarzało, że się skrzydło ni z tego ni z owego obrywało. Toteż każdy lot był połączony z ryzykiem.

Tworzyło się wojsko. Mówiono o dalszej ofensywie na wschodzie. Kresowcy z biciem serca słuchali tych rozmów. Kiedy wojska ruszą na Mińsk? Sztabowcy robili tajemnicze miny. Gdy Tadeusz zapytał jednego z nich, gdzie urzęduje, ten odpowiedział:

— W tym małym domku koło zamku. Nazywają go tak zabawnie: „Pod blachą”.

„No, ten się nie trudził studiowaniem walk narodu polskiego” — pomyślał Tadeusz.

Robiono w dalszym ciągu „interesa”. Miejscem spotkań był albo hall w Bristolu, albo podziemie cukierni Lourse'a, gdzie godzinami grał w bilard pisarz rosyjski Arcybaszew przybrany w czarną jedwabną rubaszkę przepasaną sznurem z frędzlami.

Na Sewerynowie życie płynęło falami, tj. miało kolejne wzloty i upadki w zależności od wyniku „interesu”, czy też rezultatu gry w pokera lub „szmena”. Seniozem Cempścia na Sewerynowie był, jak już wspominałem, Wiktor Piotrowski — o dobre kilka lat starszy od najstarszego z pozostałych członków. Gdy był na wozie, sprawiał sobie nowy garnitur. Gdy był pod wozem, garnitur szedł do lombardu, a „Piotr” by nie świecić wytartym starym ubraniem chodził w dni upalne w jesionce.

— Jak możesz chodzić w jesionce w taki upał? — dziwił się Tadeusz.

— Dżentelmenowi nigdy nie jest ani za zimno, ani za gorąco — odpowiadał „Piotr”.

Cempśc utrzymywał też bliskie stosunki z panami, których nazwiemy tutaj panem Kawką i panem Węglowskim. Była to nierozłączna para. Obaj mieli piękne i miłe żony Rosjanki, które też stanowiły atrakcję. Panowie Kawka i Węglowski pochodzili z porządnych rodzin kresowych, ale przeszłość mieli ciemną. Wtajemniczeni twierdzili, że obaj byli zawodowymi szulerami i że za czasów carskich mieli jako szulerzy zakazany policyjnie wjazd do „obu stolic”, tj. Petersburga i Moskwy. Opowiadano też o innych sprawkach tych panów. Otóż raz zjawili się u pani Wandy Eynarowiczowej, ciotki Tadeusza, z wekslem jej syna Stanisława na sumę 500 rubli wystawionym za dług karciany. Pani Wanda była osobą oszczędną, więc oświadczyła, że długów karcianych syna nie płaci. Wtedy pan Kawka:

— A więc robię pani prezent z tych głupich 500 rubli!

To mówiąc podarł weksel na strzępy. Pani Wanda, Dederkówna z domu, była ostrożna i oszczędna, ale posiadała też odzie-

dziczną dumę rodową. Spłonawszy rumieńcem gniewu rzuciła w twarz panu Kawce „głupią” sumę 500 rubli. Pan Kawka pieniądze przyjął, ale w parę tygodni potem weksel na sumę 500 rubli z podpisem Stanisława Eynarowicza — tym razem weksel autentyczny — został odesłany do protestu.

Tadeusz był świadkiem historii świadczącej, że opowiadanie o zawodowym szulerstwie panów Kawki i Węglowskiego miało podstawy. Pan Kazimierz Wołodkowicz z Iwańska uchylił się od podania ręki panom Kawce i Węglowskiemu. Wielce oburzeni posłali mu sekundantów. Pan Kazimierz oświadczył sekundantom:

— To znani żulicy i szulerzy i sprawa honorowej z nimi mieć nie mogę.

Sekundanci złożyli swe mandaty i sprawa honorowa na tym utknęła. Mimo to jednak dawni znajomi utrzymywali nadal przyjazne stosunki z panami Kawką i Węglowskim — może z racji ich pięknych i miłych żon? — a pan Kazimierz Wołodkowicz chodził po Warszawie z aparatem fotograficznym, ponieważ, jak powiadał:

— Lubię fotografować pięknych istot.

Życie Cempścia na Sewerynowie nie polegało wyłącznie na rozpuście lub na ciemnych, a w najlepszym razie niejasnych interesach. Spragnieni pożywienia dla duszy chodzili pilnie do teatru. Wystawiona w „Rozmaitościach” sztuka Stefana Kiedrzyńskiego „Pocałunek wojny” szczególnie ich poruszyła. Sztuka ta miała swe dzieje nieznanne nie tylko przeciętnym bywalcom teatralnym, ale i zawodowym teatrologom. Aby te dzieje zrozumieć, trzeba, jak się w klasycznych powieściach pisało, cofnąć się wspomnieniem o kilka lat wstecz.

Na całą Litwę słynęła Bielica gubernii mohylowskiej, należąca do pana Karola Świackiego. Sława tego dworu przekraczała zresztą granice zaborów, zwłaszcza że żona pana Karola, Donimirska z domu, była rodem z Pomorza. Dobra Bielica-Krupka-Hurzec z wielu folwarkami słynęły przede wszystkim ze wzorowego gospodarstwa rolnego, z hodowli krów rasowych, z wielkiego na owe czasy uprzemysłowienia. W dobrach tych były gorzelnie, młyny, tartaki, mleczarnie, fabryka drewniaków do zapalek. Niektóre z tych zakładów były nawet zelektryfikowane! Dziesiątki praktykantów, tj. studentów lub absolwentów wyższych uczelni rolniczych przeszło przez Bielicę kształcąc się pod kierownictwem pana Karola i jego administratorów. Ale Bielica zasłynęła jako najdalej na wschód położone „centrum polszczyzny” — ognisko kultury zachodniej usadowione niby fortalicją niedaleko ściany smoleńskiej. Pan Karol założył u siebie szpita-



le, ochronki, szkółki — najpierw tajne, a od wojny 1914 jawne. Korespondencja z Bielicy wychodziła na papierze listowym ozdobionym secesyjną winiętką z napisem: „Mohylowska oświata — światło niosę mojemu ludowi”.

Każdego lata dwór huczał od zjazdu młodzieży płci obojga — krewnych, powinowatych, przyjaciół oraz niezamożnych studentów, pisarzy i artystów potrzebujących odpoczynku na wsi. Odbywały się bale, baliki, zawody sportowe, wieczory wokalnoliterackie, teatry amatorskie. Przed wojną zbierała się w Bielicy młodzież nie tylko z okolicy, nie tylko z całej Litwy, ale również z Królestwa, Pomorza, Poznańskiego i Galicji. Po wybuchu wojny 1914, a zwłaszcza po porażce rosyjskiej latem 1915 i napływie fali wygnańców Bielica i przyległe folwarki pęczniały od „uciekiniarów”, którzy w gościnnych progach pana Karola znaleźli schron, wikt i opierunek.

W gronie uchodźców z Królestwa znalazł się pan Stefan Kiedrzyński, średniej miary autor paru książek i sztuk scenicznych. Zamieszkał w Bielicy, która już była zapełniona do ostatecznych granic pojemności. Zdarzyła się, że do Bielicy zawitali krewni pana Karola i to krewni niebylejacy: staruszka ciotka pana Karola Maria Górecka z domu Mickiewiczówna (córka Adama) i Teodor Dydyński, ostatni żyjący profesor warszawskiej Szkoły Głównej, z żoną. Nie wiedząc, gdzie i jak ich rozlokować zwrócił się do kilku młodych gości z uprzejmą prośbą, czy by nie byli łaskawi przenieść się — choćby czasowo — do jednego z folwarków i w ten sposób oswobodzić pomieszczenie dla przybyłych krewnych. Młodzi ludzie zgodzili się bez szemrania — z wyjątkiem pana Kiedrzyńskiego. Ten uznał propozycję pana Karola za osobisty afront, obraził się i opuścił Bielice „z trzaskiem”.

Pan Karol wzruszył ramionami. Może by jednak nie wzruszał ramionami, gdyby był czytał powieść „Sławny człowiek” Włodzimierza Perzyńskiego i wiedział, że życie lubi czasem naśladować literaturę, no i że nie zawsze bezpiecznie jest żegnać ludzi pióra wzruszeniem ramion. W powieści Perzyńskiego autor sztuki teatralnej dostaje dyskretną łapówkę w kwocie 500 rubli za cenę zaprzestania pisania felietonów mogących skompromitować panienkę z dworu ziemiańskiego, który parę miesięcy przedtem podejmował gościnnie „sławnego człowieka”.

W wypadku pana Kiedrzyńskiego analogia z literaturą nie jest ani pełna, ani zakończona. Pan Kiedrzyński nie był sławny — był zaledwie „znany” —, żadnej panienki nie skompromitował i, co najważniejsze, ani 500 rubli ani żadnej innej sumy nie dostał. Ale w trzy lata później napisał sztukę „Pocątu-

nek wojny". Akcja dzieje się w bogatym dworze kresowym w okresie rewolucji bolszewickiej. Dwór żyje jak na wulkanie czekając lada chwila wtargnięcia zbolszewiczałego motłochu i pogromu. Właściciel majątku (Owerło), dusigrosz rozprawiający o zarobkach ze sprzedaży „tuczonych kabanów”, snob przechwalający się pokrewieństwem z Radziwiłłami, myśli tylko o groźbie strat materialnych i o własnej skórze. Jest ojcem pięknej córki (Szylinzanka), która się podkochuje w bawiącym we dworze uchodźcy z Warszawy (Węgrzyn). Dwór jest oblegany przez wzburzony motłoch. Wymowny Węgrzyn umie jednak jakoś uspokoić zbuntowane chłopstwo (przez okno), ale zostaje śmiertelnie ranny strzałem z tłumu. Umiera bardzo powoli opłakiwany przez piękną dziedziczkę. Sztuka kończy się efektownie: w blaskach świtu ukazuje się w środkowym oknie sylwetka żołnierza niemieckiego w hełmie stalowym. Na scenę, na której umiera Węgrzyn, wchodzi właściciel z okrzykiem: „Bardzo dobra wiadomość: otrzymaliśmy przepustkę do Warszawy”.

Pomijając takie błędy, jak np. że żaden ziemianin na Litwie nawet nie myślał o przepustce do Warszawy zaraz po przepędzeniu bolszewików przez wojska niemieckie i wiele innych drobnych usterek, trzeba przyznać, że sztuka została przez Kiedrzyńskiego pomyślana chytrze. Pan Karol nie mógł mieć osobistej pretensji, bo nie miał córki, ale tylko syna jednaka i ponieważ jako purysta polski nie mógł mówić o „kabanach”. Ale ta chytryść była wyjątkowo podła, bo rzucała cień na całe ziemiaństwo litewskie. Możliwe że na wielkim obszarze między linią frontu a Dnieprem mógł się znaleźć wśród tysięcy dworów taki lub inny dwór, w którym „uciekinierów” przyjęto niezbyt gościnnie. Na ogół jednak dwory litewskie po prostu przesadzały w gościnności. Z gościnności tej korzystała nie tylko inteligencja, ale i chłopcy-wygnañcy, którzy dostawali pracę, dach nad głową i szkołę polską dla dzieci.

Cempśc wysłuchał sztuki spokojnie i tylko ryknął chóralnym śmiechem, gdy Owerło grający ziemianina-kułaka oświadczył:

— Wszak przez Świętorzeckich jesteście krewni Radziwiłłów.

W antrakcie członkowie Cempścia kolejno wieszowali paranteli Tadeuszowi, którego matka była Świętorzecka z domu.

W pierwszych dniach sierpnia wojska polskie zajęły Mińsk. Mińczuków ogarnął szal radości. Biegali po przepustki, pakowali walizki. Tylko Irteńscy chodzili zatroskani. Na parę dni przed opuszczeniem Mińska bolszewicy aresztowali i wywieźli na

wschód kilkadziesiąt Polaków i Polek jako „zakładników”. W liczbie tych zakładników znalazła się pani Irteńska. Znajomi Żydzi ostrzegali ją, że może być zaaresztowana, więc zamieszkała na przedmieściu w domku dawnego lokaja. Ale dowiedziawszy się, że Jadwinia nie daje sobie rady z ciężko chorym na dyzenterię synkiem, przyszła do domu późnym wieczorem i trafiła w ręce patrolu bolszewickiego. Jadwini z umierającym synkiem i 90-letniej babuni Irteńskiej bolszewicy nie ruszyli. Dopiero w 21 i 22 lat później nabrali odpowiedniej wprawy w deportowaniu i wywozili w bydłowych wagonach bez różnicy — zarówno starców osiemdziesięcioletnich jak i niemowlęta. Panią Irteńską w towarzystwie pań Zenaidy Brzostowskiej z córką Eugenią, Józefowej Święcickiej z trzema córkami i Jadwigi z Kaszyców Januszkiewiczowej oraz panów Adama Żabę, Maksymiliana Malińskiego, Włodzimierza Dworzaczka i profesora Mariana Massoniusa wsadzono „z komfortem” do wagonu trzeciej klasy i powieziono do Smoleńska. Na jednej ze stacji za Borysowem żołnierz wywołał z wagonu pana Adama Żabę, znanego mińskiego działacza społecznego i politycznego. Pani Irteńska widziała przez okno jak pana Żabę dwaj żołnierze wyprowadzili za budynki stacyjne. Rozległ się strzał. Wkrótce pociąg ruszył dalej — już bez pana Żaby.

W Smoleńsku zakładników osadzono w więzieniu. Pani Irteńska zachorowała na tyfus plamisty. Wyżyła dzięki oddanej i serdecznej opiece dr. Erdmanowej. A już toczyły się w Borysowie pertraktacje o wymianę zakładników. W styczniu powracające z niewoli smoleńskiej ofiary deportacji witano uroczystie na dworcu.

Tadeusza zdruzżyły „interesy”, skorzystał z oferty złożonej mu przez pana Jana Dynowskiego, wuja Koka Proszyńskiego, i przeniósł się do Mińska, aby rozpocząć służbę w Zarządzie cywilnym ziem wschodnich. Dostał posadę sekretarza poufnego pana Dynowskiego, który był komisarzem miasta Mińska. Otrzymał 9-y stopień służbowy, parę tysięcy marek poborów i „deputat”, w którego skład wchodziło m.in. kilka funtów białej jak śnieg mąki amerykańskiej. Wkrótce wprowadzono nieoczekiwany system wypłaty poborów. Pobory — zasadniczo miesięczne — wypłacano nie co miesiąc, ale co 20 dni: 1-ego, 20-go, 10-go, 1-go i td.

Naczelnikiem okręgu mińskiego, czyli wojewodą, jest pan Władysław Raczkiewicz — pierwszy wojewoda miński od stu kilkadziesiąt lat. Robi fantastyczną karierę. Jeszcze nie dawno nosił mundur podporucznika i dzięki protekcji zanego generała Gawriłowa nie poszedł na front, lecz urzędował w biurze woj-

skowego naczelnika. Dziś miga po ulicy Zacharzewskiej, przemianowanej zresztą na ulicę Mickiewicza, w otwartym aucie w kapującym od złota mundurze. Jego to w „Myśli Niepodległej” złośliwy Andrzej Niemojewski nazwie „złotym generałem”. A gdy Tadeusz złoży mu wizytę w jego siedzibie prywatnej — uroczym spowitym zielenią dworku pana Parfianowicza na jednej z bocznych ulic śródmieścia — zobaczy na stole w saloniku czyjąś fotografię z napisem: „Kochanemu Władkowi — przyszłemu ministrowi”. Napis ten miał stać się proroctwem trzykrotnym: po raz pierwszy już w roku następnym.

Szef Tadeusza pan Dynowski jest człowiekiem trochę „stukniętym” ale miłym. Praca o tyle ciekawa, że nowa. Na stole papierki, które trzeba jakoś załatwić. Zdziwiają zwroty „ad pismo tamtejsze” lub „w związku z pismem tutejszym” — kopiowane z galicyjskich wzorów. Ale wszystko odbywa się, jak w śnie złotym. Wolny Mińsk przeżywa miesiące miodowe oswobodzenia. Frontem dowodzi generał Szeptycki. W zarekwirowanym w mieszkaniu Irteńskich pokoju mieszka pułkownik Szemet, dowódca okręgu etapowego. Do funkcji jego należy m.in. zatwierdzanie wyroków śmierci wydanych przez sądy polowe. W sądzie polowym oskarża kapitan Januszkowski, doradczyk o przydomku „Bibesco”. Dzięki jego pozwoleniu i komendanta policji pana Dryżyńskiego, drobnego obywatela powiatu ihumeńskiego, Tadeusz w towarzystwie paru innych cywilów jedzie za miasto do sosnowego lasu majątku Ślepianka pana Piotra Wańkowicza, aby asystować przy rozstrzelaniu czterech bandytów. Stoją skuci kajdankami nad wykopanym rowem z górką żółtego piasku. Ograbili i zamordowali kilkunastu ludzi. Najgorszym z nich jest niejaki Jajeczko morderca całej rodziny z niemowlętami włącznie. Gdy huknęła salwa i skazańcy jak wichrem zdmuchnięci upadli na piasek, Tadeusz poczuł lekkie mdłości. Pożałował, że dał się skuścić „niezdrowej ciekawości” i przyglądał się krwawemu widowisku. Już miał siadać do powozu, by wracać do miasta, gdy zatrzymał go komendant policji.

— Mam list do pana — powiedział pan Dryżyński z ironicznym uśmiechem — w ubraniu jednego z bandytów znalazłno tę oto kartkę.

Tadeusz bierze z niedowierzaniem do ręki brudną i zatłuszczoną kartkę pokratkowanego papieru. Na jednej stronie adres: „JWPan Tadeusz Ipohorski Irteński w Mińsku Litewskim”, a na drugiej:

„Kochany Tadzium, — okaziciel niniejszego Michał Jajeczko był u nas w Mietliczycach leśnikiem. Jest bardzo porządnym

i uczciwym człowiekiem. Może mógłbyś urządzić mu posadę w milicji albo woźnego w urzędzie.

Twój Jan Święcicki”

Tadeusz obraca kartkę w rękę i uśmiecha się krzywo. Tymczasem od strony wykopanego rowu słychać jeden strzał, potem drugi. Okazuje się że pluton egzekucyjny złożony z młodych chłopców denerwował się i nie strzelał celnie. Michał Jajeczko rzucał się jeszcze na piasku i sierżant dobił go z pistoletu. Sierżant też się denerwował, ręka mu się trzęsała i musiał strzelać dwukrotnie.

— Polska przezwyczajka — mruczy pod nosem pan Dryżyński — obrzucając niechętnym wzrokiem cywilne ubrania Tadeusza i jego towarzyszy.

Nerwowa, improwizowana praca zarządu cywilnego ziem wschodnich nad budową administracji „Białorusi wschodniej” idzie w parze z orgią zabaw. Była to „radosna twórczość” w pierwszym i chyba najlepszym wydaniu. W Wilnie panowie Osmołowski i Iwaszkiewicz wydawali ustawy. W okręgu mińskim stosował je pan Władysław Raczkiewicz, „kochany pan Władek”, lubiany przez podwładnych i ludność, umiejący dyplomatycznie współistnieć z najtępszą administracją pod słońcem — z administracją wojskową.

Na Treku orkiestra wojskowa gra nie tylko walce i potpourii z oper i operetek, ale i Pierwszą Brygadę. Uroczej blondynce Rozie Czarnej i jej przyjaciółce rudowłosej Fani Perelman asystują oficerowie i urzędnicy. Wieczorem kartograjstwo i pijaństwo w Klubie obywatelskim. Miodowe miesiące polskiego panowania w Mińszczyźnie płyną. Tadeusz i inni mińscy mający swe strony rodzinne za lewem brzegiem Berezyny wierzą, że wcześniej czy później wojska polskie rozpoczną dalszą ofensywę i oswobodzą od bolszewików całą Białoruś — do Dniepru. Zresztą na odcinku Jakszyc linia frontu bolszewickiego nie przebiega nad samą rzeką, lecz gdzieś głębiej na wschodzie. Szlachta borsuczyńska swobodnie przechodzi na stronę polską i z powrotem. Od jednego z szlachciców Irteńscy dowiadują się, że dwór w Baćkowie stoi cały. A Tadeusz słucha ze wzruszeniem, że szlachcic ten widział gończego Zagraja, którego ktoś musi karmić — może furman Józef albo leśnik Aleksander? — bo wygląda dobrze.

(Nie wiedzieliśmy wtedy, że spokój a właściwie zastój na froncie berezyńskim był skutkiem przerzucenia przez bolszewików niemal wszystkich sił na fronty wewnętrzne — na walkę z Kołczakiem, Denikinem i Wranglem. Stało się to podobno nie bez cichej zgody naczelnego dowództwa polskiego).

Gdy w maju przychodzi wieść o zdobyciu Kijowa, istny szal ogarnia społeczeństwo mińskie. Na placu Katedralnym biskup Łoziński celebryje dziękczynną mszę polową...

Każdy sen ma jednak to do siebie, że jest krótki. Już w końcu maja bębni pierwszy dzwonek: rajd bolszewicki na Głębokie. A w lipcu zaczyna się panika. Pułkownik Szemet uspokaja Irteńskich, że nie ma powodu do paniki, skoro on — dowódca okręgu etapowego — ani myśli z Mińska wyjeżdżać. Jednak w kilka godzin później służąca przybiega do pani Irteńskiej z wiadomością, że pułkownik z ordynansem spakowali walizki i wynieśli się cichaczem. Pan Irteński ma obiecany wagon i pakuje skrzynie z obrazami, meblami, brązami, porcelaną. Skrzynie są opakowane fachowo przy pomocy antykwariusza pana Rapaporta. Na każdej z nich szerokie pasy papieru z drukowanym napisem „Zbiory Kazimierza Ipohorskiego-Irteńskiego”. Wszystkie te skrzynie pozostały na peronie dworca, bo żadnego wagonu nie było. Po ulicach natomiast ciągnęły w kierunku zachodnim sznury ciężarówek, wozów i furmanek naładowanych z czubem stołami i stołkami kuchennymi. Pan Irteński dziękował Panu Bogu, że mu się udało wcisnąć samemu do jakiegoś przepelnionego wagonu towarowego pozostawiając bezcenne skrzynie na pastwę bolszewików lub ognia.

Mińsk bowiem płonął. Z lipcowego nieba bez jednej chmurki spływał na miasto żar. A tu i ówdzie w dzielnicach domów drewnianych ku niebu wily się czarne dymy. Czasem widać było niedalekie języki pomarańczowego ognia. Ewakuacja odbywała się w upale i wśród pożarów. Białorusko-sowieccy historyografowie Mińska napiszą później, że to „białopolacy” podpalił miasto rozmyślnie. Nonsens oczywisty. W środku wysuszonego na pieprz lata, wśród paniki, rozgardiaszu i tłoku na ulicach, gdy straż ogniowa nie mogła się przepchać przez zatłoczone ulice, byłoby raczej dziwne, gdyby nie było pożarów. Zresztą autor tej kroniki wie od ludzi, którzy mieszkali w Mińsku w latach 1921-1922 pracując w komisji granicznej, że Mińsk bardzo mało ucierpiał w czasie tych pożarów ewakuacyjnych: spłonęło kilkanaście domków drewnianych i kilka składów.

Ale w atmosferze popłochu i ucieczki, pod palącym niebem lipcowym te czarne dymy i czerwone języki ognia robiły wrażenie trochę niesamowite.

Z tych dni ewakuacyjnych Tadeuszowi utkwiły w pamięci dwa epizody.

Po ulicy Zacharzewskiej trąbiąc i wymijając wozy i furmanki pędzi samochód Raczkiewicza. A na rogu stoi jakiś starszy prosty człowiek, jakiś właściciel domku na Lachówce czy

Komarówce. Patrzy na oddalający się samochód Raczkiewicza, a po twarzy płyną mu łzy.

Drugi epizod. Nie bez trudu znalazł Tadeusz miejsce w wagonie towarowym. (Tu trzeba nadmienić, że każdy z członków rodziny Irteńskich uciekał indywidualnie nie wiedząc o losach pozostałych). Jechał na czczo, nie miał ze sobą żadnej żywności, ale w nieszczęściu zdarzyło się szczęście — dostał krwawej biegunki i w ciągu trzech dni miał wstręt do wszelkiego jedła. A stacje, które mijali, były oczywiście doszczętnie ogołoczone ze środków żywności. Spod kół wagonu wznosił się kurz, kłęby kurzu wisiały nad wijącym się wzdłuż toru traktem, po którym nieprzerwanym łańcuchem posuwał się exodus: piękne powozy i wolanty zaprzężone w czwórkę koni, zwykłe bryczki, furmanki, wozy drabiniaste... Tadeusz osłabiony nieustannym odstawianiem stolca złożonego przeważnie ze śluzu i krwi pólleżał na jakimś twardym worku i był na wszystko zobojętniały.

W sąsiednim wagonie jechało kilkunastu żołnierzy z pułku poznańskiego — wojska zapewne bardzo dzielnego w boju, ale niesforne poza służbą, słynnego z grabieży, nękania ludności cywilnej, bicia Żydów. Zachowywali się krzykliwie i po chulikańsku. Do wagonu ich trafił żołnierz Żyd z jakiegoś innego pułku. Zaczęli się nad nim znęcać: śmieli się z niego, nasuwali mu rogatywkę na oczy, szczypali go, udawali że go chcą zakłuć bagnetem. Żyd znosił to wszystko w milczeniu, ale z biegających oczu można było zgadnąć, że jest bliski obłędu. W czasie jakiegoś postoju w polu przed zamkniętym semaforem jeden z Poznańczyków chlusnął na Żyda z bańki z benzyną, a drugi sięgnął po zapałki mówiąc, że go podpali. Tego już biedak nie mógł wytrzymać. Wyskoczył z wagonu i zaczął biec na oślep w kierunku łąnu zieleniejącego żyta.

— Dezerter! zdrajca! szpieg bolszewicki! — zaczęli wrzeszczeć Poznańczycy.

Szczęknęły zamki karabinów i huknęło kilka strzałów. Żyd nie zdążył dobiec do łąnu żyta i upadł kopiąc murawę nogami.

W minutę później rozległ się gwizd parowozu i pociąg ruszył dalej.

## Rozdział XIII

### CUD NAD WISŁĄ

Gdy Tuchaczewski rozpoczął swą ofensywę, zarówno wojska cofające się znad rzeki Auty i Berezyny, jak cywile opuszczający oklębiony czarnymi dymami Mińsk nie przypuszczali, że fala odwrotu dopłynie do Warszawy. A jednak tak było. Poeta Słoński, autor w r. 1914 „Tej co nie zginęła”, wołał teraz trochę płacząco: „O ludzie, już nie o Wilno, lecz o Warszawę się bijem!” Poeta trafił w sedno: o Warszawę należało się bić. A o Wilno? O Wilno to już babka na dwoje wróżyła. A o Mińsk babka nie stawiała nawet kabały.

W cieplej nocy sierpniowej, gdy gwar uliczny milknął, słychać było na Smolnej głuchy, bardzo daleki pomruk od strony Pragi. Na chodnikach zjawiły się napisy „Idź na front!” Kamil Mackiewicz malował plakaty. Na jednym z nich żołnierz z twarzą Kamila pochylał karabin, a napis wołał: „Hej, kto Polak, na bagnety!” Tadeusz z Rudym wstąpili na ochotnika do 19 eskadry lotniczej myśliwskiej, paradowali w mundurach z żółtymi kołnierzami, jeździli urzędować do koszar na Mokotowie, mieszkali prywatnie w mieście, jadal kolacje w „Astorii” na Nowym Świecie, gdzie wtedy przy stoliku pisarsko-dziennikarskim przydawał Kornel Makuszyński, jeden z filarów endeckiej „Rzeczypospolitej”. O nim to śpiewano na nutę Rozmaryna w jednym z kabaretów:

*Rzeczypospolito rozwijaj się (bis)!*  
*Pójdę do Astorii,*  
*Tam usiądę w glorii...*

Razu pewnego do sali, która była na piętrze, doleciał z dołu łomot i wielki wrzask kilkudziesięciu głosów kobiecych. Na



sali powstało zamieszanie. Kelnerzy biegali zaferowani. Goście w ubraniach cywilnych wyraźnie pobledli. Co się stało? Tłum kobiet dobija się, bo chcą się rozprawić z cywilami, którzy nie idą na front. Ochotnicy umundurowani, lub tacy co przynajmniej mieli wpiętą w klapę marynarki czerwono-białą kokardkę ochotniczą, siedzieli sztywni i pozornie obojętni, choć też czuli się nieswojo. A jeden z bladych cywilów wstał i przygarbiony zaczął krążyć między stolikami, jakby szukając wyjścia pod ziemię. Wreszcie tumult ucichł. Właściciel „Astorii” potrafił jakoś przekonać wojownicze kobiety, że na sali nie ma tchórzów, a tylko dzielni obrońcy ojczyzny. Kto wie — może owego wieczoru wśród gości na sali był gdzieś Julian Tuwim i może ten wrzask kobiet szturmujących „Astorię” natchnął go w 9 lat później do użycia zwrotu o „stadzie dzikich bab”?

W Warszawie robiło się coraz goręcej. Wieczorami pomruk artylerii za Pragą był zupełnie wyraźny. Pod Radzyminem prowadząc swój batalion po raz dwudziesty do kontrataku poległ przyjaciel Tadeusza i dokooptowany członek Cempścia kapitan Ryszard Downar-Zapolski, z którym jeszcze tak niedawno popijało się w restauracji Europejskiej w Mińsku. Ryszard wstąpił praporszczykiem do armii rosyjskiej w roku 1914 i trzy lata bez przerwy przesłużył w pierwszej linii okopów. W roku 1917 miał już na piersi dwa białoemaliowane oficerskie krzyżyki św. Jerzego. Potem był u Dowbora. W ciągu sześciu lat omijały go kule i nie był nawet draśnięty. Był szczupły, suchy, odznaczał się niesłychaną siłą fizyczną i ogromną łagodnością charakteru.

Wieczorem po na pół pustych alejach Ujazdowskich szły tramwaje z rannymi i migał otwarty samochód, a w nim szarobłękitna kurtka zasępionego Piłsudskiego.

A potem nadszedł Cud Wisły. Mam wrażenie, że te słowa „cud Wisły” czy też „cud nad Wisłą” powstały niejako automatycznie i bez żadnej ukrytej myśli. Były po prostu naśladowaniem będącego wciąż w świeżej pamięci Cudu Marny. Skoro Paryż ocalał dzięki cudowi nad Marną, to dlaczego Warszawa — ten „mały Paryż” — nie może być ocalona dzięki cudowi nad ukochaną szarą Wiselką? Zaledwie jednak słowa „cud Wisły” zostały wypowiedziane, już podstępne myśli rozpoczęły gorączkową pracę. Chodziło o odebranie laurów zwycięstwa Piłsudskiemu. Próbowano zwalić zwycięstwo na generała Weyganda, ale generał nie zechciał grać roli nadwiślańskiego cudotwórcy. Tedy puszczono wersję, że zwycięstwo sierpniowe nad bolszewikami było dziełem Boskiej interwencji. Wersja ta bardzo odpowiadała nastrojowi Polaków skłonnych do tego, co p. Jan Kowalik nazwał „szamanizmem narodowym”. Szamanizm ten

nie opuścił nas na emigracji: na łamach pewnego czasopisma wydawanego w Londynie pewien b. oficer wysokiej rangi wskrzesił go w artykule „Cud nad Wisłą” w czterdzieści lat po bitwie warszawskiej.

19-ą eskadrę lotniczą myśliwską zwano „cyrkiem Mroczkowskiego”, gdyż dowodził nią porucznik nazwiskiem Mroczkowski, a w Warszawie był ongi cyrk Mroczkowskiego. Eskadrę przeznaczono dla obrony stolicy. Po cudzie nad Wisłą, gdy fala bolszewików została odrzucona daleko na wschód, eskadra powinna była ruszyć z Warszawy w ślad za oddalającym się frontem. Porucznik Mroczkowski zwlekał jednak i dopiero w początku września eskadrę załadowano na pociąg. Pobyt eskadry na froncie nazwany przez Rudego „kampanią turecką” obfitował w szereg zabawnych epizodów, których opisywanie zajęłoby zbyt dużo miejsca. Tu wspomnę tylko, że Tadeusz i Rudy zaprzyjaźnili się z sierżantem Taszarkiem z Poznańskiego. Z inicjatywy Taszarka odbyła się w okolicach Brześcia w łozach nadbużańskich obława na „zdziczałą” krowę. Mięso tej krowy było cennym nabytkiem dla eskadry karmionej w ciągu wielu dni obrzydliwymi konserwami i jeszcze obrzydliwszym chlebem.

W Brześciu eskadra zmotoryzowała się i ruszyła w stronę Prużan trakcją samochodową. Nawet kuchnia była zmotoryzowana i pewnego wieczoru wiadomość „kuchnia puściła” ogromnie zelektryzowała całą eskadrę.

Najdłuższy postój był w pięknym lecz zapaskudzonym i zaszonym przez bolszewików dworze Drewiańcyce pod Słoniemem, własności pp. Ordów. Tam łażąc po zaśmieconych pokojach, oglądając kupy odchodów sołdeckich nie tylko na posadkach, lecz nawet na klawiaturze fortepianu, Tadeusz z Rudym znaleźli kilka porzuconych gazet i tygodników sowieckich. W jednym z nich była karykatura Piłsudskiego z obwiązaną spuchniętą twarzą i napisem: „Józef I Piłsudski, król polski, granice roku 1772 wypisała mu na gębie czerwona armia”. A w drugim wierszyk, z którego Tadeusz zapamiętał urywki:

*Pust' Padierewskij zlobno łaja  
Na pomoszcz Klemanso zowiot.  
No własť' sowietow trudowaja  
I etich psow s zemli smietiot.*

.....  
*Wojska sowieckije kak ława  
Smietut wsiu nieczist' nawsieгда.  
I budiet krasnoju Warszawa  
I wsie ziemnyje goroda.*

Spod Słonima ruszono do Baranowicz. Tam pewnego wieczoru porucznik Mroczkowski wpadł do pokoju, w którym siedział Tadeusz, z wyciągniętą ręką:

— Winszuję! Nasze wojska zajęły Mińsk.

Radość trwała krótko. Już nazajutrz wiedziano, że oddziały, które zajęły Mińsk, dostały rozkaz wycofania się i że zaawarto rozejm. Tegoż dnia, czy może następnego przyszedł rozkaz bezterminowego urlopowania roczników Rudego i Tadeusza. Spakowali manatki i poszli do dowództwa odmeldować się. Oficerowie eskadry polubili męźnych ochotników i żegnali ich z żalem. Porucznik Mroczkowski starał się skusić Tadeusza do zostania w wojsku:

— Niech pan nie odjeżdża. Dam panu rangę starszego szeregowca.

Tadeusz podziękował jednak. Miał dość wszy, pleśniejącego na różowo chleba, gulaszu w konserwach, wojenki. Tęsknił do gorącej wanny i cywilnego ubrania. O niczym innym nie myślał, czy też starał się myśleć. Dopiero w wiele dni później przyszła refleksja, że tym zawarciem rozejmu po wycofaniu się ze zdobytego po raz drugi Mińska Rzeczpospolita Polska już postawiła krzyżyk na Mińszczyźnie, na Wielkim Księstwie Litewskim i na własnej historii.

Wojna się skończyła. Tylko kilka babuleniek mińskich i kilka osób mających „wizje” myślało, że rozejm jest tylko rozejmem i że „byle do wiosny” a zdobędziemy Mińsk, Witebsk, Mohylów, a może i Smoleńsk. Tadeusz ani nie zajmował się wizjonerstwem, ani nie obciążał umysłu spekulacjami politycznymi. Po prostu *czuł*, że się wojna skończyła. Stefan Irteński przywiózł z Paryża piosenkę „Madelon de la Victoire”:

*Nous avons gagné la guerre...*

Polacy uznali, że też wygrali wojnę i spoczęli na laurach. Jeszcze wtedy formuły o „przegranym pokoju” nie znano.

Straty wojenne Cempścia i ludzi z nim zaprzyjaźnionych nie były duże. W roku 1919 zginął Henio Roztropowicz. Cudowne ocalenie z masakry we wsi Ławrynowicze nad Dnieprem w maju 1918 nie stało się, niestety, asekuracją na przyszłość. W szarzy konnej pod Tarnopolem dostał kulą w brzuch i umarł w męczarniach. Legenda przypisywała mu, że przed śmiercią zwierzył się koledze z miłości do pewnej pani. Naprawdę jednak ostatnie jego słowa były:

— Dowojowałem się, j. mać!

O śmierci bohaterskiej Ryszarda Downar-Zapolskiego już pisałem. W Warszawie Tadeusz dowiedział się o stracie jeszcze jednego przyjaciela. W czasie kontrofensywy polskiej został cięż-

ko ranny Aryk (Apolinary) Krasowski. W kilka dni później umarł w szpitalu w Słonimie.

Aryk Krasowski był postacią zasługującą na dłuższe wspomnienie. W „Dzieciństwie i młodości Tadeusza Irteńskiego” powiedziałem, że było w nim coś z Doriana Greya i coś ze Stawrogina. Taki skrócony „portret psychologiczny” byłby jednak zbyt wielkim uproszczeniem. Miał w sobie niewątpliwie doriangrewowski głód wrażeń, ale na tym się podobieństwo kończyło: Dorian Grey był wzorem doskonałej urody męskiej — Aryk był zaledwie przystojny. Porównanie ze Stawroginem zawiodłoby nas zbyt daleko: Aryk nie miał w sobie żadnych cech „demonicznych”, choć nie ulega wątpliwości, że był amoralny i cyniczny. Przymiotniki „amoralny” i „cyniczny” są bardzo nadużywane, bardzo elastyczne i dlatego wymagają omówienia. Aryk był amoralny, bo jako ateista nie wierzył w żadne „absolutne” hamulce etyczne — prócz może podyktowanych estetyką — no i uważał, że z inteligencji, urodzenia i środowiska należy do elity, której nie obowiązują kanony moralności pisane dla społeczeństwa. Był cyniczny ale nie w sensie w jakim ciotki mego pokolenia rozumiały cynizm. (Jak wiemy ciotki te nazywały cynikiem każdego, kto lubił posługiwać się czteroliterowymi wyrazami). Był cyniczny o tyle, o ile się zgodzimy na definicję, że cynizm jest naiwnością mądrości. Miał naturę bardzo wrażliwą, a jednocześnie posiadał rzadko spotykane panowanie nad nerwami. W kronikach Cempścia zapisano ciekawą historię tej arykowej zdolności opanowania nerwów. Zimą 1915-1916 w Petersburgu w ciągu paru miesięcy symulował paraliż nóg w celu wyłudzenia od rodziców większej sumy pieniężnej. Symulacja udała się znakomicie pomimo że był pod obserwacją kilku znanych lekarzy, którzy go niemal codziennie badali kłując, szczypiąc i przypiekając „sparaliżowane” nogi. Ponieważ męstwo i odwaga nie są niczym innym jak tylko posuniętym do najwyższych granic opanowaniem nerwów, był więc niezwykle odważny. Odznaczał się odwagą wojenną i — co nie zawsze, jak wiemy, idzie w parze — odwagą cywilną. Odwagę cywilną doprowadzał zresztą nieraz do stopnia arogancji wprowadzając w rozpacz znacznych pogrobowców XIX wieku, którzy narzekali że „dla Aryka nie ma nic świętego”. Po rozbrojeniu korpusu Dowbora nie powrócił do Mińska. Znikł. Zjawił się dopiero w Warszawie pod koniec 1919 roku. Wtedy okazało się, że w ciągu półtora roku zdążył być za granicą. Był w Kijowie pod hetmanem Skoropadzkim i tam kontaktował się z ultrakonserwatywnymi Rosjanami. A później pojechał w jakiejś nikomu nieznannej misji do Anglii, gdzie spędził kilka miesięcy. O tym pobycie w Kijowie rozma-

wiał z przyjaciółmi bardzo ogólnikowo. Tajemnicę tego okresu swego życia zabrał ze sobą do grobu. Po przyjeździe do niepodległej Polski wstąpił zaraz do wojska w zdobytym jeszcze przed rewolucją stopniu podporucznika. Z punktu zaczął wygłaszać wśród kolegów oficerów jakieś „niekonformistyczne”, podobno nawet antypatriotyczne powiedzenia i żarty i miał na tym tle kilka spraw honorowych, które z uwagi na toczącą się wojnę zawieszono według znanej już formuły: „aż do powrotu kraju do zupełnie normalnych warunków”. Zginął wskutek odniesionych ran na kilka dni przed zawarciem rozejmu.

W końcu zimy 1920-1921 Tadeusz przyjął ofiarowane mu stanowisko urzędnika w 8-ym a później 7-ym stopniu służbowym — w tworzącym się urzędzie wojewódzkim poleskim i przeniósł się do zrujnowanego, zbiedzonego, odrapanego Brześcia Litewskiego, którego nazwę z pomysłu jakiegoś ultrapatriotycznego półgłówka przefalszowano na „Brześć nad Bugiem”. W Brześciu przemieszkał cały rok. Rok ten nie był ani ciekawy, ani wesoły, zaważył jednak na przyszłej karierze Tadeusza, poznał tam bowiem dwóch naprawdę rozumnych i zdolnych administratorów polskich (a jak wiemy Opatrzność nas na ogół pokarała „przywódcami”): pierwszego wojewodę poleskiego pana Walerego Romana i naczelnika wydziału pana Włodzimierza Dworakowskiego.

Z długich miesięcy ciężkiej i nudnej pracy w Brześciu Tadeuszowi pozostało w pamięci kilka oderwanych epizodów. A więc polowanie na kaczki wzdłuż szuwarów Muchawca. A więc strażnik sowiecki w kozuchu z długim karabinem po drugiej stronie granicznej Słuczy koło wsi o dźwięcznej a pradawnej nazwie Lenin. „Niech pan na niego nie patrzy — złościł się na Tadeusza wojewódzki komendant policji Władysław Władysławowicz Galle — ten drań gotów wystrzelić”... (Był to ten sam Galle, który ongi jako policmajster Wyspy Wasiljewskiej, tzw. „Bazyłówki”, w Petersburgu zyskał szacunek studentów za taktowne „uśmierzanie” rozruchów studenckich; tenże Galle mówił Tadeuszowi w Brześciu, że tylko o rok wcześniej był jakimś dygnitarzem przy armii Wrangla na południu Rosji. „O jak przeklinaliśmy *was* Polaków za przedwczesne zawarcie rozejmu z bolszewikami” — powiadał). Zapamiętał też Tadeusz napisy na stacjach kolejowych „Brudne ręce to cholera”, no i nie mógł zapomnieć oczekiwanej wprawdzie, nie mniej ponurej wiadomości o ratyfikacji zawartego w Rydze traktatu.

Są wśród nas tacy, co twierdzą, że wszelkie rozmyślenia nad faktami, które już się dokonały, są marnowaniem czasu. Że są zajęciem nie tylko bezpłodnym, lecz i szkodliwym, bo zaciemniają trzeźwe spojrzenie w przyszłość i rozjątrzają rany, które muszą być zabliźnione i zapomniane. Tego rodzaju nieskomplikowana filozofia jest może słuszna, gdy chodzi o świat psychiczny jednostki — słuszna oczywiście tylko częściowo, jednostka bowiem nie może być wolna od wspomnień: wspomnienie w życiu psychicznym jednostki jest faktem realnym, podobnie jak oddech, trawienie, krążenie krwi są faktami realnymi w jej życiu fizycznym. Ale w życiu społeczeństw i narodów filozofia oderwania się od przeszłości jest z gruntu błędna. Historia, zwana mistrzynią życia, chociaż jak dotąd nigdy nią nie była, jest tym dla narodu, czym jest wspomnienie dla jednostki. Nie ze zwycięstw, ale z porażek czerpiemy naukę na przyszłość. W życiu narodu, to znaczy w życiu wielu pokoleń — w przeciwieństwie może do życia jednostki — nie istnieją rzeczy, które by były nie do odrobienia. Toteż gdy w porywach „imperializmu sentymentalnego” wybiegamy z Tadeuszem Irteńskim myślą i wspomnieniem nie tylko nad Wilię, Niemen, Szczarę i Słucz, lecz i nad Ptycz, Dźwinę, Berezynę, Druć i Dniepr, rozmyślamy nad traktatem ryskim, jako nad jednym ze źródeł wszelkiego zła, które nas dotknęło i dotyka.

Po wojnie 1920 spotkała nas „szalona okazja”. Spotkał nas cud, choć nie był to jakiś „cud nad Wisłą”, lecz cud, że po upływie stuleci trzy sąsiednie potęgi zostały pobite lub osłabione. Na taką okazję państwa i narody czekają nieraz na próżno, przez długie i mroczne stulecia swych dziejów. Nie wyzyskaliśmy tej okazji. Dobrowolnie zrzekliśmy się spuścizny jagiellońskiej. Dobrowolnie oddaliśmy wrogowi wschodniemu ćwierć miliona kilometrów kwadratowych ziemi i kilka milionów mieszkańców.

Nie oskarżajmy jednostek, były one bowiem tylko marionetkami, choć im się zapewne zdawało, że tworzą historię. Kukiełki te poruszały się na scenie historycznej targane mocnymi choć niewidzialnymi sznurkami nastrojów społeczeństwa. Nie oskarżajmy kukiełek, bo zawiniłiśmy wszyscy. Zgrzeszyliśmy — wszyscy razem i każdy z osobna — krótkowzrocznością, małodusznością, tchórzliwym milczeniem, brakiem wyobraźni politycznej. Nasi statyści ówczesni w Warszawie i w Rydze zgrzeszyli od nas o tyle więcej, że postawieni w niemiłą rolę kozłów ofiarnych stworzyli całą doktrynę ratowania czoł zhańbionych w Rydze.

Apologetycy rycy chełpili się racją stanu i „wstrzemięzli-

wością". Oddanie bez walki wielkiego terytorium z kilku milionami mieszkańców poczytane zostało za wielką mądrość polityczną. A wszak każde cofnięcie się jest porażką! To tylko w prozie artystycznej istnieje figura poetycka o lwie, który się cofa dla nabrania przestrzeni do skoku. Przede wszystkim w życiu żaden lew się nie cofa: po prostu skacze i dzierży zdobycz, chyba że mu ktoś mocniejszy odbierze tę zdobycz siłą. Po drugie nikt z nas nie zamierzał „skoczyć”. A jednak obłudny i płacziwy mit o naszej „wstrzemięźliwości” nie tylko pokutował w okresie dwudziestolecia, lecz ostał się — a nawet rozwinął — do naszych czasów. Ostał się bowiem z tragiczną poprawką, że z linii traktatu ryskiego cofamy się już na „linię Curzona”.

Drugi argument apologetyków hańby ryskiej wygląda na pierwszy rzut oka solidniej. Argument ten głosi, że postąpiliśmy mądrze oddając bolszewikom ziemie między Słuczą a Dnieprem, gdyż nasz młody organizm nie zdołałby „przetrawić” tego obszaru. Ten argument zapożyczony z dziedziny funkcjonowania przewodów pokarmowych i organów trawienia byłby słuszny, gdybyśmy mieli zamiar (a kto wie ilu z nas go nie miało!) obszary te anektować i polonizować. Istotnie bowiem żarłoczne aneksje mogą stać się przyczyną śmierci państwa z przejedzenia. Ale czy naród polski, sam przez sto kilkadziesiąt lat walcząc z niewolą, nie był tym narodem, który rzucił hasło „za waszą i naszą”? Czy nie było innego sposobu współżycia z Białorusinami prócz inkorporacji i polonizacji?... I tak — w nawiasie — czy pomyśleliśmy o tych, których nie trzeba było polonizować, bo byli już od wieków spolonizowani, o tej dzielnej, twardej, pracowitej szlachcie zagrodowej i zaściankowej, o tym milionie Michniewiczów, Tumiłowiczów, Huszczów, Kandybów, Szpilewskich, Czarnyszewiczów i tylu, tylu innych, którzy w pierwszej kolejce poszli pod nóż, lub na tułaczkę do tundr Karelii lub kopalń Uralu? Bez echa i rozgłosu, bez rozdzierania szat przez obłudną prasę, bez łezek współczucia ze strony różnych obrońców praw człowieka, bez opieki UNRRy czy UNO powędrowały setki tysięcy tych pierwszych w dziejach współczesnego świata „displaced persons” na śmierć i poniewierkę. Opustoszały zagrody, zaścianki i „okolice” — zrównane z ziemią lub zmienione w kołchozy.

Nie oskarżajmy naszych ówczesnych dyplomatów ryskich. Zawiniлиśmy wszyscy, bo wszyscy milczeliśmy. Głupszy spośród nas przyjęli traktat ryski jak gołębicę trwałego pokoju. Mądrzejsi — jako dopust Boży, który jednak zsyłał czasową „pieredyszkę”. Ale i mądrzejsi milczeli. Milczała prasa, milczał sejm. A gdy w dniu ratyfikacji traktatu padło w sejmie — nie z trybu-

ny lecz z galerii! — straszne słowo „Kain”, zbyto je drwiną lub gorszym od drwiny milczeniem.

Gdy pod zaborem pruskim na zachodzie jedno dziecko polskie zmuszano do modlitwy lub nauki w języku niemieckim, zaraz rozpętywano burzę: sypały się protesty, uchwały, interpelacje. Poczytni pisarze tropili od dawna zmarłe demony wśród jezior mazurskich, lub grzebali się w nagromadzonych w ziemi, od dawna zwietrzałych prochach. Ale gdy na wschodzie hańbiono świątynie, gdy za mowę polską stawiano „pod ściankę”, gdy setki ludzi wyzutyk z mienia i odartych do naga mordowano bestialsko, a setki tysięcy innych, też wyzutyk z mienia, wysiedlano na wschód i północ — milczeliśmy. Milczał sejm, milczała prasa, milczeli poczytni pisarze. Nikt nie grzebał w kurhanach nad Berezyną i Drucią. Nikt nie tropił demonów nad Ptyczą i Dnieprem.

Nie jestem mistykiem. A jednak nie mogę oprzeć się myśli, że jest jakaś nić — straszna i czerwona — która łączy traktat ryski z naszą dzisiejszą tragedią. Biegnie ta nić wijąc się fantastycznie, niemal kapryśnie, od mogił pomordowanych, a za życia odartych ze skóry ułanów pod Rohaczewem i Niemirowem do miejsca kaźni pułkownika Mościckiego w borach poleskich, gdzie w trzy lata później wytknięto granicę ryską. Później biegnie ta nić do sali sejmowej, gdzie zagrzmiały z galerii słowa „Kainie Grabski!” Gubi się ta nić na lat dwadzieścia, by później zabłysnąć krwawo nad Katyniem. Później — nad Wilnem, gdy „sprzymierzeńcy” likwidowali armię krajową. I wreszcie zatrzymuje się ta nić czerwona wśród wystygłych rumowisk Warszawy. Zatrzymuje się — na jak długo?

A na emigracji, wśród potępięcych swarów, gdy sęp nam wyjada i serca i mózgi, zaczynamy wyrzekać się braci zza Buga, tak jak w roku 1921 wyrzekliśmy się po kainowemu braci zza Dźwiny, Słuczy, Berezyny i Druci.

Użycie przeze mnie mocnych lub niejasnych wyrazów w rodzaju „hańba”, „Kain”, „mistyka” jest rzecz jasna figurą literacką. Traktat ryski nie był nawet katastrofą, bo katastrofy w dziejach narodu nie można przywiązywać do jakiejś chwili. Był tylko objawem, zapewne najjaskrawszym, choroby toczącej myśl polską. Był objawem atrofii racji stanu. Racji opartej na pewnym minimum moralności politycznej. Był objawem raka dojrzałostwa zbudowanego na fałszywym poczuciu bezpieczeństwa.

Stawiano Sienkiewiczowi zarzuty, że jego Trylogia podjudzała i podjudza młodzież do szaleńczych i samobójczych zrywów w rodzaju powstania warszawskiego. Zarzut moim zdaniem niesłuszny. Duchem Trylogii nie jest namawianie do szaleństw. Jej



duchem jest — przygoda. A przygoda, choćby najbardziej szalona, nie jest samobójstwem. Odbrażowanie Sienkiewicza zaczęło się nie dlatego, że wybielił jakiegoś wodza polskiego i oczercił jakiegoś wodza kozackiego, lecz dlatego, że w psychice polskiej załamał się duch przygody. Wyprawa kijowska, zdobycie Mińska, Borysowa i Bobrujska — to ostatnie podrygi ducha przygody. Od roku 1920 jesteśmy w defensywie\*.

---

\* W tym rozdziale wspominałem tylko *polityczne* aspekty odbrażowania Sienkiewicza. Jednak, jak wiadomo, znów jest bardzo modne odbrażowanie go „na całego” — i to wśród najwybitniejszych naszych pisarzy. Odmawia się mu po prostu talentu. Cóż — można i tak. Tu chciałbym poruszyć tylko jedno. Zarzuca się m.inn. Sienkiewiczowi, że pisał „dla pokrzepienia serc”. Zarzut — proszę mi wybaczyć — niezbyt mądry. Sienkiewicz, jak każdy pisarz-artysta, pisał wyłącznie *w celu napisania dobrej książki*. Użycie przez niego zwrotu o „pokrzepieniu serc” było zwykłym dygiem przed pewnym gatunkiem czytelników — czytelników „zaangażowanych”. Potem, z biegiem czasu, sam zapewne w to „krzepienie serc” uwierzył.

## Rozdział XIV

### KONIEC PIERWSZEJ MŁODOŚCI

Gdy z łąk i szuwarów nad Muchawcem pierwsze podmuchy wiosenne przynosiły rozpaczliwe kwakanie kaczek i namiętne syczenie kaczorów, pan Irteński odwiedził Tadeusza w Brześciu. Rzuciwszy okiem na podrapane ściany i nędzne umeblowanie pokoju, który zresztą na ówczesny standard zrujnowanego Brześcia był szczytem kawalerskiego komfortu, powiedział:

— Czy długo masz zamiar kisnąć w tych brzeskich gruzach? Skończy się na tym, że albo się rozpijesz, albo się ożenisz z jakąś prowincjonalną małpą.

Tadeusz milczał, a pan Irteński mówił dalej:

— Mam pewien projekt. W uniwersytecie warszawskim utworzono komisję egzaminacyjną dla eksternów. Bez wyższego wykształcenia nie zajdziesz daleko, a po roku pracy zdasz egzaminy końcowe i otrzymasz dyplom. Wtedy będziesz mógł albo pracować dalej w administracji państwowej, albo myśleć o sądownictwie lub adwokaturze. Radzę ci więc podać się do dymsji i zająć się naukami. Pomogę ci finansowo.

Przy licznych swych wadach Tadeusz miał jedną wielką zaletę: decydował się szybko. W dwa tygodnie później już był w Warszawie.

W ciągu roku Warszawa bardzo się zmieniła, chociaż nie było jeszcze ani nowych gmachów, ani ruchu samochodowego. Ale „duch” był już inny. Z ulic znikło dziewięć dziesiątych mundurów wojskowych, namnożyło się dancingów, zlikwidowano restauracje, w których usługiwały „świtezianki” kresowe.

W Filharmonii zrobił furorę popis krakowskiego klubu futurystycznego „Katarynka”. Tadeusz z przyjaciółmi z trudem wcisnął się do przepełnionej sali. Z estrady Bruno Jasiński skandował głosem metalicznym: „Chodzę młody, genialny, noszę rę-

ce w kieszeniach”. Wtórował mu Młodożeniec pytając: „Czy widzieliście mej genialność twarzy?” (Czy wielu na sali zdaje sobie sprawę — myślał Tadeusz — że jest to spóźnione o kilkanaście lat echo manifestu Igora Sjewierianina: „Ja gienij, Igor Sjewierianin”?...). Od czasu do czasu na sali rozlegały się syki i wrzaski protestu. Zdarzało się to wtedy, gdy np. Jasieński deklamując swój piękny poemat „Miasto” powiedział:

*Mało to kurw się topi...*

albo w wierszu o maszerującym wojsku:

*Ej pani pani biała!  
Prosta kurwa przelicytowała.*

albo kiedy oznajmił, że

*...gdy nastał Jasieński,  
Bezpowrotnie zginęli i Tetmajer i Staff.*

Gdy wrzawa cichła, Jasieński mówił:

— Komu się nie podoba, ten może wyjść won.

Te słowa wywoływały nowe wybuchy wrzawy.

Niektóre wiersze deklamowali Stefan Jaracz i Irena Solska. Tadeusza bardzo zdziwiło zjawienie się na estradzie Sewerka Odyńca. „A ten jak się znalazł wśród tych kataryniarzy?” Wiersze Odyńca, dość zgrabne — jeden z nich recytował Jaracz — nie bardzo harmonizowały z wierszami futurystów krakowskich, których zawołaniem było hasło zapożyczone bodaj że u futurystów włoskich: „Chcemy szczać we wszystkich kolorach”.

Tadeusz z przyjaciółmi byli wciśnięci w wąskie przejście koło estrady. Obok nich stała grupka młodych ludzi zachowująca się hałaśliwie i przerywająca recytacje wykrzyknikami. Z plamy na twarzy Tadeusz rozpoznał w jednym z nich Tuwima, a z profilu podobnego do profilu Mademoiselle MacMiche — Jana Lechonia. U wejścia sprzedawano futurystyczną jednodniówkę, którą później skonfiskowano, „Nusz w bżuhu”. Był tam wiersz pt. „Foot-ball wszystkich świętych” („Pan Bóg wyjechał na wakacje i święci w raję grają w foot-ball”), był wiersz Jasieńskiego o kobiecie, „którą rąbał masarz i układał na ladzie kawał po kawale”, był wreszcie piękny wiersz zaczynający się tak:

*20 maja 1920 roku*

*W Warszawie na placu Zielonym*

*Mężczyzna rodził o zmroku*

*Krzycząc głosem matowym, zmienionym.*

„Nusz w bżuhu” powędrował do teczki „Curiosa”, a o wieczorze w Filharmonii Tadeusz zachował wspomnienie jakiegoś zażenowania, czy zakłopotania — po powtórzeniu wrażeń już raz ongi przeżytych w Petersburgu przed pierwszą wojną.

Innym przeżyciem artystycznym były gościnne występy Aleksandra Wiertińskiego, którego Tadeusz raz słyszał przed rewolucją w Petersburgu. Warszawa szalała za nim. Zorientował się już wtedy, że tanie efekty „nastrojowe” dobre były przed rewolucją w Moskwie i Petersburgu, ale że „sofistykowana” Warszawa wyrosła już z epoki nastrojów i nie da się nabrać ani na czarny strój „tragicznego Pierrota”, ani na papugę płaczącą po francusku, ani na liliowego Negra w spelunkach San Francisco. Toteż najpierw część a później całość programu wykonywał nie w cyrkowym stroju Pierrota, lecz w dobrze skrojonym smokingu. Za pobytów w Warszawie ubierał się w dziale męskim firmy Herse, przy czym „Hersé” wymawiał z akcentem na drugiej głosce. Razu pewnego zwierzył się Tadeuszowi:

— Ostałowałem u *Hersé* dwa garnitury specjalnie dla pały. Jeden jest koloru *gris perle*, a drugi *orange*.

„Małpa oranżowa” — pomyślał Tadeusz.

Gdy Wiertinski śpiewał refren swego przeboju „Pij, moja dziewczko! pij moja miła! pij to marne wino!” — trzy czwarte wypełnionej po brzegi sali trzęsły się w transie zbliżonym do hysterii. Co nie przeszkadzało, że z tyłu za Tadeuszem jakiś starszy pan mówił szeptem do sąsiadki:

— Po kiego licha proponuje jej pić, skoro wino jest marne?

Ale ten starszy pan był wyjątkiem. Warszawa szalała. I jak nie szaleć, gdy Wiertinski napisał i wykonał specjalną polską piosenkę „Pani Irena”, w której była mowa i o „dumnych rękach polskich” i o „błękitnej krwi królewskiej” i o „akcencie wyszukanej mowy polskiej”. W szereg lat później co najmniej trzy tuziny Iren warszawskich twierdziło, że to do nich piosenka była skierowana. Trafem jednak Tadeusz nie tylko znał prawdziwą — z Mińska rodem — Irenę, ale na jego kamizelce Wiertinski wyplakiwał łzy bólu i zawodu, że go „pani Irena” nie chce uszczęśliwić. (Nawiasem mówiąc ta prawdziwa Irena, której zresztą na chrzcie świętym dano imię Marysi, żyje szczęśliwie po dziś dzień w jednym z miast Stanów Zjednoczonych).

Z Wiertinskim bowiem łączyła Tadeusza przyjaźń zawarta za pośrednictwem uroczej Rosjanki pani Węglowskiej. Była to przyjaźń dość zresztą jednostronna, gdyż „smętny Pierrot” należał do ludzi, którzy pozwalają się kochać, lecz sami nie kochają.

Trudno było o człowieka bardziej próżnego i „egocentrycznego” niż Wiertinski: z miejsca zasepiał się i tracił humor, jeżeli choć przez chwilę rozmowa przy stoliku nie była o nim. Miał też rozkoszne usposobienie, że gdy przychodziło do płacenia rachunku za kolację, myśl jego była skierowana gdzie indziej. Nie należał również do typu mężczyzny, którego przywykliśmy określać mianem dzentelmena. Jego stosunek do kobiet był charakterystyczny: tym, które mu uległy, płacił niedyskrecją; tym, które się oparły kusicielstwu piosenkarza, płacił obmową — nieraz przybraną w piosenkę, tj. publicznie z estrady. Tu trzeba zaznaczyć, że legenda o narkomanii i innych nałogach „tragicznego Pierrota” jest wyssaną z palca bzdurą. Dbał bardzo o zdrowie, narkotyków żadnych nie używał, pił mało i na ogół dożył dość poważnego wieku w jak najlepszej kondycji.

Nie można załatwić się wzruszeniem ramion z twórczością Wiertinskiego. Nie bez wymowy był fakt, że w Polsce międzywojennej jeden kierunek poetycki zarzucał drugiemu kierunkowi poetyckiemu, że naśladuje Wiertinskiego. Faktem jest, że Wiertinski „brał” i wciąż „bierze”. (Nie ze sfalszowanych pamiętników Litwinowa, lecz ze świadectw Rosjan, którzy wybrali wolność, wiemy że przemycane do Sowietów płyty z piosenkami Wiertinskiego były w okresie między dwiema wojnami na wagę złota).

W jakim stopniu twórczość Wiertinskiego była oryginalna? Słyszałem wersję, że w Rosji muzykę do tekstów układał niejaki Bakalejnikow. A teksty? Niektóre, wcale udane, pisał na pewno sam. Tak np. zwierzył się Tadeuszowi, że tekst piosenki „Koncert Sarasate” ułożył „w wagonie między Grodnem i Warszawą”. Gdy go natchnienie poetyckie opuszczało, czerpał bez ceremonii i „hojną ręką” z Achmatowej, Gumilowa, Błoka, Sołoguba, Agniwcewa, Sjewierianina. Gdy raz Tadeusz spytał go, co myśli o Sjewierianinie, Wiertinski odparł krótko: „Pajac”. A gdy w kilka lat później w Wilnie Tadeusz spytał bawiącego na gościnnych występach Sjewierianina, co myśli o Wiertinskim, poeta odpowiedział bez namysłu: „Błazen”.

Gdyby nawet przyjąć, że Wiertinski nie napisał sam ani jednego tekstu i że muzykę — zresztą dość jednostajną i prymitywną — układał mu kto inny, powinien przejść do historii kabaretu artystycznego jako oryginalny, przez nikogo nie dościgniony i nawet przez nikogo dobrze naśladowany wykonawca osobliwego „genre’u” — synkopowanego i melodyjnego półśpiewu i pół-causerie.

Teraz zamiast tradycyjnego cofnięcia się o kilka lat wstecz — skoczmy, ażeby już do Wiertinskiego nie wracać, o parę lat naprzód. Tadeusz jest w Wilnie i siedząc w pierwszym rzędzie

słucha Wiertńskiego popisującego się w smokingu. Tu podkreśli-  
my, że było to w roku 1924. Był to rok, gdy większość Żydów wi-  
leńskich, zarówno starych jak młodych, była jeszcze całkowicie  
zrusyfikowana i nastrojona do Polaków wyczekująco, niezbyt życz-  
liwie, jeśli nie wrogo. A widownię na występie Wiertńskiego  
wypełnili w trzech czwartych Żydzi. Póki śpiewał piosenki „ne-  
utralne”, sala witała go zwariowanymi oklaskami. Lecz gdy za-  
śpiewał propolską „Panią Irenę”, tu i ówdzie rozległy się gwizdy.  
Drobna rzecz, lecz zmieniła całkowicie stosunek Tadeusza do  
Wiertńskiego. Przypomniał sobie, które to piosenki budziły szcze-  
gólnie gorące oklaski, i nazajutrz zatelefonował do komisariatu  
rządu prosząc o przysłanie mu tekstów tych piosenek. W dwóch  
z nich znalazł momenty bluźnierstwa, czego poczciwi cenzorzy z  
ministerium spraw wewnętrznych nie zauważyli. Nie namyślając  
się napisał ex officio do ministerium wskazując na te bluźniercze  
ustępy. Ani mu w głowie było robić przyjacielowi „Szurce” (bo  
tak brzmiało zdrobniałe imię Pierrota) krzywdy. Chciał po prostu,  
by cenzura ministerialna skreśliła w jego piosenkach kilka zdań  
„ryzykownych”. Cenzorzy jednak postanowili inaczej: zabronili  
w ogóle występów Wiertńskiego w Polsce. Był to dla piosen-  
karza cios niemały. Za jeden koncert w Warszawie dostawał „do  
ręki” tj. po potrąceniu zarobku impresaria, 1.000 dolarów, a za  
koncert w zapadłych Baranowiczach — 500! Odtąd Wiertński  
miał zdobywać Polskę wyłącznie płytami. A doniesiono później  
Tadeuszowi z Sopotu, że Wiertński dowiedziawszy się komu za-  
wdzięcza zakaz wjazdu do Polski miał się wyrazić: „Nie wie-  
działem, że z Tadją taka świnią”. „Tadja” jednak do roku 1939  
przechowywał z pietyzmem jego podobiznę z następującą dedyka-  
cją: „Miłemu drogiemu Tadeuszowi Kazimirowiczowi na pamiąt-  
kę krótkiej ale (?) wzajemnej sympatii”<sup>\*</sup>.

Po koncercie Wiertńskiego, po teatrze lub teatryku od-  
bywały się nieraz beztraskie zabawy w restauracji. Na jednej  
z nich, w gabinecie w „Oazie”, był obecny Bodzio Zalutyński  
wraz z trzema grodzieńczukami: starostą sokólskim panem Ba-  
rem i sąsiadami Bodzia panem Terajewiczem i panem Andrzej-  
kowiczem. Tadeusz miał brzydki zwyczaj, że po wypiciu więk-

<sup>\*</sup> W liście do redakcji „Wiadomości” londyńskich (nr 498 z r. 1955)  
p. Ryszard Wraga pisał, że Tadeusza Irteńskiego nie powinny gnębić wy-  
rzuty sumienia z powodu pozbawienia Wiertńskiego prawa wjazdu do Pol-  
ski gdyż zakaz ten został wydany na skutek stwierdzenia przez władze bez-  
pieczeństwa w latach 1926-1927, że Wiertński jest agentem bolszewickim.  
Ponieważ pozbawienie prawa wjazdu nastąpiło w roku 1924, śmiem wątpić,  
czy nasze organa wywiadowcze posiadały dar jasnowidzenia, aby wydać za-  
rządzenie na podstawie stwierdzeń otrzymanych w dwa czy nawet trzy lata  
później.

szej ilości alkoholu czepiał się kogoś z obecnych powtarzając bez końca ten sam „dowcip”. Tym razem ofiarami jego byli starosta Baer i pan Terajewicz. Starostę drażnił dwuwierszem:

*Starosta, starosta!  
Pocałujcie kabyłu, pozosta.*

(Domyślności czytelników pozostawiam uwagę, że tryb rozkazujący w tym wierszu pochodził od innego, choć poniekąd pokrewnego czasownika).

A pana Terajewicza drażnił dwuwierszem z „Pana Tadeusza”:

*Terajewicza znałem, co idąc na dziki  
Nie brał nigdy innego oręża, prócz piki.*

Zarówno pan Baer, jak pan Terajewicz byli to ludzie do brodzusni i cierpliwi i nie zirytowali się, chociaż Tadeusz powtórzył oba dwuwiersze chyba po sto razy.

Pana Andrzejkowicza drażnił Bodzio przypominając, że Ignacy Korwin-Milewski nazwał w druku jego, czy też jego ojca „drobnym” ziemianinem — ściśle mówiąc „ziemianinem średniej ręki” — czego zacy pan Andrzejkowicz nigdy Korwin-Milewskiemu nie mógł wybaczyć\*.

Nie dla występów Wiertńskiego i nie dla zabaw w „Oazie” rzucił Tadeusz pracę w Brześciu i przeniósł się z powrotem do Warszawy. Zapisał się na uniwersytet i zameldował u prezesa komisji zwanej „komisją egzaminacyjną dla absolwentów innych uniwersytetów”. Prezesem tej komisji był profesor Koschembar-Łyskowski. Słynął z porywczego temperamentu i Tadeusza ostrzeżono, aby się pilnował. Mimo to już przy pierwszej wizycie miał się przekonać, jak łatwo profesor wpadał w pasję. Tadeusz uratował z bałaganu rewolucyjnego swój indeks ze stopniami za zdane egzaminy, ale inne papiery, m.in. metryka urodzenia, zostały w Petersburgu.

— Musi nam pan przedstawić metrykę urodzenia — oznajmił krótko Łyskowski.

— A czy zaświadczenie podpisane przez dwie wiarogodne osoby nie byłoby wystarczające? — spytał Tadeusz niewinnym głosem.

Na twarzy profesora wystąpiły centki, jak sienkiewiczowskiemu Ranickiemu z „Potopu”.

\* Obacz „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego”, rozdział XXI.

— Czy mają to być świadkowie położu pańskiej matki? — wrzasnął.

Skończyło się na tym, że Tadeusz został dopuszczony do egzaminów po przedstawieniu dowodu, że złożył przez ministerium spraw zagranicznych podanie o zwrot dokumentów z uniwersytetu petersburskiego. (Dodajmy że dokumenty zostały zwrócone w porządku po upływie półtora roku, czyli już po otrzymaniu przez Tadeusza dyplomu).

Studia i egzaminy potoczyły się gładko, choć nie obeszło się bez pewnych szykan. Tak np. zaliczono Tadeuszowi czas spędzony w uniwersytecie petersburskim, nie kazano mu chodzić na wykłady, ale nie zaliczono ani jednego ze zdanych w Petersburgu egzaminów. Nie zaliczono w szczególności egzaminu z historii filozofii prawa, o czym będzie mowa niżej. Kazano mu też zdać egzamin z „polonistyki”. Zaczęło się od egzaminu pisemnego na temat „Miłość ojczyzny w poezji Adama Mickiewicza”. W części ustnej młody profesor (nazwisko zapomniane) egzaminował z historii Polski — przedmiotu, który był zmorą Tadeusza, obawiał się bowiem, że się zapłcze w pytaniach z historii średniowiecza. Profesor spytał jednak:

— Co pan wie o panowaniu Jana Kazimierza.

Tadeusz wyprostował się i zaczął:

— Jan Kazimierz wstąpił na tron po śmierci brata Władysława IV w roku 1648 w okresie dla Rzeczypospolitej bardzo ciężkim, bo po porażkach wojsk koronnych pod Korsuniem i Żółtymi Wodami. Pierwszy okres wojen kozackich zakończył się po oblężeniu Zbaraża kompromisowym pokojem pod Zborowem. Ale już w parę lat później wojna zawrzała na nowo i wojska Jana Kazimierza pobiły Kozaków na głowę w roku 1651 pod Beresteczkiem...

Tadeusz mówił gładko i widział w oczach profesora uznanie dla swej wiedzy z chronologią włącznie. Ale jednocześnie myślał: „Czy ten człowiek naprawdę nie rozumie, że moja wiedza jest oparta na wielokrotnym czytaniu „Ogniem i mieczem”?

Potem przyszedł egzamin z gramatyki. Egzaminował sam starszerek Kryński. Zadał Tadeuszowi kilka pytań z mistycznej części gramatyki zwanej obocznością głosek. Tadeusz bąkał odpowiedzi mniej lub więcej bzdurne, albo w ogóle milczał. Kryński podniósł brwi:

— Nie rozumiem — powiedział — mam tu przed sobą pańskie wypracowanie pisemne. Nie zrobił pan ani jednego błędu. Tymczasem widzę, że nie zna pan gramatyki.

— Znajomość gramatyki języka polskiego nie jest potrzebna Polakowi, panie profesorze — odparł Tadeusz.



— Obawiam się, że pana nie rozumiem — rzekł Kryński.

— Sądzę, panie profesorze, że Polak powinien mówić i pisać poprawnie bez uczenia się gramatyki.

Kryński uśmiechnął się lekko:

— Cóż... można i tak — powiedział i uznał egzamin za skończony.

Za egzamin polonistyczny stopni nie stawiano. Zarówno wspaniałą odpowiedź Tadeusza o panowaniu Jana Kazimierza, jak wątpliwy wynik egzaminu ustnego z gramatyki uznano za zadawalające.

Egzaminy prawnicze poszły na ogół gładko, chociaż na pierwszym z nich, zwanym egzaminem prawno-historycznym, Tadeusz dopuścił się sztuczki, która pozostawiła mu w pamięci osad trochę — niewyraźny. W drukowanym programie komisji egzaminacyjnej dla absolwentów w części prawno-historycznej figurował przedmiot „filozofia prawa”. Zamiast poinformować się u starych absolwentów, albo choćby u jednego z uniwersyteckich wózników (którzy np. w Petersburgu byli najlepszym źródłem informacji), zaufał własnej logice. „Skoro napisano „filozofia prawa”, a nie „historia filozofii prawa” — myślał — tedy jest to synonim „teorii” albo „encyklopedii prawa”... Nie pytając nikogo kupił dzieło profesora Eugeniusza Jarra pt. „Teoria prawa”, pracę kompilacyjną na poziomie podręcznika „prawoznawstwa” dla ósmej klasy gimnazjalnej. Z dzieła tego zapamiętał szereg definicji np. co to jest moralność? co to jest słuszność? co to jest sprawiedliwość? co to jest prawo? Dosłownie w sam dzień egzaminu dowiedział się z przerażeniem że „teorii prawa” w programie nie ma, a nieszczęsna „filozofia prawa” jest „historią filozofii prawa”. Co robić? Sześć lat przedtem zdał tę historię u prywatdocenta de Sacchetti w Petersburgu ze stopniem celującym. Uczył się jej zaś z podręcznika Borisa Cziczierina. Niestety po sześciu latach tylko strzępy pozostały w głowie z nabytej wiedzy. „Jakoś to będzie — pomyślał — może jakoś się wykręcę”.

Egzaminował sam profesor Jarra. Do stołu obok Tadeusza zasiadło jeszcze dwóch delikwentów. U końca stołu siedział czytany w gazetę przedstawiciel ministerium oświaty, który czasem asystował egzaminom dla eksternów. Gdy kolej przyszła na Tadeusza, profesor Jarra zapytał:

— Co pan wie o prawie natury?

Tadeusz zaczął bąkać jakieś bzdury, na których wspomnienie po dziś dzień musi się rumienić. Profesor machnął ręką i zadał drugie pytanie. Tadeusz milczał. To samo z trzecim pytaniem. Bokiem oka Tadeusz widział jak przedstawiciel ministerium odłożył gazetę, ciekawy zapewne widoku zarzyzanego studenta. Już

Jarra rozłożył ręce i chciał coś powiedzieć, gdy Tadeusz oznajmił:

— Panie profesorze! Zaszła omyłka. Mam wrażenie, że omyłka nie jest z mojej winy. W programie wydrukowano „filozofię prawa”, a nie „historię filozofii”, którą nawiasem mówiąc zdałem sześć lat temu w Petersburgu ze stopniem celującym. Zrozumiałem i sądzę, że logicznie jestem usprawiedliwiony, że „filozofia prawa” jest „teorią prawa”. Przygotowałem się więc do egzaminu nie z historii filozofii prawa, ale z teorii prawa, którą przestudiowałem *według dzieła pana profesora*.

Ostatnie cztery słowa Tadeusz wymówił z przyciskiem. Nastąpiła minuta milczenia w której czasie Tadeusz powtarzał w duchu w rytmie przyśpieszonego bicia serca: połknij haczyk! połknij haczyk! połknij haczyk!

Profesor połknął haczyk. Po minucie milczenia zapytał po błażliwym tonem:

— Co to jest słuszność?

Tadeusz wyrecytował formułkę profesorską bez błędu. To samo na kilka dalszych pytań. Egzamin został uznany za dostateczny.

Najtrudniejszy była trzecia i ostatnia część egzaminu — egzamin sądowy. W owym czasie Tadeusz nie myślał o powrocie do administracji i zamierzał poświęcić się aplikaturze adwokackiej. Toteż do tego sądowego egzaminu przygotowywał się bardzo solidnie. Gdy za dwa pierwsze egzaminy dostał stopień dostateczny, część sądową zdał z wynikiem „dobrym”. Z prawa cywilnego egzaminował go profesor Lutostański, z prawa karnego — Wacław Makowski. Pewnym odetchnieniem w napięciu tego poważnego egzaminu był egzamin z procedury cywilnej u profesora Dynowskiego, kuzyna tego Dynowskiego, który w ciągu kilku miesięcy był szefem Tadeusza w Mińsku. Tu — parę słów o profesorze Dynowskim. Przed wojną był adwokatem w Petersburgu i radcą prawnym kilku bogatych spółek akcyjnych. Miał rozległe stosunki. Dzięki tym stosunkom dostał po wojnie japońskiej misją niemałą: został delegowany do trybunału międzynarodowego w Hadze, jako przedstawiciel rosyjskiego skarbu państwa w sporze z niemieckim dostawcą broni. Dostawca broni żądał kilkudziesięciu milionów odszkodowania. Skarb rosyjski odmówił zapłaty. Dynowski proces wygrał. Dostał w nagrodę piękną sumkę honorarium adwokackiego i tytuł senatora. Teraz wykładał postępowanie cywilne na uniwersytecie warszawskim. Gdy Tadeusz zgłosił się do egzaminu, profesor zasypał go pytaniami:

— Czy nie jest pan krewnym adwokata pana Kazimierza Ir-

teńskiego z Mińska? Co obecnie tatuś porabia? Co pan myśli robić po zdaniu egzaminu i tp.

A sam egzamin składał się z jednego jedyne pytania:

— Jakie ustawy postępowania cywilnego obowiązują obecnie w Polsce?

Na co Tadeusz odpowiedział bardzo rozsądnie:

— W byłym zaborze rosyjskim — rosyjska, w byłym zaborze pruskim — pruska, w byłym zaborze austriackim — austriacka.

Tadeusz skończył 30 lat w dwa dni po zdaniu ostatniego egzaminu. Józiołstwo Hallerowie zaprosili go z tej racji na kolację do Bristolu. Nastrój miał być wesoły, ale nie był wesoły. Tadeusz nie mógł odpędzić myśli, że ten końcowy egzamin jest ostatecznym pożegnaniem z pierwszą młodością.

## Rozdział XV

### KUREŃ NA HOLCZY CZYLI ROMANTYCZNOŚĆ POLESKA

Opisując dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego wspominałem, że gubernia mińska — rodzinna gubernia mego bohatera — miała na mapie kształt Afryki odwróconej do góry nogami. Północnym czubkiem tej „Afryki”, czy może serka domowego wyrobu, była Góra Wołowa, dokąd Tadeusz jeździł na łosie i wilki w grudniu 1916-go roku, podstawą — powiat piński, czyli Polesie. Złożyło się, że przed wojną Tadeusz znał Polesie przede wszystkim z „Pieśni o ziemi naszej” Wincentego Pola i pamiętał, że tam „w oczeretach oko zginie”, czyli że Polesie to teren płaski i bagnisty. Znał też z pięknego wiersza Artura Bartelsa „Tydzień poleski”, napisanego z oczywistą intencją pochwały Polesia. Podejrzywał jednak Bartelsa o łagodną ironię, bo o mieszkańcach Polesia, czyli Poleszukach, słyszał skąd inąd, że są małomówni, ponurzy i że często dźwigają na głowie nieapetyczny kołtun, zwany zresztą w medycynie zwojem polskim a nie poleskim (plica polonica). Że podróżują albo na wołach, albo na łożdach. Że tylko drogą wodną można dojechać tam do wielu wsi. Że Poleszuk nie jest ani Białorusinem, ani Ukraińcem, ale czymś pośrednim, co wprawdzie nie hoduje węży, jak to czynił Litwin starożytny, ale za to rad słuca kazań sekciarskich i trawi sporo czasu na „poszukiwanie Boga”. Że jedynym bogactwem Polesia są niezliczone setki tysięcy stogów kwaśnego siana. Że komary mogą tam obrzydzić życie najbardziej twardoskórnemu przybyszowi, że żółwie spacerują swobodnie po drogach błotnistych, a w trawach i łożach czyhają jadowite żmije. Słowem — kraj biedny i smutny. O nędzy tego kraju świadczyć zdaje się przypowieśćka o szlachcicu Hołocie, który dał córce w posagu „grzybów wianuszek i wjunów garnuszek”.

Po przeczytaniu sentymentalno-bałamatnej „Puszczy” Weys-

senhoffa Polesie zaczęło wabić Tadeusza jako myśliwego. A zupełnie „pogodził się” z Polesiem, gdy w słoneczny dzień latem 1921 znalazł się w sercu Polesia — w Pińsku. Gdy rzucił zachwyconym okiem na piękną fasadę kolegiaty jezuickiej bielejącej na szafirze nieba, gdy zmieszał się z gwarnym tłumem na rynku, gdy z „bulwarów” nad Piną przyjrzał się rojnemu życiu na rzece i przystani — wtedy wstrząsnęło nim wrażenie bogactwa i ruchu zadające kłam legendzie o nędzy poleskiej. Zapatrzony w bezkresną dal zielonej przestrzeni za rzeką nie odczuwał już smutku, choć mu oko istotnie „ginęło w oczeretach”. Wiedział, że za tymi oczeretami są puszcze bogate, że w tych puszczech przebywają łosie, rysie, dziki, a nawet niedźwiedzie. Że rzeki, jeziora i strumienie poleskie obfitują w ryby wszelkiego gatunku. Że tak niemile zwane „błota pińskie” roją się od ptactwa wodnego: wyniki polowań na kaczki na jesiennych „sadach” lub na wiosennych łowach z krykuchą dochodzą cyfr „astronomicznych”.

Gdy Tadeusz zaczynał emocjonalnie „godzić się” z Polesiem, komunikacja łodziami na sposób wenecki nabrała w oczach jego osobliwego uroku. Przypomniał sobie z uśmiechem legendę, że podobno w okresie wojny światowej istniała na Polesiu wieś zapomniana nie tyle przez Boga, ile przez ludzi, zapomniana do tego stopnia, że w ciągu długiego szeregu lat nie płaciła podatków i nie posyłała rekrutów do wojska. Według legendy mieszkańcy tej wsi dowiedzieli się o wojnie już po jej ukończeniu, chociaż w ciągu 3 lat front niemiecko-rosyjski biegł przez sam środek Polesia. Szczęśliwa wieś!\*

Tadeusz miał bliżej poznać Polesie, gdy w rok później, latem 1922, Władek Czechowicz zaprosił go na kaczki do Porochońska. Z Władkiem Tadeusz nie widział się od roku 1916-go, gdy razem polowali na pardwy w Sokorowie i na łosie na Wołowej Górze. Teraz Władek był żonaty z księżniczką Zofią Drucką-Lubecką, właścicielką dóbr Porochońsk, Chmielnik i Bohdanówka w powiecie pińskim. Jakie było pochodzenie nazwy Porochońsk? Zdaniem geografów nazwa pochodziła od „porochu”, tj. prochu;

\* Autor dostał w maju 1948 roku list od hr. Władysława Pusłowskiego, w którym m.in. wyjaśniona została „legenda” o szczęśliwej wsi; „...Tak, to moja sąsiadka, lud dawniej opowiadał o niej pod nazwą Zmitrycze, mapy sztabowe rosyjskie swoim zwyczajem nadawały jej brzmienie bardziej prawosławne: Dmitrycze. Ale co do skarbu, to prawdą jest, że dawny moskiewski nie przedostawał się do niej — nie tak jak polski. Może sobie mam przypisać winę? Liczne kanały, które przeprowadziłem z trzech stron w szerokim rejonie, znakomicie ułatwiły wyczyn naszych urzędów”... (List ten był w całości umieszczony w nr. 69 z 2 maja 1948 w wychodzącym wtedy w Londynie pod redakcją Stanisława Mackiewicza tygodniku „Lwów i Wilno”).

pani Zofia, żona Władka, twierdziła jednak, że pochodzi od „porocha”, tj. proboszcza. Zdanie geografów przeważało i na mapach i na szyldzie stacji kolejowej widniał do końca napis „Porochońsk”.

Tadeusz wybrał się do Porochońska w połowie lipca, czyli w sam czas otwarcia sezonu letniego na kaczki. Miał ruszyć rzeką Bobrykiem z „przystani” porochońskiej na Holczę w towarzystwie słynnego wabiarza i przewoźnika Woźuja — wielokrotnie portretowanego przez Kamila Mackiewicza, opisanego przez Stefana Krzywoszewskiego i Juliana Ejsmonda.

Lato jest suche i upalne. Wylew wiosenny dawno cofnął się do nurtu Bobryka. Olszyna w parku jest sucha. Idą więc piechotą ścieżyną wzdłuż płytkiego rowu aż do brzegów rzeki. Za olszyną jest łąka — też prawie sucha. Co kilka kroków wyrwa się spod nóg i znika w trawie spłoszony wąż. Węże są równie pospolite na łąkach poleskich, jak gdzie indziej żaby. Są to zresztą niewinne węże błotne, zaskrońce. Podobno zdarzają się żmije, ale Tadeusz ani jednej nie spotkał na Polesiu. Spotkał się natomiast na Polesiu z przygodą, którą legenda poleska łączy ze żmiją. Pokąsany okrutnie przez komary spuchł w tak straszliwy sposób, że czoło zmieniło się w wałek spadający na oczy, a oczy stały się dwiema wąziutkimi szparkami między poduszkami nabrzmiałych powiek. Otóż Woźuj twierdził, że nie był to skutek zwykłego pokąsania przez komary: zdaniem jego Tadeusza ukąsił komar, który przedtem napił się krwi jadowitej żmii. Czy było tak, czy inaczej, dość że to dotkliwe pokąsanie było czymś w rodzaju szczepienia ochronnego. Tadeusz bywał później często na Polesiu i nieraz bywał niemiłosiernie gryziony przez komary, ale już bez złych skutków, jeśli nie liczyć dotkliwego i długo trwającego swędzenia. A jeżeli o żmije chodzi, to w czasie długich lat wędrówek myśliwskich po ziemiach litewskich Tadeusz spotkał się trzy razy ze żmiją, lecz nie na Polesiu, ale na suchych pagórkach w pobliżu Dukszt i Święcian.

Ale wracam do opowiadania. Płyną więc Bobrykiem. Rzeka wiję się zygzakiem wśród żywopłotu nadbrzeżnych łąk. Łozy to piętrzą się stromo i bujnie, to za każdym zakrętem Bobryka cofają się w głąb łąk podmokłych tworząc zaciszne zatoki gęsto zarosłe grązelami, nenufarami, sitowiem i miętą. Zatoki te są ulubionymi siedliskami lęgowych kaczek. Toteż od czasu do czasu Woźuj wpływa łodzią do jednej z takich zatok, aby spróbować szczęścia łowieckiego do porywających się z szuwarów podlotów kaczek. Szczęście niezawsze dopisuje, bo kaczki przebywają w zatokach tylko w pewnych porach dnia, a poza tym roz-

pełzają się w poszukiwaniu żeru po przybrzeżnych łąkach — podmokłych nawet w bardzo suche lata.

Płynąc latem po Bobryku Tadeusz uświadamia sobie, czym jest dla ludności poleskiej komunikacja wodna. Na rzece panuje ruch. Co parę minut mijają łódź pędzoną niestrudzoną ręką Poleszuka. Najczęściej bywa to łódź naładowana „z czubem” sianem i ozdobiona wysychającym na słońcu wężcierzem. Nie raz łódź przewozi drwa, budulec, lub nawet konie i krowy. Bywają łodzie wyłącznie „pasażerskie” przewożące ludzi z wioski: do kościoła, na jarmark, wesele lub chrzciny. Taka łódź jaskrawi się barwami strojów kobiecych i buchają z niej śpiewy i śmiechy. Czasem spotykają widok smutniejszy: zza łożowego klombu płynie kondukt pogrzebowy. Na pierwszej łodzi pop z asystą i krzyżem, na drugiej trumna, na następnych rodzina i goście żałobni.

Po krótkim popasie w kurenium nad jeziorem Holcza, o którym będzie później mowa, ruszają Bobrykiem dalej na południe, ku Prypeci. Za Holczą krajobraz się zmienia. Przesuwające się z daleka na horyzoncie bukiety wysokich drzew rosnących na suchych wysepkach, zwanych grzędami, zdarzają się coraz częściej i coraz bardziej zbliżają się do brzegów rzeki. Wszystko dokoła świadczy, że Bobryk minął już bezkresy łąk bagnistych i przecina teraz krainę bardziej żyzną. Bukiety wysokich drzew stają się tak rozrośnięte, bogate i bujne, że chwilami zapomina się, że się płynie przez jeden z najbezładniejszych zakątków Polesia, że od najbliższego osiedla ludzkiego dzielą myśliwych dziesiątki kilometrów. Ulega się złudzeniu, że te klomby starodrzewia to jakieś sztucznie zasadzone i kunsztownie pielęgnowane parki i że w gęstej ich zieleni pochowane są dwory, wille, pałace...

Zmieniają się też brzegi Bobryka. Zamiast podtopionych łoż — „prawdziwe” twarde krawędzie prawdziwego suchego łądu. Korytarz Bobryka staje się wąski i ciemny, bo stare olchy rosną już na samej krawędzi rozpinając nad rzeką sklepienie ciemnej zieleni. Po skwarze otwartej przestrzeni w tunelu wodno-olchowym jest niemal chłodno. Prąd Bobryka staje się szybszy. Posuwają się prędzej, choć bez szelestu. Cisza letniego popołudnia. Czasem z nadbrzeżnej pieczary mulistej wejdzie do wody żółw i zniknie z cichym pluskiem w czarnej toni. Przed kilkudziesięciu jeszcze lata w takich zatokach olchowych gnieździły się bobry. Tu budowały misterne domki z trzciny i mułu. Tu tworzyły przemyślnie groble z podpiłowanych kłoców olchowych. Dziś nie ma już bobrów ani na Bobryku, ani w ogóle na Polesiu. Dziś po bobrach pozostała tylko nazwa rzeki.

Płyną w milczeniu. Tadeusz siedzi w łodzi tak wygodnie,

a półmrok zielony tej rzeki „podziemnej” jest tak tajemniczy i tak... rusańczany, że oddaje się bez reszty kontemplacjom romantycznym. Po głowie przesuwają się leniwie oderwane fragmenty jakichś oglądanych kiedyś obrazów. Ni to Böcklin, ni to Kotarbiński, ni to Grottger, ni to wprost Andriolli. Wrażenie osłabłości romantycznej dochodzi do zenitu, gdy w pewnej chwili oko jego pada na podmyty wodą potężny pień olchy. Na pniu tym kładzie się plama słońca. I oto z mimowolnym wstrząsem spostrzega, że pień ten jest jednym wielkim kłębowiskiem węzów. Spelżyły się widać na słońce i grzeją się powikłane w fantastyczne supły i skręty. Tadeusz każe Woźujowi zatrzymać się i przygląda się węzom z zapartym oddechem, zdając sobie sprawę, że oto po raz pierwszy a może i po raz ostatni w życiu ogląda takie kłębowisko węzów. Ogląda nie w zoologu lub na obrazku wyobrażającym średniowieczną „pieczarę węzów”, lecz w stanie naturalnym, na tle przyrody Polesia!

Woźuj nie rozumie nastroju Tadeusza — nastroju tak romantycznego, że niemal graniczącego z lękiem mistycznym. Ze śmiechem zgarnia łopatą wiosła dużą porcję drzemiących „gadzin”, po czym wstrząsa wiosłem. Syk i zamieszanie. Część węzów zmyka na brzeg i kryje się w trawie i zaroślach. Reszta wpada do wody i uchodzi wplaw. Tadeusz śledzi ich ruchy z wielką przyjemnością. Bo nawet ludzie mający wstręt do wszelkich płazów muszą przyznać, że wąż pływa ślicznie i że wygląda uroczo, gdy ze starczą z wody czarną główką mknie w rytmicznych pod wodą spiralach. Wreszcie ostatni wąż znika i oto olcha, która była przed chwilą wizją romantyczności poleskiej, jest teraz tylko szarą i bezduszną bryłą.

Jadą dalej. W pewnym miejscu las olch rzednie, a potem kończy się, jak nożem uciął. Oczy, nawykłe w ciągu kilku godzin do łagodnego półmroku, są nagle osłepione przepychem otwartej przestrzeni. Oстрыm klinem biegnie mierzeja piaszczysta. W nozdrza uderza świeży powiew. Nurtem szerokim i majestatycznym, pieszcząc łagodną falą ławice żółtego piasku, płynie siwa Prypec.

Wiosną 1923 roku Tadeusz znów zjechał do Porochońska na kaczory, słonki i głuszce. Trzech było znakomych wabiarzy w Porochońsku: Iwan, Mikołaj i wspomniany Woźuj. Wśród tej trójcy Woźuj był uważany za najlepszego. Żaden nie dorównał mu ani wytrzymałością w pędzeniu łodzi przez nieskończone przestrzenie wodne, ani szybkością orientowania się w labiryncie łożowisk, ani umiejętnością wyboru właściwego miejsca na zasadzkę, ani — co najważniejsze — sztuką imitowania



głosu kaczek wszelkich możliwych gatunków. W okresie, gdy był u szczytu sławy, jako wabiarz niezrównany, i gdy dzięki dużym dochodom stał się, jak na stosunki poleskie, człowiekiem zamożnym, spotkało go wielkie nieszczęście. Którejś wiosny w czasie przeprawy przez niepewny lód rzeczki czy jeziora utonął mu syn jedynek. Cios ten podziałał na Woźuja w sposób osobliwy. Pasję łowiecką i żądę łatwego zarobku zastąpiła mania religijna. Stał się gorliwym wyznawcą jednej z niezliczonych na Polesiu sekt. Sekta, do której przystąpił Woźuj, zabraniała wszelkiego udziału w zabijaniu stworzeń żywych. Na przeciąg kilku lat Woźuj znikł z życia łowieckiego. Lecz później, gdy przyszedł kryzys gospodarczy i gdy nędza zajrzała do ubogiej chaty Poleszuka, Woźuj złamał śluby sekciarskie i znów zabłysnął na firmamencie poleskim jako gwiazda wabiarska pierwszej wielkości i mocy.

Ale wiosną 1923 roku daleko jeszcze do nieszczęścia, które spotkało Woźuja. Tadeusz z Woźujem wypływają z labiryntu olch na otwartą przestrzeń wodną. Noc ustępuje powoli. Gwiazdy wciąż jeszcze błyszczą. Jednak niebo na wschodzie zaczyna przeświecać smugą różowiejącej jutrzeńki. Zimno-stalowa powierzchnia wody nabiera tonów cieplejszych. Świta. Posuwają się bez plusku i szelestu. Jak czarne widma wynurzają się z półmroku i mijają ich na pół zatopione krzaki łożowe. Porzucają nurt Bobryka i skręcają na wody nieruchome. Woźuj rozgląda się. Wybiera odpowiedni krzak łoży. Wbija do dna rozlewiska palik. Od palika biegnie parometrowej długości linka z misternie zrobioną pętelką rzemienną. Do pętliki tej Woźuj uwiązuje za łapkę wydobytą z kosza krykuchę. Krykucha pada na wodę z radosnym kwakaniem i zaraz zaczyna nurkować i pluścić się.

Po umieszczeniu krykuchy myśliwi wjeżdżają z łodzią w potężny krzak łoży. Woźuj wybrał krzak umiejętnie. Jest dość gęsty, by zamaskować łódź wraz z myśliwymi, a równocześnie pozostawia wystarczający wylot u tyłu łodzi dla strażaków na wodzie i równie wystarczającą przestrzeń nad głową dla strażaków w lot.

Świta. Gwiazdy zwolna topnieją w ametyście nieba. Niebo na wschodzie i tafla wodna pod nim lśnią jak poślacane srebro.

Krykucha „pracuje” dobrze. Krąży po wodzie tak szeroko, na ile jej pozwala długość linki, nurkuje i trzepie skrzydłami i — co najważniejsza — odzywa się prawie bez przerwy. Jednostajne, trochę jakby poirytowane „kwa-kwa-kwa” przerywa od czasu do czasu namiętna zwrotka legato, rozdzierająca uśpioną ciszę pustyni wodnej. Woźuj uśmiecha się z zadowoleniem: takiemu spazmatycznemu głosowi nie oprze się żaden kaczor! Istot-

nie: uśmiech znika nagle z twarzy Wozuja, oczy jego nabierają drapieżnego błysku, pociąga Tadeusza za rękaw. Ale Tadeusz już sam słyszy: to zbliża się z chrapliwym sykiem kaczor. Na tle morelowej zorzy zjawia się zwinna sylwetka z zagiętymi do dołu do „lądowania” skrzydłami. Głośny plusk i kaczor już jest na wodzie. Już zbliża się powoli do oniemiałej z wrażenia krykuchy. Tadeusz ostrożnie podnosi strzelbę lawirując lufą wśród bezlistnych prętów łoży. Pada piorun i to, co było przed chwilą żywym kształtem ze szmaragdowym łebkiem, srebrną piersią i agatowymi paciorkami oczu, teraz trzepocze się w przedśmiertnej agonii na chłodnej tafli rozlewiska.

Do południa odbyli coś pięć czy sześć podobnych zasadzek w krzakach łoży. Wreszcie krykucha, czy to z nadmiaru przeżytych emocji, czy może z głodu lub senności milknie zupełnie. A może zziębły jej łapki, bo skoczyła na suchy krążek palika i siedzi nieruchomo. Lecz Wozuj ma sposób i na taki wypadek.

— Teraz będziemy wabić cyranki — mówi.

Krykucha wędruje do kosza, a na jej miejsce Wozuj puszcza na wodę drewnianego bałwanka — cyrankę samicę. Właśnie gdzieś niedaleko rozlega się charakterystyczny, podobny do trzasku kastanietów, głos godowy samca-cyranki. Wozuj przykłada do ust wabik misternie zrobiony z mosiężnej łuski naboju karabinowego. Trzask rozlega się bliżej i po chwili zatoczywszy nad łożą błyskawicznie szybkie półkole piękny brązowogłowy kaczor siada na wodę.

Później — po krótkim odpoczynku na śniadanie — łowy odbywają się dalej. Czasem Wozuj puszcza na wodę i krykuchę i bałwanka i w miarę okoliczności albo wabi cyranki, albo, gdy w oddali odezwie się syk kaczora-krzyżówki, a krykucha się nie odzywa, przykłada do ust inny wabik. W tym wypadku krykucha gra rolę żywego bałwanka. Potem przychodzą chwile jeszcze bardziej emocjonujące. Oto na głos krykuchy nadlatuje piękny, wysmukły, z ostro zakończonymi skrzydłami i długim ogonem kaczor-rożeniec. Potem przylatują kolejno: gągoł, podgórzałka, świstun...

Ranne polowanie ma się ku końcowi. Płyną na Holczę. Pięknie jest na wodnej przestrzeni. Gdzie spojrzeć — uśmiechnięta w słońcu srebrna tafla wód; smugi różowobrazowych łożowisk; samotne stogi na przemyślnych rusztowaniach. W jasnym błękitcie to ciężko ważyć się, to spadają lotem nurkowym orły i myszłowy, gołębiarze i krogulce, sokoły i błotniaki.

Gdy w Kew Gardens pod Londynem i w Kalifornii kwitną rododendrony, na rozlewiskach Bobryka, w miejscach, z których woda już częściowo ustąpiła, zakwitają kaczeńce — dywanami

złota i zieleni na przestrzeni nieraz po kilkanaście hektarów. Do polifonii głosów godowych ptactwa dołącza się polifonia barw i woni. Pachnie pęczniejące listowie łoż i brzoźek. I pachną kaczeńce. Kaczeniec jest kwiatem pojedynczo bezwonnym, lecz w złotej masie przynosi ciepły powiew delikatnej i miłej woni.

Zarośla łożowe zagęszczają się. Szerokie rozlewisko zmienia się w labirynt korytarzy wodnych wśród zwartych łożowisk, z których od czasu do czasu wyrывa się z łoskotem skrzydeł kaczor. Wykwita plamą kolorową na szarobrazowym tle łoż i odlatuje ginąc w błękicie. Labirynt łoż kończy się. O nozdrza dyżące w ciągu kilku godzin czystym powietrzem przestrzeni wodnej uderza zapach dymu. Holcza.

Holcza jest niewielkim jeziorem, przez które przepływa Bobryk w swej drodze do Prypeci. W porze wiosennego rozlewu powierzchnia jeziora jest zrównana z powierzchnią pozostałych wód wezbranych i tylko równo ucięta ściana łoż wskazuje linię, gdzie się kończy jezioro a zaczyna dzungła poleska. O tej porze roku jedynym suchym punktem na Holczy jest maleńki wzgórek, na którym stoi mała chatka kurna, tzw. kureń.

Kureń na Holczy! Iluż znakomitych myśliwych nocowało w nim po kilka nocy z rzędu! Szlachta utytułowana i nieutyłowana, korpus dyplomatyczny, generalicja, dziennikarze — polscy, angielscy, włoscy i amerykańscy — powieściopisarze, malarze i poeci... Kogo nie gościły uwędzone ściany holczańskiego kurenia! I któż z nich nie śpiewał entuzjastycznych pieśni na cześć Holczy i jej uroczej właścicielki! Kto nie wpisywał jej do albumu (łącznie z autorem tej kroniki) mniej lub bardziej okropnych banałów!

W Tadeusza i moich wspomnieniach kureń na Holczy kojarzy się zawsze z osobą Kamila Mackiewicza, znakomitego malarza i karykaturzysty, tak przedwcześnie i tak tragicznie zmarłego w roku 1931. Kamil Mackiewicz przeszedł do historii malarstwa polskiego i pozostanie w niej na zawsze jako wzór samorodnego, bujnego i wielkiego talentu. Lecz miał Kamil jeszcze jeden dar, który niestety zabrał ze sobą do grobu, a który zniknie bez śladu ze śmiercią tych, co go znali. Tym darem był niezwykle, fascynujący talent gawędziarski. Gawędy kamilowe, niesłychane „awantury arabskie” jego opowiadań iskrzyły się klejnotami pierwszorzędných dowcipów i powiedzonek. Ale i najprostsze i najzwyklesze historie wypadały w jego interpretacji „fenomenalnie”. Bo wszystko u Kamila — i złe i dobre — było „fenomenalne”: o głupcu mówił „fenomenalny dureń”,

o smacznym bigosie „fenomenalny bigos”. Jego soczysty głęboki bas po prostu czarował słuchaczy. Z zapartym oddechem słuchali go i zblazowany warszawiak i pocziwogęby lwowiak i chropowaty poznańczyk. Ba — nawet na czarniawej twarzy Woźuja odbijało się coś w rodzaju uśmiechu ukontentowania!

Kamil miał przyjaciół w całej Polsce. Gdy wieść o jego śmierci tragicznej rozeszła się po kraju, łąz się zaćmiło niejedno oko: od Zakopanego i Krynicy do Wilna i Porochońska, od Braśławia i Duniłowicza do Lwowa i Zaleszczyk. Ale najgłębiej i najserdeczniej odczuto zgon Kamila w dworach i dworkach rozsianych po ziemiach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wszak w ciągu ostatnich lat swego bujnego życia na tych ziemiach właśnie malował i polował. I wszak te ziemie go wydały. Był bowiem Żmudzinem, choć nic w sobie nie miał z przyszłowiowego „jadu” żmudzkiego. Był rubaszny, dowcipny, lecz nie zjadliwy. Miał duszę otwartą i gest szeroki. I serce miał złote.

Jeżeli prawdą jest, że dusze zmarłych mają cokolwiek do roboty tu na ziemi, to pewien jestem, że dusza Kamila zagląda od czasu do czasu w wygwiażdżone i zimne noce kwietniowe do poczerniałego od dymu kurenia na Holczy.

## Rozdział XVI

### OTRZĄSANIE GRUSZEK

Dwom przyjaciółom — każdemu z osobna — dałem do przeczytania pierwsze piętnaście rozdziałów niniejszej kroniki. Jako ludzie dobrze wychowani — pochwalili. Gdy jednak nacisnąłem prosząc o uwagi krytyczne, obaj — znów każdy z osobna, ale jak gdyby się umówili — zapytali:

— Gdzie się podział Tadeusz Irteński?

— Jakto: gdzie się podział? — wykrzyknąłem — Występuje w każdym rozdziale. Razem z autorem przeżywa podniecenie pierwszych tygodni wojny. Razem z nim cierpi na „nudę tyłów”. Jest naocznym świadkiem rewolucji lutowej w Petersburgu. Przechodzi pierwszy bolszewizm. Żyje pod okupacją niemiecką. Z okna Hotelu Europejskiego w Warszawie ogląda rudą czuprynę Paderewskiego. Bierze udział — sercem i myślą — w cudzie nad Wisłą...

— Nie o to chodzi. Co się stało z tak obiecująco zapowiadającym się chłopakiem, z którym nas zapoznałeś w jego „Dzieciństwie i młodości”? Już na ławie szkolnej wykazywał skłonności i uzdolnienia w pewnym kierunku. Pierwszy rok pobytu w Petersburgu uzdolnienia te jeszcze rozwinął...

Zrozumiałem. Rozmówcom moim chodziło o życie erotyczne Tadeusza Ipohorskiego-Irteńskiego. Wyjaśniłem im, że stosuję się jak najściślej do instrukcji mego przyjaciela.

„Pozwalam ci — powiedział — pisać historię rewolucyjnej epoki widzianą z mojego podwórka i moimi oczami, ale zastrzegam się przeciwko włączaniu do tej historii epizodów miłosnych, czy tam erotycznych. To było dobre dla dziejów psychiki smarkacza. Ale pamiętaj, że 19 lipca (starego stylu) 1914 roku

Jednego dnia stałem się starszy o dziesięć lat. Nie chcę powieści psychologicznej, nie chcę relacji ze skandalików lub intryg alkowianych. Wprawdzie nigdy w życiu w żadnej alkowie nie byłem i nawet nie wie, jak alkowa wygląda, niemniej jednak — nie chcę! Chyba że...

Tu Tadeusz Irteński udzielił mi łaskawie wąskiego marginesu, z którego skwapliwie korzystam.

Pomimo że „Tadzio obiit”, Tadeusz rzecz jasna nie składał ślubów czystości. Owszem — i w czasie wojny i w okresie Polski niepodległej miał wielką różnorodność przygód i intryg erotycznych. Los mu pozwolił poznać bogaty „wachlarz” kobiet: od niewiast zdeterminowanych oświadczających „miej mnie” (tj. w znaczeniu „weź mnie”) do niedoświadczonych pasterek, które w chwilach miłosnej ekstazy wydawały przeciągły okrzyk „uj-uj-uj”. Były kobiety o wyglądzie wampów a naturze ckliwie sentymentalnej. Były takie, co zdawało się, że do trzech nie zliczą, a tały w sobie cały czyściec perwersji. Zdarzały się takie, co zdobywały zmysły erotycznym blitzkriegiem, a obok nich przyjemne dla oka „cielęciny”, o których mówimy, że brak im sex-appealu, a które Białorusini określają dosadniej „ni tabie siški, ni tabie sraki”. Były wreszcie takie, którym się zdawało, że są cyniczne, gdy były tylko wulgarne.

Najpełniejszą satysfakcją, uspokojenie nerwów, apetyt i dobry sen miał zawsze po stosunku z kobietą uprawiającą nierząd zawodowo, chociaż ten błogostan bywał zamącony niepokojem, czy się nie złapało „trynia”, lub może jeszcze czegoś gorszego. Pyzrgody z kobietami tzw. przyzwoitymi były z reguły źródłem niepokoju, westchnień, rozstrojów nerwowych i różnych niepożądanych komplikacji, np. pojedynków. Tadeusz wyznał mi pod wielkim sekretem, że miał aż trzy pojedynki, przy czym każdy z nich był „o kobietę”. Chociaż w okresie czternastoletniego pobytu w Wilnie asystował ponadto przy kilkunastu cudzych pojedynkach, prowadził kilkadziesiąt spraw honorowych i był powszechnie uznany za „specę” od tych spraw, jednak był i pozostał zdania, że pojedynek jest, jak już stwierdził Puszkina, „bojaźnią fałszywego wstydu”, czyli najgłupszą instytucją pod słońcem. Ludzie pragnący rozumowo uzasadnić pojedynek budzili w nim zawsze gorące politowanie.

Po przyjeździe z Brześcia do Warszawy Tadeusz zamieszkał z rodzicami w małym mieszkaniu na Smolnej. Na własne „pied-à-terre z wejściem niekrepującym” — jak się ogłaszało w „Kurierze warszawskim” — nie mógł sobie pozwolić. Musiał więc

korzystać z uprzejmości przyjaciół. Czasem było to przytulne mieszkanie Kamila Mackiewicza na tejże Smolnej. Czasem pokój jednego z przyjaciół w „kurwym dołku” na Sewerynowie. Ze spotkań na Sewerynowie z kobietami przyzwoitymi zrezygnował po jednej próbie, po której nazajutrz „wszyscy” wiedzieli, kim była partnerka Tadeusza. Szczęściem dama ta była przekonana postępowych, lubiła wygłaszać sentencje w rodzaju „mąż daje mi na chleb, a na masło dają mi jego przyjaciele”, nie dbała o opinię publiczną i wiadomość, że padła ofiarą niedyskrecji członków Cempścia, przyjęła ze wzruszeniem ramion.

Tadeusz musiał jednak rozejrzeć się za innym locum. Spieszno mu było, bo się wykluwał nowy, bardzo interesujący romansik. Nie szukał długo. Księżna Wiśniowiecka, osoba starsza i wielka przyjaciółka młodzieży, wyjeżdżała na wieś i dała Tadeuszowi klucz od swego mieszkania na Hożej. Wzruszony dziękował i w nagłym przypływie skrupułów zapytał:

— Czy jednak księżna nie boi się kompromitacji, jeżeli by się rozeszło, że księżna oddaje to mieszkanie na dom schadzek?

— Nie gadaj głupstw — oburzyła się księżna — jeżeli do mnie przychodzi mężczyzna z kobietą i jeżeli ja na chwilę wyjdę z mieszkania, a oni się w międzyczasie trzepną, to ja mam za to odpowiadać?!

Tadeusz korzystał z miłego mieszkania na Hożej przez czas dłuższy bez żadnych przeszkód. Pewnego popołudnia spotkała go przykra niespodzianka: wyłączono elektryczność za nieopłacenie rachunku. Musiał biec do sklepiku po świece, które jako tako — „prowizorycznie” jak mówiła edukowana służąca księżnej — zostały w braku lichtarzy osadzone w butelkach. A późnym wieczorem odwiedzając przyjaciół na Sewerynowie opowiadał o swoich kłopotach ze światłem na Hożej zachowując rzecz jasna jak najgłębszą tajemnicę co do osoby, z którą się tam spotykał.

Tegoż wieczoru mąż pytał żonę:

— Czy byłaś, Oleńko, gdzieś, gdzie nie ma elektryczności?

— Nie rozumiem pytania.

— No bo masz rękawiczki poplamione stearyną.

— Nie wiem, nie rozumiem. Może u krawcowej albo u fryzjera.

Mąż Oleńki też odwiedzał — bardzo rzadko — „kurwi dołek” na Sewerynowie. Stało się, że nazajutrz poszedł tam i stało się, że natrafił na chwilę, gdy Janek Bochwic mówił do Koka Prosyńskiego:

— Irteński ma kłopot. Wiśniowiecka nic mu nie powiedziała o rachunku za elektryczność, światło wyłączono i musiał odprawiać swe misteria przy świecach oprawionych w butelki.

Mąż Oleńki zmiarkował. Zaczął śledzić. Złapał zakochanych na gorącym uczynku. Była wielka awantura, no i pojedynek.

Były i inne przygody. Bez spazmów namiętności, bez awantur, bez pukania z pistoletów. Niemal — bez niczego. Czar i ciężar gatunkowy takich przygód potrafił ocenić w wiele — bardzo wiele lat później.

.....

Obudziło go mocne bicie serca. Na razie nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje. Przez niedomknięty black-out — zbliżał się koniec drugiej wojny światowej — wpełzało mętne światło brudnego świtu londyńskiego. W tym świetle widział płamę na starej tapecie, niedopite wino na dnie kieliszków, czarną kawę rozlaną na spodkach. I zobaczył rzecz, która go szczególnie zastanowiła: różowy stanik na tle damskiego battle-dressu rzuconego na krzesło. Wtedy dopiero przypomniał, że nie był sam.

Leżała odwrócona do ściany z rozrzuconą fryzurą puszysto-hebanowych włosów na poduszce. Zsunięta kołdra odsłaniała gładkie jak kość słoniowa ramię z jaśniejszą plamką szczepienia ospy. Spała cicho jak dziecko. Ileż to lat właściwie?... Zaczął przypominać.

Poznał ją w Witebsku w roku 1915-ym, gdy wracał z Sokorowa do Mińska. Miała tę samą co dziś hebanowo-puszystą fryzurę i — cztery lata. Miała niezwykle poważne oczy i trochę krępujący zwyczaj długiego, badawczego przyglądania się gościom. Nie uśmiechnęła się ani razu. Może instynktem dziecinnym coś przeczuła? Może po prostu zauważyła, że gdy wbiegła do pokoju, gość zbyt pośpiesznie odsunął się od jej matki. A wyszła bez słowa i widocznie obrażona, gdy matka poskarżyła mu się z uśmiechem, że ma z nią kłopot, bo wszystkim lalkom powyrywała zęby bawiąc się w dentystę. Byłby zapominał o tym spotkaniu, gdyby nie ta zabawa w dentystę. Przypominał o niej nieraz z uśmiechem: i w Petersburgu, i w Baćkowie i na wygnaniu w Warszawie.

Potem drogi ich rozeszły się na długo, choć żyli „obok”, bo należeli do jednego — klanu. Spotkał ją po raz drugi, gdy miała już lat siedemnaście. Nie poznałby ani jej, ani matki. Matka była starszą panią ze smutnym uśmiechem czarnych oczu w siatce drobnych zmarszczek. Ona... O tym drugim spotkaniu pamiętał lepiej i dłużej. Nieraz później budziło w nim skomplikowaną refleksję: od mimowolnego uczucia zadowolenia do uczucia wstydu. I chociaż właściwie nic między nimi wtedy nie „za-



szło”, wspomnienie tego wieczoru sierpniowego miało się utrwalić w pamięci jak ostre zdjęcie fotograficzne.

Prześliczny front pałacyku barokowego. Front ten był już zresztą tylko dekoracją, bo za złudną fasadą kryła się bieda, czy może indolencja — „kresowa”. Pokoje ze zbieraniną starych mebli i pokoje zupełnie puste z zabitymi na głucho oknami. Dziurawe podłogi i gołe ściany. W wielkiej sali z chórami, z których według legendy po raz ostatni za życia kompozytora rozbrzmiewał jęklivé minorowy polonez, pachniało suszącym się majerankiem. Na werandzie brakowało kilku desek i poręczy.

Ale park był prześliczny. Może dlatego prześliczny, że zupełnie dziki i zapuszczony. Otulone dżunglą podsycia i paproci olbrzymie klomby starych sosen, jaworów i lip rosły na łagodnej pochyłości nad wilgotnym parowem rzeczki Naroczy. W głuchą noc sierpniową, gdy przez potężne łapy starej sosny przeświecało siedem srebrnych gwoździ Wielkiej Niedźwiedzicy, nawet ludzie najbardziej dalecy od romantycznych nastrojów chętnie dawali wiarę mętnym legendom, że z parkiem tym związana jest jakaś ponura tajemnica.

Nie pamiętał dobrze w jaki sposób znaleźli się sami na werandzie. Czarna głęb parku tchnęła wilgotnym zapachem traw po przedwieczornym deszczu. Bliżej przeświecały kwiaty lewkonii. Bez słowa przycisnął jej ramię do piersi a usta zanurzył w puszystą strzechę włosów. Potem prześlizgnąwszy się przez gorące ucho i gładki policzek zatrzymał się dłużej na rozchyłonych, trochę chłodnych wargach. Ręką przez ciekłą tkaninę bluzki pieścił okrągłą, dobrze rozwiniętą pierś. Było coś rozbrajającego w tym, że nie czuł zapachu ani perfum, ani szminki, ani pudru. Nic — tylko jakby idącą z tego parku woń świeżych jabłek.

Nie zamienili ani słowa. Wkrótce potem z domu dobiegły głosy i wrócili do towarzystwa. Nic więcej się nie stało.

Potem drogi ich znów się rozeszły. Na bardzo długo. Dowiedział się po paru latach, że wychodzi zamąż i nawet posłał telegram. Potem powiedziano mu, już tu w Anglii, że mąż jej zginął w Katyniu, a ją z córeczką wywieziono do Rosji.

Wcześniej było jeszcze ale nie mógł zasnąć. Ona wciąż spała cicho jak dziecko. Więc dalej rozmyślał o mechanice losów ludzkich i mechanice miłości. Nic myśli rwała się, a chciało mu się połączyć wszystko w jakiś związek logiczny. Wydawało mu się — zapewne pod wpływem porannego ataku neurastenii — że całe przysze szczęście zależy od „prawidłowego” rozwiązania tej zagadki.

Kiedy się zaczęło? Wtedy, kiedy miała cztery lata i bawi-

ła się z lalką w dentystę? Czy w tamtą noc sierpniową w pięknym i ponurym parku nad wąwozem Naroczy? Czy może wprost — wczoraj? I co zdecydowało, że cykl rozpoczęty trzydzieści lat temu w „bieżeńskim” mieszkaniu w Witebsku zamknął się tej nocy w brudnym pokoiku w pobliżu Russell Square w Londynie?

Różowa plama stanika na zielonym tle battle-dressu wciąż mimo woli przyciągała wzrok. Była w tym widoku i odrobina komizmu i coś bardzo smutnego — jakby jakiś symbol, którego znaczenie starał się na próżno rozwiązać.

W pokoju było coraz widniej. Obrócił się ostrożnie, aby jej nie zbudzić i oparty na łokciu przyglądał się. Przeszła Rosję, Buzułuk, Teheran, śmierć córeczki, śmierć męża. I ani jednego siwego włosa w puszystej fryzurze, ani jednej skazy na kości słoniowej ramienia. Uśmiechnął się z pewnym rozczuleniem. (Uczucie dobrze znane mężczyznom w wiadomych okolicznościach).

Zagadka mechaniki miłosnej wciąż go dręczyła. Przypadek? Był już za stary, aby wierzyć w przypadek. Może wspomnienie lepszych czasów? Zwykła ciekawość seksualna? Czy może jedna więcej kolejka whisky w Monico na Piccadilly? Czy może ów tajemniczy zew krwi — ów trudno uchwytny, trudny do zdefiniowania, niemniej zawsze obecny — instykt klanu?

.....

Wybiegliśmy jednak zbyt daleko w przyszłość. Skręćmy więc kierownicę maszyny czasu o 180 stopni i wracajmy do Warszawy roku 1924-go.

Dwa lata pobytu Tadeusza w Warszawie po jednorocznym poście w Brześciu były bardzo bogate w przejścia zarówno osobiste, jak ogólnokrajowe. Skończył jak wiemy, studia prawnicze i pożegnał się z pierwszą młodością. Ze studiów tych miał na całe życie zapamiętać: cętki na twarzy profesora Koschembar-Łyskowskiego; co to jest negotiorum gestio (bo na ten temat egzaminował go profesor Lutostański) oraz — z dziejów doktryn ekonomicznych — że Malthus ze swoją teorią grożącej światu katastrofy przeludnienia był starym durniem.

Sprawy de publicis mniej go przejmowały, ale pod wpływem mieszczańskiej atmosfery warszawskiej zatrutej miazmami endecji zaczął chwiać się i w swych sympatiach politycznych skłaniać — o zgrozo! — ku endecji. Te fatalne tendencje podtrzymał w nim dwumiesięczny pobyt w Kielecczyźnie, której ziemiaństwo, choć może ściśle mówiąc nie endeckie, nie lubiło Piłsudskiego. Dopiero pobyt w Wilnie i zetknięcie się ze światem

ludzi rozumnych w rodzaju Czesława Jankowskiego, Kazimierza Okulicza, Stanisława Mackiewicza, Michała Obiezińskiego wyleczyło go ostatecznie ze skłonności endeckich. Dopiero w Wilnie osiągnął pełną dojrzałość umysłową i zrozumiał, że endecja to nie program polityczny, a pewien uraz mózgowy.

Podkreślam jednak, że sprawy publiczne nigdy — ani wtenczas ani potem — nie wzruszały głębiej Tadeusza. Dwuletni pobyt w Warszawie był pasmem zabaw, miłostek i przygód z krótkimi przerwami na studia przed egzaminami. Były pijaństwa, były dancingi. A gdy nadeszły dni ciepłe, zaczęło się plażowanie przy szkole pływackiej Kozłowskiego za mostem Kierbedzia. Moda plażowania zakwitła nagle latem 1923 roku i odtąd rozpoznał się jej zwycięski pochód po piaskach nadwiślańskich, nadniemeńskich i nadwilejskich. Znikły prawie zupełnie pełne męskie kostiumy kąpielowe: zjawily się spodenki. Panie i panienki, których matki i babki plażowały po Ostendach w bufiastych bluzkach z rękawami i bufiastych majtkach przewiązanych w kostce, dziś opalały się na miedziany brąz lub na różowy bąbel pieszcząc wzrok krągłością gołych ramion, łagodnym wzniesieniem gołych łydek i półkulami pośladków obciągniętych cienką tkaniną. A obok zgrabnych warszawianek opalał grzeszne cielsko Melchior Wańkowicz, wówczas naczelnik wydziału prasowego w ministerium spraw wewnętrznych.

Tadeusz leczył zęby u pana Przybylskiego na Wareckiej. Pan Przybylski był dla szcęk utytułowanej szlachty tym, czym dla jej klejnotów rodowych jest pan Szymon Konarski. Pan Przybylski leczył szlachtę nieutytułowaną lub nie-szlachtę tylko z ładu, zawsze podkreślając, że właśnie przed chwilą siedział u niego w gabinecie na fotelu Sobański, Grocholski, Potocki, Czerwertyński. Tadeusz zapamiętał pana Przybylskiego dzięki małej rozmowie na temat literacki. Był to okres wielkiego powodzenia „Na ustach grzechu” Magdaleny Samozwaniec. Tadeusz zapytał dentystę, czy czytał tę książkę. Pan Przybylski skrzywił się:

— Czytałem... I uważam, że ta powieść nie bardzo się udało autorce. Gdzie ona widziała taką arystokrację?! I sytuacje zupełnie nieprawdopodobne.

Uwaga ciekawa w ustach człowieka, który wiercił w zębach autentycznym ordynatom Michorowskim.

Tadeusz utrzymywał stały i ścisły kontakt z Sewerynowem. Zaprzyjaźnił się tam z panem Zygmuntem Goldwasserem — kto wie: może krewnym kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych pana Barry Goldwata? Pan Zygmunt był dość rzadkim przykładem Żyda pechowca. Żaden interes mu się nie udawał. Z pozycji właściciela dochodowej kamieniczki spadł do

funkcji skromnego faktora. Poza tym był uczciwy, sumienny i bardzo do swych przyjaciół na Sewerynowie przywiązany. Raz tylko poskarżył się Tadeuszowi na Rudego, któremu pożyczył jakąś drobną sumę. Rudy nie tylko długo mu nie oddawał, ale na błagalne przypomnienia pana Goldwassera odpowiadał dwuwier-  
szem:

*Panie Zyguncie,  
Na tę sprawę plućcie!*

Od czasu do czasu Tadeusz bywał na seansach spirytystycznych z udziałem pana Guzika. Guzik był w latach 1919-1924 najpopularniejszą postacią w stolicy. Salony, saloniki i po prostu domy wrywały go sobie. Miał ściśle wypełnione godziny wieczorne na kilka tygodni z góry. Trudniej było o seans z Guzikiem, niż o wizytę u dentysty Przybylskiego. Tadeusz trafił na swój pierwszy seans z Guzikiem dość późno, gdy gwiazda słynnego medium zaczęła zachodzić i gdy coraz częściej przebąkiwano o jego zdemaskowaniu. Tadeusza jako „niedowiarka” posadzono tuż obok Guzika. Zgaszono światła i zamknięto łańcuch polegający, jak wiadomo, na tym, że ręce trzyma się na stole i że są one połączone przez zaczepienie małych palców o małe palce sąsiada. Mały palec prawej ręki Tadeusza ścisnął mały palec lewej ręki Guzika. Od razu zastanowiło Tadeusza, że Guzik, który przepisowo winien był zapaść w sen kataleptyczny, ciągle kręcił się w fotelu i że jego mały palec bez przerwy miętosił i ciągnął mały palec Tadeusza. Ten starał się trzymać dłoń mocno na stole i nie ulegać ruchom palca Guzika. Ale w pewnej chwili Guzik szepnął:

— Niech pan nie ścisną tak mocno...

Tadeusz uległ przez grzeczność i czuł jak jego ręka powoli ślizga się po stole w kierunku medium... Wkrótce zaczęły się „cudada”. Przez atmosferę nagrzanego salonu raz i drugi przeszedł powiew. A potem Tadeusz ujrzał przed oczami coś, co wyobrażenia spirytystyczna nazwałaby zapewne twarzą jakiejś zjawy. Były to dwie kulki zielonkawo-fosforyzujące.

— Oho — powiedział półgłosem bez specjalnej ironii, ale i bez trwogi.

Został natychmiast ukarany, gdyż jedna z zielonkawych kulek puknęła go dość mocno w czoło. Siedział dalej cicho czekając następnych wydarzeń. Zielone kulki oraz jakieś niewyraźne mgławice tegoż koloru wędrowały sobie nad stołem w prawo i lewo. Raz po raz przechodził powiew. A w pewnej chwili coś mokrego musnęło Tadeusza po twarzy. Wreszcie Guzik oznajmił, że jest zmęczony. Seans zakończył się.

Nieraz Tadeusz zastanawiał się, czym były owe kulki zielonkawe? Czy był naprawdę świadkiem materializacji ducha, czy też po prostu jakiegoś kręactwa? Intrygowały go dwie rzeczy. Jak każdy normalny człowiek odczuwa respekt, gdy chodzi o zjawiska „nadprzyrodzone”. Boi się cmentarzy w nocy, nie lubi ciemnego pokoju i — luster. A więc dlaczego nie odczuł żadnego lęku na widok zielonkawych kulek? Dlaczego puknięcie „ręki ducha” pobudziło go raczej do śmiechu? Druga wątpliwość była poważniejsza: dlaczego Guzik tak niemiłosiernie miętosił mu palce i wyraźnie pociągał dłoń jego ku sobie?

Po długich rozmyślaniach stworzył swą własną „teorię” i postanowił wypróbować ją w praktyce. Daleki był od zamiaru demaskowania Guzika: a niech sobie buja tych, co chcą być bujani! Szukał innej okazji i znalazł ją niebawem. Szał spirytyzmu trwał i obok „fachowych” seansów z Guzikiem odbywały się seanse amatorskie. Na jednym z takich seansów u państwa Węglowskich na Starym Mieście posadzono Tadeusza między dwiema paniami. Zaraz po zgaszeniu światła zaczął imitować Guzika tj. kręcić się na krześle i „nerwowo” ścisnąć palce sąsiadek, a równocześnie — bardzo powoli — niby to poprawiając zdrętwiałe członki zbliżać ręce ku środkowi. Gdy w pewnej chwili ręce jego dotknęły się, reszta była dziełem niespodzianie łatwym. Po prostu zaczepił mały palec sąsiadki z lewej strony o mały palec sąsiadki z prawej i — miał obie ręce wolne. Uwolnił się z „łafiecucha” nie wzbudziwszy najmniejszego podejrzenia sąsiadek. Co tam wyprawiał w ciemności mając wolne ręce, to rzecz drugorzędna. Tyle tylko, że nie mając w kieszeni żadnego preparatu fosforyzującego nie mógł zademonstrować guzikowych kulek zielonych. Gdy po paru histerycznych piskach zapalono światło, Tadeusz lojalnie przyznał się do kawału. Ale nikt mu jakoś nie wierzył. Nie uwierzył gdy napisał i rozesał (anonimowo) w kopiach uczestnikom seansu wierszyk tej treści:

*Gdy umrę, duch mój wolny od ziemskich kłopotów  
Polecą tam, gdzie w mrocznej ciszy nad stolikiem  
Czeka mnie pół tuzina skupionych idiotów,  
Zgromadzonych pobożnie na seans z Guzikiem.*

*Będę im dmuchał w oczy i szczypać w siedzenia,  
Aż ich spirytystyczne przejdzie na wskroś mrowie  
I poczują mistyczny lęk. Na zakończenie  
Będę ich bił kolejno czymś twardym po głowie.*

Albowiem był to okres wyjątkowej twórczości poetyckiej Tadeusza Ipohorskiego-Irteńskiego. Niestety prawie wszystkie poezje jego uległy zniszczeniu i zapomnieniu. Tadeusz zachował w pamięci i podyktował mi tylko jeden jeszcze wiersz, jako wiernie oddający jego filozofię i nastroje w okresie przełomowym między pierwszą i drugą młodością.

### OTRZĄSANIE GRUSZEK

*Już się nie łudzę, nie trwożę, nie wierzę.  
Nic nie chcę widzieć dalej swego nosa.  
Pod gruszą leżę, nogą w pień uderzam,  
Otrząsam gruszki i ćmię papierosa.*

*Że tam coś kiedyś, lub że tam ktoś komu,  
Że komuś szczęście skradł los, utrud złodziej,  
I ktoś strychniny zażył zamiast bromu —  
A cóż to wszystko mnie w gruncie obchodzi!*

*Tak mi daleka „wieczysta kobiecość”!  
Już na myśl o niej diabli mnie nie biorą.  
Patrzę jak niebo przez liście prześwieca,  
Jak słońce w trawie gra złocistą morą.*

*Jaszczurka z trawy wygląda ciekawie.  
Slimak na ścieżce wystawia mi różki.  
Pod gruszą leżę, ze słońcem rozmawiam,  
Ćmię papierosa i otrząsam gruszki.*

.....  
*Westchnieniem kosmos wciągnąłem dziś w płuca.  
Paryż, Warszawa, Pińsk czy Saragossa?  
To nie gra roli! Ze słońcem się kłócę,  
Otrząsam gruszki i ćmię papierosa.*

.....  
.....

W lipcu 1924 Tadeusz Irteński dostał list od pana Włodzimierza Dworakowskiego, obecnie naczelnika wydziału bezpieczeństwa w urzędzie Delegata rządu w Wilnie. (Delegatem rządu był pan Walery Roman). Pan Dworakowski proponował mu stanowisko kierownika oddziału w 6-ym stopniu służbowym. Miał do wyboru: albo długie lata aplikacji adwokackiej w nasy-

conej adwokatami Warszawie, albo stanowisko kierownicze z perspektywą pięknej kariery administracyjnej. Zgodził się bez namysłu.

Opuścił Warszawę bez żalu, zwłaszcza że do Wilna miał dawny sentyment.

Pierwszego dnia w Wilnie, po męczących wizytach urzędowych i prywatnych wrócił po wczesnym obiedzie do Hotelu Europejskiego, zdjął marynarkę i wyciągnął się na łóżku, aby się trochę zdrzemnąć. Było gorące popołudnie sierpniowe. Otwarte okna numeru wychodziły na dziedziniec. Z dziedzińca dolatywały jakieś krzyki.

— Powiedz dla jego żeby był cicho! — irytował się z góry śpiewny głos kobiecy.

A z dołu głos chłopięcy — też śpiewny — powtarzał półgłosem:

— G.... nieszczęsne! g.... nieszczęsne!

„Litwo, ojczyzno moja” — pomyślał Tadeusz zasypiając.

## Rozdział XVII

### DUCH STAREGO WILNA

Tadeusz był po raz pierwszy w Wilnie latem roku 1910-go na ślubie wuja Mariana Prębskiego z panną Zofią Kiersnowską. Później przelotnie — przy Niemcach — uciekając z Mińska w grudniu 1918. Po czternastu latach Wilno zmieniło się o tyle, że na rogach stali nie stójkowi w białych letnich kitlach, ale policjanci w granatowych mundurach i że szyldy i napisy były polskie. Poza tym zewnętrznie miasto mało się zmieniło. Po staremu na najbardziej reprezentacyjnym odcinku prospektu Świętojerskiego — obecnie ulicy Mickiewicza — klekotały klawisze chodnika drewnianego. Po staremu na szczycie góry Zamkowej stała rosyjska „kałancza” — tyle tylko, że nie było strzału armatniego w południe, i z baszty, która dopiero w dziesięć lat później została rekonstruowana i na cześć konserwatora wileńskiego nazwana żartobliwie „basztą Lorenza”, powiewał dwubarwny sztandar polski. Po staremu latem chodziło się na obiad do lokalu letniego Klubu szlacheckiego u podnóża góry Trzykrzyskiej, którą starzy Wilnianie dawnym nawykiem nazywali górą Klubową. Jeszcze ucywilizowani Żydzi wileńscy używali w miejscach publicznych — z pewną nawet ostentacją — języka rosyjskiego, a ulicznicy pod wpływem znajomości rosyjskiej litery „x” z odpowiednich napisów na płotach nazwę kina „Lux” wymawiali „luch”.

Trwał duch starego Wilna. Na straży tego ducha stał pan Czesław Jankowski. W swych ciętych, brylantowym piórem pisanych felietonach w „Słowie” potrafił lekką drwiną uciąć macki podstępnie podpełzającej hydrze obcych Wilnu naleciałości — przeważnie importowanych i z pieczętką „made in Galilee”. A macki te starały się wśliznąć wszędzie: do urzędów, do prasy, do teatru, do towarzystw kulturalnych i społecznych. On to m.



in. prowadził zacięty bój przeciwko idiotycznej nazwie „Kaziuk” zamiast „św. Kazimierz”. Następcy jego — czy miał zresztą następców? — bój ten przegrali wskutek „kresowej” in-dolencji.

Na straży ducha starego Wilna stał też pan Ferdynand Ruszczyk, który już był spoczął na laurach jako wielki malarz impresjonistyczny, a obecnie poświęcał cały swój czas pracy naukowej i kulturalnej. Był dziekanem wydziału sztuki na uniwersytecie wileńskim, a jednocześnie „otwierał oczy naprzód wilnianom, później Polsce, potem zagranicy na piękno Wilna”. Z konferencji debatującej nad kolorami, na jakie mają być pomalowane nowe autobusy wileńskie, biegnie, by oprowadzać po Wilnie gości zagranicznych — Francuzów, Anglików czy Węgrów — i objaśniać im „zakłete w kamieniu” misterium wnętrza kościoła św. Piotra i Pawła na Antokolu: objaśniać np. dlaczego z jednej strony nawy stoi figura konającego św. Sebastiana, a na ukos z drugiej strony patrzy na niego zasłaniając dłonią czoło od słońca żołnierz rzymski w hełmie. Sarkano, że się „rozmienia na drobne”. On słyszy te sarkania i tylko uśmiecha się dobroduszenie, bo wie, że sprawuje w Wilnie „dyktaturę artystyczną” i że znaczenie tej dyktatury to rzecz ważniejsza, niż namalowanie jeszcze paru obrazków, które — kto wie — może już nie obudzą takiego zachwytu, jak młodzieńcze, na swoje czasy rewolucyjne „Nec mergitur” lub „Ballada”.

Duch starego Wilna wciąż trwa, ale dużo rzeczy odeszło, by już nigdy nie wrócić. Przed wojną Wilno huczało w karnawale od najautentyczniejszych balów arystokratycznych. Niekoronowaną królową karnawałów wileńskich była Klementyna z Potockich Tyszkiewiczowa, ordynatowa na Birzach, rezydująca w pałacu na rogu Nadbrzeżnej i Antokolskiej, który później mieścił bibliotekę Wróblewskich. Pani Klementyna słynęła z bardzo wysokiego wzrostu i wspaniałych toalet, które po karnawale sprzedawała pani Sorze Kłok słynącej jeszcze za czasów Tadeusza ze sprzedaży „resztek” i innych drobnych artykułów damskich. Historia zanotowała taką anegdotę o jednej z tych transakcji. Pani Sora Kłok zobaczywszy piękną suknię zaczęła cmo-kać z zachwytem:

— Pani hrabino, pani hrabino, ale kto to kupi, kto...

— No może jakaś dmimondenka — odpowiada pani Klementyna.

— Kto taki, kto? Może pani hrabina da adres.

— Ach Boże, no może jakaś kokota...

— Kokota? Kto to taki? Może adres...

— No może jakaś kurwa — mówi zrozumialej hrabina.

Pani Sora Kłok podniosła oczy na wyższą od niej o dwie głowy panią Klementynę:

— Ale gdzie taką kurwę, jak pani hrabina znaleźć! — powiedziała z westchnieniem.

„Drugą” królową karnawałów była księżna Michałowa Ogińska, mająca piękny pałacyk na Świętojerskim zaułku. Podczas okupacji niemieckiej odwiedził ją w tym pałacyku Wilhelm II. Za czasów Tadeusza pałacyk ten był już własnością Banku Gospodarstwa Krajowego.

Otóż te wszystkie bale prywatne, wszystkie te „Achy”, o których wspomniałem w „Dzieciństwie i młodości Tadeusza Irteńskiego”, należały już do przeszłości. Szlachta utytułowana albo bawiła się gdzie indziej, albo siedziała po swych majątkach. Do Wilna wpadała głównie w interesach zatrzymując się albo w hotelu, albo u znajomych, albo — rzadziej — we własnym pied-à-terre. Ponieważ żadne większe miasto nie może istnieć bez śmietanki towarzyskiej, przeto surogatem arystokracji stały się domy Bohdanowiczów, Mohlów, Kognowickich, Klottów, Łęskich, Chomińskich oraz pani z Jeleńskich Mieczysławowej Jeleńskiej zwanej „papieżycą”. Ale z biegiem lat i te domy zostały — jak to wykażę w dalszym ciągu tej kroniki — odsunięte w cień: w przede dniu drugiej wojny światowej Wilno było już miastem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach zurzędniczonym i „zmilitaryzowanym”.

Echem dawnych chyba czasów była też religijność towarzystwa wileńskiego — przynajmniej jeżeli chodzi o formy zewnętrzne. Tadeusz aż zaniemówił, gdy go pewna przystojna panienska wileńska spytała znienacka:

— W jakim kościele był pan w niedzielę na mszy świętej?

Trochę później ta sama panienska bardzo się zmartwiła, gdy się dowiedziała, że Tadeusz nie chodzi do spowiedzi i komunii. Tego rodzaju pytania i zmartwienia były w Mińsku nie do pomyślenia. Osiadłszy jednak w Wilnie, jako w przybranej ojczyźnie, Tadeusz musiał jakoś się dostosować do miejscowych obyczajów. Załatwił sprawę kompromisowo: wzorem innych młodzieńców wileńskich przychodził co niedzielę o wpół do dwunastej pod barokowy kościółek św. Jerzego, gdzie się odbywały późne msze dla socjety wileńskiej i na placyku przed kościołem robił z przyjaciółmi przegląd pań i panienek wychodzących ze świątyni.

Duch tradycji i zacofania ścierał się z nowymi prądami. Z wizytami wciąż chodzono w zakietach ze spodniami w prążki, choć na zachodzie strój ten już od szeregu lat został zachowany tylko w służbie dyplomatycznej. Znikły wielkie bale prywatne, ale odbywały się wielkie bale publiczne: bal pod hasłem „Chleb

głodnym dzieciom” zwany popularnie balem wojewódzkim, odbywał się bowiem w salach pałacu Rzeczypospolitej, tego samego pałacu, gdzie ongi stawał Aleksander I i Napoleon I, a potem mieszkał Murawjow i gubernatorzy wileńscy. Albo bal morski na rzecz Ligi morskiej, rzecznej i kolonialnej. Odbywały się rzecz jasna prywatne wieczorki tańczące. Ale na balach i balikach dominowały po staremu dwa tańce — walc i mazur. Shimmy i one-step stawiały pierwsze nieśmiałe kroki, przy czym tańczono je z fantazją tj. z figurami. Jak powiadali chłopci białoruscy: „Ciapier pany usio tańcując tolki dwa tancy — szmaju i ustemp”. Na tango długo krzywiono się, jako na taniec nieprzyzwoity. Gdy Tadeusz zatańczył tango na balu morskim z przystojną aktoreczką z „Lutni”, towarzyszyły im zaledwie trzy czy cztery pary, a panienka, której wtedy asystował, oburzyła się do tego stopnia, że opuściła ostentacyjnie bal — śmiertelnie obrażona.

Latem wyruszano parostatkiem na plażę nadwilejskie — do Wołokumpii lub do Werek. Tadeusz napisał w „Słowie” cały felieton o plażach podwileńskich zaczynający się od słów: „Wenecja ma Lido, Wilno ma Wołokumpię”. Mówił w nim, że Wołokumpia stanowi „płuca Wilna” i że plażowanie wywiera zbalawiający wpływ na ogólną higienę i czystość. Istotnie nie wypada przecie przyjeżdżać na plażę z brudnymi nogami. Myło się więc nogi, a za jednym zamachem całe ciało. Woda bieżąca i wanny zjawiły się nawet w takich mieszkaniach, gdzie inne wygody były, jak za czasów filareckich, wynoszone.

Inny felieton Tadeusza Irteńskiego zaczynał się tak: „Londyn ma Epsom, Wilno ma Pośpieszkę”. Na Pośpieszce bowiem, na błoniach zaraz za północnymi granicami miasta, odbywały się w sezonie konkursy hipiczne, w których brali udział dzielni jeźdźcy pułków kawalerii i artylerii konnej i nie mniej dzielne amazonki wileńskie, rekrutujące się przeważnie z grona rozczarowanych mężatek i „ongi bardzo młodych panien”, jak je określał złośliwy Kamil Mackiewicz. Konkursom hipicznym przydzielali hr. Breza i jeden z popularnych w Wilnie braci Jamonttów. Do funkcji pana Jamontta należało wypisywanie wyników konkursów kredą na czarnej tablicy. Dało to asumpt panu Kamilowi Mackiewiczowi do narysowania karykatury; pan Jamontt maluje na tablicy potężnych rozmiarów kieliszek. Była to aluzja do skłonności pana Jamontta do wypitki, którą zresztą Kamil, jak wiadomo, też nie gardził.

Z paniami chodziło się do restauracji Żorża, gdzie, jak powiedział tenże Kamil Mackiewicz, stoliki były tak przemyślnie rozstawione, aby goście mogli nie tylko swobodnie rozmawiać ze

znajomymi siedzącymi przy innych stolikach, ale i zaglądać im do talerzy. Żorż był bowiem restauracją naprawdę familijną i panował w niej duch miłego rodzinnego plotkarstwa. Zjawienie się nieznanego przybysza — najczęściej osoby przyjeżdżającej na rozwód kalwiński przy ulicy Zawalnej — witano ożywionym szmerem zaciekawienia. Gdy nie było pieniędzy na zapłacenie za posiłek, rachunek podpisywano, po czym kelner zawieszał go na haku za kasą. Stąd jądanie u Żorża na kredyt nazywał się jedzeniem „na hak”.

Na posiłki ściśle męskie, tj. pijaństwa, chodzono do „Bristolu”, do Macieja („Zaciszę”), do „Warszawianki”, do „Myśliwskiej”, do „Łazarza” (na rybkę), a nawet do raczej obskurnej restauracyjki pani Żytkiewiczowej na Zamkowej. „Palais de danse” pana Kneblewskiego, surogat przedwojennego Szumana, miało się zjawić w parę lat później.

Życie towarzyskie więc trwało, choć w porównaniu z okresem sprzed wojny było to życie przygaszone i — jakby powiedziała pani Maria Czapska — o parę „oczek” niższe od życia przedwojennego.

Gdzie jest życie towarzyskie, tam się ludzie obrażają i wszczynają sprawy honorowe. Pod tym względem Wilno zdobyło sobie tragiczną sławę na parę lat przed przyjazdem Tadeusza. W lokalu konwentu (tj. korporacji) „Polonia”, która się przeniosła z Dorpatu do Wilna, odbył się pojedynek na półciężkie pałasze między porucznikiem 13 pułku ułanów Ławrynowiczem a porucznikiem piechoty Godebskim, który nawiasem mówiąc był instruktorem szermierki. Ławrynowicz — dość poważnie ranny w pierś — wpadł we wściekłość i przyciskając ranę lewą ręką prawą rąbnął stojącego z opuszczoną szablą przeciwnika straszliwym cięciem w szyję. Krew chlusnęła na ścianę i jak opowiadali „polonusi” trzeba było dokładnego szorowania i kilku warstw farby, aby czerwona plama znikła ze ściany. (Według innej wersji śladu umyślnie nie zamalowywano ze swoistego „snobizmu”). Opowiadano też, że tragiczny wypadek był winą prowadzącego, który stracił głowę i zapomniał krzyknąć „stój”, gdy Ławrynowicz został ranny przez przeciwnika.

Inny śmiertelnie zakończony pojedynek zdarzył się już za Tadeusza. Student „polonus” Nowacki zabił w pojedynku na pistolety kolegę Przygodzkiego. Kula trafiła w wątrobę i ranny długo się męczył przed śmiercią. Pojedynek ten był tym smutniejszy i tragiczniejszy, że nie poszło im o jakąś poważną znie wagę, lecz o kłótnię, czyja rodzina i czyj klejnot herbowy są lepsze.

Gdy pojedynek odbywał się między starszymi panami, „za-

przysiężonym” prowadzącym był najczęściej filister „Polonii” lekarz wojskowy podpułkownik Adam Bonasewicz. Dr Bonasewicz traktował starcie orężne z całą powagą należną temu rytuałowi. Sam rzecz jasna nabijał pistolety. Gdy sprawa honorowa była poważna, nabijał pistolety w sposób przepisany. Ilekroć jednak sprawę uważał za niezbyt poważną, np. gdy chodziło o pukanie między panami żurnalistami, wsypywał przez omyłkę podwójną miarkę prochu, skutkiem czego był wielki huk, ale kule szły o kilka metrów powyżej celu.

Prócz dwóch krwawych i niezliczonej ilości bezkrwawych pojedynków Wilno wślawiło się zabójstwem związanym ze sprawą honorową. Pan Karnicki-Smoleński, urzędnik Banku ziemskiego, który później — 18 września 1939 roku — popełnił samobójstwo, miał jakąś niezbyt mądrą sprawą honorową: chodziło w niej, jak i w wypadku Nowacki-Przygodzki, o spór w sprawie klejnotu rodowego i starożytności rodziny. Sprawę prowadzono nieudolnie i spisano tzw. protokół jednostronny. Poszkodowani zamiast pociągnąć do odpowiedzialności honorowej autorów tego protokołu zaatakowali pana Karnickiego-Smoleńskiego na ulicy z kijami w ręku. Strzelił i zabił jednego z napastników. Sprawa sądowa była w Wilnie wielką sensacją. Pana Karnickiego-Smoleńskiego bronił znany adwokat warszawski Niedzielski, który później wydał małą książeczkę z opisem tego procesu i oczywiście z pełnym tekstem własnej mowy. Sąd skazał pana Karnickiego-Smoleńskiego na pół roku więzienia z zawieszeniem wyroku za zabójstwo w stanie uniesienia psychicznego.

Trzeba podkreślić, że bardzo niski procent spraw honorowych kończył się pojedynkiem, a na jakieś sto pojedynków w okresie 1922-1939 tylko dwa zakończyły się śmiercią. Olbrzymia, nie poddająca się niestety statystyce większość spraw honorowych kończyła się protokołem. Inteligencja polska przeżywała to, co Tadeusz w jednym ze swych najlepszych felietonów nazwał „kryzysem honoru”. Dżentelmenów się namnożyło, a pojęcie honoru zdewałowowało. Największym best-sellerem polskim, best-sellerem bijącym o kilka długości powieści Mniszkówny i Żeromskiego był kodeks honorowy Boziewicza. Zdrowa skąd inąd chęć uniknięcia starcia z orężem w ręku prowadziła do kwestionowania zdolności honorowej (*Satisfaktionſaehigkeit*) przeciwnika. Odbywał się wtedy sąd honorowy. Gdy sprawa honorowa była szczególnie poważna na superarbitra zapraszano filistra „Polonii” zacnego pana Jerzego Czapskiego z Przyłuk w Mińszczyźnie.

W pierwszych latach pobytu Tadeusza w Wilnie zdarzył się inny krwawy wypadek, który do dziejów szkolnictwa pol-

skiego powinien wejść pod nazwą „krwawej matury”. Wojna i rewolucja przerwały studia wielu ludziom. Tadeusz np. skończył prawo z siedmioletnim opóźnieniem. Większość jego kolegów petersburskich — z wyjątkiem Tolusia Rusieckiego i Sewerka Odyńca — w ogóle zrezygnowała z ukończenia studiów wyższych. Młodzież o ćwierć pokolenia młodsza miała podobne zmartwienia z maturą. Wielu z niedoszłych maturzystów poszło na ochotnika do wojska, a po demobilizacji zapragnęło zakończyć naukę gimnazjalną i dostać maturę. Byli to ludzie, którzy przez parę lat prowadzili życie dorosłe, a przy tym obozowo-awanturnicze, strzelając do nieprzyjaciela i słysząc koło uszu gwizd kul nieprzyjacielskich, zaglądając do kieliszka, kradnąc kury po wsiach i zaściankach, doznając tanich i prymitywnych przygód miłosnych. Można sobie wyobrazić, jak nieswojo czuli się, gdy ich posadzono na ławach obok gołowąsych dzieciuchów i kazano uczyć się rzeczy, które na zdrowy rozsądek nie tylko ludzi wyrosłych w twardej szkole życia, lecz i wielu ludzi normalnie dorosłych nie są nikomu na nic potrzebne. W gimnazjum im. Lelewela w Wilnie wśród takich maturzystów znaleźli się Ławrynowicz, młodszy brat tragicznego bohatera pojedynku na szable, i Obrąpalski, syn zacnego pana Emanuela Obrąpalskiego z Mińska. Dyrektorem i nauczycielem matematyki był pan Biegański. Zauważywszy, że Ławrynowicz i Obrąpalski często opuszczają lekcje, mają złe stopnie i nieraz poza szkołą upijają się, pan Biegański ostrzegł ich, że matura to nie żarty i że powinni się „podciągnąć”, inaczej bowiem nie zdadzą matury. Ostrzeżenie miało odwrotny skutek. Młodzież nie tylko się nie podciągnęła, lecz zachowali w duszy głęboką urazę do dyrektora.

— Jakto? — skarżyli się kolegom — przelewaliśmy krew i żarły nas wszy za tych wszystkich cywilów, a między nimi za tego capa z Galilei (pan Biegański miał nieszczęście pochodzić z Małopolski) i oto w nagrodę urządzają nam szykany z ich głupią maturą!

Przyszedł dzień egzaminu maturalnego z matematyki. Ławrynowicz i Obrąpalski przyszli na egzamin po nocy spędzonej na pijaństwie i mając już z góry obmyślony plan działania. Zobaczywszy, że nie potrafią rozwiązać zadania, postanowili się mścić. Ławrynowicz wyjął pistolet i zaczął strzelać do Biegańskiego. Dyrektora zasłonił uczeń Jerzy Zagórski i padł trupem. Dyrektor nie był nawet drażniony, zaś Ławrynowicz włożył lufę pistoletu w usta i pociągnął za cyngiel. Wtedy Obrąpalski wydobyl granat. Uczeń Osmołowski chwycił szaleńca z tyłu za ręce, ale nie mógł już zapobiec wyrwaniu zapalnika. Granat wybuchnął u Obrąpalskiego na brzuchu zabijając go na miejscu i

raniać śmiertelnie odłamkiem nauczyciela Jankowskiego. W klasie, jak w ostatniej scenie ostatniego aktu tragedii szekspirowskiej, leżały cztery trupy.

Jak szeroki rozgłos miała wówczas ta „krwawa matura” dość powiedzieć, że państwo Irteńscy z Jadwinią, bawiący wtedy w Nicei, dowiedzieli się o tym wypadku z olbrzymich tytułów na pierwszej stronie gazety.

Wypadek miał również dalsze echa w Wilnie. Echa literackie. Mińczuk pan Kazimierz Leczycki, dziennikarz i autor powieści „Państwko”, o którym wspomniałem w rozdziale IX, napisał i wystawił w Wilnie sztukę pt. „Sztuba”. W sztuce tej echo „krwawej matury” było jednak przyciszzone. Uczeń celował z rewolweru do nauczyciela, ale nie wystrzelił. Zakończenie było pogodne. Rzecz miała poza tym „aktualne” momenty komiczne: maturzyści pisali wypracowanie egzaminacyjne ze słuchawkami na uszach pod dyktando radia... Sztuka miała powodzenie. Wystawiło ją kilka teatrów w Polsce i jeden czy dwa teatry zagranicą.

Rozdział o „duchu starego Wilna” nie byłby pełny, gdybym nie wspomniał o sławnym w Wilnie przybytku miłości płatnej, czyli o tzw. cioci Rózi. Wilno miało sporo domów publicznych, ale wśród nich zakład cioci Rózi był perłą. Wspomniało już o nim paru wspominkarzy (z Melchiorem Wańkiewiczem oczywiście na czele) przytaczając popularne w Wilnie anegdoty dotyczące przeważnie znanych osobistości, które padły tak czy inaczej ofiarą niedyskrecji, czy to cioci Rózi, czy jednej z jej pensjonarek. Tadeuszowi znane były te anegdoty, ale wątpił zawsze w ich autentyczność. W jego wspomnieniu zakład cioci Rózi różnił się od innych podobnych zakładów solidnością i wielką dyskrecją. Przytoczę tu natomiast inną anegdotę, za której autentyczność Tadeusz Irteński ręczy. Zakład cioci Rózi mieścił się w latach dwudziestych na ulicy Mostowej numer 19, w dziedzińcu, w jednej z paru oficyn. W oficynie obok — pod tym samym numerem — mieszkała z rodzicami i bratem panna Lilka Szerszyńska, uczenica gimnazjum im. Orzeszkowej, czyli tzw. „orzeszkówka”. Ojcem chrzestnym jej brata i przyjacielem jej ojca był jeden z proboszczów Ostrej Bramy. Na początku swego pobytu w Wilnie wybierał się do państwa Szerszyńskich i podał dorożkarzowi adres: Mostowa 19, pytając, czy wie, gdzie to jest. Na to dorożkarz:

— Panoczku! Tam koń sam stanie.

Tadeusz Irteński przyjechał do Wilna, aby pracować w wydziale bezpieczeństwa delegatury rządu w okresie bardzo nie-

spokojnym. Na granicy grasowali dywersanci z Sowietów urządzając nieraz rajdy w głąb kraju. Słynny był napad na starostwo w Stołpcach województwa nowogrodzkiego. Niemniej słynne były napady na pociągi — pod Leśną w Nowogrodzkim i pod Porchońskiem na Polesiu. „Czerwoniaki” warszawskie i prowincjonalne oskarżały władze cywilne i policję, zwłaszcza policję graniczną, o niezaradność i drukowały wielkimi literami hasło: „Zmienić bezpieczniki!” Czerwoniak wileński atakował ze szczególną zaciekłością pana Włodzimierza Dworakowskiego, któremu niejedyn dowódca wojskowy mógł zazdrościć odwagi, energii i szybkiej orientacji, ale który miał przykry charakter i nie był popularny wśród przedstawicieli prasy. Niemniej prasa trąbiła, że w czasach niebezpiecznych należy zwracać się o pomoc do wojska i wołała o militaryzację straży granicznej. Wojewodą nowogrodzkim mianowano generała Januszajtisa. Wsławił się on okólnikiem „do właścicieli majątków i folwarków”, w którym zalecał, aby przed każdym domem wykopać i zbudować niewielki „blindażyk”. Mieszkańcy dworu czy dworku mieli — w razie napadu bandyckiego lub dywersyjnego — chronić się w tym blindażyku i ostrzeliwać się z niego. O ile wiem nikt wezwania generał-wojewody nie usłuchał i blindażyka nie zbudował, ale okólnik, choć „tajny”, trafił do prasy i ośmieszył poczciwego generała Januszajtisa. Był też groźnym ostrzeżeniem, jak bardzo katastrofalne jest mianowanie wojskowych na stanowiska cywilne. Ale ostrzeżenie przeszło „straszne lecz niezrozumiane”. W każdym razie nikt o nim nie pamiętał w dziesięć lat później.

Poza dywersantami grasował w województwie nowogrodzkim bandyta Mucha. Miał sławę białoruskiego Robin Hooda: rabował u bogatych, aby zrabowane rozdawać biednym. Był więc spadkobiercą słynnego przed 20 laty Sawickiego, o którym wspominałem w „Dzieciństwie i młodości Tadeusza Irteńskiego”.

Na odcinku granicznym województwa wileńskiego wielkich napadów dywersyjnych lub bandyckich nie było. Ale zdarzały się mniejsze napady. Najniespokojniej było w powiecie dziśnieńskim, o którym zachowała się legenda, że gubernator Lubimow w raporcie do ministra spraw wewnętrznych tak się o tym powiecie wyraził: „Mam w gubernii jeden osobliwy powiat — dziśnieński”... „Osobliwość” powiatu z czasów carskich znikła w mrokach niepamięci i zapewne nigdy się nie dowiemy, na czym polegała. Za czasów polskich powiat był znany z tego, że choć nazywał się dziśnieński stolicę miał nie w Dziśnie, ale w Głębokiem. (O Dziśnie — mieście umarłych — opowiem przy okazji później). Nazwiska ziemian tego powiatu przypominały „Pa-



miętniki kwestarza” Ignacego Chodźki: Korsakowie, Rudominowie, Szyrynowie... Jednego z braci Szyrynow zamordowali bandyci. Gdy zjawiała się policja, aby przeprowadzić dochodzenie, rozżalony brat zamordowanego zaczął wymyślać policjantom od ostatnich za bezczynność i nieudolność. Gdy w ogniu gorącej rozmowy jeden z policjantów wspomniał nazwisko delegata rządu, Szyryn wykrzyknął:

Mam w d... waszego delegata rządu!

— Niech się pan liczy ze słowami! — powiedział groźnie policjant.

— Tu nie chodzi o liczenie się ze słowami — odparł pan Szyryn — ale cóż ja na to poradzę, że na widok polskiego urzędnika lub policjanta chce mi się s....

Oburzony policjant zaprotokółował dosłownie to, co pan Szyryn powiedział, a pan Szyryn jak najchętniej podpisał protokół. Później protokół powędrował do Wilna i oparł się o urząd delegata rządu. Ten przekazał go prokuratorowi. Po kilku dniach prokurator zwrócił protokół z oznajmieniem, że w słowach pana Szyryna nie widzi cech przestępstwa, a przeto nie może mu wytoczyć sprawy karnej. (Jak widzimy były to jeszcze dobre czasy, gdy prokurator nie nadszkakiwał naczelnikowi wydziału bezpieczeństwa i gdy nie było jeszcze ustawy o „lżeniu” narodu polskiego).

Zaraz po przyjeździe Tadeusza odwołano delegata rządu pana Walerego Romana. Nie można mu było zarzucić ani braku energii, ani rozumu. Miał jednak inną „wadę”: twardy kark i wielką dbałość o powagę stanowiska. O tę powagę poszło. Nie umiał politykować ani z „suwerenami” (tak żartobliwie nazywano posłów) z ludowej partii „Wyzwolenie”, ani z władzami wojskowymi. Był ostatnim wojewodą wileńskim, a może w ogóle ostatnim dygnitarzem cywilnym w Polsce, który przeciw władzom wojskowym stawał okoniem. Zadarł nie byle z kim, bo z inspektorem armii generałem Rydzem-Śmigłym, który mieszkał i urzędował w tzw. „Podzamczu” u stóp góry Zamkowej, gdzie ongi mieszkał von Rennenkampf, a później dowódca X armii niemieckiej von Eichorn. Rydz-Śmigły, bojowy generał, na ogół bardzo gładki i miękki w stosunkach z ludźmi, nastroszył się wobec pana Romana bardzo wojowniczo. Zdaje się, że poszło o jakąś „reprezentację”, choć szeptano, że pan Roman „idzie z endecją”, co było nonsensem, był bowiem gorącym zwolennikiem Piłsudskiego. Dość, że wojsko nastawało na usunięcie pana Romana. Jakiś czas mówiono, że następcą będzie jakiś generał. Urzędnicy westchnęli z ulgą, gdy przyszła wieść, że delegatem rządu zostanie pan Raczkiewicz, „kochany pan Władek” z Mińska i

Nowogródka, człowiek, który posiadał — jak Cziczikow w gogolowskich „Martwych duszach” — „wielką tajemnicę podobania się”.

W pięknej karierze pana Władysława Raczkiewicza Wilno było wprawdzie nie szczytowym, ale chyba najpiękniejszym i najprzyjemniejszym okresem. Istotnie: trzykrotne sprawowanie przezeń funkcji ministra było tym, co Rosjanie nazywają „kalifatem na godzinę”. Marszałkostwo senatu był to okres polowań, reprezentacji i nieróbstwa. Wojewodowanie w Nowogródku — w historycznej ale zahukanej mieścinie — to tylko jakby aplikacja dygnitarska w głuchej prowincji. W Toruniu cieszył się wielką popularnością, ale Toruń był obcy, zimny i może jeszcze bardziej prowincjonalny, niż Nowogródek. (O prezydenturze emigranckiej lepiej zapomnijmy). Ale Wilno! Wilno, choć ekonomicznie w „worek” zapchane, to stolica całą gębą. Stolica — artystyczna i umysłowa. „Pan Władek” od razu jest tu „na miejscu” — szanowany, podziwiany, kochany. Szesnastoletnie sztabaczki przepychają się łokciami na konkursach hipicznych na Pośpieszce, aby być jak najbliżej „swego” wojewody. Policjanci salutują przed Buickiem wojewódzkim jakoś zwawiej i radośniej, mniej oficjalnie. Aktorki na reducie artystycznej ciasnym, barwnym i pachnącym kołem okrążają pana Władysława. Na konferencjach samorządowych i gospodarczych najbardziej zżarci oponenti i malkontenci, którzy jeszcze nie dawno „z zasady” oponowali panu Waleremu Romanowi, albo zapominają języka w gębie, albo stają się potulni i układni, gdy im „do serca” przemówi pan Raczkiewicz. Umie też współistnieć przyjaźnie i z kurią metropolitalną i z władzami wojskowymi. A młodzież, ta młodzież wileńska, która potrafi urządzić kocią muzykę pod oknami innego wojewody, naprawdę kocha wojewodę Raczkiewicza.

Wkrótce po objęciu urzędowania przez pana Raczkiewicza ustały napady dywersyjne i bandyckie. Przypisywano to temu, że policję graniczną zlikwidowano i że jej funkcje objął Korpus Ochrony Pogranicza. Ale w drodze szeptanej krążyła inna wersja. Oto podobno, jako odwet za bolszewicki napad dywersyjny na Stołpce, szwadron jednego z pułków ułańskich przebrany w cywilne kozuchy dokonał napadu na urzędy sowieckie w granicznym miasteczku Kojdanowie i porządnie przetrzepał skórę sowieciarzom. Bolszewicy zrozumieli, że polityka siania zamętu na pograniczu jest ostrzem obosiecznym i zaniechali napadów dywersyjnych.

A pan Raczkiewicz urzędował, czarował, tańczył mazura, polował. Tadeuszowi zdarzyło się kilka razy być na polowaniu

zbiorowym z panem Raczkiewiczem. Nigdy w życiu nie spotkał większego pudlarza. „Czy ten człowiek nigdy nie trafia do zwierzyny?” — myślał. Istotnie raz Tadeusz miał stanowisko obok pana Raczkiewicza i sam widział, jak ten spudłował do siedzącego szaraka. Wuj Wacio Świętorzecki tak objaśniał notoryczne pudła pana Raczkiewicza:

— Widzisz, mój kochany — mówił do Tadeusza — każdy z nas kiedyś w dzieciństwie miał od ojca lub gajowego pierwszą i zwykle jedyną lekcję strzelania z dubeltówki. Otóż od maleństwa wiemy, że celując musimy zawsze mieć muszkę pośrodku szyny bez względu na to, czy strzelamy z prawej czy lewej lufy. No, a zacny Raczkiewicz zaczął polować będąc już dygnitarzem i zapewne nikt nigdy nie dał mu lekcji strzelania. Obawiam się, że własnym rozumem doszedł do tego, że strzelając z prawej lufy celuje tak, aby mieć muszkę nad prawą lufą, a z lewej tak aby mieć muszkę nad lewą...

Czy teoria wuja Wacia była słuszna, czy nie, tego naturalnie Tadeusz nie mógł sprawdzić, ale w kilkanaście lat potem na polowaniach na Pomorzu przekonał się, że pan Raczkiewicz nauczył się strzelać i trafiał zupełnie nieźle nie tylko do celu nieruchomego, ale i do pędzonych bażantów. Widocznie wziął od kogoś parę lekcji strzelania.

## Rozdział XVIII

### „ZA CIERPIENIA ZOSTAJE SIĘ ŚWIĘTYM, A NIE GUBERNATOREM”

Na ścianie na wprost biurka, przy którym siedział Tadeusz, były dwie mapy: mapa Polski i mapa województwa wileńskiego. Pan Kazimierz Obrocki, inspektor administracji a późniejszy sędzia wileńskiego Sądu Okręgowego, po którym Tadeusz pokój odziedziczył, wskazał ręką na mapę województwa wileńskiego i powiedział:

— Widzi pan: siedzimy w worku, otoczeni z trzech stron obcymi państwami.

W głosie pana Obrockiego brzmiała troska, której Tadeusz nie rozumiał. Bo jakże: od zachodu jest Litwa, z którą wprawdzie nie ma stosunków dyplomatycznych, ale która chyba nie zamierza najechać Wilna zbrojnie. Od północy Łotwa: Łotwie podarowaliśmy sześć czy więcej gmin polskich i mamy z nią stosunki „dobrosąsiedzkie”. A od wschodu?... Cztery lata temu daliśmy bolszewikom w skórę, i czy stało się to skutkiem cudu, czy talentów generała Weyganda, czy geniuszu strategicznego Piłsudskiego — pobiliśmy ich i kwita. Więc czego się martwić? Tadeusz byłby zapomniał o słowach pana Obrockiego, gdyby nie jedna z częstych wizyt pana Irteńskiego, który przyjeżdżał do Wilna w interesach.

Pan Irteński traktował stanowisko syna, jego tytuł radcy wojewódzkiego i jego pracę w administracji z całą rewerencją. Ale Tadeusz nie był pewien, czy ta rewerencja nie była udana. Nieraz chwycił w oczach ojca błysk przelotny, lub cień uśmiechu pod wąsem. Można to było przypisać dumie ojcowskiej, że syn w tak młodym wieku i w tak krótkim czasie doszedł do wysokiego stanowiska. Ale równie dobrze można to było przypisać czemuś innemu. Pewnego dnia pan Irteński wstąpił do gabinetu syna, gdy ten podpisywał korespondencję.

— W czym imieniu podpisujesz się? — zapytał.

— Podpisuję „za delegata rządu” — wyjaśnił Tadeusz.

Pan Irteński uśmiechnął się z zadowoleniem. Po chwili jednak siedząc bokiem do biurka Tadeusza rzucił okiem na wiszącą po przeciwnej stronie mapę Polski, spoważniał i westchnął. Tadeusz nie mógł na razie zrozumieć powodu zmiany w nastroju ojca. Pobiegł więc w kierunku wzroku ojca i zatrzymał spojrzenie na mapie Polski. Jak kiedyś ktoś napisał, Polska okresu 1920-1939 miała na mapie sylwetkę nosorożca. Nosem było Poznańskie, rogiem Pomorze, a grubą narosłą na grzbiecie — Wileńszczyzna. Niemcy knebłowały z trzech stron nos nosorożca i jarzmem ciążyły mu na karku. A tuż za grzbietem rozciągały się bezkresne Sowiety, które wtedy jeszcze nazywano pobłażliwie „Sowdepia” albo „Bolszewia”.

Ojciec i syn zrozumieli się, choć nie powiedzieli ani słowa. Tadeusz szybko odpędził niemiłą refleksję i już myślał o czymś innym. Ale odtąd zawsze, ilekroć patrzył na mapę Polski, odczuwał sekundę przelotnego niepokoju, którą starał się odpędzić jak najprędzej.

Praca go pochłaniała, bo szef jego pan Włodzimierz Dworakowski był wymagający, pełen energii i inicjatywy. Trzymał się zdrowej zasady, że w administracji lepiej jest zrobić byka, ale prędko, niż zrobić coś doskonale, lecz o minutę za późno. Tadeusz ani przedtem ani potem nie spotkał człowieka o tak wielkim talencie „myślenia kategoriami prawnymi” w połączeniu z umiejętnością dostosowania tych kategorii do wymagań życiowych. Miał wprawdzie częste wybuchy złego humoru, gdy coś nie szło w urzędowaniu tak, jak by sobie tego życzył, ale za to w przebłyskach dobrego humoru bywał miły i dowcipny. Miał wszakże jedną wadę, która się trochę kłóciła z jego talentem „życiowego” podejścia do zagadnień: wciąż bolał, że ta lub inna dziedzina nie jest „uregulowana” i nieraz kazał Tadeuszowi werutować stare przepisy rosyjskie — teoretycznie obowiązujące — czy aby nie da się z nich wygrzebać odpowiednich norm prawnych. Próżno Tadeusz starał się tłumaczyć szefowi, że Polska nie jest jeszcze państwem socjalistycznym, gdzie wszystko jest zarejestrowane i reglamentowane i że w państwie praworządym musi istnieć w życiu obywatela jak najszerszy margines nie objęty przepisami. Próżno. Na punkcie „uregulowania” wszystkiego pan Włodzimierz był uparty. Nie pomagało nawet, gdy Tadeusz odwoływał się do jego przekonań pravicowych. Albowiem pan Dworakowski, choć oficjalnie do żadnej partii nie należał, miał wyraźne tendencje proendeckie, co się niebawem miało okazać jego zgubą. Te proendeckie tendencje były też osobliwą aber-

racją, skoro wiadomo, że endecy mają zwykle inteligencję porządniejszego gatunku, pan Dworakowski zaś miał inteligencję wysokiej klasy.

Pan Dworakowski mógłby ująć za mężczyznę przystojnego, gdyby nie brzydki zwyczaj pochylania na bok głowy, mrużenia jednego oka i krzywienia się.

— I ty byś się krzywił, gdybyś miał taką żonę — tłumaczył Tadeuszowi Władek Janowski, stary przyjaciel jeszcze z Mińska, mieszkający wtedy w Wilnie.

Istotnie — pani Dworakowska nie grzeszyła urodą.

Urzędowano więc. W międzyczasie tytuł „delegata rządu” zmieniono na „wojewodę”. „Na koniec” — szeptali z ulgą wileńczycy, niepomni, że ta niewinna nazwa „delegata” była ostatnim echem wiosny ludów Wielkiego Księstwa Litewskiego — wiosny zapowiedzianej odezwą Piłsudskiego w kwietniu 1919. Ale cóż: olbrzymia większość Polaków zamieszkałych na „kresach”, którzy jeszcze 10 lat przedtem nazywali sami siebie „Litwinami”, nie dorosła do tej wiosny. W powiecie wileńsko-trockim żył pan Pisanko, ziemianin, znany z ciętego języka oryginał. Słyszał dużo o nim delegat rządu pan Walery Roman. To też gdy na jakimś bankiecie powiatowym posadzono go na wprost oryginała, zwrócił się do niego z zapytaniem:

— Jak się panu teraz Wilno podoba? Od czasu objęcia władzy przez nas musiały w nim zajść zmiany. Co pana, panie Pisanko, najbardziej w Wilnie uderzyło?

— Delegat rządu polskiego w Polsce, panie delegacie rządu — odparł Pisanko.

Odpowiedź pana Pisanki powtarzano długo, jako wspomniały dowcip. Dzisiaj chyba nawet najzażartszy epigon Endecji uśmiechnie się smutno na wspomnienie tej odpowiedzi.

Urzędowało się. Trwał okres tzw. sejmowładztwa. Pannie Bronisław Wędziogolski i Ludwik Chomiński, posłowie z ludowej partii „Wyzwolenie”, wchodzili do urzędów krokiem mocnym, zwycięskim. Urzędnicy zrywali się z miejsc, jak na powitanie wchodzącego szefa. Inni interesanci, choćby od dawna czekali, musieli ustąpić kolejki „suwerenom”. Nie było tygodnia, aby z ministerium nie przychodziło pismo z pieczętką wielkimi literami INTERPELACJA. Interpelacja poselska w sejmie miała pierwszeństwo przed innymi najbardziej pilnymi papierkami. Urzędnik z województwa czy starostwa pędził na zbity łeb, aby na miejscu przeprowadzić dochodzenie. Wyniki dochodzenia wraz z obszernym *resumé* delegowanego urzędnika słyż na biurko pana Pawła Rauego, kierownika oddziału przy-

dialnego w wydziale prezydialnym. On ci to koncyrował odpowiedź, która z pieczętką INTERPELACJA szła pośpiesznie do Warszawy.

Pan Paweł Raue, stary kawaler skoliigaony z mozną na Wileńszczyźnie rodziną Bohdanowiczów, był człowiekiem wielkiej kultury i wielu dziwactw — nieodłącznych cech starokawalerstwa. Podkpiwano z niego po trosze i w urzędzie i poza urzędem, ale szanowano za inteligencję, dobrą francuzczyznę i doskonałe maniery. Podkpiwano też mocno z jego bezpośrednio szefa pana Olgierda Malinowskiego, wicewojewody i naczelnika wydziału prezydialnego. Pan Malinowski był pedantem i formalistą a przeto był nudny. Lubił wyrażać się zaokrąglonymi frazesami z nadużywaniem mało używanych lub obcych wyrazów. Był jednak inteligentny, kulturalny i — porządny. Gdy w parę lat później pana Rauego przeniesiono na emeryturę, a pana Malinowskiego na stanowisko w innym województwie, nikt ich nie żałował — ani wśród kolegów i podwładnych, ani wśród miejscowego obywatelstwa. Dopiero po upływie szeregu lat, gdy na urzędy zaczęto naznaczać półinteligentnych emerytów wojskowych, a nieraz typów spod ciemnej gwiazdy, ten i ów westchnął do czasów, kiedy w gmachu przy ulicy Magdaleny, na wprost skwerku z cokołem po pomniku Katarzyny II, urzędowali panowie Olgierd Malinowski i Paweł Raue.

Życie Wileńszczyzny płynęło spokojnie. Był to czas między „stagnacją” po reformie walutowej Grabskiego a krótkim okresem dobrobytu, spowodowanym, jak powiadali ekonomiści, strajkiem powszechnym w Wielkiej Brytanii. Do mającego spaść jak piorun z jasnego nieba kryzysu lat 1929-30 było daleko. Ziemianie i chłopci powoli odciskali pasa. Wuj Wacjo Świątorzecki z Jachimowszczyzny zwierzał się Tadeuszowi: „Jeżeli urząd skarbowy na jeden rok o mnie zapomni, to będę mógł powiedzieć o sobie, że jestem bogaty”... Pan Biszewski z Łyntup, nauczony gorzkim doświadczeniem, że stratny jest najczęściej podatnik płacący podatki w terminie, a niepunktualny płatnik korzysta z rozmaitych ulg, konwersji i bonifikacji, płacił swe podatki zawsze w ostatnim dniu płatności. Inni ziemianie — i niezemianie — mniej zapobiegliwi od pana Biszewskiego budowali swe budżety na nadziei wygrania na loterii, korzystali z łatwego kredytu i zaciągali długi. I ziemianie i chłopci krzywym okiem patrzali na osadników wojskowych, którzy w znacznej części byli nierobami korzystającymi z różnych pożyczek i ulg. Ale nikt wtedy jeszcze nie przypuszczał, że to niewinne wyglądające (i „ach, tak sprawiedliwe: chleb zasłużonych”!) osadnictwo wojskowe stanie się przekleństwem, które wykopie rów głęboki na

bardzo długo — może na szereg pokoleń — między Polakami i Białorusinami.

W życiu socjety wileńskiej ton niemały zadawali tzw. prymacy. Prymakami nazywali Białorusini tych, którzy się „wznieśli” w fortuny kobiet z reguły od nich starszych. Czterech głównych prymaków było na Wileńszczyźnie: pan Marian Mikulicz-Radecki, który się wznieśli w olbrzymie dobra Belmont należące do primo voto Platerowej z domu Potockiej; pan Jan Cywiński, żonaty z bardzo zamożną rozwódką panią Oskierczyną z Oszmiańskiego; pan Jarociński z Poznańskiego żonaty z panną Oskierczanką, córką pana Jana Oskierki z Budzławia; pan Mieczysław Chmara ożeniony z kuzynką Tadeusza Marylką primo voto Słotwińską z domu Koziół-Poklewską. Pewien złośliwy mecenas wileński nazywał tych prymaków „alfonsami”. Nie podzielam tej definicji. Przede wszystkim ubliża ona zacnym, choć starzejącym się niewiastom. Po drugie wszyscy czterej byli — może z wyjątkiem pana Jarocińskiego — ludźmi wielkich zalet. A więc pan Mikulicz-Radecki zasłynął jako światły agronom, który zrobił odkrycie, że w powiecie brasławskim panują białe noce, skutkiem czego zboża obchodzą szybko i bujnie. Pan Jan Cywiński był to wyjątkowej zacności pijak i kompan. Pan Mieczysław Chmara był, zdaniem owego złośliwego mecenasa — „najsympatyczniejszym z alfonsów wileńskich”. Zdarzył mu się kiedyś oryginalny wypadek w nocnym lokalu „Palais de danse”. Siedział samotny popijając jakiś trunek. Znajomi oficerowie uzalili się nad nim i zaprosili go do swego stolika. Wśród nich był kapitan nazwiskiem Kaczmarczyk, który pana Chmary nie znał. Gdy pan Chmara przedstawił się mu mówiąc „Chmara jestem”, Kaczmarczyk zatrzymał podaną dłoń w swej dłoni i spytał:

— Jak pan powiedział?

— Chmara jestem.

Wtedy kapitan nie wypuszczając z prawej ręk dłoni pana Chmary, lewą zaczął mu machać przed nosem mówiąc:

— Wykluczone! Ostatni Chmara, wojewoda miński, umarł w początku XIX wieku. Wobec tego nie może się pan nazywać Chmara, a najwyżej — Chmura.

Jak się potem okazało ów kapitan Kaczmarczyk, choć sam nie miał żadnych pretensji do szlacheckiego pochodzenia, był z amatorstwa heraldykiem i genealogiem.

W tym mniej więcej okresie Tadeusz był świadkiem małej sceny, która jak memento miała na zawsze wryć się w pamięci. Jadł kolację w restauracji „Myśliwskiej” w towarzystwie młodego kuzyna Jerzyka Irteńskiego. Usługiwał im jakiś ślamazarny kelner. Poplątał zamówienia i przyniósł Jerzykowi rumsztyk



z cebulką zamiast befsztyka ze struganym chrzanem, czy też odwrotnie. Jerzyk wpadł w gniew i zaczął głośno wymyślać. Kelner odszedł w milczeniu, ale czerwony i widocznie wściekły. Wtedy do stolika ich podszedł pan Michał Dauksza, stary kelner i współwłaściciel „Myśliwskiej”. Był ze wszystkimi gośćmi poufały, a zwłaszcza z młodzieżą, której nieraz służył kredytem lub pożyczką. Pochylił się nad Jerzykiem i powiedział półgłosem:

— Słuchaj pan: nigdy nie łajaj kelnera, bo tobie w befsztyk napluje.

Kto z nas będąc w wieku dojrzałym, czy nawet podeszłym nie miał straszego snu: śni się nam, że choć od czasów gimnazjalnych dzielą nas dziesiątki lat i już dawno skończyliśmy uniwersytet, okazuje się że nie mamy matury i musimy ją zdawać. Z jakąż ulgą budzimy się przekonawszy się, że to był tylko głupi i przykry sen. Czy taki sen ma coś wspólnego z „libido” czy z innymi sztuczkami Freuda — to inna sprawa. Tu chodzi o to, że taki straszny i głupi sen przyśnił się *na jawie* pewnemu wilnianinowi w latach dwudziestych bieżącego stulecia. Pan Wacław Karnicki, młodzian przystojny i sympatyczny, znany i popularny lekarz ginekolog zmarły niedawno na emigracji, ukończył summa cum laude medycynę na uniwersytecie wileńskim. Już na ławie uniwersyteckiej przepowiadano mu wspaniałą karierę lekarską. I oto nagle zaczęto mu robić trudności z wydaniem dyplomu. Dlaczego? Dlatego, że w jego papierach nie było matury. Zamiast matury przedstawił jakieś zaświadczenie dwóch wiarogodnych świadków, że zdał maturę w czasie rewolucji w jednym z miast rosyjskich. „Albo pan przedłoży nam świadectwo naturalne, albo nie dostanie pan dyplomu” — miano mu oświadczyć w kancelarii uniwersyteckiej. Biedny pan Wacław czuł się trochę jak bohater „Ferdynurke” Gombrowicza: więc po to studiował pięć lat z okładem na najtrudniejszym z wydziałów, by teraz, gdy dobiegał trzydziestki, rozwiązywać nikomu do szczęścia nie potrzebne zadania algebraiczne, albo pisać wypracowanie na temat: „Porównanie Grażyny z Aldoną”! Dr Karnicki ten bój surrealistyczny wygrał. Sprawa oparła się o ministerium, które zdecydowało, że bez względu na wiarogodność dwóch świadków matury, dojrzałość do otrzymania dyplomu uniwersyteckiego jest *eo ipso* wystarczającym „świadectwem dojrzałości”. Ale że się biedny pan Wacław namęczył, to namęczył.

Po upływie roku pan Władysław Raczkiewicz został mianowany ministrem spraw wewnętrznych — po raz drugi — i pojechał do Warszawy. Ale przyjął nominację pod warunkiem,

że stanowisko wojewody wileńskiego zostanie dla niego zarezerwowane. W czasie jego ministerstwa obowiązki wojewody pełnił pan Olgierd Malinowski. W pierwszych dniach maja 1926 roku pan Raczkiewicz wziął urlop i wyjechał za granicę. Mówiono później, że albo „coś wiedział”, albo że „coś przeczuwał”, albo — w ostateczności, że „miał nosa”. Przypuszczam, że po prostu zaszedł zbieg okoliczności. Tak czy inaczej okres wypadków majowych spędził za granicą i wrócił z urlopu, aby objąć z powrotem stanowisko wojewody wileńskiego.

Wypadki majowe przeszły w Wilnie spokojnie. Tyle tylko, że inspektor armii generał Rydz-Śmigły na własną rękę kazał porozlepiać ogłoszenie, że Piłsudski ogłosił się dyktatorem, a w urzędzie wojewódzkim zaczęła się kręcić — w charakterze obserwatora — otyła i brzuchata postać opięta w mundur majora żandarmerii ze szparkami mongolskich skośnych oczu błyskających zza okularów. Był to pan Stefan Kirtiklis, o którym mówiono, że brał udział w napadzie na ministra Jerzego Zdziechowskiego. Jego postać nie wróżyła nic dobrego dla pana Dworakowskiego. Jak się niebawem miało okazać pan Kirtiklis nigdy nie mógł darować pan Dworakowskiemu, że cztery lata przedtem, w okresie likwidacji tzw. pasa neutralnego między Wileńszczyzną a Litwą kowieńską, stał na baczność przed panem Dworakowskim a ten go sztorcował podniesionym głosem.

Konserwatywno-ziemiańskie „Słowo” redagowane przez pana Stanisława Mackiewicza od razu i bez zastrzeżeń opowiedziało się za Piłsudskim. „Przy tobie chcemy stać komendantzie” — tak brzmiał wstępny artykuł pióra Mackiewicza. Pan Mackiewicz jeździł do Druskienik z wizytami do Piłsudskiego i spędzał tam całe godziny na intymnych rozmowach z nieoficjalnym dyktatorem. Musiało to nie być w smak legionistom-pretorianom. Po śmierci Piłsudskiego mieli to przypomnieć Mackiewiczowi.

Powoli wchodziła w życie era „radosnej twórczości”. Słów tych użył przy jakiejś okazji generał Felicjan Sławoj-Składkowski, mianowany wkrótce na ministra spraw wewnętrznych. Pan Składkowski rozpoczął swą „radosną twórczość” od różnych reform. A więc np. kazał starostom przyjmować interesantów nie każdego z osobna w gabinecie, a gromadnie w pokoju przyjąć. Czy wiedział pocziwy minister że ten ogólny pokój przyjąć był dokładną kopią wzorów rosyjskich datujących bodaj że od hr. Bencendorfa, groźnego szefa III oddziału przy Mikołaju I? Inną reformą było zarządzenie malowania domów wiejskich na biało: „Chcę — głosił okólnik — by każdy dom w Polsce odbijał białą plamą”. Oprócz reform szły dziwactwa. A więc Składkowski przyjął zaproszenie na bankiet dozorców domowych w Warsza-

wie. Na bankiecie tym wygłosił mowę, w której znalazła się sentencja: „Tak jak wy jesteście dozorcami domów, ja jestem dozorcą państwa”. Na to Mackiewicz napisał w artykule wstępnym: „Nie wchodzimy w kwestię, dlaczego pan minister był na bankiecie dozorców domowych, każdy bowiem dobiera sobie takie towarzystwo, jakie mu odpowiada”. Innym, powszechnie znanym dziwactwem była predylekcja do „sławojek”. W tym okresie pierwszego swego ministerstwa Składkowskiemu udał się dowcip, którego niestety nie podał ani w swych „Strzępach meldunków”, ani w swych „Kwiatuśkach administracyjnych”. Obok dziwacznych i nieszkodliwych „reform” prowadził pożyteczną akcję polityki aprowizacyjnej. Będąc na inspekcji w Wilnie i objeżdżając miasto w towarzystwie starosty grodzkiego pana Iszory zapytał:

— Jakże tam z aprowizacją, panie starosto?

— Właśnie odbyliśmy dwa posiedzenia, panie generale...

— Posiedzenia! — przerwał Składkowski — tu trzeba, panie starosto, pracować głową, a nie dupą.

W nagrodę ziemiaństwu za „przyjęcie” przewrotu majowego Piłsudski zrobił pana Karola Niezabytowskiego ministrem rolnictwa, a pana Aleksandra Meysztowicza ministrami sprawiedliwości. Choć obaj ministrowie byli w Warszawie nierozłączni i m.in. razem składali oficjalne wizyty, mało mieli ze sobą wspólnego. Nominacja pana Niezabytowskiego była prawdopodobnie nagrodą daną byłemu koledze szkolnemu Piłsudskiego za pomoc okazaną bojówce po akcji bezdańskiej. Chociaż był człowiekiem wielkiej kultury i dużej wiedzy, niczym się szczególnie na stanowisku ministra rolnictwa nie odznaczył. Pan Meysztowicz natomiast miał głowę umiejącą myśleć „generalnie” i nadto miał mocny charakter. Nazwisko jego wiązano z szeroką akcją likwidacji Białoruskiej Hromady, organizacji kierowanej przez komunistów. Pan Meysztowicz nie miał wykształcenia prawniczego. Za jego urzędowania odbył się międzynarodowy kongres prawników, zdaje się kryminologów, w Madrycie. Uczestnicy kongresu oraz ministrowie sprawiedliwości państw, które kongres obesłały, otrzymali wysokie ordery królewskie. Order dla pana Meysztowicza — wstęga na szyję z gwiazdą pięknej roboty jubilerskiej — przyszła do Wilna w czasie, gdy pan Meysztowicz nie był już ministrem. Tadeusz oglądał ten piękny order w sekretariacie wojewody. Odtąd pana Meysztowicza zaczęto nazywać w Wilnie „prawnikiem hiszpańskim”.

Okres urzędowania dwóch „żubrów” w fotelach ministerialnych i historyczna wizyta Piłsudskiego w Nieświeżu były to krótkie epizody. Im bardziej starzał się Piłsudski, tym gęściej

otaczał się „pretorianami” i tym bardziej ci pretorianie się rozuchwalali. Wpętlanie piłsudczyków na posady i posadki, z początku nieliczne i ostrożne, stało się później powszechne. Powoli i sami piłsudczycy i duża część społeczeństwa uznała to pchanie się na posady za coś zupełnie naturalnego. Istnieje anegdota o pewnej emigrantce rosyjskiej, która mówiła, że z chwilą „gdy tych podłych bolszewików wykończą, mąż jej zostanie gubernatorem”. „Dlaczego?” — spytał rozmówca. — „Jako — dlaczego?! — oburzyła się emigrantka — dlatego, że tak bardzo cierpiał!” „Pani droga — powiedział rozmówca — za cierpienia zostaje się świętym, a nie gubernatorem!”... Otóż w Polsce legioniści kierowali się logiką tej białej emigrantki rosyjskiej: za swe „cierpienia” — prawdziwe czy urojone — dostawali stosownie do rangi wojskowej stanowiska wójtów, burmistrzów, starostów, wojewodów, ministrów, ambasadorów, dyrektorów banków państwowych. Major Kirtiklis dostał za swe cierpienia stanowisko naczelnika wydziału bezpieczeństwa, a z czasem wicewojewody, pana Dworakowskiego przeniesiono na stanowisko naczelnika wydziału administracyjnego. A w dwa lata później Kirtiklis wygryzł Dworakowskiego i z tego stanowiska. Na naczelnika wydziału administracyjnego mianowano Tadeusza Irteńskiego. Prasa wileńska umieściła krótki komunikat głoszący, że „pan minister spraw wewnętrznych mianował pana Tadeusza Ipohorskiego-Irteńskiego na naczelnika wydziału administracyjnego”. Nazajutrz Tadeusz dostał od pana Karola Siemiaszki, oryginała spod Dokszyc, depezę zaczynającą się tak: „Podziwiam trafność wyboru pana ministra spraw wewnętrznych”...

W okresie „pomajowym” we wszystkich pokojach urzędów w Polsce zawisły na ścianach wywieszki z takim aforyzmem z pism Józefa Piłsudskiego: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy — jak przedtem był wyścig żelaza — jak przedtem był wyścig krwi”. Ani Tadeusz Irteński, ani autor tej kroniki nie badali, z jakiego kontekstu została wyjęta powyższa sentencja. Można też wątpić, czy Piłsudski wiedział o powszechnym jej rozplakatowaniu. Tak czy inaczej, niedaleka przyszłość miała pokazać, jak bardzo źle autor sentencji przewidywał.

Stosunek Tadeusza Irteńskiego do postaci Józefa Piłsudskiego był chwiejny i zmieniał się falami. Taki zresztą musiał być stosunek tych milionów Polaków, którzy stali poza mistycznym kręgiem „siły magnetycznej” bijącej od Piłsudskiego. Ci, co stali w zasięgu tego kręgu, tj. piłsudczycy, po pierwsze kochali go (a miłość czyni ślepym), a po drugie wiedzieli, że żąda on od nich „ślepego posłuchu”. Nawet tacy pośród nich, którzy byli w roku 1914-ym nie tylko całkiem dorośli, ale i w piś-

mie uczeni, uważali ten ślepy posłuch za coś naturalnego. Cóż więc można powiedzieć o pozostałych, przeważnie młodzian-szkach, słabo lub zupełnie w piśmie nie uczonych?...

W czasie bez mała sześcioletniego pobytu w Warszawie lub w pobliżu Warszawy Tadeusz czuł do Piłsudskiego nieufność i niechęć. Był to rzecz jasna wynik oddychania powietrzem zatrutym miazmami endecji. Ale i w tym okresie Tadeusz poczuł chwilę sympatii do Piłsudskiego czytając jego słynną odezwę do mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego wydaną po zdobyciu Wilna w kwietniu 1919. Sympatii tej nie zachwiały uporczywe drwiny Strońskiego i innych dziennikarzy szydzących z użycia przez Piłsudskiego w odezwie słów „kraj *wasz*”. Poza tym, nawet w okresie niechęci graniczącej z nienawiścią, Tadeusz musiał przyznać, że Piłsudski ma piękną twarz — twarz „szlachetnego szlachcica” — bez cienia zagłobowości. W Wilnie, pod wpływem sugestywnych artykułów Stanisława Mackiewicza, strzałka nastrojów Tadeusza przechyliła się stanowczo w kierunku sympatii do Piłsudskiego. Zaczarowała go liryka rozkazu do żołnierzy wydanego po zamachu majowym. Zaczarowała liryka ustępu o „miłym mieście” w przemówieniu na zjeździe legionistów w Wilnie. Ale jednocześnie Tadeusz nie mógł nigdy zapomnieć Piłsudskiemu jego niezrozumienia niebezpieczeństwa bolszewickiego.

A później przyszyły rzeczy, które zaczęły strzałkę nastrojów przechylać w odwrotnym kierunku. Strzałka drgnęła po „zniknięciu” generała Zagórskiego. Potem przyszło „Dno oka”, którego tekst Tadeusz przechowywał w teczce „Curiosa” aż do września 1939. W „Dnie oka” już nie było liryki. Artykuł był napisany stylem niezaradnym, z sileniem się na dowcipy, i przeplatany brzydkimi wyrazami. Najlepszą ocenę tego artykułu dał Józio Tyszkiewicz z Duniłowicz:

— Jak mógł człowiek *mający podrastające córki* ogłosić drukiem coś podobnie plugawego — oburzał się zacny Józio.

Później przyszyły — Brześć i Bereza. Później Tadeusz dowiedział się od Stefana Irteńskiego, który dosłużył się wysokiego stanowiska w lotnictwie, że lotnictwo polskie nie rozwija się należycie, bowiem „Piłsudski nie rozumie znaczenia lotnictwa”. Nie rozumiał też zapewne znaczenia motoryzacji. Zestarzał się i był ciężko chory. Jego „gry wojenne”, na które zjeżdżał do Wilna, polegały — jak można się domyślać — na operowaniu lancą ułańską i na doktrynie Suworowa: „Kula jest głupia, a bagniet — zuch!”

Ale najbardziej Tadeusza denerwował i niepokoił brak najważniejszej zalety, którą powinien posiadać faktyczny kierow-

nik państwa — brak umiejętności dobierania ludzi. Starzał się, otaczał się „pretorianami”, bo do nich tylko miał pełne zaufanie. Musiał też nabawić się na starość manii prześladowczej. Gdy na kilka lat przed śmiercią przyjechał do Wilna i zatrzymał się, jak zwykle, w Pałacu Rzeczypospolitej — dawnym pałacu biskupa ks. Massalskiego — wszedł w płaszczu do gabinetu wojewody na krótką pogawędkę. Wyszedł i udał się razem z wojewodą do swoich apartamentów — już bez płaszcza. Sekretarz osobisty wojewody pan Bohdan Wendorff i urzędnik pan Paweł Jankowski pomyśleli, że trzeba płaszcz marszałka zanieść do jego apartamentów. Gdy wzięli płaszcz do ręki, zdziwił ich niezwykle ciężar. Okazało się, że w obu kieszeniach płaszcz był po ciężkim parabellum.

Nominacje „pretorianów” na te lub inne stanowiska cywilne były najczęściej nieudane. Najfatalniejszą była nominacja generała Sławoja Składkowskiego na ministra. Nie bardzo się różniła od dokonanej przez jednego z cesarów rzymskich nominacji konia na stanowisko konsula czy senatora. Czy zresztą Piłsudski traktował poważnie swych nominatów? Najciekawszą rewelacją w głośnych „Strzępach meldunków” jest okrzyk Piłsudskiego skierowany do Sławoja:

— Bo każę pana za drzwi wyrzucić!

Może wypada wyrazić żal — ponieważ — że tego nie zrobił.

W roku 1929 umarł Czesław Jankowski. Stanisław Mackiewicz poświęcił mu artykuł wstępny pt. „Zgon wielkiego dziennikarza”. Artykuł kończył się ślicznym wierszem lirycznym zmarłego. Ostatnia strofa tego wiersza brzmiała:

*Sni się... Jak błogo... Cicho... I powoli  
Na wszystko dziwny jakiś schodzi cień.  
Daj mi, daj rękę... Przeszło już. Nie boli.  
Już odświeżony wiosny mej i doli  
Zaduszny dzień.*

Ze śmiercią Czesława Jankowskiego odwróciła się jedna z ostatnich stron starego Wilna. Jeszcze miał trwać na posterunku Ferdynand Ruszczyc. Jeszcze żył niepospolitej szlachetności, niemal niekanonizowany święty wileński, profesor Marian Zdziechowski. Jeszcze w ciszy, bez ostentacji żył i pracował Zygmunt Jundziłł. Jeszcze — w całkowitym zapomnieniu — trwał ostatni „krajowiec” wileński pan Ludwik Abramowicz.

Za trumną członek redakcji „Słowa” pan Michał Obiezierki niósł na poduszce orderzy zmarłego.

A w rok później opuścił Wilno pan Władysław Raczkiewicz wybrany na marszałka senatu. Opuścił Wilno z żalem, ale i z uczuciem pewnego urazu. W czasie sześcioletniego pobytu w Wilnie miał nieostrożność zaprzyjaźnić się z jakimś panem Wardeńskim, administratorem dóbr Woropajewo hr. Konstantego Przeździeckiego. Korzystał z gościnności Wardeńskiego, polował z nim, pożyczał od niego pieniądze. Tymczasem wybuchł skandal: hr. Przeździecki wytoczył Wardeńskiemu proces o nadużycia. Prokuratura posadziła Wardeńskiego do aresztu. Sekretarz osobisty pana Raczkiewicza odwoził do więzienia zaarrestowanemu Wardeńskiemu resztę niespłaconego długu. Raczkiewicz wyjeżdżał rozumiejąc, że już nigdy do Wilna nie wróci.

Wilno wyprawiło mu królewskie pożegnanie. Dworzec był iluminowany. Wprawdzie Raczkiewicz nie był wilnianinem, ale był „tutejszy”. Żegnano go więc z prawdziwym żalem.

Na stanowisko „pełniącego obowiązki” wojewody miano wano pana Stefana Kirtiklisa, byłego majora żandarmerii.

## Rozdział XIX

### WIĄZANKA ADMINISTRACYJNA

Jeszcze przed wyjazdem pana Raczkiewicza na stanowisko marszałka senatu do Warszawy, czyli w okresie, gdy pan Stefan Kirtiklis był tylko wicewojewodą, jakiś dowcipniś wileński ułożył szaradę:

*Pierwsza żałoba,  
Drugie choroba,  
Trzecie chytre zwierzę,  
A wszystko — druga w Wilnie osoba,  
Której pierwsza osoba trochę się boi.*

Rozwiązanie: Kir-tik-lis. Szarada miała duże powodzenie. Była wynikiem fascynacji, którą emanowała bajeczna kariera pana Kirtiklisa. Ostatni wiersz szarady nie odpowiadał jednak prawdzie. Pan Raczkiewicz miał „chody” do Piłsudskiego i na inne wysokie progi jeszcze przed „wybuchem” niepodległości. Pan Kirtiklis chodów tych nie miał i zapewne tylko marzył o dociśnięcie się tam, gdzie pan Raczkiewicz wchodził swobodnie. Poza tym pan Raczkiewicz posiadał, jak już raz wspomniałem, „wielką tajemnicę podobania się” i potrafił niejako automatycznie czarować wszystkich — od głównego inspektora sił zbrojnych do ostatniej posługaczki w urzędzie wojewódzkim. Pan Kirtiklis nikogo nie mógł oczarować. Powierzchnowość miał raczej odrażającą. Maniery — jak się zdarzy. W wielu ludziach budził lęk, ale oczywiście nie w panu Raczkiewiczu. Ludzi, którzy się do niego zbliżali, studziła mimowolna myśl: „To przecie te ciężkie łapska były bezbronno Jerzego Zdziechowskiego”. No i w b. zaborze rosyjskim wyraz „żandarm” budził co najmniej podejrzenie. Z tym wszystkim pan Kirtiklis miał sporo cech dziecinnych. A więc



przy kieliszku zwierzał się Tadeuszowi, że jego największym pragnieniem i marzeniem jest „władza”. Tadeusz miał na końcu języka uwagę:

— Władza?... Każdą pańską śmielszą decyzję skasuje pierwszy lepszy radca ministerialny. Cała pańska władza polegać będzie na płoszeniu szkap chłopskich trąbką wyranżerowanego Buicka...

Oczywiście Tadeusz słów tych nie wypowiedział. A jeżeli chodzi o Buicka odziedziczonego po panu Raczkiewicz, pan Kirtiklis był bardzo z niego dumny i zwierzał się dentystce pani Janinie Żukowskiej:

— Wie pani, że jednak daleko przyjemniej jest jeździć Buikiem niż Fordem.

Objęcie władzy wojewódzkiej przez pana Stefana Kirtiklisa oznaczało jednocześnie objęcie steru spraw społecznych przez panią Stefanową Kirtiklisową. Zaczęła się plaga pracy społecznej. Nie wystarczyło być rozsądnym, uczciwym i pracowitym urzędnikiem. Trzeba było koniecznie pracować społecznie, tj. poza godzinami urzędowania. Czy było to Wychowanie fizyczne, czy Liga morska i kolonialna, czy Liga obrony powietrznej państwa, czy Rodzina urzędnicza — byle urzędnik w tym „pracował”, tj. co miesiąc, a może i częściej, brał udział w posiedzeniach i w pustosłowiu. Plaga społeczna trwała lat kilka i urwała się dopiero z chwilą przyjazdu do Wilna najrozumniejszego ze wszystkich wojewodów wileńskich — pana Władysława Jaszczolta.

Tadeusz wykręcił się z serwitutu pracy społecznej w sposób dowcipny i szczęśliwy. Zajął się „ideowym” łowiectwem, tj. zaczął redagować miesięczny dodatek do „Słowa” pt. „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie” i stał się u boku wuja Bolesława Świętorzeckiego sekretarzem i *spiritus movens* Towarzystwa łowieckiego ziem wschodnich.

Kariera pana Stefana Kirtiklisa nie trwała w Wilnie długo. Już się w rok później załamała — jak się zdaje nie bez winy jego małżonki „społeczniczki” pani Stefanowej. Zapewne miał rację weredyk z jednej z komedijek Czechowa, gdy wykrzyknął: „Kobiety są przyczyną wszelkiej szkody i zamieszania!”

(Wspomniałem o „bajecznej karierze” pana Stefana Kirtiklisa, która się załamała w Wilnie, później znów znalazła się na szczycie fali, a potem załamała się po raz drugi — tym razem na dobre — na Pomorzu. Określenie „bajeczna kariera” wymaga małego komentarza. Ściśle mówiąc wszystkie kariery w Polsce niepodległej były bajeczne. Bajeczną była kariera samej niepodległości — tak olśniewająca i tak krótka).

Wilno i Wileńszczyzna obfitowały jeszcze przed zamachem majowym w różne ciekawe zdarzenia. Gdy Tadeusz zjawił się w urzędzie wojewódzkim, jednym z jego kolegów był pan Stanisław Niekrasz. Do niedawna zajmował był stanowisko starosty święciańskiego, które jednak musiał opuścić. Dlaczego? W kasynie urzędniczym oblewano kupno krowy przez jednego drobnego ziemianina u innego drobnego ziemianina. Starosta Niekrasz przyłączył się do popijającej kompanii. Gdy wszystkim ze łbów porządnie się kurzyło, ktoś wykrzyknął:

— Oblewamy krowę, ale gdzież jest ona? Czemu nie weźmie udziału w tej uroczystości?

Projekt podobał się wszystkim. Z pewnymi trudnościami i — podobno — pomimo protestów pana Niekrasza wprowadzono krowę do sali jadalnej kasyna i wylano jej na język kieliszek likieru. Poza tym drobnym incydentem innych ekscesów nie było i wszystko skończyłoby się szczęśliwie, gdyby nie to, że o wypadku dowiedział się jeden z posłów ludowej partii „Wyzwolenie”. „Pojenie” krowy likierem dostało się na łamy niektórych pism wileńskich i nawet stołecznych — oczywiście z przesadnymi i złośliwymi komentarzami — przy czym w liczbie osób częstujących krowę likierem wymieniano pana Niekrasza. Przeniesiono go więc ze stanowiska starosty na mniej „eksponowane” stanowisko w urzędzie wojewódzkim.

Tadeusz był przez jakiś czas przedstawicielem wojewody w komisji dyscyplinarnej dla niższych funkcjonariuszów policji państwowej. Jedna ze spraw dyscyplinarnych na długo utkwiała mu w pamięci. St. przodownik Maćkowiak i st. posterunkowy Stefańczyk byli oskarżeni o pobicie dwóch uczniów gimnazjum białoruskiego Janiela i Babrowskiego, posądzonych o działalność wywrotową. Interpelacja sejmowa posłów klubu białoruskiego przytaczała skargę jednego z uczniów, którego wedle jego słów policjanci „bili pa piatam niekaj aławianaj buławaj aże u mazhach kałała”. Dochodzenie przeprowadzone przez specjalnie delegowanego urzędnika administracyjnego nie potwierdziło stawianych policji zarzutów. Ale oto w sprawę wmieszał się element kobiecy. Obaj policjanci wdychali do tej samej dziewczyny i jeden z nich zdobył jej względy. Wtedy wzgardzony rycerz postanowił się zemścić i zemścił się w ten sposób, że złożył raport do władz przełożonych donoszący, że rywal bił aresztowanych chłopców białoruskich. Przy tej okazji przyznał się, że i on brał udział w biciu. Obu winowajców wydalono z szeregów policji niejako automatycznie. Jakże zdziwił się Tadeusz, gdy po upływie pół roku sprawa st. przodownika Maćkowiaka i st. poste-

runkowego Stefańczyka znów się znalazła na wokandzie komisji dyscyplinarnej.

— Przecież już raz wydaliliśmy ich z policji! — wykrzyknął.

— Tak, ale teraz mamy postępowanie rehabilitacyjne.

Okazało się, że w ciągu sześciu miesięcy zdarzyło się dużo rzeczy. Po pierwsze uczniowie Janiel i Babrowski uciekli na Białoruś sowiecką, a więc — bici czy nie bici — stracili, przynajmniej oficjalnie, poparcie sejmowego klubu białoruskiego. Po drugie panowie Maćkowiak i Stefańczyk zorientowali się, że emulacja o spódniczkę poniosła ich za daleko i oświadczyli, że oskarżyli jeden drugiego zupełnie bezpodstawnie, kierowani jedynie chęcią zemsty. Po trzecie sprawa przeciwko nim o pobicie aresztowanych zakończyła się w sądzie okręgowym uniewinnieniem. Komisji dyscyplinarnej pozostawało więc tylko rehabilitować niesłusznie wydalonych i przyjąć ich z powrotem do szeregów policji.

Nie na tym jednak koniec. Po miesiącu czy dwóch Tadeusz zobaczył po raz trzeci nazwiska Maćkowiaka i Stefańczyka na wokandzie komisji dyscyplinarnej.

— Ależ to kpiny! — zachnął się.

— Nic podobnego. Teraz są oskarżeni o zachowanie się nie licujące z godnością funkcjonariusza policji. Po rehabilitacji dostali obaj zaległe pobory za okres siedmiu czy ośmiu miesięcy. Z radości upili się i awanturowali po pijanemu.

Maćkowiak i Stefańczyk zostali tym razem ukarani dość łagodnie — pozbawieniem urlopu czy może tylko naganą. A pytanie, jak tam było naprawdę, tj. czy bili czy nie bili Janiela i Babrowskiego po piętach ołowianą buławą, pozostało bez odpowiedzi.

Tadeusz odbywał dużo podróży służbowych po Wileńszczyźnie. Czasem brał ze sobą dubeltówkę i zależnie od okoliczności łączył pozytywne z przyjemnym. W czasie jednej z takich podróży był świadkiem, jak w przedziale drugiej klasy awanturował się major 23 pułku ułanów grodzieńskich, przy czym krzyczał w języku bardziej podobnym do białoruskiego, niż do polskiego. Okazało się, że był to major Czuczełowicz, któremu w niniejszej kronice należy się wzmianka. Był Białorusinem. Nazywano go „Czuczeło”, co podobno było niegdyś jego rodzowym nazwiskiem. Gdy zdawał egzamin z polonistyki w czasie egzaminu dla oficerów bez cenzusu, spytano go, co słyszał o „Trenach” Kochanowskiego. Na to Czuczełowicz wykrzyknął oburzony:

— Kachanouskaha znau. Dobry byu aficer, ale uż u trenach [tj. taborach] nikoli nie służyu!

Był też egzamin z francuskiego. Rotmistrz Andrzej Węclawowicz przygotowywał Czuczełowicza do tego egzaminu po koleżeńsku, acz z wielkim trudem, chociaż chodziło o wykucie trzech słów po francusku: łyżka, nóż i widelec, co w pronuncjacji Czuczełowicza brzmiało: kuljer, kuto i furszet. Gdy rotmistrz Węclawowicz ostrzegał, że trzech słów może być za mało i że mogą o co innego zapytać, dzielny major odparł:

— Nie paśmiejiet jon. Darom ja jemu trzy razy indziuki pošyłał! Tak u nas umówione.

Tenże Czuczełowicz dowodząc półpartyzanckim oddziałem kawalerii na początku roku 1919-go i posłyszawszy, jak ułani innego pułku śpiewali „Paślam ja wołki na Bukowinie”, kazał swoim żołnierzom nauczyć się tej piosenki, która jednak w ich interpretacji brzmiała „Paśła ja wouki [tj. wilki] na ługawinie”.

Tadeuszowi zdarzało się nieraz bywać na jarmarkach w miasteczkach powiatowych i gminnych. Dziwił się że Żydzi w tych miasteczkach zostali spolonizowani niemal w samym zaraniu niepodległości, o wiele prędzej niż w Wilnie. A więc był świadkiem, jak Żyd zgorszony wygórowaną ceną, której chłop żądał za konia, zaśpiewał: „O Bajadero!” i odszedł machnąwszy ręką. A innym razem i na innym jarmarku Żyd w podobnych okolicznościach zmrużył oczy i powiedział chłopu zjadliwie: „Mów do mnie jeszcze”...

Polując u Mietka Goryniewskiego Tadeusz kilka razy zaglądał do Dżisny. Miasto robiło na nim ponure wrażenie. Już przedtem na konferencjach wojewódzkich obijało mu się o uszy zdanie, że wszelka pomoc finansowa dla Dżisny jest „galwanizowaniem trupa”. Co innego jednak słyszeć dosadne określenie rzucone na zebraniu, a co innego przekonać się na własne oczy. Miasto miało ładne domki i było przecięte najprawdziwszymi szerokimi bulwarami ze szpalerami drzew w środku jezdni. Normalnie mogło być najładniejszym miastem Wileńszczyzny. Ale dziś było to miasto umarłych. O ćwierć stajania za Dźwiną było już państwo Sowietów. Handel zamarł, bo nie było ani czym ani z kim handlować. Raz w dzień autobus z Głębokiego przywoził pocztę i trochę nędznego towaru dla zaspokojenia potrzeb zdziesiątkowanej ludności miasta i kilku wiosek okolicznych. Wszyscy mieszkańcy mniej lub więcej przedsiębiorczy porzucili Dżisnę i szukali szczęścia gdzie indziej. Co drugi dom stał pusty i miał zabite deskami na głucho drzwi i okna. Co trze-

ci dom butwiał i walił się w gruzy. Aby się choć czymkolwiek pochwalić, mieszkaniec Dżisny prowadził gościa na brzeg Dżwiny i pokazując pustą przestrzeń za rzeką po sowieckiej stronie mówił:

— Tam był majątek Biskupskiego, męża śpiewaczki Wiałcewej. Teraz bolszewicy znieśli wszystkie osiedla i zabudowania w parokilometrowym pasie nadgranicznym.

Pusta więc przestrzeń za rzeką po czymś, co było, a czego już nie ma, stanowiła jedyną osobliwość Dżisny.

Gdy w dzień upalny Mietek Goryniewski z Tadeuszem wypili w odrapanej restauracji dwie butelki piwa i poprosili o trzecią, kelner odpowiedział, że piwa zabrakło: będzie dopiero za trzy godziny, gdy przyjdzie autobus z Głębokiego.

Dżisna zamarła, prawie umarła. Stolica i życie powiatu przemieściły się do Głębokiego. Na bramie wjazdowej do tego miasta widniał napis wielkimi literami: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”. Tadeusz po prostu żenował się dopytywać, z czyjego pomysłu powstała ta brama z idiotycznym napisem. Nie mniej jednak ziemiankę powiatu dzisieńskiego panią Stanisławową Mohlową, z domu Oskierczankę, napis ten szczególnie irytował:

— Co to znaczy „skąd nasz ród”?! To my jesteśmy rody! Ha-ha-ha — śmiała się śmiechem basowym.

Ta sama pani Mohlowa miała utarczkę ze starostwem. Zaczęła budowę jakiejś przybudówki do murowanego domu mieszkalnego. Starostwo kazało wstrzymać roboty. Zdaniem architekta powiatowego dom był zabytkiem i wszelka przeróbka wymaga pozwolenia konserwatora. Pani Mohlowa wpadła w gniew:

— Jeżeli ten dom jest zabytkiem, w takim razie ja jestem jeszcze większym zabytkiem, gdyż ja ten dom budowałam.

Pani Mohlowa miałaby jeszcze większe pole do irytacji, gdyby była wiedziała, jakiego rodzaju inne zamachy kielkowały w głównicach urzędniczych. Z Warszawy przyszedł okólnik zalecający akcję „odrusszczenia” nazw miejscowości. Okólnik był w zasadzie słuszny, gdyż miał na celu przede wszystkim przywrócenie nazw dawnych. Nikt też się nie dziwił, gdy np. miasteczku nad Wisłą przywrócono nazwę Dęblin zamiast Iwanogorod. Ale urzędnicy powiatowi zrozumieli okólnik inaczej. Rozpoczęły próby „polszczenia” nazw miejscowych. Próby te czasem były absurdalne. Przez powiat dzisieński szły szlaki batorowe. Stąd też nazwa miasteczka i stacji kolejowej Królewszczyzna. Stąd nazwa osady leśnej „Stańkról” związana z legen-

dą, że przejeżdżającego przez las króla zatrzymał chłop okrzykiem: „Stań, królu” i prosił o naprawienie czynionej mu krzywdy. Było też w Dziśnieńszczyźnie kilka wsi i osad noszących nazwę „Korolewo”. Mędracy powiatowi ubrdali sobie, że są to nazwy rosyjskie i że trzeba je spolszczyć na „Karolowo”. Szczęściem projekty te przechodziły w urządzie wojewódzkim przez ręce Tadeusza, który nie dał im dalszego biegu. Niestety, nie udało mu się uratować nazwy „Radoszkowicze”, które przefałszowano na „Radoszkowice” — na zasadzie rzekomo napisów na starych mapach. Niedouczkowie powiatowi nie domyślili się, że nazwy na starych mapach były po łacinie.

Wspominałem o Dziśnie, jako o mieście umarłych. Z zachowaniem wszelkich proporcji porównawszy i z marginesem pewnej przesady trzeba powiedzieć, że Wilno w okresie między dwiema wojnami było „wielką Dzisną”. Gospodarcze znaczenie, które Wilno miało przed wojną, znikło żyjąc tylko w smutnej pamięci. Już raz wspominałem i zapewne jeszcze wspomnę o nieszczęściu „zurzędniczenia” i „zmilitaryzowania” Wilna. Prawdę mówiąc nie było to nieszczęście, lecz raczej „szczęście w nieszczęściu”. Gdyby usunąć z Wilna urzędy i urzędników, gdyby usunąć z niego wojsko, Wilno stałoby się naprawdę „wielką Dzisną” — miastem upiornym z domami o zabitych deskami oknach, z domami walącymi się w gruzy. Wilno między dwiema wojnami — wciśnięte w „worek” między trzy granice, z których dwie były zamknięte dla obrotu gospodarczego — było miastem zurzędniczonym i zmilitaryzowanym, bo nim być musiało. Wilno żyło z urzędników i wojskowych.

Nie przeczę, że Wilno było „miasteczkiem” uniwersyteckim, no i dużą atrakcją dla turystów. Nie tylko dla turystów, których intrygowało „kamienne misterium” kościoła św. Piotra i Pawła, lub podniecały doskonale zachowane — wraz ze strojami — trupy w katakumbach pod kościołem Dominikanów. Wilno było magnesem dla par rozwodzących się. Było dla Polski w miniaturze tym, czym jest Reno w Nowadzie dla Stanów Zjednoczonych. Wilno udzielało rozwodów kalwińskich. Nawrócenie na kalwinizm, rozwód i ślub w pięknej klasycystycznej świątyni na Zawalnej, na której widniał napis „Dajcie cześć Panu”, odbywały się szybko, sprawnie i bezboleśnie. Spisanie protokołu ślubnego odbywało się w biurze superintendenta zboru kalwińskiego pod wielką palmą w wazonie. Toteż niektórzy nazywali ślub kalwiński ślubem „pod palmą”. Gdy mecenas wileński pan Szyszkowski prosił o rękę pewnej panienki, matka jej zaprotestowała:

— Przecie pan ma żonę! Więc jakże chce się pan żenić z moją córką? Żaden ksiądz nie da wam ślubu.

— Posiadam rozwód kalwiński. Toteż weźmiemy z córką pani ślub pod palmą.

— Daruje pan, ale córka moja nie jest małpą, aby brać ślub pod palmą.

Sprawy rozwodowe były ładnym źródłem dochodu dla wileńskiej wspólnoty kalwińskiej i dla stowarzyszonych z nią adwokatów. Wśród nich rej wodził kalwin z dziada pradziada a kuzyn Tadeusza Genio Falkowski. Genio był żonaty z posażną panienką z Grodzieńszczyzny Helcią Mikulską, która niemal co roku dostawała jakiś spadek po tym lub innym z bezdzietnych krewnych. Takie co roku spadające sukcesje były już w owych czasach anachronizmem i z tego tytułu pani Helcia powinna być zaliczona do oryginałów litewskich płci pięknej. Łącznie z zarobkami Genia z advokatury mieli ładne dochody. Dochody te płynęły jednak jakoś przez palce. Prowadzili dom otwarty, w którym goście czuli się dosłownie, jak u siebie w domu. Pani Helcia nie należała do rządnych gospodyń: służba — oczywiście stara i zasłużona — okradała ją niemiłosiernie. Genio miał poza tym swe wydatki kawalerskie. No ale rozwody stawały się coraz bardziej modne, mnożyły się i życie w gościnnym domu Geniostwa Falkowskich płynęło przyjemnie.

Przykład rozwodów szedł z góry. Nie było dnia, aby oko rdzennego wilnianina nie zauważyło w sali Żorża jakiejś nowej obcej twarzy: samotnego mężczyzny lub samotnej, zazwyczaj przystojnej kobiety przy jednym ze stolików. Od razu wiadomo było, że to przyjezdni, którzy zjechali do Wilna aby brać ślub „pod palmą”. Niemal wszyscy dygnitarze pomajowi lub kandydaci na takich dygnitarzy byli rozwodnikami.

Jeden z pierwszych zjawił się Józef Beck, wtedy jeszcze pułkownik. Jednocześnie przyjechał generał Burhardt-Bukacki z żoną, z którą się rozwodził, aby ją oddać Beckowi. Po zakończeniu rozwodu i po ślubie całe towarzystwo w najlepszej komitywie poszło do Żorża na obiad. Na obiad ten zostali również zaproszeni Geniostwo Falkowscy oraz Jerzyk Irteński, który wtedy pełnił przejściowo funkcje sekretarza Genia. Jerzyk swoim zwyczajem przyszedł na obiad pod lekkim gazem, a w czasie obiadu urznął się do reszty. Toteż znudzony niekończącą się przemową Genia, który lubił wygłaszać dłuższe oracje, zapytał głośno nowozaślubioną żonę Becka:

— Czy to prawda, że mąż pani stuknął Zagórskiego?

Na to pani Beckowa roześmiała się i przez stół powiedziała mężowi:

- Wiesz, Józiu, już ta wersja doszła do Wilna.  
Beck uśmiechnął się i odrzekł:  
— Wiem, wiem o tym, ale to nie moja zasługa.

Jeśli chodzi o echa wileńskie „zaginięcia” generała Zagórskiego, warto wspomnieć o jeszcze jednym małym zdarzeniu. Do pijącej w Palais de danse kompanii podszedł pułkownik Wenda. Wśród pijących był m.in. pan Jerzy Houwald z Mejszagoły. Uchylił się od podania ręki pułkownikowi Wendzie oświadczając, że pierwszej musi się dowiedzieć o losach generała Zagórskiego. Pułkownik Wenda udał, że nie słyszy, pokręcił się przy stoliku przez chwilę, po czym odszedł.

Na początku 1935 roku umarła w Wilnie pani Kadenacowa, siostra Józefa Piłsudskiego. Kolega Tadeusza Wiktor Piotrowicz zaproponował, aby przyłączyć się do towarzystwa udającego się na dworzec na spotkanie marszałka przyjeżdżającego na pogrzeb siostry. Stał z Wiktorem o kilka kroków od dywanu, po którym Piłsudski szedł z salonki do sal reprezentacyjnych na dworcu. Tadeusza uderzyła zgarbiona postać i szarzielonkawa cera dyktatora.

— Chyba nie długo pociągnie — szepnął Wiktorowi.

— Ach, co ty mówisz! — wykrzyknął przerażony Piotrowicz.

Wszyscy wiedzieli, że Piłsudski jest od paru lat poważnie, a od kilku miesięcy ciężko chory. I wszyscy wiedzieli, że już nie on rządzi państwem. A jednak jego „duch” trwał i — dobry czy zły — nie dopuszczał, aby się wszystko rozkleiło i aby nastąpiła „dekompozycja” — wyraz tak popularny w okresie po jego śmierci.

Jeszcze dwa lata przedtem „duch” ten przybierał kształty zupełnie realne. Inżynierowi Kazimierzowi Falkowskiemu groziło zwolnienie ze stanowiska dyrektora kolei państwowych. Już niemal oficjalnie wymieniano nazwisko jego następcy — jakiegoś pułkownika. I oto do Wilna zjeżdża Piłsudski i w pałacu Rzeczypospolitej odbywa się raut i „cercle” z jego udziałem. Marszałek — zgarbiony, w workowatym, jakby na wyrost uszytym błękitnym mundurze — przechodzi przez salę obojętnie obok wyprężonych generałów i tych lub innych dygnitarzy lokalnych. Raz stanął witając się serdecznie z jakimś starcem z długą siwą brodą. Potem zamienił kilka słów z jakąś skromnie ubraną starszką. Wreszcie we drzwiach prowadzących do „ekskluzywnego” saloniku zatrzymał się i długo trząśł rękę panu Kazimierzowi



Falkowskiemu mówiąc mu coś do ucha i śmiejąc się serdecznie. A pan Kazimierz stał wyprostowany z czerwoną i promieniejącą twarzą. Gdy Piłsudski odszedł, tłum generałów i innych dygnitarzy okrążył Falkowskiego. Posypały się pytania:

— Co panu mówił marszałek?

Falkowski rozłożył ręce ruchem udanej bezradności:

— Niestety, nie mam prawa tego wyjawić.

Czy potrzebuję dodawać, że słuchy o postanowionej dymisji Falkowskiego urwały się, jak nożem uciął, i że pozostał do śmierci — Niestety rychłej — na stanowisku dyrektora kolei.

W kilka dni po raucie Tadeusz był na brydżu u Kazimierzostwa Falkowskich. Gdy Tadeusz był wychodzącym, dyrektor wziął go na stronę.

— Muszę z panem porozmawiać na osobności, panie Tadeuszu — powiedział.

„Cóż on mi ma tak ważnego do powiedzenia?” — myślał Tadeusz.

Usiedli przy biurku. Dyrektor Falkowski odrzucił w tył głowę i powiedział marzycielskim głosem:

— Kto raz jeden w życiu rozmawiał z marszałkiem, ten tego nigdy nie zapomni.

Na tym się skończyła rozmowa na osobności.

A gdy w dwa lata później przysłała wieść o śmierci Piłsudskiego, kolega Tadeusza dr Henryk Rudziński powiedział z rozpaczą w głosie:

— Straciliśmy ojca...

Tegoż dnia Stanisław Mackiewicz w artykule wstępnym w „Słowie” pisał: „Nie ma Polaka, który by chętnie nie oddał życia, byle tylko marszałek Piłsudski żył”...

„No to już stanowczo przesada” — pomyślał Tadeusz.



Na zakończenie tej wiązanki — maleńki kwiatek. Tadeusz Ipohorski-Irteński zetknął się dwa razy w życiu z bliskimi krewnymi „królobójców”. Za lat gimnazjalnych przyjaźnił się w Mińsku z uczniem szkoły handlowej Hryniewieckim, rodzonym bratankiem Ignacego Hryniewieckiego, który w roku 1881 rzucił drugą i śmiertelną bombę pod nogi cara Aleksandra II. Wspominałem o tym w „Dzieciństwie i młodości Tadeusza Irteńskiego”. A już w wieku dojrzałym kolegował w wileńskim urzędzie wojewódzkim z panem Kalajeff (tak się pisał!), lekarzem weterynarii w wydziale rolnictwa. Ten pan Kalajeff był młodszym bratem „Janka” Kalajewa, który w roku 1905 zabił bombą w.

księcia Sergiusza Aleksandrowicza, moskiewskiego generał-gubernatora i stryja ostatniego cara. Nie badałem dziejów rodziny Kalajewów, ale dr Kalajeff mówił nieposzlakowaną polszczyzną, nawet z „warszawskim” akcentem, a „królobójca” Kalajew miał — według świadectwa historyków — polski akcent.

## Rozdział XX

### GASNĄCY ZNICZ

Jeżeli między dwiema wojnami Wilno było pod względem gospodarczym „wielką Dżisną”, nie chciało się do tego smutnego faktu przyznać ani światu, ani — sobie. Jeszcze za wojewodowania pana Raczkiewicza w okresie „prosperity” po reformie walutowej Grabskiego a przed kryzysem światowym urządzono w Ogrodzie Bernardyńskim wspaniałe Targi północno-wschodnie. Było tłoczno i wesoło. W luna-parku młodzi i starzy z wielkim piskiem zjeżdżali w wagonetkach z „motagnes russes”. W stoiskach win i wódek posilano się. Wielkim powodzeniem cieszył się zegar z figurkami i innymi sztuczkami. Zegar ten nakręcano raz na czterdzieści lat. Przed wejściem do izby, w której zegar demonstrowano, panował straszny tłok i jakiś dowcipniś wołał:

— Zegar nakręca się raz na czterdzieści lat, ale zapomniano nakręcić, więc dziś pokazu nie będzie!

Mimo jednak wspaniałego sukcesu Targów północno-wschodnich, mimo rozpoczętej przez generała Żeligowskiego propagandy lnu, Wilno pozostawało wciśnięte w worek i tylko optymiści wierzący w cuda mogli się spodziewać gospodarczego odrodzenia Wilna. W tym czasie Stanisław Mackiewicz (Cat) tak mniej więcej pisał we wstępnym artykule „Słowa”:

„O dwunastej w południe stanąłem pośrodku jezdni ulicy Mickiewicza u jej wylotu na plac Katedralny i spojrzałem wzdłuż ulicy. Nie zobaczyłem ani jednego samochodu, ani jednej doróżki, ani jednego wozu. Na głównej arterii miasta nie było żadnego ruchu kołowego”...

W Wilnie panował chroniczny zastój. Stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego skazana na gospodarczy „worek”, wyżywała się więc w naukach, sztukach pięknych i sporach politycznych.

Spory polityczne miały charakter trochę akademicki. Po przewrocie majowym prawdziwa opozycja, tj. endecja, siedziała jak mysz pod miotłą i prowadziła propagandę albo „ezopową”, albo szeptaną. Istnieć — istniała, czego dowodem, że dalej wychodził endecki „Dziennik wileński” i że większość studentów miała nastroje antysemitcko-pańkarskie, ale jakiejś bardziej otwartej i wyraźnej akcji nie prowadziła. Zresztą, jak twierdzili biegli w misteriach politycznych, endecy w Wilnie nie byli podobni do endeków w Królestwie: mieli być łagodniejsi i rozumniejsi, innymi słowy — tutejsi.

Walkę otwartą toczyły dwa obozy piłsudczyków. Jeden był demokratyczny i konserwatywny, drugi konserwatywny i — rewolucyjny. Takie paradoksy możliwe były chyba tylko w Wilnie. Obóz demokratyczno-konserwatywny skupiał się przy „Kurierze wileńskim”, gdzie pierwsze skrzypce grali pan Kazimierz Okulicz i pani Helena Romer-Ochenkowska — oboje spadkobiercy wymierającej grupy tzw. demokratów wileńskich, zwanych też „krajowcami”. Obóz drugi to było „Słowo”, organ „żubrów” mający nawet winietkę żubra na papierze listowym, redagowany przez pana Stanisława Mackiewicza, popierany i finansowany przez ziemiaństwo, czerpiący też spore dochody z corocznych kilkudziesięciostronicowych ogłoszeń licytacyjnych Wileńskiego banku ziemskiego. Obóz demokratów nazwałem „konserwatywnym”, bo mimo ideałów demokratycznych i postępowych był ogromnie przywiązany do tradycji wileńskiej i nie odznaczał się ani większą dynamiką, ani szczególnym polotem. Odwrotnie — jego adwersarz, organ konserwatywnych i nawet „monarchicznych” żubrów, był dynamiczny, pomysłowy, nieortodoksyjny, zaczepny — słowem był rewolucyjny. Poza tym potrafił ściągnąć do redakcji najlepsze pióra miejscowe i szereg piór z poza Wilna. Oprócz głównego kapłana rewolucyjnej konserwy Cata-Mackiewicza pisywali tam: Czesław Jankowski, Józef Mackiewicz, Jerzy Wyszomirski, Marian Zdziechowski, Władysław Studnicki, Ksawery Pruszyński, Waław Zbyszewski, Karol Zbyszewski, Teodor Bujnicki i wielu innych. Tadeusz Ipohorski-Irteński był bardzo dumny, że został przyjęty do tak wspaniałego grona. Redagował miesięczny dodatek łowiecki do „Słowa”, a ponadto umieszczał felietony, które najczęściej podpisywał nie nazwiskiem, lecz pseudonimami (np. pseudonim „Fin”).

„Kurier wileński” i „Słowo” toczyły więc ostre walki ze sobą. O co? Właściwie o wszystko i o nic. Walka nabrała szczególnej ostrości, gdy Mackiewicz wytknął „Kurierowi” że korzysta z subsydiów rządowych, na co „Kurier” się odciął, że jeżeli jest na utrzymaniu rządowym, to „Słowo” jest na utrzy-

maniu prywatnym (mając oczywiście na myśli zasiłki ziemiańskie i ogłoszenia Banku ziemskiego). Tego już było za wiele i doszło do pojedynku między panem Kazimierzem Okuliczem i panem Stanisławem Mackiewiczem. Tadeusz był jednym z sekundantów pana Mackiewicza, a podpułkownik dr Adam Bonawiecz kierował starciem orężnym. Do rozlewu krwi szczęśliwie nie doszło. Zresztą szeptano, że animozja między panami Mackiewiczem i Okuliczem miała tło nie tylko polityczne.

Spór szedł niby o nic, a właściwie o bardzo wiele. Chodziło niby to o rząd dusz wileńskich, ale naprawdę o zadrażnione personalia. Już zmarły w roku 1929 Czesław Jankowski umiał dowcipnie i złośliwie dopieć. Celował w dopiekaniu i przypiekaniu Cat, który np. o wyższych urzędnikach ministerium rolnictwa pisał jako o „ludziach ciężko umyślowo pracujących w byłym pałacu prymasowskim w Warszawie”. Złośliwie dopiekał Jerzy Wyszomirski albo podając w wątpliwość czy uroczystość otwarta i poświęcona w murach pobazylikańskich „cela Konrada” jest istotnie celą, w której improwizował i cierpiął za miliony Wieszczy, albo pisząc cały felieton o „prymakach” i „bajstrukach”. O prymakach już mówiłem, zaś „bajstruk” jest białoruskim odpowiednikiem „bękartu”. W związku z tym Wyszomirski trawestował z części II „Dziadów”:

*Patrzcie, ach patrzcie do góry,  
Cóż tam pod sklepieniem świeci?  
Oto złocistymi pióry  
Trzepiocą się dwa bajstruki.*

Bardzo bojową, ale niestety bardzo łatwo obrażającą się współpracowniczką „Kuriera wileńskiego” była pani Helena Romer-Ochenkowska. Ekipa „Słowa” z Jerzym Wyszomirskim na czele pastwiła się nad nią niemiłosiernie. Gdyby pani Ochenkowska przyjmowała szpilki „Słowa” obojętnie lub z humorem, może by przestała być celem tych ataków. Ale irytowała się coraz gwałtowniej, co jeszcze bardziej podniecało napastników. Irytacja jej doszła do punktu wrzenia, gdy „Słowo” wydrukowało w odcinku, a później wydało w książce „Wileńską powieść kryminalną” — pracę zbiorową, której każdy rozdział pisał inny członek redakcji. Dostało się przede wszystkim pani Ochenkowskiej, występującej w powieści pod przejrzystym mianem „Ofenkowskiej”. Przedstawiano ją tak złośliwie i zabawnie, że biedna pani Helena groziła, że obje parasolką Stanisława Mackiewicza i jego współpracowników.

W „powieści kryminalnej” dostało się też kilku wyższym

urzędnikom państwowym i kilku profesorom. Grono tych profesorów dokonało w powieści podziemnego odkrycia archeologicznego. Zresztą odkrycia archeologiczne były wtedy w Wilnie na porządku dziennym. Otóż w powieści wymienieni z nazwisk profesorowie bili głowami w twardy mur, aby loch podziemny poszerzyć. Z profesurą wileńską „Słowo” miało bowiem swe drobne porachunki. Jednemu z ekipy „Słowa” przypisywano złośliwe powiedzenie: „Lepiej z mądrym zgubić, niż z profesorem Uniwersytetu Stefana Batorego znaleźć”. Chodziło też o sąd honorowy nad panem Feliksem Danglem, współpracownikiem-karykaturzystą „Słowa”. Został znieważony przez pana Witolda Hulewicza, kierownika radia wileńskiego i prezesa związku literatów. Poszło o jakieś karykatury obrażające Hulewicza i innych członków związku literatów. Pan Hulewicz odmówił udzielenia satysfakcji kwestionując honorowość pana Danglera. Sąd po całonocnej naradzie uznał pana Danglera za pozbawionego zdolności do dawania zadośćuczynienia honorowego. Wyrok był jak najbardziej idiotyczny, a zapadł decydującym głosem superarbitra niejakiego profesora Hillera. Nazajutrz Stanisław Mackiewicz umieścił artykuł wstępny pod tytułem „Mord honorowej sprawiedliwości”...

.....

Skoro mowa o profesorach wileńskich trzeba wspomnieć szczególne miejsce, które w życiu kulturalnym Wilna, a i całej Polski, zajmował Marian Zdziechowski. W jednym z poprzednich rozdziałów nazwałem go niekanonizowanym świętym wileńskim. Na tle rodzimego gangsterstwa partii rządzącej i na tle tchórzliwej tępoty endecji był on Świętym... Był świętym pomimo kolejnych dziwactw w rodzaju madiarofilstwa lub idealizowania Napoleona III. A może właśnie dzięki tym dziwactwom... Był to humanista najczystszej wody. Podziw i szacunek budził jego ludzki i na wskroś chrześcijański stosunek do wszystkich narodowości, a przede wszystkim do uciskanych, np. do emigrantów rosyjskich, do których stosowano policyjne przepisy dekretu o cudzoziemcach — najbardziej rygorystyczne i uciążliwe ze wszystkich przepisów istniejących w państwach kulturalnych. Nie ulega wątpliwości, że pod względem wielkości ducha i głębi wiedzy humanistycznej — w połączeniu z ogromną skromnością — żaden ze współczesnych uczonych polskich nie dorósł mu pięć.

W życiu kulturalnym Wilna teatr grał bardzo dużą rolę. W początku lat dwudziestych wegetował teatr dramatyczny w

„Lutni”. Później w „nowym” teatrze na Pohulance rozbił namioty Osterwa z „Redutą” wzruszając wilnian do łez „Przepióreczką” Zeromskiego ale i zastanawiając napisami „wizdownia”, „rzęd” i tp. Po Osterwie nadszedł Zelwerowicz. Za jego dyrekcji wystawiono współczesną i bardzo „kontrowersyjną” sztukę niemiecką Brucknera „Przestępcy”. Sztuka wymagała dużych nakładów technicznych, gdyż w każdym akcie scena była podzielona na cztery „przedziały”, dwa parterowe i dwa piętrowe. Gdy akcja odbywała się w jednym przedziale, trzy pozostałe tonęły w mroku. Co do treści... Współczesny teatroman uśmiechnąłby się, gdyby się dowiedział, że większość inteligencji wileńskiej uznała sztukę za niemoralną. Były tam co prawda aluzje do homoseksualizmu dwóch postaci scenicznych, poza tym jednak sztuka była osnuta na banalnym konflikcie buntowniczej młodzieży z atmosferą mieszczańską. Ale opinia wileńska podniosła krzyk protestu. Najgłośnieją zaprotestowała pani Helena Romer-Ochenkowska. Nie mieściło się jej w głowie, jak mógł ktokolwiek ośmielić się wystawić w jej Wilnie sztukę tak niemoralną. I wtedy z czyjegóż pomysłu Wilno przeżyło niebywałą uciechę: sąd nad „Przestępcami”! Zelwerowicz rozesał zaproszenia wszystkim mniej lub więcej wybitnym wilnianom, którzy szczerze wypełnili wszystkie miejsca. Odbyło się przedstawienie „Przestępców”, przy czym Tadeusz, który był na premierze i teraz oglądał sztukę po raz drugi, zauważył że Zelwerowicz przezornie skreślił parę zwrotów, mogących urazić ucho purytanów wileńskich.

A po przedstawieniu odbył się „sąd”. Przemawiał najpierw sam Zelwerowicz oznajmiając, że on jest głównym „przestępcą” i że chętnie bierze na siebie całą odpowiedzialność. Mowy oskarżycielskie pań — bo panów w gronie potępiających sztukę prawie nie było — brzmiały mdło i banalnie. Wśród nich głądziła zawodowa społeczniczka „województwa” Kirtiklisowa. Mowy obrońców „Przestępców” były znacznie lepsze. Żyd doktor wenerolog Globus zauważył, że cały sąd wydaje mu się hipokryzją i przypomina czasy, gdy jakiś purytanin proponował zmienić nazwę chorób wenerycznych na choroby „astartyczne”. Archiwariusz Wacław Studnicki, brat znanego polityka Władysława Studnickiego, zajadły kalwinista i antypapista, wysunął podejrzenie, że cała ta kampania jest prowadzona wyłącznie przez kobiety z namowy osób, które, choć nie są, jak mówił, kobieta-mi, noszą stroje podobne do kobiecych... W tym miejscu przewodniczący „sądu” odebrał głos panu Studnickiemu. Sąd, który mówiąc ściśle nie był sądem, a tylko gadaniną, skończył się na niczym. Mimo to jednak „Przestępcy” spadli z afisza. Widać wpływy pań Romer-Ochenkowskiej i Kirtiklisowej przeważały.

Zaznaczyć trzeba, że „Słowo” nie tylko nie prowadziło ataku na „Przestępców”, lecz nawet umieściło kilka artykułów, m.inn. Jerzego Wyszomirskiego i „Fina” wyśmiewających beznadziejnie prowincjonalny pomysł sądu nad „Przestępcami”.

W rok czy dwa później, gdy teatr na Pohulance wystawił „Adwokata i róże” Szaniawskiego, Wileńska izba adwokacka zaprotestowała twierdząc, że sztuka ta ubliża godności zawodu adwokackiego. Do „sądu” jednak nad „Adwokatem i różami” nie doszło: felietoniści „Słowa” wznieśli tak hałaśliwy „śmiejch na sali”, że rzecznicy Izby adwokackiej zamikli zawstydzeni.

Dzieje teatru wileńskiego między dwiema wojnami zapisały dwie wileńskie pra-premiery: „Sztubę” Kazimierza Leczyckiego, o której wspomniałem w rozdziale XVII, i sztukę tegoż Leczyckiego do spółki z Józefem Mackiewiczem „Pan poseł i Julia”. Była jeszcze premiera sztuki „surrealistycznej” napisanej przez jakąś panią; niestety Tadeusz Irteński i autor tej kroniki zapomnieli zarówno tytułu tej sztuki, jak nazwiska autorki.

Dzieje te mają też do zapisania jedną osobliwość. Z chwilą gdy w teatrze na Pohulance usadowił się na dobre teatr dramatyczny, w teatrze „Lutnia” na Mickiewicza rozsiadła się operetka. Gdy w całej Polsce teatry operetkowe, teatrzyki i inne przybytki muzy lekkiej kolejno i notorycznie plajtowały, operetka w „Lutni” trzymała się bez żadnych subsydiów miejskich lub innych i przetrwała tak w dobrej formie do roku 1939.

Z przeżyć teatralnych w Wilnie „między dwiema wojnami” pozostały w pamięci Tadeusza oderwane epizody.

Duże wrażenie zrobiły na nim gościnne występy emigranczkiej, tzw. praskiej grupy teatru Stanisławskiego w Moskwie. Nie opuścił ani jednego przedstawienia. Szczególnie zachwycił się grą pary małżeńskiej — pani Griecz i pana Pawłowa. Pawłow był wspaniały i w komicznej roli zirytowanego staruszka w komedyjce Czechowa „Jubileusz” i jako demoniczny lokaj Smierdiakow w scenicznej przeróbce „Braci Karamazow”. Ostatnim przedstawieniem był „Rewizor” Gogola. Po tym przedstawieniu grono teatromanów wileńskich — Rosjan i Polaków — zaprosiło aktorów rosyjskich na kolację do gabinetu w „Bristolu”. Tadeusza posadzono obok Pawłowa, który się okazał miłym i rozmownym kompanem. Po kilku kolejkach wódki Tadeusz zwrócił się do Pawłowa:

— Jestem do szaleństwa zachwycony grą waszego zespołu (*ja biez uma ot waszej igry*), chciałbym jednak powiedzieć...

Pawłow nie dał mu skończyć:

— Wiem co pan chce powiedzieć: że grając Gogola trochę



szarżujemy. Święta prawda. Ale niech pan nie zapomina, że dzisiejsza publiczność nie oceniłaby Gogola granego tak, jak go graliśmy w Moskwie. A po drugie — tu Pawłow z lekka zawałał się — kto wie? może Gogola w ogóle należy szarżować...

Raz w roku zdaje się 1925 do Wilna zawitała operetka z Warszawy z Kawecką i Józefem Redo. Kaweczka miała jeszcze ładny głos, ale była gruba jak beczka. Redo, choć siwy i trochę tęgawy, był nadal czarujący. Tadeusz z Waciem Józefowiczem, zwanym Żoką, podejmowali Redę kolacją u Żorża. A na jutro poszli na „Gejszę”. Gejszą była naturalnie Kaweczka. W duecie, w którym Kaweczka śpiewała siedząc a Redo stał nad nią, Redo dostrzegłszy w pierwszym rzędzie Żokę i Tadeusza przymknął oko, a drugim spojrzął z góry na Kawecką, robiąc przy tym odpowiedni ruch brodą i wargami. Tadeusz musiał zagryźć wargi, aby nie parsknąć śmiechem.

W tym samym mniej więcej czasie przyjechał na występ gościnny z Estonii Igor Siewierianin i dał swój „poezo-koncert”. Tadeusz słuchał jego śpiewnej deklamacji lub raczej inkantacji wspominając z melancholią czasy petersburskie sprzed dwunastu lat, a po występie wspólnie z rosyjskimi przyjaciółmi zaprosił „ego-futurystę” na kolację do Żorża. Po paru kieliszkach wina rozmawiali ze sobą, jak gdyby się znali od dziecka, i z kręcącą się łezką w oku wspominali stare dobre czasy.

Szczególną atrakcją była gwara wileńska rozbrzmiewająca ze sceny, ze scenki, z radia, no i z gazet. Mistrzem był pan Wołłejko, farmaceuta z wykształcenia i wielki aktor z Bożej łąski. Wygłaszał przez radio niezrównane „pogaduszki osmiańskie” a razu pewnego wprawił widownię w zachwyt, gdy w jakiejś trzeciorzędnej farsie francuskiej wystąpił w roli Napoleona — a był wzrostu sążnistego — i rolę tę wyrecytował w gwarze wileńskiej. W „Słowie” doskonale felietoniki gwarowe pisał pan Józef Cyrski pod pseudonimem „Wincuka Markotnego”. Dublująca w radio pana Wołłejkę „ciotka Albinowa” była od nich znacznie słabsza: jej gwara wileńska brzmiała wymuszenie i sztucznie.

Warto też wspomnieć o Szopce akademickiej. Nieraz i kielki i teksty bywały doskonałe. W tekstach często panowała gwara wileńska. Tadeusz zapamiętał strofę z pieśni dziadowskiej na temat odkryć archeologicznych w Wilnie:

*Skopali ulica  
I ci dasz ty wiara —*

*Znaleźli w Koczerdze\**  
*Moich łapci para.*

Młodzież akademicka była — jak młodzież. Większość stanowili chyba młodzieńcy, którzy czy to pod wpływem środowiska, czy z właściwego młodzieży ducha protestu, sympatyzowali z endecją i miewali skłonności pałkarskie. Była też niewielka grupa komunistów ideowych, z których później jedni zginęli, a inni porobili te czy inne kariery. Tadeusz mało się interesował tymi sprawami, zwłaszcza że w urzędzie wojewódzkim nie pełnił żadnych funkcji politycznych. Utkwił mu w pamięci tylko taki drobny epizod. Sądono za działalność wywrotową m. in. studenta Dembińskiego. Jako świadek obrony wystąpiła pułkownikowa Pełczyńska, która dała o oskarżonym jak najlepszą opinię. W pewnej chwili prokurator zapytał:

— Czy słyszała pani, że w czasie służby wojskowej kolegdy oskarżonego nazywali go „wazeliniarzem”?

— Słowo „wazeliniarz” nie miało prawa obywatelstwa w N. dywizji — odparła pani pułkownikowa głosem stanowczym.

Po zakończonym przewodzie sądowym prokurator w swej mowie oskarżycielskiej podał w wątpliwość znajomość bogatego leksykonu koszarowego przez panią pułkownikową, którą w ferworze krasomówczym nazwał „jakąś” panią Pełczyńską. Boże! jaka burza powstała! „Kurier wileński” napadł na biednego prokuratora, posypały się mniej lub więcej przejryste groźby i w rezultacie biedny prokurator musiał publicznie przeprosić panią Pełczyńską.

Zresztą i komuniści i endecy byli ideowcami. Mniej sympatycznie prezentowała się grupka — szczęściem nieliczna — studentów „współpracujących z rządem” pod tym lub innym szyl-dzikiem, korzystająca z różnych zasiłków i mająca z góry zapewnione posady i posadki.

W Wilnie kwitła poezja. Tadeusz pożegnał się z poezją własną około roku 1924 i odtąd cudza interesowała go tylko dorywczy. Toteż nie udzielił mi należytego materiału dla opisanja tej gałęzi kultury wileńskiej. Opowiedział mi tylko maleńką historyjkę — na pół rodzinną — luźnie z poezją związaną.

Jednym z synów wielkiego (Arcypromienistego) Tomasza Zana, a więc wujem Tadeusza Irteńskiego, był Klemens Zan. Za-

---

\* Koczerhą była podziemna (ongi nadziemna) rzeczka w Wilnie, która po wielkiej powodzi roku 1931 groziła podmyciem katedry wileńskiej.

kończył życie na przełomie przeszłego i obecnego stulecia w sposób tajemniczy i tragiczny. Wracał pociągiem z Warszawy do Wilna. Wjechał do tunelu między Landwarowem i Wilnem zdrów i cały, a wyjechał martwy i z przestrzeloną czaszką. W swoim czasie zdarzenie było wielką sensacją rodzinną i wileńską. I oto w jakieś 40 lat później poetka panna Kazimiera Iłakowiczówna w artykule autobiograficznym w „Słowie” wspomniała swoje dzieciństwo i napisała w taki mniej więcej sposób: „Ojca słabo pamiętam. Nie zapomnę tylko strasznej rozpaczy matki, gdy się dowiedziała, że ojciec mój wjechał do tunelu pod Landwarowem zdrów i cały, a wyjechał z przestrzeloną czaszką”. Nie było wątpliwości, kogo panna Iłakowiczówna miała na myśli, skoro tego rodzaju wypadki nie zdarzały się codzień i zresztą ten szczególny wypadek był nawet po czterdziestu latach w żywej pamięci wilnian. Nie mam wątpliwości, że pochodzenie nieślubne nikogo nie hańbi, no ale przypominanie ludziom takiego swego pochodzenia jest kwestią osobistego amatorstwa osoby przypominającej. W danym wypadku panna Iłakowiczówna popełniła jednak — wyrażając się delikatnie — nietakt. Legalna żona i troje legalnych dzieci Klemensa Zana żyły jeszcze w Wilnie w najlepszym zdrowiu i oczywiście nie sprawiła im przyjemności lektura ekshibicjonistycznych wspominków panny Kazimiery Iłakowiczówny.

Wilno było miastem uniwersyteckim, a więc prócz profesorów miało też studentów. Większość studentów wyznawała ideologię, jak już wspomniałem, antysemitką i pałkarską. Za wojewody Beczkowicza, który przyszedł po krótkim wojewodowaniu pana Kirtiklisa, wybuchły ostre zamieszki studenckie. Chodziło o „numerus clausus” i o krajanie trupów chrześcijańskich przez Żydów. Przede wszystkim parę słów o panu Beczkowiczu. Nie był popularny ani wśród podwładnych, ani wśród ludności. Piłsudski stając w Pałacu Rzeczypospolitej skarżył się, że Beczkowicz był „nudnym” wojewodą. Był to bezsprzecznie człowiek nie głupi i bardzo dobrej woli, ale mu brakowało tego „czegoś”, co zjednywa ludzi i co miał nawet — w pewnym stopniu — zandar Kirtiklis. Zamieszki przybrały tak duże rozmiary że musiała je tłumić policja przy pomocy gazów łzawiących. Było wielu Żydów pobitych pałkami. Był jeden zabity — student Polak nazwiskiem Waclawski, którego ugodził w skroń kamień rzucony przez Żyda.

(W tym miejscu — mała notatka historyczno-informacyjna. Za cały okres dwudziestolecia Polski niepodległej zdarzyły się dwa poważniejsze zaburzenia antyżydowskie. Wspomniane zamieszki studenckie w Wilnie, w których zginął Polak Waclawski, i w parę lat później wielki pogrom sklepów żydowskich w Brześ-

ciu Litewskim. Pogrom ten doszedł do skutku dzięki rozmyślnej beczynności policji oburzonej na Żydów za zabójstwo policjanta-wywiadowcy przez rzeźnika Żyda. Pogrom wyrządził Żydom duże straty materialne, ale ofiar ludzkich wśród Żydów nie było. Jak widzimy więc dwa większe „pogromy” żydowskie w Polsce odbyły się w ten sposób, że jeden był zakończony, a drugi wywołany zabójstwem Polaka. Skąd więc ta ironia historii, że Żydzi na całym świecie zapominają o pogromach w carskiej Rosji, zdają się zapominać o strasznych zbrodniach niemieckich (z wyjątkiem może obywateli Izraela), ale dokładnie pamiętają o tych „pogromach” polskich? Odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać w psychice nie żydowskiej, ale polskiej. W Polsce nie było geograficznej „linii osiedlenia”, która była hańbą Rosji carskiej. Nie było też, jak w carskiej Rosji, organizowanych przez władze pogromów. Ale Polacy mieli — a zapewne wciąż mają — jakiś antysemityzm mistyczny, jakąś mentalną „linię osiedlenia”, która ich niewidzialnie, lecz mocno odgradza od Żydów. Inteligentny i wykształcony Rosjanin prawie nigdy nie bywał antysemitą. Natomiast mieliśmy i mamy bardzo wykształconych i bardzo mądrych Polaków, którzy byli i są antysemitami z głębokiego przekonania. Żydzi doskonale to czują. I dlatego zapomną krwawe pogromy Rosjanom. Gotowi są zapomnieć Niemcom ich potworne zbrodnie. Ale Polakom nie przebaczą tego „mistycznego” antysemityzmu, który wyczuwają spod szminki frazesów. Ktoś może zarzucić, że w mojej „teorii” o charakterze polskiego antysemityzmu tkwi błąd zasadniczy. Przed ostatnią wojną na jednego Żyda w Polsce przypadało pięciu czy sześciu Polaków. A podobno każdy Polak musi mieć swego Żyda. Innymi słowy musiał istnieć popyt na Żydów, jako kandydatów na przyjaciół. Skąd więc antysemityzm — mistyczny czy inny? Błąd jest tylko pozorny. Nawet endek mógł z całego serca przyjaźnić się i ścisnąć z *pojedynczym* Żydem. Pojedynczego Żyda można było choć do rany przyłożyć. Ale endek był wrogiem żydowskiego *łtoku*. I nie tylko endek. Antysemityzm polski był przeto skierowany nie przeciw pojedynczym Żydom, lecz przeciw Żydom zmasowanym na plaży, w kawiarni, w teatrze, w auli uniwersyteckiej. A nazwałem go „mistycznym”, ponieważ nie mały wpływ na nastroje antysemityczne miał specyficzny polski katolicyzm, no i ponieważ żadną rozsądną racją nie dał się usprawiedliwić. Negowanie polskiego antysemityzmu jest ochronną obłudą — zwłaszcza na emigracji. Tłumaczenie zaś tego antysemityzmu względami gospodarczymi jest braniem cech wtórnych za cechy główne).

Gdy mowa o Żydach — mała autentyczna anegdota. Sły-

nał w Wilnie przed pierwszą wojną potężny dom bankowy pana Bunimowicza. Po wojnie zaczął upadać — łącznie z upadkiem gospodarczego znaczenia Wilna. Pan Bunimowicz jednak był nadal znanym i szanowanym obywatelem miasta Wilna. Z tego też tytułu zrobiono go hiszpańskim konsulem honorowym. Gdy wybuchła hiszpańska wojna domowa, współpracownik „Słowa” zjawił się u konsula republiki hiszpańskiej z prośbą o wywiad. Pan Bunimowicz wpadł w wielką irytację:

— Jestem konsulem honorowym. O żadnej rewolucji nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. Dajcie mi święty spokój!

Nazajutrz „Słowo” wydrukowało ten krótki wywiad z konsulem hiszpańskim na pierwszej stronie i wielkimi literami.

Jeśli o wywiady chodzi, inny wypadek zaszedł z Geniem Falkowskim. Tadeusz po zamordowaniu Aleksandra serbskiego przypomniał sobie, że przecie Genio kolegował w cesarskiej szkole prawa w Petersburgu z Aleksandrem Karadzordzewiczem, wówczas jeszcze księciem serbskim. Zatelefonował zaraz do Stanisława Mackiewicza radząc mu posłać kogoś z redakcji do Genia dla przeprowadzenia wywiadu. W przeciwieństwie do wywiadu z panem Bunimowiczem ten wywiad udał się, bo Genio był wymowny i lubił koloryzować. Puścił się w różne szczegóły — prawdziwe czy zmyślane. M.in. powiedział, że był z Karadzordzewiczem w wielkiej przyjaźni i nazywał go „Karą”.

Na zakończenie tego rozdziału o „gasnącym zniczu” wileńskim warto wspomnieć o dwóch wielkich przygodach literackich, których Tadeusz Irteński doznał w czasie swego czternastoletniego pobytu w Wilnie. Tymi wielkimi przygodami były dwie książki: „Nienasycenie” Stanisława Ignacego Witkiewicza i „Młyn na wzgórzu” (w oryginale po prostu „Młyn”) duńskiego pisarza Karola Gjellerupa. Każda z tych książek oczarowała go w inny sposób. Zirytował się, gdy się dowiedział, że zdaniem profesora literatury skandynawskiej na jednym z wielkich uniwersytetów amerykańskich Gjellerup był pisarzem niżej średnim i że nagrodę Nobla dostał przez omyłkę.

— Jedno z dwojga! — mówił mi Tadeusz z oburzeniem — albo ja jestem idiotą i akademia szwedzka składa się z idiotów, albo idiotą jest ten profesor. Osobiście wolę to drugie przypuszczenie.

## Rozdział XXI

### ARTEMIS Z GAJLUTYSZEK

Część letniego urlopu Tadeusz spędzał na łowach „na północnej rubieży”.

Pociąg pośpieszny Warszawa-Turmont na ostatnim odcinku między Wilnem i granicą łotewską przestawał być pośpiesznym a stawał się tylko „przyśpieszonym”. Na tym odcinku nie zatrzymywał się na jednej tylko stacji — Bezdany — czym wyrządzał oczywisty despekt miejscowości zapisanej w dziejach walk o niepodległość. Od Nowowilejki aż do Podbrodzia widok z okna wagonu był dość jednostajny: płaskie bory, podmokłe rojsty, piaszczyste pola.

Za Podbrodziem pejzaż się zmienia. Ożywia się znużone dotychczasową monotonią oko podróżnego i odtąd już do końca podróży nie oderwie się od okna. Wjechaliśmy bowiem w krainę pagórków leśnych i jezior, w słynną „Szwajcarię” litewską” ciągnącą się wzdłuż kolei pasmem szerokim aż poza granice z Litwą i Łotwą. Co chwila zjawia się, lśni na chwilę w słońcu i znika za ścianą nasypu lub za bukietem drzew — zwierciadło jeziora. Pociąg idzie zbyt prędko, aby zdążyć nasycić wzrok urokiem tych mijanych jak zjawy jezior i ocenić w pełni ich piękno. Za stacją Ignalino zaczyna błyszczeć na horyzoncie wschodnim coś niby klinga srebrna. Klinga ta będzie bieć wraz z nami długo: minimy stację i miasteczko Dukszty, a jeszcze lśnić będzie i zniknie dopiero wtedy, gdy się zbliżymy do granicy łotewskiej. To jezioro Dżisna.

Jezioro Dżisna, podobnie jak tysiące innych jezior i jeziorerek litewskich ma toń modrą, a brzegi wielce urozmaicone. Mamy więc krawędzie twarde, białopiaszczyste, lizane łagodną pie-

szczotą fali, wymarzone plaże słodkowodne. Mamy brzegi zarosnięte łożami i szerokim pasem sitowia i trzcin, ostoje dzikich kaczek, perkozów, kurek wodnych i łysek. Mamy wreszcie brzegi oddzielone od sąsiednich łąk obszernym kobiercem zdradliwego „lunu”. Lunem ludność miejscowa nazywa trzęsawisko czyli grubszą lub cieńszą warstwę mchu kryjącą pod sobą rozcieńczone błoto lub czystą wodę — nieraz bardzo głęboką. Jest więc lun formacją bardzo podobną do mszaru ale nie równoznaczną. Mszar niekoniecznie powstaje obok jeziora lub w związku z jeziorem i najczęściej bywa zgoła niewinny; lun natomiast jest wynikiem zarastania mchem jeziora lub zatoki rzecznej, zawsze tai pod swą powłoką głębię wodną i przeto zawsze jest zdradliwy. Pod kim się przerwie lun, ten wpada „jak kamień w wodę” i kożuch mchu zamyka się nad nim bez śladu. Tylko uchwycenie w ostatniej chwili jakiejś łoży lub mocniejszej kępy mchu może mu uratować życie. Utonięcie na lunie zdarza się jednak bardzo rzadko. Po pierwsze dlatego, że ci, co mają odwagę chodzić po lunie, umieją po nim chodzić, tak jak umie po lunie chodzić łoś, zwierzę wielokroć cięższe od człowieka, które jednak nie tylko nie tonie lecz nawet nie zapada w miejscach, w których zapada pies. Po drugie — nie cały lun jest niebezpieczny, lecz tylko tzw. „okna” w nim, które łatwo poznać, bo są porośnięte łądną, ponętnie wyglądającą i jakby strzyżoną trawką.

Jezioro Dżisna ma pewną osobliwość, a mianowicie wyspę, która nie jest wyspą. Jest to paręset hektarów ziemi uprawnej liczący półwysp, na którym położona jest wioska. Ponieważ półwysp łączy się ze stałym lądem dość wąską i bagnistą szyjką, przeto ludność miejscowa — od wiosny aż do czasu, gdy bagno zamarźnie i pokryje się śniegiem, komunikuje się ze „światem” tylko za pomocą łódek. Stąd nazwa „wyspa”. A trzeba wiedzieć, że autochtoni są do tej nazwy bardzo przywiązani i nieogłębny przybysz miałby w nich wrogów, gdyby zdradził cień przypuszczenia, że wyspa nie jest wyspą.

Tadeusz wysiada na stacji Dukszty. Między stacją i miasteczkiem a dworem roztacza się piękne, 4 kilometry długości jezioro Pereświeta. Dwór Dukszty stoi na wyniosłym wzgórzu i panuje nad trzema jeziorami: wspomnianą Pereświeta, Pereświetajta i Samańką. Dwór jest okazałym domem, murowanym i pobielonym, z typowym gankiem z kolumnadą i z półpięciem o „klasycznym” daszku frontowym nad balkonem. Dużo takich domów jest na ziemi litewskiej. Dukszty, gniazdo starożytnej rodziny Dusziackich-Rudominów, przeszły później w drodze wiana do rodzin Biegańskich i Dowgiałłów, a w końcu, również w dro-

dze wiana do Zanów. Piękny park ciągnie się półkolem na stromych zboczach północnego brzegu Pereświety i kończy się po stronie zachodniej monolitem góry Pelikalnis co znaczy po litewsku: góra sypana. Pelikalnis jest więc dziełem rąk ludzkich i powstała w zamierzchłych czasach Litwy pogańskiej, albo w celach obronnych, jako wieża sygnalizacyjna, albo może w celach jakiegoś kultu. Wiekowe brzozy płaczące na szczycie góry czynią wrażenie „świętego gaju” i szumem swym szepczą legendę o zamaryłych misteriach pogańskich. Tak czy inaczej, więcej takich „pelikalnisów” jest na obszarze Litwy historycznej.

Do parku przytyka starożytny kościółek parafialny z plebanią, ufundowany ongi przez Rudominów. Ponieważ większość mieszkańców gminy duksztańskiej stanowią Litwini, więc proboszczem jest Litwin i kazania i śpiewy odbywają się w języku litewskim. Ale nie zawsze tak było. Po raz pierwszy kazania i śpiewy litewskie zamiast polskich wprowadzono na przełomie XIX i XX wieku. Nie podobało się to starym Litwinom. Przyšli do dworu ze skargą:

— Chcemy kazań i śpiewów po polsku! Bo dość mamy prostoty [tj. języka litewskiego] u siebie w chacie.

Skarga nie odniosła skutku. Ksiądz Litwin był energiczny, uświadomienie narodowe chłopów postępowało szybko i w roku 1924, gdy Tadeusz po raz pierwszy zajrzał do Dukszt, nawet zażartym endekom nie przyszłoby już do głowy polonizować nabożeństwa duksztańskie.

W Duksztach Tadeusz spotkał się z instytucją, którą dotąd znał tylko z podręczników prawa cywilnego. Co niedziela tuż obok domu, na ukos przez trawnik przed gankiem przechodziły setki wyfrantowanych mieszkańców miasteczka Dukszty w drodze na nabożeństwo do kościoła.

— Jak możecie pozwolić na takie szwendanie się przez park tuż przed nosem? — dziwił się Tadeusz.

— Nic na to nie możemy poradzić. Mają od niepamiętnych czasów prawo na przechód. Idą z miasteczka krótszą ścieżką wzdłuż jeziora, a potem na ukos przez park.

Właścicielką Dukszt była Teresa z Dowgiatów Zanowa, bohaterka dwóch okresów walk o niepodległość: P.O.W. Kowno i AK drugiej wojny, odznaczona krzyżem *Virtuti Militari* za czyny bojowe i wstawiona zbrojnym odparciem napadu bandyckiego na Dukszty wkrótce po pierwszej wojnie. Pani Teresa była żoną Tomasza Zana, wnuka Tomasza Arcypromienistego, matką również Tomasza zwanego Muśkiem. Ponieważ „wielki” Tomasz był żonaty ze Świętorzecką, cioteczną bab-



ką Tadeusza więc pani Teresa była jego kuzynką, lub raczej kuzynową\*.

Dukszty leżą tuż przy granicy Litwy kowieńskiej w pół mitycznym „kochanym powiecie jezioroskim”, który znamy ze stron „Sobola i panny”. W położonych niemal o miedzę i jak najzupełniej autentycznych Jużyntach spędził dzieciństwo i wczesną młodość Józef Weysenhoff. Jużynty, tak jak Dukszty, leżą nad jeziorem. Tym samym powietrzem oddychał Weysenhoff, z takiego samego dworu wyruszał na pardwy do dalekich mszarów Szepety. Tu tęsknił i kochał. Tu polował.

.....

Pofalowanym pejzażem ciągną się bory, luny i suche dyrwany od Dukszt w kierunku północnym, wzdłuż granicy litewskiej. Pola i półka wśród lasów, zielone doliny, cieniste i wilgotne wąwozy, klomby dworów i dworków, sadami spowite i nieraz „po górsku” do stromych zboczy przyklepione chaty wiejskie. Na rozstajach dróg rzeźbione w drzewie — arcydzieła nieznanymi mistrzów-samouków — krzyże litewskie. A co parę kilometrów, w sposób zupełnie dla oka nieoczekiwany (co podobno jest jednym z sekretów malowniczości) zjawia się wśród pagórków „malowanych zbożem rozmaitym” lub zza zakrętu ścieżki leśnej — jezioro. Większe lub mniejsze. Czasem roztacza swe zwierciadło błękitne na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych odbijając w swej czystej toni „codzienne” chmurki litewskie. Czasem jest maleńkie — kilkanaście kroków wszerej i wzdłuż — „trawą zarosłe na poły”, tające swą toni ciemnozieloną w gęstwie podszytego boru.

Piękne jest jezioro Berżona. Jak Świteż okrągłe niby wielka czara i jak Świteż ze wszystkich stron otoczona lasem. Może nawet piękniejsze od Świtezi bo nie ma nad nim ani zgiełku turystów, ani wrzawy kąpiących się. Myśliwy tylko albo rybak zjawiają się nad Berżoną.

W okresie, gdy samodzielną władczynią Dukszt była pani Teresa, a syn Musiek tylko jej pomagał w gospodarstwie, właścicielka odbywała inspekcję lasu w jednokonnej linijce w towarzystwie gości: Tadeusza i porucznika Korpusu Ochrony Pogranicza Kazimierza Podhajskiego. Nie dojeżdżając do Berżony pani Teresa zatrzymała pojazd i rozejrzała się.

— Nie rozumiem — powiedziała — jakoś nie poznaje

---

\* Teresa Zanowa aresztowana przez Niemców jako kurierka AK zmarła śmiercią męczeńską w obozie Ravenbrück w roku 1944 w wieku lat 62.

miejsca. Przecie las tutaj powinien być daleko gęstszy. Co to znaczy?

— O, to drobnostka — powiedział porucznik Podhajski — to tylko Musiek drzewa poprzestawiał.

Niedaleko od Berżony leży w borze jeziorko niewielkie będące rajem dla amatorów połowu raków. Nosi dźwięczną nazwę Bostynia. Dużo jest sposobów „rakobrania”, lecz sposób stosowany w okolicach Dukszt jest chyba najbardziej sportowy. W ciepłą noc wybiera się towarzystwo wozami drabiniastymi na raki. W pobliżu jeziora na niewielkiej polance wśród sosen płonie ognisko. Panie nie biorące udziału w łowach gotują leśną kolację. A łowcy — panie i panowie — boso, w strojach kąpielowych, lub w inny sposób rozebrani, brodzą po kolana w wodzie wzdłuż brzegów jeziora i rękami wyciągają raki z pieczar mulistych, pod krawędzią brzegu. „Siły pomocnicze” trzymają na długich żerdziach kagańce płonących smolaków dla oświetlenia terenu łowów. Polowanie wymaga zarówno zręczności jak determinacji. Nieraz nowicjusz boi się ślepego błędzenia dłonią w czarnym mule. Nieraz rak wymknie się i jak pająkowaty cień w migotliwym świetle kagańca zniknie w czarnej głębi. Nieraz łowiec mniej zręczny wrzaśnie z bólu cięty w palce ostrymi nożycami raka. A po skończonych łowach towarzystwo gromadzi się przy ognisku i posilając się herbatą z wędlinami litewskimi liczy trofea i w ożywionej gawędzie raz jeszcze przeżywa emocje rakobrania. Ognisko trzaska oświetlając złote, jakby przykopcone od dołu kolumny sosen. Pachnie żywicą i dymem żywicznym. Krążą „stopki” wódki. Brzmia przygaduszki dobrodusznie-ironiczne i śmiechy. W pieszczocie cieplej nocy letniej rakobranie jest jakby rapsodem karnawału — *season* litewskiego: z szeptanego flirtu i przelotnych uścisków rodzą się i kojarzą związki. Ludzie nastroszeni romantycznie powiadają, że te nocne rakobrania mają w sobie coś z misteriów pogańskich — niby ogniska świętojańskie lub Dziady zadusne.

O stajanie od Berżony biegnie droga Dukszty-Smołwy. Droga ta, ongi ruchliwa i ożywiona, zamarła w okresie „ani wojny, ani pokoju” pomiędzy Polską i Litwą. Z rzadka tylko po zarastającym trawą lub nawet małymi brzoźkami szlaku zaturkocze linijka wioząca żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, albo myśliwych zdążających do bogatego w kaczki jeziora o groźnej nazwie Pijawki. A jest to chyba jedna z najładniejszych dróg litewskich. Z jednej strony ściana starego lasu, z drugiej — szpaler brzoź płaczących. Aleja sadzona ręką Boga i dlatego piękna. Aleja gubi się potem w pofalowanej płaszczyźnie dyrwanów. Dyrwany

te zaczęto zasiewać dla celów użytkowania łubinem. Pięknie wyglądają duksztańskie dyrwany wiosną, gdy łubin kwitnie żółtym kwieciami. Ale jeszcze piękniej prezentują się późnym latem i jesienią, gdy kwitną na nich liliowe i białe wrzosy.

Po kilku kilometrach jazdy zaczisną drogą leśną — wieś i strażnica Korpusu Ochrony Pogranicza Gajlutyszki. Wzrok nawykły w ciągu paru godzin do oglądania ciemnych głębin leśnych jest olśniony plein-aiem wspaniałego widoku. Od stóp wzgórza, na którym stanął Tadeusz, aż do mglistych zarysów zachodniego widnokregu lśni lustro szafirowe olbrzymiego jeziora. To jezioro Święte — po litewsku Szwinta.

Granica między Rzeczypospolitą polską a Litwą oddała Kownu całą wodną powierzchnię pozostawiając po stronie polskiej niespełna kilometr brzegu. Stojąc na gajlutyskim wzgórzu, wpatrzony w toń Świętego jeziora Tadeusz gubi się w mieszaninie sprzecznych myśli i nastrojów. Rozmyśla o tym, że jezioro jest piękne, jak bywa tylko twór przyrody nieskalany „ulepszającym” dotknięciem cywilizacji ludzkiej. Rozmyśla, że jezioro jest bardzo swojskie, ale jednocześnie — przekleństwem swarliwej, krótkowzrocznej i małostkowej natury człowieczej — obce, może nawet wrogie. Na jeziorze o niespełna kilometr od brzegu płynie łódka. Nie jest to jednak łódź rybacka lub myśliwska, lecz łódź „pograniczników” litewskich, którzy strzegą, by nikt z tego brzegu nie śmiał naruszyć roześmianego w słońcu terytorium wodnego. W czystym powietrzu rysują się po tamtej stronie niebieskie wzgórza i zielone lasy. Dla nas jednak tamten brzeg jest zakazany, niedostępny. Tadeusza ogarnia więc złość na tych strażników strzegących jeziora! Ale w sekundę później przychodzi refleksja:

„Czy sami nie jesteśmy bez winy? Czy w tej kłótni, bądź co bądź rodzinnej, w której jesteśmy starsi, silniejsi i — podobno — rozumniejsi — nie zaniedbaliśmy czegokolwiek? jakiegoś ustępstwa, lub nawet tylko gestu? czy sami nie przyczyniliśmy się walnie do tego, że oto w naszych oczach legenda jagiellońska kruszy się i rozwiewa?...”

Jeszcze dalej na północ leżą miasteczko i jezioro Smołwy. Jezioro Smołwy jest urocze, lecz innym urokiem niż jezioro Święte. Jest mniejsze i nie olśniewa przepychem otwartej przestrzeni. Za to jest bardzo malownicze: toń jego przecinają podłużne wyspy i półwyspy — niby mierzeje. Na wyspach tych i mierzejach rosną stare drzewa, zaś drzewa roją się od gniazd czaplich. Czaple gnieźdzą się nad jeziorem Smołweńskim całym koloniami. Dziesiątki tych pięknych siwych ptaków — flamingów północy — siedzą na szczytach drzew nieruchomo, jak

by dumając. Białe chmurki, zielone drzewa, siwe czaple przeglądają się w cichym lustrze jeziora. Pięknie jest.

Z jeziorem Świętym i wsią Gajlutyszki łączy się jedno z najciekawszych wspomnień myśliwskich Tadeusza.

Zaraz za opłotkami Gajlutyszek zaczyna się cały system bagnistych jezior, strumieni, lunów, poprzecinany piaszczystymi smugami lasu sosnowego. Bagna gajlutyskie służyły na całą okolicę jako niewyczerpana „szpiżarnia” dzikich kaczek. Pewnego poranka lipcowego Musiek Zan, Tadeusz i strzelec Władziu (poleca się akcentować ostatnią sylabę) wybrali się do Gajlutyszek na otwarcie sezonu kaczego. Polowanie na bagnach gajlutyskich nie jest łatwe. Lusterka wody otwartej tylko z rzadka przeświecają wśród dżungli łóz, trzciny i sitowia, toteż najmniejsza nawet łódka nie przepcha się tamtędy. Należy więc „pilnować” na suchych smugach, a płoszenie kaczek powierzyć dobremu psu. Gończych nie mieli ze sobą, a stary gryfon Sprawnik po kwadransie bobrowania wylazł na suchy ląd z pokrwanionym od ostrej trawy nosem i odmówił dalszej pracy.

Szczęściem miejscowy chłop gajlutyski pożyczył im wielce ciętego na kaczki kundla, czyli, jak się wyraził, doskonałą „wyżę”. Ta to „wyża” pracowała wytrwale i skutecznie do wczesnego przedpołudnia. Kaczki zrywały się, strzały padały. Polowano więc w najlepsze. Słońce zaczynało przypiekać. Od wody niesło zapachem dzikiej mięty, od smug piaszczystych — wonią żywicy i macierzanki.

I oto spadła na nich niespodziewanie mała tragedia łowicka. Po jednym ze strzałów „wyża” zaskowytała boleśnie. Zdarzył się jeden z owych „nieprawdopodobnych” rykoszetów śrutu od wody, biedna „wyża” bowiem nie znajdowała się na linii strzału. Śmierć nieszczęśliwej „wyży” była naprawdę wzruszająca. Starczyło jej sił, lub raczej napięcia nerwów, nie tylko by się wygramolić z bagna, lecz nadto by przynieść w pysku znalezione w szuwarach kaczkę. A później położyła się na piasku, wyciągnęła się i w parę chwil już nie żyła. Legła na posterunku.

Tragedia tragedią, lecz przede wszystkim myśliwym groziło przedwczesne zakończenie polowania. Pies-emeryt Sprawnik, chyba piętnastoletni, o wyłysiałym i posiwiłym pysku, miał wprawdzie za sobą bogatą przeszłość wielkiego kacza na kaczki, lecz dziś był już za stary na ciężki teren gajlutyski. Sława myśliwska Sprawnika tonęła już wtedy w pomroce legendy: dziś był sławny raczej z niemilego zwyczaju kłapania za rękę każdego, kto przez nieświadomość pogłaskał go po głowie. Tego raczej przykrego staruszka brało się na polowanie przez wzgląd

należny wiekowi i zasługom, lecz pociechy z niego nie było prawie żadnej.

Gdy tak stali bezradnie na suchej smudze nad zwłokami „wyży”, zjawił się jej właściciel. Śmierć psa przyjął ze spokojem, z jakim prości ludzie godzą się ze zjawiskiem śmierci — nie tylko psów. Zresztą pewien był sowitego wynagrodzenia. Zamienił z Muśkiem parę zdań po litewsku, po czym dodał po polsku:

— No cóż... Przyślę wam moją dziewczynę. Tylko żebyście jej też nie podstrzelili.

— Co on gada? — zapytał zdziwiony Tadeusz.

Musiek uśmiechnął się pod podstrzyżonym wąsem, co oznaczało: „Zobaczysz”.

Wkrótce na terenie łowów zjawił się sukurs zgoła niezwykły. Była to dziewczyna lat szesnastu, w zgrzebnej koszuli i wypłowiałych perkalikach. W rękę trzymała długą tykę. Figurę miała krępą, lecz silną i zgrabną. Spod włosów koloru zleżącej słomy śmiały się niebieskie oczy. Z rumianej, nieco przyplaszczzonej buzi śmiały się białe, wyszlifowane razowcem zęby.

Przerwane polowanie rozpoczęło się na nowo. Nastka, bo tak było na imię tej Artemidzie z Gajlutyszek, bobrowała po najbardziej niebezpiecznej topieli płosząc kaczkę. Czasem zapadała po szyję w błoto, ale za chwilę znów była na powierzchni skacząc z jednej kępy na drugą, to znikając w ścianie sitowia, to wynurzając się w miejscach mniej grząskich. Gdy na jej drodze zjawiało się większe oko wody otwartej, przeprowiała się przez nią wpław. Gdy ubita kaczka wpadała w szuwały, Nastka rzucała się błyskawicznie w jej kierunku i z tryumfem podnosiła rękę ze znaną zdobyczą. Gdy po chwili inna kaczka spadała w innym miejscu bagniska, Nastka już była przy niej i „aportowała” jak najlepszy wyżeł. Czasem wychodziła na suchy grunt, mokra od stóp do płowych włosów, z sukienką lepiącą się do skóry w sposób bardzo posągowy, pachnąca dziką miętą i ajerem, z rękami i policzkami pociętymi do krwi i wymazanymi w błocie, a równocześnie bez śladu zmęczenia, śmiejąca się i szczęśliwa. Gdy tak wynurzała się z zielonego łąnu szuwarów na twardą smugę, jedną ręką wsparta o tykę, a drugą unosząca w górę cały pęk ubitej zwierzyny — banalne porównanie z Artemis-łowczynią nasuwało się mimowoli.

Kaczki rwały się z sitowia, jak z rogu obfitości. Grzmiały strzały. Nastka miotła się po terenie bagna opętana furią łowiecką. Obecność i zapach Nastki sprawił, że Władziu, wygodniś i filozof, też wlaź w błoto i starał się — oczywiście nieudolnie — współzawodniczyć z dziewczyną.

— Tu, tu kaczką! Pilnuj! — brzmiał śpiewny mezzosopran Nastki.

— Trzymaj, łapaj, nurkuje jak cholera! — wtórował baryton Władziuka.

Ferwor myśliwski doszedł zenitu, gdy zreumatyzmowany Sprawnik zapuścił się w szuwały i nawet zaaportował jedną kaczkę.

Po paru godzinach takich łowów myśliwi poczuli zmęczenie. Zasiedli do posiłku w cieniu starej brzozy, w suchej kotlince, gdzie rosły cząbry, babki, wonna żubrówka i dzikie goździki. Z początku posilano się w milczeniu zapijając stopkami wódki. Po paru kolejkach języki rozwiązały się i rozmowa zwyczajem męskim zeszała na Nastkę. Indywidualność dziewczyny zaimponowała zarówno Muškowi jak Tadeuszowi. Zarysowały się dwie „teorie”. Teoria Muška twierdziła, że Nastka jest wspaniałym okazem prymitywnej samicy i że jej zapał łowiecki jest tylko upustem dla pospolitych, choć może jeszcze niezupełnie dojrzałych instynktów. Druga teoria, której autorem był Tadeusz, głosiła, że dziewczyna jest nie tyle „dzieckiem natury”, ile w ogóle jeszcze dzieckiem, że jej pasja łowiecka jest tylko pasją łowiecką, a diabliki w oczach — oznaką zdrowia i siły witalnej.

Upał przypiekał. Po przekąsce przyszło jeszcze większe zmęczenie. Postanowili zdrzemnąć się do wieczora, a później spróbować szczęścia na innych terenach — bliżej domu. Ułożyli się na sianie w małej stodółce. Musiek zaraz zachrapał. Tadeusz długo nie mógł zasnąć: w sianie i w mchu między bierwionami ściany coś szeleściło; kąsały jakieś ostre źdźbła siana lub może pchły drapiącego się w pobliżu Sprawnika. W pewnej chwili za ścianą stodółki, zapewne z jej innego „przedziału”, doleciały przytłumione głosy: męski i kobiecy. Tadeusz poznał od razu trochę zachrypnięty baryton Władziuka i dźwięczniejszy mezzosopran Nastki. Słów nie można było rozróżnić. Władziuk coś długo wywodził tonem perswazji, na co Nastka odpowiedziała głośno:

— Ot, wymyślił coś takiego!

Potem znów zaszemrał, jak brzęczenie trzmiela, głos Władziuka i znów odezwała się Nastka:

— Szatanie, żeby ty lepiej by pękł!

Groźne życzenie nie stropiło chłopca, bo znów coś długo wywodził, aż Nastka odparła stanowczo:

— Poczekaj, poczekaj, jak dam w morda, to zobaczysz...

„Cóż — pomyślał Tadeusz — i propozycja poczekania i zbaczenia wcale nie zachęcająca!”

Później długo nie słysząc było głosów, a tylko szelest sia-

na. Wreszcie po dłuższej chwili Nastka odezwała się tonem jakby bardziej pojednawczym:

— Ten byk! Rozwalił się jak koń!

Nigdy ani przedtem, ani potem Tadeusz nie był świadkiem takiego spostonowania konia. I to w porównaniu z bykiem!

Na parę godzin przed zachodem słońca myśliwi — wyspani, wypoczęci i pełni ochoty do nowych wyczynów łowieckich — żegnali Gajlutyszki. Do wózka myśliwskiego podszedł ojciec Nastki. Zbliżyła się również Nastka. Gdy Musiek i Tadeusz wsunęli jej w rękę wynagrodzenie za pomoc w polowaniu, przez dłuższy czas trzymała pieniądze w otwartej dłoni nie rozumiejąc o co chodzi i uśmiechając się po dziecinnemu. Gdy wreszcie zrozumiała, zaśmiała się wesoło i uciekła w podskokach.

— Miałeś rację — powiedział Musiek — to jeszcze dziecko. Tadeusz nic na to nie powiedział.

Dopiero po kilku latach udało mu się znowu zapolować w Gajlutyszkach. Ale Nastki już nie było: poszła zamąż do pobliskich Smołów.

Kto wie: może w czasie częstych wędrówek myśliwskich w tamtych stronach zdarzyło mu się spotkać ją gdzieś na drodze. I może w jakiejś zaharowanej, przedwcześnie postarzałej babie litewskiej nie poznał gibkiej Artemis z Gajlutyszek.

## Rozdział XXII

### JELNO — PUSZCZA NIEZNANA

Rozległa jest kraina jezior. Szerokim pasem ciągnie się po obu stronach dwóch granic — z Litwą i z Łotwą. Dalszy szlak północnych wędrówek Tadeusza Irteńskiego biegł z Dukszt do Drui, wzdłuż wschodniej odnogi Szwajcarii litewskiej. Na „węzłowej” stacji Dukszty Tadeusz siadał do pociągu wąskotorówki. Odległość do Drui nie wynosiła w linii prostej więcej niż czterdzieści parę kilometrów, ale podróż trwała od wczesnych godzin rannych do późnego popołudnia, nie tyle dlatego, że pociąg szedł powoli, ile dlatego, że linia kolejowa wiła się w nieprawdopodobnych skrętach. Patrząc z okna wagoniku zdawało się czasem, że sapiąca lokomotywa zawraca pragnąc połączyć się z ogonem pociągu. Chodzi o to, że kolejkę wybudowali Niemcy jako szlak przyfrontowy i — aby utrudnić obstrzał pociągów ogniem artylerii lub z powietrza wykreślili linię toru w kształcie misternego węza. W ten sposób odległość Drui niemal podwoiła się i wynosiła około 80 kilometrów.

Ale podróż nie była nudna. Pozostawiwszy w tyle jezioro Dżisnę i minawszy jezioro Opiworde, ogrodzoną szczelnym pasem lunu, łóz i szuwarów, słynną na całą okolicę ze świetnych polowań na kaczki, zbliżano się do wielkiego jeziora Dryświaty, drugiego co do wielkości — po Naroczy — jeziora litewskiego. Na jeziorze tym jest wyspa, a na niej ślady zamku obronnego o tajemniczej, zatartej już w pamięci ludzkiej legendzie.

Od Dryświat już niedaleko do Braśławia, uroczego miasteczka powiatowego położonego nad całym systemem jezior: Drywiaty, Snudy i innych. Na jednym brzegu Drywiat bieli się piętrowy gmach, wybudowany już za czasów polskich i mieszczący starostwo i inne urzędy. Na drugim — dwór Belmont, własność pani Mikulicz-Radeckiej, z domu Potockiej, primo voto Platerowej.



Belmont słynał z tego, że cały wielki obszar leśny miał pocięty w kwadraty przemysłnym systemem kanałów dla spławu drzewa. Tadeusz zachował Belmont w dobrej pamięci, jako jedno z lepszych na Wileńszczyźnie tokowisk głuszcowych.

Piękne są jeziora brasławskie, bogate w zatoki, wyspy i półwyspy szumiące trzcinami. Z jezior tych wypływa bagnista rzeka Drujka, która wijąc się wśród łoż i olszyn płynie na północ-wschód, by przy miasteczku Druja złąć się z majestatyczną Dźwina. Na jakieś dziesięć lat przed ostatnią wojną nad całym systemem jezior brasławskich dokonano eksperymentu melioracyjnego, mającego na celu uszczęśliwienie miejscowej ludności, a który stał się smutnym przykładem nieprzemyślanej choć „planowanej” gospodarki. Z wielką reklamą i z nakładem niemałych kosztów przystąpiono do regulacji koryta rzeki Drujki. Spodziewano się nadzwyczajnych wyników. Sądono że bagnista Drujka stanie się rzeką spławną i żeglowną, a z toni jezior wydrze się wiele tysięcy hektarów, lecz zamiast spodziewanych łąk wyłoniły się olbrzymie i szpetne łysiny piasków i żwirów porosłych z rzadka skrzypami i rachityczną trawką. Fale Drywiat, które ongi pluskały o łagodnie wyniosłą plażę brasławską, cofnęły się o kilkaset metrów w głąb jeziora. Właściciele gospodarstw nadbrzeżnych mający przedtem wolny i bliski dostęp do wody zostali nagle oddzieleni od tej wody szerokim pasmem wydm jałowych. Wynikło tysiące zawikłań prawnych, najczęściej bowiem kto inny był właścicielem gruntu nadbrzeżnego, a kto inny — właścicielem wody, a więc i gruntów odwodnionych. A Drujka jeszcze bardziej zarosła łożami i zielskim i wcale nie stała się żeglowna. „Melioracja” brasławska pozostanie przykładem smutnym, lecz może nie beznadziejnym. Z biegiem lat nurt Drujki zamuli się, prąd jej się zwolni, poziom jezior brasławskich znów się podniesie, zeszepecony krajobraz powróci do dawnej krasy. A w legendzie lokalnej utrwali się po wieczne czasy nauka: nie poprawiaj przyrody!

Do Drui przyjeżdżało się pod wieczór. Dwór Druja — ongi siedziba rodziny Miłoszów — już nie istniał. Miasteczko Druja słynęło ze starożytnej synagogi z kunsztownie rzeźbionym „ołtarzem” drewnianym. Wjazd pociągiem do Drui był bardzo oryginalny: końcowa stacyjka wąskotorówki mieściła się w samym środku miasteczka, wjeżdżało się więc na „dworzec centralny”.

Tadeusz długo w Drui nie popasywał. W zajęzdzie już czekał furman Donat z Siećkowa, majątku Mietka Goryniewskiego, starego przyjaciela Tadeusza jeszcze z przedwojennego Petersburga.

Jazda końmi z Drui do Siećkowa miała dla Tadeusza urok

szczególny. Jechało się przeszło 40 kilometrów przez kraj mało zaludniony i raczej lesisty. Lasy były co prawda mocno podniszczone, ale zawsze były to lasy. Wsie polsko-litewskie urwały się gdzieś za Braślawiem i pozostały na zachodzie. Tu już była prawdziwa Białoruś. Krajobraz płaski. Tadeusz nie potrzebował nawet przyrykać oczu, aby czuć się tak, jak się czuł kilkanaście lat przedtem, gdy jeździł ze stacji Osipowicze kolei libawo-romeńskiej do rodzinnego Baćkowa. Te same sosny i sosenki. Te same szare wsie. Ten sam głuchy, usypiający turkot kół po gładkiej drodze „gruntowej”.

Od czasu do czasu Tadeusz wdawał się w pogawędkę ze starym Donatem, który był dyskretny i sam się nie narzucał z gadulstwem. Raz zadał Donatowi „chytre” pytanie: kiedy było lepiej — za czasów rosyjskich, czy teraz — za polskich? Odpowiedź Donata była pełna godności i zarazem czysto furmańska. Rzecz jasna, że teraz za Polaków lepiej! Czemu? Bo drogi lepsze i wprowadzono paszporty końskie, dzięki którym ukrócono koniokradztwo.

W Siećkowie Tadeusza powitał skowyt gończych spotykających gościa i atmosfera narad myśliwskich przy kieliszku. W naradach brał udział sąsiad Mietka pan Jan Kulikowski, właściciel uroczego dworku nad rzeką Dżisną. Należy mu się specjalne wspomnienie. Pomimo przekroczonej sześćdziesiątki miał w sobie tyle wigoru i zapału, że polując na pardwy i cietrzewie wytrwale spacerował po kołyszącym się kozuchu mchów, gdy młodszym od niego nogi omdlewały ze zmęczenia. Był też chyba jedynym na świecie wędkarzem, który w nikim nie budził uśmiechu dobroduszej drwiny. Nigdy nie siedział z wędką na jednym miejscu dłużej, niż godzinę. Dłuższe siedzenie bezczynne nad wodą byłoby niezgodne z jego nieostudzonym wiekiem temperamentem. Ale wiedział, w jakiej porze i gdzie wybrać się z ódźką. Jak i jaką zarzucić przynętę. Umiał specjalnie „drażnić” rybę, która chwyciła jego przynętę lekceważąc wędkę siedzącego obok wędkarza. Nigdy nie wracał z wyprawy wędkarskiej z próżnymi rękami. Był też rasowym myśliwym i — jak prawy myśliwy — był łgarzem. Przy czym łgarstwo jego, jak każde łgarstwo myśliwskie, było barwne, zajmujące, artystyczne. Sam wierzył w swoje bajki i inni w te bajki wierzyli.

W roku 1919, gdy już przekroczył pięćdziesiątkę, stanął na czele oddziału partyzanckiego współdziałającego z wojskiem polskim w walce z bolszewikami. Ciężko ranny z serii karabinu maszynowego — w piersi, brzuch i udo — i widząc jak jego towarzyszy broni dobijają bolszewicy doczekał się ukryty w krzakach ataku polskiej piechoty regularnej i — wyzwolenia. Cu-

dem wygoił się z ciężkich ran. Cudem — bo sam transport z pustkowiec, gdzie został ranny, do szpitala trwał kilka dni. Obdarzony listem dziękczynnym wodza naczelnego, syt sławy wojennej, mieszkał w rodzinnym dworku oddając się polowaniu i rybołówstwu. Zmarł na parę lat przed drugą wojną.

Narada myśliwska trwała krótko. Postanowiono wyruszyć nazajutrz na kilkodniową wyprawę na Mchy Jelniańskie.

Niezbyt daleko od ujścia Dżisny do Dżwiny, w widłach utworzonych przez obie rzeki, leży osobliwa puszcza mało znana w Polsce i chyba zupełnie nieznana poza jej granicami. Puszcza ta nosi nazwę „Mchy Jelno” albo „Mchy Jelniańskie” i zajmuje obszar około 200 kilometrów kwadratowych.

Jak sama nazwa wskazuje Mchy Jelno nie są puszcza w utartym „mickiewiczowskim” znaczeniu. Nie jest ona matecznikiem, gdzie po przebyciu borów i podszytych kniei „...trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni, obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni i siecią zielsk zarosłych”. Nie ujrysz tam ani drzew niebotycznych, ani polanek pachnących rozgrzanym w słońcu cząbrem, ani rzek leśnych toczących ciche wody pod sklepieniem drzew liściastych.

Roślinność Jelna to przede wszystkim mchy różnych gatunków nasiąkłe jak gąbka wilgocią i stanowiące tzw. kozuch, elastyczną i uginającą się pokrywę, będącą ciężką próbą dla wytrzymałości nóg ludzkich. Pod pokrywą mchu leży niezbadana co do swej głębokości warstwa torfu, mułu, rzadziej wody. Na mchu rosną skarłowaciałe brzoźki i sosenki, zwykle niższe od wysokości średniego wzrostu ludzkiego. Są one tak stare jak sama Puszcza, a nie dochodzą rozmiaru normalnych brzoź i sosen, gdyż gleba bagnisto-torfiasta nie dostarcza ich sokom dostatecznej mocy wegetacyjnej. Toteż rosną te karły porośnięte festonami osobliwego popielatego mchu i przez tysiące lat nie zmieniają swego nędznego wyglądu. Bliżej środka Puszczy zdarza się właściwa brzoza karłowata (*betula nana*), wielka rzadkość u nas, gdyż jest osobliwością regionów arktycznych. Jest ona wielką gratką dla uczonych botaników, ale dla ludzi niewtajemniczonych nie stanowi atrakcji, gdyż tylko znawca odróżni ją od setek tysięcy jej sióstr — brzoź skarłowaciałych.

Na bardziej „żywych” miejscach Puszczy, a mianowicie na jej brzegach oraz wewnątrz Puszczy na brzegach niezliczonych jezior i jeziorek rosną obficie brusznice, a poza tym wszędzie — jak seledynowo-różowe perły miliardami na mchach rozsypane — żurawiny. Rosną też czarne jagody i pokrewne im, tylko nieco mniejsze — pijanice. Pijanica są to smaczne jagody, którym

wieść gminna przypisuje właściwości odurzające. Nie jest to prawdą. Prawdą zaś jest, że pijanice rosną zwykle po społu z zielem krzaczastym zwanym bagnem, a po białorusku — bahunem. W spiekocie letniej bagno wydziela woń mocną powodującą odurzenie i ból głowy. Zbierając i przy tej okazji spożywając pijanice wdycha się równocześnie woń bagna, a skutki odurzenia przypisuje się niewinnym pijanicom. Nawiasem mówiąc ostra woń bagna wyzyskiwana bywa w celach gospodarczo-domowych, jako środek przeciwko robactwu, a przede wszystkim — molom. Na Mchach rośnie też jedyna w Europie roślina owadożerna — rosiczka, której listki pokryte włoskami i kropelkami lepu, podobnego do rosy, chwytają muszki i komary.

Tysiąc większych i mniejszych jezior i jezierek przerywa monotonię Mchów, poczynając od dużego dwukilometrowej długości jeziora Jelno, od którego cała Puszcza wzięła swą nazwę, a kończąc na maleńkich parometrowej średnicy bagienkach. Wszystkie te jeziora mają jednak wspólne cechy: toń bagnistą i czarną, brak sitowia lub trzciny u brzegów, szarpane kontury i niskie lecz dokładnie prostopadłe brzegi — jak gdyby ręka jakiegoś kataklizmu wydarła pokrywę torfowego „kożucha” i odkryła ich toń.

Jakie jest geologiczne pochodzenie tej olbrzymiej przestrzeni mszaru? Jedni twierdzą, że jest to trup wielkiego jeziora, stopniowo — wiekami — zarastającego trawą, a następnie mchem. Inni, że był to „atak” mchów na skąd inąd urodzajną ongi glebę. Zjawisko takiego ataku było obserwowane i notowane w ciągu jednego pokolenia w krajach północnych, np. w Finlandii. Drugie przypuszczenie jest o tyle prawdopodobne, że cały obszar Puszczy jest położony wyżej nad poziomem morza, niż ziemie okoliczne, czego dowodem, że z jeziora Jelno wypływa rzeczka Jelnianka, która opuszczając Mchy i tocząc swe wody wśród pól urodzajnych wpada następnie do rzeki Dżisny — dopływu Dźwiny. Jedno nie ulega wątpliwości: przed dziesiątkami lub raczej może — przed setkami tysięcy lat na przestrzeni dzisiejszych Mchów szumiała „prawdziwa” puszcza, rosły niebotyczne sosny. Z czarnego torfiastego dna jeziora często wyłowić można prastare, niemal skamieniałe korzenie dawnych sosen, a nawet całe pnie tych drzew wraz z korzeniami. Pnie te oglądane z góry przez taflę jeziora robią wrażenie olbrzymich białawych pajaków spoczywających na dnie błotnistym. Włóścianie wydobywają te pnie, suszą je i palą nimi w kominie, jak normalnymi „smolakami”. Można tedy zaryzykować „teorię”, że przed tysiącleciami bory uległy inwazji mchów.

Faunę Mchów stanowią gatunki zwierzyny pospolite w ogó-

le we wschodniej Europie. Gnieźdzą się więc tam wilki mające na Mchach swe ostoje i czyniąc z nich bliższe i dalsze wyprawy rozbójnicze. Przechodnio zagląda tam ryś gnieźdzący się w okolicznych lasach. Z rzadka zjawia się łoś z łopatami potężnych rosochów na łące brodatym. Na brzegach Mchów, bliżej kultury pól uprawnych, przebywa zwykły zając-szarak. Głębiej w Mchach żyje jego kuzyn zając-bielak, który zimą zmienia swą letnią szarą szatę w śnieżnobiałą. Ale najcenniejszą zwierzęcą Puszczę stanowią pardwy (*lagopus*). Pardwa, rodzona siostra szkockiego ptarmigana, ma tę właściwość, że — rdzawobrązowa latem z białymi tylko skrzydłami — zmienia na zimę swą barwę ochronną na inną szatę, również ochronną — całkowicie białą. Ma więc pardwa podobną właściwość, co i zając-bielak. O ile jednak bielak jest pospolity nawet na Polesiu, o tyle granicą południowo-zachodniego zasięgu pardwy jest linia biegnąca mniej więcej dokładnie wzdłuż linii kolejowej Libawa-Wilno-Mińsk Litewski. Pardwa więc znaczy swym zasięgiem granicę przejściową dwóch klimatów: środkowo-europejskiego i „palearktycznego”.

Biała szata ochronna staje się dla pardwy zgubna w zimy bezśnieżne, gdyż wtedy — widoczna dla oka z dużej odległości — staje się łatwą zdobyczą swego najgorszego (po człowieku!) wroga — jastrzębia-gołębiarza. Inną plagą wyniszczającą pardwy są pożary mchów zdarzające się w okresach wielkiej suszy. Torf i rosnące w nim mchy są zwykle nasycone wilgocią, lecz gdy wyschną, wystarczy iskierki, aby pożar zjadając powoli torfiaste podłoże pustoszył setki hektarów Puszczę. Pożaru takiego nikt nie może ugasić: ustaje sam gdy dotrze do wód jednego z jezior lub do niższych, zawsze wilgotnych partii Puszczę. Pożary mchów stanowią jednak okresowe użyźnianie Puszczę w drodze naturalnej: spopielałe i zwęglone cząstki roślinności są cennym nawozem, na którym w latach następnych widzimy wielki urodzaj jagód i traw.

Pardwa jest wielką atrakcją dla myśliwego. Poluje się na pardwy z wyzłem, jak na kuropatwy, nie jest to jednak łatwe polowanie. Chodzenie z wyzłem dziesiątki kilometrów po uginającym się, jak materac sprężynowy, kożuchu mchów wymaga zdrowych płuc i serca oraz stalowych nóg, zarówno u myśliwego, jak u psa. Nieraz niedoświadczony myśliwy miejski po paru godzinach takiego polowania pada wyczerpany na mszarne postanie przeklinając chwilę, gdy zdecydował się wyruszyć na pustynię jelniańską. A obok niego z wywieszonym jeźdźcem ciężko dyszy wyżeł patrząc z wyrzutem w oczy pana, który go zabrał na te trudne i niewdzięczne łowy, zamiast zadowolnić się

łatwym podchodzeniem kuropatw po twardym i gładkim jak stół rżysku. Ale jakież to rozkosz dla ucha i oka myśliwskiego, gdy wreszcie wyżeł zrobi klasyczną stójkę a z mszarnego kobierca poderwie się z furkotem stadko pardw błyskając białymi skrzydłami w słońcu sierpniowym. Młode pardwy zrywają się wydając piskliwe kwilenie, a stary kogut odzywa się głosem podobnym do gardłowego śmiechu: gar-gar-gar. Stąd też chłopci nazywają koguta-pardwę gargatunem. Strzał do pardw nie jest trudny — nie trudniejszy niż do kuropatw lub cietrzewi. Ale myśliwy zmęczony godzinami wędrówki po mszarach, z bijącym od emocji sercem i drżącymi rękami nieraz pułtuje. To też polowanie na pardwy nie należy do wydajnych. Jest to polowanie wybitnie „amatorskie” i pociąga tylko bardzo zajadłych i bardzo wytrwałych łowców.

Na wiosnę pardwy-koguty, podobnie jak wszystkie inne ptaki z rodziny kurowatych, odbywają gody weselne, czyli — tokują. Toki pardw, w przeciwieństwie do toków głuszców i cietrzewi, nie bywają wyzyskiwane dla celów łowieckich, przede wszystkim dlatego, że pardwy nie trzymają się stale tych samych tokowisk. Zobaczyć, lub raczej posłyszeć toki pardwie jest dziełem przypadku przy okazji polowania na inną zwierzynę. Kto jednak raz w życiu nasłuchał się w noc wiosenną przed świtem głosów pardwy, ten wrażenia tego nigdy nie zapomni. Z odległego mszaru, w dzwoniącej ciszy pustkowie odzywa się na przemian coś niby płacz dziecka, potem niby stękanie konającego, a wreszcie niby wybuch szyderczego śmiechu. Znałem myśliwego, któremu włosy zjeżyły się na głowie, gdy siedząc w budce na cietrzewie posłyszał po raz pierwszy w życiu wiosenne stękania i śmiechy pardw. Pomyślał, że to dusze potępione nawołują się na zaklętym bagnie. Uciekł kłusem do domu zapominając w budce strzelby i pasa z ładunkami.

Inną osobliwością fauny mchów jest nur polarny (colymbus arcticus). Przelotnie zjawia się wiosną i jesienią w całej Europie, ale na jeziorach jelniańskich jest — podobno — ptakiem lęgowym.

Jeziora jelniańskie są bogate w ryby. Ryby, a zwłaszcza szczupaki jelniańskie dochodzą do wręcz fantastycznych rozmiarów i wagi. Trzy są główne tego przyczyny. Po pierwsze jeziora mszarne, choć niezbyt głębokie, nigdy nie wymarzają do dna, nawet w zimy najostrejsze, co należy zapewne tłumaczyć istnieniem cieplejszych źródeł podwodnych, tzw. krynic. Po drugie — Mchy Jelniańskie są położone w rzadko zaludnionej okolicy, a nadto jeziora leżą daleko od brzegów. Toteż rybak legalny i kłusownik rybny rzadko odwiedzają te pustkowie. Po

trzenie — toń jeziora pełna jest ostrych pni i korzeni niszczących sieci. Najczęściej używanym narzędziem połowu jest nie sieć, lecz tzw. błyskotka (po białorusku „darożka”), ciągniona z łódki na cienkiej linie. Złowienie na błyskotkę 15-kilogramowych szczupaków nie należało do rzadkości. Szczupaki te miały głowy wielkości głowy paromiesięcznego żrebaka. A jedna z legend jelniańskich głosi o złapaniu szczupaka, którego głowa była wielkości łba dorosłego konia. Ten musiał ważyć ze 200 kilogramów! Niestety, nikt tej wagi nie sprawdził, bo linka błyskotki nie wytrzymała ciężaru i pękła, a olbrzymi szczupak, jak legendarny wąż morski, znikł na zawsze w czarnej toni jeziora Jelno.

We wschodniej części Mchów, nad brzegiem jeziora Jelno, ciągnie się wąski pas wysokiego i żyznego gruntu o powierzchni kilkudziesięciu hektarów. Jest to jedyna urodzajna „wyspa” wśród mszarnej pustyni. Jest tam parę osiedli ludzkich i kilka hektarów ziemi uprawnej. Resztę wyspy pokrywa las wysokich „prawdziwych” drzew: sosen, brzoź, dębów, osin, a nawet wiązów. Osiedla tej wyspy są przeważnie schroniskami dla wypraw myśliwskich i z tego żyją. Tu ściągają się ekspedycje ze „stałego” łądu tu odbywają się odpoczynki i noclegi, stąd wyruszają wyprawy w głąb Mchów. Od okresu puszczenia lodów aż do późnej jesieni wyspa ta jest zamknięta dla pojazdów konnych. Dostać się na nią można tylko pieszo — wąską lecz twardą ścieżynką wzdłuż rzeczki Jelnianki. Tą ścieżką zdążają wyprawy myśliwsko-rybackie. Trwają one po kilka dni, bo krótki pobyt na wyspie nie opłaca się.

Pan Jan Kulikowski, Mietek Goryniewski i Tadeusz Irteński ruszają więc na czele dzisiejskiej „safari”. Za nimi idą gęsiego gajowi i przewoźnicy dźwigając wiosła, zapasy żywności, drzewo opałowe, naczynia kuchenne, przybory rybackie, koce, ekwipunek myśliwski. Nie zapomniano o samowarze dźwiganym przez jednego z tragarzy. Ścieżka wiję się wśród puszczy coraz głębiej i głębiej. Łagodne wzgórze „suchego łądu” ginę za nimi na horyzoncie. Zaczyna się mszar. Podróż do wyspy trwa kilka godzin. Wreszcie w oddali, na przeciwległym brzegu jeziora Jelno ukazują się szczyty wyższych drzew ozłocone zachodzącym słońcem. To wyspa i cel podróży.

Zanim wsiedli do oczekującej łodzi, z małej chatki wychodzi jakieś straszdyło leśne — tak zarośnięte i skudłaczone, że w półświatle zapadającego zmierzchu zdaje się nie mieć oczu. Na pytania Mietka odpowiada monosylabami mało podobnymi do mowy ludzkiej.

— Zapamiętaj go sobie — mówi Mietek półgłosem do Tadeusza — jest to Tarzan jelniański, który od kilkunastu lat krokiem nie ruszył z obszaru Mchów. Zapomniał też prawie mowy ludzkiej, bo mieszka w tej chatce samotnie i nie utrzymuje stosunków z mieszkańcami wyspy. Żywi się rybą i miodem leśnym. Żywiłby się zapewne plackami z szarańczy, gdyby nie to, że na Mchach nie ma szarańczy. Jest to prawdziwy człowiek leśny z gatunku, którego poza Jelnem nie spotyka się nigdzie. Chyba gdzieś w najdzikszych zakątkach Polesia...

Po godzinie myśliwi przepławili się przez jezioro i wylądowali na wyspie. Po spożyciu kolacji złożonej ze smażonych ryb jelniańskich padli na posłania wymoszczone świeżym sianem i zasnęli, aby nabrać sił przed czekającymi ich nazajutrz trudami myśliwskimi.

O wschodzie słońca, po spożyciu krótkiego posiłku, ruszyli na Mchy. Chodząc po mchach trzeba wystrzegać się żmij. Inna legenda jelniańska podaje, że na Mchach rośnie cudowne ziółko, będące niezawodnym lekiem na ukąszeniu żmii. I podobno pies ukąszony przez żmiję znika z oczu pana i kryje się na Mchach, gdzie samotny, zaszyty w niedostępne gęstwiny, zajada zbawcze ziele i sam się leczy. Pan już go uważa za straconego, tymczasem po paru tygodniach pies powraca do domu wynędzniały i wychudzony, lecz zdrow jak ryba. Legendę o tym ziółku opowiadał Tadeuszowi pan Jan Kulikowski. Opowiadał też że z jego inicjatywy na Mchy wybrała się cała komisja zielarsko-lekarska w poszukiwaniu cudownego ziele. Z jakim wynikiem — nie wiadomo.

Im dalej od brzegów Puszczy lub od brzegów wyspy, im głębiej w serce mszarne ostępu, tym krajobraz staje się dzikszy, bardziej pustynny i — niesamowity. Obcy przybysz coraz częściej rozgląda się wśród monotonnej pustyni szukając jakiegoś punktu, na którym wzrok znalazłby oparcie i drogowskaz. Na próżno. Jak okiem sięgnąć — mchy, mchy, mchy — i bliźniaczo podobne do siebie „mchem brodate” sosenki i brzoźki. Wysokie drzewa wyspy dawno znikły na horyzoncie, więc przybysz coraz częściej ogląda się na przewodnika, bo bez niego zabłądzić wśród mszarnej jednostajności nie trudno, zwłaszcza jeśli chmury pokryją niebo i zniknie ostatni i jedyny drogowskaz — słońce.

A zabłąkanie wśród Mchów nie jest fraszką. Faktem jest, że w „jądrze gęstwiny” Puszczy znajdowano kości ludzkie. Wedle jednej wersji były to kości partyzantów z wojny roku 1919, wedle innej — kości włościanek, które w poszukiwaniu żurawin i brusznic zabłądziły i zmarły z głodu i wycieńczenia. Istotnie



— w dni pochmurne i noce bezgwiazdne, gdy niebo nie daje orientacji, już w odległości paruset kroków od „brzegów” wszystko dokoła rozplywa się w niepokojącej jednostajności i tylko miejscowi znawcy ścieżek wilczych umieją odnaleźć właściwy kierunek wśród mszarnego morza.

Zabłądzenie nie jest jedynym niebezpieczeństwem czyhającym na przybysza. Im głębiej do środka Mchów, tym teren staje się wilgotniejszy. Mech z rdzawozielonkawego staje się jednolicie zielony. Kozuch jest coraz cieńszy i już nie ugina się, a po prostu faluje pod stopami. Za każdym krokiem woda z bulgotaniem wypływa spod kozucha i sięga kostki, potem łydki. Za każdym krokiem rachityczne sosenki i brzoźki kołyszą się w takt falowań mszarnego kozucha. Słowem — wstąpiliśmy na „lun”, który jednak w tych stronach nie nazywa się lunem. Coraz częściej napotyka się zdradzieckie „okna” porośłe złudną zieloną trawką. Zresztą spacer po partiach Mchów, gdzie są „okna”, mają charakter wyłącznie sportowo-eksploratorski. Są to bowiem ostępy zupełnie dzikie i jałowe: nie ma tam ani jezior rybnych, ani pardw, ani w ogóle żadnego śladu życia zwierzęcego. Partie te robią wrażenie niesamowite: wyczarowują wizje jakiegoś kraju egzotycznego, może nawet jakiejś innej planety — coś z wizji księżycowych Wellsa i Żuławskiego.

Z wycieczek na Mchy Jelniańskie dwa epizody utrwaliły się w pamięci Tadeusza.

Samotrzcę z Mietkiem i gajowym idą za „ściągającym” wyżłem. „Pardwy” — szepcze gajowy. Wyżel robi stójkę. Zrywają się pardwy: najpierw kogut z szyderczym gar-gar-gar, potem młode z żałosnym kwileniem. Grzmią strzały. Dwie pardwy padają miękko na mech. Reszta stadka miga półkolem nad mszaryną. Nagle z niewidzianego punktu obserwacyjnego wyrwa się nieproszony myśliwy-rywal. Jest nim jastrząb-gołębiarz. Zaczyna ściągać uchodzące pardwy, odbija jedną sztukę, uderza na nią z góry i spada na mech. Sypią się białe pióra. Bezczelność skrzydlatego kłusownika oburza myśliwych. Spieszą na „ratunek” pardwie. Jastrząb widząc zbliżających się ludzi porzuca zdobycz i odlatuje. Myśliwi podchodzą do miejsca „zbrodni” pewni, że znajdą martwą już pardwę. Ku ich zdumieniu nie tylko żyje, lecz zrywa się do lotu. I wtedy staje się rzecz z myśliwskiego punktu widzenia nie tylko zrozumiała ale konieczna: grzmi strzał i pardwa spada — tym razem martwa na dobre. Uszła szponów skrzydlatego drapieznika, by za chwilę paść z ręki najstraszniejszego z drapieźców — człowieka.

Drugi epizod. Tadeusz jedzie łódką po czarnej toni jeziora

Jelno w towarzystwie pana Jana Kulikowskiego i przewoźnika. Siedzi w tyle łodzi.

— Potrzyмай pan linkę błyskotki — mówi pan Jan — bo na Jelnie jest prymieta, że ten, kto po raz pierwszy zarzuca tu błyskotkę, zawsze złapie rybę.

Tadeusz zgadza się z pobłażliwym uśmiechem, obcą mu jest bowiem pasja rybacka. Trzymana linka „nie reaguje”: jakoś ryby nie biorą się na migotliwą przynętę. Jezioro Jelno składa się z dwóch części połączonych przesmykiem zwanym „kanałem”. Brzegi kanału, jak brzegi wszystkich wód jelniańskich, są niskie, lecz zupełnie prostopadłe: dwie ściany czarnobrunatnego torfu. Nad nimi piętrzą się wykroty, korzenie i pokręcone kształty brzołek i sosenek, gąszcza bahunu i innych zielsk. Wyrazy „piętrzą się” nie są przesadą. Ta nędzna roślinność oglądana z dołu — z poziomu powierzchni wody wydaje się być kilkakrotnie większa i przeto prezentuje się imponująco. Ma się złudzenie — jakąż zresztą moc innych, wręcz fantastycznych złudzeń przeżywa się na Jelnie! — że się płynie jakimś prawdziwym kanałem wrytym poprzez dżunglę bujnej egzotycznej roślinności. Nagle Tadeusz poczuł w dłoni delikatne drgnięcie linki.

— Bierze się — powiedział cicho.

A jednocześnie, mimo że nie był rybakiem z zamiłowania, poczuł bicie serca, bo przeleciały mu błyskawicą przez głowę opowieści pana Kulikowskiego o olbrzymich szczupakach złowionych na błyskotkę na Jelnie. Kto wie — może właśnie złowił owego legendarnego szczupaka z głową wielkości łba końskiego. Po przybyciu do brzegu i zwinieniu linki — rozczarowanie: szczupak był ładny, ale tylko pięciokilowy!

## Rozdział XXIII

### NAD BEREZYNĄ NIEMEŃSKĄ

Nieraz przy kawie z koniakiem Tadeusz lubił kokietować rozmówców oświadczeniem, że uważa się za emigranta. W pewnej mierze było to słuszne, bo traktat ryski przepołożył kraj nazwany przez Poetę „niezastąpioną zieloną moją ziemią białoruską”. Strony rodzinne Tadeusza, podobnie jak strony rodzinne Leonarda Podhorskiego-Okołowa, pozostały po złej stronie linii granicznej. Lubił też Tadeusz podkreślać, że Wilno jest jego przybraną ojczyzną. W tym jednak było tylko pół prawdy. Po kądzieli Tadeusz był Wilnianinem. Pani Irteńska urodziła się w Malinowszczyźnie powiatu ongi oszmiańskiego, a później młodeczańskiego. Stąd też Tadeusz czuł do Wileńszczyzny coś więcej, niż sympatię do przybranej ojczyzny. Choć sam wyzuty z właności ziemskiej, czuł się ziemianinem in partibus infidelium. Na urlopy wyrwał się nie na zachód lub nad morze, lecz do majątku jednego z bliższych lub dalszych krewnych albo przyjaciół na Wileńszczyźnie. Przynajmniej raz do roku bywał w Jachimowszczyźnie wuja Wacława Świętorzeckiego.

Od Połocka w kierunku południowo-zachodnim, niezbyt daleko od granicy „ryskiej”, biegnie linia kolejowa. Liniję tę, zwaną za czasów rosyjskich drogą żelazną Siedlce-Bołogoje, zbudowali Rosjanie jako linię strategiczną, ponoć na żądanie Francuzów w myśl tajnej klauzuli aliansu franko-rosyjskiego. Faktem było, że za czasów rosyjskich i ruch pasażerski i ruch towarowy były tam minimalne. Nie wiem czy za czasów Polski niepodległej linia ta zachowała swe znaczenie strategiczne. Wiem tylko, że jeśli nie liczyć ruchu lokalnego, mało kto tam jeździł i że na wschód od tej linii topiono wiele milionów złotych w przygraniczne bagna, rojsty i mszary budując naszą wschodnią linię Maginota: to rąbano lasy, to znowu je ochraniano; to od-

wodniano bagna, to znowu je nawodniano — wszystko zgodnie z arkanami strategicznego planowania. Ktoś cieszył się, że może rąbać las nie tylko bez pozwolenia ale z zachęty władz. Ktoś inny sarknął, że mu każą rąbać tokowisko głuszcowe. Zapewne zacierał ręce referent strategii leśnej w Dowództwie okręgu korpusu w Grodnie...

Jadąc do Jachimowszczyzny wysiadało się na stacji Połoczany. Piękna nazwa — emanująca jakieś echa prasłowiańskie. Stacyjka i wieża ciśnień — białe i w stylu „polskim”. Biała wieża ciśnień panowała z wyniosłego wzgórza nad całą — położoną na południu — doliną rzeki Berezyny (niemeńskiej) — nad wielokilometrowym pasem łąk, mchów i lasów. Była punktem orientacyjnym widocznym z bardzo daleka: z Zabrzezia, Siedliszcza, Chołchła, Chorzowa, może nawet Gródka. Nocami, gdy wzgórze połoczańskie pogrążone było w mroku, z dalekiego Chołchła lśniła, jak gwiazda zachodząca, latarnia elektryczna, którą ustawił Moskal-oryginał pan Włodzimierz Czajkin. On też staw koło swego dworu kolorowymi lampionami iluminował, żeby piękniej było...

O panu Włodzimierzu Czajkinie można by długi rozdział napisać. Tu powiem tylko, że był to człowiek, który piękny majątek Chołchło otrzymany w posagu za żonę, córkę rosyjskiego generała, nie przepił lecz przejadł. Tak np. wydawał co miesiąc wielkie sumy na sprowadzony via Ryga autentyczny kawior astrachański i inne smakołyki. Sam był pochodzenia dość ciemnego. Zarzucano mu wiele grzechów: łgarstwo, bufonadę, rozrzutność, życie ponad stan, zaprzepaszczenie majątku żony. Prócz tego zarzucano mu, że jest bolszewikiem. Był to oczywisty nonsens. A plotka, że jest bolszewikiem, powstała w taki sposób. Uchodząc latem 1920 przed inwazją bolszewicką został na stacji Oszmiana ogarnięty przez oddział bolszewicki. Bolszewicy zapragnęli zlikwidować go „w krótkiej drodze” i postawili pod ścianką. Wtedy pan Czajkin krzyknął:

— Cóż, strzelajcie! Ale pozwólcie mi przed śmiercią wysłać telegram do Iljicza.

— Do jakiego Iljicza?

— Do Włodzimierza Iljicza Lenina, mego przyjaciela.

Żołnierze zawahali się, zaczęli się naradzać i wreszcie postanowili odłożyć egzekucję. Nocą pan Czajkin wymknął się z nieszczęelnego aresztu i tużając się w ukryciu doczekał się po dwóch miesiącach powrotu władz polskich. Byli jednak świadkowie jego inwokacji Lenina i z ich to inicjatywy przyklepiono panu Czajkinowi etykietkę „bolszewika”.

U stóp stacji — wieś i folwark Połoczany. A o parę kilo-

metrów dalej — wieś, kościół i dwór Oborek, dziedzictwo prastarej rodziny Dederków. Dom drewniany, stary, w podkowę zbudowany. Oborkiem władała do ostatka pani Wanda z Dederków Eynarowiczowa, matka Stasia i Wicia Eynarowiczów i ciotka Tadeusza. Kościół co roku na św. Rocha ściągał tysiące ludności, zarówno katolickiej jak prawosławnej na jarmark zwany festem. Setki wozów, bryk, bryczek i linijek, rzenie koni, kolorowe chusty i staniki, język białoruski przemieszany z gwarą wileńsko-oszmiańską. Wszystko zalane słońcem sierpniowym. Pięknie było.

Porzucamy Oborek i Połoczany, przecinamy linię kolejową w kierunku północnym i wjeżdżamy na gładką, wysadzaną lipami i jarzębinami drogę wśród pięknych pól uprawnych. Droga skręca na lewo i zmienia się w dość głęboki gliniany parów. Zjeżdżamy w obszerną dolinę. W dolinie tej otoczony ze wszystkich stron przez wzgórza lesiste leży dwór Jachimowszczyzna.

Dziwny to dwór. Stary, ongiś piękny i pojemny dom mieszkalny stoi w ruinach. Rolę dworu pełni skromna lecz murowana oficyna. Gdy gdzie indziej tzw. obszarnik zaczynał odbudowę zniszczeń wojennych od domu mieszkalnego, właściciel Jachimowszczyzny pan Waław Świętorzecki domu w ogóle nie odbudowywał. Natomiast co roku przybywał tam nowy nabytek gospodarczy: stajnia, obora, czworaki dla służby, gorzelnia. Gdy gdzie indziej ziemianin ledwo wiązał końce z końcami wycinając resztki lasu bez planu i opamiętania, pan Waław las zazdrośnie ochraniał, a na opał sprowadzał węgiel górnośląski. Gospodarstwo jachimowskie było żywym zaprzeczeniem modnej ongi teorii ekonomicznej, że czysta renta ziemiska, tj. dochód z samej roli bez przemysłów rolnych, nie opłaca się. Widocznie się opłacała, skoro jeszcze na szereg lat przed budową gorzelni gospodarstwo nie tylko przynosiło dochód, ale w roku zdaje się 1928-ym zapłaciło samego podatku dochodowego około 30 tysięcy złotych. A dodajmy, że nigdzie w okolicy służba folwarczna nie miała tak dobrych warunków mieszkalnych oraz pracy i płacy, jak w Jachimowszczyźnie, co nawet było powodem sarkań na „niesolidarność” ze strony ziemian-sąsiadów. I co oczywiście nie przeszło do dzieła, że Jachimowszczyzna i jej właściciel znaleźli się parokrotnie na agendzie interpelacji sejmowych z powodu „wyzysku klasy pracującej” i „feudalnych” stosunków między właścicielem a służbą.

Już po paru godzinach pierwszego pobytu we dworze jachimowskim przybysz czuł „że w tym domu dostatek mieszka i porządek”. Praca wrzała intensywna, nieustanna, lecz cicha. Nie było krzyków, ani hałasu. Wszystko szło dosłownie jak w ze-

garku, który, jak wiadomo, jest tym lepszy im cichszy ma werk. Drugim wrażeniem było wrażenie zdrowia. Moralnego i fizycznego. Czerstwe oblicze gospodarza. Trzy piękne i hoże córki, jedna ładniejsza od drugiej, a każda w swoim rodzaju: jedna jak łania czy jak topola (w zależności czy kto lubi porównania ze świata zwierzęcego czy roślinnego); druga jak apetyczna bułeczka na masle (specjalność kuchni jachimowskiej); trzecia — jak żywe srebro, coś jakby gwiazda filmowa w poczwarcie. A wszystko roześmiane, śpiewające, wesołe, przylepne. Nic więc dziwnego, że gdy latem dwór z przyległościami roił się od goszczącej tam młodzieży — praktykantów, kuzynów, kolegów syna gospodarza — w oficynie i w alejach cienistego parku unosił się zaraźliwy, upojny, nasycony wonią lewkonii i kwiatów tytoniu — opar zakochania.

A polowania jachimowskie? Te były zawsze udane, bo zawsze doskonale zorganizowane. Czy z czółna na kaczki na bagnistych zatokach Berezyny, czy wiosenne na kaczory z krykuchą, czy zimowe z naganką — nie było złych polowań w Jachimowszczyźnie. Ale najśłynniejsza była Jachimowszczyzna ze świetnej tressury wyźłów. Treserem był strzelec Michałko Korabiel, który doszedł do swej umiejętności nie drogą studiów teoretycznych, lecz tylko własną praktyką, oczywiście pod kierownictwem pana Wacława, był bowiem małopięsiennym chłopem białoruskim. A wśród wyźłów jachimowskich głośny był w całej Polsce i parokrotnie opisany w prasie łowieckiej Mars, „wyżeł wszechstronny”, który nie tylko świetnie tropił i wystawiał zwierzynę, nie tylko ją „anonsował” (myśliwi wiedzą jak rzadkim zjawiskiem jest wyżeł z „anonsem”!), nie tylko „obcinał” ją, gdy „ciekła”, tj. zabiegał ją od frontu gdy umykała na piechotę, aby zapobiec zerwaniu się do lotu poza osiągalnością strzału, ale ponadto — jak gdyby był obdarzony ludzkim rozumem — orientował się z jaką zwierzyną ma do czynienia i w miarę potrzeby, np. przy spotkaniu się z dziką kaczką, porzucał rolę klasycznego legawca, a stawał się płochaczem! Takim to wyżłem był Mars, który w innym kraju, gdzie zwierzęta są w większym poszanowaniu, doczekałby się zapewne pomnika.

Na głuszcze na toku jeździło się drogą okrężną na drugą stronę Berezyny do uroczyska Czerkassy. Przez długie lata sądzono, że uroczysko Czerkassy należy do pana Czajkina, który też podarował panu Wacławowi Świętorzeckiemu wyłączne prawo polowania na tym uroczysku. Dopiero później wyszło na jaw, że Czerkassy są własnością profesora Sieńkowskiego, który zresztą polowaniem się nie interesował i zatwierdził prawa Jachimowszczyz-

ny do głuszców czerkaskich. Tak czy inaczej pierwszego głuszca na Wileńszczyźnie Tadeusz ubił na uroczysku Czerkassy. (Pierwszego w życiu głuszca ubił przed wojną w Dobośni pana Edgara Bułhaka w powiecie bobrujskim, a później ubił kilka głuszców na Polesiu).

Przez mszar, przez labirynt sosenek, łóz, brzózek i kępin ciągnie się wąż białawy kładek. Nazwa „kładki” jest eufemizmem. Myliłby się ten, kto by sądził, że są to wygodne i szerokie deski. Nic podobnego. Kładki — to potrójny, a czasem tylko podwójny rząd długich i wąskich żerdzi brzożowych z rzadka przy-mocowanych gwoździami do głęboko wbitych w bagno palików, częściej luźno rzuconych na mech, czasem związanych łykiem lub zardzewiałym drutem, czasem niczym nie związanych. Chodzenie po takich kładkach wymaga wprawy. Najlepiej chodzić po nich opierając się o długi kij — taki jakiego na rycinach używają piel-grzymi. Nieraz zmurszała żerdź trzaśnie pod nogą, nieraz stopa pośliznie się i wtedy noga zapada w wodnistą maź, ale tylko po kostkę: jest wczesna wiosna, mchy jeszcze nie puściły i podło-że mchu jest zamarznęte.

Wąż kładek wije się bez końca. Choć słońce zniża się ku zachodowi, Tadeusz ma wrażenie, że na mszarynie zaczyna się upał. Wpierw rozpina więc, a potem zrzuca i wręcza gajowe-mu Waclawowi Łuszczycowi kozuszek.

W pewnym miejscu kładki się kończą. Gajowy objaśnia szeptem, że tokowisko jest stąd niedaleko — o jakieś pół ki-lometra. Towarzysz Tadeusza — mniej wprawny w polowaniu na głuszce — idzie z Łuszczyciem wprost przed siebie, Tade-usz ma skrócić na lewo i zatrzymać się na miejscu odległym o 500 kroków. Zostaje więc sam. Wiedząc już z własnego do-świadczenia, jak łatwo jest zabłądzić na mszarze, zwłaszcza w nocy, ucieka się do sztuczki „traperskiej”: wyciąga z kieszeni plik zawczasu pociętych gazet. Jedną płachtę — większą — za-wiesza na sosence w miejscu, gdzie się kładki kończą; będzie to znak punktu wyjściowego. Potem idzie we wskazanym kie-runku i po drodze przyczepia od czasu do czasu do sosenki lub brzózki skrawek papieru bacząc, by każdy ze skrawków był wi-doczny z najbliższego punktu. Wreszcie zatrzymuje się. Wybiera większą sosenkę i zawiesza na niej drugą dużą płachtę: będzie to znak miejsca podsłuchów.

Siada na względnie suchej kępie opierając plecy o pień so-senki. Słońce właśnie zachodzi. O tej wczesnej porze toków głuszce zapadają późno, czasem w godzinę po zachodzie słońca. Siedzi i czeka cierpliwie zasłuchany w ciszę. Bo żaden głos zwie-rzęcy lub ptasi nie zamąca mszarnego odludzia. Jeden z wielu

uroków takiego polowania na głuszce na przedwiośniu tkwi właśnie w tym kontraście zimowej jeszcze martwoty z namiętną pieśnią głuszca — jedyne stworzenia leśnego zwiastującego zbliżanie się wiosny.

Słońce dawno już zaszło. Niebo nabrało tonów fioletowych. Tylko na horyzoncie lśni jeszcze z lekka zaróżowionym, lecz jeszcze „zimowym” seledynem.

I nagle — jakby powiew nieuchwytny, czy iskra elektryczna, czy po prostu refleks imaginacji: łop-łop-łop! — przeleciało po mszarze niby echo dalekiego strzału. *Zapadł*. Daleko? Nie, chyba nie dalej niż jakieś 200 kroków. Tadeusz słucha dalej z bolesnym natężeniem. Po pewnym czasie zapada drugi kogut, potem trzeci. Tadeusz stara się dokładnie zapamiętać kierunek zapadów. A potem w głuchej ciszy odzywa się ostre basowe „krek-krek” — głos podobny trochę do czkawki gardłowej i trochę do klapnięcia potężnego dzioba. Z innego miejsca odpowiada podobne „kreknięcie”. To głuszce oznajmiają wzajemnie swą obecność na tokowisku pragnąc w ten sposób dodać sobie kontenansu i napędzić strachu tokowikom-rywalom. Tadeusz czuje bicie serca, wiadomą bowiem jest rzeczą, że głuszc „krekczący” z wieczora na pewno zaśpiewa nazajutrz.

Tadeusz czeka aż się ściemni zupełnie. Później kierując się białawymi plamkami skrawków papieru wraca do kładek. Tam już czeka na niego towarzysz z Łuszczkiem. Dzieli się szeptem wynikami podsłuchów. Oni również zasadzili kilka głuszców. Po wrót w mrokach nocnych po śliskich kładkach nie wydaje się ani trudny, ani męczący. Pewność, że głuszce są i będą grały dodaje myśliwym energii i wigoru.

A blask i aromatyczny dym ogniska na wzgórzu zwiastuje, że będzie kieliszek wódki, herbata, jaja na twardo i kółko suchej kielbasy zagryzanej razowcem.

Tadeusz budzi się pod wpływem dotkliwego zimna. Ognisko wygasło. Ale w puszczy jest jasno. Zrywa się przerażony sądząc, że to już świta i że przespał toki. Lecz nie — to tylko księżyc w ostatniej kwadrze wypłynął na niebo i rozwidnił bór i mszarynę.

Droga po kładkach przy świetle księżycy i w przymrozku kwietniowym odbywa się lekko i szybko. Tadeusz ani spostrzegł, gdy zamajaczyła jak widmo płachta zawieszona przezeń papieru. Skręca z kładek i idzie w kierunku miejsca wczorajszych podsłuchów. Białe skrawki papieru widnieją przed nim zygzakowatym, ginącym gdzieś w dali sznurem. Idzie bardzo ostrożnie, bo zmarznięty mech trzeszczy pod nogami.

Jest wreszcie na miejscu. Staje i czeka. Mszaryna śpi snem



zupełnie zimowym. Przymrozek szczypie w nozdrzach. Wrażenie zimy jest spotęgowane widokiem błyszczących w księżycu płatów śniegu. Wprost wierzyć się nie chce, że to wiosna i że głuszcze zagrają.

Na wschodniej stronie nieba zaczyna przeświecać pasemko jaśniejsze — świta. Ale skuta mrozem mszaryna śpi jak zakłęta. Nie słychać ani chrapania słońek, ani dzwonienia cietrzewi, ani delikatnego gruchania sówek, ani szelestu myszy leśnych — tych wszystkich głosów puszczy, które znamionują wiosnę późniejszą. Cisza.

Nagle... Niby ktoś złamał małą gałązkę. Serce, wbrew wszelkiej anatomii, zatłukło gdzieś w okolicy gardła, by potem zaszumieć w uszach ogłuszającym pulsem.

Gra. Delikatne, zawsze podwójne kłapanie: *tö-ke, tö-ke, tö-ke* sący się przez śpiącą mszarynę jak krople najczystszej srebra. Podwójne kłapania padają miarowo, płyną w nieskończoność. Ale stopniowo tempo ich przyspiesza się. I wreszcie — jakby ktoś przeciągnął paznokciem po zębach grzebienia... Jakby zatrzaśkały kastaniety... Jakby ręka jakiegoś bożka leśnego zgmiotła w kryształowym mózdzierzu orzech mistyczny... *Trel!*

Tadeusz robi dwa kroki i staje jak wryty. Nie słyszy jeszcze tzw. głuchej pieśni, bo głuszcze jest zbyt daleko, ale wie, że po trelu zawsze następuje pieśń głucha zwana *szlifowaniem\**. Pieśń idzie za pieśnią, *trel* za trellem. Po każdym trelu Tadeusz robi dwa kroki, wciąż zbliżając się do leśnego śpiewaka. Aż przychodzi chwila, gdy stawiając drugi krok słyszy namiętą syczącą końcówkę szlifowania. Oznacza to, że głuszcze jest już nie daleko. Robi teraz dla ostrożności po jednym kroku. Po chwili słyszy już wyraźnie całą zwrotkę pieśni głuchej. Głuszcze jest gdzieś bardzo blisko — może o pięćdziesiąt kroków tylko.

W miarę zbliżania się do śpiewaka dźwięk kłapania nabiera dziwnego kolorytu. Wydaje się mniej głośnie, mniej suche, jakby o półtonu niższe i jakby — jeżeli się tak można wyrazić o dźwięku — zaokrąglone. Po tej zmianie dźwiękowej Tadeusz rozumie, że głuszcze musi być gdzieś tuż-tuż, tylko go jeszcze nie widać. Tadeusz robi już teraz w pieśń głuchą tylko jedno ostrożne pół kroku i wpatruje się z bolesnym wyężeniem w każdą gałąź sosnową. Na koniec! Że go przedtem nie dojrzał! Siedzi w połowie drzewa — czarny, ogromny, wyraźny na tle różowiejącej już zorzy. Tadeusz widzi drgającą w takt każdego

\* Tylko do wiadomości panów Myśliwych: głuszcze Wileńszczyzny podobnie jak inne głuszcze północne, a w przeciwieństwie do głuszców południowych, np. poleskich, *nie* „korkują”!

klapnięcia „brodę”, widzi z lekka rozpuszczony i podnoszący się przy każdym szlifowaniu wachlarz. Stoi wpatrzony i zasłuchany przeżywając chwilę ekstazy, którą tylko myśliwy zrozumie. A jednocześnie — rzecz dziwna — gdzieś w głębi świadomości odczuwa coś bardzo podobnego do lekkiego rozczarowania. Chodzi o to, że każdy myśliwy, który podszedł do głuszca, jest zazdrosny o swoją własną „wizję” tokującego ptaka. A ten wygląda zupełnie tak jak go wyobrażają na rysunkach. Stąd — odrobina rozczarowania.

Powoli, bardzo powoli podnosi Tadeusz strzelbę. I wtedy słyszy jak z boku dolatuje stłumione odległością kłapanie drugiego głuszca. I słyszy jak gdzieś w głębi mszaryny odzywa się niskie, namiętne stękanie głuszycy.

Wacławowi Łuszczykowi, który towarzyszył Tadeuszowi w tej pierwszej wyprawie na głuszce czerkasskie, należy się krótkie wspomnienie. Poza funkcjami strzelca i gajowego sływał z tego, że był zapraszany na wszystkie pogrzeby chłopskie, prawosławne i katolickie (sam był katolikiem), na których występował pieśni nabożne z książki trzymanej nieraz do góry nogami, był bowiem niepiśmienny. Historia nie notuje, czy i jakie wynagrodzenie dostawał za te funkcje pogrzebowe, ale poczęstunek musiał być dobry, bo po każdym pogrzebie Łuszczyk wracał do domu gruntownie pijany.

Ilekróć Tadeusz przyjeżdżał do Jachimowszczyzny, zawsze odczuwał rozkosz odprężenia nerwowego. Czy latem po mordującej włóczędze po łąkach i rojstach nadberezyńskich z Michałkiem i Marsem na cietrzewie i dubelty; czy wiosną po powrocie z uroczyska Czerkassy z upolowanym głuszcem; czy zimą leżąc w łóżku, gdy za oknami do połowy zasypanymi śniegiem mróz siarczysty i cisza, a przed dogasającym piecem klęczy służąca pokazując białe łydki i grzbie w palenisku przed zamknięciem *juszki* — zawsze Tadeusz pławił się w błogiej euforii. Zapominał, że nie jest w Baćkowie, lecz tylko gościem u wujostwa. Nie myślał, że o kilkadziesiąt kilometrów na wschód — właśnie w kierunku Baćkowa — biegnie granica. Nie normalna „ludzka” granica z komorą celną, ale granica z drutami kolczastymi i z żołdatami w przesadnie długich szynelach z przesadnie długimi karabinami. Nie myślał że przecie za tą granicą czai się wielka i groźna Niewiadoma. Cisza wiejska, piec gorący, białe łydki dziewczyny klęczącej przed piecem — wszystko to sprawiało, że miał poczucie *bezpieczeństwa* tak dobrze znanego w czasach wczesnego dzieciństwa. I tylko czasem — jak ostra bły-

skawica bólu — przesywała głowę myśl, że nie jest u siebie, że jest naprawdę emigrantem, że Baćkowa nie ma, nie ma... Po tej myśli następowało poczucie absurdu: czemu tysiące dworów i dworków po tej stronie granicy żyje życiem normalnym kontynuując wielowiekową nić tradycji, a czemu tysiące innych dworów i dworków, a w ich liczbie Baćków, trafiły pod panowanie najstraszniejszej w dziejach świata niewoli i dziczy? Czy nie ma w tym jakiejś niesprawiedliwości? — myślał nieraz. Z takim zapytaniem zwrócił się do pewnego profesora. Ten się zachnął gniewnie:

— Panie! Tu nie chodzi o prywatną niesprawiedliwość czy sprawiedliwość, tu chodzi...

I zaczął deklamować o ojczyźnie, o zrywach powstańczych, o idei jagiellońskiej, o przedmurzu i o różnych misjach kultury zachodniej.

„Bałwan!” — pomyślał Tadeusz. Bo przecie nie chodziło mu o niesprawiedliwość prywatną, która dotknęła rodzinę Irteńskich, nawet nie o niesprawiedliwość dziejową, lecz o jakiś groźny, bo absurdalny brak logiki. Refleksja, która mu przyszła do głowy, była trafna. Ale nie przewidywał, że dzień 17 września 1939 roku wyrówna tę „niesprawiedliwość”.

Po śmierci pana Wacława Świętorzeckiego w roku 1934 dużo rzeczy zmieniło się w Jachimowszczyźnie. Wyrąbano „dla celów strategicznych” sosny na uroczysku Czerkassy i głuszcze wyniosły się gdzie indziej. Panienki jachimowskie wyleciały z gołębnika. Syn się ożenił. Oficyna zmieniła swe wewnętrzne oblicze. Znikł salonik z mahoniami i Stańczykiem na ścianie, znikła sień obszerna z rosochami łosi i skórami wilczymi. Na ich miejsce zjawił się hall z fire-place'em na modłę pseudoangielską. Znikł dawny duch jachimowski. Zapanował duch warszawsko-mieszkański. Tylko po dawnemu płakały stare brzozy i szumiały świerki na wzgórzu parkowym, gdzie złożono do grobu zwłoki śp. Wacława Świętorzeckiego.

## Rozdział XXIV

### ZE STRZELBĄ W FUTERALE

Włóczęgi myśliwskie „ze strzelbą na ramieniu” przynosiły Tadeuszowi Irteńskiemu coś więcej, niż zwykle zaspokojenie pasji łowieckiej. Ileż to fenomenalnych typów kłusowników i gajowych białoruskich dałoby się z lamusa wspomnień wyłuskać! Włóczęgi myśliwskie nie tylko jednak wzbogacały znajomość folkloru. Dawały okazję do poznawania ciekawych ludzi — przede wszystkim myśliwych. Można by grubą księgę napisać wspominając czyny i zasługi takich myśliwych jak Bolesław Świętorzecki i hr. Benedykt Tyszkiewicz z Wiałej. O Bolesławie Świętorzeckim pisałem w „Dzieciństwie i młodości Tadeusza Irteńskiego”. Benedyktowi Tyszkiewiczowi poświęciłem tuż przed wojną książeczkę „Wiałą” (Może choć jeden jej egzemplarz uchował się w księgozbiorniku jednego z naszych bibliofilów łowieckich?). Tu przypomnę tylko, że obaj byli twórcami pierwszych za naszych czasów zwierzyńców na Litwie. O Waclawie Świętorzeckim wspominałem w rozdziale poprzednim. Dalej idą: nestor naszych myśliwych — żyjący gdy te słowa piszę — Włodzimierz Korsak, autor nieśmiertelnego „Roku myśliwego” i rysownik „kreską kolorową” wspaniałych obrazków myśliwskich... Jan Tyszkiewicz z Waki pod Wilnem, posiadacz najpiękniejszych tokowisk głuszcowych w Borsukowinie powiatu wołyńskiego, gdzie liczba odstrzelonych rocznie głuszców wciąż wzrastała i przekroczyła przed wojną liczbę stu... Aleksander Iliński-Kaszowski... Zygmunt Węclawowicz z Narun... Karol Wagner z Wielkich Solczenik... Stanisław Wańkowicz senior... Nie ma już dziś takich myśliwych i wątpię, czy zdarzą się tacy w przyszłości! Wyobraźnia *prawdziwego* myśliwego kojarzy z tymi nazwiskami wizję dawnych wielkich łowów litewskich — w połączeniu z wielką „europejską” kulturą serca i umysłu. Każdemu z nich należy się spe-

całna monografia. Toteż w tym rozdziale nie o nich będzie mowa. Z dobrej setki napotkanych ciekawych typów wybraliśmy szereg takich, których może nie można zaliczyć do pocztu „wielkich” myśliwych, lecz którzy byli myśliwymi tout court i choć byli tylko szeregowymi w wielkiej armii myśliwskiej, jednak głośno o nich było z innych powodów.

Ks. Andrzeja Lubomirskiego Tadeusz spotkał raz jeden w Porochońsku (rozdz. XV). Myśliwy ten, już wtedy w latach podeszły, był słynny z doskonałej kondycji fizycznej i z bogatych zainteresowań — nie tylko łowieckich. Nie rozstawał się z grubym notatnikiem, do którego zapisywał nie tylko własne zdobycze myśliwskie, lecz również wszelkie notatki dotyczące lokalnej gwary myśliwskiej i folkloru. Gdy w toku rozmowy Władek Czechowicz wspomniał o krowie „łobatej”, książę zaraz zainteresował się znaczeniem przymiotnika „łobaty” i sięgnął po notatnik. Ks. Lubomirski znał chyba wszystkie lepsze łowiska w Polsce. Gdy w szereg lat później Tadeusz polował na głuszce w Zamoszu Słotwińskich powiatu dziśnieńskiego i zapytał gajowego, czy daleko z gajówki do tokowiska, gajowy odparł bez wahania:

— Rouna tyścza sto siemdziesiąt pięć szahou.

A gdy Tadeusz wyraził zdziwienie, kto i kiedy tak dokładnie odległość wymierzył, gajowy objaśnił, że był tu zeszej wiośny książę, który miał w kieszeni specjalny „zegarek” dla odmierzania kroków.

Z kim się nie polowało przed rokiem 1939! Od tytułów naukowych, rodowych i dyplomatycznych aż do skromnych, lecz wielkich sercem, urzędników leśnych i szlachty na zagrodzie. A wśród tej setki typów byli adwokaci, lekarze, handlowcy, dziennikarze, pisarze, artyści, no i ludzie zwyczajni, tacy jak ja z czytelnikiem. Zdarzało się Tadeuszowi polować z dygnitarzami — obcymi i swojskimi. Wśród zagraniczników czuł się na polowaniu raczej dobrze, bo byli prości, mili i uprzejmi. Zapamiętał łowy na kaczozy w Porochońsku z posłem portugalskim nazwiskiem Vasco de Queveda. Gdy jechali pociągiem z nim i z Władkiem Czechowiczem i gdy Vasco de Queveda zasypiał, Władek wydawał dziki okrzyk: „Vasco de Gama!” Poseł budził się i patrzył nieprzytomnym wzrokiem, przy czym Władek zachowywał kamienny wyraz twarzy. Po chwili poseł znów zasypiał, a Władek znów wrzeszczał „Vasco de Gama”!... Zabawa powtórzyła się kilkakrotnie, zanim pociąg nie przybił do stacji Porochońsk.

Dygnitarze swojscy z reguły drażnili Tadeusza. Przede wszystkim dlatego, że polowali wyłącznie z pobudek snobizmu

dygnitarskiego. O łowiectwie mieli pojęcie nader nikłe, nadrabiali natomiast tupetem i manierami nuworyszów. Taki pan wziął po raz pierwszy fuzję do ręki, gdy dostał nominację na, powiedzmy, ministra, a zachowywał się tak, jakby to właśnie on, a nie zwierzyna, był centrum zainteresowania. Zdarzali się wprawdzie dygnitarze przyjemni, jak np. pan Władysław Raczkiewicz lub pan Władysław Jaszczółt, ale były to wyjątki.

Tadeusz Irteński jest jednym z niewielu ludzi, który może się pochwalić, że polował z generałem Lucjanem Żeligowskim. Było to w styczniu czy lutym 1923 roku, wkrótce po likwidacji tzw. Litwy Środkowej, a więc w okresie, gdy Żeligowski stał u szczytu popularności. Polowano w Bohdanówce na Polesiu. Żeligowski nie był właściwie myśliwym. Jak trafił na obławę? Chodzi o to, że ówczesny dzierżyciel Bohdanówki, Porochońska i Chmielnika Władek Czechowicz miał bzika na punkcie zapraszania na polowania wszelkich osobliwości. Czyhał przede wszystkim kim na sfery dyplomatyczne i arystokratyczne, ale — *faute de mieux* — kontentował się generałami. Nie był w tym tylko prosty snobizm. Tak np. na owym polowaniu w Bohdanówce paradował obok Żeligowskiego — ksiądz. Bo Władka bawił widok księdza w sutannie spod kożuszka i ze strzelbą na stanowisku w kniei. Żeligowski zostawił po sobie wspomnienie dość przyjemnego kompana. Przy obiedzie toczyła się rozmowa na tematy polityki wewnętrznej. Wybory do sejmu jesienią 1922, morderstwo Narutowicza i proces Niewiadomskiego były głównym przedmiotem rozmowy. W ferworze dyskusji Żeligowski odezwał się:

— Powiem panom szczerze, że dalibóg zaczynam endecieć...

Kto by przypuszczał wtedy, że tego „endeciejącego” Skobielewa (w sensie popularności) czeka taki niesławny i ponury koniec.

Na tym polowaniu był redaktor „Świata” pan Stefan Krzywoszewski, z którym Tadeusz nieraz polował wiosną na kaczory w Porochońsku. Był myśliwym kulturalnym, a towarzyszem uprzejmym, nie zazdrosnym o cudzą wenę łowiecką. Czarował zarówno kulturą umysłu, jak kulturą towarzyską. Nie tracił np. równowagi, choć mu po raz setny z uporem pijackim wypominano trochę trafaretowe zakończenie felietonu myśliwskiego: „Królestwo za kieliszek wódki! Piękne panie stawiają całą butelkę. Ryba świeżo wyciągnięta z jeziora smaży się na patelni. Życie jest piękne”... Zresztą — kto wie — może się w ogóle nie poznał na docinku, skoro ustęp ten umieścił niemal dosłownie w swym pamiętniku „Długie życie”... Krzywoszewski był miłym kompanem, chociaż w przeciwieństwie do „standardu” myśliwych, wśród których się obracał, był bardzo wstrzemięzli-

wy odnośnie trunków. Pod tym względem stanowił całkowite przeciwieństwo „fenomenalnego” Kamila Mackiewicza, bardzo ła-  
sego na trunki (rozdz. XV).

Zdarzyło się też Tadeuszowi polować z poetą Zdzisławem Kleszczyńskim, autorem wiersza o ks. Józefie Poniatowskim i frywolnego, pięknie przez Norblina ilustrowanego „Żywota Kolumbiny”. Był myśliwym dobrej klasy i pierwszej klasy causeurem. Tadeuszowi utkwiło w pamięci, jak na obławę na wilki w Lubaniu wybrał się ubrany w ciemnobrązowy kombinezon lotniczy na futrze. Raził tym strojem wśród szarozielonych kozuszków i kurtek. Gdy dobrodusznie dworowano z tego stroju, tłumaczył się, że choruje na iszias i że tylko taki kombinezon chroni go przed „zawianiem”. Musiał być zresztą naprawdę chorowity, bo umarł w parę lat później — w pełni męskiego wieku.

Tadeusz nie tylko polował, lecz nawet — mimo wielkiej różnicy wieku — był w przyjaźni z panem Henrykiem Weysenhoffem z Rusakowicz powiatu ihumeńskiego. Myśliwym był mierzonym, do czego zresztą przyznawał się bez wstydu. Posiadł natomiast jak chyba nikt z naszych pejzażystów, tajemnicę barw, że tak powiem „myśliwskich” — a więc wszelkich odcieni seledynu nieba zimowego, wszelkiego złotogłowia, purpury i rdzy jesieni, wszelkich półtonów zmierzchów i świtów. Do weyssenhoffowskiej maestrii reprodukcji barw myśliwskich doszedł później, acz przy pomocy zgoła innej techniki, Włodzimierz Korsak. Henryk Weysenhoff, bardzo daleki kuzyn lecz bliski przyjaciel pisarza Józefa, mieszkał i pracował w specjalnie „adaptowanym” świronku w rodzinnych Rusakowiczach nad Ptyczą. W tym świronku pokazywał zaufanym przyjaciołom serię własnych „sekretnych” rysunków oraz kilka osobliwości, jak np. ustnik hebanowy do papierosów w kształcie phallusa. Opowiadał jak Rosjanin akcyznik zobaczywszy ten ustnik wykrzyknął ze zgrozzeniem:

— Czyżby pan miał odwagę wkładać to w usta?!

Obcując z Weysenhoffem Tadeusz miał sposobność zajrzeć do tajników jego „kuchni” malarskiej. Nieraz zastanawiał się nad zagadką, w jaki sposób pejzażysta malujący „z natury” potrafi uchwycić zmieniające się co kilka minut tony i półtony wschodów i zachodów słońca? Przeglądając szkice ołówkowe Weysenhoffa rozwiązał tę zagadkę. Weysenhoff wybierał się na swe wycieczki „krajobrazoznawcze” bez sztalug, farb i pędzla, a po prostu ze strzelbą na ramieniu oraz ze szkicownikiem i ołówkiem w kieszeni. Gdy go zafrapował jakiś piękny fragment nieba i kniei, robił w ciągu paru minut bardzo schematyczny szkic ołówkowy, na którym barwy były — niczym w szekspi-

rowskim teatrze — wyrażone przez napisy „seledyn”, „purpura”, „stare złoto”, „morelowy” i tp. Robił nieraz dziesiątki takich szkiców i tylko niewielki ich odsetek stawał się potem obrazami. Samo dobieranie barw i malowanie obrazu odbywało się, nieraz w wiele tygodni później, w ciszy pracowni. Szkic był więc tylko notatką pro memoria, a sam obraz kolorowy tkwił wyłącznie we wzrokowej pamięci artysty. Dużo takich szkiców poszło na marne i nigdy nie stało się obrazami, Henryk Weysenhoff był bowiem strasznym leniem: malował pięknie, lecz mało.

Spotykał się też Tadeusz z Julianem Ejsmondem, choć nigdy z nim nie polował, mimo że nieraz bywali gośćmi u tych samych myśliwych. Wybitnego poetę i satyryka, słynnego zarówno ze swych „Bajek”, jak z prześlicznych przekładów wierszy łacińskich Kochanowskiego, nie można zaliczyć do „wielkich” myśliwych o ile — rzecz jasna — za wzór wielkości będziemy stawiali tradycję wielkich łowów litewskich. Był on natomiast wielkim, może największym w okresie Polski niepodległej, działaczem łowieckim. Po wstrząsie pierwszej wojny i rewolucji zwierzyny było zastraszająco mało, zaś kłusownictwo — nielegalne i legalne — szalało. Myśliwi, którzy by chcieli zatroszczyć się o rozwój łowiectwa, byli rozproszeni i zahukani. Szła na nich naganka sfer i prasy lewicowo-ludowych. Wymyślano im od „żubrów”. Ejsmond był nie tylko poetą, ale i myśliwym. Oplakany stan kultury łowieckiej bolał go bardzo. Nic więc dziwnego, że gdy w pierwszych latach po tamtej wojnie zaczęła się tworzyć z inicjatywy pana Bolesława Świętorzeckiego wszechpolska organizacja „Polski związek łowiecki” (pierwotna nazwa była bardziej skomplikowana), stanął pierwszy w jej szeregach, a równocześnie wspólnie z panem Walentym Garczyńskim objął po śmierci pana Sztolcmana redakcję tygodnika „Łowiec polski”. Od tam oddał łowiectwu cały swój talent niepospolity wraz z żądłem satyry i całą swą niewyczerpaną energią.

Chodziło przede wszystkim o to, by dać Polsce porządną ustawę łowiecką. Ejsmond zakasał rękawy i po upływie paru lat dał Polsce ustawę, która miała się stać później wzorem dla wielu ustaw zachodnio-europejskich, np. szwedzkiej. Oczywiście nie pisał sam tej ustawy. Nie był (na szczęście!) prawnikiem. Ale jako redaktor „Łowca polskiego” a jednocześnie referent łowiectwa w ministerium rolnictwa potrafił tak deptać po piętach różnym dygnitarzom i generałom, tak czarować ich prośbą, no i straszyc groźbą (satyry), że po paru latach ustawa w formie dekretu prezydenta stała się ciałem. Dygnitarze bali się jak ognia sa-



tyry ejsmondowskiej, zarówno zjadliwego pióra jak języka, podpisywali więc dekret niejako na odczepnego.

Żądło ejsmondowskie było nieubłagane. Raz pewien starszy myśliwy pan Hermann Knothe zanudzał opowiadaniem, które okraszał tzw. łaciną myśliwską, czyli pospolitym łgarstwem. W pewnej chwili opowiadając o polowaniu na kozła „na wychodnego” pan ten powiedział:

— A więc zdrzemnąłem się pod dębem i — wyobraźcie sobie panowie — kozioł przesadził przez mnie.

W tym miejscu Ejsmond odezwał się:

— Słyszałem, że myśliwi przesadzają, ale żęby i kozły... No-no...

Ten żarcik był raczej niewinny. Jak niewinny był tytuł fikcyjnego zbioru: „Kilka dób na świeżym powietrzu — wrażenia z polowań zbiorowych”. Bywało jednak gorzej. Pewien krytyk z Małopolski rodem skrytykował dość ostro język łowiecki pewnego ejsmondowskiego wydawnictwa. A trzeba wiedzieć, że Ejsmond nagrodzony pierwszą nagrodą za przekład wierszy łacińskich Kochanowskiego był szczególnie drażliwy na punkcie zarzutów językowych. Wpadł w pasję i wydrukował w „Łowcu polskim” wiersz satyryczny, w którym uczeplił się à la Nowaczyński nazwiska swego krytyka. Krytyk zwał się Przedzymirski, a wiersz zaczynał się słowami:

*Staruszek, co przedrzymał w beczynności ruję,  
Teraz wszystko, co młode, ostro krytykuje...*

W wierszu było więcej inwektyw, np.:

*Stworzenie mało polskie, ale bardzo ce-ka\*.  
Taki pan się nie kocha, taki pan się cieka...*

W świątku warszawskiej centrali łowieckiej, w której zasiadali przeważnie starsi wiekiem i wzajemnie się adorujący mastodonci i generałowie „weselni” (tj. tacy, których zaprasza się na wesele dla uświetnienia tej uroczystości) zawrzało. W świątku tym, jak i w innych dziedzinach życia stołecznego Małopolski mieli wpływy niemałe. Okazało się przy tym, że biedny pan Przedzymirski był osobą *grata* w Małopolsce. Ejsmonda zmuszono do publicznego i dość skruszonego ekskuzowania się. Wy-padek został pozornie zatuszowany, lecz w duszach mastodontów trutych nieustannie mniejszymi, niż powyższa, dozami do-

\* Tj. cesarsko-królewskie.

ciników, pozostał osad niechęci, może nawet nienawiści do Ejsmonda. Był tolerowany, ale czekano okazji, aby mu podstawić nogę.

Okazja przysłała wkrótce. Jak wspomniałem Ejsmond był nie tylko redaktorem „Łowca polskiego”, ale i „kontraktowym” referentem w ministerium rolnictwa. Zdarzyło się, że minister Karol Niezabytowski, człowiek wielkiej zacności i wielkiego rozumu, lecz z którym Ejsmond miał dłaczegoś na pieńku, został odznaczony jakimś wysokim orderem. Co robi Ejsmond? Píše do jednego z pism warszawskich felieton pt. „Udekorowane bydlę”, w którym w sposób bardzo przejrzysty nawiązuje do historii, która się zdarzyła na froncie zachodnim w czasie 1-ej wojny, gdy krowa będąca maskotą oddziału wojskowego została z jakiejś okazji i dla facecji udekorowana przez żołnierzy Legią honorową i sfotografowana z orderem zwisającym u podgardla. Tym razem burza zwała się na Ejsmonda. Zostaje z punktu wyłany ze stolca redaktorskiego przez braci-myśliwych. Równocześnie zausznicy ministra wylewają go z posady referenta łowieckiego. Burza wywołuje kontr-burzę. Ejsmond miał wrogów, ale miał też wpływowych przyjaciół, np. pana Bolesława Świątorzckiego. Przyjaciele również podnieśli gwałt powołując się na wolność prasy i satyry. (Były to jeszcze dobre czasy, gdy tego rodzaju argumenty „grały”). Ponadto spostonowany minister okazał się nie tylko człowiekiem porządnym, lecz również — co się znacznie rzadziej zdarza wśród dygnitarzy — nie pozbawionym poczucia humoru. W rezultacie Ejsmond powrócił na posadę referenta łowieckiego. Z posadą redaktora było gorzej. Towarzystwo wzajemnej adoracji łowieckiej miało stanowczo dość Ejsmonda. Mastodonty zbyt długo czekali na okazję wygryzienia Ejsmonda, by ją teraz przegapić: Ejsmond nie wrócił już nigdy na stanowisko redaktora.

Ukochani przez bogów umierają młodo. Julian Ejsmond zmarł młodo i tragicznie. Zginął w roku 1930 w wypadku samochodowym pod Zakopanem. W ciągu krótkiego, lecz bujnego życia los na ogół uśmiechał się do niego. Nieraz jednak płatał mu figle. Spłatał mu tragicznego figla w chwili śmierci: samochodem kierował w stanie nietrzeźwym profesor Janusz Domaniewski, skąd inąd myśliwy i pijak wielkiej zacności, lecz któremu Ejsmond dużo jadu satyry i przycinków zalał za skórę. Należał też do grupy mastodontów, którzy wygryźli Ejsmonda z redaktorstwa. Otóż pan Domaniewski wyszedł z wypadku bez szwanku, a Ejsmond — wyrzucony jak z procy z otwartej maszyny na szosę — zmarł w ciągu kilku minut. „Łowiec polski”

umieścił sążniste nekrologi i rozpoczął wielką zbiórkę na fundusz pomocy dla wdowy i dzieci po zmarłym\*.

Wspomniałem o generałach „weselnych”. Zaproszono ich do władz Związku zarówno dla „prestżu”, jak i dla celów praktycznych: mieli być promotorami różnych ustaw i rozporządzeń łowieckich. Były i cele praktyczne bardziej przyziemne: cywile zasiadający we władzach Związku mieli nadzieję dostawać przez wysoką protekcję generałów dzierżawy polowania w lasach państwowych, odstrzał zwierzyny w tych lasach, zaproszenia na polowania reprezentacyjne i tp. Tadeusz, który jako przedstawiciel Towarzystwa łowieckiego ziem wschodnich zjeżdżał do Warszawy prawie co miesiąc na posiedzenia centralnego wydziału wykonawczego, dobrze się przyjrzał działalności łowców warszawskich. Nieraz też staczał z nimi ostre utarczki walcząc z centralistycznymi zakusami Warszawy i żądając większej samodzielności dla prowincjonalnych oddziałów Związku. Generałów „weselnych” było dwóch: generał Kazimierz Sosnkowski i generał Fabrycy. Sosnkowskiego obrano na prezesa Związku. Słynął z krasomówstwa. W przemówieniach jego mało było treści, ale wyrażał się gładko i ozdobnie z nadużywaniem przysłówka „niechybnie”. Z innych członków wydziału wykonawczego Tadeuszowi utkwiał w pamięci hr. Maurycy Potocki z Jabłonny, który przychodził na ranne posiedzenia już dokładnie pijany. Nieraz zasypiał, a potem budził się nagle i zabierał — jak gdyby nigdy nic — głos w dyskusji.

W okresie przyjaźni z Niemcami po roku 1934 zaczęło się w Polsce małpowanie urządzeń niemieckich, tak np. za wzorem Niemców wprowadzono „pomoc zimową dla bezrobotnych”. W owym czasie w Niemczech zrobiono Göringa wielkim łowczym. Wprowadzono też specjalne mundury łowieckie zielonego koloru. Polska naturalnie pośpieszyła naśladować Niemców. Wprowadzono mundury Związku łowieckiego — zielone — które Tadeuszowi przypominały lata dzieciństwa: liberię lokajów w domu Irteńskich. Tadeusz munduru sobie rzecz jasna nie sprawił. Raz jeden widział przybranego w taki mundur pana Bohdana Gędzirowskiego, który przybył jako delegat centrali do Malinowszczyzny na pogrzeb Bolesława Świętorzeckiego w roku 1938. Te-

---

\* Powojenny „Łowiec polski” kreśląc w roku 1963 (nr 1205) dzieje Polskiego Związku łowieckiego z okazji jego czterdziestolecia ani słowem nie wspominał zasług Juliana Ejsmonda, Jana Sztolmana i Bolesława Świętorzeckiego (inicjatora założenia Związku), chociaż znalazł miejsce na wspomnienie takiego drugorzędnego działacza łowieckiego, jak Hermann Knothe. Pamięć ludzka jest krótka i — jednostronna.

renia Zanowa, która lubiła dosadne wyrażenia, nazwała delegata „zielonym pajacem”.

Tadeusz bywał kilka razy do roku na polowaniach w Annowilu pod Wilnem u państwa Karolostwa Erdmanów. Latem polowano na kaczki na pięknym jeziorze Ołka; zimą odbywały się znakomite polowania zbiorowe, na których padała niesłychana, jak na biedne „kresy”, ilość zajęcy — 100 i więcej — kilkanaście lisów, a czasem i wilk. Były to więc polowania wielce urozmaicone i świetnie zorganizowane. Pan Karol Erdman, smoleńczuk z urodzenia, odznaczał się gościnnością, energią i donośnym głosem. Tępił niemiłosiernie kłusowników oraz włączące się psy i koty. Na granicy lasów annowilskich porozwieszał obwieszczenia: „Osobom obcym wstęp wzbroniony — psy włączące się i koty będą tępione”.

Baba z pobliskiego miasteczka Podbrzezie przesyłabilizowała to obwieszczenie i powiedziała:

— Ot i człowiek ten Erdman! Nie tylko człowieku, ale i psu nie pozwala chodzić. Nie ma na jego bolszewizmy! (Baba wymówiła te słowa w złą godzinę. Po kilkunastu latach znalazła się „bolszewizma” na pana Karola i to, niestety, z rąk swojej rodzimej Bezpieki).

Karol Erdman posiadał furmana staruszka. Ile razy jechali bryczką z Tadeuszem, tyle razy pan Karol pytał furmana:

— Gdzie służyłeś w wojsku?

— W Kijowie.

— A kto był komandującym wojskami kijewskiego wojennego okruga?

Furman prostował się na koźle, jak na baczość, i odpowiadał:

— Jego prewoschoditielstwo gienierał-adjutant Michaił Iwanowicz Dragomirow.

— A często widziałeś generała Dragomirowa?

— Tylko jeden raz. Była parada i przechodziliśmy przed nim *simularnym*\* marszem.

Miasteczko Podbrzezie warte jest wspomnienia z innego jeszcze powodu. Po powstaniu 1863 roku dzięki perfidnej robocie księdza-renegata cała ludność miasteczka dowiedziała się pewnego pięknego dnia, że z katolickiej stała się prawosławną. Kościół został zamknięty. Stała cerkiew. Tak trwało do roku 1906. Tylko że ludność przekradała się na tajemne śluby i chrzciny do Wilna do księży katolickich. Po ukazie tolerancyjnym 1906 roku znowuż pewnego poranka — tym razem pop prawosławny do-

---

\* Tj. ceremonialnym.

wiedział się ze zgrozą, że nie ma już on parafian, bo cała ludność jest katolicka. Po kilku miesiącach, nie mogąc wyżyć bez pomocy materialnej parafian, zamknął cerkiew na kłódkę i opuścił miasteczko. Ta cerkiew zamknięta na kłódkę, powoli murzejąca pod wpływem lat, pozostała w tym stanie do roku 1939, jako ciekawy pomnik zwycięstwa ducha nad przemocą. (Akcja Sławoja Składkowskiego niszczenia świątyń prawosławnych jakoś ominęła Podbrzezie).

Gdybym chciał opisać wszystkie dwory, dworki, leśniczówki i gajówki, gdzie polował Tadeusz Irteński, zajęłoby to całą księgę. Toteż na zakończenie tego rozdziału — dwie anegdoty, za których autentyczność ręczę.

Karol Wagner z Wielkich Solecznik, wielki myśliwy i wielki rolnik, miał brata Witolda, zwanego Witulekiem. Witulek, właściciel historycznego Pawłowa\* również wielki myśliwy i znakomity strzelec, niestety rozpił się. Tadeusz był u niego dwa czy trzy razy na polowaniu, ale przestał przyjmować zaproszenia przekonawszy się, że Witulek ma wskutek alkoholizmu halucynacje, w których czasie zdradza niebezpieczne tendencje chwywania za rewolwer i strzelania do urojonych widm. Opowiadał, że żona go opuściła, nie mogła bowiem wytrzymać: zdarzało się że w nocy Witulek widział stado olbrzymich szczurów przebiegających spod jego łóżka pod łóżko żony i otwierał ogień z rewolweru do tych wyimaginowanych szczurów. Otóż raz odbyło się zimą w Pawłowie polowanie zbiorowe, na które przybył z Wilna pan Ronczewski, właściciel sklepu z bronią i amunicją, przedstawiciel znanej firmy Warszawska spółka myśliwska. W czasie jednego z miotów posłyszano ze stanowiska pana Ronczewskiego dwa strzały — błyskawicznie jeden po drugim. Gdy się miot skończył ujrzano pana Ronczewskiego leżącego na śniegu w kałuży krwi z raną w plecach poniżej prawego płuca. Gdy go podnoszono, był przez chwilę przytomny i zdołał wyszeptać: „To nieszczęśliwy wypadek”. Mimo tego oświad-

---

\* Kanonik Brzostowski herbu Strzebie nabył dobra Merez w r. 1767 od Hipolita Korsaka, stolnika nowogródzkiego, przezwiał je od swego imienia Pawłowem i przyznawszy zupełną wolność osobistą mieszkańcom, uczynił tę gminę formalną republiką, z samodzielnym rządem i prawem. Dziedzic jej był dożywotnim prezydentem. Finanse, wojsko, artyleria, nawet i sejmy były tu własne. Sejm wielki zatwierdził tę ustawę w 1791 roku (ob. „Słownik geograficzny” Bronisława Chlebowskiego). Po roku 1794 Pawłów kilkakrotnie zmieniał właścicieli, aż stał się własnością Wagnerów, o których „Plotka wileńska” pisała przed pierwszą wojną:

*Dziwnie bywają fortuny wyniki:*

*Dziad miał małpę, syn browar, a wnuk Soleczniki.*

czenia obecni, a również policja i lekarze dziwowali się, w jaki sposób pan Ronczewski mógł się sam postrzelić w plecy? Dopiero po szczęśliwej operacji i przyjsciu do zdrowia dowiedziano się szczegółów. Był mroźny dzień i pan Ronczewski stał z rękami w kieszeniach kurtki trzymając odbezpieczoną dubeltówkę pod prawym ramieniem. Od zimna poruszał się. Cyngiel dubeltówki zaczepił o jakieś rzemienie u pasa. Nastąpił strzał. Siła odrzutu wyrwała dubeltówkę, która poleciała w tył i uderzyła kolbą o zmarzniętą ziemię. Nastąpił drugi strzał i cały nabój śrutu nr. 1 ugodził pana Ronczewskiego w plecy. Niezwykły wypadek zakończył się szczęśliwie. Ale można sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby pan Ronczewski umarł nie odzyskawszy przytomności, zwłaszcza że Pawłów i jego właściciel mieli pod względem „alkoholowych” strzałów opinię wyrobioną.

Druga anegdota. W roku 1924 Tadeusz jechał pociągiem w stronę Baranowicz. Miał ze sobą strzelbę w futerale. W korytarzu spotkał Aleksandra Wiertńskiego. Ten jechał do Baranowicz na koncert. Zamienili kilka słów serdecznego powitania, po czym Wiertński spojrzął na strzelbę Tadeusza i westchnął:

— A więc jedzie pan na polowanie — powiedział smutnym głosem.

Tadeusza zdziwił ton Wiertńskiego.

— Czyżby pan lubił polowanie? — zapytał.

— Uwielbiam (*obozaju*)! — odpowiedział Wiertński i raz jeszcze westchnął głęboko.

Tadeusz bardzo się zdziwił, gdyż nie mógł sobie wyobrazić „smętnego Pierrota” łączącego z wyżłem po mszarach.

## Rozdział XXV

### HRABIA PALATYNU

Rewolucja pożera nie tylko własne dzieci, ale przede wszystkim cudze. Pożarła też, zostawiwszy tylko małą resztę, zdobycze wojenne Bohdana Zalużyńskiego. Przepadły miliony, które dostał w roku 1915 tytułem odszkodowania za zniszczenia wojenne. Przepadły razem z krachem giełdy petersburskiej. Po traktacie ryskim dodatkowy cios spotkał Bodzia. W czasie wojny ożenił się w Mińsku z jedną z najbogatszych pańienek na Litwie, córką Stanisława Świdy, właściciela pięknych dóbr Hlewin pod Borysowem. Hlewin znalazł się po złej stronie granicy wyznaczonej przez traktat ryski. Bodziowi została żona, zresztą przystojna i miła osoba, ale przepadł posąg.

Na szczęście własny majątek Bodzia Duchowlany powiatu grodzieńskiego był po dobrej stronie granicy ryskiej. Ponieważ dwór w Duchowlanach był przez wojnę zniszczony, więc Bodzio osiadł w sąsiednim majątku — Złobowszczyźnie, który wydzierżawił od siostry. Bodzio przestał być milionerem, ale był jednym z zamożniejszych ziemian w powiecie. Mógł więc sobie żyć dla własnej przyjemności.

W tym miejscu pozwolę sobie na maleńką dygresję natury filozoficznej. Wszyscy żyją dla własnej przyjemności, a różnica między ludźmi polega tylko na tym, że nie wszystkim to samo sprawia przyjemność. Jednym sprawia przyjemność zbawianie ludzkości — doczesne lub pozagrobowe — przy czym ci, co pragną zapewnić ludzkości szczęśliwość doczesną, mało się różnią od gwarantujących zbawienie po śmierci, bowiem osiągnięcie szczęśliwości doczesnej rozkładają na szereg pokoleń. Drugich pociąga, łądzi i upaja urok „władzy”. Inni — zbierają znaczki pocztowe, albo hodują psy, albo piszą wiersze, albo miewają i ogłaszają wizje polityczne. Jeszcze innym sprawia przyjemność pisanie repor-

taży, albo prac naukowych, albo przyczynków, albo memuarów. Wyjątek stanowi autor niniejszej kroniki, pisanie jej bowiem nie sprawia mu najmniejszej przyjemności. Kreśli dzieje rewolucyjnej epoki, której był świadkiem, wyłącznie z dobrze zrozumianego obowiązku wobec potomności.

Bodzio nie gardził powszechnie uznanymi rozrywkami, a więc pieśnią, winem i dziewczynkami, ale największą przyjemność sprawiało mu robienie tzw. głupstw. Ludzie przeciętni zwykle wstydzą się swych głupstw. Bodzio — inaczej. Z zajęcia robienia głupstw stworzył sobie główne źródło przyjemności i zajęcie to usystematyzował. I prawdopodobnie przypadł mu najszczęśliwszy udział w życiu.

Zaczął się od rzeczy drobnych jeszcze przed pierwszą wojną, gdy zaczął w Warszawie prześladować telefonicznie jakiegoś biednego pana Feldsztejna. Inna rzecz że prześladowanie to wznowił po wojnie i zajęciem tym „zaraził” szereg przyjaciół, znajomych, a nawet nieznajomych, z których jeden — ku uciechu jednego z czerwoniaków warszawskich — wpadł w ręce policji złapano na gorącym uczynku telefonowania do pana Feldsztejna.

W czasie wojny wstawił się w Mińsku tym, że wraz z przyjaciółmi braćmi Eynarowiczami rozrzucił pieniądze na ulicę z balkonu restauracji Europejskiej. Oczywiście prasa polska bardzo ostro skarciła za to rozrzutników. Potem poszło parę kawałów nieco makabrycznych. Popularny wówczas w Rosji tygodnik „Sinij żurnał” umieszczał w każdym numerze po kilkadziesiąt miniaturowych fotografii bohaterów „wojny ojczyźnianej” zarówno poległych na polu walki, jak i żywych, ale odznaczonych krzyżami lub medalami. Otóż Bodzio posłał „Siniemu żurnałowi” fotografię Stasia Eynarowicza, dekującego się w Czerwonym Krzyżu, z napisem: „nagrodzony medalem św. Jerzego, poległ”. Jedna z sąsiadek Stasia natychmiast po zobaczeniu tej fotografii dała na mszę świętą za jego duszę oraz posłała depeszę kondolencyjną matce. Staś ani myślał umierać i przetrwał w dobrym zdrowiu jeszcze ćwierć wieku, aż w latach 1939-1940 wykończyła go deportacja bolszewicka.

Staś miał brata Wincentego, młodzieńca przystojnego i postawnego, który jednak zbytnią odwagą nie grzeszył. W szczególności bał się piekielnie nie tylko śmierci, ale wszystkiego, co śmierć przypominało, a więc trumien, pogrzebów i tp. Jemu więc posłał Bodzio trumnę, którą numerowi za odpowiedni napisek należycie ustawili w numerze hotelu Paryskiego, gdzie mieszkał Wicio. Wróciwszy po kolacji do numeru i ujrawszy trumnę Wicio podobno zemdlął.

W czasie wojny Bodzio urządził szereg innych kawałów, a



więc np. brał udział w igraszkach swawolnych na pensji pani Witwińskiej w Mińsku (rozdz. X).

Zamieszawszy po wojnie w Złobowszczyźnie Bodzio przede wszystkim polował. Był świetnym strzelcem. Do zajęcy i lisów strzelał kulą. Gdy raz lis wyszedł na jego stanowisko i zatrzymał się, Bodzio uznał strzał do celu nieruchomego za niegodny honoru myśliwskiego i krzyknął: „Zdrastwujcie, fuks!” Lis prysnął jak strzała i Bodzio go wtedy ubił kulą.

Był raczej oszczędny, nie lubił wydatków ekstra, z zasady nikomu nie pożyczał, ale na głupstwa nie żałował pieniędzy. A więc zapłacił 25 złotych parobkowi za naukę plucia przez zęby cienkim i długim strumieniem — sztuki, w której tylko chłopci celują.

Również za grube pieniądze wynalazł gdzieś — przy pomocy faktora pana Wolikowa, o którym będzie jeszcze mowa — pasiastą białoczną budkę. Za czasów rosyjskich w takiej budce siadywali wartownicy. Nie żałował też pieniędzy na wynalezienie i kupno budzika z portrecikami Mikołaja II i carowej na cyferblacie. Budziki takie były za czasów carskich pospolite, kosztowały grosze i były w posiadaniu każdego zamożniejszego chłopca, drobnego urzędnika, rzemieślnika, ale po rewolucji znikły. Bodzio postanowił więc zdobyć taki antyk i w końcu go zdobył.

Raz u fotografa w Grodnie oglądając stopy zakurzonych zdjęć przedwojennych natrafił na fotografię cara Mikołaja II w Białowieży na tle pałacyku myśliwskiego. Jeden go szczegół zastanowił na tym zdjęciu. Cesarz siedział na koniu z głową z lekka pochyloną, a przed nim na trawniku pozostawała dość duża pusta przestrzeń. Bodziowi od razu zaświtał pomysł, aby tę pustkę wypełnić. Wygrzebał u fotografa zdjęcie — swoje i Wicia Eynarowicza — i kazał sporządzić fotomontaż. Fotomontaż kosztował go słońco, ale się udał: cesarz z lekka pochylony na siodle zdawał się rozmawiać ze stojącymi przed nim na trawniku Bodziem i Wiciem. Bodzio kazał wyręczyć na negatywie napis po rosyjsku: „Jego cesarska mość cesarz pan najmiłościwiej rozmawia z wybitnymi ziemianami gubernii grodzieńskiej Wincentym Eynarowiczem i Bohdanem Żalutyńskim”. Fotografia — oszklona i w ładnych ramkach — wisiała do ostatka w gabinecie Bodzia w Złobowszczyźnie.

Oficjalnym zawodem wspomnianego Wolikowa był handel końmi, naprawę jednak był tzw. faktorem. W okresie międzywojnia zawód ten już wygasał, ale faktorów spotykano jeszcze tu i ówdzie na ziemiach Polski i Litwy. Przez Wolikowa Bodzio zdobył wspomnianą pasiastą budkę wartowniczą, która weszła do legendy o ostatnim facecjonście litewskim z następującego

powodu. Bodzio urządził zimą polowanie zbiorowe, na które zaprosił m.in. starostę grodzieńskiego pana Rogalewicza, b. adwokata mińskiego, komisarza ziemskiego i komendanta powiatowego policji państwowej. Gdy zaproszeni podjeżdżali saniami przed ganek, oczom ich prezentował się widok niezwykły. U stóp ganku stała budka w białe i czarne pasy, a przed nią Wolikow w mundurze szlacheckim dziada Bodzia — we fraku z czerwonym kołnierzem i złotymi guzikami i w kapeluszu trójgraniastym. W ręku trzymał półmuzealną jednorurkę pistonówkę, którą prezentował wchodzącym na ganek gościom. Gdy zbliżył się starosta, Wolikow wykrzyknął:

— *Zdrawija żetaju, wasze wysokorodje!*

Na powitanie komisarza ziemskiego:

— *Zdrawija żetaju, wasze wysokobłagorodje!*

Na powitanie komendanta policji:

— *Zdrawija żetaju, wasze błagorodje!*

A gdy sam Bodzio zbliżył się do budki:

— *Zdrawija żetaju, wasze impieratorskojo wysoczewstwo!*

(Proszę zwrócić uwagę na gradację tytułatury: tytuł „wysokorodja” odpowiadał stopniowi majora i pułkownika; tytuł „wysokobłagorodja” — stopniowi kapitana; tytuł „błagorodja” — oficerom najniższych stopni; no a tytuł „impieratorskiego wysoczewstwa” przysługiwał wielkim książętom krwi cesarskiej).

Stosunek Bodzia do Wolikowa był patriarchalny. Gdy chodził z Wolikowem po ulicach Grodna, kazał mu trzymać się o ćwierć kroku z tyłu i od czasu do czasu — nie odwracając głowy — podsuwał mu pod nos kciuk ze słowami:

— Possij dziedzicowi paluszek (*pososi barinu palczik*).

Wolikow nie gniewał się i ssał posłusznie. Zresztą Bodzio miał zwyczaj podawać chłopom-petentom do pocałowania nie rękę, a tylko koniec „paluszka”. (W tym miejscu autor chce podkreślić, że zwyczaj całowania ręki męskiej przez chłopów był zupełnie zarzucony w okolicach Baćkowa już w końcu XIX wieku, Tadeusz Irteński spotykał się z tym zwyczajem po pierwszej wojnie na Polesiu i w powiatach miechowskim i włoszczowskim województwa kieleckiego).

Razu pewnego Bodzio kazał Wolikowowi podpisać papier, w którego treści biedny faktor się nie zorientował. Papier brzmiał:

„Do Pana Wojewody w Białymstoku.

Nazywam się Wolikow. Nazwisko moje końcówką swoją przypomina nienawistne czasy zaborcze. Poza tym nie odpowiada mojemu zawodowi, handluję bowiem nie wołami, ale końmi. Wobec tego mam zaszczyt prosić Pana Wojewodę o łaskawe zezwo-

lenie na zmianę mego rodowego nazwiska Wolikow na nazwisko Ogier”.

Podanie trafiło w tryby maszyny administracyjnej i otrzymało bieg urzędowy. Nikogo treść jego nie dziwiła, był to bowiem okres epidemii zmiany nazwisk, gdy w Monitorze Polskim można było przeczytać, że Mucha chce zmienić nazwisko na Potocki, Muttermilch na Matecki, Hirschklau na Jedlewski, Jebas na Jebasiński, Goldwasser na Wodziński. Gdy jednak przyszło wezwanie urzędowe o zapłacenie dość znacznej sumki na koszt ogłoszenia w Monitorze (Monitor zdzierał za drobne ogłoszenia 20 razy więcej niż normalna gazeta), Wolikow zaprotestował: nigdy podania o zmianę nazwiska nie składał! Wszczęto dochodzenie i Bodziowi groziłyby może tzw. „grube nieprzyjemności”, gdyby nie zacytował starosta Rogalewicz, który sprawę zatuszował wyjaśniając że zaszło nieporozumienie.

Jak Bodzio stał się hrabią Palatynu? Paru pisarzy, którzy słyszeli coś piąte przez dziesiąte, pociągnęła barwna sylwetka Bodzia i paru z nich opowiadało o jego kawałach, a w szczególności o jego papieskim hrabiostwie. Niestety, w opowieściach tych pisarzy dużo było może dobrych chęci, ale i dużo informacji z drugiej i dalszej ręki i bardzo dużo nieścisłości. A najwięcej historii przekreślonych, brodatych anegdot przypisywanych od 150 lat bądź oficerom rosyjskim bądź kupcom moskiewskim. Na autora więc kroniki niniejszej spada zaszczyt skreślenia pierwszej i *jedynie autentycznej* wersji legendy o Bohdanie Zalutyńskim.

Pierwsze ziarnko idei zostania hrabią papieskim zapadło w głowie Bodzia w pierwszych latach niepodległości po sutym obiedzie w Bristolu w Warszawie. Kazał sobie podać blankiet telegraficzny i napisał telegram tej treści: „Vatican — Saint Père — prière bénédiction — Zalutynski Hotel Bristol Varsovie”. Nie wiadomo, czy Bodzio liczył nawet na odpowiedź na tę depeszę. Ale nazajutrz odpowiedź przyszła. Była podpisana przez kardynała Gaspariego i zaczynała się słowami „Sancta padre implorata benedictione”... Odpowiedź poszła natychmiast pod szkło i w złote ramki i zawiąła w Złobowszczyźnie na ścianie obok fotografii cara Mikołaja II najmiłościwiej rozmawiającego z Bodziem Zalutyńskim i Wiciem Eynarowiczem.

Odpowiedź kardynała bardzo imponowała proboszczowi duchowlańskiemu, który nieraz odwiedzał Bodzia jako kolatora i dobrodzieja. W czasie jednych z tych odwiedzin przy kawie i kieliszku nalewki Bodzio powiedział:

— Księżę proboszczu, chciałbyś zostać honorowym kanonikiem?

— Chciałbym — westchnął proboszcz.  
— Otóż mam propozycję. Ty dla mnie wystarasz się o hrabiostwo papieskie, a ja dla ciebie o honorową kanonię.

I tu wyłożył księdzu prosty i genialny plan. Stanisław Maciewicz powiedział, że hrabiostwo papieskie było „tanne”, a Melchior Wańkowicz, że kosztowało 5 funtów. Nic mi nie wiadomo o cenie rynkowej tego hrabiostwa, ale wiem, że Bodzia Zalutyńskiego nie kosztowało ani grosza. Jako właściciel dużego majątku musiał oddać część ziemi ornej na reformę rolną. Otóż ułożył się jakoś z komisarzem ziemskim, że kilkanaście hektarów skazanego na reformę gruntu przydzielono małorolnej parafii. Proboszcz wystosował zaraz pismo do kurii wychwalając pod niebiosa hojnego kolatora, wielkiego dobrodzieja, najprzykładniejszą owieczkę w swej parafii. Udał się z pismem osobiście do biskupa wskazując, że za taki bezprzykładny uczynek dla kościoła należy się dobroczyńcy jakiś zaszczyt nadany przez stolicę apostolską. W tym samym czasie Bodzio objeżdżał sąsiednie dwory, dworki i zaścianki zbierając podpisy pod petycją do biskupa o nadanie jakiegokolwiek zaszczytnego wyróżnienia zacnemu i zasłużonemu proboszczowi. Zebrał kilkaset podpisów i osobiście doręczył petycję biskupowi. W kilka miesięcy później proboszcz dostał tytuł kanonika honorowego, a Bodzio — tytuł Hrabiego Palatynu, kawalera Wielkiego Krzyża Korony Cierniowej i Kawalera Zakonu Grobu Świętego. Bodzio sprawił sobie natychmiast strój przepisany: kapelusz trójgraniasty z pióropuszem, biały płaszcz do kostek i szpadę. Obstałował też sobie bilety wizytowe:

Bohdan Zalutyński  
Hrabia Palatynu  
Kawaler Wielkiego Krzyża Korony Cierniowej  
Kawaler Zakonu Grobu Świętego  
Obywatel Ziemi Grodzieńskiej.

Zrobił też i rozesał przyjaciółom i znajomym podobiznę swoją w tym stroju rycerskim. Jeździł też w nim w niedziele do kościoła. Gdy jechał w otwartym powozie lub szedł w nim z powozu do świątyni, pobożne chłopki klękały w przekonaniu, że spotykają wysokiego dostojnika kościelnego.

Melchior Wańkowicz w jednym ze swych wspomnień o Bodziu Zalutyńskim, którego nazywa „Bubą” — choć jako żywo nikt nigdy tak hrabiego Palatynu nie nazywał — opowiada o jakimś kawale Bodzia polegającym na tym, że śpiącemu chłopkowi czy Żydkowi odprzągnął konia, przełożył hołoble przez płot, a konia zaprzągnął z drugiej strony płotu. Moje zapiski nie odno-

towały tego kawału. Nie przeczę, że mógł go zrobić naśladowając zresztą jakiegoś tulskiego, czy orłowskiego Rosjanina „samodura” z pierwszej połowy XIX wieku. Nawet geniusz nie zawsze bywa oryginalny i dopuszcza się po cichu plagiatu. Inny natomiast kawał „drogowy” Bodzia jest oryginalny i autentyczny. Jechał samochodem z braćmi Eynarowiczami. Szkapa chłopska wystraszyła się i wyróciła wóz z chłopem i babą. Wściekły chłop cisnął kamieniem w samochód. Automobiliści zatrzymali maszynę, złapali chłopą i posadzili do auta.

— Widzisz — powiedział Zalułyński — ty w nas kamieniem, a my ciebie powozimy autem dla przyjemności.

Rozmawiając przyjaźnie z chłopem jechali tak ze trzydzieści kilometrów przy czym chłop jadąc pierwszy raz w życiu autem nie orientował się ani w czasie, ani w przejechanej przestrzeni. Gdy co najmniej sześć godzin drogi piechotą dzieliło ich od miejsca wypadku, wysadzili chłopą dając mu parę złotych na wódkę.

Rudy bywał nieraz gościem w Złobowszczyźnie. Urządzali wtedy wspólne kawały. Raz chodziło o odpowiedź na list jakiejś panienci powiatowej, która się oświadczyła Bodziowi w miłości. Rudy w charakterze sekretarza osobistego Bodzia wystukał odpowiedź na maszynie z nagłówkiem:

Zarząd Dóbr Duchowlany i Złobowszczyzna  
Wydział spraw mniejszej wagi

Żeby zakończyć część „wiejską” legendy o Bohdanie Zalułyńskim zaznaczę, że nigdy nie sprzedawał tego samego zboża kilku Żydom naraz, aby potem urządzić wyścig, że zboże dostanie się temu z kupców, który pierwszy dobiegnie do spichrza. Tego rodzaju kawał urządził nie Bodzio, ale Franio Czapski z Nowosiółek pod Oszmianą.

Warszawskich kawałów Bodzia nie spisać na wołowej skórze. Do najcelniejszych należy przyjęcie, które urządził na cześć państwa Hallerów z Mianocic pod Miechowem — z udziałem generała Józefa Hallera. Jak już wspomniałem Bodzio był rozrutny tylko gdy chodziło o głupstwa — poza tym nie lubił wydatków ekstra w rodzaju „fund” i pożyczek. Podejmowany gościnnie i wystawnie przez Hallerów w Mianocicach — na balach i polowaniach — poczuwał się do obowiązku rewanżu. Ponieważ przyjęcie w restauracji byłoby zbyt kosztowne, więc urządził je w „kurwim dołku” na Sewerynowie, o którym już była mowa w tej kronice. Jadła dostarczyła pobliska restauracja „Lija”, napoje alkoholowe kupiono w sklepie wódczanym. Aby spe-

cialnie uczcić generała Hallera, Bodzio kupił kolorową podobiznę generała, ustawił ją u szczytu stołu między oknami, ozdobił gałązkami zieleni i zapalił przed nią parę świeczek, jak przed obrazkiem świętym. Gdy generała wprowadzono z honorami do pokoju, zmieszał się na tak niespodziewany widok, zarumienił się z lekka i nie wiedział, co powiedzieć. Wreszcie ochłonawszy wybąkał pierwsze zapewne słowa, które mu przyszyły do głowy:

— Nie jestem bardzo podobny do siebie na tej fotografii.

Na to Bodzio położył rękę na piersi i rzekł z deklamacją:

— Podobieństwo, panie generale, nosimy w sercu!

A potem dodał ciszej, ale tak, że wszyscy słyszeli:

— Jesteśmy kolegami, panie generale. Ja — rosyjski pułkownik, pan — polski generał. To mniej więcej to samo...

(Mówiąc o rosyjskim pułkownikostwie miał na myśli swą służbę w „gwardii sanitarnej” wielkiej księżny Marii Pawłówny).

Uczta udała się. Było gwaro i wesoło. Opowiadano kawały myśliwskie i niemyśliwskie. Pito na umór. Wznoszono toasty.

Był tylko jeden drobny zgrzyt. Oprócz generała Hallera był jeszcze drugi gość honorowy — major Jaworski, słynny zagończyk, który w parę lat później miał zginąć w okolicznościach szczególnie tragicznych. Był nałogowym pijakiem i przyszedł na przyjęcie już dobrze napompowany. Był blady i milczący. Upijał się zawsze na ponuro. Posadzono go obok żony Bodzia pani Lali. Zaczyna pani Lala, zaszczycona sąsiedztwem bohatera narodowego, postanowiła go bawić — nie bacząc, że milczał patrząc w talerz i wychylając kieliszek po kieliszku. Aż w pewnej chwili Jaworski nie mógł wytrzymać tej damskiej paplaniny i powiedział głośno:

— Co mi pani zawraca głowę! Pani w życiu tyle nie na...ła, ile ja przeżyłem.

Wkrótce po tym odezwaniu się był już tak pijany, że go odprowadzono do sąsiedniego pokoju i położono do łóżka. Nazajutrz, gdy mu powiedziano, jak się zachował, pośpieszył do Zalużyńskich do hotelu — z przeprosinami. Naturalnie „w szaserach”.

Na Sewerynowie na tym samym korytarzu mieszkał niejaki pan Bober. W czasie jednej z licznych wizyt Bodzia libacja była tak hałaśliwa, że pan Bober nie mógł wytrzymać i wyszedł w szlafroku na korytarz prosząc o ciszę.

— A pan kto? — spytał Bodzio.

— Bober jestem.

— Ach tak! No to ja do pana pif-paf!

(Tu nadmienię, że do generała Zająca Bodzio nigdy nie „strzelał”. Ani telefonicznie, ani w inny sposób. Strzelał może kto inny, ale nie Bodzio).

Zachęcony otrzymaniem błogosławieństw, wysokich tytułów i honorów rzymskich Bodzio rozpoczął kolekcjonowanie orderów cudzoziemskich. Czyhał więc pilnie, czy się coś nie przydarzyło, czy to komuś z panujących, czy dyktatorowi lub premierowi. Odpowiednio do okoliczności posyłał albo depezę kondolencyjną, albo gratulacyjną. Czy była to śmierć Aleksandra greckiego pogryzionego przez małpę, czy nieudany (zmyślony?) zamach na Mussoliniego, czy tragiczna śmierć królowej Astrid belgijskiej, czy zamordowanie Aleksandra jugosłowiańskiego, prezydenta Doumera lub kanclerza Dollfussa, czy inne wypadki w okresie między dwiema wojnami, o których dziś mało kto pamięta, zaraz Bodzio wysyłał depezę. Wysłał też rzecz jasna depezę do generała Franco po zakończeniu wojny domowej w Hiszpanii.

— Cóż ty myślisz — mówił nieraz Tadeuszowi — za kilka lat będę miał odznaczenia wszystkich krajów europejskich. A potem zabiorę się do Azji i do Ameryki południowej.

Niestety, wybuchła wojna 1939, dużo odznaczeń utknęło gdzieś po drodze i kolekcja Bodzia urwała się nie osiągnąwszy nawet połowy krajów europejskich.

Bodzio puszczał się nieraz na kawały ryzykowne. Tak np. było to na premierze jakiejś sztuki „futurystycznej” w Reducie, w okresie, gdy się mieściła w gmachu Teatru Wielkiego. Na scenie snuły się jakieś niesamowite zjawy i rozlegały się nieartykułowane wycia. W pierwszym rządzie siedział Bodzio w towarzystwie Rudego, Tadeusza, Janka Bochwica, Tosia Januszkowskiego, Wiktora Piotrowskiego i jeszcze paru innych „darmozjadów” litewskich objających wtedy bruki warszawskie. Zanim futurystyczną szmirę dociągnięto do połowy pierwszego aktu, Bodzio wstał i oznajmił głosem tubalnym:

— Dość tego skandalu! Chodźmy na kolację! Nigdy by za czasów Skałona nie ośmielono się wystawić takiej bzdury na scenie cesarskiej. No ale cóż — wszystko dziś jest możliwe w tych nowych republikach — litewskiej, łotewskiej... cygańskiej...

Przyjaciele powstali z miejsc z hałasem i podążyli za Bodziem. Żegnały ich sykania, ale i głosy aprobaty: „Mają rację!”

Bodzio był mistrzem riposty, może niezbyt subtelnej, ale błyskawicznej i dobitnej. A więc kiedyś przy stoliku w tymże Bristolu pan Mieczysław Bohdanowicz, potentat wileński, omawiał świeżą nominację adwokata pana Rogalewicza na starostę grodzieńskiego.

— To mój przyjaciel — oznajmił Bodzio z dumą.

— O tym szczególnie nie wiedzieliśmy — zauważył pan Bohdanowicz uśmiechając się sarkastycznie pod staropolskim wąsem.

Bodzio poczerwieniał i krzyknął:

— A więc ja panu mówię, bo widzę, że pan nic nie rozumie!

Dużo kawałów Bodzia nie nadaje się do druku nawet w dzisiejszym okresie rozluźnienia obyczajów literackich. Wszystkie te kawały niecenzuralne obracają się zresztą dokoła jego niezwykłej siły męskiej, która wprawiała w podziw i trwogę nawet kobiety uprawiające miłość zawodowo. Zapytany raz przez Tadeusza o sekret tej rekordowej wytrwałości męskiej wyjaśnił, że w chwilach, gdy inni poddają się uczuciu wzrastającej ekstazy miłosnej, on myśli o terminach płatności weksli i o podatkach.

Bohdan Żalutyński, Kawaler Wielkiego Krzyża Korony Cierniowej, Kawaler Zakonu Grobu Świętego i Hrabia Palatynu zmarł w Polsce w roku 1959 w wieku lat 74. Zmarł w odorze legendy ostatniego facecjonisty litewskiego\*.

---

\* Pan Szymon Konarski, autor „Memoriału” o polskiej szlachcie utytułowanej sprawdził i autorytatywnie wyjaśnił, że śp. Bohdan Żalutyński nie był a nawet nie mógł być autentycznym hrabią Palatynu. Po ukazaniu się niniejszego rozdziału w „Wiadomościach” londyńskich, pan Konarski napisał w tej materii list do redakcji. Obawiam się jednak, że trud pana Konarskiego był zmarnowany i to zmarnowany podwójnie.

Po pierwsze — zmarnowany dla potomności. Jeśli pamięć o Bohdanie Żalutyńskim zaginie, tedy i o jego hrabiostwie ludzie zapomną. Jeśli natomiast stanie się legendą, tedy na przekór dokumentom, lub raczej na przekór brakowi dokumentów Żalutyński pozostanie w pamięci ludzkiej „Hrabią Palatynu”.

Trud pana Konarskiego był również zmarnowany wobec mojej osoby. Wszystkie kawały Bodzia Żalutyńskiego — łącznie z jego hrabiostwem — traktowałem i traktuję jako anegdotę.

Dodam, że moją wersję jego legendy nazwałem „jedynie autentyczną” wcale nie dlatego, abym jego hrabiostwo brał poważnie i abym na nim stawiał placet kronikarza. Chodziło mi wyłącznie o ochronę tej legendy przed przypisywaniem nieboszczykowi „wyleniących” (jakby powiedział p. Andrzej Chciuk) kawałów przez Melchiora Wańkowicza, Antoniego Uniechowskiego i innych. Te same motywy „ochraniarskie” skłoniły mnie do napisania następnego rozdziału: „Pieśń o Rudominie”.



## Rozdział XXVI

### PIEŚŃ O RUDOMINIE

Rudego nazywano czasem „rezydentem”, czasem „trefnisiem”. Dalej pokażę, że przezwiska te były zarówno bezpodstawne, jak krzywdzące. Tutaj warto zanotować, że takimi epitetami obdarzali Rudego ludzie zwani na Litwie „prymakami”, o których pisałem w rozdziale XVIII-ym. Stanowisko prymaka nie cieszyło się szczególną estymą i budziło uśmieszki lub drwiny. Prymacy widzieli to lub czuli i w celu psychicznej kompensacji szukali bliźnich, którym by mogli przypiąć jakąś łatkę. Stąd — nazywając Rudego, któremu na ogół do pięć nie dorosli, „rezydentem” albo „trefnisiem”.

Rudy był przede wszystkim naturą barwną i bogatą. Już za życia był legendą, a po drugiej wojnie kilku autorów ulokowało jego swoich wspomnieniach. Niestety, wszystkie znane mi opowiadania o Rudym są najczęściej z drugiej ręki, przekręcając znane kawały Rudego, lub przypisują mu kawały od 200 lat przypisywane tym lub innym oryginałom litewskim. Legenda więc o Rudym została, jak zresztą przystoi każdej legendzie, mocno łągarstwem podbarwiona.

Rudomina był przede wszystkim poetą. Utwory jego rozsiane przyjaciołom w listach nigdy nie ukazały się w druku. Zapadną też w przepaść niepamięci razem ze śmiercią ostatniego z przyjaciół Rudego. Zresztą poezje Rudego były pisane przeważnie szczególnym polsko-rosyjsko-białoruskim żargonem i mogą być zrozumiane tylko przez kogoś, kto zna dobrze te trzy języki. Czy jednak mogą być „zrozumiane”? Chodzi o to że Rudy pisał bez sensu. *Sheer nonsense* zbliża jego utwory do poezji współczesnej, wątpić jednak należy, czy poeci dnia dzisiejszego przyjęliby go do swego cechu. Z ich punktu widzenia wiersze Rudego mają wadę całkowicie dyskwalifikującą: pisać głupstwa Rudy bardzo

skrupulatnie przestrzegał rymu i rytmu, czyli że z punktu widzenia poetyki nowoczesnej popełniał grzech śmiertelny.

Byłoby bezcelowe rozwodzić się dalej nad poezją Rudego. Dam tylko parę przykładów, aby czytelnik miał choć przybliżone o niej pojęcie.

Przyjaźnił się ze starszym od siebie o pół pokolenia malarzem Stanisławem Bohusz Sistrzeńcewiczem, twórcą słynnych szkiców piórkiem z dziedziny folkloru litewsko-białoruskiego. Pewnego razu Rudy zwraca się do pana Sistrzeńcewicza:

— Napisałem wiersz, w którym użyłem terminu malarskiego. Rzuć okiem i powiedz, co o tym myślisz.

Wiersz brzmiał:

*To jeszcze dobrze w maju,  
Co robić w czerwcu, pytam,  
Do tego w naszym kraju  
I z takim drzeworytem?...*

Sistrzeńcewicz wpadł w pasję:

— Jesteś bałwan i dureń! Wypraszam sobie na przyszłość zwracanie się do mnie z takimi idiotyzmami.

Innym razem napisał wiersz poświęcony znanym ongi w Mińsku osobistościom pt. „Ludzie Mińska”. W wierszu tym była strofa o prezydencie miasta Mińska Stanisławie Chrzóstowskim i jego szwagrze Rudolfie Porzeckim:

*Chrzóstowski, Mińska mer,  
A z nim Porzecki, dzielny mąż.  
A imię ich czterdzieści czter,  
Wkluczając gąbkę — patrz éponge.*

Bohdan Wańkowicz mieszkający z Rudolfem Porzeckim w Postawach miał nieostrożność pokazać ten wiersz panu Rudolfowi, zwanemu Rudźką. Rudźka rozgniewał się nie na żarty.

— Ależ to idiotyczne! — ryknął.

— Idiotyczne — przyznał Bohdan.

— A jednak ty, Bohdanie, uważasz to za dowcipne?

— Dowcipne... Nie wiem. Dowcip to rzecz względna. Uważam, że wiersz jest zabawny.

— A ja uważam, że nie jest ani zabawny, ani dowcipny, a po prostu głupi! Ot, kiedyś w Mińsku stary Legatowicz pisał dowcipne wiersze...

(Legenda o dowcipnych wierszach starego Legatowicza, ojca adwokata, była legendą martwą, gdyż ani na piśmie, ani w

pamięci ludzkiej nie zachował się ani jeden wiersz tego satyryka mińskiego drugiej połowy XIX wieku).

Rudy pisywał też z rzadka satyry zrozumiałe nawet dla niewtajemniczonych. Miał on — na szczęście nie on jeden! — wstręt do histerycznego patriotyzmu polegającego na westchnieniach, wykrzykniach, frazesach, smarkaniu się, wierszyku „Kto ty jesteś? — Polak mały”, rymach „ojczyzny-blizny” i — „Rocie” Konopnickiej. Napisał więc parodię „Roty”. Uznał, że za powiedź poetki „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz” jest za słaba i zamienił ją wierszem „nie będzie Niemiec na nas...”

Dziesięcioletni pobyt w powiecie miechowskim, którego ziemianstwo było zatrute toksynami endecji, natchnął Rudego do napisania szeregu rymowanych paszkwilów skierowanych przeciwko Józefowi Piłsudskiemu. Było to jednak raczej uprawianie sztuki dla sztuki. Rudego bowiem polityka mało interesowała. Tyle tylko że jako ultrakonserwatysta nie znosił socjalistów.

Pisywał też utwory „dla dzieci”. Ułożył m.in. elementarz, w którym np. literę „U” ilustrowały takie przykłady: „tu dwa ule, a tu dwie dupy”... „upławy u Urszuli”. Poza tym układał zagadki. Jedna z nich zaczynała się tak:

*Wyłazi ze mnie czasem kielbaska,  
Ciemnobrązowa cynamon-laska...*

I kończyła:

*Któż taka jestem? Zgadnij że dziecię!*

Znaleźli się niegodziwcy, a w ich liczbie autor tej kroniki (bije się mocno w piersi!) którzy tych wierszyków uczyli swych sześcioletnich siostrzeńców ku zachwytowi latorośli a ku wielkiemu — i słusznemu — oburzeniu matek.

Popisowym numerem Rudego był wykład o literaturze białoruskiej. Polegał na recytowaniu i komentowaniu sprośnych wierszyków zaczerpniętych z autentycznego folkloru białoruskiego. Wykład miał ogromne powodzenie — po pierwsze dlatego, że komentarze były absurdalne, a po drugie — że przed recytacją każdego kawałka prelegent zapowiadał: „A teraz powiem państwu wiersz pióra pani Ludwiki Życkiej”\*, albo: „A teraz posłyszają państwo utwór Zdzisława Kleszczyńskiego, który dostał nie dawno pierwszą nagrodę na konkursie welocypedo-

---

\* Znana działaczka społeczna i pisarka końca XIX i początku XX wieku w Wilnie

wym". Ta druga zapowiedź była aluzją do pierwszej nagrody „Tygodnika Ilustrowanego” zdobytej przez Kleszczyńskiego w roku 1913 za wiersze o ks. Józefie Poniatowskim pt. „Książę”.

Łatka „rezydenta” uczepliła się Rudego między innymi z takiego powodu. Spędził szereg lat w Mianocicach powiatu miechowskiego u państwa Józiosłowa Hallerów. Gdy spytano panią Hallerową, czy Rudomina jest ich krewnym, bo stale mieszka w Mianocicach, zapytana odpowiedziała:

— Nie, nie jest krewnym, a tylko przyjacielem.

A po chwili dodała:

— Wyszło trochę zabawnie, bo przyjechał do nas na trzy dni, a siedzi trzynaście lat.

Złośliwość — zapewne mimowolna — pani Hallerowej nie była ścisła. Po pierwsze Rudy przeniósł się do Mianocicach nie trzynaście, a tylko dziewięć lat, po drugie zaś co kilka miesięcy chciał wracać do siebie i za każdym razem zatrzymywano go dosłownie gwałtem. Rudy bowiem miał własny dom, do którego koniec końców wrócił około roku 1930-go. Był razem z braćmi Wackiem i Franiem właścicielem ładnych folwarków Soroki i Januszew w powiecie dziśnieńskim.

Długi pobyt Rudego w Kieleckim stanowił bujną kartę w jego życiu. Popijał tam, jeździł konno, polował, grywał w brydża. Kwaterą główną były wspomniane Mianocice, ale dużo czasu spędzał w Olesznie Kundzia Niemojewskiego, syna i spadkobiercy słynnego dziwaka Sergiusza. Rudy opowiadał Tadeuszowi dziwy o tym Olesznie. Tadeusz słuchał opowiadań Rudego z niedowierzaniem, zanim się osobiście nie przekonał będąc latem 1923 na polowaniu na kaczki w Olesznie, jakim anachronizmem był ten dwór położony niemal w sercu Mazowsza. Pamięć o Karolu Radziwille Panie Kochanku i innych oryginałach litewskich sprawiła, że starym nawykiem myślenia właśnie okrojona do obszaru „Ziem Wschodnich” Litwę uważano wciąż za rezerwat dziwactwa i „feudalnych” (proszę mi darować wyraz utarty lecz błędny!) obyczajów. Tymczasem wszelkie dziwactwa i „feudalizmy” znikły na Litwie niemal bez śladu po rewolucji i wojnie 1917-1920, natomiast w Olesznie powiatu włoszczowskiego „przedrozbiorowe” fantazje szlacheckie kwitły bujnym kwieciami. (Mówię o czasach kawalerskich Kundzia bo po poślubieniu panny „Kropki” Morawskiej z Miławczyc podobno się ustatkował). Gość w Olesznie dostawał osobny pokój z przybitą kartką ze swym nazwiskiem i miał przydzielonego kozacka w liberii — zresztą przykładowie mazurzącego — który go na krok nie odstępował. W pewnych chwilach życia było to nawet krępujące. Wódka i szampan — zresztą węgierski Palugay

— płynęły strumieniem. Nad ranem szcztu gończymi i chartami hodowanego lisa, albo strzelano do domowych kaczek na stawie. Wszystko to zresztą było niewinne i mniej lub więcej normalne. Gorzej że Kundzia trzymały się od czasu do czasu nieobliczalne szusy. A więc np. doniesiono mu, że jakiś urzędniczy na wydziału powiatowego we Włoszczowej rozpuscita o nim plotki, że trzyma w Olesznie harem (co poniekąd było prawdą). Kundzio podstępnie zwabił tego urzędniczynę do Oleszna i kazał „kozaczkom” wsypać mu na ganku tuzin nahajów.

— Wiesz za coś dostał? — spytał Kundzio po egzekucji.

— Nie wiem.

— Za to, żeś kurwa. Powtórz!

— Za to, żeś kurwa.

Incydent nie miał dla Kundzia przykrych następstw, bo biedny urzędnik po powrocie do Włoszczowej nikomu się ze wstydu nie skarżył.

Wspomniałem o szczuciu hodowanego lisa. Odbywało się na terenie olbrzymiego — długości chyba 500 kroków — czworoboku otoczonego z trzech stron budynkami. Czwartą stroną był płot, a za nim łąn zboża. Lisa wypuszczono z klatki i poszczuto gończymi. Był na pół oswojony i nie bardzo chciał uciekać. Dopiero gdy go gończe zaczęły skubać, puścił się galopem i od razu odsadził od piesków na pół długości czworoboku. Tymczasem dwa charty stały wyprężone na smyczy, wpatrzone w umykającego lisa. Gdy lisa dzieliło od zbawczego łąnu zaledwie 100 kroków, dopiero wtedy puszczono charty ze smyczy. Tadeusz nie mający doświadczenia z polowaniem z chartami, przekonał się o szybkości tych psów. Jak strzały z cięciwy poleciały przez dziedziniec, przeskoczyły przez głowy gończych i dopadły lisa w chwili, gdy już-już miał się skryć w łąnie pszenicy.

Odbiegłem jednak od tematu, bo rozdział jest poświęcony Rudemu, a nie Kundziowi Niemojewskiemu. Aby nie wracać już do kieleckiego okresu jego życia, dodam tylko, że nie wyniósł z tamtego okresu żadnych zdobyczy duchowych. O ziemiaństwie kieleckim był zdecydowanie ujemnego zdania:

— Zacni lecz dziwni to ludzie — mówił nieraz Tadeuszowi — jedynym tematem ich rozmów są albo kłopoty gospodarcze, co samo przez się jest nudne, albo: koń. Koń, który jest koniec końców bydlęciem pociągowym lub pod siodło, stanowi w ich rozmowach jedyny surogat poezji.

Na spisanie wszystkich kawałów Rudego trzeba by grubego tomu. Przytoczę więc tu kilka, nie tyle najcelniejszych, ile takich, które zapamiętałem.

Nie znosił utworów Gabryeli Zapolskiej. „To histeria, a nie

literatura — powiadał — kobieta rodzi dziecko: zdawałoby się rzecz zwykła, ale u Zapolskiej „Gloria in excelsis Deo”.

Gdy w roku 1920 ukończyli z Tadeuszem służbę ochotniczą w lotnictwie, ofiarował przyjacielowi fotografię w mundurze z napisem: „Na pamiątkę wspólnej kampanii tureckiej”.

Czasem bawił się w trawestację znanych przysłów, np.: „Gdyby ciocia nie miała menstruacji, to byłaby co miesiąc zdrowa”.

Gdy latem 1917 roku bawił u Marylki Słotwińskiej w Rawaniczach i podkochiwał się w tej młodej wówczas i niebrzydkiej wdówce, ktoś z gości rawaniczkich spytał go: „Cóż pan porabia, pani Witoldzie?” — „A nic. Chodzę po polu i liczę kroki: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, *moje*... Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, *moje*”... (Chodzi o to, że wedle cywilnych praw rosyjskich wdowie przysługiwała siódma część majątku męża, czyli w interpretacji Rudominy dostałby w posagu każdy siódmy krok).

Pewnego razu zadziwił obecnych szczególną rachubą czasu: „Trzy już przeżyłem Konklawe”...

Opowiadanie o Janie Oskierce, znanym magnacie wileńskim, tak zaczął: „Gdy Oskierka skończył 21 lat, no bo nic innego nie skończył”...

Kiedys w rozmowie z Tadeuszem zachwalał urodę jakiejś przyjezdnej panienci, której Tadeusz nie znał. „Co to za typ urody?” — spytał Tadeusz. „No, jak by ci powiedzieć; taka przystojna kurewska twarz”...

O panu S.W. nie odznaczającym się większą inteligencją mówił, że „razem z kupcami fenickimi wymyślił szkło”.

Raz szli z Tadeuszem ulicą. Rudy uklonił się jakiemuś panu przejeżdżającemu dorożką. „Kto to był?” — spytał Tadeusz. „Przeciszewski”. — „Nic podobnego. To nie był Przeciszewski”. — „Racja”, ale mi było wygodniej powiedzieć „Przeciszewski”...

Potrafił doprowadzić ludzi do rozpaczki powtarzaniem jednego i tego samego kawału. Przez czas dłuższy ofiarą tego rodzaju prześladowań był zacny ziemianin pan Antoni Grzegorzewski, starszy pan, który mógłby być ojcem Rudego. Spotykając go codziennie w klubie w Mińsku Rudy zwracał się do niego z emfazą: „Witam pana, panie Grzegorzu!” Na to pan Grzegorzewski: „Po pierwsze mam Antoni na imię, a po wtóre nic pana nie upoważnia do zwracania się do mnie po imieniu”. Ten krótki dialog trwał każdego wieczoru przez kilka miesięcy i — rzecz dziwna — nie znudził ani Rudego, ani pana Grzegorzewskiego.

Innym razem Rudy jadł obiad u Langnera w Warszawie z Bodziem Zalutyńskim. Przy sąsiednim stoliku siedział pan Grze-

gorzewski w towarzystwie Witulka Wagnera. Zalutyński podsunął myśl, że warto by zrobić jakiś kawał Grzegorzewskiemu. Rudy kazał sobie podać arkusik papieru i wystosował urzędowy list po rosyjsku — z kancelarii gubernatora wileńskiego do inspektora powiatu dziśnieńskiego. List był podpisany przez p.o. gubernatora Zalutyńskiego, a kontrasygnowany podpisem „za naczelnika kancelarii A. Grzegorzewskij”. List włożono do koperty i przez kelnera doręczono Witulkowi. Witulek oczywiście zaraz pokazał list Grzegorzewskiemu. Zaczyna pan Antoni aż podskoczył na krześle z oburzenia, przy czym — jak opowiadał potem Witulek — oburzył się nie tyle na użycie jego nazwiska, ile na to, że podpis brzmiał nawet nie „naczelnik kancelarii” a tylko „za” naczelnika kancelarii.

W czasie podróży pociągami w Kielecczyźnie spotkał go niemiły wypadek: skradziono mu walizkę. Meldując o tym na posterunku żandarmerii na stacji Przysieka (było to zaraz po wojnie, gdy posterunków żandarmerii na kolei jeszcze nie zlikwidowano) oznajmił: „Zrobiono mi reformę rolną z walizką”. — „Nie rozumiem” — odparł wachmistrz żandarmerii. „No — skradziono mi walizkę”. Wachmistrz zmarszczył brew: „Za takie dowcipy będzie pan odpowiadał. Czy chce pan, abym zaprotokółował pańskie słowa o reformie rolnej?” — „Proszę bardzo”. Poczciwy żandarm zaprotokółował i Rudomina podpisał protokół. (Było to na wiele lat przed wprowadzeniem ustawy o „lżeniu narodu polskiego” i kawał nie miał przykrych dla Rudego następstw).

W okresie sobotniej i niedzielnej prohibicji Rudy siedział w Europejskim po sutej kolacji. Nagle zjawił się nalot urzędu walki z lichwą i spekulacją, celem sprawdzenia, czy nie odbywa się nielegalny wyszynk alkoholu. Przy stoliku Rudego pito uczciwą kawę. Widząc zbliżających się urzędników Rudy pośpiesznie nakrył swą filiżankę serwetką. Urzędnik skoczył jak pantera, chwycił filiżankę Rudego i podniósł do nosa. Rozczarowany i zirytowany odstawił filiżankę i krzyknął na Rudego: „Po co pan przykrywał filiżankę serwetką?!” Wtedy i Rudy podniósł głos: „A czy jest prawo zabraniające nakrywania filiżanki serwetką?! Czy chce pan, abym się poskarżył pańskim przełożonym za podnoszenie głosu i nadużycie władzy?!” Niefortunny urzędnik zretrował się jak niepyśzny.

Czasem dowcipy Rudego bywały niezamierzone. Razu jednego podpił sobie z Tadeuszem w towarzystwie pewnego abstynenta, który nie tylko nie pił, ale się ironicznie uśmiechał patrząc na pijących. Jak wiadomo pijacy i wariaci są podejrzliwi i mają dobre oko. Rudy zauważył uśmieшки abstynenta i po li-

bacji skarżył się Tadeuszowi z goryczą: „Jakże świetnie rozumiem psychologię trzeźwych. Siedzi sobie taki pan, uważa siebie za coś lepszego i myśli: my trzeźwi...”

Rudy miał dar dosadnej a dyskretnej konstatacji. Bawili raz na wsi z Tadeuszem w dworku, gdzie Tadeusz uciął sobie romansik z gospodynią domu. Spali z Rudym w jednym pokoju. Wracając z nocnej schadzki Tadeusz miał nadzieję, że zastanie Rudego śpiącego. Ten jednak nie spał i czytał w łóżku. Na pozór nie zwrócił uwagi na Tadeusza i tylko po pewnym czasie powiedział półgłosem, jakby do siebie: „Kochasz i jesteś kochany”.

Miał też dar trafnych fizjonomistycznych określeń. Idąc z Tadeuszem w Wilnie ulicą Mickiewicza spotkali ówczesnego szefa Tadeusza wojewodę Bociańskiego. Rudy nigdy przedtem nie widział Bociańskiego i nie wiedział kim jest niewielkiego wzrostu człowieczek, któremu się Tadeusz uklonił. Powiedział jednak zaraz: „Temu panu musi się odbijać zgniłym jajkiem”. Określenie było bardzo trafne, gdyż wojewoda Bociański cierpiał na opuszczenie żołądka, czy inną tego rodzaju dolegliwość, co było jedną z przyczyn jego złych humorów.

Pan Irteński, kierowany zwykłą u ojców ambicją, chciałby widzieć syna w towarzystwie ludzi statecznych, poważnych, zrównoważonych. Patrzał więc z ukosa na przyjaźń syna z Rudym. Powiedział raz z przekąsem: „Dowcipy twego Rudominy są mocopłciowe”. A Józiolo Haller z Mianocic zachnął się kiedyś na Rudego: „Dowcipy twoje i Irteńskiego polegają na dwóch słowach: .... i ....” Tutaj Józiolo użył wyrazów, które w literaturze polskiej nie znalazły jeszcze szerszego obiegu, a które do literatury anglosaskiej wprowadził Henry Miller. Powiedzenie Józiola wprowadziło Rudego w zachwyty. Zaraz napisał do Tadeusza orędzie wierszem, w którym końcowa zwrotka brzmiała:

*Lecz jeden smutek u nas ot:  
Nasz dowcip nieudany.  
Zrozumiał Haller, pojął w lot:  
Rozrodcze dwa organy.*

W naganie pana Irteńskiego i Józiola Hallera była tylko cząstka prawdy. Rudy używał wyrazów niecenzuralnych oszczędnie i w miarę — ani mniej ani więcej niż używają ich polskie samce rodzaju ludzkiego.

Wiadomo jak trudno jest zatamować strumień elokwencji jakiegoś nudziarza. Rudemu zdarzyło się wpaść na skuteczny, choć bardzo niewonny sposób. W upalny dzień szli z sąsiadem



Adasiem Buszem kąpać się w rzece. Ponieważ byli w domu kawalerskim, więc kroczyli zupełnie nago z ręcznikami w ręku. Adasia Busza rzuciła niedawno żona, zanudzał więc wszystkich opowiadaniem, jak do tego doszło, z czyjej winy, jak to naprawić i t.d. Rudy powiedział tonem delikatnym: „Ten temat bardzo cię podnieca i denerwuje, Adasiu. Może będziemy mówili o czym innym”. Adaś Busz nie słuchał i mówił dalej. „Poczekajże — pomyślał Rudy — zaraz zmienisz temat rozmowy”. Zbliźali się właśnie do rzeki. Rudy, który już od pewnego czasu odczuwał żywo naturalną potrzebę, pomyślał, że zaraz bystry prąd rzeki usunie wszelki brud i — nie zwalniając kroku — załatwił się wzdłuż kończyn dolnych. „Świnia!” — wrzasnął Adaś — jak można robić coś podobnie obrzydliwego!” — „Ale ty zmieniłeś temat rozmowy” — odparł Rudy z jadem w głosie.

Portret psychologiczny Rudominy byłby niezupełny, gdybym cytował jego wiersze pisane dla szczupłego grona wybranych, lub przypominał jego dowcipy, które nie dla wszystkich będą dowcipne. Czy wielu np. z dzisiejszego pokolenia zrozumie urok takiego powiedzenia: „Jedyny wyraz grecki, który pamiętam z czasów szkolnych, to *madapolam...*”

Dla dziesiątków, czy może nawet setek ludzi Rudy był wesołością, dla wielu „trefnisiem”, ale naprawdę nie był człowiekiem zbyt szczęśliwym. Po godzinach zabawy i żartów przychodziły godziny, czasem nawet całe dni czarnej depresji. W okresach depresji Rudy nie uśmiechał się, nie żartował, nie reagował na niezłe żarty przyjaciół. Co było powodem tych okresów przygnębienia? Różnie o tym mówiono. Czasem załatwiano sprawę wzruszeniem ramion i nic nie objaśniającym słowem „neurastenia”. Czasem mówiono, że wobec niesłychanych ilości alkoholu pochłanianych przez Rudego, owe okresy depresji były po prostu okresami katzenjammeru. Inni mówili o nieudanym życiu erotycznym Rudego. To rozwiązanie sam Rudy im podsunął mówiąc raz ze złością:

— Już to muszę przyznać, że nie mam powodzenia u kobiet, j. ich mać!

To objaśnienie też nie było murowane. Wszyscy wiedzieli, że pewna urodziwa panna całe życie kochała się w Rudym. Zerwanie nastąpiło z woli Rudego i zawiedziona panna wyszła za mąż za innego — niezbyt szczęśliwie. A w okresie największej nędzy, w roku 1919-ym, gdy wszelkie źródła dochodu miał odcięte, wpadł w oko pewnej damie dość powabnej, choć nie najpierwszej młodości. Rudy tak opowiadał o scenie erotycznej między nimi:

— Mówi do mnie: „niech się chłopczyk rozbierze”... A u chłopczyka gacie dziurawe i w piernikach.

Wkrótce po pożegnaniu Mianocic i przeniesieniu się na własne śmiecie pod Głębokiem Rudy dostał ataku sercowego. Atak tak go przeraził, że przestał pić. Ale drogą starych nawyków trzymał kompanię z pijakami, w szczególności z panem Bohdanem Kijakowskim z Kijakowa. I tu los spletał mu złośliwego figła. Jechał bryczką, jak zawsze trzeźwy, w towarzystwie pijanego pana Kijakowskiego i z pijanym furmanem na koźle. Furman wyrzucił bryczkę, która wywracając się przygniotła i złamała Rudego nogę w kostce. Partaccy lekarze w Głębokiem ustawili mu nogę krzywo. Okulał. Nie słuchał rad Tadeusza, by się poddać nowej operacji nastawienia nogi w Wilnie. Pozostał kulawy do końca.

Ostatni głos Rudego przyszedł do Torunia — ostatniego miejsca zamieszkania Tadeusza — przed drugą wojną. W drugiej połowie sierpnia 1939 przyszedł list, w którym Rudy zapytywał: „A co myślisz de bello Gallico?”...

Gdy 17 września 1939 roku bolszewicy przekroczyli granicę, Rudy z braćmi Wackiem i Frankiem uciekli z majątku do Głębokiego. Wprawdzie mowa była o dalszej i bezpieczniejszej ucieczce do Wilna, ale właśnie kulawa noga Rudego stanęła na przeszkodzie.

Głębokie było małym miasteczkiem, gdzie każde dziecko znało braci Rudominów. Toteż po kilku dniach zaaresztowano ich jako wrogów ludu i osadzono w więzieniu.

Odtąd dalsze losy braci Rudominów nie są znane dokładnie. Ktoś dzielący z nimi celę w więzieniu w Głębokiem mówił, że bracia wciąż się kłócili — o szczyptę machorki lub o skorynkę suchego chleba. Jakaś pani widziała Rudego, jak ciężko utykając szedł w grupie więźniów eskortowany przez krasnoarmiejców. Dojrzał tę panią w tłumie i na jej nieme pytanie skrzywił się i machnął ręką w kierunku wschodnim. Jeszcze inna pani jechała w bydłym wagonie z jakimś zawieszonym i przymierającym głodem Rudominą w głębi Rosji, jesienią 1941 roku, w kilka miesięcy po słynnej „amnestii”. Czy to był nasz Rudy — nie wiadomo, prócz bowiem trzech naszych braci Rudominów byli inni Rudominowie w dzisiejszym. Istnieje też wersja, czy może tylko przypuszczenie, że Rudy został — jak wielu innych — zastrzelony na trakcie połockim, gdy wskutek kulawej nogi nie mógł dotrzymać kroku pędzonym na wschód więźniom. Nie ulega jednak wątpliwości, że Rudy zginął gdzieś w Rosji i że koniec tego „wesołka” na pewno nie był wesoły.

## Rozdział XXVII

### KONANIE STAREGO WILNA

Po panu Beczkowiczu, „nudnym wojewodzie”, jak go miał nazwać Piłsudski, przyszedł pan Władysław Jaszczóft, najlepszy najrozumniejszy wojewoda, jakiego widziało Wilno, a może i Polska. Trudno powiedzieć, czym zdobył sobie serca Wilnian. Nie był piękny i gładki, jak pan Raczkiewicz, nie był z mongolska „egzotyczny”, jak pan Kirtiklis. Nadto był obcy Wilnu i urodzeniem i tradycjami. A jednak pokochano go od razu, a po dwóch i pół latach żegnano go z żalem i trwogą, kto będzie jego następcą. Jedno w nim budziło z miejsca szacunek i zaufanie: był wzrostu słusznego, raczej tęgi i mówił pięknym głębokim basem, który przypominał Tadeuszowi bas nieodżałowanego Kamila Mackiewicza. Był też pierwszorzędnym mówcą. Tadeusz nieraz podziwiał, jak w przemówieniach ex promptu bas jego budował proste, mądre, a jednocześnie — nieskazitelne pod względem składni zdania, które można było bez szkody dla efektu lub gramatyki zastenografować słowo w słowo lub utrwalić na taśmie czy płycie. Wprowadził też do urzędowania dwie mądre zasady. Po pierwsze zniósł idiotyczny obowiązek „pracy społecznej”: od urzędników wymagał tylko rzetelnego wykonywania obowiązków służbowych. Po drugie zarzucił zadawniony w polskiej administracji zwyczaj „przejmowania się”: nigdy nie bywał w biurze po godzinach służbowych i unikał wszelkich zjazdów i konferencji. A równocześnie wprawiał w zdumienie Tadeusza i bardziej rutynowanych urzędników zdolnością „chwytania byka za rogi”, to znaczy umiał z błyskawiczną szybkością zorientować się w najbardziej zawiłej sprawie, którą mu referowano, i postawić trafną „diagnozę”. Tadeusz nieraz myślał, jak mocnym i groźnym przeciwnikiem byłby w roli obrońcy lub prokuratora, zwłaszcza wobec wielkiego daru krasomówstwa, i dziwił się,

czemu pan Jaszczółt obrał sobie za zawód biurko administratora.

— Bo jest strasznym leniem — wyjaśnił Tadeuszowi pewien urzędnik z gatunku tych, którym niezalatwiona sprawa administracyjna spędza sen z powiek i prowadzi do wrzodów w żołądku.

Tadeusz westchnął i pomyślał, jak bardzo życie byłoby szczęśliwsze, gdyby wszyscy dygnitarze byli „leniami” typu pana Władysława Jaszczółta.

Po śmierci Piłsudskiego wszystko szło na razie prawem bezwładu. „Duch” jego panował w czasie paru lat ciężkiej choroby i duch ten trwał czas jakiś po jego śmierci. Ale później zaczęła się dziać w Warszawie tzw. „dekompozycja”. Zresztą zwiastuny tej dekompozycji zjawily się znacznie wcześniej. Np. wprowadzono egzaminy z języka polskiego dla rabinów, co było dla Tadeusza i radcy Wiktora Piotrowicza źródłem niewyczerpanym anegdot, lecz dla rabinów było tylko źródłem udręki. Wprowadzono też niemądry przepis, że starostą granicznym może być tylko eks-oficer. W wyniku odwołano z powiatów granicznych energicznych cywilów, np. pana Wiktora Niedźwieckiego z powiatu wileńsko-trockiego, a na ich miejsce posadzono fajtlapowatych byłych oficerów. A więc w Wilejce powiatowej urzędował pan Neugebauer, a w Małodecznie pan Jerzy de Tramecourt. W związku z tymi dwiema nominacjami Białorusini dziwowali się:

— Jakich tolki starastau nie naznaczajuć! Niejebajer i Kradziekur! Adin nie japie, a druhij kur kradzie...

W Świącianach zamiast kulturalnego pana Żurawskiegoznaczono pana Mydlarza, który był tzw. „naprawiaczem”\*. Miał opinię lewicowca i antyziemianina. W związku z tą nominacją opowiadano taką anegdotę. Pociągiem jechał pan Hieronim Mohl. W przedziale siedziała zażywna, ale o dość miłej powierzchowności blondynka. Pan Mohl, który pomimo posiadania siwych włosów oraz wnuków miał jeszcze krew gorącą, zaczął flirtować z nieznaną. Blondynka, która pana Mohla znała z widzenia, powiedziała:

— Nie rozmawiałby pan ze mną, gdyby pan wiedział, kim jestem.

— Nie rozumiem.

— Jestem Mydlarzowa.

— Ach, droga pani! Czasy są demokratyczne. Kto teraz na takie rzeczy zwraca uwagę! Ja na przykład jestem hrabią, a

---

\* „Naprawiacz” — najgorsza odmiana „sanatora”.

zajmują się handlem. Cóż to mnie może obchodzić, że mąż pani wyrabia mydło.

W końcu roku 1935-go na wojewodę wileńskiego naznaczono pułkownika Ludwika Bociańskiego. Powitano go raczej przychylnie pamiętając jego akcję „polonizacyjną” w okresie, gdy był dowódcą pułku w Mołodecznie. Pewien gatunek ziemian uważał tę akcję za wielką zasługę. Był bardzo niskiego wzrostu i szczupły. Zoszczenko powiedział kiedyś, że całe zło na świecie pochodzi od ludzi małego wzrostu i szczupłych. Czy Zoszczenko miał rację, czy nie, o tym można by dyskutować. W każdym razie do pana Bociańskiego pasował wiersz ze starego poloneza „Nie tak in illo tempore bywało”:

*Nikt go nie pozna — szewc czy wojewoda:  
Każdy z laseczką, bo dziś taka moda.*

Pan Bociański chodził zresztą bez laseczki i siedział cicho aż do czasu, gdy premierem i ministrem spraw wewnętrznych stał się pan Sławoj Składkowski. Wtedy dopiero zaczęła się prawdziwa „soldateska”, którą premier przypieczętował słynnym okólnikiem o „drugiej osobie w państwie”: miał być nią — po prezydencie — generał Smigły-Rydz, jako następca Piłsudskiego. Zaczął się smutny okres „Piłsudczyzny bez Piłsudskiego”. Jeżeli okres żywego Piłsudskiego był daleki od ideału, to „Piłsudczyzna bez Piłsudskiego” była tragikomedią, tym tragiczniejszą, że większość Polaków nie zdawała sobie sprawy z idiotycznego impasu, w który Polskę wpędzili trzymający się kurczowo posad i posadek piłsudzycy. Widocznie mimo legendy o warcholstwie i liberum veto Polacy byli spragnieni posłuszeństwa „wodzowi”. Nie mieli widać wyobraźni politycznej. Skoro Piłsudskiego zabrakło, to niech będzie Rydz. Byle był wódz.

Pan Bociański w sposób obleśny podlizywał się wojsku. W rozmowie telefonicznej z inspektorem armii gen. Dąb-Biernackim mówił z przymilnym uśmiechem do słuchawki: „Tu melduje się posłusznie Bociański”. I zachował życzliwą neutralność, gdy chuligani w mundurach oficerów polskich z rozkazu Biernackiego pobili — w oczach żony i dziecka — bezbronnego profesora Cywińskiego. Podlizywał się też dowódcy odcinka korpusu ochrony pogranicza pułkownikowi Gaładykowi, który się szarogesił w powiecie wilejskim, jak we własnym podwórku. (A tenże pułkownik Gaładyk wsławił się tym, że w roku 1939-40, internowany w Kownie na 6-ym forcie, rzucił się w celach homoseksualnych na żołnierza litewskiego, który sobie przykucnął w latrynie obnażywszy pośladki). Podlizywał się również Bociański generałowi

Skwarczyńskiemu, chyba najbardziej ograniczonemu spośród wszystkich piłsudczyków, a którego zrobiono zamiast płk. Koca szefem Ozonu.

Pan Bociański był pułkownikiem „dyplomowanym”, a więc tumanem *ex definitione*. „Dzielny” zdaniem niektórych głupich ziemian, był najgorszą kombinacją — chytrej tępoty z energią. Zresztą, jeśli o politykę chodzi, był na terenie Wileńszczyzny miniaturą i wiernym wykonawcą generała Sławoja Składkowskiego. Nie uznawał Litwinów i Białorusinów. W stosunku do Litwinów stosował różne chwytby skarbowo-policyjne. Białorusinów w ogóle nie uznawał za naród. Rozwrzeszczał się na nauczyciela w powiecie dziśnieńskim, na którego mu doniesiono, że *poza szkołą* rozmawia po białorusku z rodzicami uczniów. Był w najlepszej komitywie z arcybiskupem Jałbrzykowskim i — kto wie — czy nie z namowy księcia kościoła wprowadził do wileńskiej cerkwi garnizonowej język polski zamiast cerkiewno-słowiańskiego. Szkoda że słabo znał historię i zapewne nie wiedział, że naśladuje Murawjowa, który np. litewskie książki do nabożeństwa kazał drukować „graždanką”.

Tadeusz nieraz wyjeżdżał „w teren” w charakterze przewodniczącego komisji wywłaszczeniowej odbywając sesje z udziałem stron, tj. władzy wywłaszczającej np. przedstawiciela kolei i właścicieli gruntów, które miały być wywłaszczone. Ruch w tej dziedzinie był dość ożywiony, gdyż chociaż nowych kolei nie budowano, koleje państwowe przeprowadzały „wyprostowanie” krętych, ongi strategicznych linii Podbrodzie-Królewszczyzna, lub Brasław-Druja. Nieraz się zdarzało, że właściciele gruntów wywłaszczanych, najczęściej chłopci Białorusini, nic nie rozumieli z urzędowych wywodów stron i sprzeciwiali się wywłaszczeniu, jakkolwiek ofiarowane wynagrodzenie było zupełnie wystarczające. Nieufni, jak wszyscy chłopci na świecie, podejrzewali jakiś podstęp. Wtedy Tadeusz zarządzał przerwę i w przerwie wyjaśniał chłopom po białorusku o co chodzi. Widocznie nikt nie zrobił Bociańskiemu donosu, bo te „antypolskie” praktyki Tadeusza uszły mu bezkarnie.

Za panowania Bociańskiego prokuratura wileńska uległa sprostytuowaniu. Oczywiście stało się to nie bez dyrektyw ministra sprawiedliwości. Prokurator sądu okręgowego codziennie składał meldunki naczelnikowi wydziału społeczno-politycznego i od tegoż naczelnika dostawał wskazówki. I za Bociańskiego nastąpił słynny wyrok skazujący nieszczęśliwego Cywińskiego za „łżenie pamięci Józefa Piłsudskiego”. A więc nie tylko z prokuraturą, ale i z „niezawisłym” sądem nie było lepiej..

Niezależne i buntownicze „Słowo” Stanisława Mackiewicza

było solą w oku Bocińskiego. Zaczęło się od głupstw. Bociński, który jak każdy dygnitarz lubił przemawiać, miał jakąś mowę publiczną, w której wspomniał o „wianuszku serc” składanych w hołdzie komuś czy czemuś. Jerzy Wyszomirski zaraz przyczepił się w „Słowie” do tego „wianuszka” powiadając, że serca to nie serdelki i nie kiełbaski, by je w wianuszek na sznurku nizać. Zaczęły się konfiskaty „Słowa”. Najpierw co tydzień, później co drugi dzień.

Wspomniałem naczelnika wydziału społeczno-politycznego (dawniej zwanego po prostu wydziałem bezpieczeństwa). Był nim niejaki pan Jasiński. Pan Bociński z nim się nie rozstawał ani na chwilę. Odbywał z nim długie spacerunki po mieście w towarzystwie szpicla, który szedł o parę kroków z tyłu za nimi. Asysta tego szpicla była jak najbardziej oficjalna, bo gdy znajomi kłaniali się pp. Bocińskiemu i Jasińskiemu, szpicel też odkładał się grzecznie. Przed kim czy przed czym miał bronić Bocińskiego — nie było jasne.

Razu pewnego Jerzy Wyszomirski machnął w „Słowie” artykuł podając, że jest to przekład opowiadania Sałtykowa-Szczedrina o „mieście Głupowie”. Dla każdego znajomego jako tako z językiem rosyjskim jasne było, że przekład z rzekomego Szczedrina jest zaktualizowanym falsyfikatem. Bohaterami opowiadania byli gubernator Aistow (aist po rosyjsku — Bocian) i naczelnik Waniuszkin (Wania, Waniuszka jest rosyjskim odpowiednikiem Jasia). Nie trzeba było zbytnej domyślności, by zgadnąć, że Aistow to Bociński, a Waniuszkin — Jasiński. I trzeba, że właśnie ten numer „Słowa” nie został skonfiskowany! Nazajutrz „Słowo” zagrzmiało diatrybą pod adresem cenzorów zaczynającą się słowami: „Więcej inteligencji, panowie!” Ten numer „naturalnie” (choć w sposób trochę nie fair) skonfiskowano. Tu nadmienię, że zarówno gen. Sławoj Składkowski, jak pan Bociński byli obaj jak żywcem wycięci ze złośliwych karykatur Sałtykowa-Szczedrina, co było tym zabawniejsze, że obaj nienawidzili Rosjan.

Tak tedy nienawiść pana Bocińskiego do „Słowa” rosła. Gnębił „Słowo” wszelkimi sposobami. Skoro konfiskaty nie pomagały, starał się — co mu się nie udało — przekonać Bank ziemski, aby cofnął „Słowu” subsydia w formie ogłoszeń licytacyjnych. W niedalekiej przyszłości — już po przeniesieniu się Tadeusza do Torunia — nienawiść miała doprowadzić do zesłania Stanisława Mackiewicza do Berezy, którą Bociński groził mu od dawna. Zesłanie Cata-Mackiewicza do Berezy, było — może podświadomą — zemstą gen. Składkowskiego za te czasy, gdy Piłsudski godzinami rozmawiał z Mackiewiczem w Druskieni-

kach, a Sławojowi groził, że go za drzwi wyrzuci. Bociński coraz krzywiej patrzył na Tadeusza z powodu jego współpracy ze „Słowem”, chociaż Tadeusz przezornie redagował oficjalnie tylko dodatek łowiecki podpisując inne artykuły różnymi pseudonimami.

Ludzie stojący z boku widzieli pana Bocińskiego jako energicznego wykonawcę super-energicznej polityki pana Składkowskiego. Ludzie patrzący na rządy „Aistowa” z wewnątrz oglądali drugą stronę medalu. Pan Bociński, „dwójkarz” z powołania, był tchórzem podszyty i nie tylko wychodził na miasto w towarzystwie szpicla, ale trzymał tego szpicla w sekretariacie w czasie urzędowania. Trochę zabawne było jak pan Bociński codziennie zrana modlił się pod figurą w kościele Bonifratrów i jak mu przy tych modłach też wiernie szpicel asystował. Pan Bociński nie rozstawał się z maleńką książeczką, do której wciągał różne informacje i donosy. Bo donosy, dotąd nieznanne w Wilnie, stały się za pana Bocińskiego regułą urzędowania. Za krótkiego okresu „miesiący miodowych” pana Bocińskiego z Tadeuszem zdarzyło się, że ten przedstawił wojewodzie wniosek o nadanie krzyża zasługi radcy Dzenajewiczowi. (Był to okres, gdy gen. Składkowski spuścił na Polskę całą ulewę odznaczeń i wyznaczył obowiązkowy kontyngent orderów dla każdego województwa, każdego powiatu i każdej gminy). Na dźwięk nazwiska Dzenajewicza pan Bociński sięgnął do kieszeni i wydobyl słynną książeczkę:

— Niech pan odłoży ten wniosek i zbada, czy ten pan Dzenajewicz nie był zamieszany kilka lat temu w defraudację funduszy publicznych.

Tadeusz zbadał sprawę. Okazało się, że przed kilku laty pani Dzenajewiczowa była skarbniczką jakiejś instytucji społecznej. Z biurka jej skradziono kilkaset złotych stanowiących własność tej instytucji po czym pani Dzenajewiczowa niezwłocznie sumę tę pokryła z własnej kieszeni. Tak więc donos na pana Dzenajewicza był wedle klasycznej formułki: „albo on ukradł, albo jego okradli”.

Urzędowanie odbywało się dziarsko. Zjazdy starostów zostały nazwane twardo, po żołniersku „odprawami” i na tych odprawach starostowie mieli obowiązek donosić w jakim tempie płacone są podatki w powiecie. Starostowie, u których potworzyły się zaległości podatkowe, dostawali ostrą naganę.

Skoro mowa była o orderach warto wiedzieć, że na urzędowych przyjęciach pan wojewoda Bociński występował w pułkownikowskim mundurze obwieszonym jak choinka orderami. Tej ilości orderów, z których większość nie była oczywiście od-



znaczeniami bojowymi, mógł panu Bociąnskiemu pozazdrościć łowca orderów Bohdan Zalużyński (rozdz. XXV). I również dobrze wiedzieć, że w okresie „deszczu orderów” zgłosił się do starosty dziśnieńskiego pana Wiktora Suszyńskiego chłop z prośbą, aby mu dać order. Na zapytanie starosty za jakie zasługi chce dostać order odpowiedział, że chciałby wymienić na order polski odznakę, którą ojciec jego dostał od rządu rosyjskiego. To mówiąc pokazał srebrny medal z napisem „Za usmirenije polskiego miatieża”. Pan Suszyński powiedział chytrze, że postara się o order polski, ale że musi mieć w ręku order rosyjski, by go pokazać komu należy. Chłop jednak coś zmiarkował, bo odszedł nie oddawszy medalu.

Innym razem pan Bociąnski polecił Tadeuszowi zbadać pochodzenie doktora Turuty z wydziału zdrowia, gdyż doniesiono mu, że Turuto jest Rosjaninem. Tadeusz miał gotową odpowiedź:

— Tak się złożyło, panie wojewodo, że doktor Turuto zwrócił się do mnie przed kilku dniami o poradę prawną w sprawie nadziału kawałka ziemi w powiecie święciańskim. Ziemię tę odziedziczył po rodzicach, którzy byli włościanami i nadział ten dostali w czasie uwłaszczenia chłopów.

Tu Bociąnski jakby się trochę zawstydził, bo sam lubił się chwalić, że jest chłopskiego pochodzenia i że za młodu „zarł kartofle”... (Tu, zdaje mi się, z lekka przesadzał).

Tak się urzędowało przy panu Bociąnskim. Naczelnik Jasiński dawał do zrozumienia Tadeuszowi, że wkrótce będzie sojusz z Niemcami, że pójdą na Sowiety i że Tadeusz wróci do Baćkowa... A wojewoda Bociąnski wtrącał się w wyroki komisji dyscyplinarnej, a nawet w sądowe sprawy cywilne. Na kilkanaście lat przed „socrealizmem”, „polrealizmem” i mętniactwem pana Mękarskiego pouczał Tadeusza, że powinien poświęcać swe zdolności literackie „dla Polski”! (Tu bił się w piersi).

Czy trzeba się dziwić wojewodzie Bociąnskiemu? Pomijając wady osobiste (a kto z nas jest bez wad?) szedł on tylko za przykładem z góry. A na górze odbywała się, jak się rzekło, dekompozycja. Kto puścił ten wyraz „dekompozycja” — nie wiadomo, ale był on w powszechnym użyciu zarówno w Warszawie, jak na prowincji. „Jaka jest różnica między rządem i samorządem?” — pytano. „Taka jaka między gwałtem i samogwałtem” — brzmiała odpowiedź. Za wzorem milionów pocztówek, które ongi posyłało Piłsudskiemu na Maderę, zarządzono „spontaniczne”, nakazane z góry posyłanie powinszowań na św. Edwarda gen. Rydzowi-Smigliemu, którego w międzyczasie zrobiono marszałkiem. A ci wójtowie, podobnie jak większość prezydentów miast i burmistrzów, byli nie z wyboru lecz z nominacji.

Powoli zatracało się poczucie wszelkiej miary. Żyło się w świecie gombrowiczowskim. Rozumni zostali brutalnie odrzućeni, a naprzód cisnęły się miernoty. Nie było głupstwa, którego by nie wymyślono u góry, a które natychmiast znajdowało rezonans u dołu. Generał Sławoj Składkowski burzył cerkwie prawosławne, wprowadzał język polski do liturgii prawosławnej, pochował cichaczem za Bugiem sprowadzone z Petersburga zwłoki ostatniego króla, tworzył surrealistyczną ordynację wyborczą, malował płoty, rozdawał rześiście ordery, ulepszał przy pomocy sadysty Kostka-Biernackiego Berezę, zabraniał urzędnikom polować u ziemian. Surrealizm schyłkowy przybierał czasem postać tragiczną. Tak np. doprowadzono do samobójstwa, czyli po prostu zamordowano przez podłą naganek wielkiego Polaka, któremu „naganiacze” do pięt nie dorosli — pana Aleksandra Lednickiego. Tragizm tego wypadku tkwił również w tym, że naganek prowadził człowiek uchodzący za porządnego i nie głupiego pan Ignacy Matuszewski. Uległ on jednak temu obłędowi państwowo-twórczemu, któremu dałem nazwę surrealizmu.

Zapewne w imię tegoż surrealizmu posłano w marcu 1938 ultimatum Kownu żądając... nawiązania stosunków dyplomatycznych. Zanim to dziwne ultimatum zostało przyjęte, Wilno przeżywało chwile wielkiego podniecenia. Gdy Tadeusz szedł w towarzystwie kilku przyjaciół po ulicy Mickiewicza, wyprzedziło ich biegiem dwóch uliczników, z których jeden spytał drugiego:

— Antuk, co teraz będziemy robić?

— Będziem Litwinów za dupa brać.

I też w imię surrealizmu marszałek Rydz wydał rozkaz „maszerować” i zajął Śląsk cieszyński.

U dołu działały się rzeczy jeszcze bardziej surrealistyczne. Obszar miasta Wilna oplątano siecią szos „strategicznych” i poddano, jako „obóz warowny” specjalnym przepisom, które — gdyby ściśle stosowane — uniemożliwiłyby wszelką inicjatywę prywatną. Obrót nieruchomościami otwarcie apteki czy założenie budki z wodą sodową — wszystko wymagało pozwolenia dowódcy obozu warownego. Można sobie wyobrazić do czego by doszły nadużycia, a przede wszystkim łapownictwo, gdyby te przepisy potrwały dłużej. Wybuchła jednak wojna...

Gdy Tadeusz rozmawiał o tych anomaliach z sympatycznym pułkownikiem Aleksandrowiczem z Obozu Warownego, ten wzruszył ramionami:

— Trudno. Jesteśmy w Alkazarze.

Odpowiedź była nawiana analogiami z toczącą się wojną domową w Hiszpanii. (A zacny obrońca wileńskiego Alkazaru

pułk. Aleksandrowicz popełnił samobójstwo dnia 18 września 1939 roku).

W Żuławie postanowiono dokonać uroczystego poświęcenia *fundamentów* domu, w którym urodził się Piłsudski. Stary dom dawno się spalił, a na wystawienie nowego nie zdobyto kredytów. Postanowiono więc — na razie — poświęcić uroczyście ładnie odbudowane fundamenty. Na uroczystość przybył pan prezydent Mościcki i wszyscy ministrowie. Prezydent i ministrowie byli w cylindrach, prócz jednego. Ten miał na głowie homburg, spod którego lały czarne złe oczki. Tadeuszowi przypomniał się niedawno widziany film na tle powieści Stevensona.

— Co to za mister Hyde? — spytał swego towarzysza.

— O kim mówisz?

— O tym w miękkim kapeluszu. Stoi obok Grabowskiego.

— Cicho. To minister Poniatowski.

Przed końcem uroczystości pan Bociński przywołał Tadeusza:

— Weźmie pan Forda i pojedzie pan z powrotem do Wilna. Po drodze zatrzyma się pan w każdej wsi i każe sołtysowi, aby przy przejeździe prezydenta ludność wyległa na ulicę i spontanicznie go witała.

Jak wiadomo *ratio legis* każdego przepisu jest uwarunkowane częstotliwością pewnych stanów faktycznych. Tymczasem wkrótce po pobiciu i zasądzeniu profesora Cywińskiego wydano ustawę karną „o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego”. Czy autorzy tej ustawy rozumieli, że przez sam fakt wprowadzenia „ochrony imienia” wyrządzili ciężką krzywdę pamięci tego, którego imię pragnęli chronić? Chyba nie, bo zresztą logiczne myślenie nie było cechą ludzi będących u steru w tym schyłkowym okresie.

Zresztą nie wszyscy tę schyłkowość dostrzegali. „Soldateska” nie wszystkich raziła. Kobiety — „dzikie baby” z roku 1920 i ich córki — wciąż rozplywały się na widok munduru i ułana z laną. Zachwyty trochę ochłodziły po bestialskim pobiciu profesora Cywińskiego, ale potem się wznowiły.

Dla wykazania że się idzie z duchem czasu urządzano ćwiczenia Ligi obrony powietrznej państwa. Raz na takie ćwiczenia zjechał do powiatowego miasta Głębokiego minister Składkowski. Ćwiczeniami miał kierować ex officio referent Wiktorok Korsak, dawny kolega Tadeusza z Petersburga. Niestety upił się i leżał w domu nieprzytomny. Premier zainteresował się, gdzie jest kierownik ćwiczeń. Na to koledzy Wiktoroka odparli, że w tej chwili kieruje ćwiczeniami za miastem. (Były to jeszcze do-

bre czasy, gdy wprowadzony przez pana Bociańskiego system donosów nie doszedł jeszcze na prowincję). „A to dobrze” — powiedział premier i kazał gorliwego kierownika ćwiczeń przedstawić do srebrnego krzyża zasługi.

W tym samym mniej więcej czasie odbyły się w Dokszycach wybory rabina. Ludność żydowska była podzielona na dwa skłócone obozy — misnagidów i chasydów. Obie strony wysunęły swych kandydatów i obie podejrzewały, że przeciwna strona ucieknie się do przekupstwa i innych fałszerstw wyborczych. Toteż oba stronnictwa prosiły starostę o delegowanie do Dokszyce urzędnika, który by asystował przy wyborach i pilnował ich czystości. Starosta dziśniejszy wysłał naszego Wiktoraka, jako swego delegata. Wiktorak wyruszył w drogę bryczką starościńską w zimny poranek jesienny i po drodze zmarł porządnie. Po przyjeździe wstąpił do swego przyjaciela — starego emeryta — na rozgrzewkę. Minęło parę godzin. Minęła godzina wyznaczona na początek wyborów. Członkowie komisji wyborczej zaczynają się niepokoić, gdzie jest delegat starosty? Telefonują do starostwa, skąd im odpowiadają, że delegat wyjechał wczesnym rankiem i musi być od dawna w Dokszycach. Na prośbę komisji policja dokszycka zaczyna poszukiwania i odnajduje Wiktoraka w mieszkaniu emeryta. Niestety, Wiktorak, jak gogolowski Prochorow z „Rewizora”, jest pijany jak bela i „nie może być użyty do służby”. Tak to w 100 lat później życie naśladowało literaturę: wypadek, który mógł się zdarzyć w Rosji za Mikołaja I, zdarzył się w Polsce za Sławoja.

Życie naśladowało literaturę rosyjską jeszcze inaczej. Sto lat temu pewien pisarz rosyjski skarżył się na naznaczanie byłych wojskowych „którzy pół życia spędzili w stajniach kawaleryjskich, gdzie ich uczono, jak należy koniom podwiązywać ogony” — na stanowiska dygnitarzy cywilnych. Tacy właśnie ludzie — od wójtów do ministrów — rządili niepodległą Polską w okresie który nazwałem „schyłkowym”. Wypada żałować, że Polacy tak słabo znali i znają literaturę rosyjską. Znaleźliby w niej sporo materiału do rozmyślań, sporo gotowych typów „arcypolskich” i sporo ostrzeżeń.

Każdy reżym, choćby najbardziej niemądry i „schyłkowy”, musi mieć swego barda. Miał go więc system panujący w Polsce w latach 1935-1939. Bardem tym był Melchior Wańkowicz... W okresie „schyłkowym” miał on kilka dojnych krów: spółkę wydawniczą „Rój”, ministerium poczt i telegrafów, monopol cukrowy („cukier krzepi”), felietony w „Kurierze porannym”. W tych felietonach uwziął się kpić w sposób dość tani

i mało dowcipny z kresowego ziemiaństwa, które na ogół nie miało zbyt słodkiego żywota. Wzorki do swych felietonów zbierał podróżując okrężnie samochodami starościńskimi i wojewódzkimi. („Oczywiście sam płacę za benzynę” — podkreślał nie troszcząc się o to, czy samochód służbowy nie może być potrzebny dla innej podróży naprawdę służbowej, ani o to, kto płaci pobory szoferowi). M.in. sfabrykował kilka załganych felietonów o „Hrabi Palatynu” (rozdz. XXV). W związku z tym Tadeusz nawymyślał mu kilka razy w „Słowie” podpisując swe felietony pseudonimem „Fin”.

— Ach czemuż nie mogę uchylić pseudonimu p. Fina! — wzdychał kochany Mel Wańkowicz w „Kurierze Porannym”.

(A więc od kogoś — bo nie ode mnie i nie od Tadeusza — dowiedział się, kto się kryje pod pseudonimem „Fina”!).

Z felietonami Wańkowicza ostro polemizował też Józef Godlewski kończąc jeden ze swych artykułów słowami: „Chłopskie przysłowie mówi „nie budźcie pana z Iwana”, ale nie powiada, że odwrotna kombinacja nie jest możliwa”.

Pod koniec 1938 roku panu Bociąńskiemu udało się wreszcie wygryźć Tadeusza z Wilna. Tadeusza wziął pod swe skrzydło opiekuńcze zacny pan Władysław Raczkiewicz, który był wtedy wojewodą pomorskim w Toruniu. W połowie listopada Tadeusz pojechał na trzydniowe polowanie do hr. Benedykta Tyszkiewicza w Wiałej. Nie przewidywał, że było to jego ostatnie polowanie na Litwie. W końcu listopada był już w Toruniu.

## Rozdział XXVIII

### TORUŃ I CORSO LUBELSKIE

Tak się złożyło, że Tadeusz znał dotąd północno-zachodnią Polskę tylko z opowiadań. Wkrótce po przyjeździe do Torunia przekonał się, że wszystkie anegdotyczne śmieszności poznańsko-pomorskie znikły prawie bez śladu. W rozmowie nie słyhać już było powtarzającego się po każdym zdaniu pytania „nie”. Z okien sklepów znikły napisy w rodzaju „poszukuje się chłopiec z kołem”. Wesołego gawędziarza nie nazywano już „pierdołą”. Młodzież uniwersytecka mówiła językiem niczym się nie różniącym od języka tejże młodzieży w Krakowie i w Warszawie. Z dawnych tradycji pozostała tylko „świńska noga”, jako potrawa narodowa, no i przeczulona wrażliwość Pomorzan na wszelkie, choćby najbardziej niewinne żarty lub aluzje związane z ich krajem rodzinnym. Pod tym względem Pomorzanie byli przeciwieństwem „wileńczuków”, którzy wszelkie żarty z ich sposobu mówienia lub zwyczajów przyjmowali z humorem.

O tej drażliwości Pomorzan Tadeusz miał się przekonać wkrótce po przyjeździe. Urzędnik wydziału rolnictwa rodem z Ukrainy nazwał w ogniu dyskusji kolegę Pomorzanina, z którym był na ty, „świnia pomorską”. Pomorzanie aż przybladł posłyszawszy tę straszliwą obelgę. „Ukrainiec” zaraz się spostrzegł, że poszedł za daleko i zaczął kolegę gorąco przeproszać mówiąc, że cofa wypowiedziane słowa. Ale Pomorzanie był twardy:

— Osobiście przyjmuję przeprosiny i nie czuję się obrażony — odpowiedział — i uważam, że gdybyś mnie był nazwał po prostu „świnia”, uznałbym sprawę za zlikwidowaną. Ale nazwałeś mnie „świnia pomorską”, czyli że obraziłeś całe Pomorze. Wobec tego pozostaje mi tylko donieść o tym moim władzom przełożonym.

Doniesienie zostało złożone i sprawa otrzymała bieg urzęd-

dowy. Pan Raczkiewicz wyznaczył Tadeusza do przeprowadzenia dochodzenia dyscyplinarnego. Badany „Ukrainiec” bardzo się pocił i tłumaczył w sposób mało przekonujący, że dnia krytycznego czytał w czasopiśmie hodowlanym artykuł o gatunku świń pomorskich i że słowa „świnia pomorska” wyrwały mu się pod wpływem lektury tego artykułu. Obrażony Pomorzanie stał twardo na stanowisku, że choć osobiście przebaczył obrażającemu, to jednak uważa, że powinien on odpowiadać za obrazę całego Pomorza. Tadeusz zakończył prędko dochodzenie i sprawę przekazał rzecznikowi dyscyplinarnemu. Czy i jak zakończyła się sprawa „świni pomorskiej”, nigdy się o tym nie dowiedział, bo wkrótce nastał rok 1939 i umysły były zajęte czym innym.

Tadeusz obracał się — zarówno z tytułu swych funkcji, jak i na polowaniach — z elitą pomorską: panami Ślaskim, Donimskim, Komierowskim. Zaprzyjaźnił się też z Pomorzaniekiem doktorem leśnictwa i łowiectwa (tak!) Leonem Ossowskim, u którego polował w końcu lipca 1939 na kaczki w nadleśnictwie Suleczyno w uroczej „Szwajcarii kaszubskiej”. Było to — jak dotąd — ostatnie polowanie Tadeusza\*.

Prócz „elity” zdarzało mu się polować u zamożnych „gburów” pomorskich. Językiem i manierami mało się różnili od inteligencji. Ale po jednym z takich polowań towarzysz Tadeusza opowiadał mu historię, która się przed kilku laty zdarzyła właśnie w domu tego „gbura”, u którego polowali.

— Wieczorem do kolacji, prócz myśliwych, do stołu siadły dwie córki „gbura”, studentki uniwersytetu poznańskiego. Po szeregu kieliszków, gdy już się wszystkim dobrze z łbów kurzyło, „gbur” uniósł nad krzesłem tylną część ciała, wydał grzmot „nie z ust pochodzący” i oświadczył: „Dobry piard talara wart”. Odpowiedział mu śmiech powszechny, a studentki nawet się nie zarumieniły i tylko jedna z nich powiedziała: „Tatka trzymają się jeszcze tego rodzaju kawały”.

*Se non e vero...* Anegdotę podaję, aby podkreślić, że w roku 1939 takie maniery „gburów” należały już do przeszłości.

Tadeusz wyrwany z korzeniami ze swej „przybranej ojczyzny” czuł się jednak na Pomorzu dobrze. Po ciężkiej atmosferze systemu szpiegostwa i donosicielstwa zainstalowanego w Wilnie przez pana Ludwika Bociańskiego oddychał swobodnie. Zresztą

\* Dr Leon Ossowski, przed którym wspaniała przyszłość naukowa leżała otworem, zmarł nagle na serce w Londynie w roku 1960, gdzie bawił na urlopie. Miał serce osłabione po przebytych w Afryce południowej ciężkim zapaleniu mózgu. W Afryce południowej w Pietermaritzburgu stał na czele działu entomologicznego w instytucie badawczym.

więzy z Wilnem trwały: otrzymywał regularnie „Słowo” (skonfiskowane numery w osobnych kopertach), pisywał do „Słowa” felietony, redagował miesięczny dodatek łowiecki. Poza tym czuł do pracy w administracji rosnącą niechęć. Mając zdany przed dziesięciu laty w Wilnie egzamin sędziowski postanowił przejść na emeryturę i wróciwszy do Wilna zapisać się do adwokatury. Sympatyczny naczelnik wydziału zdrowia dr Krippendorff obiecał mu, że komisja lekarska ustali u niego odpowiedni stopień inwalidztwa, skutkiem czego pensja emerytalna będzie wyglądała całkiem przyzwoicie. Słowem pobyt w Toruniu pod łaskawymi rządami pana Raczkiewicza uważał za stan przejściowy i za ostatni etap pracy w administracji państwowej.

Ostatnie pół roku było tak obfite w zdarzenia osobiste, że o polityce, zwłaszcza o wielkiej polityce, nie miał czasu myśleć. To też pamiętnego poranka marcowego, gdy mu pan Raczkiewicz oznajmił przy rannym raporcie o zajęciu przez Niemców Czechosłowacji, doznał prawdziwego wstrząsu. Tego poranka zakończył się okres pomorskiego błogostanu. Nerwowość otoczenia i jemu się udzieliła. Dotąd obojętnie przechodził przez Bydgoskie Przedmieście obok konsulatu niemieckiego i ledwie rzucił okiem na swastykę. Teraz nagle ta swastyka nabrała złowrogiej symboliki.

Ale powoli wszystko wracało do „normy”. Niewiedza o tym, co naprawdę dzieje się w świecie i co grozi Polsce, a przede wszystkim Pomorzu, była również udziałem Pomorzan. Miesiące letnie mijały spokojnie. Emocjonalnie nikt w wojnę nie wierzył. W czerwcu czy lipcu Tadeusza odwiedził Stanisław Mackiewicz, który po odsiedzeniu Berezy zażywał wytchnienia podróżując samochodem po Polsce. Przy „lampce” wina w restauracji Dwór Artusa Tadeusz zapytał:

— Będzie wojna czy nie?

— Chociaż emocjonalnie nikt w wojnę nie wierzy, wojna będzie.

A potem patrząc w stronę i jakby mówiąc do siebie Mackiewicz dodał:

— Skończy się na tym, że w najlepszym razie stracimy ziemie wschodnie.

Ale był to epizod znany tylko Tadeuszowi. Pomorze święciło 700-lecie miasta Golubia, gdzie były ruiny zamku krzyżackiego. Organizowało z rozmachem i pomorską precyzją Tydzień borów tucholskich, połączony z wielką fetą i defiladą wojskową. Defiladę przyjmował generał Grzmot-Skotnicki. Grzmiała orkiestra, megafony roznosiły po błoniach tucholskich słowa piękne, wzniosłe, mocne. Odbyła się pierwsza ogólnopomorska konferencja go-



spodarcza. Radio rozniosło po całej Polsce silne akcenty mowy wicepremiera Kwiatkowskiego:

— Czas i miejsce rozpoczęcia wojny są zawsze napastnikowi wiadome. Ale nie znacie dnia ani miejsca, gdzie ją zakończycie.

Prezydent Bydgoszczy Barciszewski zabierał się do realizacji swej umiłowanej idei — urzędzenia w roku 1941 w Bydgoszczy pierwszej wystawy pomorskiej. Słowem Pomorze, na które były zwrócone oczy całego świata, świętowało i pracowało. I było bardzo dumne.

A gdy w końcu lipca Tadeusz odwiedził w Gdyni starego przyjaciela Zbigniewa Święcickiego i spytał go, co ten myśli o wojnie, posłyszał odpowiedź:

— Hitler bluffuje. Gdy przed kilku dniami odbyły się w Berlinie ćwiczenia przeciwlotnicze, zrobiono zaciemnienie. A gdy światła znów się zapaliły, okazało się że całe miasto wyplakotwane jest odezwaniami komunistycznymi.

Dopiero noc poprzedzająca poranek, w którym gazety doniosły o pakcie Hitlera z Sowietami, przyniosła pierwszy podmuch zbliżającej się wojny. Tadeusz nigdy tej nocy nie zapomni. Była to noc do złudzenia przypominająca ostatnie dni lipca 1914 roku. Była cicha i ciepła. Młody księżyc zachodził. Urocze Bydgoskie Przedmieście — miasto-ogród — dyszało świeżym oddechem kończącego się lata. Ale ciszę przerywał stukot szybkich kroków na chodnikach, dzwonki, bliższe i dalsze głosy. To oficerom rezerwy doręczano wezwania do służby czynnej. Zdenerwowanie jest zaraźliwe i udziela się zwierzętom. Te nocy pełnej trwogi jamnik Typs (III-ci) zawył — zawył długo i przeciągle, po raz pierwszy w ciągu swego pięcioletniego żywota.

Od tej nocy nie było już życia normalnego. Na ulicach panował ruch gorączkowy. Przeciągały oddziały wojskowe. Panie rozdawały żołnierzom papierosy i kwiaty. Przez wolne miasto Gdańsk ciągnęły z kilkogodzinnym opóźnieniem wypełnione z czubem letnikami ostatnie pociągi z wybrzeża i Gdyni. W biurze ustała zwykła praca. Urzędnicy skupiali się w grupy i grupki i debatowali. Szczególne powodzenie miały pokoje z mapami. Major Leonhardt był dobrej myśli. Stuknął palcem po mapie gdzieś na zachód od Bydgoszczy mówiąc fachowo:

— Połamię tu dobrze zęby zanim dostaną się do Torunia.

Obliczano w procentach szanse wojny i pokoju. 29 sierpnia przeważało zdanie, że szanse te są równe. 30-go rano szanse pokoju wzrosły do 80%: jasne było, że Hitler bluffuje. I tanki ma z *papier-maché*. Jednak tegoż dnia po południu szanse po-

koju spadły do 15%... 31-go do 1%... Zakładano się, w ile dni po rozpoczęciu wojny wybuchnie w Niemczech rewolucja.

Świt 1 września nie różnił się w nastrojach od poprzednich świtów tego tygodnia. Jak poprzednich nocy świecił księżyc, już teraz pełny, i spało się snem nerwowym z ciągłymi przebudzeniami. Wieść o bombardowaniu Grudziądza, Tczewa, Gdyni, Pucka i Chojnic została przyjęta z uczuciem jak gdyby ulgi: przecie napięcie nerwowe nie może trwać w nieskończoność!

W godzinach późno-rannych, razem z przybyciem pierwszych uchodźców z Grudziądza i Chojnic, rozpoczął się pierwszy alarm lotniczy. Srebrne krzyżyki bombowców sunęły przez pierzaste obłoki jasnego nieba wrześniowego. Zbombardowały lotnisko toruńskie, ale ani jedna bomba ani tego dnia, ani następnych nie spadła na miasto.

Komunikacja telefoniczna z wybrzeżem jeszcze trwała. Pan Raczkiewicz wezwał do siebie Tadeusza, aby mu powiedzieć, że w czasie bombardowania Pucka zginął „mińczuk”, ongi młodszymi kolegami Tadeusza z Mińska i Petersburga, komandor Edek Szystowski.

Dzień 2 września był gorszy. Po pierwsze wiadomości z „frontów” były sprzeczne i bałamutne. Nie orientowano się jeszcze, że to łączność — nerw współczesnej wojny — została śmiertelnie ugodzona. Po drugie dnia tego wypowiedziano po raz pierwszy głośno niemiły wyraz „ewakuacja”. Po trzecie — z braku oficjalnych wiadomości rozpoczęła się dnia tego orgia pogłosek i plotek, będących bardzo czułym barometrem: gdy rosną, są niezbitym dowodem niepowodzeń wojennych. Mówiono więc o spadochroniarzach niemieckich, o szpiegach, o zatrutych lub wybuchających przedmiotach zrzucanych z samolotów.

Trzeciego września słowo „ewakuacja” stało się ciałem. Pokolenie, które przeżyło pierwszą wojnę i miało w żywej pamięci ucieczki lat 1915, 1918 i 1920 nie bardzo ufało planom ewakuacyjnym twierdząc, że choć wyraz „ewakuacja” zastąpiono wyrazem „wycofanie”, to jednak sedno sprawy nie uległo zmianie i o planowej ewakuacji nie będzie mowy. Pesymiści, którym optymiści wymyślali od defetystów, przeczuli pismo nosem, choć naturalnie nie mogli przewidzieć ogromu spustoszeń wyrządzonych już pierwszego dnia wojny przez lotnictwo niemieckie. Węzły kolejowe były dokładnie zakorkowane i jedyną drogą ucieczki były drogi kołowe. W nocy z 3 na 4 września szereg kolejowych transportów ewakuacyjnych, przeważnie złożonych z otwartych węglańców, stał nieruchomo między Włocławkiem i Toruniem oczekując w trwodze rannego ataku lotniczego, a z Torunia na Podgórz już sunęła fala uchodźców — końmi, rowerami i pie-

szko. Fale tę mijaly samochody łyskajac ponuro ochronnymi niebieskimi swiatlami. Samochody i motocykle byly jedynymi srodkami lokomocji, ktorym sadzone bylo „wycofac sie” mniej lub wiecej normalnie.

Tadeusz nalezal do szczesliwcow wycofujacych sie w orszaku samochodowym z Buickiem pana Wladyslawa Raczkiewicza na czele. Pierwszym etapem ewakuacji bylo przedmieście Podgórz. Wjechali tam poznym wieczorem 3 wrzesnia i spedzili noc w jakimis „bunkrze”. Odtad zaczelo sie zycie piknikowo-uchodzce: posilki zjadane przewaznie z puszek, spanie na lozdkach polowych, wprost na podlodze, albo nawet w samochodzie; nieustanna troska o benzynie.

Ranek 4 wrzesnia wstal pogodny, cieply, z lekka tylko rosa uperlony. Ruszyli nowowytbudowana szosa Torun-Ciechocinek do Wloclawka. Na drodze ujrzeli po raz pierwszy kolumny uchodzcow uciekajacych furmankami, rowerami i pieszo. Wsrod nich zwracaly uwage dlugie szeregi eskortowanych przez mlodych chlopcow z karabinami Niemcow obojga plci — kolonistow obywateli polskich zamieszkalych przewaznie wzdluz drogi Bydgoszcz-Torun. Niektorzy z nich byli w bieliznie. O dalszych losach tych wysiedlonych Niemcow roznie mowiono i wtenczas i potem.

Niezapomniane wrazenie pozostawila ta jazda szosa ciechocinska w upalne poludnie wrzesniowe. Droga oddana do uzytku publicznego dopiero przed paru tygodniami miala skarpy jeszcze nieodarniowane, piaszczyste. Zbocza wydmowe mialy wyglad dziki i pustynny. A migajace w tumanach kurzu widmowe tlumy uchodzcow przywoływaly wspomnienie ogladanych w dzieciinstwie obrazkow — jakiegoś masowego exodusu z Herkulanum i Pompei. Moze z Sodomy... A gdzieś na granicy podswiadomosci tliła sie mysł, ze oto „mocarstwowa” Polska pozostawia na pastwe Niemcow te ziemie zachodnie, ze jakoś „zdradzila”, ze zdradzila tych Barciszewskich, Slaskich, Donimirskich, Komierowskich. Mysł byla naiwna i — jak sie mial Tadeusz z czasem przekonac — bardzo jednostronna...

We Wloclawku doszly pierwsze wieści o losach uchodzcow „wycofujacych sie” z Pomorza koleja. Nocami ziębli w węgłarkach pod gołym niebem, a dniami wyskakiwali z wysokich wagonow i kryli sie w krzakach, rowach i kartofliskach przed bombami i kulomiotami z samolotow. Pozniej czesc ich porzucila wagony i poszla na piesza tulaczke.

We Wloclawku Tadeusz byl swiadkiem dziwnej rozmowy. Wszedł niepostrzezenie do gabinetu starosty, gdzie siedzieli wojewoda Raczkiewicz, wicewojewoda Szczepanski, starosta wloclawski, naczelnik wydzialu spoleczno-politycznego Cichalewski i

jakiś major — podobno oficer łącznikowy generała Bortnowskiego. Nazwiska jego Tadeusz nie wiedział ni wtenczas, ni potem. Rozmowa toczyła się o środkach ewakuacji z Włocławka, który był zlewiskiem ewakuacyjnym z całego Pomorza. Mowa była o autobusach, furmankach i nawet o statkach na Wiśle.

— A co robić z aresztowanymi Niemcami? — spytał starosta — Jest ich... — tu wymienił cyfrę paru tysięcy.

— Jako — co? — wmieszał się do rozmowy major — Zlikwidować!

Tadeusz podniósł mimowolnie brwi i wzrok jego spotkał się ze szklanym wzrokiem pana Raczkiewicza.

— Panie Tadeuszu — powiedział wojewoda — może będzie pan łaskaw poszukać i sprowadzić do mnie naczelnika wydziału rolnictwa...

Tadeusz wyszedł i nie słyszał końca ciekawej rozmowy.

A wczesnym popołudniem 6 września dostali rozkaz ewakuacji do Kowla na Wołyniu. Podano im jako najbliższy punkt Łęczycę. Poza tym mieli odtąd jechać w nieznaną kierując się węchem, a nie jakimś określonym planem. Pogodne widoki wiejskie na drodze do Krośniewic dały im chwile przyjemnego złudzenia, że oto naprawdę oddalają się od „frontu” i że wjeżdżają w spokojną krainę „tyłów” gdzie żadnej wojny nie było i nie będzie. (Żyli wciąż pojęciami wojny 1914-1920 i myśleli a nawet mówili o „froncie” i „tyłach”). Niestety już w Krośniewicach złudzenie przysło. Na lewo — dymiące zgłiszcza jakiejś nie dawno spalonej szopy kolejowej. Na prawo — o kilkanaście kroków od szosy — duży lej w środku toru kolejowego, wywrócona zwrotnica i wygięta ku niebu na kształt znaku zapytania szyna.

Odcinek Krośniewice-Łęczycza nie miał już wcale znamion spokoju wiejskiego. Znow, jak przed dwoma dniami na szosie Toruń-Ciechocinek, sunęły wśród tumanów kurzu auta, powozy, motocykliści, piesi. Po raz pierwszy ujrzeli widok, który miał odtąd stać się leit-motywem podróży: porzucone z braku benzyny nowiutkie auto na krawędzi drogi. Te „trupcy” samochodowe spotykali potem coraz częściej. Po raz pierwszy i ostatni aż do końca podróży zobaczyli tuż przy szosie zamaskowaną pod przydrożnymi drzewami eskadrę samolotów myśliwskich. Zrobiła przykre wrażenie rozproszonego przez jastrzębia i źle schowanego stada kuropatw.

Do Łęczycy przyjechali 6 września na parę godzin przed zachodem słońca. Mieli zjeść tam „normalny” obiad. W Łęczycy spotykały się i zlewały w jedno koryto dwie rzeki uchodźców: jedna północna z Pomorza, druga południowa ze Zgierza i Ło-

dzi. Ale o tej drugiej uchoźcy z Torunia jeszcze nie wiedzieli. Obiad zapowiadał się normalnie — prowincjonalna restauracyjka na piętrze, zupa i mięso za złotówkę. Podano nawet piwo pomorskie w butelkach. Ale już po zupie, gdy zajęci byli układaniem dalszej marszruty, wleciało przez otwarte okno, bez żadnych syren ostrzegawczych, modulowane buczenie bombowców. Buczenie zmieniło się w przeraźliwe wycie — oczywista bombowce zniżyły lot. Dla pewności zerwali się od stołu i przyłgnęli do ścian. Prawie jednocześnie zaterkotał kulomiot i — jakby ktoś z siłą rzucił garścią grochu o dach i ściany. Potem samoloty odleciały, ale niezbyt daleko, gdyż słyhać było nie tylko odgłosy wybuchów, ale i przeraźliwe „miauknięcia” nurkujących bombowców.

Zaraz potem ruszyli dalej w kierunku Piątku — Łyszkowic — Skierniewic — Grójca. Nie odjechali jednak dwóch kilometrów od Łęczycy, gdy napotkali przeszkodę. Droga była zatarsowana kilku rzędami nieuruchomionych aut, wozów taborowych, motocykli. Okazało się, że bomba zapaliła przed pół godziną wóz z amunicją: od niebezpiecznego miejsca rozlegało się urywane: pał-pał-pał... Zdecydowali tedy jechać na Zgierz-Radom. Jednak już zaraz na ulicy wylotowej natknęli się na zwartą masę uchoźców ze Zgierza uciekających w popłochu. Ale i tu zdecydowali się szybko. Przecie wóz z amunicją musiał się wreszcie dopalić! Zawrócili więc na szosę Piątek-Łyszkowice. Jakoż na szosie tej poczwórny wąż wozów, aut, motocykli posuwał się. Wprawdzie wolno, ale się posuwał. W pewnym miejscu po prawej stronie szosy dopalały się koła wozu, leżały trupy końskie, widniał ogromny lej, sterczały nadwęglone drzewa.

Rozpoczęła się najbardziej koszmarna noc z całej tej podróży. Zmrok zapadał i w miarę jak gęstniał zjawiały się — bliżej i dalej — łuny pożarów. Niektóre ledwie jarzyły się na horyzoncie, inne były tak blisko szosy, że przez opuszczone szyby wozu czuć było żar i słyhać trzask płonących krokwi. Cała droga od Łęczycy do Grójca naznaczona była łunami pożarów. Pał się rynek w Piątku i musieli wraz z całą ciżbą uchoźczą wyminąć miejsce pożaru boczną wyboistą drogą. W Skierniewicach miasto paliło się w wielu miejscach i musieli błędzić po nieznanym uliczkach, by się wydostać z tego błędnego koła ognistego.

Powolny, jednokierunkowy, kataklizmowy ruch na szosie potęgował wrażenie, że to, co widzą, nie jest rzeczywistością a snem koszmarnym. Potrójnym, czasem poczwórnym rzędem sunęły auta — z przeciętną szybkością 8 kilometrów na godzinę — tabory konne, wozy uchoźców, motocykle, rowery. Te ostatnie były przeważnie prowadzone przez właścicieli idących pieszo

po ścieżkach, lub po suchym dnie rowów — z tobołkami przy-mocowanymi do siodła. Nad tym piekłem unosiły się tumany dymów pożarnych i kurzu. Panował gwar potępieńczy: jęki klaksonów, przekleństwa, nieustanne wrzaski „gasić światło”. (Wciąż jeszcze bano się nalotów nocnych, których nie było, i większą zbrodnią zdawało się choćby chwilowe zapalenie przyćmionego upiornie sinego światła, niż przejechanie na śmierć człowieka). Krwawe blaski pożarów tylko zwiększały ciemności na szosie. To też co czas pewien błotnik wywracał rowerzystę, lub zgrzytały potrącone zderzaki. Później rzadko widziało się auto nieuszkodzone — prawie wszystkie miały powyginane a nawet zupełnie oderwane błotniki i zderzaki. Później też spotykało się samochody podziurawione karabinami maszynowymi z samolotów. Również „trupy”, tj. samochody porzucone z braku benzyny, spotykało się coraz częściej.

O świcie dotarli do Grójca. Krwawa zmora nocy niby już minęła, jednak w bladym brzasku wstającego dnia widok rozwalonego bombami rynku i dogasających pożarów był nie mniej koszmarny.

— Tak... Polska krwawi się — powiedział towarzysz Tadeusza z surową zmarszczką na czole.

— „Dureń” — pomyślał Tadeusz, gdyż całe życie brzydził się frazesów i kabotyństwa.

Świt w Grójcu zapoznał ich po raz pierwszy od wyjazdu z Torunia z elementem paniki. Od starosty grójeckiego dowiedzieli się, że się Warszawa (tj. prezydent i rząd) ewakuowała. Poza tym — skąd dostać benzyny?... Starosta odmówił mówiąc że ma tylko pół baku dla siebie. Co robić? Starczyłoby im benzyny na dojazd do Warszawy, ale po pierwsze mieli nakaz unikania Warszawy, a po drugie — co robić w ewakuowanej stolicy?

Tadeuszowi przyszła szczęśliwa myśl do głowy. Wszak w Radomiu starostą jest Janek Mieszkowski, dawny przyjaciel z Wilna, on nas na pewno poratuje w potrzebie. Ruszyli więc do Radomia.

Jazda do Radomia — w kierunku południowym — była podwójnie ryzykowna. Przede wszystkim mogło im nie starczyć benzyny, po drugie mogli się spotkać z taką samą falą uchodźczą, jak po drodze z Łęczycy do Zgierza. Jednak w miarę jazdy wstępowała w nich otucha. Szosa była prawie pusta. Nigdzie nie było znać ani śladów zniszczenia, ani paniki. (Nie orientowali się, że powódź uchodźcza rozlała się innymi korytami).

Pod Radomiem i w samym Radomiu był nastrój bojowy. Uchodźców prawie nie było, nam miastem krążyły polskie samo-

loty, a po ulicach przejeżdżały z trzaskiem tankietki. Poza tym miasto było na pół wymarłe. Gdy dojechali — nowe rozczarowanie: starostwo już było ewakuowane i nadzieja na zdobycie benzyny spadła do minimum. Raczej z „pokojowego” przyzwyczajenia, niż z wyrozumowania podjechali do stacji benzynowej. Doświadczenia bowiem ubiegłych trzech dni nauczyło ich, że wszystkie stacje benzynowe były ogołoczone z benzyny. Przed stacją o dwóch pompach uderzył ich przyjemny widok. Jacyś wojskowi pompowali benzynę do motocykla.

— Może by panowie odstąpili nam nieco benzyny?

— Niemożliwe. Ta pompa jest już na wyczerpaniu a mamy jeszcze jeden zbiornik do napełnienia. Jednak radzimy panom zrobić to, co myśmy zrobili z naszą pompą: rozbić kłódkę drugiej pompy. Jest pełna.

Wahali się przez chwilę pytając, gdzie jest właściciel stacji. Okazało się że uciekł. Skrupuły odpadły. Ktoś z usługowej gawiedzi przyniósł łom żelazny. Kłódka odpadła. Przyjemnie było słyszeć bulgot pompowanej benzyny. W serce auta, któremu groziła śmierć na drodze na skutek ostrej anemii, wstępowało życie.

Zaopatrzeni w cenny płyn ewakuacyjny ruszyli na Koziernice, Zwolen, Puławy i Lublin. Przez most na Wiśle przejechali ostrożnie: gdzieniegdzie na chodnikach i jezdni widniały nieduże leje a żelazne spojenia były zerwane i pokręcone.

W Puławach — znany już widok: rozwalony bombami rynek, leje w kocich łbach, stygnące zgliszcza domków parterowych.

Droga z Puław do Lublina pozostawiła w Tadeuszu wrażenie czegoś niezwykłego, choć wcale nie przerażającego. Luźnym, lecz nieprzerwanym sznurem sunęły w jednym kierunku — Lublina — eleganckie limuzyny, autobusy z całego niemal kraju, motocykle. Motoryzacja... Choć rozumiał dokładnie, że przyczyną tego niezwykłego ruchu motorowego jest pospolite „wianie”, miał jednak wrażenie jakiegoś corsa samochodowego. Rzekłbyś, że pojazdy mechaniczne z całego kraju umówiły się na rendezvous na tej szosie Puławy-Lublin. Lśniły lakiery czasem tylko osłonięte gałęziami lub wymazane gliną — przed okiem samolotów. Było to bezwątpienia „wianie”, ale wianie pozbawione ponurej rozpacz i nędzy pieszej i rowerowej ciżby uchodźców.

W Lublinie bowiem, tej Mekce ewakuacyjnej, był zjazd gwiazdzisty samochodów z Polski zachodniej i centralnej. Na pryncypalnej arterii Lublina, Krakowskim Przedmieściu, towarzyszył Tadeusza raz po raz wymieniał znane nazwisko, gdy wymijali wspaniałe limuzyny. W urzędzie wojewódzkim Tadeusz

spotkał pana Jerzego de Tramecourta, ongi starostę w Wileńszczyźnie, a obecnie wojewodę lubelskiego, oraz ewakuowanego z Poznania pana Ludwika Bociańskiego, który z nosem spuszczonego na kwintę robił wrażenie nie dygnitarza przyzwyczajonego do rozkazywania, ale jakiegoś smętnego Pierrota. Tylko pan Władysław Raczkiewicz, wyprostowany, elegancki i spokojny, trzymał się „pistoletem”. Oznajmił Tadeuszowi, że ponieważ województwo jego jest okupowane przez Niemców, więc w charakterze prezesa Światowego Związku Polaków wyjeżdża za granicę, aby tam bronić interesów Polski.

W Lublinie spotkała Tadeusza niemiła przygoda. Gdy po ogoleniu i ostrzyżeniu wyszedł od fryzjera, szofer oznajmił mu z przerażeniem, że jakiś pułkownik zarekwirował ich samochód.

— Jaki pułkownik? Jakie nazwisko? — pytał Tadeusz.

— Nie powiedział nazwiska. Powiedział tylko, że rekwiruje samochód dla obrony Warszawy, tak jak w roku 1914 zarekwirowano taksówki paryskie dla obrony Paryża.

— Jakże mógł pan oddać mu tak samochód?! — oburzał się Tadeusz.

Teraz szofer się rozżłościł:

— Cóż miałem robić? Groził mi rewolwerem. Musi mi pan dziękować, że uratowałem pana płaszcz, walizkę i strzelbę, bo i to chciał zabrać.

Po chwili dodał:

— I pojechał wcale nie do Warszawy, ale na Tarnopol... Z dwiema babami...

(Stare to dzieje... Może ten pułkownik trafił w ręce bolszewików i zginął w Katyniu. Tedy Tadeusz chętnie puszcza w niepamięć kradzież samochodu. Jeżeli jednak pułkownik ten dorobił się w Londynie domu, Tadeusz posyła mu — za moim pośrednictwem — kilka słów błogosławieństwa w języku rosyjskim).

Wczesnym rankiem 8 września Tadeusz dobił pociągiem do planowanego miasta ewakuacji — Kowla.



## Rozdział XXIX

### OSTATNI

Po przyjeździe do Kowla Tadeusz przeżywał jeszcze jedno złudzenie świadczące, że pokolenie, które pamiętało wojnę 1914-1920 i które miało rutynę 19 lat pokojowych, jest pozbawione żywszej wyobraźni. Wydawało mu się, że skoro Kowel został mu wyznaczony, jako docelowy punkt ewakuacji, zgodnie z opracowanymi latami w ciszy gabinetów planami „wycofania”, tedy czterodniowy exodus wśród pożarów i zgliszcz już jest skończony. Wyobrażał sobie, że Kowel będzie dla niego na długie miesiące wojny jakimś Mińskiem Litewskim z lat 1914-1917. Że stanie się „głębokim tyłem”, gdzie się będzie oczekiwało końca wojny.

Siedem dni pobytu w Kowlu miało doszczętnie rozwiązać tę iluzję. Na razie jednak Tadeusz w całej naiwności napisał kilkanaście kartek do krewnych i przyjaciół i wrzucił je do skrzynki pocztowej. Nie wiedział, że nie tylko kartki te nie dojdą rąk adresatów, lecz że prawdopodobnie nikt już skrzynki nie opróżni: był ósmy dzień wojny i poczta nie funkcjonowała.

Ucieszył się bardzo spotkawszy kolegę z Torunia inżyniera Klonowskiego, który był z żoną i pasierbem. Wszyscy troje byli sympatyczni i „swoi” i — co najważniejsze — mieli własny samochód z pewnym zapasem benzyny. Sami zaofiarowali się zabrać Tadeusza „gdyby zaszła potrzeba”.

Już pierwszy spacer po mieście wołyńskiej podważył mocno iluzję Tadeusza, że się znajduje w „głębokim tyłem”. Przede wszystkim dowiedział się, że Kowel był od pierwszego dnia wojny regularnie wizytowany przez samoloty niemieckie, które bombardowały dzielnicę kolejową. Po drugie — zastanowił go zewnętrzny widok miasta. Na ulicach panowało ożywienie. Krążyły i wypoczywały samochody i motocykle. Wałęsało się sporo

różnych wojskowych i policjantów. Był to widok w warunkach wojennych normalny, gdyby nie to, że ci wojskowi i policjanci zwracali się nieraz do niego o kawałek chleba.

Autochtonów kowelskich jakoś nie było. Niemal każdy przechodzień zapytany o adres odpowiadał, że jest „przyjezdny”. Z nielicznymi wyjątkami sklepy w całym mieście były zamknięte na cztery spusty. Przy nielicznych otwartych stały długie kolejki. Wkrótce dowiedział się o przyczynie tego zjawiska. Oto codziennie przed świtem przerażona nalotami ludność Kowla masowo emigrowała za miasto do lasów i tam korzystając z ciepłych dni biwakowała na świeżym powietrzu do późnego wieczora. Po zachodzie słońca tłumy te, obładowane tobołkami i betami, wracały do miasta — wyłącznie na nocleg. W ten sposób Kowel w dzień był prawie zupełnie wyludniony z autochtonów. Po mieście krążyły tylko tłumy uchodźców pukających do zamkniętych sklepów i jadłodajni. Naloty bombowe sparaliżowały normalne życie miasta.

Z jednej strony bomby niemieckie mogły napędzić strachu całkiem „obiektywnego”: w jednym Krzemieńcu bombowce zrobiły w dzień rynkowy prawdziwą masakrę zabijając kilkadziesiąt ludzi, w tym dużo kobiet i dzieci, co stwierdziło pismo bawia- cego wtedy w Krzemieńcu nuncjusza apostolskiego. Z drugiej jednak strony przyczyna sparaliżowania życia miasta tkwiła w wadliwym nastawieniu tzw. „biernej obrony przeciwlotniczej”. Według tego systemu ludność na sygnał alarmowy miała *obowiązek* porzucenia normalnych zajęć i chowania się do schronów i rowów. A zdawałoby się, że chowanie się do schronu powinno być tylko *prawem* obywatela, który urastałby na bohatera, jeżeli w czasie bombardowania trwał na posterunku — chociaż by — za ladą sklepową.

Spacerując z inż. Klonowskim po mieście Tadeusz był świadkiem stopniowej ale wyraźnej i przyspieszonej dezorganizacji życia „tyłów”. Wieści z „frontu” nie było: radio polskie albo nadawało mętne komunikaty, albo milczało, a radia moskiewskiego dłaczegoś nie słuchano. Karmiono się plotkami. „Ekipa”, która 4 września opuściła Toruń-Podgórz całą „motorkadą”, spadła do liczby jednego prywatnego auta. Wałęsając się po Kowlu widzieli postępy europeizacji tego miasteczka. Chodniki z krawężnikami, estetyczne szyldy, dokładnie „rozszczelnione” i pięknie malowane płoty. Słowem program gen. Składkowskiego na lato 1939 został wykonany w 100%.

Pogłoski — czuły jak zwykle barometr niepowodzeń wojennych — trwały. Trudno było nabrać otuchy, gdy obok oficjalnego komunikatu o rozbiciu dwóch dywizji niemieckich i

obok fantastycznych wieści o bombardowaniu Berlina, odbywał się pośpieszny przejazd najwyższych władz państwowych w stronę granicy południowej i rosło całkowite rozprzężenie życia „tyłów”.

Tadeusz z inż. Klonowskim niemal codzień zaglądali do starostwa. Nie wiele z tych wizyt skorzystali. Starosta chodził milczący i ponury. Pani starościna natomiast z przejęciem czytała im z kopii bibułowej słynne strofy Przepowiedni Tęgoborskiej.

„O Boże — myślał Tadeusz — na niebie krążą samoloty niemieckie, Polska płonie i wali się w gruzy, a tu baba, jak gdyby nigdy nic, deklamuje z płomieniem w oku o lewku zdradczonym przez wyzwolenca... A niech cię licho porwie!”

— Cóż to za idiotka! — irytował się inż. Klonowski, gdy wracali do domu.

Tadeusz kiwnął głową rozmyślając, że w godzinę trwogi jedni idą do Ossowieckiego, drudzy do wrózek, trzeci kręcą stoliki (z Guzikiem lub bez Guzika), inni pocieszają się lekturą przepowiedni, inni wreszcie — bardzo nieliczni — idą do kościoła.

Tegoż dnia wieczorem dowiedzieli się, że starosta „wyewakuował się” nic nikomu nie mówiąc. Dla pp. Klonowskich i Tadeusza był to ostatni dzwonek.

— Jutro o świcie wyjeżdżamy — oznajmił inżynier.

Był to człowiek z dużym poczuciem humoru. W okolicznościach, w jakich się znaleźli, humor jego nabrał jednak akcentów wisielczych. Od czasu do czasu zaczynał śpiewać słynny szlagier modny latem 1939:

*Marszałek Śmigły-Rydz, nasz mężny, dzielny wódz...*

Potem przerywał śpiew mówiąc:

— A niech go wszyscy diabli porwą!

Pasierb jego nie odznaczał się wesołością. Z powagą czter nastolatka zapytywał Tadeusza:

— Jak pan myśli: chyba marszałek Śmigły-Rydz popełni samobójstwo?

Tadeusz miał na końcu języka odpowiedź „licz pan na to!” — ale zmilczał nie chcąc mącić czystych iluzji młodzieńczych.

A o świcie już jechali w kierunku Łucka. Drogę, ongi zapewne dobrą, ale jak większość polskich szos nie asfaltowaną, „rozessały” setki tysięcy opon. Musieli jechać ostrożnie, gdyż co krok były wyboje, a nawet większe dziury w nawierzchni.

Co kilka kilometrów widniały na zboczu drogi „trup” samochodowe.

W Łucku zabawili krótko, bo nie było czego popasać: województwo wycofało się już kilka dni przedtem, benzyny nie było. W Dubnie spędzili dwie godziny latając po mieście za obiecaną benzyną. Z tego krótkiego popasu w Dubnie Tadeuszowi utkwiała w pamięci — jak to podobno często się zdarza — drobnostka bez znaczenia. Gdy pili herbatę na werandzie kawiarni, rój żółtych os krążył koło ich głów i szklanek. Nie wiedzieć czemu na widok tych „pokojowych” os zrobiło się Tadeuszowi bardzo smutno.

Na szosie Dubno-Krzemieńc panował wielki ruch. W tumanach kurzu pędziły limuzyny, ciężarówki, autobusy, motocykle — wszystko w kierunku południowym.

Wczesnym zmerchem dnia 15 września zbliżali się do Krzemieńca. Z nimi razem posuwało się „corso”. Ale nie było to już eleganckie, połyskujące lakierami luksusowych limuzyn „corso lubelskie”. Sunęły auta zakurzone, podziurawione kulami, bez błotników i zderzaków, z wybitymi szybami. Raz dostrzegli w rowie przydrożnym wywróconą do góry nogami tankietkę. Obok — mocno poharatane drzewo. Odbyła się tu widać niedawno katastrofa.

Mrok już gęstniał, gdy wjeżdżali do Krzemieńca. Tadeusza ogarnęło dziwne uczucie. W Krzemieńcu nie był od 20 lat a uważał go za jedno z najpiękniejszych miasteczek na naszych „kresach”. Nieraz w czasach pokojowych projektował krajoznawczą wycieczkę do Krzemieńca. I oto znów był w Krzemieńcu... Na ciemniejącym niebie groźnie i władczo czarniała góra Bony z ruinami zamku. I dawniej góra ta — olbrzymia w porównaniu z wijącym się u jej stóp miasteczkiem — sprawiała wrażenie czegoś przytłaczającego. Dziś wiało od niej czarnym mrokiem i grozą. Nie spuszczał z niej wzroku nie zwracając uwagi na mijane domki — typowe krzemienieckie domki z facjatkami.

Zaraz po przyjeździe Tadeusza spotkał zawód. Inż. Klonowski oświadczył, że dalej nie jedzie, zarówno ze względu na trudność zdobycia benzyny, jak i na dawne stosunki w Krzemieńcu. Miał nadzieję znaleźć tu zajęcie zarobkowe. Jednak szczęście — względne — zdawało się nie opuszczać Tadeusza. Spacerując nazajutrz po mieście w poszukiwaniu papierosów natknął się na Jurka Widackiego, dawnego przyjaciela z Petersburga, którego nie widział kilkanaście lat. Okazało się że Jurek jest urzędnikiem wołyńskiego urzędu wojewódzkiego i że „bawi” w Krzemieńcu z całą „ekipą” samochodową z wicewojewodą Strzeмиńskim na czele.

— A wojewoda?

— Wojewoda zwał już dawno.

Pana Strzemińskiego Tadeusz dobrze znał z Wilna. Bez chwili wahania postanowił przyłączyć się do nich. Przyjęto go bardzo serdecznie i dano mu pokój w gmachu liceum krzemienieckiego, w którym cała ekipa wojewódzka była rozlokowana.

Spacerując z Jurkiem po mieście raz po raz zwracał oczy na górę Bony mającą widać jakieś właściwości magnetyczne...

Wieczorem dnia 16 września otarła się o nich limuzyna, w której obok kierowcy siedział Melchior Wańkowicz.

— Mel! — zawołał Tadeusz ucieszony, że z ust tak ustosunkowanego dziennikarza dowie się ciekawych nowin.

Okazało się jednak, że Mel jest zaabsorbowany „wianiem” oraz poszukiwaniem pana ministra propagandy Grażyńskiego i że *de publicis* wie tyleż, co i Tadeusz.

„Niech cię diabli porwą razem z twym ministrem propagandy” — pomyślał Tadeusz w ślad za oddalającym się autem Melchiora Wańkowicza.

Nazajutrz z rana Tadeusza zaprosił na ranne śniadanie wicewojewoda Strzemiński. Przy śniadaniu podzielił się z obecnymi elektryzującą wiadomością, otrzymaną telefonicznie: wojska sowieckie przekroczyły granicę w Korcu, Białozorce i Ostrogu.

— Co panowie myślą — spytał pan Strzemiński — co by to mogło znaczyć?

Milczenie. Jak się później okazało nikt z kilkunastoosobowej ekipy wicewojewody nie słuchał radia moskiewskiego.

— Ja myślę — zaczął pan Strzemiński po dłuższym milczeniu — że Sowiety mające z nami pakt o nieagresji nie przekroczyły granicy w zamiarach wrogich. Myślę, że przekroczyły granicę po to tylko, by jej bronić przed cofającymi się wojskami polskimi.

Tadeusz słuchał w osłupieniu, inni milczeli.

— Co panowie myślą? — zapytał pan Strzemiński zatrzymując wzrok na Tadeuszu.

Tadeusz miał na końcu języka ostrą odpowiedź, że granica nie jest jakimś nietykalnym i filigranowym murkiem, którego należałoby bronić przed rozbitkami wojska, ale się pohamował i powiedział:

— Jestem innego zdania, panie wojewodo. Myślę, że przychodzą, aby nas brać gołymi rękami, aby mieć łatwy odwet za rok 1920.

— Tak pan myśli?

— Tak.

— I cóż pan radzi?

Tu już Tadeusz nie mógł wytrzymać i głosem trochę ostrzejszym, niż należało, odpowiedział:

— Wiać!

Wniosek Tadeusza nie od razu został przyjęty. Pan Strzeмиński naradzał się jeszcze długo z kolegami. Aż po południu okazało się, że dalsze „wianie” nie ma już sensu, gdyż wojska sowieckie zajęły Tarnopol i odcięły drogę na południe. Po dalszej naradzie pan Strzeмиński postanowił, że jako wicewojewoda czyli zastępca gospodarza województwa, powinien powitać wkraczające wojska sowieckie w miejscu swego urzędowania, tj. w Łucku.

Tadeusza ogarnęło otepienie. Gdyby miał jakiś środek lokomocji do własnej dyspozycji, może by szukał jeszcze innej drogi ucieczki. Ale tak, jak rzeczy stały, postanowił dzielić losy „ekipy”, która go przygarnęła.

Rankiem 18 września ruszyli z powrotem na północ — do Dubna. Ranek był zimny i mglisty. Jeszcze przed dwoma dniami mgła cieszyłaby ich jako ochrona przed samolotami. Teraz jednak było to im obojętne. W milczeniu mijali drogę, na której przed dwoma dniami panował ruch i rwetes. Dziś szosa była dziwnie pusta. Przesuwały się we mgle lasy liceum krzemienieckiego, przesuwały się pola przetykane charakterystycznymi dla krajobrazu wołyńskiego szpalerami plantacji chmielowych. Monotonnie wyłaniały się z mgły i mijały ich słupy kilometrowe. Zbliżali się do Dubna.

Mgła opada. Słońce zaczyna przeświecać. Do Dubna pozostało już tylko parę kilometrów. Nagle na skrzyżowaniu dróg wyrasta przed nimi pierwsza żywa istota od chwili wyjazdu z Krzemieńca. Jest to żołnierz w długim burym szynelu, w hełmie falistego kształtu, z nieprawdopodobnie długim karabinem, którym zagradza im drogę:

— *Stoj! Kuda?*

— *W Dubno.*

— *Pojezzaj na prawo!*

W jakiejś wiosce o kilometr przed Dubnem posterunek wojskowy zatrzymuje ich znowu. Następuje odebranie broni, kontrola dokumentów i rewizja bagaży. W rezultacie pozwalają im wsiąść do aut i jechać dalej — do Dubna. W Dubnie odbierają im auta i — puszczają wolno. Stoją z walizkami na skwerku dubieńskim. Słońce przygrzewa. Na niebie warczą samoloty sowieckie. Czternastodniowy raid samochodowy z Torunia na Wołyń się skończył. Co robić?

— Chodźmy do starostwa — mówi Strzeмиński — może tam się czegoś dowiemy.

Zdawalioby się, że w ich sytuacji iść do starostwa znaczy leźć dobrowolnie w paszczę smoka. Ale otepienie odebrało wszystkim rozum. Bez słowa sprzeciwu idą za panem Strzeмиńskim do starostwa.

Zaledwie wkroczyli do starostwa, gdy jak spod ziemi wyrosło kilku krasnoarmiejców w towarzystwie paru cywilów z czerwonymi opaskami na ramieniu. Zapędzają ich do sali stawiając przy drzwiach straż.

Trzymają ich w tej sali do późnego popołudnia. Wreszcie zjawia się krasnoarmiejec z jakimiś naszywkami — oficer czy podoficer — i każe wszystkim iść na dół na dziedziniec.

Tam już stoi młody tęgi oficer NKWD. W końcu dziedzińca warczy ciężarówka, na razie pusta.

Oficer każe wszystkim — z wyjątkiem kobiet i dzieci — ustawić się w długi szereg. Z prawej strony Tadeusza stoi pan Strzeмиński, z lewej jakiś wystraszony człowieczek w nieokreślonym wieku. Oficer zaczyna badanie dokumentów stojących w szeregu. Zaczyna z lewej strony. Za tłumacza służy mu jakiś jegomość. Jak się później Tadeusz dowiedział był to urzędnik wydziału powiatowego — Ukrainiec.

Badanie dokumentów postępuje szybko. Ukrainiec tłumaczy treść dokumentów i w zależności od ich treści oficer NKWD albo każe badanemu pozostać w szeregu, albo mówi:

— *Pożałosta!*

I grzecznym ruchem wskazuje czekającą ciężarówkę. Zanim badanie doszło do Tadeusza, w ciężarówce znalazło się już kilku policjantów i jeden oficer polski, którzy nie wiedząc jak przyplątali się do ich ekipy.

Wreszcie badanie doszło do sąsiada Tadeusza z lewej strony. Ten już miał przygotowaną legitymację służbową, z której Tadeusz zezem odczytał:

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych  
Główny Urząd Statystyczny  
Radca.....

Ukrainiec wziął legitymację do ręki i zaczął tłumaczyć:

— *Ministerstwo wnutriennich diet...*

— Aha! — powiedział oficer NKWD i już podniósł rękę, aby zrobić zapraszający ruch w stronę ciężarówki.

Tadeusz nie wytrzymał i powiedział — oczywiście po rosyjsku:

— Ten człowiek jest urzędnikiem urzędu statystycznego.

A urząd statystyczny tylko formalnie należał do działu (*wiedomstwa*) spraw wewnętrznych i nie miał nic wspólnego z polityką.

Oficer NKWD badawczo spojrzął na Tadeusza, machnął ręką na radcę urzędu statystycznego i na Ukrainca i powiedział Tadeuszowi:

— Proszę wyjść z szeregu. Będziecie tłumaczem.

Nastąpiła jedna z najbardziej przykrych chwil w życiu Tadeusza. Pierwszy dokument, który miał tłumaczyć, był legitymacją pana Strzeмиńskiego, wicewojewody wołyńskiego.

Trzymając tę legitymację w ręku patrzył w oczy panu Strzeмиńskiemu i milczał.

— No! — odezwał się zniecierpliwiony oficer NKWD.

Wtedy pan Strzeмиński sam zaczął mówić:

— Jestem wicewojewodą wołyńskim tj. jakby wicegubernatorem okręgu wołyńskiego.

— Aha! — powiedział oficer — *pożałosta!*

I zrobił ruch ręką w kierunku ciężarówki.

W grupie stojących opodał kobiet rozległ się straszny, rozdzierający krzyk pani Strzeмиńskiej.

W kwadrans później wypełniona ciężarówka odjechała do więzienia, a oficer NKWD miał krótką przemowę do pozostałych na wolności, m.in. pytając czy nie ma wśród nich członków partii komunistycznej, po czym pozwolił im iść „do domu”.

Gdy odszedł, uratowany radca urzędu statystycznego podszedł do Tadeusza i powiedział z drzeniem w głosie:

— Nie wiem, jak mam panu dziękować...

Tadeusz machnął ręką. Starał się nie patrzeć w stronę pani Strzeмиńskiej która chwiała się na nogach podtrzymywana przez dwie panie.

Wieczorem znalazł przytułek w domu państwa Żabów, których przelotnie znał z Mińska.

Idąc do łóżka i mając zwyczaj czytania do poduszki wziął z półki pierwszy z brzegu tom Trylogii i otworzył go na chybił trafił. Był to pierwszy tom „Potopu” i wzrok jego padł na słowa Zagłoby:

„Panie wszechmogący! Czemuś to tak tę nieszczęsną Rzeczpospolitą rozgrodził, że wszystkie świnie sąsiedzkie wiażą do niej teraz”...

*Koniec*



## SPIS ROZDZIAŁÓW

I. <i>Wojna romantyczna</i> .....	7
II. „ <i>Piotrogród</i> ” i <i>łoś</i> .....	16
III. <i>Druć</i> .....	26
IV. <i>Pierwsze zjawienie się Witolda Dusiackiego-Ruminy</i> .....	33
V. <i>Na froncie zachodnim</i> .....	43
VI. <i>Urwany rapsod myśliwski</i> .....	54
VII. <i>Historia gmatwa się</i> .....	65
VIII. „ <i>Chmurą śnieżnej krupy przedzimowej niesionny...</i> ” .....	77
IX. „ <i>Za miastem wolność...</i> ” .....	87
X. <i>Legenda o dobrych Niemcach</i> .....	97
XI. 1919 .....	108
XII. <i>Pocałunek wojny</i> .....	118
XIII. <i>Cud nad Wisłą</i> .....	128
XIV. <i>Koniec pierwszej młodości</i> .....	138
XV. <i>Kureń na Holczy czyli romantyczność poleska..</i>	148
XVI. <i>Otrząsanie gruszek</i> .....	157
XVII. <i>Duch starego Wilna</i> .....	168
XVIII. „ <i>Za cierpienia zostaje się świętym a nie gubernatorem</i> ” .....	180
XIX. <i>Wiązanka administracyjna</i> .....	192

XX.	<i>Gasnący Znicz</i> .....	203
XXI.	<i>Artemis z Gałutyszek</i> .....	214
XXII.	<i>Jelno — puszcza nieznaną</i> .....	224
XXIII.	<i>Nad Berezyną Niemeńską</i> .....	235
XXIV.	<i>Ze strzelbą w futerale</i> .....	244
XXV.	<i>Hrabia Palatynu</i> .....	255
XXVI.	<i>Pieśń o Rudominie</i> .....	265
XXVII.	<i>Konanie starego Wilna</i> .....	275
XXVIII.	<i>Toruń i corso lubelskie</i> .....	286
XXIX.	<i>Ostatni</i> .....	297

WYKAZ WYDAWNICTW  
«BIBLIOTEKI KULTURY»

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

1. Witold GOMBROWICZ .. *Transatlantyk i Ślub*
4. James BURNHAM .... *Bierny opór czy wyzwolenie?*
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI .... *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
15. Graham GREENE ..... *Moc i chwała*
18. Jeanne HERSCH ..... *Polityka i rzeczywistość*
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkem (Francja 1940-1944), 2 tomy*
25. Daniel BELL ..... *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
30. Jan KOWALIK ..... *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK .... *W polu*
33. Simone WEIL ..... *Wybór pism*
34. Albert CAMUS ..... *Człowiek zbuntowany*
35. James BURNHAM .... *Rewolucja menadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodżennja (Antologia)*
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”. Zesz. 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*
43. Jan KOWALIK ..... *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*

45. Wacław LEDNICKI .... *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej*
46. Abram TERC ..... *Sąd idzie*  
ANONIM ..... *Co to jest realizm socjalistyczny?*
47. Tibor DERY ..... *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy błąd (Seria „Dokumenty”. Zesz. 7)*
50. Czesław MIŁOSZ ..... *Rodzina Europa*
51. Gustaw HERLING  
GRUDZIŃSKI ..... *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-  
CHMIEŁOWSKA ..... *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI ..... *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia*
55. Leo LIPSKI ..... *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY ..... *Nowy wspniany świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Thanka ziemi*
58. Stanisław KOT ..... *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Haddziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)*
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK ..... *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ ..... *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*  
Róża LUKSEMBURG .. *Rewolucja rosyjska (Seria „Dokumenty”. Zesz. 9)*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i  
Bolesław SULIK ..... *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN .... *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC .... *Esaje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ .... *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC ..... *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW ..... *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC ..... *Fantastyczne powieści*
71. I. IWANOW ..... *Jest' li ziemia na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA ..... *Historia Polski. Cz. I*
73. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
76. Józef CZAPSKI ..... *Na niehumanitarnej ziemi*
77. Czesław MIŁOSZ ..... *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER ..... *Od Witosy do Sławka*
79. Czesław MIŁOSZ ..... *Król Popiel i inne wiersze*
80. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi)*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*

82. Milovan DŽILAS ..... *Rozmowy ze Stalinem*
83. (Jerzy MOND) ..... *6 lat temu... (Kulisy polskiego Października) (Seria „Dokumenty”. Zesz. 11)*
- 84.— *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN ..... *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT ..... *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO ..... *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA ..... *Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia*
89. Witold JEDLIŃSKI .... *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”. Zesz. 12)*
- 90.— *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
91. Abram TERC ..... *Lubimow*
- 92.— *We własnych oczach. Antologia współczesnej literatury sowieckiej.*
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i szkice*
94. Jan KOWALIK ..... *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962.*
- 95.— *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
96. Marek HŁASKO ..... *Wszyscy byli odwrócenii. — Brudne czyny*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach (Poezje)*
98. Bogdan CZAYKOWSKI *Spór z granicami (Poezje)*
99. Wincenty WITOS ..... *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
- 103.— *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*
104. Ignazio SILONE ..... *Wybór towarzyszy (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga (Seria „Dokumenty” Zesz. 13)*
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm*
107. Abram TERC ..... *Myśli niespodziewane*
- 108.— *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 7-y)*
109. Wacław IWANIUK .... *Wybór wierszy*



ACHEVE D'IMPRIMER  
LE 25 MARS 1965  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>)

Dépôt légal : 1<sup>er</sup> trim. 1965



ACHÈVE D'IMPRIMER  
LE 25 MARS 1962  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (XVII<sup>e</sup>)

Dépot légal : 1<sup>er</sup> trimestre 1962





Zw. Pisarzy Polskich  
na Obozizmie. Londyn  
6. VII. 65

15 NF (dol. 3,25; 22/6)